



CEZARY ZARSKI
PREKOGNICJA

TOM 1

NOVAE RES

CEZARY ŻARSKI

PREKOGNICJA



NOVAE RES

Prekognicja

Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-8147-214-2

© Cezary Zarski i Wydawnictwo Novae Res 2018

REDAKCJA:

Paulina Zyszczyk

KOREKTA:

Małgorzata Szymańska

OKŁADKA:

Wiola Pierzgalska

WYDAWNICTWO NOVAE RES

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl,

<http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej [zacytani.pl](http:// zaczytani.pl).

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

Mapka

OD AUTORA

ROZDZIAŁ I

ROZDZIAŁ II

ROZDZIAŁ III

ROZDZIAŁ IV

ROZDZIAŁ V

ROZDZIAŁ VI

ROZDZIAŁ VII

ROZDZIAŁ VIII

ROZDZIAŁ IX

ROZDZIAŁ X

ROZDZIAŁ XI

ROZDZIAŁ XII

ROZDZIAŁ XIII

ROZDZIAŁ XIV

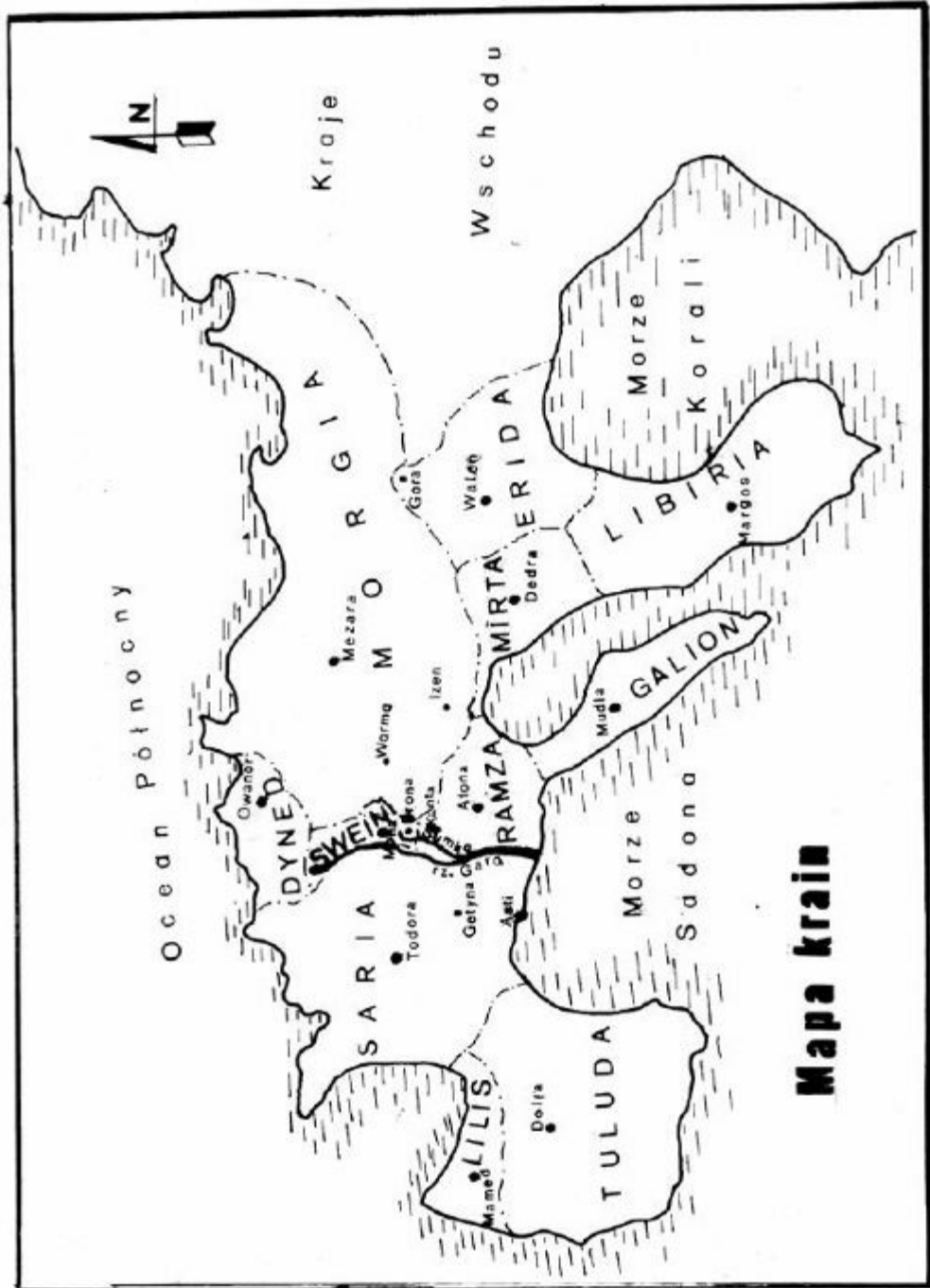
ROZDZIAŁ XV

ROZDZIAŁ XVI

ROZDZIAŁ XVII

Książkę tę poświęcam mojej życiowej towarzyszce,
żonie Zofii, którą od lat szanuję i kocham

AUTOR



OD AUTORA

Gwoli uczciwości, na samym początku czuję się zobowiązany poinformować P.T. Czytelników, że napisany przeze mnie utwór, „Prekognicja”, nie jest całkiem nowatorski i wykreowany jedynie przez moją wiedzę i fantazję. Owszem, akcję, czasy i miejsca jej toku oraz postacie starałem się wymyślić i dobrać sam, lecz mimo to – przyznaję – jest to powieść kompilacyjno-eklektyczna. Pobrzmiwiają w niej echa twórczości takich mocarzy pióra, jak niezrównany Andrzej Sapkowski, nie do przecenienia Stanisław Lem, wspaniali Erich von Däniken, John Ronald Reuel Tolkien, Terry Goodkind, a głównie – zdaniem autora jeszcze zbyt mało znanego polskiemu społeczeństwu – wielkiego wizjonera, współtwórcy paleoastronautyki, Zecharii Sitchina. Ten urodzony 11 lipca 1920 roku w Baku, stolicy jeszcze wówczas Azerbejdżańskiej Republiki Radzieckiej, późniejszy dziennikarz i pisarz, jeszcze jako dziecko nielegalnie opuściwszy, wraz ze swymi rodzicami, z meandrami dążącą do komunizmu „kraję szczęśliwości”, dotarł do Palestyny, gdzie poznał szereg języków (w tym hebrajski i kilka semickich) oraz zdobył gruntowne wykształcenie. Później, będąc już dorosłym, osiedlił się w Stanach Zjednoczonych, gdzie w październiku 2010 roku zmarł. W swych licznych pracach, szczególnie zaś w siedmiotomowym cyklu „Kroniki Ziemi”, uparcie i z wielkim przekonaniem propagował teorię głoszącą istnienie cywilizacji

pozaziemskich i obfitujących w doniosłe skutki kontaktów ich przedstawicieli z Ziemią.

Wkroczyłem już w mocno zaawansowany wiek, a przez wszystkie składające się nań lata czytałem. Te liczone w tysiącach przewertowane dzieła, co oczywiste, nie mogły nie wycisnąć swego piętna i nie pozostawić śladów, pozbawiających moją (ograniczoną) wyobraźnię pierwotnej niewinności i skazających mą (niestety, zawodną i ulegającą wpływom) pamięć. Ułomności owe, polegające na nawiązaniach, bardziej lub mniej uwidoczniły się w „Prekognicji”. Pochodzą one jednak nie z jednego konkretnego dzieła czy od wybranego Twórcy, ale z ich przemieszanej i przedstawionej w odmienionym ujęciu mnogości. Zamiarem moim nie była bowiem pospolita i godna pogardy grabież, a raczej – w sposób pośredni i niekonwencjonalny – złożenie hołdu, nie tylko wymienionym wyżej, lecz także zastępowi innych mistrzów szlachetnej sztuki pisania, przy których jestem zaledwie początkującym czeladnikiem. Nim więc padną słowa potępienia, proszę pomyśleć, ilekroć i w jak różnych ujęciach była modyfikowana na przykład baśń o Kopciuszku, Pięknej i Bestii, przedstawiana tragedia Romea i Julii, malowany Chrystus na krzyżu, pokazywane rozmaite epizody biblijne, legendy arturiańskie i tym podobne.

Zresztą niech moja powieść broni się sama. Ci, co chcą i mają dobrą wolę oraz nieleniwy umysł, zawsze mogą dopatrzeć się w niej drugiego – a może i trzeciego – dna. Dla reszty niech będzie to dające rozrywkę i wytchnienie czytadełko. Tyle na ten temat.

Uważam, że krótkiego uzasadnienia wymaga zamieszczenie w powieści (szczególnie w tomie II) wybranych wybiórczo, chociaż obszernych, to jednak mocno dziurawych, fragmentów rzeczywistej historii. Mam świadomość, że mogą one niektórych czytelników nużyć i nudzić, lecz mimo wszystko zdecydowałem się je pozostawić. Dlaczego? Uważając, że fundamentalną sprawą jest znajomość korzeni własnej

cywilizacji, szczególnie zaś dziejów ojczystego narodu i kraju, zdając sobie też sprawę, że nie każdy sięga po naukową rozprawę czy podręcznik historii, podstępem i „przy okazji” staram się rozbudzić przynajmniej u niektórych czytelników mego utworu zainteresowanie tą tematyką. Mam nadzieję, że sposób przedstawienia zdarzeń i ich oceny, nie zawsze zgodne z obecnie powszechnie panującymi programami nauczania i poglądami, sprowokują chociaż małą część odbiorców do przemyśleń, do zastanowienia się, a niekiedy w ramach wyjaśnienia wątpliwych urywków lub nawet protestu – do sięgnięcia po inne, bardziej właściwe źródła. Jeśli tak się stanie, będzie to oznaka, iż jeden z celów tej powieści został osiągnięty. Aprobuję bowiem różnorodność zapatrywań i odmiennosć sądów.

Nazwy ciał niebieskich, dawnych kontynentów i oceanów, niektórych instytucji oraz imiona sumeryjskich i babilońskich bogów są prawdziwe. Te ostatnie napotkać można nie tylko na odcyfrowanych, przechowywanych w muzeach, liczących po kilka tysięcy lat glinianych tabliczkach, ale i w ogólnodostępnych materiałach. Zarys wyznawanej przez te ludy kosmogonii i kosmologii – również. Nie istnieje jednak jednostka czasu lub bytu zwana w powieści sekulą.

Tym wszystkim, których zainteresuje „Prekognicja”, życzę, aby spędzonego na jej lekturze czasu nie uznali za stracony.

AUTOR.

ROZDZIAŁ I

Samtor jechał wierzchem przez stary las. Koń szedł stępa. Nie za szybko, nie za wolno, tempem, które go nie męczyło, a pozwalało pokonać dziennie spory szmat drogi. Był już czwarty dzień w podróży, dążąc na umówione listownie miesiąc temu spotkanie ze swym o cztery lata starszym przyrodnim bratem Sytomirem.

Gościniec, którym się poruszał, prowadził na zachód. Nie był wydeptany ani rozjeżdżony, co świadczyło, że obecnie odbywający się po nim ruch był sporadyczny. Stare ślady kolein widoczne spod wyrosłej leśnej trawy i pokazujących się co jakiś czas kęp wrzosów, a także szerokość traktu wskazywały jednak, że jeszcze nie tak dawno musiało być inaczej – że kiedyś z trasy tej korzystały liczne karawany wozów kupieckich, oddziały zbrojnych, kurierzy.

Przez korony drzew przebijały się promienie stojącego w zenicie lipcowego słońca. Było ciepło, ale nie upalnie. Cienie drzew i lekki wietrzyk dawały przyjemny chłodek.

„Istna sielanka – pomyślał. – Nawet nie marzyłem o takim spokoju. Już od dwóch dni nikogo nie widziałem. Trzeba niedługo zrobić postój i zjeść coś. Przydałaby się jakaś woda”.

Po około godzinie dalszej jazdy teren zaczął się obniżać. Zieleń w sposób widoczny nabierała żywszych barw. Trakt lekko skręcił na północ i za lasem doprowadził do szerokiej na dwa

rzuty kamieniem rzeki. Szybszy nurt i ledwo rysujące się na drugim brzegu ślady pokazywały bród.

– No, Biegan, dotarliśmy do Sumki, przerwa w podróży. Posiłek, kąpiel, może krótka drzemka i jedziemy dalej – odezwał się do wyraźnie zadowolonego z widoku wody i bujnej trawy konia. Ten parsknął i potrząsnął łbem, jakby rozumiejąc i akceptując słowa jeźdźca.

Odjechali mały kawałek od traktu. Koń, już bez juków, rozsiodłany i rozkielznany, sam podszedł do wody. Rozważnie wybrał miejsce, zaczął pić.

Samtor w niezbyt dużej odległości poniżej brodu napotkał interesująco wyglądającą zatoczkę. Ciemniejsza barwa prawie stojącej w niej wody wskazywała, że toń jest tutaj dość głęboka. W korzeniach rosnącej tuż nad brzegiem wierzby domyślał się istnienia wykrotów, mogących stanowić siedliska dużych ryb. Głośne uderzenia ogonów głuszających drobnicę boleni i ciężkie pluski polujących innych rybich drapieżników już wcześniej zwróciły jego uwagę. Pomimo lekko popołudniowej, niesprzyjającej braniom pory był pewny, że coś złowi. Już wręcz czuł smak świeżej, upieczonej nad ogniskiem, odpowiednio posolonej ryby.

– W razie czego pomogę – szepnął do siebie.

Rozejrzał się i wydobył z juków niewielkim, ostrym toporkiem ściał młodą brzoźkę. Nieopodal rósł dorodny krzak leszczyny. Wyciął z niego prawie trzymetrową, w miarę prostą gałąź. Po obcięciu z brzoźki i pręta leszczynowego bocznych odrostów i liści miał dwa, może niezbyt piękne, ale solidne, wędziska.

– Teraz uzbroimy nasze wędzeczki – powiedział.

Z juków wyjął drewniane, dość duże puzderko i odchylił jego pokrywkę. Na rozpostartej derce starannie ułożył wyjęte z pudełka dwa kołowrotki z nawiniętymi na szpule długimi linkami, własnoręcznie sporządzone z kory i gęsiich piór różnej wielkości szaławiki, łowiane ciężarki, haczyki oraz druciane końcowe przelotki. Do zestawu tego dodał deseczkę z nawiniętą taśmą. Taśma była z mocnego, zielonego materiału, jej poszczególne kawałki różniły się szerokością. Nie tracąc czasu, do tyłca brzoowego wędziska przyłożył większy kołowrotek. Po krótkiej przymiarce owinął razem taśmą jego wystające końcówki i kij, mocno łącząc obydwie elementy.

Na szczycie wędziska za pomocą innego, nieco węższego, kawałka taśmy umocował przelotkę i przeciągnął przez nią rozwijaną ze szpuli linkę. Na lince zamocował duży szaławik, pod nim zacisnął ciężarek i na zgrabny węzeł zawiązał kuty hak z zadziorem.

Leszczynowe wędzisko uzbroił podobnie, lecz linka, szaławik, ciężarek i haczyk były tu znacznie delikatniejsze.

Z nieskrywaną dumą spojrzął na efekty swojej pracy.

– Go-to-we – powiedział, śpiewnie przeciągając sylaby.

Wprawa, z jaką przygotował wędki, świadczyła, że tego typu czynności nie są dla niego pierwszozną i sprawiają mu przyjemność.

Nadziawszy na haczyk leszczynowej wędki złapanego konika polnego, zarzucił jej linkę na skraj zatoki, w pobliże nurtu. Szaławik, zbyt daleko odciągnięty od ciężarka, nie wstał, lecz bujał się, leżąc na powierzchni wody. Ostrożnie wyciągnął wędkę i przesunął go, zmniejszając grunt. Ponownie zarzucił. Tym razem wskaźnik przyjął pozycję pionową i wraz z gnuśnym prądem zaczął się wolno przemieszczać.

Samtor usiadł na skarpie, poziomo trzymane wędzisko skierował w stronę wody. Nieoczekiwanie w tyle głowy przy karku poczuł lekkie mrowienie. Poszukał wzrokiem Biegana, który napojony poszcypywał w pobliżu bujną trawę. Przy okazji dyskretnie spenetrował wzrokiem las oraz niezbyt gęste zarośla. Uspokojony, znowu zwrócił uwagę na wędkę. Luz linki się już wyczerpał i pływak się zatrzymał. Wolno płynąca woda nie zatapiała go ani nie powodowała drgań.

„Niedobra pora, wczesne popołudnie, nie będą brać” – zdążył pomyśleć i właśnie w tym momencie, jakby w przekornej odpowiedzi, sępławik gwałtownie drgnął, zaraz potem się zanurzył i prawie natychmiast wypłynął. Zadziałał instynkt łowcy. Dłoń Samtora zacisnęła się na wędzisku, oddech lekko przyspieszył, ale ani ręka, ani całe ciało nie wykonały żadnego ruchu.

– No, jeszcze raz! Weź jeszcze raz!

Wzięła. Smukły sępławik zanurzył się cały i został pociągnięty pod wodą w kierunku płosa zatoki. Samtor podciął ukośnie w stronę przeciwną ruchowi ryby i poczuł opór. Nie spiesząc się, ostrożnie przyholował do brzegu niechcącą się poddać, nieco większą niż dłoń płotkę. Miał to, na co polował, i to praktycznie za pierwszym zarzutem. Zmoczył dłoń, wziął płoc do ręki i zdjął ją z haczyka. Nie była zbyt mocno skaleczona. Spazmatyczne ruchy świadczyły nie tylko o przerażeniu, ale i o dobrej kondycji ryby. Szybko zahaczył płotkę za grzbiet w okolicy płetwy na drugą wędkę. Wysnuł z bębna kilka metrów linki i delikatnie zarzucił żywca w zacieniony koroną wierzby rejon zatoki. Duży sępławik z kory z anteną z gęsiego pióra, drgając i podskakując, żwawo ruszył ku jej środkowi. Samtor zwiększył zapas luźnej linki. Popatrzył chwilę na poczynania żywca i położył wędkę na trawie,

tak że jej szczytówka sterczała nad wodą. Schwytał kolejnego konika polnego i zarzucił lżejszą wędkę. Ponownie przelotnie zerknął w stronę zarośli.

Zaczęło się prawie równocześnie. Spławik szczupakówki najpierw na moment znieruchomiał, a następnie gwałtownie poszedł pod wodę. Zaraz po tym bez żadnych wstępów wędzisko leszczynowej wędki wygięło się w łuk. Samtor, obserwując szczupakówkę, zajął się lżejszą wędką. Na wszelki wypadek dość mocno podciął. Poczul duży ciężar, a linka, szybko tnąca toń wody, potwierdziła jego przypuszczenia, że będącego na haczyku konika polnego zaatakowała jakaś potężna sztuka. Ból spowodowany ukłuciem podczas podciącia i stawiająca opór, rozwijająca się ze szpuli linka sprawiły, że ryba podjęła walkę o uwolnienie. Najpierw odpłynęła w kierunku środka rzeki, potem przymurowała do dna. Próba poderwania jej wiotkim wędziskiem nie przyniosła rezultatu. To, co się zahaczyło, było mocne i miało duży zapas sił.

W tym samym momencie Samtor spostrzegł, że linka z przygotowanego luzu szczupakówki zaczyna się wysnuwać. Drapieżnik prawdopodobnie obrócił w paszczy żywca i połknął go, odpływał.

Wędka z leszczyny położona na trawie została unieruchomiona postawioną na niej stopą. Energiczne poderwanie szczupakówki stało się jednocześnie zacięciem. Sytuacja była szczególna. Miał równocześnie dwie wędki i dwie zaczepione na nich walczące o życie duże ryby.

– A niech to trafi szlag! – przeklął głośno, chociaż tak naprawdę nie był niezadowolony. Był podniecony. Czuł we krwi adrenalinę. – Ej, ty, pomóż! – krzyknął, zwracając głowę w stronę pobliskich zarośli.

– Daj wędę. Szkoda tracić zdobycz – usłyszał.

Kątem oka dojrzał zbliżającą się truchtem przysadzistą, brodatą postać. Skinieniem głowy wskazał kij leżący pod nogą. Krasnolud schylił się i wprawnie podniósł go prawą ręką. Lewą ujął korbkę kołowrotka. Bez żadnego umawiania, jakby robili to wspólnie dziesiątki razy, oddalili się od siebie. Stanęli w odległości kilkunastu metrów, tak by linki wędek nie mogły się splątać. Krasnolud już poczuł moc ryby. Zrozumiał też, że wiotki leszczynowy kij nie ułatwi mu zadania.

– Oho – odezwał się niskim, chrapliwym głosem – będzie trudno, tęga sztuka i ostra. Jak nic ma parę funtów.

– Staraj się! – odkrzyknął mu Samtor. – Chyba to rapa albo sazan.

– Nii, to chyba śliz – nie zgodził się krasnolud.

Ryba będąca na wędze dzierżonej przez krasnoluda zdecydowała się zakończyć postój. Ruszyła do przodu, odwijając ze szpuli linkę. Brodacz jej nie przeszkadzał, starał się jednak ją zmęczyć, zwiększając opór poprzez lekki nacisk ręki na bok obracającego się bębna.

Po pokonaniu kilku metrów ryba ponownie stanęła przy dnie. Krasnolud ostrożnie podjął próbę jej ściągania. Zastosował metodę zwaną pompowaniem. Zwijał trochę linki, pochylając kij niemal nad samą wodę, następnie blokując kołowrotek, powoli go podnosił i znów powtarzał od początku całą operację.

Przy wiotkim, zrobionym ze świeżo ściętej leszczyny wędzisku rezultaty były dosyć mizerne. Unoszone wędzisko, zamiast podciągać zdobycz do brzegu, wyginało się w pałąk i dopiero w ostatniej fazie, będąc prawie na granicy pęknięcia, ściągało ją o kilkadziesiąt centymetrów.

Giętkość kija miała jednak i swoje zalety. Oddziaływanie haczyka na rybę zwiększało się równomiernie, mniej ją płosząc, a podczas ostrych, gwałtownych ucieczek i prób uwolnienia się zdobyczy podatna końcówka uniemożliwiała twarde uderzenia i zerwanie cienkiej linki.

Płynne, lecz zdecydowane, próby przyciągnięcia ryby bliżej brzegu pozwoliły krasnoludowi ściągnąć około pięciu metrów linki.

Tymczasem stojący niedaleko Samtor całą uwagę poświęcał swojej wędce. Miał prawie pewność, że wziął mu szczupak. Od momentu zacięcia drapieżnik walczył z determinacją. Twarda szczytówka topornego brzożowego kija dawała łowicemu względną możliwość prowadzenia ryby. Mocny zestaw linki i haczyka przy założeniu, że ten ostatni jest dobrze wbity w szczękę, pozwalał na mniej finezyjne próby wyciągnięcia zdobyczy. Ale nawet one nie dawały Samtorowi widocznej przewagi.

– Ale się sztuki trafiły! – krzyknął do krasnoluda.

Ten, zaaferowany swoimi trudnościami, tylko burknął coś pod nosem.

Samtor, pokręcając korbką, naprężył linkę. Mając ją napiętą, uderzył lekko w wędzisko. Ryba oszalała. Jak torpeda zaczęła pruć wodę, kierując się ku środkowi rzeki. Co kilka metrów robiła zwrot, ale wciąż się oddalała. Linki na szpuli było coraz mniej. W pewnym momencie szary, podłużny kształt wyskoczył w powietrze. Podczas lotu, rzucając gwałtownie na boki głową, dokonał ekwilibrystycznego półobrotu i z pluskiem wpadł do wody.

– Dzielnie walczysz, mądry jesteś, ale nie dasz rady – wysapał Samtor, odpuszczając nieco kołowrotek.

– Jak nic ma szesnaście funtów! – krzyknął widzący całe zamieszanie krasnolud. – Dobrze, że nie miałeś napiętej linki! Inaczej wyczepiłby się! Teraz łyknął powietrza, będzie słabszy!

– Masz chyba rację! Co u ciebie?

– Kiepsko! Ale jeszcze ją mam!

Po skoku szczupak Samtora jakby zmienił taktykę. Dał się podprowadzić jakieś dziesięć metrów i przymurował do dna, nie pozwalając się stamtąd oderwać. Stawił bierny opór, być może gromadząc nadwątlone siły.

W walce krasnoluda również nastąpiła zmiana. Na jego niekorzyść. Widać to było po gnącym się jak witka wędzisku i słyhać po grubych, rzucanych z pasją piętrowych przekleństwach.

Sytuacja stała się patowa. Mocno zahaczone ryby nie mogły się uwolnić, a łowcy w tym momencie nie byli w stanie ich wyciągnąć.

– I co? – rzucił do klnącego brodacza Samtor.

– Wyciągnę cholere, ogoniasta jej mać – wychrypiał zajadle pytany.

Po około kwadransie zmagania, w których na przemian to jedna, to druga strona zdobywała przewagę, ryby zaczęły słabnąć. Pierwszy poddał się szczupak. Stawił równy, mocny opór, zrezygnował jednak z szarpaniny, już nie próbował ucieczek. Pozwalał na powolne, ale prawie ciągłe, zwijanie linki. Dawał się prowadzić ku brzegowi tuż pod powierzchnią wody. Samtor, obserwując go, szukał kawałka płaskiego brzegu. Nie miał podbieraka ani osęki, więc zamierzał wyholować go wyślizgiem. Licząc się z podjęciem ostatniej, dramatycznej próby uwolnienia, poluzował hamulec kołowrotka i uważnie obserwował ruchy widocznego od czasu do czasu łba lub też ciemnego grzbietu

ryby. Nie pomylił się. Kilka metrów od brzegu szczupak wykonał gwałtowny zwrot, wynurzył się, prawie stając na swym ogonie, i kilka razy energicznie machnął łbem na boki. Niestety, nie zdołał uwolnić się od wbitego w górną szczękę haczyka. Po ostatniej walce, zrezygnowany i wyczerpany, pozwolił wyholować się na piaszczysty, płaski brzeg. Leżał dwa łokcie od wody, spazmatycznie otwierając i zamykając swą uzębioną paszczę, przez wybałuszone oczy sprawiał wrażenie, jakby niepomierne dziwił się temu, że jego, króla toni, spotyka taki koniec.

Samtor nie pozwolił mu długo cierpieć. Ujął go lewą dłonią, a prawą, uzbrojoną w nóż, tuż za łbem dokonał głębokiego cięcia. Mając przerwany kręgosłup, szczupak miotnął się kilka razy i ostatecznie znieruchomiał.

Łowca dopiero teraz dokładnie mu się przyjrzał. Drapieżnik miał rzeczywiście około szesnastu funtów. Jego złotozielone, białe cętkowane boki przechodziły w prawie czarną barwę na grzbiecie. Wydłużony łeb i spłaszczony pysk z wysuniętą, zbrojną w duże i ostre zęby żuchwą zdobiły granatowe, zaczynające już mętnieć oczy. Szrama na boku i postrzępione płetwy świadczyły, że w swym życiu niejednokrotnie musiał staczać jakieś trudne boje.

„Tęgi musiał być z ciebie rozbójnik. Byłeś dzielnym wojownikiem. Nasza walka była twarda, ale uczciwa. Byłem lepszy, przegrałeś” – przemknęło przez głowę Samtorowi. Czuł zadowolenie i pewien szacunek dla pokonanej ryby. Nie miał jednak czasu na dłuższe napawanie się sukcesem, krasnolud bowiem w dalszym ciągu walczył ze swoim przeciwnikiem. Nie mogąc mu poradzić, klął z coraz większą zajadłością.

Samtor wstał z przykłęku i zbliżył się do skraju wody. Wbił wzrok w punkt, w którym linka wędki krasnoluda ukośnie

zanurzała się w toń, i przeniósł go w miejsce, gdzie powinna być ryba. Złożył dłonie przy piersiach tak, by ich wyciągnięte palce były skierowane w tę samą stronę, co wzrok, a odchyłone kciuki się łączyły, tworząc jakby odwróconą literę M. Coś szepnął i zgiął palce, następnie chwilę odczekawszy, opuścił ręce, odwrócił się do krasnoluda i powiedział:

– Chyba już ją wystarczająco zmęczyłeś, powinna pójść.

Wyglądało na to, że krasnolud, zajęty wędką, nie zwrócił uwagi na dziwne zachowanie człowieka. W dalszym ciągu pompował, ale teraz, oporna dotychczas, zdobycz czy ze względu na zmęczenie, czy z innych przyczyn, prawie się nie szarpiąc, w sposób widoczny pozwałała się podciągać.

W odległości około czterech metrów od brzegu niemal równocześnie zauważyli ciemną, lekko wijącą się sylwetkę.

– *Silurus glanis* – powiedział zaskoczony niziołek, nie przestając obracać bębniem wędkę.

– Sum – potwierdził nie mniej zdziwiony, choć z nieco innego powodu, Samtor. – Prowadź go na mnie – dodał po chwili, zrzucając sięgające do połowy łydki buty.

Wszedł do wody na głębokość poniżej kolan, tam stanął nieruchomo, obserwując rybę. Kiedy ta, umiejętnie kierowana, znalazła się w zasięgu jego rąk, błyskawicznym ruchem chwycił ją tuż za skrzelami i wyrzucił na brzeg. Krasnolud postąpił z nią podobnie jak człowiek ze szczupakiem.

Sum miał prawie osiemdziesiąt centymetrów i ważył około sześciu funtów. Jego szeroki, lekko rozwarty pysk ukazywał drobne jak piłka do metalu, gęsto rozsiane zęby. Spłaszczoną głowę o małych, szeroko rozstawionych oczach zdobiły dwa sięgające niemal do płetw piersiowych wąsy. Żuchwa, wysunięta do przodu, była wyposażona w cztery znacznie krótsze wyrostki,

które tworzyły coś na kształt rzadkiej brody. Ten zarost za życia służył drapieżnikowi do zmysłowego rozpoznawania otoczenia i stanowił znakomite uzupełnienie jego dość słabego wzroku. Wydłużony, silny ogon świadczył, że był on znakomitym pływakiem, niedającym swym, z pewnością licznym, ofiarom dużych szans. Ciemnoszara, przechodząca w czerń, bezłuska skóra sugerowała, że jego czatownie miały ciemne dno lub były przymroczone niemałą warstwą wody.

Samtor po wciągnięciu butów na osuszone nogi podszedł do martwego suma i przykucnął obok niziołka.

– Piękna sztuka. Ładnie go ciągnąłeś. Bez twojej pomocy nie dałbym rady.

Krasnolud lekko ruszył głową. Gest równie dobrze mógł być potwierdzeniem, jak i zaprzeczeniem.

– Pójdę już – powiedział.

– Gdzie ci tak spieszo? Akurat dobra pora na posiłek. Wspólnie go zdobyliśmy. Te ryby to zdecydowanie za dużo nawet dla dwóch, a jedzenie w samotności mniej smakuje.

– Nie jestem tutaj sam – wymruczał z wahaniem krasnolud, unosząc nieco głowę i kierując wzrok na Samtora.

– Tak? A ilu was jest?

– Czwórka. Moja żona i dwóch synów.

– No, to powinno starczyć tego, co mamy. Gdzie jesteście? Wołaj ich.

– Słuchaj, ale... my nieludzie. My krasnoludy. Żebyś...

– Widzę. Nie przeszkadza mi to. Ja także nie całkiem jestem człowiekiem.

– A ktoś ty? Półelf? Boś wysoki i przystojny.

– Maginus.

Po twarzy krasnoluda przemknął cień nieufności.

– Nie miałem jeszcze z kimś takim do czynienia, ale wy, podobnie jak inni, możecie nas niezbyt lubić.

– Ja nie. No, wołaj swoich. We dwóch szybciej spravimy te rybki.

Po pół godzinie ognisko strzelało iskrami, a zapach pieczonych na rożnach i smażonych na patelni ryb miło łechtał nozdrza. Kilka dorzuconych do ognia zielonych gałązek olszyny sprawiało, że nadziane na pręty tuszki lekko się podwędzały. Krasnoludy się krzątały. Dwoje dorosłych zajmowało się ogniskiem i strawą. Młodzi, których wiek był trudny do określenia, zbierali i donosili susz, mościli siedziska oraz podkarmiali i głaskali skubiącego trawę Biegana, starając się zdobyć jego względy. Wydawało się, że w tym ostatnim osiągają pewne sukcesy.

Samtor odnosił wrażenie, że młode krasnoludy są głodne, lecz starają się ów fakt ukryć. Maskowanie głodu, samorzutnie podjęte przez nich prace przy podtrzymywaniu ogniska i organizowaniu miejsca posiłku oraz łagodne próby zapoznania z koniem ukazywały ich dobre wychowanie, a także pewnego rodzaju dumę. Podobało mu się to. Składając sprzęt wędkarski, rzucał na młodzików przelotne spojrzenia. Był spokojny. Dyskretna próba sondażu myśli rodziny niziołków nie wykazała niczego złego. U wszystkich nowo poznanych wyczuł aurę raczej przyjazną. Zawierała ona – co uznał za normalne – pewną dozę nieufności i lęku. Była w niej także ciekawość. U dorosłego krasnoluda wyczuł coś jeszcze. Nie wrogiego, ale coś, czego nie potrafił na razie określić.

Trzech męskich osobników, wzrostem sięgających mu nieco powyżej pasa, było barczystych i krępych. Sposób ich poruszania się znamionował niemałą siłę.

Kobieta była niższa, a chociaż nie odróżniała się zbyt s sylwetką, miała ruchy zwinniejsze i miększe. Rysy jej dość szerokiej twarzy, okolonej ciemnymi, półdługimi, lekko kręconymi włosami, były regularne, wręcz ładne. Szczególnie uwidaczniało się to, gdy jej oblicze krasiał uśmiech. Ubrana była w jasnoniebieskie spodnie i tego samego koloru wypuszczoną na wierzch, przepasaną czarnym paskiem bluzkę. Na nogach nosiła sięgające powyżej kostek, zgrabne, również czarne sapogi.

Dorosły krasnolud miał ciemne, przeplatane rzadkimi nitkami siwizny włosy i dość wydatny, szeroki nos, spod którego wyrastały wąsy, łączące się z niezbyt długą, także ciemną brodą. Niebieskie, bystro spoglądające oczy miał zwieńczone krzaczastymi brwiami. Na jego ubiór składały się szare portki i szara, lecz o nieco ciemniejszym odcieniu, koszula oraz szeroki na cztery palce rzemienny pas. Skórznie o luźnych, pomarszczonych cholewach podchodziły mu prawie pod kolana.

Młodszy mieli twarze pozbawione zarostu. Ich uroda tworzyła mieszanekę, w której nieco klocowate, prawie pozbawione talii sylwetki przypominały ojca, a twarze – matkę. Tak jak ona mieli obaj zielone oczy. Ubrani byli jednakowo. Dół stanowiły brązowe portki z nogawkami wpuszczonymi w sięgające do połowy łydek, wykonane z wyprawionej świńskiej skóry buty. Górę – szare, niemające kołnierzy, przepasane paskami i wypuszczone na spodnie koszule. Wszyscy przy pasach mieli pochwy z nożami. Cała rodzina, choć widoczne były na niej trudy drogi, wyglądała schludnie i dostatnio.

Samtor zdążył umyć się i zmienić koszulę, a noszoną dotychczas – przepłukać w czystej wodzie rzeki, kiedy usłyszał wypowiedziane przez krasnoludkę:

– Siadajcie, panie, jadło gotowe.

Głos miała niski, dźwięczny, o miłej barwie. Synom pokazała miejsca ciut oddalone od ogniska. Sama zaczęła łamać wyjęty z pakunków płaski, ciemny chleb i układać go na drewnianą misę.

Samtor podziękował uśmiechem i skinieniem głowy. Usiadł na jednym z przykrytych derkami kamieni i gestem zaprosił chłopaków bliżej siebie. Przysunęli się skwapliwie. Naprzeciw siadł krasnolud ojciec, a przy nim – żona. Jedli, rozkoszując się świeżo smażonym lub pieczonym, soczystym mięsem, oszczędnie pogryzając czerstwawy chleb. W miarę ubywania ryby i pieczywa oblicza młodych krasnali przybierały coraz pogodniejszy wyraz. Po krasnoludzku zaczęli coś do siebie niegłośnie mówić.

– Mam na imię Samtor, a wy jak? – odezwał się w tym samym języku do młodych. Cała czwórka niziolków przestała jeść i spojrzała na niego zaskoczona.

– Od tego chyba powinniśmy zacząć. – Krasnolud chrząknął. – Ja, panie, jestem Eyan zwany Siewcą, to moja połowica Tua, a te dwa otroki to Mizen i Gozen. Niekiedy sam nie wiem, który jest który. Wybaczcie im, jeśli zrobią lub powiedzą coś nie za bardzo, bo są młodzi i jeszcze mało obyci, a w ostatnich czasach – sami wiecie, jakie one są – trochę zastraszeni i nieufni. Teraz zobaczyli was i konia. Przyjazny człek i tak piękne zwierzę to dla nich sensacja. Po prawdzie dla żony i dla mnie po ostatnich wydarzeniach także.

– Jestem Samtor, nie mówcie do mnie „panie”. Piękne dzięki, pani Tuo, za pysznie przyrządzone ryby i chleb. Są wspaniałe. Doskonale dobrane zioła. Nie potrafiłbym tak ich przyrządzić. Ja bym je po prostu posolił i upiekł na patykach. Muszę się też przyznać, że już dwa dni nie jadłem żadnego pieczywa. W drodze

skończył mi się zapas, wasz zaś jest wyjątkowo smaczny. Jeszcze raz serdeczne dzięki.

Krasnoludka z uśmiechem zażenowania, ale i z lekko skrywaną przyjemnością, przyjęła podziękowania Samtora. Szczególnie ujęło ją nazwanie panią. Krasnoludkom nieczęsto się zdarzało słyszeć ów zwrot kierowany do nich, a z ust ludzi – prawie nigdy. Nie odezwała się jednak ani słowem. Zbyt krótko trwająca znajomość z sympatycznym z wyglądu i zachowania, ale mimo wszystko człowiekiem nie ułatwiała z natury nieufnej niziolce podjęcia rozmowy. Milczała.

– Tua bardzo dobrze gotuje. Z byle czego i byle gdzie potrafi uwarzyć pyszności. Co prawda szczupak trochę łykowaty, bo miał swoje lata, ale sum palce lizać. Nieprzesolony, tłusty, soczysty i odpowiednio doprawiony – pochwalił żonę Eyan.

– Szczupak też dobry, można go jeść bez chleba. Prawie nie ma ości – odezwał się któryś z synów, biorąc kolejny kawał ryby.

– Który z was jest Mizen? – zapytał Samtor, zwracając głowę do chłopaków. – Rzeczywiście, trudno was odróżnić.

– Ja. A różnię się od Gozena tylko tą brodawką – powiedział ten biorący rybę i wskazał na lewy policzek. – Jestem też starszy.

– Tak. O całe pięć minut – wtrącił drugi. – Wielka różnica. Za to ja jestem silniejszy.

– No, to się poznaliśmy. – Samtor się uśmiechnął. – A ty, Eyan? Jesteś rolnikiem? Ogrodnikiem? Stąd przydomek Siewca?

– Nie całkiem – odparł krasnolud. – Po waszemu jestem nauczycielem czy, jak niektórzy mówią, mentorem. Po naszymu, wśród niziolków, siewcą, czyli osobą, która sieje wiedzę w młodych umysłach. Przekazuje pamięć o tym, co było, daje jakąś tam znajomość tego, co jest, i pewną umiejętność przewidywania tego, co może się zdarzyć. Tym, który uczy

rozsądku, mądrości życia oraz zasad rozumnego i godnego postępowania. To znaczy – poprawił się – starającym się uczyć i wychowywać, bo efekty bywają różne, często gęsto zupełnie odwrotne od zamierzonych.

– No tak, Siewca. Ładne i trafne. Teraz domyślam się, skąd ten *silurus glanis*.

– A, to... Tak jakoś mi się wyrwało.

Eyan rzucił do ogniska ości z objedzonego dzwonka szczupaka, wytarł brodę, spojrzął Samtorowi prosto w oczy i zaczął poważnie, choć z cicha, mówić:

– O nas, krasnoludach, utarła się opinia, że jesteśmy gruboskórni, ograniczeni i wulgarni. I pewnie jest ona w jakiejś mierze słuszna. Spora część z nas taka jest. Jesteśmy kłótlivi, porywczy, przeklinamy i pijemy. Niektórzy z nas robią bardzo złe rzeczy. Ale bywają także i inni. Zdarzają się mądrzy, szlachetni i wykształceni. Powiedziałem „mądrzy” i „wykształceni”, ponieważ nie są to synonimy. Są również tacy, którzy, mając na względzie przyszłość całej rasy, spisują i przekazują innym nasze dzieje. Historię krasnoludzkich stosunków z ludźmi, gnomami oraz elfami. Analizują zmiany, które zaszły i mają miejsce obecnie. To oni wybierają bardziej błyskotliwą krasnoludzką młodzież. Szlifują jej umysły i charaktery. Liczą, że właśnie ci młodzi będą mieć wpływ na poprawę relacji między nie ludźmi i ludźmi. Unormowanie bowiem zasad wzajemnego współżycia może być jakąś szansą na przetrwanie naszej rasy. A staje się to szczególnie istotne, ponieważ jest nas coraz mniej i jak zapewne sam wiesz, nie tylko z naturalnych przyczyn.

– Niestety, coś o tym wiem, Siewco – przytaknął niewesoło Samtor i po krótkiej przerwie dodał: – Słuchajcie, mam bukłak wina. Co prawda nie białe, tylko czerwone, mniej pasujące do

ryby, ale nie najgorsze. Nadarzyła się niezła okazja, by ten mój zapasik trochę uszczuplić. Jakoś straciłem ochotę na dalszą jazdę dzisiaj, za to z przyjemnością bym porozmawiał, bo ładnie i mądrze mówisz. – Przy ostatnich słowach zwrócił głowę do starszego krasnoluda. – Poza tym wydaje mi się, że sporo wspólnego mamy ze sobą. Jeśli więc możecie się zatrzymać i mielibyście ochotę na winko oraz pogawędkę, to zapraszam. Co pani na to?

– Skoro zaproponowałeś, aby zwracać się do ciebie po imieniu, ty również nie mów do mnie „pani”. Jestem Tua – odrzekła krasnoludka, wyraźnie ośmielona i rozbrojona formą skierowanego do niej pytania. – Mój Eyan nieczęsto pije, a szczególnie z ludźmi. Ja prawie wcale, lecz z wami chętnie wychylę kubeczek i posłucham. – Uśmiechnęła się przyzwalająco.

Krasnolud z zadowoleniem kiwnął głową.

– Mamy dziś za sobą kawał drogi. Wędrujemy aż z Kanty. Chcemy dotrzeć do Sarii i tam pozostać. Przynajmniej na jakiś czas. O ile wiem, Saryjczycy tolerują krasnoludy. Nie tworzą gett ani nie robią czystek. A król Artorus, w odróżnieniu od Petina, też dosyć przychylnie na nieludzi spogląda. Tutaj jest niezłe miejsce na obozowisko i można zrobić nocny postój. Razem będzie nam bezpieczniej.

Samtor podniósł się i przyniósł wyciągnięty z juków skórzany wypełniony bukłak, mający około półtora galona pojemności. Wyciągnął korek i nalał do przygotowanych przez krasnoludkę trzech kubków.

– A my? – zapytały zgodnie młode krasnale.

– Wy za piętnaście lat – odparła z pozorną srogością matka. – Teraz woda z sokiem. A najlepiej marsz do mycia. Dobra okazja, by przeprać koszule i gacie. Jeszcze dziś wyschną na słońcu.

– Przeciągnijcie też nasz wózek i pod tamtą leszczyną zacznijcie przygotowywać nocleg – dorzucił Eyan, wskazując kępę, z której niedawno było wycięte wędzisko.

Młodzi, wyraźnie rozczarowani, wstali i z ociąganiem skierowali się w stronę zarośli.

– Za spotkanie i udany połów. – Samtor wzniosł kubek. Cała trójka wypła po głębszym łyku. – Fajne chłopaki. Po ile mają lat?

– Dopiero po dwadzieścia pięć. Za piętnaście będą dorośli. Ale rzeczywiście są niezli. Silni i zaradni. Mają dobrze poukładane w głowach. Są też odważni – pochwalił synów z ojcowską dumą krasnolud.

– I posłuszni – dorzuciła matka.

– W miarę, zono, w miarę – zaprotestował lekko Eyan.

Wypili ponownie.

– Dobre wino. Z dużą przyjemnością się je pije. – Krasnolud mlasnął. – A ty budzisz zaufanie. Wyglądasz na porządnego człowieka.

– Nie całkiem ze mnie człowiek. Jestem maginem. A porządny? Może wyglądam, ale pozory mogą mylić. Sam nie mam pewności, jaki rzeczywiście jestem – zażartował, udając powagę. Po kolejnym łyku zapytał: – Jeśli nie tajemnica, to co tu porabiacie? Dokąd tak naprawdę idziecie? Bo Saria jest duża.

– Mieszkamy w Bronie – odrzekła Tua, ubiegając męża. – Może słyszałeś, taka tam niewielka osada. Prawie same krasnoludy i gnomy. Ludzi i elfów na palcach rąk policzyć można. Wyjechaliśmy stamtąd dwa dni temu. Nasz dominat dostał ostrzeżenie, że jakaś banda z Mirty czy Morgii szykuje się do napadu na nas. Zebrał więc oddział liczący sto pięćdziesiąt krasnoludów i gnomów. Z nimi zamierza dać odpór. Nam i jeszcze kilku innym kazał wyjechać, by, jak to mówił, chronić

elity. Mój Eyan nie godził się, chciał do oddziału. Myślał wraz z innymi bronić osady. Faktycznie, chłop z niego mocny jak tur. Wiosen ma dopiero siedemdziesiąt i brał już udział w wojnie. Ja również bym się przydała, bo i ugotować, i opatrzyć rany umiem. Niestrachiwa jestem i potrafię zupełnie nieźle szyć z kuszy. A i synkowie, chociaż młodzi, toporami robią całkiem, całkiem. Ale przyszedł nasz dominat, zamknął się z Eyanem i starał się przekonać go do wyjazdu, a że mój jest uparty, nie bardzo mu się to udało. W końcu mocno się znerwił, rozwarł po krasnoludzku pysk i stanowczo rozkazał się wynosić. Stan wojenny, nie było gadania. Załadowaliśmy na wózek to, co najpotrzebniejsze, trochę strawy, ubrania, inkunabuły i inne księgi Eyana i następnego ranka w drogę. Dominat kazał uciekać kilku rodzinom, ale nie całą gromadą, by nie zostawiać śladu, tylko pojedynczo i to w różne strony. Po zastanowieniu się wypadło, że nam chyba najbardziej poręcznie będzie iść do Sarii. Tam jest sporo naszych i wiedzie się im nie najgorzej. W Getynie jest też moja bliska rodzina. Jak już wiesz, ostatnią noc spędziliśmy w Kancie, w gospodzie. Tu, w Ramzie, staramy się iść pustkowiec, bo podobno ludzie i elfowie mocno rozzarci. Słyszeliśmy, że krzyżują i palą każdego spotkanego krasnoluda albo gнома. Dziś spotkaliśmy tylko ciebie. Przyznam, że się baliśmy.

– Na szczęście niepotrzebnie – wtrącił Samtor, napełniając puste już kubki. – Rozumiem, dlaczego idziecie przez Ramzę. Tu granica z Sarią do niedawna była prawie niepilnowana, bo królowie Artorus oraz Gnejus są spokrewnieni i żyją w przyjaźni. Ale teraz w Ramzie też nie jest dla was zbyt bezpiecznie. Na szczęście w tym rejonie przebywa mało ludzi, a do granicy już niedaleko.

– Dlaczego tak się zmieniło? Tu nie ludzie mieli zwykle względny spokój – ni zapytał, ni stwierdził Eyan.

– Tak się złożyło, że od czterech lat przebywałem w Morgii przy granicy z Mirtą. Kilka tygodni przed tym wyjazdem usłyszałem, że duża karawana kupców gdzieś ze wschodu Morgii, udająca się do Sarii i Tuludy, wiosną została w Ramzie napadnięta i rozbita. Nie uszedł nikt z życiem, a wozy z towarami, konie i muły zrabowano. Napad ten pogorszył już i tak złe stosunki Gnejusa z królem Petinem Czwartym. Ze śladów ponoć wynikało, że uczyniły to krasnoludy. Wieści takie rozpuszczali miejscowi elfowie i ludzkie męty, lecz starszy straży miejskiej w Atonie twierdził, że to nic pewnego. Że osobiście ma inne podejrzenia. Wśród gminu, którego większość jednak uwierzyła porywczym i głośniejszym krzyżącym elfom, zaczęła się ruchawka. Szykowano ponoć nawet jakiś odwet. Jeśli do niego dojdzie, najprawdopodobniej znowu najbardziej oberwą niewinni, bo sprawcy, chociażby i krasnoludy, na pewno nie byli z osad. Osiadłe niziolki nie robią takich rzeczy. Nie dałoby się takiej zbrodni ukryć, a ponadto myślę, że nie chcieliby ryzykować chałupami i nadziałami ziemi, nie mówiąc już o wolności lub życiu.

– Racja – odrzekł Eyan. – Osadnicy krasnoludzcy są już zasymilowani z miejscowymi ludźmi. Większość z nich nie zechciałaby zamienić pewnego, choć niekiedy twardego, chleba na niepewny kołacz. Ludziom potrzebne są wyroby ze stali, kamienia i gliny, wytwarzane przez gnomy i krasnoludzkich rzemieślników. Chętnie je kupują, bo są dobre, a także dość tanie. Mimo jednak prowadzenia handlu wzajemne animozje zostały. Są stare i silne. Szczególnie krasnoludów z elfami. A że osiadłym elfom zawsze bliżej do ludzi niż niziolków, to i nieszczęście może

się zdarzyć. Krew może się połączyć. Król i królewscy nie będą ruchawki uspokajać, bo pogrom krasnoludów, winnych czy niewinnych, może ułagodzić Petina i ludzi z Morgii. To może też tłumaczyć zamierzony napad na naszą prowincję.

Zamilkli, wpatrując się w ognisko. Krasnolud dorzucił do przygasającego stosiku nieco suszu i przegrzebał w nim patykiem. Samtor dołączył do kubków. Wypili po małym łyku. Po chwili Tua nachyliła się i szepnęła mężowi coś do ucha, patrząc na niego z wyczekiwaniem. Ten skinął głową i zaczął niepewnie:

– Słuchaj, Samtor, już dwa razy wspominałeś, że nie całkiem jesteś człowiekiem. Żyjemy dość długo na tym świecie, spotykaliśmy różnych, ale nigdy nie mieliśmy do czynienia z maginem. Dlaczego mówisz, że jesteś inny? Czym się zajmujesz? Dużo jest takich jak ty? Tworzycie odrębną rasę? Nie chcę być niedelikatny, ale jeśli nie masz nic przeciwko temu, oświeć nas trochę.

Samtor obrzucił spojrzeniem dwójkę krasnoludów i się uśmiechnął.

– Kto wie, może i lepiej dla was, że do tej pory nie mieliście do czynienia z maginami. W zasadzie spodziewałem się podobnych pytań. Prawie wszyscy, którzy mają okazję, je zadają. Nie każdy uzyskuje odpowiedzi, ale wam postaram się ich udzielić – dodał, poważniejąc. – Tym chętniej, że jesteś uczonym i powinieneś wiedzieć więcej niż inni – zwrócił się do Eyana. – Jak już mówiłem, miałem w planach przejechać dziś jeszcze kawałek drogi, ale widzę, że chyba nic z tego nie wyjdzie. I dobrze. Koń odpocznie, a mnie się miło gawędzi z tak zacnym towarzystwem.

– I popija – wtrącił krasnolud, podnosząc swój kubek. – Nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli zakurzę fajeczkę? Może też zapalisz? Bo czuję, że zanosi się na dłuższą opowieść.

– Nie przeszkadza mi czyjeś palenie, ale ja dziękuję. Nie skorzystam. A moja opowieść nie będzie długa. Myślę, że więcej będzie rozmów o innych sprawach.

– Też fajnie, skoro nocujemy, to mamy czas, a tematów nie brakuje. Dużo się ostatnio dzieje. Ale proszę cię, Samtor, wstrzymaj się trochę, bo mnie przyparło i muszę na stronę. Rzucę też okiem, co synkowie zrobili. Jeśli ci nie będzie wadzić, zawołam ich. Niech posłuchają. Nieczęsta to okazja rozmawiać z nieznanym a przyjaznym osobnikiem, w dodatku maginem. Nie wiem, czy kiedyś się powtórzy. Pierwszy raz spotkaliśmy kogoś takiego jak ty. Tua, przynieś trochę suszu owocowego do pogryzania. Do wina będzie jak ułał.

– Oczywiście, że mi nie wadzi. Poproś chłopaków. Są sympatyczni. Ja przez ten czas rozprostuję nogi i rzucę okiem na konia. Nazywam go Biegan, bo jest szybki i wytrzymały. Ma też swoją inteligencję i intuicję. Niekiedy podejrzewam, że umie myśleć i oceniać nie tylko sytuację, ale też mnie i innych – dodał na wpół żartobliwie.

Po kilkunastu minutach wszyscy siedzieli wokół podsyconego gałęziami ogniska. Napelnione kubki, w świetle nizej już stojącego słońca, wabiły rubinowym winem. Eyan z lubością pykał niezbyt długą, pękatą fajkę, wypuszczając z ust błękitne smugi dymków.

– Masz ładną fajkę i dobry tytoń, bo aromat, że ho, ho! – zauważył Samtor. – Jesteś fajkarzem całą gębą.

– Lubię od czasu do czasu zapalić. Ale nie jestem fajkarzem, tylko fajczarzem – podjął temat krasnolud. – Fajkarz to ten, kto wytwarza fajki, fajczarz – ten, co ich używa. Nie gniewaj się, że cię poprawiam. Mało kto odróżnia te dwa pojęcia. A fajka rzeczywiście jest całkiem niezła. Z korzenia wrzośca, zwanego

naukowo erica arborea. Tej wytwórca nadał kształt pośredni pomiędzy brujerką a potem. To rodzaje fajek. Szeroka i masywna główka pochodzi właśnie z pota. Jak widać, ta ma kształt lekko wygięty, chociaż spotyka się też proste. Cybuch drewniany, zakończony srebrną viriolą, czyli skuwką. Viriola jest ozdobiona znakiem rzemieślnika, co świadczy, że był on zadowolony ze swojego wyrobu, że się go nie wstydzi. Ustnik wytoczony z rogu jelenia ma otwór skierowany lekko w górę, by dymek nie szczypał w język – ciągnął ze znanstwem, jednocześnie pokazując fajkę maginowi. – Kupiłem ją, a tak naprawdę dostałem prawie za darmo. Wytwórca, gnom, czuł do mnie za coś tam wdzięczność. Zresztą niepotrzebnie.

– Eyan, zakończ ten wątek, nie nudź nas – wtrąciła się do rozmowy Tua i zwracając się do Samtora, dodała usprawiedliwiająco: – Jak już zaczniesz mówić, to nie może przestać. Nawyk siewcy. A jak podłapie temat, który lubi, to...

– Ale to ciekawe – zaprotestował magin. – Od kogoś słyszałem – zwrócił się do Eyana – że ważne jest wypalanie fajki. Że należy to robić z miodem albo syropem.

– Nie, to przesąd, tak robią tylko ignoranci – odparł krasnolud i po kilku płytkich zaciągnięciach kontynuował: – Znowu muszę cię poprawić. Nie mówi się „wypalanie”, lecz „opalenie” fajki. Opalenie jest ważne w fajkach drewnianych, takich jak ta z wrzośca, z wiśni, czereśni albo gruszy. Do nowej fajki przy początkowych paleniach powinno się ładować tylko około jednej trzeciej tytoniu, po pewnym czasie połowę, a dopiero później całą pojemność główki. Kiedy na wewnętrznych jej ścianach wytworzy się odpowiednio gruba warstewka nagaru, to znaczy spalonego tytoniu i drewna, a dzieje się to po kilkudziesięciu

użyciach, fajka jest opalona. Co ciekawe, dobrze opalona fajka zachowuje delikatny posmak pierwszego tytoniu.

Eyan przerwał, spojrzeniem i gestem zachęcił do skosztowania wina. Wypili po kolejnym łyku. Dobry posiłek i mocne półwytrawne wino na znużonych drogą podziało rozluźniająco. Widzieli się pierwszy raz, ale czuli się w swym towarzystwie dobrze.

– Sądziłem, że palenie to tylko palenie. A z tego, co mówisz, to cały rytuał – zauważył ze zdziwieniem Samtor.

– Nie mylisz się. Palenie to rytuał. Już samo nabijanie fajki czy, jak starzy mówią, lulki jest sztuką. Nawet część doświadczonych fajczarzy nie wie, że tytoń w główce należy układać spiralnie. Jego dolne warstwy powinny być luźniejsze, mniej ubite, wyższe – mocniej. Najlepiej smakuje fajka podpalona drewnkiem. Ciągnąć należy delikatnie, by załadowana porcja tytoniu zarzyła się jak najdłużej. Intensywność żaru nie może być zbyt duża. Przygasza się ją tłumikiem albo przybornikiem. Spójrz, ja używam czegoś takiego. – Sięgnął do kieszeni koszuli i podał maginowi składany zestaw, na którego niewielkim kółeczku były zamocowane: drut do przepychania cybucha oraz ustnika, tłumik, wydłużona łyżeczka i skrobak. – Uniwersalny, pasuje do wszystkich moich fajek.

– Wszystkich? To masz ich więcej?

– A jakże. Fajka po paleniu powinna odpocząć. Należy ją oczyścić i pozostawić na kilka godzin. Zresztą inne fajki palisz w domu, inne w podróży czy przy pracy.

– Ma tych śmierdziuchów całą kolekcję – wtrąciła z przekąsem Tua. – W całym domostwie czuć, że mój chłop pali, a mnie to trochę przeszkadza.

– No, no, Tua, przecież każdy krasnolud to robi. To znaczy każdy dorosły krasnolud. – Eyan spojrzał znacząco na synów. – A mój tytoń nie śmierdzi, tylko pachnie. Pięknie pachnie. Zresztą muszę przyznać, że sam go przygotowuję.

– Sam? To hodujesz i suszysz tytoń?

– No, aż tak to nie. Sam tylko robię mieszankę. Tytoń już pocięty i przefermentowany kupuję od znajomych gnomów. Jeden woreczek od Virgina, drugi od Burleya. Ten pierwszy jest jasny i słabszy, drugi – ciemny i mocny. Mieszam je i dodaję trochę śliwowicy. Podczas mieszania zapach rozchodzi się po całym domu i czuć go ładnych parę dni. Przygotowaną mieszankę ładuję do skrzynki i znoszę do piwnicy. Tytoń podczas leżakowania wymaga podobnych warunków jak wino, to znaczy chłodnej, ale dodatniej i w miarę stałej, temperatury oraz ciemności. Po ponownym przefermentowaniu, na przyszły rok, znowu dodaję trochę śliwowicy, lekko suszę i w ten sposób otrzymuję swoją ulubioną mieszankę. Nie słabą, ale i nie za mocną. Aromat sam czujesz. – Pyknął trzykrotnie, kierując smużki dymu nad ognisko. – O tytoniach można całymi godzinami i nie wyczerpie się tematu. Naprawdę ciekawie i śmiesznie bywa, kiedy spotka się ta dwójka gnomów, Virgin i Burley. Obaj od lat konkurują ze sobą. Kłócą się, którego tytonie są lepsze. Tak naprawdę obaj wytwarzają znakomite. Ale ja uważam, że dopiero moja mieszanka ma wszystkie walory. I smakuje, i odurza. Tak, palenie fajki nie tylko daje przyjemność, ale także ćwiczy opanowanie i wyostrza myśli – ciągnął dalej. – Wspólna celebra tej czynności zbliża i jest przejawem przyjaznych, pokojowych zamiarów. Poprawia relacje między palącymi. Rozwiązuje języki. Należy też wspomnieć, że niektóre tytonie i mikstury są przygotowywane tak, aby odurzać. Stany

tytoniowego rauszu często są drogą do osiągnięcia wizji i kontaktów ze światem duchów. Trans taki niekiedy pozwala przepowiadać, a nawet wieszczyć. Bywają tacy, co w te przepowiednie wierzą.

– Słusznie mówisz, ale to jednak okropny nałóg – wtrącił Samtor. – Wizje, spokój, zbliżenie z innymi – może i tak, ja znam głównie palaczy, którym brak oddechu, którzy kaszlą, mają szarą skórę i śmierdzą. Zwyczajnie śmierdzą. Większość z nich używa kiepskich tytoni albo jakichś ususzonych zielsk, od których idiocieją. Najczęściej palą nie fajki, tylko skręty. Oni nie przepowiadają, nie wieszczą, im chodzi głównie o oszołomienie, o ucieczkę od codziennych problemów. Od strachu, biedy, żony sekutnicy, płaczu głodnych dzieciaków, myślenia o jutrze. Niewielu robi to jak ty, świadomie i dla przyjemności.

– Nie da się ukryć, że jest to nałóg. A palenie jest jak picie alkoholu. Można smakować wspaniale trunki w dobrym towarzystwie, można zapijać się podłym samogonem. Dlatego tak jak we wszystkim, i w paleniu trzeba mieć umiar. Mimo że krasnoludy z natury są odporniejsze niż ludzie, ja nie pozwalałam sobie na więcej niż dwie, trzy lulki dziennie. Głównie wtedy, kiedy wysilam umysł przy pisaniu albo odpoczywam po kolacji. Ale wystarczy. Skończmy z tym tematem. Rzeczywiście się rozgadałem, a przecież to ty miałaś nam odpowiedzieć na pytania dotyczące maginów. – Eyan spróbował zmienić temat.

– Pamiętam, pamiętam. Pozwólcie jednak, że zanim zacznę, trochę doleję do kubków. Mam nadzieję, że to ten szlachetniejszy sposób spożywania alkoholu, który zbliża, ułatwia mówienie i słuchanie – zażartował Samtor, podnosząc niewiele uszczuplony bukłak.

– I rozumienie – dorzucił w tym samym tonie krasnolud.

– Może dosyć na dziś – zaprotestowała Tua. – Zaczynam już czuć wino w głowie. Sporo wypiliśmy.

– Skosztuj jeszcze troszkę, żonko. Taka okazja. Obiecuję, że ten kubek będzie dla mnie dzisiaj ostatni – rzekł krasnolud, podstawiając opróżnione naczynia.

– To i dla mnie też – zgodził się magin.

Zapadła chwilowa cisza. Tua zwinnie przesiadła się z kamienia na trawę i podkulając nogi, oparła się bokiem o kolana męża. Eyan, skosztowawszy wina, delikatnie, by nie przeszkadzać żonie, odstawił kubek i pogrzebał swoim przybornikiem w fajce. Ich synowie, wzięwszy po garści suszonych owoców, pogryzali je, leżąc na trawie. Wszyscy z wyczekiwaniem wpatrywali się w pociągłą, okoloną długimi do ramion, czarnymi włosami twarz Samtora. Twarz ta, chociaż miała ostre rysy, nie była odpychająca ani ponura. Stalowoniebieskie, dość szeroko rozstawione oczy, osadzone pod wysokim czołem, świadczyły o inteligencji. Średniej wielkości, szczupły nos i wydatna, jakby kwadratowo ciosana broda zdradzały upór i silny charakter. Niezbyt wąskie usta, z często goszczącym na nich uśmiechem, z góry usposabiały do ich właściciela przyjaźnie.

Zoczywszy zogniskowane na sobie spojrzenia krasnoludów, zakorkował i odłożył bukłak, uśmiechnął się samymi oczami i zaczął mówić. Rozpoczął urywanymi zdaniami, z przerwami na namysł, stosując niekiedy myślowe przeskoki. W miarę upływu czasu jego opowieść stawała się bardziej płynna, można mniemać, że coraz bliższa osobistym przeżyciom, przemyśleniom i doznaniom.

– Pytałeś, Eyan, czy jest nas dużo. Raczej nie. Nie wszyscy się znamy. Sądzę, że dwunastu, może piętnastu działających

i pięcioosobowy konwent. Czym różnimy się od ludzi? Zależy, kto ocenia. Według nas jedynie kilkoma bardziej lub mniej istotnymi cechami. Według nich, czyli ludzi, prócz wyglądu i sposobu odżywiania się prawie wszystkim. Szczególnie sposobem rozumowania i mentalnością. Takie właśnie to są oceny. Rozbieżne. Między sobą też się różnimy. Każdy z nas ma swoje indywidualne cechy i preferencje. Jesteśmy w pewnym sensie dziwolągami, mutantami, których proces kształtowania rozpoczyna się już w łonach matek. Przystosowuje się nas do współżycia i rozumienia innych istot myślących. Mam na myśli ludzi, elfów, krasnoludy, gnomy i inne istoty humanoidalne, jak na przykład blemmjowie czy kemonomimi, a także posiadające inteligencję niektóre formy niehumanoidalne. Oczywiście współżycia, o którym mówiłem, nie należy pojmować w ten najprostszy sposób, jako na przykład stosunków seksualnych, a rozumienia – jedynie jako znajomości języka. Jedno i drugie to coś więcej. Nie będę tego tematu rozwijać. Dla jasności muszę jednak powiedzieć, że pomimo umiejętności wczucia się w problemy i sytuacje tych, z którymi akurat przebywamy, nie identyfikujemy się z nimi. Zachowujemy swoją odrębność i pewien dystans emocjonalny. Rozróżniamy sprawy lokalne, sprawy ogólne oraz sprawy nasze, czyli maginów. I chociaż często ich zakresy zachodzą na siebie, tak że trudno jest określić pomiędzy nimi wyraźne granice, staramy się ustalać gradację ich ważności. Ta nasza alienacja ze środowisk, w których akurat przebywamy, wcale nie oznacza, że nie doznajemy silnych emocji. Owszem, odczuwamy je. Wiemy, co to przyjaźń, miłość, litość, strach. Nasz i innych. Wiemy, co to lojalność. Przeciętnie żyjemy około trzystu lat, a więc mniej więcej półtorakrotnie dłużej niż krasnoludy i ponad cztery razy dłużej niż ludzie.

Fizyczne zmiany w naszych organizmach odbywają się także inaczej niż u innych i nie zachodzą równomiernie. Na początku są szybsze, później znacznie zwalniają. By nie budzić sensacji u otoczenia, co jakiś czas jesteśmy zmuszeni do zmiany miejsca pobytu. Ja, chociaż wyglądam na dwudziestoletniego mężczyznę, mam czterdzieści sześć lat. Przeliczając na wiek ludzki, odpowiadam jednak tylko osobnikowi mniej więcej dwunastoletniemu.

– Przepraszam cię – przerwał mówiącemu Eyan, podnosząc rękę – ale w tej życiowej matematyce trochę się pogubiłem. Jest to skomplikowane. Nas, krasnoludy, uważa się za dorosłe w wieku czterdziestu lat. To odpowiada wiekowi około piętnastu lat życia ludzkiego. W jakim wieku wy stajecie się dorosłymi?

– Też w wieku czterdziestu lat, z tym że u nas, przeliczając wprost, odpowiada to wiekowi dziesięcioletniego człowieka – odparł po krótkim zastanowieniu Samtor.

– Z tego, co wiem, człowiek dorasta w wieku osiemnastu lat. Jak policzyłem, odpowiada to wiekowi czterdziestu ośmiu lat u krasnoluda i siedemdziesięciu dwóch u was. Ludzie znacznie wolniej dorastają i krócej żyją – wtrącił się do rozmowy niespodziewanie Mizen.

– Dobrze wyliczyłeś. Tak to mniej więcej jest – potwierdził magin.

– Ta ludzka rasa jest gorsza, a dominuje – dorzucił z przekąsem Gozen. – Należałoby ich...

– No, no, stanowczo zagalopowałeś się, synku, nie ma ras gorszych i lepszych – zareagowała szybko Tua, patrząc z naganą na Gozena. – Każda z nich ma przynależne sobie cechy. Żli i dobrzy bywają tylko poszczególni osobnicy i to w każdej rasie. Spotyka się przecież dobrych ludzi i złe krasnoludy, dobrych

elfów i złe gnomy. W domu staramy się wpajać w was szacunek do innych. Kto cię nauczył tak myśleć? Bo chyba ani ojciec, ani ja. Osobiście też niewiele złego przeżyłeś. Skąd więc ta niechęć?

– Stąd, że na nas napadają. Że palą i zabijają. Że dzieje się nam krzywda. Że teraz uciekamy. Przed kim? Przed ludźmi i elfami. Dlaczego chcą nas wyżenąć z Brony i całego Sweinu? To przecież od wieków nasza zona. Tam się urodziliśmy i mieszkamy, to znaczy mieszkaliśmy do niedawna. A elfowie są głupi, że pomagają ludziom. Nie widzą, że kiedy skończą z nami, to się dobiorą do nich – poparł brata Mizen.

Zapadła ciężka cisza. Samtor patrzył z uwagą na młode krasnale.

– Wydaje mi się, że rozumiem wasze rozgoryczenie – powiedział. – Rzeczywiście, dokonując porównania wprost, można dojść do wniosku, że ludzie są gorszą rasą, bo stosunkowo dłużej dorastają, krócej żyją od was, od gnomów, nie mówiąc już o długowiecznych elfach. Ale nie jest to wniosek prawdziwy. Wielką rację ma wasza matka. Nie ma ras gorszych i lepszych. Każda ma swoją specyfikę. W ramach jednej rasy bywają jednostki uważane za dobre i za złe. Każda też rasa ma swoje interesy, które mogą powodować konflikty z innymi. Sposoby ich rozwiązywania bywają różne. Niekiedy niestety kończą się one bardzo krwawo, bardzo tragicznie. Potrafią trwać całe wieki, jak, niedaleko szukając, wasze z elfami. Ale bywają też zatargi w ramach jednej nacji. Trzeba przyznać, że najczęściej zdarzają się wśród tej, jak to, Gozen, nazwałś, dominującej – wśród ludzi. Najgorszym zaś jest, że załatwiając swoje porachunki, wciągają w to innych, którzy często ponoszą tego skutki. Mam na myśli was, krasnoludy, gnomy, elfów. Na szczęście każda rasa i każda nacja ma bardziej lub mniej liczną, bardziej lub mniej wpływową

liczbę osobników świątłych, którzy zdają sobie sprawę, że walki, rewolucje i wojny to wielkie zło, a na tym świecie jest miejsce dla wszystkich. Mało tego, że tylko koegzystencja i wzajemna współpraca ras i narodów, niezależnie od ich wyglądu, wiary i przekonań, może przynieść dobro i rozwój. Niekiedy trzeba pomóc, podpowiedzieć, aby uświadomić poszczególnym społecznościom lub panującym te, zdawałoby się oczywiste, prawdy. Innym razem zaś, by one do nich dotarły, trzeba nimi wstrząsnąć.

– Tym się więc zajmujesz? – zapytał Eyan, wykorzystując przerwę w wypowiedzi Samtora.

– Nie przesadzajmy. To, o czym mówiłem, to makroskala, ja działałem w znacznie węższym wymiarze. Ale ogólny cel moich działań jest mniej więcej właśnie taki.

– Mówiłeś, że masz czterdzieści sześć lat. Rzeczywiście, zupełnie nie wyglądasz na tyle. Czy mógłbyś opowiedzieć coś jeszcze o maginach i o sobie?

– Tak. Żadna tajemnica. Moje dotychczasowe życie w większości było poświęcone nauce. Była to nauka przez duże N. Wszechstronna, a w kierunkach związanych z posiadaną przeze mnie specjalizacją – wręcz dogłębna. Nauczanie miało charakter indywidualny i odbywało się w różnych formach. Początkowo było zbliżone do typowej szkoły lub uczelni, a więc podręczniki, lekcje, wykłady, ćwiczenia. Następnie coś, co można nazwać zaawansowanymi studiami. Jeszcze później praktyka przy mistrzu-mentorze, towarzyszenie mu w podróżach i misjach. Potem samodzielne, początkowo mniej skomplikowane, z czasem coraz trudniejsze, ale zawsze wcześniej omawiane z mentorem, zadania. Współpraca z innymi mistrzami. Od czterech lat działałem samodzielnie, kierując się luźnymi, bardzo

ogólnymi sugestiami konwentu. Podobny schemat występuje i u pozostałych maginów. Czego się podejmujemy? – ciągnął dalej. – Różnych spraw, najczęściej tych, których nie mogą lub nie chcą załatwić inni, a które my uznajemy z takich czy innych powodów za istotne. Ogólnie można powiedzieć, że staramy się zażegnawać lokalne konflikty, nie dopuszczając do panowania zła i czynienia krzywd. Wiem, brzmi to pretensjonalnie i patetycznie, ale chyba najlepiej oddaje istotę naszych działań. Zadania zleca nam nasz konwent lub, co zdarza się częściej, napotyka je, podróżując, rozmawiając, obserwując. Rozwiązań poszukujemy sami. Decydujemy się na te, które są najlepsze lub wydają się takimi w określonej sytuacji. Muszę też przyznać, że jeśli już trafi się jakiś zlecający i przyjmujemy sprawę, to nie zawsze sposób załatwienia jej jest do końca zgodny z jego oczekiwaniami. Niektórzy z nas mają ściśle specjalizacje. Ja jestem ukierunkowany ogólnie. Obracam się głównie wśród ludzi. Zajmuję się problemami występującymi na styku interesów ich oraz innych ras. Zasadą jest, że staramy się działać dyskretnie. Tak, by nie budzić sensacji.

– No tak... mówisz, a nie mówisz. Kluczysz. Omijasz sprawy najciekawsze – nacisnął krasnolud.

Samtor uśmiechnął się i wniósł kubek.

– A co dla ciebie... przepraszam: dla was wydaje się najciekawsze?

– To, jak działasz. Jakimi sposobami. Jeśli nie tajemnica, co ważnego zrobiłeś? – drążył Eyan.

– Taaak – przeciągnął magin, jakby naśladując krasnalą. – Jak działałam? Różnie. Niekiedy rozważę i perswazję popartą bardziej lub mniej mocnymi argumentami, a niekiedy siłą. Wspomagam się znajomością psychologii, etyki ras, a jeśli sytuacja tego

wymaga, magią. Oczywiście tylko w stosunku do tych, na których ona działa. W stosunku do krasnoludów, jak pamiętam, jest ona bezużyteczna. Prawie.

– To jesteś czarodziejem? – zapytała Tua.

– Nie, nie jestem. Chociaż moja znajomość magii i predyspozycje niemal dorównują czarodziejom trzeciej klasy. Jak już mówiłem, maginów zaczyna się kształtować jeszcze przed urodzeniem. Wybiera się osobniki dziedziczące po ojcu lub matce zdolności magiczne. Czarodziejki, jak wiadomo, nie mogą mieć potomstwa, ale druidki, wiedźmy i uzdrowicielki – tak. Ze strony męskiej ojcami bywają czarodzieje, druidzi, aurorzy. Zdarzają się też przypadki, że potomek dwojga ludzi nieposiadających daru magii, nie wiadomo skąd lub po kim, dziedziczy moc. Niekiedy nawet bardzo dużą.

– Początek waszego kształtowania ma miejsce jeszcze przed urodzeniem. Ale w jaki sposób jesteście wybierani? Kto decyduje, że syn tej, a nie innej matki po urodzeniu zostanie maginem? – zapytał Eyan.

– To trudne pytanie. Odpowiedź na nie też nie jest prosta – zastanowił się głośno Samtor. – Chyba nie ma na to reguły, a każdy przypadek jest inny. Podstawą wyboru jest w porę otrzymana wiadomość. Muszę powiedzieć, że nasz konwent, choć niewielki, ma rozległe znajomości i wpływy. Wieści do niego docierają różnymi drogami i z najróżniejszych źródeł. Niekiedy pochodzą z kręgów druidzkich. Właśnie wśród nich jest wielu uzdrowicieli, do których zwracają się mające kłopoty z ciążą kobiety. Zdarza się, że potencjalni rodzice, którzy posiadają dar magii, a wiedzą, że z rozmaitych powodów nie będą mogli wychowywać dziecka, sami się zgłaszają. Czasem do konwentu docierają plotki o niechcianej ciąży jakiejś uzdrowicielki lub

wiedźmy. Jeśli wywiad, badania i rozmowy dadzą pozytywny wynik, rozpoczyna się proces przekształcania płodu. Prowadzą go współpracujący z konwentem wyspecjalizowani czarodzieje i wtajemniczeni uzdrowiciele. Po narodzinach, jeśli to możliwe, dziecko do czwartego roku przebywa przy matce. W okresie tym nad małym i kobietą sprawuje pieczę oddelegowany mag, czarodziej lub druid. Jeśli wychowanie przez matkę nie jest możliwe, niemowlę powierza się odpowiednio dobranej piastunce, a kontynuacja przemian trwa. Po skończeniu czwartego roku kandydat na magina trafia do mentora, a co dzieje się z nim dalej, już mówiłem.

– A jeśli po urodzeniu dziecko nie przejawia cech magicznych? Jeżeli się nie nadaje na magina? Jeśli rodzice się rozmyślą, zmieniają zdanie i nie wyrażą woli oddania go? Bo pozbycie się dziecka, szczególnie dla rodzicielki, prawie zawsze jest bardzo bolesne i tragiczne. Co wtedy? – zapytała Tua, wpatrując się w magina z napięciem.

– Nic. Po prostu konwent rezygnuje. Nie zabiera dziecka przemocą. Zmiany, zapoczątkowane w okresie płodowym, niekontynuowane po urodzeniu skutkują tylko tym, że dany osobnik w porównaniu z rówieśnikami jest bardziej uzdolniony umysłowo i sprawniejszy fizycznie. To procentuje w dalszym życiu. Przy sprzyjających okolicznościach takie dzieci, po osiągnięciu wieku dojrzałego, zazwyczaj zajmują dość uprzywilejowane pozycje w swoich społecznościach.

– Dlaczego zatem konwent nie wprowadza tych zmian powszechnie? Mogłoby się przydać więcej takich uzdolnionych, lepszych, a nie do końca ukształtowanych, maginów. Oczywiście pytam o to z całą sympatią i szacunkiem dla ciebie – dodał Eyan.

– Niestety, w życiu wszystko ma swoją cenę. Proces zmian, o których mówię, chociaż pozytywnie wpływa na dziecko, bardzo wyniszcza organizm jego matki. Powoduje, że nie może ona już więcej rodzić. Zwiększa zapadalność na różne choroby, głównie nowotworowe i psychiczne. Koszty tego typu przemian są więc zbyt wysokie, by je stosować na szerszą skalę. Szczególnie kiedy ma się do czynienia z młodymi kobietami, które nie mają jeszcze dzieci, u których jest to pierwsza ciąża. O trudnościach związanych z pozyskiwaniem materiału na maginów najlepiej świadczy fakt, że jest nas tak niewielu. Niezmiernie rzadko się zdarza, by występował łącznie cały zespół niezbędnych czynników, pozwalających ten proces sfinalizować. Mam na myśli dziedzictwo magii, odpowiedni stan zdrowotny i zgodę rodzicieli na oddanie dziecka.

– A elfowie? – zapytał Mizen. – Oni też potrafią posługiwać się magią. Czy tworzy się z nich maginów?

– Nie. Źródłem maginów w zasadzie jest tylko rasa ludzka. Elfowie, chociaż mają większe od ludzi predyspozycje magiczne, z różnych powodów nie zostają maginami. Jednym z nich, być może nawet głównym, jest ten, że z uwagi na swoją długowieczność zdecydowanie rzadziej miewają potomstwo, a jeśli już je mają, to pieczołowicie wychowują je sami. Zarówno ci, którzy prowadzą osiadły tryb życia, jak i leśni. U jednych i drugich ylbi – co oznacza żeńskiego elfa, elfa kobietę – prawie wszystkie swe matczyne uczucia przelewa na dziecko i nie dopuszcza możliwości rozstania się z nim lub przekazania go komuś, dopóki nie osiągnie ono wieku młodzieńczego. Inną, nie mniej ważną, przyczyną jest mentalność elfów. Duża ich część jest wręcz nacjonalistami, którzy uważają, że własna rasa jest najlepsza, a tylko nieszczęśliwie zaistniałe warunki zmuszają jej

przedstawicielei do koegzystencji z ludźmi i niziołkami na zasadach panujących obecnie. Elfowie jedynie tolerują pozostałe rasy lub z nimi walczą. W tym celu potrafią się sprzymierzać z jednymi przeciwko drugim. Najczęściej z ludźmi przeciwko innym grupom ludzi lub też niziołkom. I tu mamy do czynienia z brzemieną w skutki niekonsekwencją. Z jednej strony ta dumna rasa uważa, iż mieszanie się w sprawy innych jest poniżej jej godności, z drugiej jednak – miesza się w nie, biorąc udział w walkach, a nawet wojnach, bardzo często zupełnie nie swoich. Ten pogardliwy stosunek do innych tkwi głęboko w psychice większości osobników *albi gens*, czyli rodu elfów. Magin nie może mieć takich cech. Z tego, co powiedziałem, można wysnuć wniosek, że nie lubię lub mam uprzedzenia do elfów. Nie jest tak. Po prostu staram się być obiektywny. Z własnego doświadczenia i przekonania potwierdzam to, co niedawno powiedziała Tua: że w każdej rasie trafiają się grupy lub przynajmniej jednostki pozbawione uprzedzeń i nienawiści. Osobnicy, których określa się dobrymi albo prawymi, lecz także ich odwrotności.

– Mądrze prawisz. Pięknym językiem – powiedział Eyan, patrząc na Samtora, a Tua pokiwała głową. – *Albi gens, ylbi...* Kto zna dziś te bardzo stare, pierwotne wręcz określenia? Ale jeśli działasz z tak szlachetnych pobudek, to... – Przy ostatnich słowach w głosie krasnoluda dała się słyszeć nutka sceptycyzmu.

– Jestem naiwny? Zdaje się, że to chciałeś powiedzieć? – przerwał mu Samtor. – Nie, raczej nie jestem. Jeśli zaś chodzi o działania, to chociaż ich nadrzędny cel ogólnie bywa zgodny z tym, co powiedziałem, metody, które stosuję, bywają różne, niekiedy nie dla wszystkich zrozumiałe i godne pochwały. Niekiedy sam z dużym trudem je aprobuję. I chociaż niektórzy mówią, że cel uświęca środki, to będąc zmuszonym do

stosowania tych drastycznych, niekiedy okrutnych, nie do końca zgadzam się z tym powiedzeniem.

– No, i zrobiło się poważnie. To typowe, że o czym i z kim by się nie zaczęło, i tak w końcu schodzi na politykę. A że czasy złe, to lekko o nich mówić się nie da – stwierdził smętnie krasnal.

– Ano, na to wygląda – przytaknął Samtor. – Chyba czas na jakąś przerwę. Słońce już nisko. Zasedzieliśmy się. Wiecie co? Chodźmy się wszyscy wykąpać, teraz najcieplejsza woda – zaproponował, zwracając się do zgromadzonych przy dogasającym już ognisku.

– Chętnie – zgodziła się Tua za wszystkich. – Idźcie, ja zaraz do was dołączę.

Młodym krasnalom nie trzeba było powtarzać. Zerwały się i popędziły w kierunku zatoki. Eyan i magin szli wolniej.

– Siewco, czy mi się tylko wydawało, że ciągnąc rybę, rzucałeś przepiękne piętrowe wiązanki? – zapytał Samtor z niewinną miną.

– Nie zdawało ci się, ale tego młodych nie uczę. To prędko poznają w ramach nauki własnej. Jak wiesz, w naturze krasnoludów leży stosowanie dosadnego języka, a ponieważ nic, co krasnoludzkie, nie jest mi obce... – odparł z uśmiechem zapytany. – Ale, ale... ten sum jakby trochę za łatwo się poddał. Albo miałem halucynacje, albo widziałem jakieś dziwne gesty.

– Mogłeś coś tam widzieć. Nie mówmy już o tym. Wskakujmy do wody. Jest ciepła, czysta i dość głęboka, by popływać.

Rozebrali się i zanurzyli w rzece. Młode krasnale pływały, parskając jak morsy i pokrzykując z zadowolenia. Po kilku chwilach do kąpiących się dołączyła ubrana w bluzkę i szorty Tua. Zwabiony dziwnymi odgłosami, do brzegu podszedł także Biegan. Najpierw spoglądał na kąpiących się jakby zdziwiony,

potem, wszedłszy po pęciny do wody, opuścił głowę i zaczął pić. Gdy zaspokoił pragnienie, cofnął się i dostojnym krokiem poszedł dojeść trawy.

Po kąpieli, która trwała ponad godzinę, wspólnie ustalono kolejność nocnego czuwania. Rozpoczął Eyan, po nim wartę przejął miał Samtor, a następnie wyznaczono Gozena i Mizena. Tua z obowiązku czuwania została wyłączona. Magin, zdając sobie sprawę, że strefa przygraniczna Ramzy nie jest zbyt spokojna, że najniebezpieczniejsze są godziny po północy i przed świtem, w których to zdarza się najczęściej napadów, a czuwających potrafi zmorzyć sen, próbował wpłynąć na zmianę kolejności pełnienia straży. Młodzi przekonali go jednak, iż sprawę traktują poważnie, a ich czujność i spostrzegawczość zapewni reszcie spokojny odpoczynek. Stanowisko ich poparł Eyan, mówiąc, że nie raz się już w podobnej sytuacji sprawdzili.

Po czynionym codziennie w podróży uważnym przeglądzie kopyt, nóg oraz grzbietu Biegana, nie wykrywszy żadnych uszkodzeń ni odparzeń, Samtor zaczął przygotowywać sobie nocleg. Aby nie krępować krasnoludów, wybrał miejsce pod leszczyną, oddalone od niziołków o kilkanaście metrów. Rozłożył tam swój zwijany materacyk i pled. Pod głowę podłożył jeden z juków. Obok tak sporządzonego leża ułożył kołczan, łuk i miecz. Rozejrzał się wokół, popatrzył chwilę w niebo. Zmierzchało. Noc zapowiadała się ciepła i pogodna. Księżyc, będący w pierwszej kwadrze, przypominający wypełnioną literę D, lekko oświetlał okolicę i wraz z licznymi gwiazdami odbijał się w lśniącej granatowo wodzie Sumki. Ciszę zakłócały tylko ciche rozmowy i śmiechy gotujących się do spoczynku krasnoludów oraz rechotanie żab. Od czasu do czasu coś plusnęło w rzece.

Maginowi nie chciało się spać. Podszedł do mającego czuwać na pierwszej zmianie Eyana, który stał w pobliżu wygasłego ogniska.

– Nie będę rozniecać ognia. Jest ciepło, a w ciemnościach płomień widać z daleka. Może to zwabić kogoś zupełnie nam niepotrzebnego – powiedział krasnolud.

– Masz rację – przytaknął Samtor i po trwającej chwilę przerwie dodał: – Myślę, że powinniśmy jeszcze porozmawiać. Sami.

– Ja też odczuwam taką potrzebę. Dlatego przy ustalaniu kolejności starałem się, by nasze dyżury były po sobie. Jeślibyś nie przyszedł, ja bym został po swojej zmianie, żeby pomówić.

Usiedli obok siebie, na pozostawionych przy ognisku siedziskach. Obaj milczeli. Pomimo sympatii, którą po kilku godzinach znajomości wzajemnie odczuwali, niełatwo było im zacząć tę rozmowę. Szczególnie krasnoludowi, którego rasa od pokoleń doznawała od ludzi krzywd i upokorzeń, niedawno poznany bowiem, chociaż twierdził, że nie do końca jest człowiekiem, mocno go przypominał. Także maginowi, który, domyślając się z odczuć niziołka, nie chciał zbyt dużą ciekawością go zrazić i spowodować, by ten zamknął się w sobie.

– Tua wspomniała, że idziecie do Getyny. Rzekła, że ustaliliście to wspólnie – zaczął ostrożnie Samtor. – Odnoszę wrażenie, iż z tym wyborem niezupełnie jest tak. Jeżeli będziesz chciał, powiesz, jeśli nie, równie dobrze, ale posłuchaj: idziecie do obcego kraju, w nieznaną, a czasy nie są zbyt spokojne. Może zdarzyć się różnie. W Todorze, stolicy Sarii, mam przyrodniego brata, który zajmuje istotne stanowisko na dworze króla Artorusa. Jest on o cztery lata starszy ode mnie. Mimo długiego już sprawowania funkcji ministra – szefa wywiadu i służb

specjalnych – jest porządnym, przychylnym dla każdego człowiekiem. Jeśli znajdziecie się w potrzebie albo w kłopotach, skontaktuj się z nim. On jest w stanie pomóc w wielu sprawach. Jeśli powołasz się na mnie, zrobi to. Sam Artorus także ceni mądre, otwarte umysły i gromadzi je wokół siebie, nie zważając, czy ktoś jest elfem, krasnoludem, czy gnomem. Na jego dworze spotykane są różne nacje. Nie tylko ludzie są tam obdarzani poczesnymi funkcjami.

Krasnolud milczał. Wyglądało, że jest zaskoczony wypowiedzią magina i przetrawia ją. Po chwili kiwnął głową i rzekł:

– Dzięki, tego się nie spodziewałem. Wygląda, że domyślasz się albo i wiesz więcej, niż ci powiedzieliśmy. Rzeczywiście, Saria to nie przypadkowy i dobrowolnie wybrany przez nas kierunek. Ale do tej pory wiedzieliśmy o tym tylko ja i nasz dominat. Nawet Tui tego nie zdradziłem. Teraz dowiedziałeś się o tym i ty. Nie ukrywam, że spadłeś mi jak z nieba, bo ledwo nas znając, nie pytając o nic, zaproponowałeś konkretną pomoc. Dlatego też sądzę, iż powinienem ci o pewnych sprawach powiedzieć. Oczywiście tyle, ile mogę, i liczę, że nie wykorzystasz tych wiadomości przeciw nam. Mam na myśli niełudzi z Brony i całego Sweinu. Chciałbym też, abys docenił, że niełatwo mi o tym mówić, bo nie jest to jakaś tam paplanina o paleniu fajki. To sprawy poważne i... bardzo dziwne, które mogą wpłynąć na losy nie tylko naszego plemienia, ale i wielu narodów. W jaki sposób? Nie wiem i myślę, że nikt z wtajemniczonych – a jest nas naprawdę niewielu – na tę chwilę też tego nie wie. Ty bezinteresownie okazałeś zyczliwość i brak uprzedzeń. Nie wiedząc, zaoferowałeś coś, co jest mi teraz bardzo potrzebne. Poza tym... dobrze ci z oczu patrzy. Nie będę zatem ukrywał, że

moim głównym celem jest znalezienie dojścia do króla Sarii i szukanie u niego wsparcia.

Krasnolud znowu zamilkł. Wyglądało, że zbiera myśli. Bezwiednie podniósł patyk i przegrzebał popiół wygasłego ogniska. Samtor nie poganiał go, siedział w milczeniu. Zauważył, że w obozowisku krasnoludów zaległa już cisza, a Biegan położył się niedaleko jego postania.

– Wszystko zaczęło się gdzieś trzy miesiące temu – podjął Eyan. – Nim jednak przejdę do sedna sprawy, pozwól, iż zrobię małe wprowadzenie, które przybliży ci ogólną sytuację. To ułatwi zrozumienie.

Zobaczywszy aprobujące skinienie głowy Samtora, kontynuował:

– Z pewnością znasz naszą zonę albo o niej słyszałeś. Prawie cała jest górzysta. To bardzo stare pasma gór, które w swoim wnętrzu zawierają niemal wszystko, co może być użyteczne. Występują tam rudy żelaza, sól, węgiel, miedź, srebro, złoto, olej skalny i czort wie co jeszcze. Dla krasnoludów i gnomów, które od wieków zajmowały się i zajmują głównie wydobywaniem oraz przerobem tych dóbr, Swein jest macierzą, jest ojczyzną, do której są mocno przywiązani. Tu się rodzą, żyją i umierają. Tu pracują i rozwijają swą działalność, tak aby cała ich społeczność mogła w miarę sprawnie funkcjonować. Oczywiście podstawą jest górnictwo i metalurgia, ale także przetwórstwo innych kopalin, niekiedy mocno zaawansowane. Kwitnie też handel, bo na wydobyte kopaliny i wytwarzane produkty jest popyt we wszystkich okolicznych krajach. Zona, chociaż obarczana przez aktualnych władców trybutami, podatkami i daninami, jest bogata. Niestety, to bogactwo nie przekłada się równomiernie na dobrobyt jej wszystkich mieszkańców. Największe profity,

głównie pochodzące z handlu, zbierają ludzie, którzy w Sweinie stanowią gdzieś piątą część społeczności. Krasnoludy i gnomy wraz ze swoimi rodzinami nie przymierają głodem, jednak trudno powiedzieć, że opływają w dostatki. Ot, w najlepszych przypadkach jest to niższa warstwa średnia. Mało która rodzina nieludzi ma się dobrze. Bogactwa naturalne zony i umiejętność wytwarzania narzędzi, głównie bardzo dobrej broni, ale też i innych wyrobów, sprawiają, że jest ona łakomym kąskiem dla ościennych władców. Z tych właśnie powodów wraz z kolejnymi wojnami Swein co jakiś czas jest przyłączany do coraz to innego kraju i przechodzi pod panowanie zwycięskiego króla. Zawieruchy wojenne to dla wszystkich czasy pogromów i nieszczęść. Szczególnie odbijają się one jednak na krasnoludach oraz gnomach. Zwykle nie ma wtedy rodu, który by nie stracił swoich bliskich lub mienia. A najczęściej jednego i drugiego. Przyjęło się, że niezależnie który król zwycięży, nasza zona jest jakby wydzielonym księstwem, którym władają wyznaczani przez królów namiestnicy. Są to ich zaufani ludzie, ludzie viri probati, czyli sprawdzonej wiary, którzy zwykle, aby nie kłaść się codziennymi, bezpośrednimi kontaktami z nieludźmi, mianują krasnoludzkiego komesa. Jemu to przekazują większość uprawnień dotyczących niziołków. Od ponad dwustu lat nasi komesowie pochodzą ze starego, szanowanego, niegdyś królewskiego, ale teraz podupadłego, rodu Dargonów. Aktualny komes – obecnie jest nim Agedon – składa nowemu namiestnikowi hołd i przysięgę lojalności. Jego podstawowe zadania to: utrzymanie spokoju wśród ziomków, dbanie, by wydobywanie kopalni i ich przerób się nie obniżały, oraz terminowe pobieranie danin i podatków. Odpowiada też za gotowość i wielkość kontyngentu zbrojnego krasnoludów. Po nastaniu

nowej władzy, zawsze coś się zmienia. Przeważnie dotyczy to spraw fiskalnych oraz powinności zbrojnych. Wzrost jednych i drugich, dla i tak mocno gnębionych niziołków, to sprawy na tyle istotne, że potrafią wywoływać wyrażane w mniej lub bardziej ostrej formie protesty. Niestety, zwykle są one bezskuteczne i powodują przykre, często nawet krwawe represje. Po dłuższym lub krótszym czasie, zrywy zbuntowanych tubylców bywają tłumione i zaczyna panować pozorny spokój. Niezadowolenie jednak, oraz wzajemna niechęć ludzi i nieludzi pogłębia się i pozostaje.

Eyan zawiesił głos, a za moment podjął:

– Poprzedni co mądrzejsi królowie doceniali znaczenie naszej zony. Chcąc mieć z niej możliwie duży i szybki pożytek, nie ingerowali zbyt w wewnętrzne układy i nie dusili miejscowych zbyt wielkimi obciążeniami, nawet ułatwiali handel. Zdawali sobie sprawę, że przejęcie wydobywania i przeróbki kopalin oraz wyuczenie ludzi technologii metalurgicznych, płatnerstwa, chemii i innych umiejętności jest kwestią długotrwałą, a w niektórych przypadkach wręcz niemożliwą do opanowania dla nieobytych z tymi zawodami. Tym bardziej, że rody krasnoludów i gnomów są hermetyczne, niechętnie dzielą się swoją wiedzą i niełatwo zdradzają jej istotne tajemnice. Współpracują głównie ze sobą. Ludzkie i jeszcze rzadsze elfie rodziny, chcące wejść do tradycyjnie naszych zawodów, długo i mocno muszą zabiegać o to, aby znaleźć w nich swoje miejsce. Mimo starań i prób bratania się mało którzy z nich są w stanie uzyskać naszą akceptację. Są najwyżej tolerowani. Po ostatniej wojnie, w wyniku której Swein został wcielony do Morgii, a było to gdzieś dwadzieścia lat temu, król Petin postępował podobnie. Jednakże jakieś trzy lata temu zmienił swoją politykę. Mianował

nowego namiestnika i zaczął przesiedlać do zony duże ilości ludzi. Stara się doprowadzić do tego, aby przybywający osadnicy zasymilowali się, przejęli naszą wiedzę i umiejętności. I chociaż napotykają z naszej strony opór, to jednak przenikają do nas. Najróżniejszymi metodami; to podpatrując, to zastraszając i wymuszając, to przekupując niektórych, starają się poznać tajniki technologii oraz strzeżone tajemnice zawodów. I trzeba obiektywnie przyznać, że pomału, ale nieustępliwie, nas rugują. Nie tylko z przetwórstwa, ale też z takich podstawowych domen, jak górnictwo i hutnictwo. Zaczęli otwierać własne kopalnie i odlewnie. W zonie z miesiąca na miesiąc wzrasta liczba prowadzonych przez nich fabryk i warsztatów. Ich wyroby są gorsze i sporo droższe, ale nie da się nie zauważyć, że jest ich coraz więcej. Są preferowani przez kupców, którymi przeważnie też są ludzie. Pomaga im namiestnik, przyznając rozmaite ulgi i naliczając mniejsze niż krasnoludzkim i gnomim rzemieślnikom podatki. Jeśli do tego dodać ich paskudny sposób odnoszenia się do nas i do gnomów, okazywaną na każdym kroku niechęć i pogardę, można sobie wyobrazić, jakie staje się życie rodzimych mieszkańców zony.

– Smutne jest to, co mówisz – wtrącił poważnie magin. – Ciekawe: co spowodowało taki zwrot polityki Petina?

– Tego do końca nie wiadomo. Chodzą słuchy, że ma w planach nowe podboje. Morgia, chociaż wielka, widać nie zaspokaja jego ambicji. Chce zdobyć nowe terytoria. Nie jest jednak pewny, jak podczas konfliktu zachowa się Swein, którego zdecydowaną większość mieszkańców stanowią Nieludzie, bo w ich wierność i lojalność nie wierzy. Boi się ich ewentualnej zdrady. A że zona ze swymi surowcami i wyrobami jest zbyt cenna, aby mógł sobie pozwolić na ryzyko jej utraty, chce

doprowadzić do tego, by mieć w niej znacznie więcej swoich ludzi, którzy nie tylko będą dzierżyć handel, ale przenikną też do górnictwa, przemysłu i rzemiosła. Mając takie macki, zdobędzie kontrolę nad wszystkim. Będzie mógł w porę w zarodku zdusić wszelkie próby buntu. Teraz zona, chociaż mu podlega i stanowi część Morgii, ma jednak jeszcze różne powiązania i prowadzi nieco ograniczony, ale w miarę samodzielny, handel z innymi państwami. W czasie pokoju zyski z niego napełniają królewski skarbiec, jest to więc korzystne dla Petina. W czasie wojny wszelkie kontakty handlowe z innymi krajami zostaną z pewnością wstrzymane, a całe wydobywanie i produkcja, w tym broni, będą kierowane tylko do Morgii. Taki krok osłabi przeciwników poprzez pozbawienie ich dostaw.

– To, co mówisz, ma sens, jest logiczne. Co się jednak zdarzyło te trzy miesiące temu?

– Zaraz do tego przejdę. Jeszcze tylko, żeby zamknąć temat, kilka słów o nowym namiestniku. Pamiętam ich kilku. Bywali różni, dla nas, nie ludzi, lepsi i gorsi. Niektórzy rozumieli i akceptowali zamiary swoich władców. Inni wykorzystywali urząd, by się szybko wzbogacić. Ten panujący teraz jest najgorszy. Nie dość, że ciśnie nas wysokimi podatkami, z których, jak głosi wielce prawdopodobna fama, tylko około osiemdziesięciu procent odprowadza do skarbcza królewskiego, a pozostałą część po cichu pozostawia sobie, to traktuje nie ludzi jak najlichszą mierzwę. Niczym jest dla niego obwiesić lub spalić parę dziesiątków krasnoludów lub gnomów albo puścić z dymem ich osadę. Ma do tego szarą sotnię, która jest postrachem dla całej zony. A to nie wszystko, bo jak powiedziała Tua, podżegane, zaślepione nienawiścią kupy ludzi od czasu do czasu organizują napady i samosądy. Ostatnio, chociaż wojna to wielkie zło, nasi

coraz częściej modlą się o nią i o zmianę władcy. Petin Czwarty oraz Morgia już nam dostatecznie zbrzydły.

Krasnolud zamilkł i się rozejrzał. Rzucił trzymany w rękę patyk, którym wcześniej grzebał w popiele, i pogładził się po brodzie.

– Wygląda, że tutaj wszystko w porządku. Moi już śpią. No, chyba czas na to, co ważne. Jak już wiesz, mieszkamy w Bronie. Osada leży przy granicy Sweinu, Ramzy i Morgii. Liczy około dwunastu setek mieszkańców. Są to głównie rodziny krasnoludów i gnomów. Na szczęście do nas nie dotarła jeszcze fala osadników i jest tu tylko ze trzydzieści rodzin osiadłych elfów i niewiele więcej rodzin ludzkich. Mieszkają z nami od lat i w większości są dość porządni. Zasymilowali się i nie robią kłopotów. Brona to na wierzchu mieszane lasy i trochę poletek, a pod ziemią – kopalnie. Pozyskuje się z nich wysokoprocentowe rudy żelaza, głównie magnetyt i hematyt. Występują one w głębszych partiach, w skałach magmowych i metamorficznych, a więc tych twardych i wytrzymałych. W wyższych partiach, w skałach osadowych, występują też odmiany syderytu. Minerale te wydobywane są w dużych ilościach i od dawna. W kopalniach, oprócz ekip eksplorujących rozpoznane i zlokalizowane złoża, są ekipy, które poszukują nowych zasobów. Jest to konieczne, żeby odpowiednio wcześniej w planowy sposób rozbudowywać systemy chodników, tuneli, korytarzy i szybów, prowadzących do kolejnych pokładów kopalin. Robi się to po to, aby któregoś dnia nie stanąć przed problemem, że skończyły się złoża znane, a kolejnych, przygotowanych do fedrunku, nie ma. W skład ekip poszukiwawczych wchodzi najbardziej doświadczeni, znający zawód gwarkowie, zarówno krasnoludy, jak i gnomy. Otóż około trzech miesięcy temu jedna z takich grup poszukujących nowych

skupisk rudy, zapuściwszy się w jeszcze nieznanne, głębiej położone jaskinie, przypadkiem natknęła się na dziwny tunel. Jego boki i spąg, czyli inaczej posadzkę, tworzyły trzy ściany prostokąta, który był zamknięty stropem w postaci łukowego sklepienia, w kluczu wysokiego na prawie dziesięć łokci. Tunel ten był prosty i prowadził lekko w dół. Szerokość miał taką, że mogły się w nim wygodnie minąć dwie konne platformy. Wykonano go z nieznanego nam materiału, mającego wygląd szarej skały z okruchami naturalnego kruszywa. Co najdziwniejsze, przy zewnętrznych i wewnętrznych płaszczyznach ścian i stropu były zatopione, grube na dwa kciuki, stalowe pręty, tworzące gęste siatki. Można je było dokładnie obejrzeć, bo niektóre fragmenty tego korytarza, pomimo że konstrukcja miała grubość więcej niż półtora metra, po naszymu trzy łokcie, miały uszkodzenia, spękania, a nawet były zawalone. Już na pierwszy rzut oka widać było, że tunel ten nie mógł powstać w sposób naturalny. Ale kto go zbudował i kiedy? Te rejonu nigdy jeszcze nie były przez naszych górników odwiedzane, a co dopiero eksploatowane. Zrobiła się wielka sensacja. Dziwi cię, że tak dokładnie to opisuję, ale byłem tam i widziałem nie tylko korytarz. Oczywiście nie należałem do grupy poszukiwaczy. Muszę jednak powiedzieć, iż oprócz tego, że jestem siewcą, z zamiłowania jestem także geologiem petrografem i to całkiem niezłym. Miejscowi o tym wiedzą i nierzadko zdarza się, że bywam pytany o zagadnienia związane ze skałami, minerałami i kopalnią.

Tu Eyan zamilkł na chwilę, lecz zobaczywszy ponagląjący gest i zaciekawione spojrzenie Samtora, który ze wzmożoną uwagą słuchał, szczególnie ostatnich zdań jego opowieści, spieszenie podjął:

– Już, już wracam do tematu, ale by nie nudzić nieistotnymi drobiazgami, musiałem to sobie jakoś poukładać. Dalej było mniej więcej tak: zarządca kopalni, łebski krasnolud, po otrzymaniu powiadomienia o znalezisku nakazał poszukiwaczom zachować absolutną tajemnicę i wieść o nim natychmiast przekazał osobiście naszemu dominatowi. Wspólnie ustalili skład ekipy mającej zbadać niezwyklej tunel. Była ona nieliczna. Wraz z dominatem, zarządcą i mną liczyła dziewięciu członków. Tym wszystkim, którzy już wiedzieli o odkryciu lub z racji włączenia do wspomnianej grupy zostali o nim poinformowani, został narzucony bezwzględny obowiązek zachowania całkowitej dyskrecji. Zarządca zapewnił uczestnikom wyprawy odpowiedni sprzęt i możliwość wejścia do kopalni w sposób niebudzący zainteresowania reszty załogi. Następnego dnia, podekscytowani niezwyklej wieścią, przygotowani i wyposażeni, po kilku godzinach wędrówki dotarliśmy do miejsca, gdzie odkryto dziwny tunel. Nie będę się rozwodził, jakie wrażenie wywarł na nas widok potężnej konstrukcji znajdującej się w głębi góry. Jej istnienie w, wydawałoby się dziewiczej do tej pory, strefie łamało wszystkie zasady. Ona nie miała prawa tam być. Była jednak i szokowała, budziła w nas niesamowite myśli i prowokowała do tworzenia naprędce nieprawdopodobnych teorii. Nie będę ukrywał, że wywoływała też strach. Strach przed czymś zupełnie nieznanym, co może okazać się groźne. Dość jednak o odczuciach. Po pierwszym zaskoczeniu zgodnie z dokonanymi wcześniej ustaleniami skierowaliśmy się w dół tunelu. Przyjmując ten kierunek, wychodziliśmy z założenia, że powinien on prowadzić do czegoś ukrytego w głębi góry. Jak się później okazało, było to przypuszczenie słuszne. Warstwa nienaruszonego skalnego pyłu

zalegającego spąg, widoczna w świetle naszych latarni, upewniała nas, że korytarz od bardzo dawna nie był używany. Dodawało to nam pewności siebie. Po przebyciu około sześciuset metrów, podczas których mijaliśmy odcinki uszkodzone, a nawet zawały spowodowane parciem górotworu, dotarliśmy do wielkich, dwudzielnych, przesuwanych na rolkach, stalowych wrót. Tu postanowiliśmy odpocząć i coś zjeść. Byliśmy już od ponad sześciu godzin pod ziemią. Po posiłku część z nas, ustalając dalszy plan działania, odpoczywała, a kilku zajęło się oględzinami bramy i szukaniem sposobu jej otwarcia. Okazał się łatwiejszy, niż przypuszczaliśmy. Zamki nie były zawarte, a jedno skrzydło udało się wspólnymi siłami przesunąć na tyle, by przez uzyskany otwór można było swobodnie przejść. Pierwszym, który to zrobił, był zarządca kopalni. Po przekroczeniu przez niego bramy stało się coś nieprawdopodobnego. Zapaliło się jasne światło i usłyszeliśmy jakiś szum. Nasze zaskoczenie było tak wielkie, że przez długi czas nikt nawet nie drgnął. Nie mogliśmy tego pojąć, a co dopiero wytłumaczyć. Po jakimś czasie poczuliśmy, że powietrze, zastałe chyba od wieków, jakby zaczęło się zmieniać. Stawało się coraz świeższe. Poza tym nic się nie działo. Pogasiliśmy niepotrzebnie palące się nasze lampy. Niepewnie rozglądając się, weszliśmy do pomieszczenia, w którym był już zarządca. Nie będę teraz szczegółowo opisywał ani wyglądu tego miejsca, ani co w nim zastaliśmy, bo czas leci, a chciałbym jak najprędzej dojść do najważniejszego. Powiem tylko, że przeszliśmy przez jeszcze jedną, podobną komorę, nim dotarliśmy do wielkiej prostokątnej hali. Drzwi dzielące kolejne pomieszczenia, z wyjątkiem pierwszych, uszkodzonych, rozsuwały się przed nami same, a po ich minięciu również same łagodnie się zamykały. Także oświetlenie samoistnie zapalało się

w pomieszczeniu, do którego właśnie wchodziliśmy, a gasło w opuszczanym. Sprawdzaliśmy to, szykując sobie drogę odwrotu.

Tu Eyan przerwał. Wyglądało, że stara się uporządkować wspomnienia. Samtor milczał, nie chciał zakłócać toku jego myśli. Postąpił słusznie, bo krasnolud po chwili znów zaczął mówić:

– We wspomnianej przeze mnie hali pod jedną ze ścian stały duże stoły. Na jednym z nich zauważyliśmy jakby skrzynkę z okienkiem. Początkowo okno to pokazywało coś na kształt niebieskiego, bezchmurnego nieba. Po zbliżeniu się do niego ktoś obcy, podobny do człowieka, stanął w nim albo za nim i zaczął mówić w nieznanym nam języku. Krasnoludy to z natury ludek niestrachliwy, ale w tym momencie każdy z nas poczuł duszę na ramieniu. Odnosiliśmy wrażenie, że jesteśmy obserwowani, ale przez kogo i skąd, nie mogliśmy dociec. Mówiący nie reagował na nasze słowa ani gesty, tylko kontynuował swoją wypowiedź. Następnie ukazały się nam różne obrazy. Wyglądało to tak, jakby okno było przestawiane i co chwila widać w nim było co innego. A to ziemię, a to jakieś urządzenia, a to dziwne pojazdy, które bardzo szybko jechały, mimo iż nie ciągnęły ich konie ani woły. Nie uwierzysz, widzieliśmy też jakieś skrzydlate maszyny, które latały. Po prostu warcząc, unosiły się w powietrzu. Słuchaliśmy i rozglądaliśmy się. Oprócz głosu i zmieniających się w dziwnym okienku widoków nic się nie działo. Niektórzy zaczęli więc od niego odchodzić. Po kilku, może kilkunastu minutach nie było przy nim nikogo. Wtedy okno samo jakby zgasło. Zaczęliśmy ostrożnie, niczego nie dotykając, przeszukiwać halę. Znaleźliśmy kilkoro drzwi. Jedne z nich były większe, inne mniejsze. Te już się przed

nami nie otwierały. Robiliśmy to sami. Po kolei, pospiesznie, lecz metodycznie, idąc lekko rozproszeni, lecz całą grupą, zaczęliśmy przeglądać napotymane korytarze i pomieszczenia. Przeznaczenia niektórych można było się domyślić, inne były dla nas zagadką. Większość z nich chyba pełniła funkcję magazynów, niektóre – te mniejsze – wyglądało, że służyły do celów mieszkalnych, jeszcze inne nie wiadomo do czego. Mnie szczególnie zainteresowała odkryta przez nas sala z czymś, co uznałem za książki. Całe ich mnóstwo zalegało na długich, piętrowych półkach i były rozmaite. Całkiem odmienne od naszych. Niestety, w tym skryptorium mogłem się zatrzymać tylko na krótką, zbyt krótką dla mnie, chwilę. Po kilku godzinach bardzo pobieżnych oględzin znaleziska dominat zarządził naradę. Nie ulegało wątpliwości, że to, co zostało odkryte, pochodzi z jakiegoś innego świata. Jakiego? Kiedy istniejącego? Wrogiego czy przyjaznego? W jakim celu to wykonano i jakimi metodami? Pytań były tysiące. Odpowiedzi żadnej. Wszyscy spoglądali na mnie, licząc, że powiem coś mądrego, że naprowadzę na jakiś myślowy trop. A ja tak samo jak pozostali, zaskoczony, zdezorientowany, dukałem coś bez sensu. W efekcie dominat postanowił, że zanocujemy w jednej z sal, zaś następnego dnia jeszcze się trochę porozglądamy i wrócimy. Miejsce, gdzie weszliśmy do tunelu, zostanie zamaskowane tak, by ktoś przypadkowo idący myślał, iż jest to naturalny zawał. Jeszcze raz surowo zabronił komukolwiek mówić o dokonanym odkryciu, nawet najbliższym. Wszyscy przyjęli tę decyzję bez słowa sprzeciwu. Noc minęła spokojnie. Wystawieni wartownicy nie usłyszeli ani nie zobaczyli niczego, co mogłoby stanowić zagrożenie. Następnego dnia po powrocie do domów dominat i ja wsiedliśmy na wóz i pojechaliśmy do Mony, do naszego

komesa. Nie ukrywam, że od momentu zobaczenia tych dziwów chodziłem jak oczadziały. W naszych, nawet najstarszych, księgach nie można było znaleźć jednego bodaj słowa o czymś podobnym. W umyśle roily mi się coraz to nowe teorie, ale po przemyśleniu odrzucałem je, bo były mało prawdopodobne. Nie były niczym poparte. Czyste fantazje, bajki. Dominat i zarządca kopalni też nie byli mądrzejsi.

Eyan, zmęczony długim opowiadaniem, przerwał.

– Pozwól, że się napiję. Od tego gadania zaschło mi w gardle. Napijesz się i ty? – zapytał Samtora.

– Chętnie. Chcesz łyk wina?

– Nie, dziękuję, napiję się wody. Obiecałem Tui, że ten kubek przy posiłku będzie na dziś ostatni.

– No, no... jesteś słowny. Moje uznanie. Twoja pora straży już się skończyła. Szybko to minęło. Mówiłeś o bardzo ciekawych i zastanawiających sprawach. I z całą pewnością niezmiernie ważnych. Aż trudno w nie uwierzyć. Wiem jednak, że mówiłeś prawdę. Bardzo ci się chce spać? Chętnie bym posłuchał dalszego ciągu tej historii. Nie wiem, czy jutro, przy rodzinie, znajdzie się okazja, abyś mógł ją dokończyć.

– Ta sprawa nie jest zakończona i daleko jej do końca. Zostanę jeszcze z tobą i opowiem, co było dalej. Jestem przekonany, że teraz już wiesz, dlaczego muszę dotrzeć do króla Sarii.

– Tak, myślę, że wiem, i obiecuję zrobić, co w mojej mocy, by ułatwić ci u niego posłuchanie.

Wstali. Napili się wody z butli krasnoluda i rozdzielwszy się, obeszlili okolice obozowiska. Samtor pogłaskał drzemiącego Biegana i wyjął z sakwy dwa jabłka. Po powrocie przysiadł tam, gdzie poprzednio, i podał jedno Eyanowi. Ten zaś, trzymając owoc w ręku, podjął:

– Do stolicy zony dojechaliśmy tak pod wieczór. Zatrzymaliśmy się w gospodzie, na podzamczu. Następnego dnia rano, obmyci i obleczeni w lepszą odzież, poszliśmy do komesa. Chociaż jest on krasnoludem, mieszka i ma swój niewielki urząd w zamku namiestnika. Jest to wygodne, bo w razie potrzeby ten ma go pod ręką. Agedon, ujrawszy w poczekalni naszego dominata, ucieszył się, bo obaj się dobrze znają, nawet są jakimiś tam krewniakami, i od razu poprosił do siebie. Weszliśmy obaj. Komes po przywitaniu kazał podać śniadanie, butelkę okowity i ogłosił, że do południa nikogo nie przyjmie. Ferdyn, bo tak się nazywa nasz dominat, po krótkim zreferowaniu sytuacji w Bronie wyłuszczył, co nas naprawdę sprowadza. Komes usłyszał prawie to samo, co opowiedziałem tobie. Był bardzo zaskoczony, kilkakrotnie upewniał się, że to, co mu powiedzieliśmy, jest prawdą, zadawał pytania dominatowi i mnie. To bardzo świątły osobnik. Jest dobrym administratorem i politykiem. Szybko docenił znaczenie i wagę tego znaleziska. Po niedługim namyśle, w trakcie którego wypił z nami szklaneczkę okowity, rzekł: „Zbliża się czerwiec, a więc termin płacenia pierwszej raty podatku. Przed terminem spływu należności często odwiedzam różne regiony zony. Nie wzbudzi więc niczyich podejrzeń, że za tydzień przyjadę do was i zatrzymam się na dwa dni. Zorganizuj z zarządcą kopalni – zwrócił się do dominata – wyprawę do tego, jak to nazwaliście, znaleziska. Tylko dyskretnie. Z jak najmniejszą liczbą i to najbardziej zaufanych krasnoludów. Oprócz nich nikt nie ma prawa wiedzieć, że schodziłem pod ziemię coś oglądać. Oczywiście ci, co tam już byli, o całej sprawie ani pary z gęby. Z waszych relacji wynika, że jest ona niezmiernie ważna, a kto wie, jakie skutki może wywołać, i to nie tylko dla Sweinu. Teraz wracajcie. Obu

was chcę widzieć na tej eskapadzie. Spał będę u ciebie, Ferdyn, w końcu jesteśmy dalekimi, bo dalekimi, ale krewniakami”.

Eyan zakończył ten wątek i dokonał przeskoku:

– Za tydzień rzeczywiście zjechał. Towarzyszyło mu dwóch niziołków: gnom i krasnolud. Widać było, że to jego bliscy współpracownicy, ale do kopalni ich nie wziął. Myślę, że zajęci przeglądaniem dokumentów, nawet nie wiedzieli o prawdziwym celu wizyty komesa. Ten, obarczywszy ich robotą, poszedł z wybraną przez dominata i zarządcę kopalni małą grupką. W sumie liczyła ona sześć osób. Oprócz Agedona byli w niej oni dwaj, ja i dwóch zaufanych gwarków, uczestniczących w pierwszej wyprawie. Samo dojście do znaleziska i jego oględziny, miały przebieg zbliżony do tych, które już opisałem tobie. Tunel, otwierane ręcznie, uszkodzone pierwsze wrota, światła, dwoje kolejnych otwierających i zamykających się samorzutnie drzwi, dziwne, gadające okienko i tysiące innych rzeczy, z których większość nie wiadomo czemu miała służyć. Komes, mimo że wstępnie przygotowany informacjami, które mu przekazaliśmy, był zaszokowany tym, co zobaczył. Zdumiony, wręcz chłonał wszystko. Oglądał i nic nie mówił. Zadał kilka pytań, na które otrzymał dość mętne odpowiedzi. Nie mogły być inne, bo wiedza nasza odnośnie do tego tematu była żadna. Po powrocie zamknął się z dominatem i przez kilka godzin byli niedostępni. Następnego dnia zabrał swoich przybocznych i odjechał. Jeszcze dwukrotnie prowadziłem rozmowy z dominatem o znalezisku i sprawa na kilka tygodni ucichła. Najważniejsza w tym czasie stała się wieść o planowanym na Bronę napadzie bandy idącej ze strony Warmy. Jak wiesz, nasz dominat uzbroił oddział i zaczął szykować obronę. Cztery dni temu, podczas ćwiczeń, zawołał mnie i na osobności odbyliśmy

rozmowę. W jej trakcie Ferdyn powiedział – nie pamiętam, czy ci wspominałem, że jestem z nim na ty – iż nie obawia się ciągnącej na nas watahy. Nasz oddział, chociaż niezbyt duży, jest doświadczony i bitny. Ponadto mamy ustalenia, że na wypadek wszelkich zagrożeń cała okolica wzajemnie spieszy sobie na pomoc. Wygląda więc, że napastnicy dostaną tęgą nauczkę. Najistotniejsza część rozmowy jednak nie dotyczyła napadu, ale naszego odkrycia. Zostałem wtajemniczony w pewne szczegóły działań podjętych przez komesa i narzucono mi zadanie dotarcia do króla Sarii. Żeby wszystko jak najdłużej pozostało w tajemnicy, nawet przed rodziną, dominat następnego dnia zaszedł do nas i po ponownej rozmowie dotyczącej mojej misji odegrał teatr z, jak to ujęła Tua, ochroną elit. Efektem całości jest nasza obecność tutaj.

Krasnolud zakończył. Samtor popatrzył na niego i rzekł:

– Eyan, ja znam waszego komesa i on też mnie zna. Półtora miesiąca temu przesłał mi pocztą kurierską list. W jego treści nie było nic o tunelu ni o całej reszcie, ale była wiadomość, że w tym okresie ktoś z niezmiernie ważną i tajną misją ma z zony jechać przez Ramzę do Todory. Prosił, abym postarał się mu pomóc w dotarciu do króla Artorusa. Myślałem, że jadącego przechwycę dopiero w Sarii, aż tu spotkałem was...

Magin zawiesił głos. Niby wiedziony nagłą potrzebą, sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej chustkę do nosa. Rozłożywszy, smarknął w nią. Przy tej czynności z chustki wypadł mu zwykły kościany guzik z trzema dziurkami. Samtor podniósł go i obejrzał, jakby się dziwił, skąd on się tu znalazł. Krasnolud, ujrawszy to, bez słowa sięgnął do kieszonki na piersiach koszuli i odpiął ją z przyszytego guzika. Magin się uśmiechnął. Nawet w świetle księżyca było widać, że guziki są jednakowe.

- Czas budzić Gozena – rzekł Eyan. – Powinniśmy trochę się przespać. Jutro może być ciężki dzień.
- Już jest jutro, poza tym masz rację.

ROZDZIAŁ II

Wszyscy z wyjątkiem czuwającego na ostatniej zmianie Mizena obudzili się tuż po wschodzie słońca, prawie równocześnie. Ranek był słoneczny i pogodny. Wypoczęty Biegan skubał trawę w pobliżu posłania Samtora. Zobaczywszy dźwigającego się z posłania pana, przestał jeść, podniósł głowę i powitał go przeciągłym, wyrażającym zadowolenie rzeniem. Magin zrewanżował się koniowi poklepywaniem go po szyi, drapaniem między uszami i cichymi, pieszczotliwymi słowami, których prawdziwe znaczenie pewnie znali tylko oni dwaj.

Tua po krótkiej toalecie zajęła się przygotowaniem śniadania. Woda na zbożową kawę już kipiała w kociołku nad ogniskiem, wcześniej rozpalonym przez Mizena. Po posiłku, na który złożyły się pozostałości z niedojedzonych wczoraj ryb, przyniesione przez Samtora pęto wędzonej, podsuszanej kiełbasy, a także wyjęte przez Tuę chleb i ser, zaczęli się zbierać do drogi.

Bliźniacy zgasili i przysypali ognisko, po czym pomogli ojcu ładować wózek. Tua umyła w rzece używane naczynia i wlała do butelek przestygłą kawę.

Po nocnej rozmowie dla maga i krasnoluda stało się oczywiste, że będą podróżować razem. Celem obydwu była Todora. Informacja o wspólnej podróży wywołała widoczne zadowolenie pozostałej części rodziny.

Wieść została przekazana przez Eyana w sposób tak naturalny, że nie wzbudziła u nikogo żadnych podejrzeń. Ot, po

prostu traf, szczęśliwy zbieg okoliczności.

Wyruszyli, kierując się w stronę oddalonego o około dwieście metrów traktu. Jeden z krasnoludów, będący akurat na zmianie przy dyszlu, ciągnął wózek, a dwaj pozostali go popychali. Było im lżej niż w poprzednich dniach, ponieważ część bagaży, za poradą Samtora, została załadowana na silny grzbiet Biegana. Miało to zabezpieczyć je przed zamoczeniem przy forsowaniu brodu i odciążyc wózek niziołków w celu ułatwienia im marszu. Niewielka karawana, pomimo że przemieszczała się pieszo, utrzymywała dobre tempo. Magin szedł obok Tui, prowadząc Biegana na długich cuglach. Było to wygodne dla nich obu: prowadzący, zarzuciwszy wodze na ramię, zachowywał swobodę rąk, a prowadzony koń, zadowolony, że niesie ciężar znacznie mniejszy niż zwykle, szedł prawie luzem.

Bród pokonali bez problemów. Tua przebyła go na grzbiecie Biegana, którego Samtor, po uprzednim zdjęciu obuwia i podciągnięciu nogawek spodni, prowadził na skróconej wodzy, sprawdzając jednocześnie głębokość wody. Bystry i szerzej przy płyciźnie rozlany nurt w najgłębszym miejscu sięgał mu do kolan, krasnoludom zaś – prawie do pachwin. Aby uchronić przed zmoczeniem wiezione mienie, krasnoludy przeniosły je na barkach, robiąc po dwa kursy. Za trzecim, podziękowawszy grzecznie oferującemu swoją pomoc maginowi, we trzech, wspólnymi siłami, przeprawili przez rzekę swój wózek.

Przekroczywszy bród, znaleźli się w widłach Sumki i Gary. Gara, której źródła leżały gdzieś w północnej, górzystej części Sweinu, płynęła na południe i uchodziła do Morza Sadona. Na prawie całej długości tworzyła naturalną granicę pomiędzy znajdującą się na jej zachodnim brzegu Saria a położonymi po wschodniej stronie Ramzą oraz Morgią, a ściślej mówiąc:

wcieloną po ostatniej wojnie do Morgii zoną Swein. Znacznie krótsza i tocząca mniej wód Sumka stanowiła jej lewy dopływ. Teren pomiędzy rzekami był strefą przygraniczną, podlegającą królowi Gnejusowi.

Po minięciu rzeki trakt biegł wzdłuż północnego skraju liściastego lasu o bogatym poszyciu i bujnym runie. Z nieznacznymi załamaniem prowadził na zachód. Po jego prawej stronie jak okiem sięgnąć rozciągały się łągi z rosnącymi pojedynczo olchami, wierzbami lub kępami krzaków. Dalej na północy, już poza zasięgiem wzroku, łągi stopniowo zamieniały się w pola, które tuż przed granicą Morgii przechodziły w łagodne, zalesione iglastymi drzewami wzniesienia, a później góry zony Swein.

Szli, rozmawiając o różnych, najczęściej błażych, sprawach. Mizen i Gozen, ciekawi świata, od czasu do czasu zadawali pytania Samtorowi, który – o ile nie dotyczyły bezpośrednio jego osoby – z przyjemnością na nie odpowiadał. Jeśli uważał, że były zbyt osobiste, z uśmiechem udzielał odpowiedzi wymijających lub umiejętnie, by nie urazić uczuć pytających, zmieniał temat. Częściej też i śmielej niż wczoraj do wymiany zdań włączała się Tua, która, dostrzegłszy, że poznany towarzysz podróży nie wywyższa się i traktuje niziołki jak równych sobie, przekonywała się do niego coraz bardziej.

Pierwszy zbliżającą się traktem grupę konnych wyczuł Biegan. Jego niespokojne parsknięcie zwróciło uwagę Samtora, który po krótkiej chwili zobaczył sześciu jeźdźców wyłaniających się zza załamania lasu. Oddaleni byli o około dwieście metrów i lekkim kłusem zbliżali się do krasnoludów i magina. Ten ostatni zmarszczył czoło i jakimś dalekim wzrokiem popatrzył na

mężczyznę jadącego na czele. Dając krasnoludom znak dłonią, wysunął się z koniem do przodu.

– To grasanci. Uważajcie. Broń w pogotowiu – powiedział przyciszonym głosem do krasnoludów, które także zauważyły nadjeżdżających. – Spokojnie idziemy dalej. Skupić się przy wózku. Rozmawiam ja. W razie czego nie zaczynać bitki bez mojego sygnału.

Koczar był wciąż zły. Z tej właśnie złości i uczucia zbliżonego do żalu dziś rano bez powodu – no, prawie bez powodu – dał tęgą nauczkę Tadowi, który teraz posiniaczony, milcząc ponuro, prowadził swego konia na końcu sześćoosobowej kawalkady. Ano, właśnie, tylko sześćoosobowej i na dodatek posiekanej. A jeszcze przedwczoraj jego chewra liczyła wraz z nim, hersztem Koczarem Rudawą, siedmiu ludzi. Siedmiu, i to zdrowych. Siódemka to była dobra liczba. Ten, którego wśród nich już nie ma – Junik – był kompaniem pewnym i odważnym. Sprawdzonym nie tylko przez całe cztery lata ich junackiego wspólnego szabrunku. Jedyne on był ziomalem Koczara. Pochodził z tego samego sioła, więc prawie z rodziny. Jego brak to duża strata. Że się, mać jego gamratka, nie zorientowali. Ale przecież tak dobrze się zapowiadało.

Onegdaj, tuż przed południem naszli w lesie bartnika. Z omotaną workiem głową podkurzał pnie i podbierał podenerwowanym, brzęczącym wojowniczo pszczołom plastry miodu. Wonny dymek niesiony wiejącym w ich stronę wietrzykiem z jego załadowanej mieszanką suchej huby i próchna dymaczki zwrócił uwagę Tada. Trzeba przyznać, że ten psi wyporek co jak co, ale węch ma dobry. Po krótkiej naradzie

cicho i ostrożnie wjechali na odchodzącą od traktu wąską dróżkę. Po kilkudziesięciu metrach go zobaczyli. Wyglądało, że pójdzie łatwo. Jeszcze nie zdecydowali, czy go zabiją, czy dla uciechy, jak to często robili, tylko pomęczą i okaleczą. Pszczelarz jednak też ich zobaczył. Zamiary przybyszów nie wzbudziły w nim najmniejszych wątpliwości. Zachował się zupełnie odmiennie, niż się spodziewali. Inaczej niżli spotykane przez nich do tej pory wiejskie kmioty. Zorientowawszy się, że go otaczają, rzucił trzymany w lewej ręce podkurzacz, zdarł worek z głowy i chwycił leżący obok łuk. Był szybki i zdecydowany. Strzelił dwa razy. Obydwa strzały – niech go weźmie jasny szlag – były celne. Pierwszym trafił będącego najbliżej i już prawie najeżdżającego nań Junika, drugim – szarżującego nieopodal Czarnego Chekte. Junik dostał strzałę gdzieś w okolice wątroby i boleśnie krzycząc, spadł z konia. Zdziwionemu Chekcie, który został trafiony w prawy obojczyk, wyleciał z dłoni miecz. Bartnik nie czekał. Cisnął łuk, podbiegł do Junika, z rozbiegu kopnął go pod brodę, tak że tamten tylko dziwnie charknął, wydarł mu z ręki miecz i jednym skokiem znalazł się na grzbiecie jego konia. Łuką, która powstała po obaleniu dwóch napastników, przedarł się przez kompletnie zaskoczonych takim obrotem sprawy pozostałych członków obławy, tnąc jeszcze Junikową bronią w bok lecącego ku niemu Zezowatego Tulzę. To było naprawdę dziwne, bo Tulza też miał wyciągnięty miecz i uchodził za nader wprawnego fehmistrza. Już prawie pełnym galopem wypadł na dróżkę i skręcił w kierunku lasu. Usłyszeli jeszcze przeciągły gwizd uciekającego, a od strony barci, z boku od nich, popędził jakiś szpakowaty koń. Był osiodłany, bez jeźdźca. Opętani żądzą pomsty, przez jakiś czas gonili zbiegów. Nie złapali ani pszczelarza, ani jego luźnego konia. Pojedynczo niechali pościgu.

Zebrali się i wrócili całą grupą do swoich rannych kompanów. Był przy nich ich przywódca Koczar, który – dopiero to zauważyli – nie dołączył do ścigających. Zobaczywszy, że wracają z pustymi rękami, wściekły, powitał ich oracją:

– Macie go? Nie? No to pięknie! Zostaliście, psia mać goli, ponieważ wasze dobro poszło się dymać. Część, ta do podziału dla was, była w jukach na wałachu Junika. Zresztą należy się wam to, wy sucze syny. Tak się dać załatwić jednemu i to zaskoczonemu wieśniakowi. Prawie połowę oddziału rozwalił. Takich niby zuchów! I wy, popaprańcy, macie być chewrą?! Moją sławną chewrą?! Pieprzę takich zasańców.

– No, no, Rudawa, nie obrażaj nas, bo obrażasz i siebie. Ty też tu byłeś i go nie zmacałeś. To był chyba jakiś elf, i to z leśnych. Kto się mógł spodziewać, że tak zna się na wojaczce? A co do podziału zdobyczy... jeszcze pogadamy – odpowiedział mu z wymuszonym spokojem cieszący się uznaniem reszty najstarszy w bandzie wiekiem Borut. Był rosnym, silnym chłopem. Nigdy nie przeklinał. Nie bał się nikogo, nawet Koczara. W odróżnieniu od większości pozostałych nie był okrutnikiem, nie zależało mu również na zaszczytach w chewrze. Tkwił w niej dla gromadzenia dobytku, który był dla niego najistotniejszy. – A teraz trzeba pomóc tym. – Borut wskazał na rannych.

Zajęli się Chektą i Tulzą. Ich rany, chociaż bolesne i mocno krwawiące, nie były ciężkie. Strzała, której grot wyszedł na drugą stronę, po złamaniu dała się wyciągnąć z obojczyka. Tulza, cięty sztychem, czyli ostrym końcem głowni miecza, miał przecięte lub złamane dwa żebra. Po obfitym zdezynfekowaniu okowitą i opatrzeniu ran poszkodowanych ułożono pod jednym z drzew. Jako środek uśmierzający ból została zastosowana ta sama okowita, tym razem jednak wewnętrznie. Wstyd

doświadczonych zabijaków spowodowany porażką z jakimś tam pszczelarzem maskowały rzucane przez nich ciężkie, piętrowe wiązanki i obietnice czekającej go niechybnej pomsty.

Nad leżącym w zwiększającej się kałuży krwi Junikiem klęczał sam Koczar. Trudno uwierzyć, ale po jego czerwonej od wiatru, słońca i wypitej gorzałki, nieznaną litości, złej twarzy spływały teraz łzy. Junik był mu najbliższy, a Koczar wiedział, że cierpiący ziomek umiera. Głęboko wbita i wciąż stercząca z brzucha strzała nie była możliwa do usunięcia. Próba, którą podjął, spowodowała, że ranny przeraźliwie krzyknął i chwilowo stracił przytomność. Po jej odzyskaniu wychrypiął prośbę o picie. Z przystawionej mu do ust manierki pociągnął dwa duże łyki. Trudno było powiedzieć, czy wypita wódka sprawiła mu ulgę. Jego oddech stawał się coraz krótszy, urywany. W pewnej chwili otworzył oczy, spojrzał na Koczara i wyszeptał:

– Nosił wilk razy kilka...

To były jego ostatnie słowa. Spazmatycznie ścisnął jeszcze rękę Rudawy, twarz mu się wypogodziła i umarł. Po prostu umarł.

Pogrzebali go na tej samej polance, na której został postrzelony. Pod krzakiem rosnącego dziko czarnego bzu. Potem wsiedli na konie i w napotkanej najbliższej wsi – na szczęście miała gospodę – urządzili stypę. Godną. Pogonili z izby wszystkich. Koczar sypnął garść srebra. Szynek nakrył stół, podał gorzałkę i jadło. Pomocnik karczmarza zajął się końmi. Jedli mało, głównie pili i gadali. Wspominali i pili. Pili i milczeli. Ostatni spadł z ławy Borut.

Rankiem następnego dnia nie chciało im się żyć. Kociokwik był tak straszny, że uleczyć go mógł tylko klin. Z obrzydzeniem wypili.

Chyba trochę pomógł. Pojedli ciepłego, kwaskowatego żuru, pokręcili się bez celu i poszli do stodoły spać. Zmorzył ich ciężki, pijacki sen.

Rudawa obudził się nad ranem. Głowa, co uznał za sukces, go nie bolała, lecz żołądek, poddany ciężkiej próbie, wyraźnie się buntował. W myśl mądrości, że zawodowcy nie rzygają, uspokoił go, pociągając z manierki długiego łyka. Zebrał się i poczłapał do wygódki. Po wyjściu z niej zajrzał do koni. Stały w stajni rozsiodłane i oporządzone. Derki i siodła leżały przy żłobach. Podeszedł do studni i obmył się w stojącym przy niej korycie. Wtedy właśnie dopadła go paskudna myśl, że kompani przestają go szanować. Przestają się go bać. Aż nim zatrzęsło, tak się tym zdenerwował.

Ze stodoły, ziewając, wynurzył się Tado. Rudawa skinął na niego. Ten, jeszcze dobrze niewybudzony, nie zareagował. Tego dla Koczara było już stanowczo za dużo. To było najlepsze potwierdzenie jego domysłów. Przychylony podeszedł do niego i bez uprzedzenia uderzył. Cios zadany pięścią prawej ręki trafił pod lewe oko. Zaskoczony Tado upadł.

– Co ty? Za co? – zdążył wyjęczeć, nim posypał się na niego grad uderzeń i kopnięć.

– Za to, że przez ciebie, psi synu, zginął Junik! Jakbyś nie wyczuł dymu, by żył, ty ścierwo! Ja cię nauczę moresu! – zawył i ponowił uderzenia i kopniaki. Był jak w amoku. Chybaby zabił, gdyby pozostali, zwabieni odgłosami kaźni, go nie odciągnęli i nie przytrzymali. Nie zapytali o nic, nie skomentowali, ale w milczeniu odwracali od niego wzrok. Nawet obfite śniadanie nie poprawiło ciężkiej atmosfery.

Po posiłku, przy którym nikt z wyjątkiem nadrabiającego miną Koczara nie sięgnął do usługnie napełnionych przez

szynkarza szklanek, w milczeniu wyszli z izby. Rudawa, który pozostał, wypił jeszcze jedną szklanicę i rzucił na stół kilka srebrnych monet. Czuł, że nie jest dobrze, że zjednoczyli się przeciw niemu i mają głęboki żal. Nie o bitkę z pszczelarzem, nie o odniesione rany. Nawet nie o stracony łup. Mają żal o pobicie Tada. W głowach utkwilo im, że przecież każdy z nich mógł znaleźć się na jego miejscu, zostać przy wszystkich poturbowany i zmieszany z błotem właściwie za nic. Stracić mir we własnej partii... Ale tak było trzeba, muszą wiedzieć, kto tu rządzi. Mają się go bać i słuchać.

Zarządził wyjazd. Kierowali się w stronę Sumki. Rudawa liczył, że na trakcie napotkają jakiś kupiecki wóz lub bogatych podróżnych, których będzie można obrobić. Napad i pozyskanie łupu, nawet niewielkiego, a może – jeśli dopisze szczęście – pofiglowanie z napotkanymi tam niewiastami mogły rozładować napiętą atmosferę.

Jechali, ponuro milcząc. Jego podwładni wciąż się na niego boczyli. Wypoczęte konie co jakiś czas chętnie przechodziły ze stępa w kłus. Wyjeżdżając zza kolejnego łagodnego załamania traktu, zobaczyli przed sobą małą grupkę. Początkowo wyglądało, że jest to prowadzący konia mężczyzna, któremu towarzyszą ciągnące wózek dzieciaki. Pomyłkę swą spostrzegli po małej chwili. Był to jeden człowiek, ale nie z dziećmi, lecz z czwórka krasnoludów. Jeszcze lepiej. Wiadomo, że nieludzi trzeba tępić, a zadający się z nimi człek też zasługuje na specjalne potraktowanie. Rudawa pomyślał, że ma szczęście. Znał swoich. Do takich robótek aż się palą. Nie jest im potrzebna żadna dodatkowa zachęta. Lubią zabijać, lubią cudzy ból, strach i krew. Taka rozprawa zaraz odmieni ich nastrój. A jak się jeszcze w wózku trafi coś wartościowego, będzie jak dawniej. Odda im

z niego wszystko. Dla siebie już zdobył sporo. Zabranie przez bartnika Junikowego konia było dla niego wspaniałą okazją, by zagarnąć należną im część łupu z poprzedniego rozboju. Już od trzech dni przemyślał, jak to zrobić. Zdobyć była pokaźna i poręczna, nęcąca. Złoto, srebro i szlachetne kamienie w wyrobach od bogatego jubilera z Getyny. Po napadzie musieli jednak szybko się wynosić, ponieważ zrobiło się wokół nich zbyt gorąco. Uciekali do Ramzy, w której, miał nadzieję, już nieco uspokoiło się po złupieniu i wyrznięciu ze dwa i pół miesiąca temu wspólnie z bandą elfów dużej karawany kupieckiej. Żywa dusza z tej rzezi nie uszła. Konie, muły i część łupów sprzedano. Wozy z resztą dobra zostały ukryte przez Zemela, przywódcę elfiej bandy. Nie obawiał się o należną im jeszcze część, bo znali się długo i niejedną raz wspólnie zbójowali. Dobrze im razem szło, chociaż elfowie to też Nieludzie. Ci od Zemela byli im jednak jakby trochę bliżsi niż pozostali, poza tym byli śmiali i zacięci, a także na zbójcecki sposób honorowi.

Tymczasem zbliżali się do grupki podróżnych. Nie musiał nic mówić swoim kompanom. Odwrócił się tylko i omiótł ich znaczącym spojrzeniem. Zrozumieli go w lot. Nie zmienili ani tempa jazdy, ani swojego szyku, ale się lekko ożywili. Wiedzieli, co za chwilę nastąpi, i cieszyło to ich.

Pewni siebie, zajęchali idącym drogę. Ufni w przewagę, nawet ich nie okrążyli. Tym bardziej, że jedyny człowiek, trzeba przyznać postawny i chyba sprawny we władaniu bronią, szedł pieszo. Krasnoludy, wyglądało, że wylękłe, skupiły się przy skrzyni wózka.

– A dokąd to towarzystwu tak spieszno? – zaczął butnie Rudawa. – Nawet pytać nie będę, co tu wieziecie. Z pewnością jak zwykle dobra skradzione ludziom. Bo wszystkie krasnoludy to

złodzieje. Zaraz się i tak o tym sami przekonamy. No, to dopadła was, podle grabieżce, sprawiedliwość. A ty, jak widzę, bratasz się z tymi chędożonymi nieлюдziami? – ciągnął, zwracając się do towarzyszącego krasnoludom człowieka. – Pewnie tyleś wart, co i oni. Ciebie ukarzę dla przykładu sam.

Zanim miał dać sygnał do ataku, chciał jeszcze coś powiedzieć. Nagle wbrew sobie zamilkł. Stojący za prowadzonym koniem mężczyzna, który początkowo omiół uważnym wzrokiem pozostałych członków bandy, teraz patrzył na niego. Koczar poczuł to spojrzenie aż gdzieś w środku głowy.

– Idziemy do Sarii – rzekł tamten spokojnie, lecz z naciskiem, patrząc gdzieś nieco ponad oczy, na środek czoła Rudawy. – Puście nas, bo nic złego ani wam, ani nikomu nie zrobiliśmy. Pojedziecie teraz swoją drogą, my pójdziemy swoją. Zabierzesz podległych ci ludzi i zadbasz, by nie zawrócili za nami, bo nie ma ku temu żadnego powodu. Dopilnujesz tego. Nie chcecie nam przecież zrobić żadnej krzywdy.

– Tak, panie. Nie chcemy. Dopilnuję. Idźcie spokojnie dalej, a my pojedziemy w swoją stronę – powtórzył zgodnie Koczar Rudawa, po czym zwrócił się do zupełnie nierozumiejącej, co się dzieje, pozostałej piątki i prawie normalnym głosem zakomenderował: – Nie tykać broni. Zbierać się. Nic tu po nas. W drogę. To porządni podróżni.

Dziwne, posłuchali go. Z wewnętrznymi oporami, ale się podporządkowali. Najtrudniej przyszło to najmłodszemu z nich, jasnowłosemu Zebowi, który trzymając dłoń na rękojeści miecza, wlepił wzrok w najmniejszego z czwórki krasnali. Rudawa, patrząc na niego, groźnie syknął:

– Widzę. Nawet nie próbuj, bo sam cię ubiję jak psa!

Zaskoczony Zebo, spoglądając nienawistnie na Koczara, cofnął rękę od miecza i z wściekłością szarpnął wodzami konia. Przywódca mierzył kompanów twardym wzrokiem. Zaczekał, aż ostatni z nich odjedzie. Nim skierował za nimi swego ogiera, jeszcze raz, jakby przyciągnięty magnesem, spojrzął w twarz będącego z niziołkami człowieka.

Poczuł się dziwnie mały i nędzny. Ruszył, nie oglądając się więcej na zaczepionych przed chwilą podróżnych. Rodzina krasnoludów odprowadzała bandę oniemiałym wzrokiem. Cała czwórka, jeszcze wzburzona grożącym niebezpieczeństwem, była zaskoczona i zdumiona tak szczęśliwym zakończeniem incydentu. Nie mogli pojąć, jak to wszystko się stało. Ich zdziwienie mimo wszystko było chyba jednak nieco mniejsze niż podwładnych Koczara Rudawy. U tych ostatnich mieszało się z wściekłością.

Rudawa czuł się trochę znużony. Pobolewała go głowa. Nie tak jak po alkoholu, jakoś zupełnie inaczej. Już od dość długiego czasu znajdował się na czele swej partii sam. Podlegli mu grasanci jechali za nim w oddaleniu dwudziestu kilku metrów. Poruszali się zwartą grupą, prowadząc przyciszoną, ale ożywioną, rozmowę. Wyglądało, że chcą przed nim ukryć jej treść. Byli za daleko, by mógł zorientować się, o czym dyskutowali, docierały do niego bowiem tylko głośniejsze wypowiedane przekleństwa. Był jednak pewny, że temat stanowiły wydarzenia ostatnich dni i godzin. Nie przejmował się ich gadaniem. Żywił przekonanie, że zawsze da sobie z nimi radę. Żeby znowu poczuli przed nim strach, chyba powinien powtórzyć nauczkę, jaką dał rano Tadowi. Tak, teraz zdecydowanie należałaby się ona Zebowi. To przywróci

towarzystwu dyscyplinę. Tylko dlaczego oni, jak już kiedyś... No nic, trzeba będzie z nimi najpierw pogadać.

Przed brodem na Sumce zarządził odpoczynek.

Zsiedli z koni, nie rozkulbaczając ich. Niektórzy jedynie wyjęli im z pysków wędzidła, by mogły się popaść. Sami nie sięgnęli do prowiantu zabranego przed wyjazdem z gospody, chociaż dobrze opłacony karczmarz nie pożałował chleba, wędzonego boczku i cebuli. W manierkach też nie chlupotała woda. Coś nie mieli apetytu.

Po rozkiełznaniu swojej klaczki Borut zbliżył się do siedzącego oddzielnie herszta.

– Musimy pomówić. Wszyscy. Wyjaśnić trochę spraw i to teraz – powiedział swoim niskim, opanowanym głosem.

– I ja tak sądzę. Coś ostatnio wam różki urosły. Trzeba będzie je przytrzeć – odparł Rudawa na tyle głośno, by go usłyszeli pozostali.

– Nie prowokuj, ja do ciebie poważnie. Nazbierało się kilka pytań, na które należą się nam odpowiedzi.

Rzekłszy to, Borut odwrócił się do spoglądających na nich pozostałych członków bandy. Nie czekając na aprobatę przywódcy, skinął przywołująco ręką. Podeszli bez zwłoki, jakby na to czekali.

– Siadajcie. – Rudawa przejął inicjatywę. – Co was znowu gnębi? Mówcie, tylko po kolei. I baczcie, z kim rozmawiacie. Bo chamstwa i braku posłuszeństwa nie ścierpię.

Usiedli półkręgiem naprzeciw niego. Zlustrował twardym wzrokiem ich ponure, złe twarze. Nie pospuszczali głów i nie odwrócili oczu. Nie wróżyło to dobrze.

– No, wiara, przed rozmową wypijmy, będzie nam wszystkim łatwiej. – Rudawa sięgnął po manierkę, odkręcił ją, wypił łyk

i chciał podać Borutowi. Ten nie wyciągnął ręki.

– Może później. Po wyjaśnieniu bolączek. Na razie wódka z tobą może nam nie posmakować – powiedział, spoglądając mu beczelnie w twarz. – Teraz chcemy się dowiedzieć, co się dzisiaj stało na drodze. A w zasadzie nie co, bo to wiemy, tylko dlaczego wstrzymałeś napad i kazałeś nam odjechać? Wyglądało, że gotów byłeś nas tam nawet pozabijać. Wytłumacz się.

Paskudnie. Jego pojednawczy gest został odtrącony. Nie był przygotowany na to i na zadane wprost pytanie dotyczące niedawnego incydentu. Sam nie rozumiał, czemu tam, na trakcie, tak postąpił. Co gorsza, nie wiedział, co im teraz odpowiedzieć. Przecież bardzo chciał, by kogoś spotkali i obrobili. Gdy zobaczył tamtą grupkę, ucieszył się, że napad, nawet jeśli zdobycz będzie kiepska, poprawi zły nastrój w chewrze. Zatrze pamięć o przedwczorajszych oraz dzisiejszych porannych wydarzeniach. Już nawet rozpoczął z krasnoludami i tamtym człowiekiem słowną zaczepkę. I nagle się w nim wszystko zmieniło. Poczul nieodparty, niewytłumaczalny mus zostawienia ich w spokoju. Więcej – ochrony tamtych przed swoimi rezunami.

– Co tam jacyś krasnale i wyrostek na drodze. Na pewno groszem nie śmierdzieli, bo i skąd. – Rudawa usiłował bagatelizować sprawę. – Znacie mnie, jakby było warto, przecież nie odpuściłbym, ale...

– No właśnie, całkiem nieźle cię znamy, Koczar – przerwał mu stanowczo Borut, który najwidoczniej przejął rolę rzecznika reszty. – Więc nam nie szkluj, tylko gadaj prawdę, bo nie damy się zbyć. Był tam piękny ogierek z siodłem i pełnymi jukami, był wyładowany wózek. Niziołki i dorosły człowiek, a nie, jak rzekłeś

wyrostek, byli dostatnio ubrani. Jesteśmy pewni, że ich kieski też nie były puste.

– Przy koniu wisiały miecz i łuk. Widziałem jego łączysko; kompozytowe, z trzech rodzajów drewna. Łuk refleksyjny, klejony, wart nie mniej niż dwa konie. To też, jebiona jego mać, nic cennego? – prawie wykrzyczał Zezowaty Tulza, nie wiadomo, z jakiej przyczyny bardziej wściekły: czy na Rudawę, czy z powodu bolących, uszkodzonych mieczem w starciu z bartnikiem żeber.

– Wśród niziołków była niestara krasnoludka. Całkiem ładna. Gdyby ten zgrzybiały wałach nas nie odgonił, mogliśmy mieć wszyscy niezłe rypanko – poinformował pozostałych Zebo, wskazując oskarżycielsko na Rudawę.

Tego dla Koczara było już stanowczo za wiele. Przekroczyli swoje prawa. Nie chciał już się tłumaczyć, tylko dać im nauczkę. W końcu jest hersztem tej hołoty. Tak jak sobie wcześniej postanowił, zacznie od Zeba, i to od razu. Kiedy jednak zaczął wstawać, siedzący najbliżej Borut i Tado znienacka, równocześnie – jakby byli umówieni – pochyłili się ku niemu, uchwycili go za ramiona i zmusili do zostania w pozycji siedzącej. Był silny, ale zrozumiał, że tym dwóm nie poradzi. Posiniaczona twarz Tada nie wróżyła niczego dobrego. Inni tylko czekali, by się włączyć w akcję przeciwko niemu. Krótko trwała ta bezgłośna próba sił. Pokonali go. Gdy przestał się szarpać, lekko zasapany Borut wycedził:

– Siedź, przywódco, dotąd nie odpowiedziałeś na zadane ci pytanie. A oprócz niego jest jeszcze kilka innych. Ja mam na przykład takie: po ucieczce pszczelarza powiedziałeś, że nasza część łupu od jubilera przepadła. Tak się złożyło, że tuż przed napatoczeniem się na tego bartnika rozmawiałem z Junikiem.

Wiesz, co on powiedział? Że cały łup jest w twoich sakwach. W dwóch niebieskich torbach. Jedna dla ciebie, druga dla nas. Ja widziałem dziś te torby. Kiedy ładowałeś boczek, kiełbasę i chleb, nie wiem, czy zauważyłeś, że byłem niedaleko ciebie. To jak jest naprawdę z tą naszą częścią, wodzu? Żeby nie było wątpliwości, idź no, Zebo, i zerknij do juków naszego przyjaciela.

Od momentu uniemożliwienia mu powstania Koczar rozumiał, że nie są to przelewki. Trochę stracił rezon, ale wciąż myślał, iż się wywinie. Po pytaniu o łup zaczął się bać. Nie docenił swoich podwładnych. Zebo już kierował się do jego ogiera.

– Zaczekajcie! Wtedy był taki rejwach, że wszystko mi się pokręciło. Tak! Właśnie przypomniałem sobie, że miałem dopiero zamiar dać Junikowi waszą część, byście się podzielili. Rzeczywiście, jest ona jeszcze u mnie. Oczywiście, natychmiast wam ją przekazę. Po poranieniu was byłem tak poruszony, że nie wiedziałem, co gadam. – Rudawa usiłował go wstrzymać. Zdawał sobie sprawę, że złapali go na najgorszym. Na okradaniu ich. Tego nie odpuszczają. Właśnie zrozumiał, że teraz idzie walka o życie. Jego życie. Czort go podkusił z tymi zasranymi błyskotkami.

– Łziesz, Rudawa, łziesz jak jakiś pies. Niejeden już z nas był ranny, a kilku dawno ziemię gryzie. Nigdy się nami nie przejmowałeś. Zawsze traktowałeś nas jak łajno i rzucałeś nam ochłapy jak z łaski. Ot, chciałeś po chamsku zwędzić naszą dolę – skwitował jego wypowiedź Tado i nagle zmienił temat: – Za co mnie, kuźwa, pobiłeś? Pieprzyłeś, że z mojej winy zginął Junik? Ja tylko wyczułem tamten dym. To ty skierowałeś nas na bartnika. Zmasakrowałeś mnie, bydlaku, bez powodu. Nie możesz być dalej hersztem. Nazbierało się. Już ci nie wierzę ani ja, ani inni.

– Zabić takiego syna. Dosyć sobie u nas nagrabił – włączył się Chekta Czarny. – Damy sobie radę bez niego. I to lepiej niż z nim.

Wszyscy zaczęli gardłować jednocześnie. Przypominali doznane od niego krzywdy. Padały pogrozki. Złorzeczyli i lżyli go. Zrobił się niezły szum. Brali odwet za doznane w minionym czasie upokorzenia, za podle traktowanie. Koczar stracił cały kontredans. On, twardy, jeszcze rano wydawało się, niezagrożony niczym herszt bandy, bał się coraz bardziej. Wpadł jak śliwka w kompot i czuł, że ma coraz mniejsze szanse na wydostanie się ze zgotowanych mu przez kompanów tarapatów. I za co? Rozpatrując pojedynczo – za błahostki. Dyskretnie przesunął rękę do tkwiącego za pasem puginału. Nie zdążył go nawet wydobyć. Przyglądający mu się bacznie Tado zerwał się i uderzył go pięścią w grdykę, tak że prawie stracił przytomność. Ciężko osunął się na trawę, z ręką ściskającą sztylet.

– Takiś jest, ścierwo! Z nożem na nas! Patrzcie, wiara, co chciał zrobić! – rozwrzeszczał się ten, co wymierzył mu cios.

Zabrali leżącemu Rudawie broń, otoczyli i zaczęli kopać. Mocno, brutalnie, tak aby bolało.

– Stać! Stać! Przestańcie! – Borut zdecydowanie odepchnął ich od niego. Wzniósłszy ręce, krzyknął: – Tak nie można! W tej sytuacji trzeba zrobić sąd i postanowić, co z nim.

Miał u nich mir. Posłuchali go. Spoglądając mściwymi, rozognionymi oczyma na usiłującego się podnieść, pokrwawionego Koczara, odstąpili. Przed chwilą poturbowany przez nich, zbierający się niemrawo z ziemi przywódca zdawał się być kimś innym. Zawsze traktujący ich z góry i z dystansem, groźny, teraz dziwnie w ich oczach zmałał. Nie był już potrafiącym siać postrach hersztem chewry. Był tylko przestraszonym, zaskoczonym tempem zachodzących zdarzeń,

pobitym człowiekiem. Ale nie budził w nich współczucia. Zbyt byli na niego wściekli. Rozpalone niedobre emocje nie zostały jeszcze zaspokojone.

– Kto będzie prowadzić rozprawę? – zadał pytanie Borut.

Wybrali go przez aklamację. Był najstarszy i cieszył się ich uznaniem.

Przyjął wybór bez certowania się, ale się nie spieszył. Popatrzył na nich i rzekł:

– Sąd to sąd. Nawet nasz, zbójcki, nie może się odbyć na chybcika i z gniewem. To nie zemsta, ale czynienie sprawiedliwości. Wy dwaj... – Wskazał na Tada i Zeba. – ...miecze w garść i pilnować podsądnego, żeby nie było kłopotów. Ostrzegam cię, Rudawa, nie rób głupstw i nie próbuj uciekać. Nie uda ci się to, a tylko pogorszy twoje położenie. Wybierz sobie obrońcę, bo ci się to należy. Zastanów się, wiesz, o co sprawa idzie. Waż słowa i broń się prawdą, bo apelacji nie będzie.

Koczar wiedział. Jak przez mgłę przypomniał sobie podobną sytuację. Ponad dwa lata temu to przecież on i Junik namówili kompanów z chewry do buntu przeciwko byłemu, nienawidzonemu przez nich, hersztowi. Poszło, jak to bywa najczęściej, o podział łupów. Miał wtedy trzydzieści trzy lata i prawie dwuletni okres pobytu w bandzie. Znalazł się w niej nie przypadkiem. Po karnym wyrzuceniu go z legionu, gdzie przez osiem długich lat dosłużył się stopnia dziesiątnika, nie chciał wracać do rodzinnej wioski. Zapachniały mu lekki chleb i barwniejsze życie. Z zabijaniem i grabieżą spotkał się już podczas wojaczki. Podobało mu się jedno i drugie. Ale najbardziej – towarzyszące temu pijatyki i nierzadko zdarzające się pochędźki. Podobnie myślał Junik, towarzysz z legionu i ziomek z tej samej wsi, któremu skończył się akurat okres wysługi.

Dogadali się. Trafiło się im i przystali do partii Żuronia. Wtedy skład jej był inny. Do dziś z tamtych weteranów zostali tylko Borut i Tado. Niektórzy, wykonując tę, nie zawsze bezpieczną, profesję, stracili żywot, część z różnych powodów odeszła, a bandę uzupełniali coraz to nowymi chętnymi kompanami. Przyłapawszy byłego przywódcę na ukrywaniu zdobytego dobra i oszustwach przy dzieleniu go, zrobili nad nim sąd. Wyrzygali mu wszystko, co ich bolało, a w końcu powiesili. Jego, Rudawę, wybrano wtedy na nowego herszta. Był z tego niezmiernie dumny. Obiecał sobie i innym, że za jego rządów będzie inaczej: sprawiedliwie i po bratersku. Na początku tak właśnie było. Później zaczął kombinować, po cichu zwiększać swój udział w grabionym mieniu. Z czasem odsunął się od reszty i stał się nie mniejszym okrutnikiem niż powieszony przez nich poprzedni przywódca Żuroń. Nawet Junik, na którym zawsze mógł polegać, ostatnio jakby oddalił się od niego, a bliżsi stali się mu Borut i Tado.

Junik. Gdyby żył, on byłby jego obrońcą. Nie! Przecież jeżeliby tu był, w chewrze nigdy by nie doszło do buntu. Powstrzymałby ich, powiadomił go wcześniej o spisku, by mógł zareagować. Niestety, nie ma Junika. Nie ma tu nikogo, kto chciałby za nim stanąć.

Bez łaski, sam będzie swoim adwokatem, choć z pewnością i tak to już nic nie da. Zna tych krwiożerczych zbirów. Osobiście ich uczył, by wrogów nie zostawiać przy życiu, bo będą się mścić. Ostatnia nadzieja to Borut. Nie lubi Koczara, ale jest z nich najsprawiedliwszy.

Na życzenie nowo wybranego sędziego przenieśli się kawałek w głąb lasu. Znaleźli polanę z obaloną przez wiatr lub starość bukiem. Ci z grasantów, co nie pilnowali więźnia, przeprowadzili

w jej poblize pasące się konie. Bez zwłoki rozpoczęli sąd. Borut zasiadł na leżącym pniu, reszta – wokół, na miękkiej leśnej ściółce. Rudawę usadzili w środku utworzonego przez nich półokręgu.

Na pytanie, który z nich ma go bronić, Koczara, ukrywający bojaźń i bezsilę pod maską udawanej pewności siebie, zaprotestował, że nie mają prawa go sądzić, ponieważ jest ich przywódcą. Po kulturalnej replice, aby lepiej zawarł gębę, niż miał mleć ozorem po próżnicy, oznajmił, że sam będzie swoim obrońcą.

Po kolei obarczali go zarzutami. Wskazany przez Boruta mówił, pozostali zaś zgodnie potakiwali, że to, co słyszą, jest szczerą prawdą. Po nim zaczynał następny. Wywlekali wszystko, od dziada pradziada. Podejmowane przez Koczara próby obrony, obalania stawianych mu oskarżeń nie trafiały do nich lub były kwitowane mniej lub bardziej wulgarnie. Nie chcieli go słuchać, nie zamierzali uwzględniać jego argumentów. Po krótkim czasie zrozumiał, że w ich sercach i głowach wyrok jest już gotowy. Przestał się bronić, opuścił głowę i zamilkł. Przed oczami stanął mu obraz sprzed dwóch lat, kiedy w podobny sposób jak on teraz sądzony był Żuroń. Też wypomnieli mu wtedy wszystko. Od niefortunego napadu na pewną oberżę w jednej z osad Sarii, skąd otoczeni przez elfów i niziołki musieli w niesławie rejterować, tracąc podczas ucieczki dwóch kompanów, aż do drobnego incydentu, gdy nie podzielił się z nimi wiejską dziewczyną, którą na dwa dni i dwie noce zatrzymał tylko dla siebie, a potem dla rozrywki okrutnie okaleczył. Pamiętał, że sam nie czuł dla niego litości i jak inni, mściwie, opowiedział się za jego śmiercią. Nigdy, nawet w najgorszych myślach, nie dopuszczał, że jego, Koczara Rudawę, może spotkać to samo.

Tchórzem nie był, ale zdawał sobie sprawę, co postanowili i że od ich wyroku nie będzie odwołania, dlatego zaczynał czuć panikę. Trudno jest, będąc w kwiecie wieku i mając jeszcze tyle życiowych planów, zaakceptować własną tak nagle, tak niespodziewanie nadchodzącą śmierć. Pogodzić się z tym, co nieuchronne. Nie, nie podda się bez walki. Jeśli już musi zginąć, zabierze ze sobą jednego albo dwóch swoich oprawców. Teraz jednak zachowa spokój. Niech myślą, że zrezygnował z oporu.

Po wysłuchaniu wszystkich Borut zreasumował wniesione przez nich inkryminacje. Skończywszy wywód, przeniósł wzrok z Koczara na Tada i zapytał:

- Winny?
- Winny – odpowiedział Tado.
- Jaki wyrok?
- Śmierć.

Tak samo odpowiedzieli Czarny Chekta, Zezowaty Tulza i Zebo. Żaden z nich się nie zawahał.

– A więc śmierć. Słyszałeś, Rudawa? Nie wolno okradać podwładnych, nie wolno ich poniżać, nie wolno bez powodu bić. Zaczynając dwa lata temu przewodzić, co innego nam obiecywałeś. Nie dotrzymałeś słowa. Byłeś złym hersztem, chyba nawet gorszym od Żuronia. Dziś nastał czas rozliczeń. Powiesimy cię. Tu i teraz. Zasłużyłeś.

Koczara podniósł rękę, dając znak, że chciałby coś powiedzieć. Pozwolili mu. Byli ciekawi, czy zacznie się usprawiedliwiać, przeproszać, błagać, by darowali. Chcieli napawać się jego poniżeniem. Powoli, niezgrabnie, jakby obolały po pobiciu, podkurczył nogi, starając się podnieść. Aby ułatwić sobie wstawanie, lewą ręką oparł się o ziemię, prawą położył na kolanie. Przychylił tułów i zaczął się dźwigać. Nagle sięgnął za

cholewę wysokiego buta. Wyciągnął niewielki, wąski sztylet i jak prostująca się sprężyna skoczył na siedzącego w pobliżu Zeba. Jednym ruchem podciął mu gardło. Nie zwracając uwagi na efekt, zwrócił się do najbliższego mu, wrednego Tada. Już wziął zamach, by wbić mu nóż w brzuch, gdy poczuł tępe uderzenie w głowę i stracił przytomność.

Oprzytomniawszy, stwierdził, że nie może się poruszać. Był związany. Nie wiedział, jak długo leżał bez czucia. Bolało go całe ciało, ale najbardziej głowa, w której gdzieś z tyłu czuł dotkliwe pulsowanie. Czekali, aż się ocknie.

– Co się stało? – zapytał niewyraźnie, spostrzegłszy sylwetki stojących nieopodal czterech członków chewry. I nagle wszystko mu się przypomniało.

Borut, zauważywszy, że herszt otworzył oczy, postąpił ku niemu. Z perspektywy leżącego wydał się niezmiernie duży. I groźny.

– No, Rudawa. Śmierć przez powieszenie jest dla ciebie za dobra, za szybka. Zabiłeś Zeba. Podniosłeś rękę na Tada. Tę rękę, która nas okradała. Teraz, żeby było sprawiedliwie, najpierw ci ją obetniemy. Potem przywiążemy cię do martwego Zeba i żywcem pochowamy.

Złapali go i powlekli do leżącego buka. Posadzili przy nim, rozcięli więzy i prawą jego rękę położyli na pniu. Założyli mu na przegub pętlę, a stojący po drugiej stronie drzewa Zezowaty Tulza naciągnął linkę. Koczar nic już nie mógł zrobić, poczuł tylko ogromny strach i żal. W takim stanie dokonał ostatniej, jakże trafnej, konstatacji, że jego historia zatoczyła koło, że los i fortuna zakpiły z niego, zwracając mu z naddatkiem to, czym dotąd hojnie obdarowywał innych.

Tado z podłym, sadystycznym uśmieszkiem, spoglądając na Rudawę, podniósł topór, a następnie gwałtownie go opuścił.

Przerażony Koczar spostrzegł, że broczy krwią, a jego przywiązana do linki dłoń wraz z prawie połową przedramienia wolno zsuwa się na przeciwną stronę bukowego pnia. Zdążył jeszcze zauważyć biały pobłysk zgruchotanej kości i w tym samym momencie doznał niewyobrażalnego bólu. Ból ten towarzyszył mu do końca. Nawet po tym, kiedy coraz grubsza warstwa ziemi pokrywała jego ciało oraz wykrzywioną grymasem męki i straszliwej grozy twarz, tłumiąc jego nieludzkie wycie.

Po sądzie, dokonanej egzekucji i pogrzebaniu nieżyjących pozostała czwórka wsiadła na konie i oddaliła się od będącej świadkiem tragicznych zdarzeń polany. Na trakcie po naradzie skierowali się w stronę brodu pobliskiej Sumki. Zezowaty Tulza i Czarny Chekta prowadzili dwa osiodłane luzaki, które jeszcze przed kilkoma godzinami stanowiły własność Rudawy i Zeba. Prawie nie rozmawiali ze sobą. Mimo wewnętrznego przekonania, że postąpili, jak należało, każdy z nich czuł pewien niesmak. Co innego zabijać obcych, a co innego wykonać wyrok na swoim, nawet jeśli na to zasłużył. Musieli przetrwać dopiero co minione wydarzenia. Odpowiedzieć sobie na pytanie, czy mimo wszystko nie postąpili z byłym hersztem zbyt okrutnie, odżalować najmłodszego z nich Zeba, a także postanowić, co będzie dalej z pozbawioną przywódcy, o prawie połowę mniej liczną chęwą.

Przekraczając bród na Sumce, napoili konie. Kilkaset metrów dalej, nieco w bok od traktu, napotkali ślady czyjś obozowiska. Decyzja o zatrzymaniu zrodziła się sama.

Rozkulbaczyli konie, zdjęli im uzdy i puścili na trawę. Rozpalili ognisko i na patykach opiekli kawałki boczku, kiełbasy i chleba. Podczas jedzenia Borut puścił w obieg manierkę. Pociągali chętnie, ze smakiem. Dopiero po posiłku, a szczególnie po wódeczce, której działanie złagodziło obrazy ostatnich dramatycznych godzin, zaczęli rozmawiać o tym, co zaszło. Użalili się nad bestialsko zarżniętym Zebem. Upewnili się wzajemnie, że Rudawa za swe niegodziwości w stosunku do nich i bestialskie zabicie Zeba został ukarany tak, jak na to zasłużył. Następnie przeszli do spraw najważniejszych. Ustalili, że zostają razem. Nowym hersztem, po odmowie przyjęcia tej godności przez Boruta, został wybrany Tado. Dumnie przyjął zaproponowaną mu funkcję. Już widział siebie w roli sprawiedliwego, rzutkiego i odważnego przywódcy.

Po krótkiej dyskusji zrezygnowali z pościgu za krasnoludami. Postanowili jechać do bandy elfa Zemela w celu odebrania należnej im z napadu na karawanę kupców reszty zdobyczy. Przejrzeli sakwy Rudawy i Zeba, sprawiedliwie dzieląc się dobrem, które w nich znaleźli. Było go dużo. Znacznie więcej, niż się spodziewali. Zadowoleni z podjętych decyzji, uspokojeni rozmową i wzmocnieni krążącym we krwi alkoholem, obmyli się w rzece, wyznaczyli kolejność wart, a chociaż do nocy było jeszcze całkiem daleko, znużeni wrażeniami mijającego dnia, ułożyli się do snu.

Po szczęśliwym uniknięciu masakry Samtor i rodzina krasnoludów kontynuowali marsz w kierunku Gary. Początkowo nie rozmawiali na temat tego, co zaszło. Starali się ochłonać. Po

kilku minutach Tua, idąca jak poprzednio obok magina, chwyciła go za dłoń i patrząc mu w twarz, powiedziała:

– Dziękuję. Z serca dziękuję ci, Samtor, za życie moich dzieci, męża i swoje. Gdyby nie ty, mogłaby mieć miejsce tragedia.

Ten położył dłoń na jej ramieniu i na moment przytulił do siebie.

Wypowiedź krasnoludki była hasłem do przerwania ciszy. Zaczęli mówić wszyscy razem, jakby pękła jakaś tama. Czuli konieczność wylania nagromadzonych emocji, podzielenia się swymi odczuciami. Chcieli zapewnić siebie i magina, że się nie bali i byli gotowi do walki. Samtor milczał, uśmiechając się. Rozumiał ich stan ducha po przebytych niebezpieczeństwie. Nie przerywał im. Wiedział, że muszą odreagować.

W pewnej chwili najmniej mówiący na temat niedawnego incydentu, będący przy dyszlu wózka, Eyan zarządził postój, stwierdzając, że nie wie, czemu, zaschło mu w gardle i musi się napić. Mizen i Gozen nagle poczuli, że są nie tylko spragnieni, ale i głodni. Nadzwyczaj zgodnie wszyscy zeszli z traktu i rozsiedli się na miękkim leśnym podłożu. Poszły w ruch butelki z kawą. Tua wyjęła z wózka podróżny prowiant. Poczęstunek zaczęła od Samtora.

Eyan, napiwszy się kawy, wykorzystując moment, że Tua obdzielała jedzeniem synów, skinął na magina i podszedł z nim do wózka. Tam pokazał mu przymocowane do bocznych burt trzy topory. Dwa z nich były jednoostrzowymi czekanami na styliskach mających po około osiemdziesiąt centymetrów długości, trzeci był dwuręcznym labrysem o dwóch ostrzach. Wszystkie tkwiły w zmyślnych uchwytach, pozwalających na ich błyskawiczne wydobycie. Na pierwszy rzut oka widać było, że są

wspaniale wywecowane, drewniane trzonki toporów zaś – wypolerowane przez często trzymające je dłonie.

– No, no – rzekł z podziwem magin. – Ładna i groźna broń. Sprawne ręce mogą nią wiele zdziałać.

– Moje są nawykłe do broni. Nie przez całe życie byłem siewcą. Za młodych lat wojowałem w słynnym pułku Dargo, którym dowodził stryj naszego komesa. Początkowo byłem tam setnikiem, a pod koniec wojny awansowali mnie na rotana. Dowodziłem rotą liczącą dwustu krasnoludów i gnomów. Swoich chłopaków do topora i łuku przyuczam od ładnych paru lat. Nie sfajdalibyśmy się w porcięta, gdyby na drodze doszło do rozprawy. Mieliśmy szansę, tym bardziej że najpierw użylibyśmy tego. – Odwinął rogi plandeki i pokazał cztery naciągnięte, niewielkie, lecz mające dużą siłę przebiccia, kusze.

Samtor wziął jedną z nich do ręki.

– Ale cacuszko – rzekł z podziwem, oglądając jej kompozytowe, wykonane z cisowego drewna i rogu łuczysko. – Lekka, a widać, że mocna. Orzech z rogu, łoże chyba z jesionu. Bełt z czworokątnym grotem i krótkim promieniem, bez lotek. Cięciwa dość gruba, wykonana z linki przeciwzwitej, nieco sztywniejszej niż współzwita, lecz za to niemającej tendencji do rozwijania się. Naciąg korbkowy. Skuteczna chyba na jakieś sto pięćdziesiąt metrów. Piękna. Ciekawe, czy celna.

Eyan z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Nigdy bym nie przypuszczał, że tak znasz się na broni. Sam bym jej lepiej nie opisał. Celna. Przy okazji ci to zaprezentujemy. Pokazuję ci ten nasz arsenał, żebyś wiedział, że przy rozprawie można na nas liczyć. Teraz wiesz, że nie schowaliśmy się za wózkiem ze strachu. Wpoilem młodym zasadę, że zaskoczenie przeciwnika to połowa sukcesu. Nikt z nas nie myślał, że obejdzie

się bez walki. Dobrze, bardzo dobrze, że do niej nie doszło. Bo bitwa to bitwa. Różnie w niej bywa. Może teraz opłakiwalibyśmy kogoś z naszych. Przyłączam się do podziękowań Tui, ponieważ wszyscy zdajemy sobie sprawę, że tak się to wszystko szczęśliwie skończyło, gdyż użyłeś swoich umiejętności, swego daru magii. Jesteśmy ci wdzięczni.

– Przestań, nie zasługuję na takie peany. Lepiej sięgnij po ten wystający spod plandeki gąsiorek, bo coś mi mówi, że jego zawartość to nie sok ani kawa.

– Masz rację. To dzięgielówka. Zeszłoroczna. Robiona przeze mnie. Poprawia nastrój i leczy. Skosztujmy jej, jest okazja.

Eyan wziął gliniany gąsiorek i nalał sporą porcję do kubka. Podał Samtorowi. Ten upił mały łyżeczek, delektując się smakiem trunku.

– Pyszna – powiedział i ze smakiem wysączył resztę. – Zadziwiasz mnie coraz bardziej, Siewco. Jesteś nauczycielem, geologiem, byłeś dowódcą rot, wyrabiasz tytoń i wspaniałe nalewki. Dużo chyba jeszcze o tobie nie wiem.

Krasnolud uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Ja o tobie z pewnością też.

Nalał sobie i wypił. Poprosił także Tuę, która po opróżnieniu kubeczka spojrzała znacząco na męża i przeniosła wzrok na synów. Zrozumiał żonę, skinął głową i zaczął:

– Synkowie, dziś mogło dojść do walki, do rozlewu krwi. Pierwszy raz groziło wam tak duże, prawdziwe niebezpieczeństwo. Radujemy się wszyscy, że spotkanie ze zbrojami skończyło się bez sięgania do broni. Widziałem, że na drodze zachowaliście spokój i nie straciliście odwagi. Jestem z was dumny, bo choć jeszcze otroki, postąpiliście jak dorośle, dzielne krasnoludy. Skoro w potrzebie stawaliście jak dorośli, to

ja też was tak potraktuję. Wypijcie z nami po kusztyczku. To nagroda i dowód uznania.

Młode krasnale, dumne z publicznej pochwały, spojrzawszy na siebie, zgrabnie wychyliły swoje kubeczki. Eyanowi wydało się nieco dziwne, że nie zaskoczyły ich smak ani moc nalewki, ale uznał, że to nie jest najlepszy moment na wszczynanie rodzinnego śledztwa.

– A gdyby ten, co nas zaczepił, cię nie posłuchał? – zapytał magina Mizen.

– Wtedy źle by się stało. Byłbym zmuszony z waszą pomocą ich pozabijać – odparł zapytany.

– Ich było sześciu i wszyscy na koniach, ale dalibyśmy radę – ocenił sytuację Gozen. – Mieliśmy gotowe kusze i topory.

– I ja tak myślę, tym bardziej że dwóch z nich było mniej sprawnych.

– Skąd to wiesz? – zdziwił się Gozen.

– Jeden miał rękę na temblaku, a drugi... no, po prostu wiem – odpowiedział Samtor.

– Mieliśmy dziś okazję zobaczyć, jakimi metodami działają magini. Doceniamy to. Ale myślę, że nieźle byłoby się kiedyś sprawdzić w prawdziwej walce. Pokazalibyśmy, na co nas stać – dodał Mizen nieco chełpliwie.

– Z pewnością, ale mimo wszystko lepiej, że stało się, jak się stało. Jeszcze znajdzie się okazja, byście zaprezentowali swe umiejętności. Chętnie je kiedyś pooglądam i mam nadzieję, że nie będzie to podczas rzeczywistego zagrożenia – odparł Samtor.

Po postoju zebrali się do drogi. Przewidywali, że granicę z Sarią osiągną w południe następnego dnia.

ROZDZIAŁ III

Sytomir stał przed królem i po raz wtóry czytał fragmenty listu Agedona.

List ten, w tajemnicy przed namiestnikiem, krasnoludzki komes przesłał mu zaufanym kurierem ponad miesiąc temu. Z Agedonem znali się od czasów sprzed ostatniej wielkiej wojny, kiedy to Swein należał jeszcze do Sarii. Obydwaj byli wtedy młodzi. On miał dwadzieścia trzy lata, krasnolud niewiele ponad sześćdziesiąt pięć. Uwzględniając długości życia obydwu ras, czyniło to ich prawie rówieśnikami. Sytomir nie był jeszcze wysokim urzędnikiem na dworze Artorusa, a Agedon, pochodzący z możnego i wpływowego krasnoludzkiego rodu, poznawał świat, doksztalał się i nie sprawował w zonie żadnej publicznej funkcji.

Pierwszy raz spotkali się podczas sympozjum, na którym omawiane były zagadnienia związane z koegzystencją humanoidalnych istot rozumnych w społecznościach wielokulturowych. Dzieliło ich prawie wszystko: rasa, pochodzenie, status materialny, nawet rzecz tak banalna jak wzrost. Łączyły: wykształcenie, otwarte umysły i poglądy. Obydwaj uważali, iż wszystkie inteligentne rasy, zachowując swoją odrębność, lecz też szanując etniczną odmienność pozostałych, powinny dążyć do wzajemnego, możliwie pełnego zrozumienia i wspólnie, na zasadach niedyskryminujących ani niepreferujących żadnej z nacji, tworzyć harmonijnie rozwijające

się, niezantagonizowane społeczeństwa państw, w których przyszło im żyć. Że pomiędzy ludźmi, elfami i niziołkami nie powinno być miejsca na szowinizm i nienawiść, na wywyższanie się jednych nad drugimi i wyzysk. Że żyjący w jednym kraju przedstawiciele różnych ras winni razem pomnażać bogactwa materialne oraz dbać o narodową kulturę, świadomie i z pietyzmem pielęgnując między sobą możliwie najlepsze stosunki.

Prelegentem wygłaszającym podstawowy referat, promujący właśnie takie poglądy, był człowiek, stary profesor z Głównej Akademii Sarii. Koreferentami – elfi naukowiec o nieokreślonym wieku i młody, zapalczywy, mający giętki język, długonosy gnom. Wystąpienia wszystkich trzech naświetlały przedmiotowy temat z różnych punktów widzenia. W wypowiedzi elfa wyraźnie pobrzmiwały nuty nacjonalistyczno-rasowe, w niektórych momentach zahaczające nawet o szowinizm. Gnom, który pochwalił się uzyskanym niedawno tytułem doktora, generalnie zgadzał się z punktem widzenia głównego referenta, lecz jego spicz był jednym wielkim lamentem, jak to wielce utalentowane gnomy i – co oczywiste – pozbawione przez naturę sporej części tych wspaniałych cech krasnoludy były i są nękane przez podłych elfów i tylko niewiele im ustępujących niegodziwością ludzi.

Podczas dyskusji rozgorzałej po wystąpieniach prelegentów Sytomir zwrócił uwagę na krępego krasnala, który zagłuszywszy swoim tubalnym głosem panujący w auli szum, odniósł się do wypowiedzi koreferentów. Jego wygłoszona płynnie, chociaż bez uprzedniego przygotowania, kilkunastominutowa przemowa, będąca poparciem też głównego referatu, wzmocniona wziętymi z życia przykładami, zmiażdżyła wręcz koreferat elfa i ośmieszyła krewkiego gnoma. Chichotem losu, zauważonym i należycie

docenionym przez pozostałych uczestników sympozjum, stała się chwila, gdy ci dwaj przedstawiciele wzajemnie zantagonizowanych ras, zjednoczeni wspólną niechęcią czy nawet znacznie gorszym uczuciem, niemal chcieli wzrokiem zamordować Agedona.

O tym, że krasnolud ma tak na imię i że pochodzi ze sławnego rodu Dargonów, Sytomir dowiedział się po kilkunastu dniach, kiedy zupełnym przypadkiem w jednym z zaułków Todory pomógł znanemu z widzenia, dzielnie walczącemu z dwoma napastnikami, ryczącemu przy tym ciężkie przekleństwa niziołkowi ująć z opresji. Ten w ramach podziękowania zaprosił swego wybawiciela do szynku na kolację. Zaproszenie zostało przyjęte. Jedząc i pijąc, pogadali sobie. Znajomość z czasem przekształciła się w coś w rodzaju przyjaźni. Później każdy poszedł swoją drogą, a polityka rozdzieliła ich losy. Agedon wrócił do zony, gdzie po wojnie saryjsko-morgijskiej, zgodnie ze swą rodową tradycją i zaistniałą potrzebą, objął urząd komesa, a Sytomir zaczął robić karierę na dworze króla Artorusa. Proza życia i obowiązki zmusiły ich do modyfikacji młodzieńczych, idealistycznych poglądów na bardziej pragmatyczne. Lecz chociaż ich bezpośrednie kontakty się urwały, obopólna sympatia, szacunek i zaufanie przetrwały.

Po odkryciu dokonanym w kopalni Agedon zrozumiał, iż otrzymał od losu potężny atut, który właściwie wykorzystany może pomóc w realizacji odwiecznego, świętego celu rodu Dargonów. Było nim dążenie do odzyskania utraconej ponad sto pięćdziesiąt lat temu przez Swein niepodległości.

W zonie od dziesiątków lat myśli i marzenia o wolności przekazywali rodzice dzieciom, dziadowie wnukom. Odbywało się to nie tylko w klanie dawnych władców, lecz w prawie każdej krasnoludzkiej oraz gnomiej rodzinie. W tajemnicy przed ludźmi i elfami szeptano o tym wieczorami, wspominając dawno minione, lepsze czasy. Nucono pieśni i snuto opowieści, pozwalające zachować pamięć o chwalebnej historii, gawędy podsycające uczucia plemiennej i rasowej dumy. W szkołach, klubach i gimnazjonach nierzadko do tych tematów nawiązywali siewcy i wychowawcy. Te niepodległościowe idee trafiały na podatny grunt, szczególnie w ostatnich, niesprzyjających niziołkom czasach. Niektórzy jednak z nich, głównie ci o wartkiej krwi, lecz nieco mniej bystrych umysłach, słabiej rozeznający się w społecznych i politycznych realiach, często mieszały patriotyzm z nacjonalizmem lub nawet jego skrajną postacią – szowinizmem.

Te ostatnie poglądy, niestety, gdzieniegdzie zyskując posłuch, owocowały rosnącą wrogością niziołków do ludzi i elfów, a także nierzadkimi próbami podejmowania lokalnych krwawych odwetów. U jednej i drugiej strony nakręcało to spiralę wzajemnej niechęci, często przechodzącej w nienawiść.

Na szczęście znakomita większość krasnoludów i gnomów przychyliła się do zdania rozsądniej myślących osobników, świadomych tego, iż posunięcia mające w efekcie przynieść odzyskanie suwerenności powinny być starannie przemyślane i organizowane tak, aby zasięgiem swym objąć całą zonę. Że trzeba je prowadzić bardzo rozważnie, a idei przewodniej zamyślanego powstania nie należy opierać na uczuciu zemsty za doznawane od lat krzywdy i na wrogości do innych ras, gdyż w razie udanej rewolty społeczeństwu zony przyszłoby żyć

w stanie permanentnej wojny z elfami oraz ludźmi lub – co gorsza – w społeczno-gospodarczej izolacji od sąsiednich narodów oraz państw. Jedno i drugie w niedługiej perspektywie czasowej mogłoby doprowadzić w najlepszym przypadku do ponownej utraty suwerenności, w gorszym – do jej utraty połączonej z zagładą prawie całej populacji niziołków. Aliści żeby osiągnąć sukces w ewentualnej walce z morgijskim okupantem, krasnoludzki Swein bezwzględnie musiał zapewnić sobie polityczną aprobatę i militarne wsparcie planowanych poczynań przynajmniej niektórych, znaczących, państw ościennych.

Zdając sobie sprawę, że bogactwa naturalne Sweinu zawsze będą budzić we władcach sąsiednich krajów pokusę jego aneksji, Agedon i najbardziej zaufani członkowie rady krasnoludzkiej już znacznie wcześniej, niż dotarła sensacyjna informacja z Brony, na długich, tajnych naradach, podczas niełatwych dyskusji, wypracowali formułę, która mogła zapewnić kiedyś wyzwolonej zonie bezpieczne i trwałe istnienie. Według tej koncepcji w przypadku odzyskania wolności Swein miał się ogłosić politycznie neutralnym księstwem i zawrzeć z przyjaznymi państwami bilateralne lub wielostronne paktów pokojowe. Poczesne miejsce w tych traktatach miały zajmować klauzule zobowiązujące sygnatariuszy do udzielania nowo powstałemu niezawisłemu księstwu, w przypadku planowanej lub dokonywanej na nie agresji, natychmiastowej i skutecznej pomocy militarnej. Rozumiejąc jednak, że nawet najlepiej sformułowane i wynegocjowane układy w chwili próby mogą okazać się tylko papierowymi zapisami, starszyzna krasnoludzka uradziła, żeby w głębokiej tajemnicy rozpocząć bezzwłoczną realizację przedsięwzięć, które po jakimś czasie silnie powiązałyby gospodarczo sąsiednie państwa ze Sweinem.

Sednem tej polityki miało być doprowadzenie do sytuacji, w której w przypadku prób podbicia zony przez pojedynczego agresora automatycznie tworzyłyby się zagrożenia ekonomiczne dla żywotnych interesów pozostałych państw. Gospodarka i finanse, jako szczególnie wrażliwe dziedziny, wymuszałyby wtedy na nich bezwzględne podejmowanie działań stabilizacyjnych.

Aby osiągnąć założony cel, postanowiono, że wszystko zacznie się od małych kroczków. W pierwszej fazie poza terytorium zony planowano otworzenie kilku pozornie prywatnych krasnoludzkich banków. Instytucje te po odzyskaniu przez Swein niepodległości miały zostać podporządkowane krajowej centrali, następnie zaś być przekształcone w zagraniczne ekspozytury Narodowego Banku Sweinu. Ten, oprócz obsługi wewnętrznej księstwa, nastawiony miał być głównie na udzielanie na niezwykle dogodnych warunkach dużych pożyczek znajdującym się w potrzebie obcym państwom i ich władcom. W ten sposób zona, sama się bogacąc, powinna także przynosić odczuwalne korzyści korzystającym z wygodnych kredytów sąsiadom, jednocześnie silnie uzależniając ich od siebie. Stan taki, w połączeniu z utrzymywaniem z ościennymi krajami możliwie najlepszych stosunków politycznych, a także prowadzeniem rozwiniętego handlu surowcami i produktami zony, powinien sprawić, iż każda próba podboju Sweinu przez pojedynczego agresora spotykałaby się z odporem pozostałych państw, które widząc groźbę zaburzenia swoich polityk gospodarczych, a także nie chcąc dopuścić do wzmocnienia się jednego kosztem innych, solidarnie podejmowałyby akcję powstrzymującą ewentualnego napastnika.

Mały Swein, niestanowiący zagrożenia dla nikogo, z racji bogatej gospodarki mógłby się stać dla wszystkich pożądanym partnerem handlowym. Z uwagi na położenie i neutralną politykę zona miała też szansę z czasem zaistnieć jako miejsce spotkań władców toczących trudne negocjacje lub spory, a nawet przejmować w nich rolę moderatora i rozjemcy.

Wydawać by się mogło, iż największą trudność przy rozpoczynaniu organizowania sieci banków stanowić będzie zgromadzenie potrzebnych środków początkowych, jednak Agedon wraz z bardzo wąskim kręgiem wtajemniczonych, znających specyficzne zasoby zony oraz jej najgłębsze sekrety, wiedział, że ten problem tak naprawdę nie istnieje. Było coś ukryte na czarną godzinę lub wielką potrzebę. Większy kłopot stanowiły strategia i taktyka, którą należało zastosować w celu wejścia na rynki, oraz pozyskanie wiarygodności i zaufania potencjalnych klientów przy równoczesnym nieobudzeniu podejrzliwości króla Petina i jego bystrookich urzędników.

Przyjęta formuła niepodległego księstwa zakładała też, że Swein, jako twór politycznie neutralny, nie utrzymywałby regularnej armii, lecz na wypadek niebezpieczeństwa powoływałby gwardię narodową, której zaczynem byłyby już istniejące kontyngenty zbrojne.

Przez wiele lat w rządzonej twardą ręką Petina zonie nie zaistniał jednak nawet cień szansy, aby zrealizować to ogromne marzenie o wolności. Teraz kopalniane znalezisko mogło się stać impulsem, który nie tylko dawał możliwość zapoczątkowania w realnym czasie niepodległościowych działań, ale mógł przynieść inne, na razie trudne do przewidzenia, lecz z pewnością doniosłe i oczekiwane, zmiany.

Agedon zdawał sobie sprawę, iż potencjał naukowy zony jest zbyt ubogi, by pozwolić na samodzielne prowadzenie w tajemnicy przed innymi krajami badań odkrytego obiektu, więc podjął rozważania nad powołaniem w Bronie międzynarodowego ośrodka naukowo-badawczego, z którego osiągnąć mogliby korzystać wszyscy zainteresowani. Przedsięwzięcie powyższe nie tylko wzmocniłoby pozycję i znaczenie Sweinu, ale także wespół ze wspomnianą działalnością handlowo-bankową znacznie przyczyniłoby się do zwiększenia bezpieczeństwa przyszłego księstwa. W swoich analizach komes zmuszony był jednak uwzględnić aspekt, iż potężna Morgia, rządzona przez zawsze dobrze poinformowanego Petina Czwartego, może zadziałać na tyle szybko i skutecznie, że nie dopuści do planowanego wyzwolenia, sama przejmie badania nad znaleziskiem i postara się zachować ich rezultaty tylko dla siebie. Przeciek na mezarSKI dwór o znalezisku i zamierzonym powstaniu mógłby nastąpić z kręgu władców, których będzie trzeba poinformować o niepodległościowych zamiarach, lub z samego Sweinu. A wtedy biada zonie, niziolkom i rodowi Dargonów, szczególnie zaś jemu – krasnoludzkiemu komesowi.

Agedon, systematycznie i drobiazgowo rozliczany przez namiestnika z działalności administracyjnej, spływu należności fiskalnych oraz stanu kontyngentu zbrojnego, pod pozorem konieczności osobistej interwencji w obwodach kilku dominatów, u których w okresie przedpodatkowym wystąpiły trudności, uzyskał zgodę na kilkunastodniowy wyjazd z Mony. W czasie nieobecności zastępować go mieli gnom Jaron i krasnolud Mojden Starszy, ci sami, co byli z nim w Bronie. Sprawy zony były im znane nie gorzej niż komesowi, lecz chociaż

ten darzył ich pełnym zaufaniem i zostawił im upoważnienia do podejmowania za niego niemal wszystkich decyzji, o trasie i głównym powodzie swego wyjazdu zastępujących go niziołków nie poinformował. Uczynił tak w trosce o ich i swoje bezpieczeństwo oraz w celu możliwie największego ograniczenia liczby wtajemniczonych w sprawy dla niego aktualnie najważniejsze.

Wyruszył konno samoczwart. Towarzyszyły mu trzy gnomy o wypróbowanej lojalności – trzech kurierów poczty namiestnikowskiej.

Pierwszym obwodem, do którego się skierował, była Brona. Nic nie wskazywało, że wystąpią w niej jakiegokolwiek kłopoty podatkowe, ale Agedon pewne działania zamierzał zapoczątkować właśnie tu. Tak jak poprzednio, zatrzymał się u dominata, Ferdyna, będącego jednocześnie jego dalekim krewnym. Przebywając u niego, napisał trzy ważne listy i rozesłał je do adresatów umyślnymi kurierami. Największe znaczenie miał list kierowany do Sytomira. Wysyłając go, Agedon miał pewność, że z jego treścią zostanie także zapoznany król Artorus. Ważnym był też list do pewnej kobiety, której prawdziwa tożsamość i możliwości jedynie jemu były w zonie naprawdę znane. Kurierowi, który miał go dostarczyć, udzielił na drogę bardzo szczegółowego instruktażu.

Wieczorem tego samego dnia, starannie omówiwszy z dominatem Brony szczegóły, powierzył mu obowiązek wytypowania zaufanej osoby popierającej idee i ruchy wolnościowe, wtajemniczonej w istnienie znaleziska, oraz w sposób niebudzący podejrzeń wysłania jej z misją do Todory. Podczas rozmowy nie ukrywał, że nie miałby nic przeciwko kandydaturze poznanego wcześniej Eyana. Ferdynowi,

znającemu inteligencję, wiedzę oraz poglądy Siewcy, on również wydał się najlepszym kandydatem, więc ochoczo przyklasnął propozycji komesa. Ustalili, że wyjazd wysłannika do Sarii nastąpi gdzieś w połowie lipca, bezpośrednio po sygnale przesłanym przez Agedona. Ta około półtoramiesięczna karencja miała dać adresatom czas na głębsze zastanowienie się nad bardzo ogólnie i ostrożnie sformułowanymi zawartymi w listach propozycjami, na przeprowadzenie niezbędnych rozmów oraz na przesłanie mu odpowiedzi.

Po dwóch dniach pracowitego pobytu w Bronie krasnoludzki komes ze szczupłą miejscową obstawą wyruszył w dalszą drogę, kierując się w północne rejony Sweinu.

List Agedona zaintrygował Sytomira. Znał mądrego krasnoluda i był pewny, że po tak długim braku wzajemnych kontaktów nie zdecydowałby się on na napisanie i przesłanie mu specjalnym kurierem wiadomości o poślednim znaczeniu. Skoro podjął tę próbę, musiały zaistnieć ku temu ważne powody, obok których nie powinno się – a nawet nie można było – przejść obojętnie.

Kilkukrotne czytanie treści pisma połączone z kojarzeniem znanych mu faktów oraz sytuacji w zonie upewniło go, że się nie myli. Krasnolud wyraźnie docenił jego inteligencję – dużo więcej zawarł między wierszami, niż napisał otwartym tekstem. Z tego, co Sytomir wyczytał oraz się domyślił, wynikało, że nie obejdzie się bez powiadomienia o sprawie króla. Dopiero po przedstawieniu mu całego zagadnienia i możliwie pełnym, obiektywnym jego naświetleniu władca postanowi, co i jak dalej.

Jako szef tajnych służb Sytomir miał codzienny dostęp do Artorusa, który doceniając jego błyskotliwość, samodzielność, operatywność oraz lojalność, odwdzięczał mu się zaufaniem

i życzliwością. Przejawiało się to w prowadzonych od czasu do czasu nieoficjalnych rozmowach, których tematy potrafiły wychodzić daleko poza ramy służbowe, i kiedy to obaj potrafili zdobyć się na szczerłość, bardzo rzadko spotykaną w stosunkach król–poddany. Podczas takich spotkań ze swym ministrem oprócz tego, że poruszał sprawy prywatne, Artorus niejednokrotnie zahaczał o trudne lub kontrowersyjne kwestie państwowe. Zdarzało się, że pytał młodszego o kilka lat od siebie Sytomira, jak według niego najlepiej by było postąpić w tej czy innej sytuacji, lub prosił o ocenę zdarzeń już zaszłych. Przy tej okazji miewał możliwość wysłuchania obiektywnych, lecz nie zawsze pozytywnych, opinii o swoich poczynaniach czy rozstrzygnięciach danej kwestii, sugestii odnośnie do tego, co, jak i kiedy według rozmówcy należałoby zrobić, żeby łatwiej i szybciej osiągnąć zamierzony efekt. Króla nie irytowały takie życzliwe krytyki, raczej skłaniały go do przemyśleń i refleksji. Cenił je sobie oraz nierzadko stosował się do rad i sugestii Sytomira.

Potrafił należycie ocenić odwagę i niezależność poglądów swego podwładnego, który niejedną raz dowiódł, iż sprawą dla niego najważniejszą jest dobro zarówno Sarii, jak i jej władcy. Wiedział, że jego szef służb specjalnych nie jest łasy na zaszczyty, nie interesują go dworskie intrygi i knowania, a planowane przez niego akcje bywają utrzymywane przed osobami niepowołanymi w ścisłej tajemnicy, zawsze zaś dotyczą dobrze pojętego interesu kraju, króla i jego najbliższej rodziny. Dworscy zausznicy – bo który panujący ich nie ma – potwierdzali, że jego podwładny jest niezwykle dyskretny i nigdy nikomu o ich wzajemnych rozmowach nie wspomina, a jeśli już temat zejdzie na władcę, nie tylko sam wyraża się o nim z szacunkiem i uznaniem, ale

wymaga tego również od innych. Poważał też swego ministra za to, że wykonując tę najczęściej brudną, niekiedy wymagającą brutalnych i drastycznych metod, robotę, potrafił ocalić w sobie pewnego rodzaju prawość. Że obracając się w rozmaitych, czasem wysoko postawionych, czasem mocno nieciekawych kręgach, manipulując jednymi i stosując w stosunku do innych różnorakie podstępny, naciski czy dolegliwe represje, nie wykształcił w sobie – co było zdumiewające – nieżyczliwości i pogardy do ludzi, a raczej coś w rodzaju zrozumienia dla ich słabości. Srodze myliłby się jednak ten, kto pobłażliwość i wyrozumiałość ministra uznałby za słabość.

Na przełomie pierwszej i drugiej dekady czerwca Sytomir poprosił Artorusa o poufne spotkanie. Podczas prawie dwugodzinnej rozmowy poinformował króla o liście otrzymanym od komesa Agedona i o dokonanym w zonie ponoć przełomowym odkryciu, które, jak wynikało z bardzo tajemniczych i ogólnych, lecz mocno akcentowanych, wzmianek, odpowiednio wykorzystane mogło zmienić oblicze współczesnego świata. Z jego istotą, w wypadku wyrażenia przez Sarię zainteresowania, miał ich zaznajomić specjalny wysłannik ze Sweinu. Tak ostrożne postępowanie, jak się domyślali, podyktowane było chęcią lub koniecznością utrzymania szczególnej dyskrecji.

Sytomir opowiedział Artorusowi o swej dawnej przyjaźni z krasnoludem oraz trwającym do dziś wzajemnym szacunku i zaufaniu. Zapewnił, że gdyby sprawa była błaha, Agedon nigdy by się nie zwrócił do nich w takim trybie. Szczegółowo naświetlił też królowi aktualną sytuację w zonie, znaną mu z raportów swoich podwładnych, działających na jej terenie.

Artorus pamiętał czasy jeszcze przedwojenne, gdy Swein stanowił część królestwa Sarii. Niekiedy nachodziła go nawet

przelotna chęćka na zmontowanie koalicji przeciw Morgii i Petinowi w celu odzyskania zony. Do podjęcia jednak kosztownych i prowadzących do kolejnej wyniszczającej wojny działań brakowało mu odpowiednio silnej motywacji. Tym bardziej, że z przekonania był władcą od lat preferującym i realizującym politykę pokojową.

Treść listu oraz komentarze szefa tajnych służb Sarii wzbudziły w Artorusie ciekawość. Upoważnił więc Sytomira do poinformowania krasnoludzkiego komesa, iż jest zainteresowany sprawą, a także do zajęcia się przygotowaniami, by dyskretnie, bez sensacji przyjąć wysłannika z zony. Gdy wyrażał zgodę na podjęcie działań, nie wdawał się w szczegóły, ponieważ żywił niezachwiane przekonanie, że i bez królewskich wskazówek jego podwładny wywiąże się z zadania najlepiej, jak to będzie możliwe.

Przed zakończeniem rozmowy Sytomir, nie chcąc stawiać władcy przed faktami dokonanymi, poprosił go o pozwolenie, by w całą sprawę zostały wtajemniczone dwie osoby spoza podległych mu tajnych służb: najbliższy doradca króla, mag Zachetyn, oraz Samtor.

Aprobatę uzyskał bez trudu, ponieważ król znał ich obu: pierwszego – bezpośrednio, gdyż na co dzień pomagał mu w załatwianiu delikatnych spraw, szczególnie tych, w których działania racjonalne z takich czy innych powodów należało wspomóc magią, drugiego – ze słyszenia, gdyż był zorientowany w układach rodzinnych Sytomira. O swoich podwładnych ten ostatni pytać nie musiał. Było zrozumiałe, iż ci, których uzna za potrzebnych, wezmą w planowanej operacji udział i zostaną wtajemniczeni w nią w niezbędnym dla nich zakresie. To, że dotrzymają tajemnicy, było oczywiste.

Następnego dnia po spotkaniu z królem i uzyskaniu jego akceptacji Sytomir sporządził odpowiedź dla Agedona. Napisał ją tak, żeby dla osoby postronnej, w której ręce mogła przypadkowo wpaść, wydała się typową korespondencją, informującą o bieżących rodzinnych sprawach, niezawierającą żadnych istotnych treści, a już szczególnie daleką od jakiegokolwiek polityki. Na kopercie jako adresat figurował faktycznie posiadający w Sarii rodzinę krasnolud zamieszkujący Monę. Dla rzeczywistego odbiorcy, którym miał być komes, list zawierał jednak wszelkie niezbędne informacje, włącznie z potwierdzeniem spodziewanego terminu przyjazdu wysłannika z zony i pełną aprobatą uczestnictwa we wszystkim znanego Agedonowi przyrodniego brata Sytomira. Aby pismo nie było kojarzone z dworem króla Artorusa ani tym bardziej z szefem jego tajnych służb, podpisane zostało imieniem Miron. To dość popularne wśród krasnoludów imię, niezorientowanym czytającym mogło sugerować, że autorem listu jest jakiś tam niziołek. Dla przenikliwego Agedona, który dawno temu w szczególnych sytuacjach właśnie tak zwracał się do przyjaciela, był to sygnał, że w pełni może ufać zawartym w nim treściom. W niezalakowanej kopercie – bo który krasnolud pieczętowałby swoje listy – znalazły się też cztery kościane guziki z trzema dziurkami. Jeden z akapitów listu wspominał, że zgodnie z wcześniejszą prośbą zostały one starannie dobrane do właśnie szytej przez fikcyjnego adresata koszuli.

Odpowiedź wraz z ustną instrukcją, do kogo ma trafić, zabrał chętnie korzystający z niedługiego wypoczynku kurier. Ten sam, co przywiózł list Agedona. Komes, wysyłając go, poprosił Sytomira, by właśnie tak postąpił, gdyż gnom był zaufanym

posłańcem, a posłużenie się nim zmniejszyło liczbę osób wiedzących o prowadzonej korespondencji.

Kolejnymi pismami, które wysłał, był list do brata i list do pewnej osoby na dworze morgijskiego króla Petina. Ekspedując je, Sytomir szczególną uwagę zwrócił na wybór posłańca, który musiał pojechać określoną drogą, przez Ramzę i niezbyt bezpieczną południowo-centralną część Morgii. Po namyśle jego wybór padł na podwładnego dobrze znającego oba te kraje i biegle posługującego się miejscowymi językami. Wiedział o nim, że jest odważny i nie traci głowy w trudnych sytuacjach, że dobrze jeździ konno i jest niezłym szermierzem. Znał też jego drobną słabośćkę – osobnik ten uwielbiał słodocze, a szczególnie świeżo zebrany miód.

W jednej z wiezionych przez umyślnego zalakowanych kopert, tej przeznaczonej dla brata, znalazł się oprócz listu, być może przypadkowo, również kościany guzik.

Tak więc Sytomir stał przed królem i po raz wtóry czytał fragmenty obszernego listu Agedona. W komnacie oprócz nich przebywała jeszcze jedna osoba. Był nią mag Zachetyn, który siedział na uboczu i – co było jego zwyczajem – głównie słuchał. Był wprowadzony w temat, ale niepytany nie spieszył się z prezentowaniem własnych wypowiedzi.

– Jak myślicie, co to jest? – zwrócił się do obecnych Artorus. – Co może, jak to jest napisane w liście, „zmienić oblicze współczesnego świata”? Z moich przemyśleń wynika, że nie może to być jakaś nowa broń ani tym bardziej jakaś machina lub nowa technologia. Coś takiego może wpłynąć na losy wojny lub na gospodarkę, ale nie zmieni świata. A może ten Agedon

zwyczajnie przesadził? Może usiłuje nadać wielki wymiar czemuś, co na to nie zasługuje? I w jakim celu to robi? Chce wywołać nową wojnę? Jeśli tak, to źle się do tego zabiera.

Zamilkł na chwilę i poczuwając się do roli gospodarza, zmienił temat:

– Sytomir, nie stój mi nad głową. Jesteś tu najmłodszy. Należ do pucharków z tamtej karafki. Przysuń też figi i suszone morele. Będą pasować do lodowego wina. Sprawa jest zbyt poważna, by omawiać ją na stojąco i o suchym gardle. Jak znam Zachetyna, nie odezwie się słowem, dopóki go nie poczęstuję czymś dobrym.

– Tak jest, Wasza Wysokość, z przyjemnością – odparł zagadnięty i odłożywszy list, zabrał się do napełniania kielichów winem.

– Nie dla przyjemności was częstuję, ale po to, by wam się rozjaśniło w głowach i nabrały giętkości wasze języki. Inaczej, o ile mogę się spodziewać, od ciebie nic mądrego, a od tego tam pożał się Boże maga w ogóle nic nie usłyszę – powiedział król z pozornym niezadowoleniem.

Znali swego władcę, wiedzieli, że w tym momencie żartuje. Przeczuwali jednak, że czeka ich poważna rozmowa, bo Artorus nie lubił być niedoinformowany, szczególnie zaś w kwestiach, które uznał za istotne. Różne punkty widzenia i odmienna interpretacja, którą zazwyczaj prezentowali, dodana do własnych przemyśleń króla, ułatwiała mu wszechstronną i najczęściej trafną ocenę sytuacji.

Sytomir zgodnie z otrzymanym poleceniem napełnił pucharki. Pierwszy z nich postawił przed siedzącym u szczytu stołu królem, następne dwa – nieco dalej. Przysunął paterek z owocami i zajął miejsce przy dłuższym boku prostokątnego stołu. Mag, podniósłszy się ze stojącego pod ścianą karła,

podszedł i usiadł naprzeciw niego. Na znak dany przez Artorusa spróbowali złocistego trunku. Chociaż kosztowali go już nieraz, pierwszy łyk jak zawsze zaskoczył ich wspaniałą paletą aromatu i miękką, lekko oleistą fakturą. Schłodzone do właściwej temperatury wino zachwyciło ich doskonale utrzymaną harmonią pomiędzy słodyczą a kwasowością.

– Napitek godny króla – wyraził skąpą pochwałą Zachetyn. – Chociażby dla niego warto się było tu pofatygować ze swojej, tfu, tfu, co ja plotę, łaskawie przydzielonej mi wieży.

– Przestań głądzić. Przejdźmy do rzeczy. Zaczynaj. – Artorus skinął głową w kierunku szefa tajnych służb.

Sytomir, świadom, iż król podczas narad ze swoimi najbliższymi podwładnymi niezbyt lubi nadużywanie należnych mu tytułów, pominął oficjalną formę zwracania się i rozpoczął:

– Niestety, pomimo usilnych starań wiele się nie dowiedziałem. Jak dotąd nie udało mi się ustalić, co kryje się za użytym przez Agedona terminem „przełomowe odkrycie”. Trudności w uzyskaniu informacji świadczą o nadzwyczaj starannie strzeżonej tajemnicy oraz bardzo wąskim gronie osób, które ją znają. Wszystko wskazuje, że trop prowadzi do Brony. W ciągu ostatnich miesięcy komes miał z tą osadą dość intensywne kontakty. W kwietniu jej dominat wyprawił się do Mony, a w maju Agedon aż dwukrotnie bywał u niego z rewizytą. To zainteresowanie jest zastanawiające, gdyż obwód jest mały, a podatki z niego są płacone regularnie. Ostatnio nie odnotowano też na tym terenie żadnych zamieszek. Zarówno za pierwszym, jak i drugim razem komes wyruszył w podróż w wyjątkowo szczupłym gronie. Wygląda na to, że chciał, by jak najmniej osób wiedziało o jego wyprawach. Analiza czasu jazdy kuriera z listem, który tu czytamy, również potwierdza

możliwość, iż został on wysłany właśnie stamtąd. Brona to mała osada, licząca tysiąc, może tysiąc dwustu mieszkańców. Są to głównie krasnoludy i gnomy. Ludzi i elfów jest tam niewielu, a ci, co są, to zasiedzali tubylcy. Wszyscy się znają, więc każdy obcy, nawet niziołek, przez miejscowych traktowany jest nieufnie. Mamy w pobliżu Brony swojego rezydenta, ale oprócz tego, co rzekłem, nic więcej nie udało się mu, a tym samym i mnie, dowiedzieć. Przykro mi, że jest tego tak mało – zakończył Sytomir.

– No, to wiele się nie dowiedzieliśmy – skwitował kwaśno wypowiedź Sytomira mag.

– Nie bądź za surowy w swej ocenie, Zachetynie. Ja też znam zonę i Agedona. Niziołki to niziołki i jak chcą coś zachować w tajemnicy, to nawet na mękach z nich tego nie wyrwiesz. A wygląda, że akurat bardzo chcą, i jak można wywnioskować z przysłanego listu, raczej nie przed nami, a przed ludźmi Petina. Poza tym Sytomir nie miał zbyt wiele czasu, by dotrzeć – tu się z nim zgadzam – do tej chyba rzeczywiście bardzo małej i mocno zakamuflowanej garstki wiedzących o odkryciu. – Król Artorus wziął swego podwładnego w obronę i zakończył pytaniami: – A co z tym posłańcem ze Sweinu? Kiedy możemy się go spodziewać?

– Za trzy, góra cztery dni powinien tu być. Jeśli wszystko idzie tak, jak planowałem, towarzyszyć mu będzie mój przyrodni brat Samtor. Wtedy dowiemy się więcej.

– Z pewnością masz rację, ale na teraz nasuwa się kilka innych pytań. Dlaczego Agedon pisze o odkryciu do ciebie? – zaczął Zachetyne i uciszywszy krótkim gestem ręki chcącego zabrać głos Sytomira, kontynuował: – Tu odpowiedź wydaje się łatwa. Liczy on na waszą dawną znajomość i na to, że będąc blisko króla, poinformujesz go o liście. I w tym ma zupełną rację.

W jakim celu pisze? Otóż myślę, że Swein chce się wyzwolić spod panowania Morgii i Petina. Starsze krasnoludy pamiętają jeszcze dobre czasy panowania twojego ojca i twoje, panie. Czasy stosunkowo dużej suwerenności i tolerancji rasowej. Pamiętają spokojniejsze, bezpieczniejsze i dostatniejsze życie. Chcą wrócić do Sarii. Zmiana podległości może się jednak odbyć tylko poprzez wojnę. Czy liczą, że Saria zdecyduje się na nią? Morgia ma liczną i dobrze wyszkoloną armię. Saryjskie wojska, wybacz, Wasza Wysokość, jej nie sprostają. Na co więc liczy krasnoludzki komes? Najprawdopodobniej na to, że król Artorus, cieszący się powszechnym szacunkiem i przyjaźnią większości władców, zmontuje koalicję państw zainteresowanych wojną z Petinem. Czy jest to możliwe? Raczej tak, bo prawie wszyscy mają z Morgią lub jej władcą na pieńku. Ale czy opłacalne? Zależy, co się bierze pod uwagę. Jeśli życie i krew poddanych – nie. Jeśli korzyści płynące z przyłączenia zony – dla Sarii tak, dla pozostałych sprzymierzeńców, którzy by wzięli udział w wojnie – niekoniecznie. Jaki więc wniosek? Lepiej zachować status quo. Lepszy kiepski pokój niż najlepsza wojna. Tym bardziej, że zawsze istnieje ryzyko przegranej. Czym jest to rewelacyjne odkrycie? Nowym, niezwykle wydajnym pokładem złota lub srebra? Rzucenie większej ilości tych kruszców do obrotu spowoduje ich dewaluację i w efekcie rozchwianie rynków. Nową technologią? Wcześniej czy później, taką czy inną drogą, dotrze ona do każdego i nie warto z tego powodu rozpętywać wojennej zawieruchy. Należy też, co prawda z małą dozą prawdopodobieństwa, wziąć pod uwagę możliwość, iż może to być coś zupełnie innego. Co? Dzisiaj trudno prorokować. I dlatego, panie, radzę wysłuchać posłańca, lecz pochopnie nie

decydować się i nie deklarować niczego, co pogorszy i tak nasze nie najlepsze stosunki z królem Morgii.

Po zakończeniu swoich rozważań Zachetyn wypił spory łyk trunku. Artorus wskazał wzrokiem Sytomirowi karafkę i zapytał o jego zdanie. Zapytany ponownie napełnił obecnym kielichy i zwilżywszy gardło, rozpoczął:

– Moja ocena sytuacji jest nieco różna od tej, której przed chwilą wysłuchaliśmy. Pozwól, panie, że powiem jeszcze kilka słów o liście komesa. Poprzednio mówiłem o faktach, teraz chciałbym rzec kilka słów o swoich odczuciach. Otóż dawna znajomość z Agedonem skłania mnie do przyjęcia, że za jego stwierdzeniem o wielkim znaczeniu wspomnianego odkrycia coś się jednak kryje. Biorę pod uwagę, że ten krasnolud jest wszechstronnie wykształcony i niejedno już w życiu widział. Skądinąd wiem, że ma lotny umysł i pomimo że jest wizjonerem, doskonale zna wagę używanych słów. Jeśli oceniając coś, użył tak mocnych określeń, to według mnie musiał mieć ku temu podstawy. Zgadzam się z Zachetynem, żeby spokojnie poczekać na wysłańca ze Sweinu i dopiero wiedząc, o co naprawdę chodzi, wyrazić bądź też nie wyrazić zainteresowania propozycjami komesa. Bo uważam, że ten list należy potraktować jako ich zapowiedź. Tyle o moich odczuciach. Przechodząc z powrotem do faktów, pragnę zaznaczyć, że tak jak mój szanowny przedmówca uważam, że wojna jest tą najgorszą formą przedłużenia polityki. Jednak nie zawsze można zachować pokój, nawet jeśli jedna strona bardzo tego chce. Pozwólcie, że wspomnę o być może nowych dla Zachetyna, lecz Waszej Wysokości znanych z moich meldunków, zdarzeniach. Od ponad dwóch lat w raportach naszych agentów działających na terenie Morgii pojawiają się wzmianki o systematycznej rozbudowie

armii i o częstych manewrach organizowanych przeważnie we wschodniej strefie tego kraju. Na uwagę zasługuje to, że Petin wprowadził dość nowatorskie metody intensywnego doszkalania wojska. Oprócz istniejącej stałej armii powołał dowództwa dziesięciu nowych pułków piechoty i pięciu konnicy. Niezmienną obsadę stanowią w nich oficerowie i starsi podoficerowie, szeregowi żołnierze zaś są wcielani na okres czterech miesięcy w piechotę oraz pół roku w jazdę. Co ciekawe, te nowe jednostki biorą na szkolenia tylko tych, co już kilka lat temu odbyli swoją podstawową służbę i zostali z niej zwolnieni. Tak jakby chciano odnowić ich umiejętności. Rekruci powoływani są, tak jak poprzednio, do jednostek istniejących wcześniej. Nowo powołany pułk piechoty, pomijając drobne różnice, składa się z trzech rot bojowych liczących po trzysta osób każda i stałej roty zabezpieczenia. Łącznie wynosi to tysiąc dwustu osobników. Nie używam określenia „ludzi”, bo powoływani są także elfowie i krasnoludy. Trzy roty bojowe w ciągu roku szkolą dwa tysiące siedmiuset żołnierzy. Wszystkie nowe pułki piechoty rocznie – dwadzieścia siedem tysięcy. To duża siła, jeśli chodzi o tę formację. – Sytomir zawiesił głos.

Zachetyn, wykorzystując zapadłą chwilowo ciszę, chciał coś wtrącić, lecz król gestem dłoni mu na to nie zezwolił. Jednocześnie skinął głową w kierunku ministra. Ten, zrozumiawszy intencję Artorusa, podjął:

– Pułk jazdy liczy trzy chorągwie bojowe, po dwustu jeźdźców oraz rotę zabezpieczenia. Rocznie doszkalanych jest w jednym pułku tysiąc dwustu kawalerzystów, w pięciu – sześć tysięcy. Ponieważ proceder ten trwa już dwa i pół roku, Petin oprócz stałej armii liczącej około dwustu tysięcy żołnierzy ma przeszkolonych na bieżąco niecałe sześćdziesiąt osiem tysięcy

rezerwistów piechoty i piętnaście tysięcy jazdy. Jedna czwarta po takim szkoleniu jest awansowana do stopni podoficerskich. Po trzech latach takich działań, a więc praktycznie za jakieś pół roku, będzie miał dodatkową, pełnowartościową, prawie stutysięczną armię. I nie będzie to kres możliwości Morgii. Prowadzone na taką skalę szkolenie dużo kosztuje. Broń, konie, żywność, pasza, mundury, leki, opał, żołd i cała reszta. Król Petin Czwarty umie liczyć i znany jest z tego, że raczej garnie pieniądze, niż je rozrzuca. Jeśli podjął się czegoś takiego, to ma upatrzony cel. Znany jest z uporu, więc przystąpi do jego realizacji. Gdy uwzględni się jego wielkomocarstwowe ciągoty, nie trzeba nawet zgadywać, co ma w swych raczej niezbyt odległych planach. A kierunkiem jego działań z pewnością nie będą kraje wschodu. W tym kontekście nie jest dziwne, że zarówno surowce, jak i wyroby Sweinu są mu mocno potrzebne i że ograniczył ostatnio ich eksport, a na to, co jest sprzedawane za granicę, zostały podniesione ceny. Rdzenni mieszkańcy zony z tych podwyżek nie mają prawie nic i większość z nich cienko przedzie, ponieważ znacznie zwiększył też podatki. Jeżeli do tego dodać coraz większy strumień osiedlających się w zonie ludzkich kolonistów, którzy starają się przejąć górnictwo i przemysł, co eskaluje napięcia pomiędzy niziołkami a pozostałymi rasami, ja wyciągnąłbym wniosek, że to wcale nie Agedon i Swein dążą do wybuchu wojny, lecz że przygotowuje się do niej Petin. Może się zatem zdarzyć, iż w pewnej chwili zostaniemy postawieni w sytuacji, w której nie będziemy mieć wyboru. Lepiej przeto być przygotowanym, niż, jak to niektórzy niepięknie mówią, obudzić się z ręką w nocniku.

Sytomir umilkł. Po chwili Artorus zwrócił się do Zachetyna:

– Co ty na to?

– Ano, jeśli wieści o rozbudowie armii i o zasiedlaniu nowymi osadnikami Sweinu są prawdą, a wygląda, że tak jest, to moja poprzednia rada nie jest nic warta i proszę, aby o niej zapomnieć. Muszę przyznać, że moje źródła również potwierdzają, że Petinowi na forum publicznym zdarzyło się kilka razy napomknąć o chęci powiększenia terytorium Morgii. Z tego, co wiem, wypowiedzi na ten temat były jednak tak zawoalowane i ogólne, że mało kto zwrócił na to uwagę. Lecz jak widać po wspomnianych tu posunięciach, chyba już się zdecydował i reszta może być tylko kwestią czasu. Należy także powiedzieć, że w Mezarze istnieje silna frakcja jastrzębi, która z zapalem Petinowi basuje, a on przychylnie tego słucha. Mój dość wysoko postawiony znajomek oraz jeszcze kilku rozsądniejszych dostojników na jego dworze starają się odradzać mu tę awanturniczą politykę, ale niestety są w mniejszości. Jeśli się weźmie pod uwagę charakter tego władcy, to chociaż by byli i bardziej liczni, kiedy już podjął decyzję, nikt i nic go od niej nie odwiedzie.

– Czy wiadomo ci coś bliższego o tym wszystkim? – zwrócił się król do Sytomira.

Ten skinął potakująco głową, skierował się do wiszącej na ścianie mapy i pokazując na niej w miarę omawiania stosowne obszary, zaczął:

– Zakładając, że nasi informatorzy się nie mylą, docelowym zamiarem Petina jest wyrównanie granicy na zachodzie oraz zdobycie na południu dostępu do Morza Korali bądź też Morza Sadona. Najbardziej trafnym wydaje się przypuszczenie, że w pierwszym etapie należy się spodziewać jednoczesnego uderzenia na Dyned oraz Ramzę. Te dwa nieduże kraje same nie będą w stanie mu się długo opierać. Po podboju, który może

potrwać dwa do dwóch i pół miesiąca, będzie potrzebował ze sześciu miesięcy na ich pacyfikację, wprowadzenie morgijskiego prawa i swojej administracji. Najprawdopodobniej czterdzieści do pięćdziesięciu procent podbitej ludności przesiedli do środkowych i wschodnich rejonów Morgii i tam, dzieląc ją, by nie utworzyć dużych, narodowościowo obcych skupisk, na jakiś okres wprowadzi dla przesiedleńców ulgi podatkowe i inne ułatwienia. Zyska tym ich przychylną, szybszą asymilację i uśmierzenie naturalnej wrogości. Jednocześnie swoim zasłużonym zacznie nadawać ziemie i dobra położone w podbitych krajach. Będzie też do nich kierował własnych kolonistów, aby przenikali środowiska pozostawionych autochtonów, by po pewnym czasie miejscowa ludność i obszary stały się integralną częścią Morgii. Udowodnienie, że jest się władcą przychylnym poddanym niezależnie od ich pochodzenia, że dba się o nich bardziej, niż czynili to ich macierzyści królowie, jest bardzo chytrym i przynoszącym efekty posunięciem. Po roku, może półtora, będzie w stanie skierować się na południe i podbić Eridę, a przy okazji przyjazną nam Mirtę. Za kolejnych kilka lat najprawdopodobniej przyjdzie kolej na Sarię.

– Brzmi to bardzo groźnie i co mocno mnie niepokoi, ma wszelkie cechy prawdopodobieństwa – stwierdził poważnie Artorus. – Nie ma wyboru, musimy coś postanowić, póki jest jeszcze trochę czasu. Jak myślicie, ile go jest?

– Wszystko wskazuje, że albo trzy, albo, co bardziej prawdopodobne, dziewięć miesięcy, czyli początek albo po zakończeniu prac rolnych, albo na wiosnę. Osobiście myślę, że kwiecień przyszłego roku może stać się gorący. Wiosna to dobra pora na rozpoczęcie wojny. Petin już ma nagromadzone zapasy, a jesienią tego roku na pewno jeszcze je zwiększy. Rosnące po

zimie temperatury będą sprzyjać prowadzonym operacjom, a rozpoczynające się prace rolne utrudnią i opóźnią uzupełnienie stanów wojska w Dyned i Ramzie – odpowiedział Sytomir, wracając do stołu.

Mag pokiwał głową, potwierdzając jego prognozę.

– I ja tak myślę. Co proponujecie? – zapytał król.

– W sprawie pierwszej: najpierw przyjąć posłańca ze Sweinu. Po zapoznaniu się z istotą odkrycia podjąć na bieżąco adekwatną do wynikłej sytuacji decyzję. Myślę, że w sposób logiczny nasunie się ona sama. W drugiej... – Mag przerwał na chwilę, jakby zbierał myśli, napił się wina i podjął: – Uważam, że sytuacja jest bardzo delikatna. Należałoby porozumieć się z władcami sąsiednich państw. Jednak jawne działania mogą spowodować, że Petin przyspieszy realizację swoich zamierzeń, co byłoby nam mocno nie na rękę. Tu trzeba trochę dyplomacji i teatru. Może...

– Masz jakąś konkretną propozycję? Bo ja chyba mam – przerwał mu Artorus. – Nie wiem, czy pamiętacie o takiej drobnostce, jak przypadająca w dniu pierwszego września trzydziesta rocznica ślubu waszego króla i zarazem pięćdziesiąte urodziny królowej. Wspaniała okazja, by doprowadzić do bezpośredniego spotkania kilku panujących. Słyszałem, że marszałek dworu ma zamiar urządzać jakąś fetę, ale trzeba podnieść rangę tej imprezy, nadać jej odpowiedni wymiar. Dwie okrągłe rocznice. Z takiej okazji w nikim, mam tu na myśli głównie Petina, nie wzbudzi podejrzeń zjazd władców sąsiednich państw. Tym bardziej, że moja małżonka Emina jest rodzoną siostrą żony króla Tuludy, a po kądzieli obie są spokrewnione z Gnejusem z Ramzy. Ja, jak jest wam to wiadome, przez żonę jestem powiązany z Mirtą i – chociaż to dziesiąta woda po kisielu – z Adalfem Drugim, władcą Dyned. Podczas kilkudniowego

pobytu znajdziemy czas, by pogadać z nimi na omawiane dziś tematy.

– Doskonała myśl, królu, z tym zjazdem. Zapewniam, że o rocznicach pamiętamy. Mówię nie tylko o Zachetynie i sobie, ale i o wielu innych. Nie chce się wierzyć, że nasza pani dobiega pięćdziesiątki. Niewiele się zmieniła od dnia ślubu. Piękna jak zawsze, a mądrzejsza doświadczeniem. Tylko ci, królu, pogratulować. Wracając do tematu: myślę, że na tę uroczystość należy również wystosować zaproszenie dla pary królewskiej Morgii. Podejrzewam, że nie zostanie ono przyjęte, ale taki gest będzie ze strony Waszych Wysokości czymś naturalnym, może nawet uspić czujność Petina i jego służb.

– Sytomir, orientujesz się, kogo ma on u nas? – zapytał mag.

– Wiem o dwóch jego szpiegach. Może mieć ukrytych jeszcze innych, ale tych nie znam.

– Skoro znasz tę dwójkę, to dlaczego tych typków nie zlikwidujesz? Czemu pozwalasz im działać?

– Uważam, że tak jest lepiej, wolę wiedzieć, gdzie są przecieki. W ten sposób mogę je kontrolować i mniej więcej orientuję się, co, kiedy i jaką drogą dociera do morgijskich służb.

– No, panowie, pomału kończymy nasze spotkanie – przerwał im rozmowę Artorus. – Reasumując: ty, Sytomir, trzymaj rękę na pulsie w sprawie wysłannika ze Sweinu. Po jego pojawieniu się spotkamy się z nim w tym gronie plus twój brat. Informacji o odkryciu nie ujawniamy nikomu do czasu, gdy uznamy to za konieczne. Swoimi drogami roześlij tajne pisma do twoich odpowiedników u władców Tuludy, Dyned, Ramzy, Mirty i Eridy. Użyj takich argumentów, aby zaproszenia na planowaną przez nas uroczystość zostały przez królów przyjęte. Zachetyń, ty wiele potrafisz. Porozmawiaj ze swoimi konfratrami o planach Petina.

Uświadom im zagrożenia. Skłoń, by zjechali tu wraz ze swoimi władcami. Rozejrzyj się też na naszym dworze. Poszukaj ukrytych agentów Morgii, ale pamiętaj, nie spłosz ich. O wykrytych szpiegach powiadom tylko Sytomira. Po przyjeździe Samtora nawiąż z nim współpracę, orientujesz się, kim on jest i co może. Nie obawiaj się, w niczym on twojej pozycji nie zagrozi. Jest niezależny i takim chyba pozostanie. Liczę jednak, że w zaistniałej sytuacji opowie się po naszej stronie i aktywnie pomoże. Ja nakażę kancelarii rozesłać oficjalne zaproszenia na wrześniową uroczystość, w tym, jak radził Sytomir, do Mezary. Petin oczywiście odmówi, ale my wykażemy dobrą wolę. Będziemy w porządku. Porozmawiam też z kilkoma ministrami o stanie naszych zapasów, o gotowości i wyszkoleniu sił zbrojnych oraz o zasobach naszego skarbcza. Rady Seniorów jeszcze nie informujemy. Wstrzymamy się z tym do września. Tyle na dziś. Dużo omówiliśmy i ustaliliśmy. Chyba nie muszę mówić, że tylko nasza trójka wie o tym, co tu było powiedziane? Sytomir, rozlej resztę tego wina. Zrobiło się trochę za ciepło, ale wypijemy i takie. Powiedzcie no, jakie dowcipy ostatnio o mnie opowiadają.

Opowiedzieli. Przed wyjściem z królewskiego gabinetu wypili też resztę ciepławego już, lecz wciąż doskonałego, wina.

ROZDZIAŁ IV

Udało im się zdążyć na popołudniowy kurs promu. Zarówno dziesiętnik ze straży granicznej Ramzy, jak i celnik potraktowali ich wyjątkowo łagodnie. Pierwszy z obowiązku zadał im kilka rutynowych pytań, nie bardzo zwracając uwagę na udzielane mu odpowiedzi. Drugi, opłacony dwoma srebrnymi monetami, nie zaglądał ani do juków Samtora, ani pod plandekę ciągniętego przez krasnoludy wózka. Machnął jedynie ręką, by przechodzić przez uniesioną roгатkę i kierować się do oddalonej o około trzydzieści metrów przystani. Dziś na przejściu ruch był wyjątkowo mały, a pograniczników akurat absorbowwały znacznie poważniejsze i przyjemniejsze sprawy niż szczegółowa kontrola prowadzącego konia człowieka i towarzyszącej mu, niewyglądającej podejrzanie, rodziny niziołków. W pobliskim baraczkę pełniącym funkcję strażnicy czekały już na nich dwie, niemające zbyt surowych zasad moralnych, całkiem ponętne panienki. Na dodatek w ustawionej na kuchence rynce kończyły właśnie przyrządzanie jagnięcego comberka, do którego zanurzona w wodzie chłodziła się spora butla zarekwirowanej okowity.

Pozostałe trzy dziewczyny z pięciu udających się na zarobek do Sarii z ochotą dotrzymywały towarzystwa zakwaterowanemu w namiocie podległym dziesiętnikowi strażnikom. Najbardziej poszkodowanymi czuli się dwaj, mający akurat zmianę przy roгатce. Z utęsknieniem czekali na następców, aby załapać się na

kufelek wzmocnionego samogonem piwa i swoją kolej przy radośnie popiskujących, pozwalających na coraz śmielsze karesy przygodnych towarzyszkach. Dla wszystkich zapowiadał się miły wieczór i nie mniej przyjemna noc, bo dziesiętnik, celnik i strażnicy nie zamierzali przed jutrzejszym dniem rozstać się z tak sympatycznymi i wesołymi kobietkami. One również nie miały powodu do narzekań, bo w drodze trafiły się im: darmowy obiad, kolacja i nocleg. Kto wie, może nawet jakieś pieniążki od wyposzczonych pograniczników, wdzięcznych za profesjonalnie wyświadczone miłosne usługi.

Samtor i krasnoludy, po dogadaniu z szyprem ceny przewozu i po uiszczeniu zapłaty, wprowadzili Biegana i wózek na prom. Usiedli w jego przedniej części, na lewej burcie. Pojęcia „przednia” lub „tylna” były czysto umowne, albowiem dziób i rufa były takie same i tylko zmieniały swoją funkcję w zależności od kierunku przeprawy. Szyper, człowiek niemłody, sprawiający wrażenie solidnego, znającego swój zawód fachowca, zalecił uwiązać konia i zablokować koła wózka leżącymi w pokładowej skrzynce klinami. Przy okazji ostrzegł ich przed trzema, będącymi już na pokładzie, głośno i wulgarnie rozprawiającymi osobnikami. Siedzieli oni blisko środka długości promu, po przeciwnej burcie. Na pierwszy rzut oka widać było, że w ich żyłach krąży przyjaciółka gorzałka, oni zaś uważają się za panów jeśli nie całego świata, to przynajmniej tej jego części. Na mijających ich niziołków i Samtora spoglądali napastliwym, pogardliwym wzrokiem, lecz na słowną zaczepkę na razie sobie nie pozwolili.

Po zabezpieczeniu wózka Eyan odwiązał jeden narożnik plandeki i coś pod nim przesunął. Spojrzał znacząco na synów, a ci ze zrozumieniem nieznacznie skinęli głowami. Magin to

zauważył, lecz nie zareagował. Spoglądał na drugi brzeg Gary, gdzie widać było czekające na przeprawę dwa wozy i kilkoro pieszych.

Obsługa promu, ponaglona przez swego szefa, sprawnie zamknęła bramkę wjazdową, zdjęła z polerów cumy i zabrała się do korb, powodujących jego przepływ wzdłuż przeciągniętych pomiędzy oboma brzegami rzeki lin. Pas wody za rufą stawał się coraz szerszy, chociaż przeciwległy brzeg zdawał się nie przybliżać.

W pewnej chwili trzech podpitych osobników przerwało rozmowę, a jeden z nich wstał. Nie zwracając uwagi na właściciela konia ani na krasnoludy, podszedł do Biegana i bezceremonialnie klepnął go po zadzie. Ogier, nieprzyzwyczajony do takich poufałości ze strony obcych, łypnął okiem, lekko się odwrócił i błyskawicznie wierzgnął tylnymi nogami. Trafił. Kopnięty, pomimo słusznego wzrostu i masywnej postury, przeleciał w powietrzu ze trzy metry i wydawszy jęk bólu, padł na dno promu. Pozostali dwaj jego kompani, zobaczywszy, co się dzieje, zerwali się z miejsc. Jeden podbiegł do leżącego, drugi chwycił spoczywającą u jego nóg pałkę i skoczył do uwiązane konia, chcąc go porządnie zdzielić. Nie zdążył. Zanim się do niego zbliżył, wyrósł przed nim Samtor.

– Zostaw konia w spokoju, nie on jest winien! – krzyknął.

– Spi...laj! Ja mu dam kopać porządnych ludzi! Gnaty połamię bydłakowi, a przy okazji i tobie, złamasie jebiony! – odkrzyknął ze złością zatrzymywany.

Nie przystając, pochylił się do przodu i lekko w bok, zamierzając barkiem odtrącić blokującego mu drogę maga. Był wysokim i zwalistym chłopem. Niejednemu potężniejszemu od stojącego przed nim już spuścił cięgi i nawet przez myśl mu nie

przeszło, żeby obawiać się, co prawda dobrze zbudowanego, ale niższego od siebie i szczuplejszego mężczyzny. Atakowany jednak błyskawicznie na palcach prawej nogi wykonał ćwierć obrotu w lewo, przenosząc drugą nogę w tył i jednocześnie uginając prawą rękę w łokciu. Nie sposób było zauważyć momentu, gdy zgięty łokieć uderzył w twarz napastnika. Efekt był piorunujący. Pałka upuszczona z rąk potoczyła się po deskach pokładu, a wielki chłop jak rażony gromem, z wyrazem zdziwienia, padł prawie bez przytomności.

Gozen i Mizen z maczugami wyszarpniętymi spod plandeki wózka już stali nad nim, gotowi przyjść maginowi z pomocą, a Eyan, podobnie uzbrojony, zbliżał się do trzeciego z mężczyzn, tego, który klęczał przy kopniętym przez Biegana. Ów, przestraszony, uniósł ręce w obronnym geście. Cała akcja od momentu niefortunnego wierzgnięcia trwała kilka sekund. Zaskoczeni takim rozwojem sytuacji byli nie tylko trzej pewni łatwego sukcesu i przed chwilą szukający zwady, a teraz obezwładnieni, osobnicy, ale i załoga promu.

Szyper, obejrzawszy uderzonego i stwierdziwszy, że ten żyje, oraz rzuciwszy okiem na kopniętego, który w dalszym ciągu odczuwał ból i z powodu najprawdopodobniej uszkodzonych żeber miał niejakie trudności z oddychaniem, zwrócił się do Samtora:

– Wszystko widziałem, jeśli będzie potrzeba, zaświadczę, że to nie wy zaczęliście, że się tylko broniliście. Ale... no, no! Byłem święcie przekonany, iż to wam trzeba będzie w razie czego udzielić pomocy. Ci trzej to miejscowe męty, z pobliskiej saryjskiej wioski. Co pewien czas w jakichś szemranych interesach udają się do Ramzy, by po kilku dniach wrócić. Zdarzało się już, że terroryzowali moich pasażerów i musiałem

ich mitygować. Ale tym razem trafiła kosa na kamień. A przecież nie sprawiacie wrażenia tak niebezpiecznych. No, no!

– Nie chcieliśmy tego. Zostaliśmy postawieni w sytuacji przymusowej. Może następnym razem się zastanowią, zanim kogoś zaczepią. Dzięki za wcześniejsze ostrzeżenie i przepraszamy za całe zamieszanie – odparł mu spokojny już magin.

Trójka osobników jakoś się pozbierała. Przenieśli się na rufę promu i w milczeniu starali się dojść do siebie. Od czasu do czasu rzucali na swojego pogromcę nienawistne spojrzenia. Trawili gorycz porażki. Ich cała agresja jednak gdzieś wyparowała.

Po dobieciu do przystani zwlekali z zejściem z promu do czasu, aż magin i niziołki minęli kontrolę graniczną Sarii i trochę się oddalili. Następnie skierowali się do swojej wioski. Prowadziła do niej inna droga niż ta, którą podążali Eyan z rodziną i Samtor, kierujący się na Getynę. Znowu obudził się w nich duch zemsty. Na kim – było im obojętne.

– Czy we władaniu mieczem jesteś równie sprawny, jak w starciu z tym olbrzymem? – zapytał magina Eyan, któremu akurat wypadło popychać wózek. – Im więcej cię poznaję, tym bardziej jestem przekonany, że lepiej mieć w tobie przyjaciela niż wroga.

– Daj pokój. To tylko jeden z tych butnych, chamskich typków. Odważny w stosunku do tych, których uznaje za słabszych. Mocny, ale niepotrafiący wykorzystać swej siły. Kiedy spotka kogoś, kto jest trochę lepszy od niego, od razu chowa dudy w miech. Zresztą cała trójka po takich samych pieniądzach. Teraz z pewnością wzajemnie się obwiniają i usprawiedliwiają. Żeby podreperować swoje samopoczucie, będą szukać na kimś

rewanżu. Nie chciałbym być na miejscu ich ofiar – odpowiedział pytany.

– Chyba że znów źle trafią – wtrącił Mizen.

– Oby tak się stało – dodała Tua.

– Ale wy też jesteście szybcy. I odważni. Nie wyczułem w was nawet odrobiny strachu – rzekł Samtor i z aprobatą popatrzył na młodych. – A ty, Eyan, przewidziałeś, że może dojść do zwady, widziałem, jak przygotowałeś pałki. Rozumiesz się z synami bez słów.

Krasnolud nie skomentował zawierającej uznanie uwagi maga. Odpowiedział za niego Gozen:

– Ojciec nas trochę poduczył. Jest w tym dobry.

Kilkanaście kilometrów przed Getyną, w sporej, wyglądającej chędogo osadzie, zobaczyli zajazd. Pulchna, niewysoka i energiczna właścicielka, zobaczywszy, że zatrzymali się przy wjeździe na dziedziniec, wyszła na ganek i serdecznie zaprosiła wędrowców do środka. Byli zmęczeni i porządnie głodni, więc na gorący posiłek i odpoczynek nie musiała ich namawiać. Dowiedziawszy się, że podążają z Ramzy, zaproponowała im też nocleg. Ponieważ dzień się zbliżał ku końcowi, przyjęli ofertę z wdzięcznością.

Napojony Biegan znalazł pełny żłób i wygodne miejsce w obszernej stajni, w której stało już osiem innych koni. Wchodząc, elegancko pozdrowił je powitalnym rzeniem. Krasnoludy wtoczyły swój wózek na klepisko znajdującej się w obejściu szopy, którą następnie mąż oberżystki zamknął na solidną kłódkę.

Otrzymali dwa pokoiki na poddaszu. Postanowili, że jeden z nich zajmie Samtor z dwoma młodymi, a w drugim, mniejszym, będą spać Tua i Eyan. Po rozłożeniu podręcznych,

niezbędnych bagaży i krótkiej toalecie razem zeszli do izby gościnnej.

Była czysta i unosiły się w niej smakowite zapachy. Za szynkwasem królowała młoda dziewczyna. Z jej urody wynikało, że nie mogła być nikim innym, tylko córką kobiety, która ich powitała. Właśnie była zajęta napełnianiem kolejnej półkwatki piwem z beczki. Zobaczywszy wchodzących, skinęła im wdzięcznie głową i przywołała ojca. Ten wyszedł z zaplecza i zaprosił gości do stołu. Wybrali ustawiony pod oknem, podłużny, na nogach w kształcie drewnianych krzyżaków. Restaurator polecił im krupnik na wołowinie, pieczeń wieprzową oraz pierogi nadziewane kapustą i mięsem. Na zupełną zdecydowali się wszyscy. Eyan i jego synowie wybrali pieczeń, Tua i Samtor – pierogi. Oczekując na zamówione dania, poprosili o trzy pinty piwa i dwie kwasu chlebowego. Dziewczyna oprócz napojów postawiła im na stole koszyczek z żytnim grubo krojonym chlebem, miseczkę smalcu ze skwarkami i salaterkę kiszonych ogórków.

– Smacznego. To od firmy – powiedziała z uśmiechem, spoglądając zalotnie na magina.

Podziękowali. Świeży, posolony chleb ze smalcem zagryzany ogórkiem był wyśmienity.

Tua ze zdziwieniem zwróciła się do magina:

– Samtor, co się dzieje, że nas tu tak sympatycznie traktują? Nie zwracają uwagi, że jesteśmy niziołkami. Czy nie jest to twoja sprawka?

– Nie, nie moja. Też to zauważyłem i jest mi bardzo miło. Myślę, że albo nie sprawia im różnicy, z czyjej kaletki i przez kogo noszonej trafia do nich pieniądz, albo po prostu natrafiliśmy na porządnego właścicieli, dla których liczy się to, co jest naprawdę

ważne, a nie rasa czy wzrost. Być może występuje u nich jedno i drugie razem.

– Wiecie... – Tym razem krasnoludka zwróciła się do wszystkich siedzących przy stole. – Nigdzie i nigdy nie byłam tak dobrze potraktowana przez ludzi. Mieliśmy szczęście, że tu trafiliśmy. Ale czy nas będzie stać? Bo może tu być drogo – zaniepokoiła się.

– Spokojnie, Tua. Mamy trochę grosiwa – odparł Eyan, czując przyjemny ciężar mieszka ze srebrem, wręzonego mu przez dominata przed podróżą.

Pojadali chleb, popijali otrzymane napoje i rozglądali się po pomieszczeniu. Mimo iż było przestronne, sprawiało przytulne wrażenie. Stało w nim z dziesięć różnej wielkości stołów; od małych, czteroosobowych, do mogących zapewnić miejsce nawet dwunastu biesiadnikom. Rozstawiono je tak, że w środku sali tworzyły wolną przestrzeń, najwidoczniej przeznaczoną do występów lub tańców. Na ich pokrytych różnobarwnymi serwetami blatach w zgrabnych pojemniczkach były ustawione przyprawy. Na każdym też, w zależności od jego wielkości, stały jeden lub dwa wazoniki ze świeżymi kwiatami i świece w lichtarzach. Przy większych stołach jako siedziska służyły wygodne ławy z oparciami, przy mniejszych – krzesła.

Na częściowo drewnianych, a częściowo wykonanych z czerwonej wypalanej cegły ścianach wisały kilimki, stare instrumenty, odnowione i pomalowane szprychowe koła od powozów oraz wieszaki na okrycia gości. Belki stropu, podparte solidnymi, drewnianymi słupami, dzieliły całość sali na segmenty. Swą ciemnobrązową barwą odcinały się od sufitu, wykonanego z jasnej, sosnowej szalówki pociągniętej bezbarwnym lakierem. Podłogę ułożono z heblowanych,

szerokich dębowych desek, miejscami przedzielonych prostokątami ze szlifowanego, wpadającego w bordo granitu.

Vis-à-vis stanowiącej wiatrołap sieni, pod przeciwległą ścianą, był ulokowany długi szynkwias. Sterczały z niego trzy błyszczące mosiądzem kurki, służące do nalewania magazynowanego pod ladą piwa i kwasu chlebowego. Stały też na nim: zastęp różnej wielkości kufli, szklanic i kubków do grzańca, słój z kiszonymi ogórkami oraz patery z apetycznie wyglądającym ciastem.

Za kontuarem, pod ścianą, umiejscowiono obszerny regał, którego jedne półki były zastawione flaszkami i karafami, zawierającymi mocniejsze lub bardziej szlachetne trunki, inne zalegała armia kieliszków do win i wódek, glinianych kusztyczków do miodu oraz gromada różnej wielkości i kształtu szklanek.

Nieco z boku widoczne było wejście na zaplecze kuchenne. Od czasu do czasu mignął w nim poblask ognia spod płyty kuchennej lub biały kitel kucharza.

Przy murowanej szczytowej ścianie znajdował się duży kominek z różnem i trapezowo zwężającą się komorą dymową, która przechodziła w wystający ze ściany pilaster przewodu kominowego. Przód i boki kominka obłożone były okładziną z łupanego piaskowca oraz granitu tej samej odmiany, co na podłodze. Użyte tu płyty, w odróżnieniu od posadzkowych, łyssały jednak powierzchniami gładko wypolerowanymi.

Oświetlenie dzienne zapewniały czyste, z pewnością niedawno myte, okna z kolorowymi firankami i rozsuniętymi zazdrostkami. Po zapadnięciu zmroku rolę źródeł światła przejmowały wieszane na słupach naftowe lampy i stawiane na stołach zapalane świece.

Sądząc ze stanu, zajazd był zbudowany nie więcej niż trzy, góra pięć lat temu, a jego właściciele nie należeli do biednych.

W izbie, oprócz nich, goście okupowali jeszcze cztery stoły. Jeden duży, stojący nieopodal kominka, obsiadło radosne, liczące ponad dziesięć osób mieszane towarzystwo. Większość biesiadujących była w średnim i nieco bardziej zaawansowanym wieku. Dwoje młodych, nieco zażenowanych, ale szczęśliwych, siedziało obok siebie. Wszystko wskazywało, że to właśnie oni są przyczyną tego spotkania. Z zachowania starszych, formy zwracania się i poufalitych uwag wymienianych z właścicielami zajazdu wynikało, że goszczą tu nie pierwszy raz. Wyglądali na miejscowych, którzy przyszedli do znanego im i lubianego lokalu, aby uroczyście, przy kielichu, obchodzić zrękowiny młodszego pokolenia.

Drugi stół zajmowali dwaj ubrani w ciemne szaty podróżni, którzy w milczeniu posilali się pieczenią i chlebem, z rzadka popijając przeżuwane kęsy małymi łykami czerwonego wina. Starszy z nich był wysoki i szczupły. Jego pociągłą twarz zdobiła siwa, dość długa, starannie utrzymana broda. Poorane zmarszczkami czoło i błyszczące oczy znamionowały inteligencję oraz popartą niemałym życiowym doświadczeniem wiedzę. Opanowane ruchy i zachowanie zdradzały pewność siebie.

Młodszy, o jasnych, półdługich, gładko przyczesanych włosach, był trochę niższy i także szczupły. Wyglądał na sekretarza lub asystenta starszego. Jadł i pił z większym niż on apetytem i co chwila zerkał na urzędującą za szynkwasem córkę właścicielki zajazdu. Starszemu to nie przeszkadzało, udawał, że nie zauważa maślanych oczu i rozmarzonych spojrzeń towarzysza.

Przy kolejnym stoliku, stojącym w kącie, tuż obok ściany sieni, siedział jakiś ponury osobnik, zalewający robaka okowitą. Po każdym wypitym kieliszku – a chyba było ich już niemało – opierał brodę na wnętrzu lewej dłoni i tępym, nic niewidzącym wzrokiem spoglądał przed siebie.

Przy ostatnim zajęтым stole rozgościła się czwórka elfów. Dwie kolorowo, zdobnie ubrane dziewczyny i dwaj postawni, czarnowłosi mężczyźni. Wyglądało, że zakończyli już posiłek, ale nie sprawiali wrażenia, że zamierzają się prędko zbierać. Popijali z glinianych kusztyczków lipowego półtoraka i żywo dyskutowali, to cichnąc, to tworząc małą wrzawę równoczesnymi wypowiedziami.

Po niedługim czasie przed krasnoludami i Samtorem pojawiły się miski z parującym krupnikiem, następnie na stół wjechały podsmażone pierogi i pieczeń. Jedli z apetytem. W trakcie posiłku podszedł do nich oberżysta i zestawiał z tacy dzbanek wina i pięć szklanek. Na protest, że nie zamawiali trunku, wskazał na stół przy kominku i wyjaśnił, iż jest to poczęstunek dla wszystkich z okazji zrękowin.

Kiedy wino znalazło się na pozostałych zajętych stolikach, fundator poczęstunku, którym okazał się ojciec narzeczonej, wstał, zadzwonił widelcem w szklanicę i wygłosił toast. Pod koniec swojej przemowy zaprosił wszystkich do przepicia za pomyślność młodych. Obecni wypili, kierując uśmiechy, miłe słowa i gesty w stronę zawstydzonej dziewczyny i jej partnera, mającego nieco głupią minę.

Samotny mężczyzna wypił również, spoglądając na narzeczonych roztargnionym wzrokiem.

Po spełnionym toaście przy stoliku elfów zapanował jakiś ruch. Jedna z siedzących tam dziewczyn poszeptała coś do

siedzącego przy niej mężczyzny i zachęcająco go szturchnęła. Ten skinął głową, sięgnął za stół i wydobyl leżącą na ławie lutnię. Musnął raz i drugi jej struny, podstroił instrument, a następnie wypił mały łyk wina. Wstał i zbliżył się do stolika, przy którym odbywała się uroczystość zaręczyn. Podziękował za poczęstunek i przebiegł palcami po gryfie. Po krótkiej, wprowadzającej w nastrój przygrywce zaczął śpiewać.

Pieśń opowiadała o miłości chłopca do dziewczyny. O tym, że przez wiele długich, samotnych lat żył, marząc o kimś takim jak ona, a kiedy ją w końcu spotkał, od razu poznał, że trafił na tę jedyną, wysnioną wśród miliona gwiazd. O tym, że blask jej oczu i uśmiech zmieniły całe jego życie, opromieniły otaczający go świat.

Miękka, wypełniona uczuciem i tęsknotą, wyrafinowana melodia swymi przepięknymi frazami oczarowała słuchających. Elf śpiewał czystym, doskonale ustawionym, lirycznym tenorem. Spod jego palców płynęły harmonijne, umiejętnie dobrane akordy akompaniamentu, a w przerwach między strofami lutnia jakby sama przejmowała melodyczny temat. Pieśń płynęła, rzucała na wszystkich jakiś słodki urok.

Zaręczona para, słuchając, przytuliła się do siebie.

Młoda dziewczyna za kontuarem cichutko odstawiła właśnie myty kufel i zasłuchana zastygła. Jej niebieskie duże oczy skierowane na elfa pokryła mgiełka. Pewnie też marzyła o miłości, o chłopaku, który porwany uczuciem, wypowiadałby tak słodkie zaklęcia właśnie do niej. W tym momencie była przekonana, że pod wpływem takich słów byłaby zdolna bez namysłu oddać ukochanemu swe serduszko i zrobić dla niego wszystko.

Tua delikatnie przytuliła się do Eyana. Ten bez słowa ją objął.

Przy stole elfów zapanowała cisza, a czarnowłose, urodziwe dziewczyny i drugi mężczyzna, bezwiednie się uśmiechając, wpatrywali się w śpiewaka, jakby widzieli i słyszeli go po raz pierwszy.

Ciemno ubrani podróżni przestali jeść. Samotnie siedzącemu osobnikowi najpierw zaszklily się oczy, a potem... popłynęły z nich dwie łzy. Nie wytarł ich, pozwolił im spłynąć.

Elf skończył. Jeszcze chwilę trwała cisza, a potem zerwała się burza oklasków i próśb, by zaśpiewał jeszcze. Nie dał się długo namawiać. Rozbrzmiała rzewna pieśń o księciu, który zakochał się w pąsowej róży. O tym, że podróżując, spotkał w swoim życiu wiele pięknych kwiatów, lecz po latach zrozumiał, iż tak naprawdę przez cały czas kochał tylko tę jedną, najpiękniejszą.

Skończywszy, zwilżył gardło z podanej mu szklanki i skinął na elfki. Podeszły bez wahania. Wspólnie zaczęli powszechnie znaną piosenkę o dziewczynie, co miała czarne oczy, i o tym, że zakochany w niej mężczyzna za ich przychylne spojrzenie gotów był zaprzedać swe serce i duszę. Komu? Może diabłu, ale pewnie właśnie jej.

Zachęceni przez trójkę elfów, przyłączyli się do chóru pozostali. Potem były kolejne śpiewki. Zrobiło się radośnie, wesoło. Zanikły różnice i ucichły odwieczne konflikty. Nikomu nie przeszkadzało, że razem bawią się elfowie, ludzie i krasnoludy.

W pewnym momencie grający przerwał. Jeszcze raz podziękował za wino, złożył zaręczonej parze gratulacje i życzenia. Odpowiadając na nalegania, by jeszcze nie kończył, zaproponował słuchającym ostatni utwór. Miał on być odmienny niż dotychczasowe. Nagrodzony entuzjastycznym aplauzem, zaczekał, aż zapadnie cisza.

Dotąd wtórował sobie, uderzając bądź delikatnie poszarpując struny swymi długimi palcami, teraz wyjął z kieszonki plektron. Spowaźniał. Dźwięki lutni pod wpływem rogowej płytki przybrały ostry, agresywny ton. Po kilku alikwotach wprowadzających w klimat nie zaśpiewał, ale wręcz dramatycznie wykrzyczał początek strofy. Jego protest song ze smutkiem stwierdzał, że ten świat jest dziwny i niedobry, że żyjące na nim jedne istoty rozumne potrafią gardzić innymi, że wypowiedane złe słowa zabijają nie mniej skutecznie niż nóż. Elf, śpiewając, wyrażał swój stanowczy sprzeciw wobec takiego porządku rzeczy, wobec właśnie takich stosunków panujących pomiędzy przedstawicielami odrębnych ras, a nierzadko też między osobnikami tej samej.

Wszyscy obecni w izbie wstrzymali oddech. Niektórzy w zamyśleniu poopuszczali głowy. Nie można było nie zrozumieć, że jest to utwór ogromnie osobisty, powstały na kanwie obserwacji i głębokich przemyśleń, a być może własnych niewesołych przeżyć truvera. Że zawiera on kwintesencję tego, z czym często, niestety zbyt często, się spotykali, a także przesłanie, by ten paskudny stan zmienić.

Zwrotka kończąca utwór wprowadzała jednak nutę optymizmu. Śpiewający wyrażał niepłonną nadzieję, że istot dobrej woli na świecie jest więcej niż złych, że właśnie one rozumieją, iż tak być nie musi, i że sprawią, iż tak kiedyś nie będzie.

Po zakończeniu występu ponownie zapanowała cisza. Tym razem jednak zdecydowanie inna. Trwała dobrą chwilę, aż wzruszona właścicielka oberży z uznaniem rzekła:

– Jesteś wielkim artystą. Chcielibyśmy częściej cię gościć i słuchać. Wyraziłeś to, co czujemy. Jak widzisz, w naszej

gospodzie wszyscy są mile widziani. Zbyt wiele zawdzięczamy niziołkom i elfom. Dzięki nim dziś jeszcze żyjemy i możemy prowadzić tę gospodę. Szanujemy i cenimy wszystkich. I tak powinni postępować inni.

– Masz, Tosiu, rację – poparł ją mąż. – A teraz, aby tak miły nastrój trwał, na koszt firmy kolejka dla wszystkich! Każdy może wybrać to, na co ma ochotę – zakończył tryumfalnie.

Jego żona i córka z gąsiorkiem wina i butelką okowity skierowały się najpierw do stolika elfów. Cała ich czwórka wybrała wino. Dziewczyna, napełniając szklanki, szczególną uwagę zwracała na śpiewaka, który widać ją zauroczył. Ten jednak tylko się do niej uśmiechnął, nie podejmując próby nawiązania bliższego kontaktu. Westchnęła, lekko zawiedziona.

Smętny osobnik, do którego podeszła oberżystka, powrócił do mocniejszego trunku.

Przyszli weselnicy poprosili o butlę jednego i drugiego, a starszy z podróżnych grzecznie podziękował za napitek, mówiąc, że swoją miarkę alkoholu na dziś już wypili. Wywołał tym wyraz rozczarowania na twarzy swojego towarzysza. Nie zwracając uwagi na jego niepokieszoną minę, sięgnął do postawionej na sąsiednim krześle torby i wyciągnął z niej niedużą skrzyneczkę. Po krótkim namyśle wyjął z niej dwa przedmioty. Starannie zamknąwszy wieczko, schował ją i wstał. Skinął na młodszego i obaj podeszli do młodej pary. Goście przy zaręczynowym stole przycichli, patrząc na zbliżających się.

– Wybaczcie, że niepokoiimy, ale z takiej okazji i my pragniemy złożyć życzenia oraz zrewanżować się za poczęstunek – zaczął siwy mężczyzna. – Wkrótce zaczniecie wspólne życie. Niech będzie ono tak piękne i szczęśliwe, jak jesteś dzisiaj ty – zwrócił się do narzeczonej. – Na pamiątkę dzisiejszego dnia

przyjmij od nieznajomych ten amulet. – Położył przed młodą kobietą sporej wielkości, oprawioną w srebro, pięknie oszlifowaną grudkę jantaru. – W jego wnętrzu znajduje się zatopiony przed wiekami kawałek gałązki. Jest to inkluz z dobroczynną siłą, która będzie cię wspierać i chronić. Po latach przekaz go swej córce, którą za niecałe osiemnaście miesięcy będziecie się oboje cieszyć. Jego moc roztoczy opiekę i nad nią. A tobie – zwrócił się do jej partnera, kładąc przed nim drugi wydobyty z puzderka przedmiot – chcę zaoferować ten pierścień. Niech cię nie zniechęca to, że jest on ze stali. Wykonał go dwieście lat temu pewien gnom. Mój mistrz, gdy sam jeszcze byłem młody, nadał mu szczególne właściwości. Noś go na serdecznym palcu lewej ręki. Gdy poczujesz, że palec drętwieje, uważaj, bo niebezpieczeństwo jest blisko. On może ocalić twoje życie. Nie lekceważ ostrzeżenia.

Skończył, położył narzeczonym ręce na ramionach, uśmiechnął się, słuchając słów ich podzięką, skłonił głowę przed pozostałymi siedzącymi przy stole i odszedł, a jego asystent podążył za nim. Mijając stół krasnoludów, przyłożył trzy palce lewej ręki do skroni. Samtor jakby odruchowo wykonał podobny gest.

Gdy jego kobiety częstowały napitkami innych, oberżysta podszedł do stołu zajmowanego przez maga i rodzinę niziolków. Młodzi krasnale pod czujnym okiem matki zrezygnowanymi głosami poprosili o chlebowy kwas, Tua wybrała szklaneczkę wina, a mężczyźni powrócili do piwa. Właściciel obsłużył ich sam. Zamiast jednak dwóch na przyniesionej drewnianej tacy stały trzy napełnione pieniącym się, ciemnym, jęczmienno-chmielowym napojem pintowe szklanice.

– Pozwolicie się dosiąść? – zapytał. Po chętnie wyrażonych zaprosinach usadowił się na ławie i ze smakiem pociągnął duży łyk. – Największy ruch już minął, więc mogę sobie pozwolić. Resztę załatwią moje panie. – Sapnął. – Mam na imię Jano i tak się do mnie wszyscy zwracają. O moim rodowym przydomku Kurak nikt już prawie nie pamięta i tylko nazwa zajazdu „Pod Opalonym Kurem” go trochę przypomina – przedstawił się.

Powiedzieli swoje imiona. W trakcie dalszej rozmowy Eyan wspomniał, skąd są, i nie wyjawiając szczegółów, poinformował, że kierują się do Getyny, gdzie od kilku lat mieszka ich rodzina. Narzekając na trudne czasy i złą sytuację niziołków w zonie, dał do zrozumienia, że jeśli uda się im tam znaleźć źródło utrzymania, zamierzają pozostać na dłużej.

Krasnale pochwałyły gospodę. Podziękowały za rzadko spotykane, nie tylko normalne, ale wręcz serdeczne, ich przyjęcie. Gospodarz słuchał tych wypowiedzi z widoczną przyjemnością i sam też sporo mówił. Poopowiadał o przybyszach trafiających do karczmy, o sytuacji w osadzie, o dorastającej córce, z którą są kłopoty, bo kochliwa niepomiernie. W pewnym momencie nawiązał do wcześniejszej wypowiedzi swej żony, dotyczącej nie ludzi.

– Moja Tosia rzekła szczerą prawdę. Nie ma dla nas znaczenia, kto jest jakiej rasy. W każdej można spotkać osobników porządnych i kanalie. I właśnie to, a nie pochodzenie, jest dla nas podstawą oceny. Od dawna stosowaliśmy właśnie taki podział. A od ponad trzech lat szczególnie dobrze staramy się traktować właśnie niziołki i elfów. Jesteście ciekawi dlaczego? Jeśli tak, opowiem.

Wypił trochę piwa i zobaczywszy zaciekawione spojrzenia, kontynuował:

– Oberżę przejąłem po swoim ojcu, niech mu ziemia lekką będzie. Nie był to ten budynek. Poprzedni był bardzo stary i mniejszy. Jakieś niecałe cztery lata temu, tak pod południe, zajechało do nas ośmiu konnych. Zamówili jedzenie i picie. Kazali napoić i nakarmić konie, lecz nie wprowadzać ich do stajni. Mówili, że zamierzają jechać dalej. Od razu się nam nie spodobali, ale gospoda to gospoda. Nie szło odmówić. Myśleliśmy: zjedzą, odpoczną i odjadą, wytrzymamy. Ale stało się inaczej. Zjedli i zaczęli pić na potęgę. W miarę pochłaniania gorzałki stawali się coraz bardziej zaczepni i wulgarni. Wyrzucili miejscowych i zaczęli obcesowo przystawiać się do żony i mojej córki, chociaż ta miała dopiero czternaście lat. Odesłałem swoje kobiety na zaplecze, by nie stwarzały pokusy, i sam wraz z pomocnikiem, gnomem, zacząłem ich obsługiwać. Nie trzeba było wiele czasu, żeby mój pomocnik został wykopany, a ja potężnie zdzielony pałką w głowę. Widząc, co się dzieje, Tosia i Linka, bo tak ma na imię nasza latorośl, wymknęły się tylnym wyjściem, by szukać pomocy u miejscowych. Nie mogąc znaleźć kobiet, dwaj z bandy przywiązali mnie do słupa i sprzączkami od skórzanych pasów zaczęli bić. Okrutnie. Płakałem, krzyczałem, prosiłem, by przestali. Zapewniałem, że oddam wszystko, co mam. To tylko wywoływało ich śmiech. Mój ból i strach, bo nie wstydzę się powiedzieć, że się okropnie bałem, sprawiał im przyjemność. Najgorszy był ich przywódca. Rozsiadł się na stole przede mną i w chwilach przerwy w biciu płonąca świecą przypalał mi to uszy, to przyrodzenie, opowiadając, co zrobią ze mną, moją żoną i córką. Cierpiałem strasznie. Traciłem przytomność i polewany wodą ją odzyskiwałem. A tortura trwała i trwała. Byłem przekonany, że żywy z ich rąk się już nie wydostanę. Modliłem się o śmierć. Pozostali w tym czasie

zapamiętali niszczyli dorobek naszego życia. Rozbijali naczynia, łamali meble, oblewali wszystko olejem i naftą z lamp.

Przerwał i wzburzony tragicznymi wspomnieniami, wypił spory łyk z opróżnionej do połowy szklanki.

– W stanie jakiejś półświadomości zauważyłem – podjął tragiczną opowieść – że wewnątrz gospody się pali, a część bandytów dorzuca do ognia ławy i stoły. Mój oprawca się ode mnie oddalił i powiedział coś jednemu ze swych kompanów. Ten wyjął nóż i zaczął zbliżać się do mnie. Usłyszałem jeszcze brzęk pękających w oknach szyb oraz trzask rozwalanych drzwi. Zobaczyłem też, że idący w moim kierunku drab stanął, potem powoli, jakby z namysłem, uklęknął na oba kolana i padł. Z pleców sterczał mu zakończony lotkami promień strzały. I to było wszystko, co pamiętam. Resztę znam tylko z opowiadań. A było tak: Symon, gnom, który do dzisiaj jest moim pomocnikiem, po wyrzuceniu z izby wybiegł na drogę w poszukiwaniu ratunku. Kierował się do osady. Przypadkiem trafił na trójkę jadących konno elfów. Rozpaczliwie krzycząc i machając rękami, zatrzymał ich i rwanym z nerwów głosem opowiedział, co się dzieje. Elfowie to dumna rasa, z reguły nie wtrącają się w sprawy ich niedotyczące. Ci jednak, co dziwne, nie odwrócili się. Jeden z nich wsadził błagającego o pomoc Symona za siebie i cała trójka galopem skierowała się na podwórze zajazdu. Spotkali tam grupę biegnących w kierunku gospody, skrzykniętych przez żonę i córkę, uzbrojonych w co który złapał krasnoludów. Najstarszy elf samorzutnie objął nad wszystkimi dowodzenie. Rozstawił niziołki przy wejściach, sam zaś wraz z dwójką swoich towarzyszy stanął przy oknach. Na dany znak krasnoludy wdarły się do palącej się gospody, a elfowie, wybiwszy szyby, zaczęli szyć z łuków. Zaskoczona banda porwała za

miecze. Chociaż byli pijani, udało się im przedrzeć przez przybyłe na odsiecz krasnoludy, niektóre z nich raniąc i obalając. Dopadli do koni i zaczęli uciekać. Kilku bandytów oberwało, jednak zdołali ująć. Tylko jednego z nich okrążono i ściągnięto z konia. Mnie, nieprzytomnego, odcięto od słupa i w ostatniej chwili wyniesiono ze stojącej w płomieniach gospody. Suche drewno, polane obficie naftą i oliwą, paliło się jak pochodnia. Nie było szans na ugaszenie płonącego domu. Ocknąłem się, leżąc na jakiejś rozłożonej na ziemi derce. Gospoda się dopalała. Nade mną pochylała się jakaś kobieta. Później okazało się, że była to druidka-uzdrowicielka, goszcząca u mającej rodzić krasnoludki. Swą wiedzą i magią uratowała mnie przed kalectwem i złagodziła cierpienie. Wierzyć się nie chce, że w ciągu dwóch godzin z zamożnej i szczęśliwej rodziny staliśmy się pogorzalcami i prawie żebrakami bez dachu nad głową.

Znów przerwał. Samtor i krasnoludy bez słowa, poruszeni dramatyczną historią, wpatrywali się w gospodarza.

– Straszne – powiedziała cicho Tua.

– Ano, straszne – przytaknął karczmarz. Podniósł szklanę, dając znak pozostałym siedzącym przy stole. Przepili, a Eyan w milczeniu wyciągnął fajkę, napełnił ją tytoniem i zapalił.

– Przez prawie rok korzystaliśmy z gościnności jednego z krasnoludów. Pomału, pod opieką swoich pań i znającej się trochę na leczeniu żony gospodarza, u którego zamieszkaliśmy, dochodziłem do zdrowia. Kilka dni po napadzie przyszedł on wraz ze swym sąsiadem do mnie i zaproponował pomoc w odbudowie domu. Miałem trochę grosza zakopanego w ogródku na czarną godzinę, ale było tego za mało, by odbudować karczmę. Ułożyliśmy się, że ja kupię część materiałów, a krasnoludy odbudują i wyposażą budynek. Częścią

wynagrodzenia za robociznę miał być płacheć gruntu należący do mojej żony, nawiasem mówiąc, jej posag, resztę należności miałem spłacać w ratach, kiedy już gospoda zacznie zarabiać. Szybko doszliśmy do porozumienia, bo dla obu stron było to korzystne. Brygada krasnoludów, licząca za dwadzieścia osób, w niecały rok wybudowała to, co tu widzicie. Rozkład domu ustalaliśmy wspólnie. Drewno i kamień obrabiały krasnoludy. Wprawne były nad podziw. Wyposażenie wybierała moja żona z krasnoludką, małżonką naszego gospodarza. Po czternastu miesiącach w zajeździe byli pierwsi goście. W ciągu półtora roku od otwarcia rozliczyłem się z niziołkami, ale dług wdzięczności za ratunek i pomoc pozostał. Zżyliśmy się i zaprzyjaźniliśmy, bo ludzie z osady, ba, nawet rodzina, nie okazali nam tyle serca i zrozumienia, co oni. Teraz rozumiecie nasz stosunek do nieludzi.

– Tak, teraz tak. A co z elfami i zatrzymanym grasantem? – zapytał Mizen, który wraz z Gozenem chłonał opowieść Jano, a szczególnie jej fragmenty dotyczące walki i tortur karczmarza.

– Elfowie po zajściu, nie czekając na podziękowania i wdzięczność, odjechali. Dwaj z nich zajrzeli tu trzy miesiące temu. Przenocowali, pogadaliśmy, obiecali, że będąc w okolicy, zawsze nas odwiedzą, bandyta zaś... bandyta został osadzony przez straż w areszcie. Po przesłuchaniach okazało się, że szajka, do której należał, była poszukiwana i w Sarii, i w Ramzie. Miała na swym koncie wiele popełnionych niegodziwości, grabieży, gwałtów i mordów. Jej hersztem był słynący z zuchwałości i okrucieństwa niejaki Żuroń. Nie pokazali się tu więcej. Po sprawiedliwym procesie nasz trybunał skazał ujętego grasanta na śmierć przez powieszenie. Wyrok został wykonany publicznie. My nie poszliśmy tego oglądać.

– Wiele przeszliście, aż dziw, że zachowujecie tak wielką pogodę i życzliwość dla innych – powiedział Samtor.

– Lubimy to, co robimy, i szanujemy innych. To bardziej popłaca niż niechęć i zawiść. Tak jest łatwiej i przyjemniej żyć. Tym bardziej, że osada jest dość zasobna i spokojna. Wszyscy tutaj się znają i żyją w zgodzie. Po napadzie ludzie zbliżyli się do miejscowych niziołków, nabrali do nich zaufania. Często korzystają z ich umiejętności, zamawiają usługi i kupują ich wyroby. Bo przynajmniej ci, co tu się osiedlili, są pracowici i zdolni. Z tego, co wiem, w prawie całej Sarii jest podobnie – zakończył karczmarz. – Na koniec zachęcam do wypicia po kusztyczku wiśnióweczki. Własnej roboty, niezła.

– Chętnie, ale po tym idziemy spać. Już późno, a jutro czeka nas dalsza droga – zgodził się Eyan, nie słysząc ani nie widząc sprzeciwu Tui.

Jano wstał i skierował się w stronę szynkwasu. Razem z nim ruszył magin. Po oddaleniu się od stolika nachylił się do karczmarza.

– Widzę, że jednak nauczka nie poszła w las. Zabezpieczasz się. Bardzo słusznie. To Symon?

Szynkarz popatrzył na rozmówcę.

– Zauważyłeś? – ni to zapytał, ni stwierdził. – Rzeczywiście, to nasz współpracownik i ochroniarz. Siedzi na antresoli z kuszą. Trafia z niej wróbla na pięćdziesiąt kroków. Nie chcę powtórki tego, co było.

Wiśniówka była rzeczywiście dobra. I mocna.

Obudzili się później, niż zamierzali. Wszyscy czuli się wypoczęci, a Eyan i Samtor nie odczuwali żadnych negatywnych skutków po dosyć dużej dozie wypitej wieczorem mieszanki alkoholu. Zimna woda, której użyli do porannej toalety

w umywalni urządzonej nieopodal podwórkowej studni, otrzeźwiła ich całkowicie. Zamówione na śniadanie jajecznicą na boczku oraz świeży chleb posmarowany masłem, popijane białą kawą z kardamonem, z dobrze uprażonego i drobno zmielonego jęczmienia, smakowały wspaniale.

Podczas jedzenia omawiali plan drogi. Zamierzali dziś dotrzeć do Getyny i tam odszukać krewnych Tui. Jeśli warunki pozwolą, zatrzymać się u nich. Jeżeli nie, przenocować w jakiejś pobliskiej gospodzie.

Eyan już wcześniej zdradził maginowi, że gdy będzie to możliwe, chciałby Tuę z synami zostawić na jakiś czas z rodziną, a z Samtorem udać się w wiadomej sprawie do Todory, do króla Artorusa. Mówiąc to, martwił się brakiem pomysłu, jak tę eskapadę wytłumaczyć żonie. Samtor poradził, aby wyznał Tui prawdę o powierzonej mu przez komesa misji. Sugerował jednak, by z uwagi na bezpieczeństwo wszystkich nie wspominał o odkryciu dokonany w kopalni. Krasnolud, wykorzystując fakt, że bliźniacy nocowali w oddzielnym pokoju, po powrocie z kolacji odbył tę trudną rozmowę.

Wielkim zaskoczeniem była dla niego reakcja małżonki, która, kierowana kobiecą intuicją, od początku podejrzewała, że za nagłym wyjazdem z Brony kryją się zupełnie inne motywy niż tylko ich bezpieczeństwo. Wysłuchawszy męża, popatrzyła mu w oczy i spokojnie oświadczyła, że czegoś takiego się spodziewała, bo nie chciało się jej wierzyć, aby tak doświadczonego żołnierza jak Eyan dominat odsyłał z oddziału przed zagrażającą bitwą. Że czekała, kiedy zdecyduje się chociaż częściowo wtajemniczyć ją w prawdziwy cel ich podróży. Ale nawet teraz, gdy została o nim poinformowana, gotowa jest dać głowę, że nie powiedział wszystkiego. Nie nalegała jednak, by

wyjawił więcej. Domyślała się, że z jakichś względów nie może. Zapytała więc tylko, czy spotkanie z Samtorem było pełnym przypadkiem. W potwierdzenie męża uwierzyła, знаła jego prawdomówność. Dowiedziawszy się, że na dwór Artorusa pojedzie razem z maginem, wyraziła zadowolenie. Poprosiła jeszcze Eyana, aby osobiście powiadomił o zamierzonym wyjeździe synów. Da im tym satysfakcję, iż są traktowani jak dorośli. Wyraziła też nadzieję, że jej krewni na pewien czas całą ich trójkę do siebie przygarną.

Eyan, któremu po tym wyznaniu spadł kamień z serca, obiecał, że podczas drogi do Getyny wyjaśni chłopakom całą sytuację. Pomyślał też ze wstydem, że chyba po raz kolejny nie docenił przenikliwości żony. Chcąc jej to wynagrodzić, przytulił ją i czule pocałował. Tej nocy na pocałunku nie poprzestali.

Po śniadaniu młodzi poszli wyprowadzić z szopki wózek, Tua szykowała do załadowania nań wyciągnięte wczoraj rzeczy, a Eyan i Samtor odszukali będących w kuchni właścicieli zajazdu, by uregulować należności za posiłki i gościnę. Żądana kwota nie była wygórowana, zapłacili przeto bez żadnych targów. Przy okazji dowiedzieli się, że dwaj ubrani na ciemno podróżni pożegnali się wczesnym świtem, a czwórka elfów i samotny mężczyzna dotąd się nie pokazali. Ten ostatni znany był karczmarzom, ponieważ mieszkał w okolicy, a jego nastrój spowodowany był tym, że kilka dni temu pochował żonę. Nie chciał przebywać w domu, gdzie wszystko mu ją przypominało, więc przyszedł do zajazdu. Tosia znała zmarłą i bardzo mu współczuła.

Karczmarze wraz z córką odprowadzili krasnoludy i Samtora na podwórze. Żegnając się, zaprosili ich do kolejnych odwiedzin, gdy zdarzy się im przebywać w okolicy. Ci zapewnili, że

z przyjemnością skorzystają z ponownej gościny tak miłych gospodarzy. Magin ujął wodze wcześniej wyprowadzonego ze stajni Biegana, niziolki obstały swój wózek i po wyjściu na trakt cała grupa różno pomaszerowała w kierunku niezbyt już odległej Getyny.

ROZDZIAŁ V

Manisa była niespokojna. Już od wczoraj coś ją nosiło. Przed wieczorem siadła na ławeczce i rzuciła kości. Były przesycone mocą i nigdy jej nie zawiodły. Sama starannie przed laty dobrała ich zestaw tak, by mogły mówić o tym, co pod ziemią, na niej i w powietrzu, zarówno w dzień, jak i w nocy. Ich układ potwierdził jej złe przypuszczenia. Te ze skrzydeł nietoperza rozłożyły się na zewnątrz i promieniście otoczyły żółtkły ze starości kawałek czaszki kreta. Wszystkie cztery z dziobów wron znalazły się obok siebie, tworząc niepokojący znak X. Kręgi z ogona kota rozproszyły się, nie rysując żadnej regularnej figury.

„Na coś się zanosi – pomyślała. – Trzeba zrobić oblot”.

Do zmierzchu krzątała się po obejściu. Wyczesła czarnego kozła i rzuciła mu trochę kapuścianych liści. Pogadawszy z kotem, nakazała mu pilnować i bronić domu podczas jej nieobecności. Powierzyła mu ten obowiązek, bo jej przybrana córka Hatma wraz z pomocnikiem, szczerbatym gnomem Kandosem, wybrała się do lasu, by przy pełni na uroczysku nazbierać ziół. Chodziło jej głównie o ciemnyzęc białą, szczerwól plamisty, pokrzyk wilczą jagodę i jaskra jadowitego, które w tej fazie księżyca nabierały szczególnych właściwości. Szepcząc lub czasami inkantując zaklęcia, warzyła z nich nocami eliksiry, mikstury i wzmacniane alkoholem rosolisy. Ucierała maści i balsamy. Nie zawsze były one tymi, które przywracają zdrowie i urodę. Często zdarzało się jej produkować takie, które je

zabierają albo powodują bardziej lub mniej gwałtowne zejścia. A zarówno na jedne, jak i na drugie był niemały popyt, bo jako mądrucha-zielarka cieszyła się dużym uznaniem.

Oczywiście nie była zielarką. Była czarodziejką. Arcymistrzynią obu stosowanych magii. Jednak jej zakończony wyrokiem proces, przeprowadzony przez najwyższy sąd konwentu magów, oraz wciąż aktualna groźba wiszącej nad nią od ponad dwustu lat straszliwej kary zmuszały ją do utrzymywania tego głębokiego kamuflażu. Konwent był niebezpieczny – pamiętliwy i mściwy. Jego wysłannicy już raz ją dopadli. Było to trzydzieści pięć lat po pierwszej ucieczce, spowodowanej – jak uważała do tej pory – bardzo niesprawiedliwym i krzywdzącym dla niej sądowym werdyktem, od którego niestety nie było odwołania. Wtedy jeszcze nie była tak ostrożna. Co prawda przezornie osiedliła się na zupełnych peryferiach zasięgu loży czarnoksięskiej, lecz nie maskowała się zbyt. Zachowała ponętą postać i wytworny styl życia. Często też używała swych umiejętności magicznych. To ją zdradziło. Wytropiona i pojmana, zgodnie z ponownym, zaostrożonym, orzeczeniem trybunału spowodowanym jej rejteradą i ukrywaniem się, miała zostać pozbawiona mocy i z zachowaną pamięcią oraz wrażliwością na ból być zamknięta na czas nieograniczony w bloku górskiego kryształu, znajdującego się w niedostępnej, podziemnej grocie. Byłaby kimś w rodzaju śpiącej królowej, tylko że nie istniał książę, który swoim pocałunkiem mógłby ją obudzić i uwolnić. Krzyżowe osłony magiczne mające otoczyć jej więzienie zaplanowano tak przemyślnie, że z półletargu, w którym miała pozostawać, odczuwając chłód, tortury psychiczne i upływ czasu, nie byłby w stanie jej wyrwać pojedynczo nawet najbardziej utalentowany

czarodziej czy auror. Potrzebny był do tego zespół, najlepiej ten, który miał ją osadzić.

Udawała, że pogodziła się z okrutnym wyrokiem i rezygnuje z walki. Zmyliwszy pilnujących ją strażników, nieledwie w ostatniej chwili otworzyła okno niestabilnego teleportu i ryzykując życie, uciekła. Udało się. Poobijana, zmaltretowana, ale żywa, została z niego wyrzucona na jakiś zarośnięty mchem górski stok. Szła otaczającym ją pustkowiec, aż trafiła na trudno dostępny, mało widoczny jar. Po pewnym czasie ustaliła, że jest on usytuowany w górach należących do Sweinu, na zachód od Warmy, i prawie nikomu nieznaną. Zdecydowała, że tam pozostanie. Dla łoży, wówczas jeszcze niepodległa, zona stanowiła mało interesujący obszar. Zasadlający go mieszkańcy, głównie krasnoludy i gnomy, byli prawie całkowicie odporni na magię i umieli się zaciekle bronić. Dodatkowy walor stanowiła stosunkowo niewielka odległość od głównej siedziby magów, a to stwarzało szansę, że szukający jej agenci łoży nie będą prowadzili na tym terenie intensywnych poszukiwań. Wiadomo, najciemniej pod latarnią, nawet jeśli jest ona magiczna.

W Sweinie panował wtedy krasnoludzki król z rodu Dargonów. Po dokładnym zapoznaniu się z przedłożoną mu przez nią prośbą rozpatrzył ją przychylnie. Nie tylko nie miał nic przeciwko temu, by osiedliła się na wybranym terenie, oraz obiecał zachowanie w tajemnicy jej prawdziwego imienia, ale zapalał do niej wielką sympatią, ponieważ przy okazji dyskretnie wyleczyła go z dolegliwej, wstydlivej choroby i bez stosowania magii skutecznie wspomogła chętnie używaną nie tylko w stosunkach z własną małżonką, lecz niestety często przynoszącą mu wstyd, jego mocno podwiędłą męskość. Wdzięczna za podarowaną jej siedzibę, obiecała, że jeśli sytuacja

jej nie zmusi, nigdy nie podejmie żadnych działań przeciwko niziołkom i zonie, więcej – w miarę sił będzie pomagać jej władcom i potrzebującym tego mieszkańcom.

Było to dawno, już dobrze nie pamiętała, czy był to król Ymedon Drugi, czy Trzeci.

W krótkim czasie świadomie z pięknej, smukłej, kruczoczarnej, zawsze eleganckiej arcymistrzyni obojga magii, Berny z Zegonu, przekształciła się w niegrzeszącą urodą, będącą w nieokreślonym wieku, ubraną z wiejska zielarkę Manisę. Zielarkami loża magów nie interesowała się z zasady. Zbyt nisko były usytuowane w magicznej hierarchii. Aby jeszcze bardziej oddalić od siebie ewentualne podejrzenia, po pewnym czasie zaczęła wychowywać znalezione, porzuconą w okresie niemowlęcym dziewczynkę, twierdząc, że jest ona jej naturalną córką. Czarodziejki nie zostają matkami, było to więc kolejne działanie oddalające od niej ewentualne podejrzenia. Powstał jednak pewien kłopot. W miarę upływu lat pierwsza i kolejne zdobyte w podobny sposób córki dorastały, starzały się i umierały, a jej wygląd się nie zmieniał. Trzy kolejne wyszły za mąż i założyły własne rodziny. Dwie, niezamężne, zestarzały się i zmarły przy niej. Hatma była szóstym przygarniętym przez nią dzieckiem.

Trzeba powiedzieć, że ta początkowo bezduszna, nieposiadająca żadnych skrupułów czarodziejka z czasem się zmieniała. Zaczęła się przywiązywać do swych wychowanek i rzeczywiście, nie tylko dla utrzymania pozorów traktowała je jak córki, ale czuła do nich coś, co przy pewnej dozie dobrej woli można było nazwać matczynym uczuciem. Cecha ta, co należy z pełnym zdziwienia uznaniem podkreślić, rozwijała się w niej.

Cały czas posługiwała się magią, lecz przezornie otoczyła darowany jej jar niewidzialnymi i dla niezorientowanych niewyczuwalnymi barierami tłumiącymi drgania i zawirowania mocy. Zmieniła też swój warsztat. Z klasycznego, którego skuteczność i elegancja oraz rozległy zakres stosowanych zaklęć budziły podziw i uznanie największych mistrzów konfraterni, na wróżbiarsko-zielarski, wiejski, siermiężny i mozolny. Na pierwszy rzut oka niewiele mający wspólnego z prawdziwymi, profesjonalnymi czarami. Oczywiście to również były pozory, bo badań nad magią nie zaniechała. Przez ponad dwa wieki tak jednak opanowała sztukę maskowania się, że nawet czarodzieje pierwszej klasy, którzy przypadkiem zobaczyliby jej nieporadnie wyglądające usiłowania, mogli mieć podstawy, by sądzić, iż osiągnane efekty to tylko przypadek, szczęśliwy traf.

Po kilkudziesięciu latach, w wyniku zaciętej wojny pomiędzy Sarią i Morgią, po zdeklarowaniu się jako koalicjant przegranej strony zona straciła niepodległość. Później, w wyniku zmiany układu sił, jeszcze kilkakrotnie przechodziła spod panowania jednego mocarstwa pod rządy drugiego. Dargonowie przestali być koronowanymi królami, a stali się komesami przy mianowanych, reprezentujących zwycięskich władców namiestnikach. Tajemnica jednak, którą przyrzekł Ymedon, została zachowana i prawdę o niej poznawał wyłącznie nowo nastający krasnoludzki komes. Taki stan jej bardzo odpowiadał i trwał do teraz.

Przechodząc przez sień, Manisa spojrzała na miotłę.

– Nie, dziś z ciebie nie skorzystam – powiedziała do niej, jakby ta mogła ją zrozumieć.

W sypialni uchyliła okno i zaciągnęła szczelnie kotarę. Następnie się rozebrała. Zdjętą sukienkę i bieliznę ukryła

w szafie. Przykucnęła, rozłożyła ręce i wypowiedziała formułę.

Transmutacja nastąpiła w mgnieniu oka. W miejscu, w którym przed momentem była kobieta, stała teraz wielka sowa mszarna z rozłożonymi skrzydłami. Miały one, podobnie jak jej szeroki ogon, zaokrąglony kształt, a ich rozpiętość osiągała prawie dwa i pół metra. Duża głowa była okolona kolistą, prawie czarną szarłą. Taką samą kolorystykę miał jej podbródek. Niesamowity wygląd nadawały jej usytuowane przy haczykowatym, żółtym dziobie, pomiędzy oczami, dwa półksiężyce z jaśniejszych, króciutkich piór. Grzbiet miała jasnoszary z pręgami przypominającymi słoje dawno ściętego drzewa. Spód wysokiego na ponad dwa łokcie korpusu przechodził niemal w barwę białą. Całość dopełniały grube, zakończone potężnymi szponami, mocno opierzone nogi.

Do całości nie pasowały tylko oczy. Budowa ich i doskonała zdolność widzenia była jak u innych sów, ale zdobiąca je barwa stała się nietypowa. Nie były żółte, lecz białe z czarnymi, jak oczy Manisy, tęczówkami.

Na pierwszy rzut oka kulista głowa sowy budziła bliskie skojarzenie z człowiekiem, mającym krogulczy nos i twarz otoczoną gładko przyczesaną, starannie utrzymaną, długą, opadającą na ramiona fryzurą, która poprzez zarośnięte policzki przechodziła w obfitą brodę. Był to jakiś przedziwny melanz oblicza, którego górna część przypominała przenikliwie spoglądającą starą babę, a dolna – niezadowolonego lub złego leśnego dziada.

Spod łóżka wyjrzał kocur. Zobaczywszy ptasie monstrum, ostrożnie, ale z godnością, się wycofał. Domyślał się, że to jego pani, ale mimo wszystko wolał nie ryzykować. Sowa to zawsze sowa. A ta była ponad dwukrotnie większa od zdarzających mu

się spotkać osobników jej gatunku. Intuicyjnie wyczuwał, że musiała być nadzwyczajnie silna.

Miał rację, bo każda transmutacja przebiegała zgodnie z zasadą równej wymiany. Jeśli coś się poświęcało, zyskiwało się coś innego. Przechodząc z ludzkiej postaci w ptaka, czarodziejka zmniejszała swój wzrost i masę ciała. Ekwiwalentem tego było nadnaturalne zwiększenie mocy, wytrzymałości i agresji.

Sowa trzepnęła skrzydłami i je złożyła. Kołysząc się na boki, podeszła do okna. Pokonała luźne łączenie zachodzących na siebie części zasłon, wskoczyła na parapet, odbiła się od niego i zaczęła się wzbijać. Po uzyskaniu żądanej wysokości wyrównała. Jej lot, mimo że szybki, był cichy i spokojny, a uderzenia niosących ją pewnie potężnych skrzydeł – powolne.

Prowadząc zwiad, zamierzała zatoczyć wokół swej siedziby duży krąg. Rozpoczęła go, kierując się na północny wschód. Po około dwudziestu minutach lotu zobaczyła na ziemi jakąś jasną plamę. Nawet dla jej wyostrzonego wzroku była jednak za daleko, by rozeznąć, co to jest. Skorygowała kierunek. Po pewnym czasie zaczęła rozpoznawać, że są to płonące ogniska. Było ich wiele, siedziały lub poruszały się przy nich jakieś postacie. Zniżyła pułap i zbliżywszy się, stwierdziła, że jest to obozowisko ludzi i elfów. Liczebność jego oceniła na jakieś trzysta osób. Przygotowywali posiłek, opatrywali konie, przeglądali broń i rozmawiali. Głośno, chępliwie i agresywnie. Treść rozmów interesowała ją najbardziej.

Bezszelestnie siadła na konarze starego dębu. W pobliżu była ulokowana niewielka, licząca czwórkę ludzi i dwóch elfów grupa, która prowadziła ożywioną dyskusję. Po niedługim wsłuchiwaniu się wiedziała, że celem ich była Brona. Nie kierowali się tam bynajmniej w przyjaznych zamiarach. To jej wystarczyło.

Poderwała się, by przelecieć nad obozem. Obserwując i nasłuchując, stwierdziła, że większość uczestników wyprawy była podpita, a emanująca z nich agresja i chęć dokonania zemsty za jakąś urojoną krzywdę lub zniewagę aż zagęszczała otaczającą zbiorowisko niedobrą aurę.

Nie podobało się jej to. Jako czarodziejka wiedziała, że w odróżnieniu od elfów ludzie bywają przesądni i przynajmniej niektórzy uzależniają swe postępowanie od otrzymanych znaków lub przepowiedni. Sowa to mroczny, niewróżący nic dobrego ptak. Aby ich zatrwożyć, przeleciała dwa razy nad największym skupiskiem ognisk, wydając niski, głuchy, lekko ochryply dźwięk „hu, hu”. Za trzecim nawrotem, dostrzegłszy, że już zwróciła na siebie uwagę, wybrała jednego z aktywniejszych awanturników i podczas gwałtownego ataku szponami wbiła mu się w ramiona. Oszłomiła go smagnięciem skrzydeł i uderzeniem dzioba wydlubała oko. Drugie dziobnięcie prawie pozbawiło go nosa, oszpecając na całe pozostałe życie. Zaatakowany wydał pełen przerażenia i bólu ryk. Pozostali, zaskoczeni, nie zdążyli zareagować. Nie czekała, puściła okaleczonego przez siebie draba i złowieszczo pohukując, zniknęła w mroku. Skierowała się do Mony.

Dochodziła północ. Agedon przebywał jeszcze w swoim biurze. Właśnie skończył czytanie sprawozdań dominatów i podliczył wpływy z pierwszej raty podatków. Zapłaciły już wszystkie obwody, a pieniądze zostały zdeponowane w skarbcu. Odczuwał żal, że tak olbrzymia kwota, miast być wykorzystana na rozwój zony, na poprawę życia jej mieszkańców, wydatnie zasili imperium okupanta.

Spodziewał się, że w najbliższym czasie królewski namiestnik wezwie go, żeby wysłuchać informacji o rozliczeniach. Wiedział, że wcześniej zapyta o to swego nadwornego podskarbiego. W ten sposób baron Johan Strus zwykle dokonywał krzyżowej kontroli zarówno obwodów, jego, jak i zawiadującego skarbem zony urzędnika. Do namiestnika trafiały prawdziwe, sprawdzone dane. Co docierało do króla Petina, to była zupełnie inna kwestia. Zresztą ten temat absolutnie nie interesował ani nie dotyczył krasnoludzkiego komesa.

Raporty i podliczenia oraz daty spływu wykazywały, że z powodów dotyczących realizacji pierwszej transzy obowiązujących należności nie powinny wyniknąć dla Agedona żadne kłopoty. Nie spodziewał się innego wyniku. Ciężko na taki stan pracował.

Poczuł znużenie. Przerwał pracę. Jego myśli bezwiednie skierowały się na sprawy przyszłości Sweinu i znaleźiska w Bronie.

Napił się wystygłej kawy i skonstatował, że czas iść spać. W tym momencie za plecami, od strony otwartego okna, usłyszał niespodziewany łopot i jakby zgrzytnięcie pazurów o parapet. Odwrócił się. Na parapecie składała skrzydła niespotykane wielka jasnoszara, pręgowana sowa.

– A ty tu czego?! – wrzasnął, chcąc przestraszyć intruza, który szykował się do zeskoku na podłogę.

Chwycił leżącą na stole długą linijkę, lecz trzymając ją w dłoni, poczuł, że jest to zbyt mizerna broń na niewiele odeń niższego zbrojnego w dziób i szpony natręta. Ostrożnie zaczął przemieszczać się w stronę kominka, by drewnianą linijkę zastąpić solidnym żelaznym pogrzebaczem.

Sowa, nic sobie nie robiąc z jego okrzyku i próby zdobycia bardziej adekwatnego oręża, kołyszącym krokiem zbliżyła się do sofy i uniosła dziobem pokrywającą ją kapę.

Agedon, trzymając w ręku pogrzebacz, nie zdążył zrobić w jej kierunku nawet dwóch kroków, kiedy zza rozłożonej materii wyłoniły się ręce, a następnie kształtna, okolona czarną fryzurą damska głowa. Kobieta zręcznie owinęła się utrzymaną narzutą i jeszcze w trakcie tejże czynności zapytała:

– To tak przyjmuje damę pierwszy krasnolud Sweinu? Nieładnie, oj, nieładnie.

Oniemiały komes zaczął coś bez ładu i składu bąkać, wlepiając wzrok w wielce dziwnego gościa.

– Daj mi coś bardziej stosownego do okrycia, bo to jest niewygodne i może się zsunąć. Nie chciałabym swoją golizną, chociaż zapewniam, że jest ponętna, cię gorszyć. Znając męskich potomków rodu Dargonów, domniemywam, że jesteś czuły na wdzięki niewieście, nawet jeśli kobieta nie jest krasnoludką. No, pospiesz się, bo nie dla głupot tu się zjawiłam. Są sprawy poważne i musimy je obgadać.

– Pani Berna z Zegonu. Witaj, czcigodna. Wybacz, ja... ja nie...
– zaczął bąkać komes, chowając za plecy rękę z pogrzebaczem.

– Zawsze sądziłam, że stać cię na więcej niż takie jajanie. No, daj mi wreszcie jakiś szlafrok, płaszcz czy coś podobnego.

– Już, już idę, bo tu nic nie mam. Zaraz przyniosę. W pobliżu...

– W porządku, już nigdzie nie chodź. Zbyt dużo czasu by to zajęło, a i tak nic by z pewnością na mnie nie pasowało – powiedziała czarodziejka i pstryknęła palcami prawej ręki.

Narzuta okrywająca jej sylwetkę zafalowała i Berna, już w eleganckiej, bordowej – bo taki był kolor kapy – sukni i takiej

samej barwy pantofelkach, zbliżyła się do Agedona. Ten ujął jej dłoń i lekko się schylając, z szacunkiem ucałował.

– W dalszym ciągu szarmancki. – Uśmiechnęła się. – Teraz, o ile wiem, już się nie całuje kobiet w rękę, dziś to anachronizm, ale... bardzo przyjemny. Kiedy widzieliśmy się po raz ostatni? Chyba niedługo po tym, jak zostałeś komesem? To już ponad osiemnaście lat. Dobrze liczę?

– Tak, coś koło tego. Proszę usiąść, pani. – Przysunął jej krzesło.

– Agedon, widzę, że pamięć zaczyna ci poważnie szwankować. Muszę ci przysłać zapas rosolisu z drzewa kajeputowego i kocimiętki. Zapomniałeś, że jesteśmy po imieniu? À propos rosolisu, napiłabym się czegoś.

– Nie zapomniałem, Berno, ale chciałem okazać ci szacunek. Już podaję, mam nalewkę na wiśniach. Wytrawna, ma cztery lata. Wyśmienita.

Podszedł do szafki, najwidoczniej pełniącej jednocześnie funkcję barku. Wyjął karafkę i dwa kieliszki na niskiej stopce.

– Niecałe dwa miesiące temu napisałem do ciebie list. Chcę cię prosić o pomoc w pewnej poufnej sprawie.

– Wiem, przywiózł mi go twój kurier. Bystry gnom i dyskretny. Ale ja nie w tej sprawie. Słuchaj, spod Warmy ciągnie na Bronę wataha elfów i ludzi. Jest ich około trzech setek. Szykują się do krwawej wendetty. Rozżarci strasznie. Za dwa, trzy dni będą pod osadą. Powinieneś coś zrobić, podjąć jakieś kroki.

Komes w milczeniu napełnił ciemną, aromatyczną nalewką przyniesione szkiełka i jedno postawił przed Berną. Wypili, smakując. Agedon usiadł naprzeciwko czarodziejki i zaczął z namysłem:

– Dzięki ci za tę informację. Już od dłuższego czasu wiem o planowanym napadzie i uprzedziłem o zagrożeniu swoich dominatów. Morgijczycy, podburzani przez elfów, których pewna grupa – moim zdaniem – jest bardziej lub mniej zamieszana w masakrę kupców, chętnie dają posłuch krążącej bzdurnej wersji, że napad na karawanę to sprawka niziołków ze Sweinu, i chcą odwetu. Nie jest to wyłącznie kwestia odwiecznej, a ostatnio nasilonej, niechęci ras. W Morgii, jak wiesz, od ludności są wyduszane od pewnego czasu bardzo wysokie podatki. To odbija się na poziomie życia. Społeczeństwo ubożeje, a bieda powoduje powstawanie niezadowolonia. Szuka się winnych tego stanu rzeczy. Zona stanowi jakby wydzieloną część Morgii i jej rzeczywistą sytuację zna niewielki krąg ludzi. Jednocześnie tworzone są legendy, że zona jest bogata, a krasnoludy ją zamieszkujące – co jest oczywistą nieprawdą – opływają w dostatki. Powszechnie też znany jest pogardliwy i niechętny stosunek króla Petina do Sweinu oraz żyjących tu nie ludzi. Wykorzystując to, część warchołów za cichą aprobatą swojego władcy chce dać upust swym rasistowskim czy, nazywając rzecz po imieniu, bandyckim zapędom, a przy okazji się wzbogacić na grabieży. Oficjalnie Petin takich akcji nie popiera, ale też nie sądzę, aby za ewentualny pogrom spotkały ich organizatorów czy uczestników jakiegokolwiek represje. Sytuacja jest tym trudniejsza, że nasz namiestnik baron Strus, nawiasem mówiąc, krewniak króla, ma nas w takiej samej pogardzie i nie będzie organizował żadnej obrony rdzennych mieszkańców. Jego szara sotnia jest używana do całkowicie przeciwnych działań. A utrzymuje ją nie na darmo. Dlatego musimy radzić sobie sami, znaczenie zaś wszelkich, nawet krwawych, walk czy bitew oficjalnie sprowadzać do rangi lokalnych, nieistotnych

porachunków. Inna rzecz, czy jeśli wyjdziemy z tego napadu zwycięsko, a zapowiada się, że ruchawka będzie sporawa, władze Morgii nie obarczą za wszystko winą nas. Zakładam, że może im być niezręcznie, bo raz: napastnicy przybędą na teren zony, dwa: każdy napadnięty ma prawo do obrony, a trzy: Swein to jednak źródło dużych dochodów Petina. Brutalna interwencja, niesprawiedliwość i masowe represje na krasnoludach odbiłyby się na stanie jego skarbcza. A potrzeby ostatnio ma duże i z natury jest chciwy. Na to, że będzie zważał na potępienie sąsiednich królestw, bym nie liczył.

Przerwał i napełnił kieliszki. Wypili w ciszy.

– Nie sądziłem jednak, że napastnicy są już tak blisko i że będzie ich aż tylu. Rano roześlę zaufanych gońców. Jeszcze raz dziękuję ci, Berno – zakończył.

– Agedon, rozumiesz jak prawdziwy mąż stanu, jak strateg. Szanuję cię i mam nadzieję, że sobie poradzicie. Wracając jednak do twego listu. Powiedz coś więcej, bo czuję, że to ważna sprawa. Być może najważniejsza, z jaką się do tej pory spotkałam. List ze względów dla mnie oczywistych zawierał niewiele, lecz mocno mnie zainteresował. Przybliź mi zagadnienie, podaj więcej szczegółów.

Krasnolud opowiedział. Mówił o odkryciu, o planach, jakie z nim wiązał, o poczynionych przez siebie krokach, o spodziewanych trudnościach i ewentualnej, znaczącej w całej sprawie, roli Berny z Zegonu. Po raz pierwszy od dawna tak szczerze się otworzył.

Czarodziejka słuchała w skupieniu. Nie przerywała, nie komentowała wypowiedzi komesa, a szczególnie części, która dotyczyła jej. Dała jednak do zrozumienia, że jest

zainteresowana, przemyśli problem i gdy przyjdzie pora, raczej nie odmówi swego udziału.

Rozmowę zakończyli, kiedy za oknem zaczęła pojawiać się szarówka, a w karafce zostało niewiele napitku. Przy pożegnaniu komes zlustrował czarodziejkę.

– Jesteś jeszcze bardziej pociągająca i piękniejsza niż wtedy, kiedy widzieliśmy się ostatnio. Jak, pani, to robisz? – zapytał, trzymając w dłoniach jej wyciągniętą rękę.

– Nic nie robię. Na co dzień tak nie wyglądam. Wyglądam jak stara, wiejska baba, ubieram się w zgrzebne łachy i noszę imię Manisa. Od czasu do czasu odczuwam jednak tęsknotę za chociaż krótkim powrotem do swej właściwej postaci. Ostatecznie jestem kobietą. No, a teraz odwróć się, bo nim zmienię się w skrzydlatego stwora, muszę się rozebrać.

Ucałował ją w policzek i się odwrócił. Zupełnym przypadkiem stanął przy lustrze. Berna dostrzegła jego chytry manewr, ale tylko się uśmiechnęła, nie skąpiąc krasnoludowi swego widoku.

Ten, zanim ujrzał sowę, podziwiał przez chwilę inny czarowny kształt. Westchnął, otworzył szeroko okno, a po odlocie ptaka je zamknął.

Wczesnym rankiem Manisa z towarzyszącym jej kotem obchodziła swoje włości. Hatma i Kandos jeszcze spali. Razem.

Zemel jak zwykle obudził się o świtaniu. Jego organizm, liczący ponad cztery setki lat, właśnie tak, nawet po głębokim przepiciu, reagował na wschód słońca. Duża część elfów, szczególnie leśnych, zachowała niektóre atawizmy z czasów, kiedy wszyscy przedstawiciele tej nacji, będący wówczas prawdziwymi dziećmi natury, żyli zgodnie z jej nakazami. Obecnie ich szlachetna rasa ulegała powolnej, lecz nieustannej,

degeneracji. Przyczynami jej były eskalacja człowieczej cywilizacji oraz coraz częstsze i bliższe, niepożądane, lecz nieuniknione, kontakty z ludźmi. Pomimo postępujących przemian *albi gens* pewne nawyki jednak pozostały. Jednym z nich było naturalne wstawanie razem ze słońcem.

Zemel z Zagaju Wiązów – tak bowiem brzmiał jego rodowy przydomek – był osobnikiem nierównym i pełnym sprzeczności. W jego umyśle już od dzieciństwa panował potężny miszmasz wartości oraz pojęć. Z wrodzoną, dodatkowo podsycaną przez rodziców, wynikającą z pochodzenia dumą mieszał się u niego zawistny podziw dla zdobywającej coraz większe znaczenie rasy ludzkiej. Z dążeniem do niezależności i swoistą alienacją walczyła w nim chęć zdobycia znaczącej, przywódczej pozycji zarówno we własnych kręgach elfów, jak i u pogardzanych przezeń ludzi. Z naturalną elfią szlachetnością przeplatało się okrucieństwo w stosunku do słabszych i odmiennych. Butny i wyniosły w kontaktach z zależnymi od siebie, potrafił przyjąć układną, wręcz służalczą maskę wobec tych, którzy byli wyżej postawieni w hierarchii społecznej. W jego życiu oprócz rzadkich momentów zacności częściej występowała spowodowana poczuciem własnego niespełnienia nikczemność i podłość. Rozczarowany nieuzyskaniem z powodu cech swego charakteru akceptacji ojca, porządnego i prawego elfa, kilka lat po osiągnięciu dojrzałości całkowicie zerwał kontakty z rodziną. Był inteligentny, lecz choć podświadomie czuł, że coś z nim jest nie tak, nigdy nie zhańbił się analizą swojego postępowania w kategoriach dobra i zła. Ktoś patrzący na niego z boku po prostu widział groźnego, przebiegłego, nieprzewidywalnego osobnika, który, nie bacząc na innych i czynioną im krzywdę,

konsekwentnie dąży do uzyskania doraźnych, możliwie największych życiowych profitów.

Wyszkolony w wojennym rzemiośle, nie mogąc osiągnąć satysfakcjonującej go pozycji, porzucił armię i zebrał własną ferajnę obwiesiów. W czasach, gdy toczyły się wojny, za godziwe wynagrodzenie przystawał z nią do strony mającej perspektywę na zwycięstwo. W czasach pokoju zmniejszał stan swojej watahy do ośmiu, dziesięciu grasantów i rabował na własny rachunek. Przy większych akcjach tymczasowo łączył się z szajkami znanych sobie hersztów i dzielił się z nimi zdobytym łupem. Trzeba przyznać, że robił to uczciwie. Nie chciał mieć kłopotów z kolegami po bandyckim fachu.

W miarę upływu czasu i zdobywania wątpliwego miru poszerzał kontakty. Bywało, że świadczył pewne tajemne usługi nawet samym panującym. Najczęściej polegały one na wykonywaniu wyroków na niewygodnych im osobach. Nie miał oporów przed zabijaniem ani ludzi, ani elfów, ani tym bardziej pogardzanych niziołków.

Był mistrzem w zacieraniu prowadzących do siebie śladów i poszlak. Nie było to trudne, ponieważ przez ten długi czas zbójowania posiadał ogromny majątek. Wzbogacili się też przy nim jego najbliżsi i najbardziej zaufani kompani. Miał rozwiniętą sieć informatorów. Jednych kupował, drugich szantażował możliwością ujawnienia ich ciemnych spraw, jeszcze innych zastraszał. Wśród tych pierwszych, będących na jego liście płac, znajdowała się niemała liczba średnich i wysokich urzędników Morgii, Mirty, Eridy, a nawet Sarii. Dawno mógł przerwać bandycki proceder i żyć jak książę. Jednak nie chciał. Uwielbiał zabijanie i zadawanie sadystycznych tortur. Widząc mękę i strach innych, odczuwał fizyczną i psychiczną rozkosz.

Po jednym, szczególnie okrutnym, napadzie na dużą karawanę kupiecką, wykorzystując wzburzenie nim wywołane, używszy swych szeroko rozgałęzionych macek, rozpuścił pogłoski, że rozboju dokonały krasnoludy i gnomy. Wieści te nadspodziewanie łatwo znalazły posłuch wśród sporej liczby chętnych do łatwego wzbogacenia się, szybkich do wydawania sądów i chwytania za miecz lub widły mętów społecznych. Oni to, dyskretnie i umiejętnie sterowani, skrzyknęli się i postanowili srodze odplacić rzekomym sprawcom głośnej rzezi, którzy według nich musieli pochodzić z zony. Jako cel karnej, zbójckiej krucjaty została wybrana niezbyt odległa, w miarę dostatnia i, wydawało się, nieprzygotowana do walki, Brona.

Do wyruszającej liczącej prawie trzystu awanturników kompanii przyłączył się wraz ze swoją drużyną Zemel. Szybko zdobył uprzywilejowaną pozycję i w tej żądnej krwi i łupów niezorganizowanej zbieraninie warchołów stał się jednym z przywódców.

Drugiego dnia wyprawy – wczorajszego wieczoru, podczas organizowania noclegu – on i jego grupa, którą dla większego splendoru nazywał komandem, ulokowała się w pewnym oddaleniu od reszty ludzi, półelfów i elfów, ciągnących na Bronę. Właśnie spożywali zakrapianą suto kolację, gdy gdzieś w środku obozowiska wybuchło zamieszanie. Jego przyczyną, jak się wkrótce dowiedzieli, był atak niezwykle dużej i agresywnej sowy na jednego z uczestników ekspedycji. Został on przez nią okrutnie poraniony i miał wylupione oko. Ten niezwykle przypadki wzbudził sensację i był szeroko omawiany. Niemala część dotychczasowych zwolenników odwetu odebrała go jako zły omen i zaczęła ostrożniej myśleć o możliwych efektach akcji. Pozostali bagatelizowali ów incydent. Niemniej panujący dotąd

nastrój huraoptymizmu został przygaszony, a wśród zgromadzonych coraz wyraźniej rysował się podział na chcących kontynuować podjęte dzieło i tych, co zaczęli przemyśliwać, iż należy z niego zrezygnować. Nie znalazłszy porozumienia, poróżnieni, jedni i drudzy późno w nocy poszli spać.

Jakiś czas po ocknięciu się Zemela zaczęli budzić się i inni. Nietrudno było zauważyć, że wstają z różnymi zamiarami. Około jednej trzeciej obozujących postanowiło wracać. Skupieni razem wymieniali ciche uwagi. Jakby zawstydzeni swą niestałością, utwierdzali się wzajemnie w słuszności podjętej decyzji. Kilkunastu mających trudności z wyborem ociągało się, powoli zbierając swoje rzeczy i oporządzając konie. Spoglądali niespokojnie to na jednych, to na drugich, by w końcu dołączyć bądź tu, bądź tam. Reszta, stanowiąca wyraźną większość, obrzucała dezerterujących drwiącymi uwagami i wyzwiskami. Była zdeterminowana, by zrobić z wstrętnymi niziołkami porządek.

Jako pierwsza miejsce nocnego obozowiska opuściła grupa rezygnujących z łupieżczej eskapady. Kontynuujący przeciwniziołkową misję wyruszyli parę chwil później. Na ich czele stał elf Zemel ze swym komandem.

ROZDZIAŁ VI

Getyna była czystym, zadbanym i sporym miastem. Liczyła około piętnastu tysięcy mieszkańców. Nie miała wydzielonej dzielnicy zamieszkiwanej tylko przez niziołki i dlatego odnalezienie rodziny zajęło nieobeznany z nią przybyszom trochę czasu. W poszukiwaniach pomogła im znajomość zawodu wykonywanego przez Kipora, męża ciotecznej siostry Tui. Był on płatnerzem. Warsztat o tym profilu, w dodatku prowadzony przez krasnoluda, był tu tylko jeden. Doprowadził ich do niego, niemający widocznie nic lepszego do roboty, rozmowny i bystry kilkunastoletni miejscowy wisus.

Podczas drogi opowiadał o mieście, o mijanych sklepach i organizowanym przez burmistrza za dwa dni festynie z okazji otwarcia nowego miejskiego stadionu. Wynagrodzony za swój wysiłek monetą, grzecznie przedstawił się i polecił swe usługi na przyszłość. Umówił się też z młodymi krasnoludami na wspólny wypad podczas lokalnego święta. Gozen i Mizen na spotkanie z nowym znajomym chętnie przystali.

Siedziba krewnego mieściła się prawie na samym skraju grodzkiej zabudowy, nad niewielkim potokiem, po którego drugiej stronie widniały pola i sady. Za nią stały jeszcze dwa zabudowania, przy których brukowana ulica z wydzielonym dla pieszych jednostronnym trotuarem kończyła się, przechodząc w polną drogę.

Przybycie rodziny było dla krewnych z Getyny całkowitym, aczkolwiek miłym, zaskoczeniem. Po serdecznym powitaniu przez siostrę Tua, pozostali członkowie jej rodziny oraz Samtor zostali zaproszeni do schludnie wyglądającego, jednopiętrowego budynku. Konia i wózek zostawiono chwilowo na podwórku.

Dom był wyposażony w proste, funkcjonalne meble oraz – co stanowiło chlubę gospodarzy – miał kuchnię i łazienkę z bieżącą, podgrzewaną piecem wodą. Tego typu rozwiązania świadczyły o pomysłowości i zamożności właściciela i nawet w większych miastach były spotykane bardzo rzadko. Co prawda wodę do umieszczonego na strychu dużego zbiornika, odpowiednio zabezpieczonego przed mrozami, trzeba było pompować ręcznie, ale trud ten rekompensowała wygoda, szczególnie zauważalna w porze jesienno-zimowej.

Witając ich Retynia, żona płatnerza, wskazała pomieszczenie na złożenie podręcznych bagaży. Pospiesznie wysłała towarzyszącego jej syna do pobliskiego warsztatu po męża, dorastającej córce zleciła przygotowanie pokoi gościnnych, a sama, zadając niezliczoną masę pytań o zdrowie, o podróż, o pozostałą w Sweinie resztę rodziny, zajęła się poczęstunkiem. Z jej radosnej paplaniny i życzliwego uśmiechu widać było, że szczerze cieszy się z niezapowiedzianego przybycia gości.

Kuźnia i pracownia połączona ze sklepem mieściły się w sąsiednim baraku. Jak się później okazało, w skrajnej jego części ulokowana była też szopa, w której przebywały trzy muły i łaciata koza. W towarzystwie tym znalazło się również wygodne miejsce dla Biegana. Wprawdzie koza początkowo spoglądała nań dość podejrzliwie i niezadowolona pobekiwała, lecz muły zachowały się przyjaźnie. Zaciekawione obwąchiwały nowego współlokatora.

Po kilku minutach w domostwie pojawił się Kipor. Brodaty, szeroki w barach krasnolud objął Tuę i wyczałował ją w policzki. Ten sam rytuał powtórzył z Eyanem i jego synami. Następnie przedstawił się Samtorowi i uścisnął mu dłoń.

W czasie posiłku, po ożywionej wymianie wiadomości, która zazwyczaj towarzyszy długo niewidzącej się rodzinie, ze strony gospodarzy padły pytania o cel podróży. Eyan, nie wdając się w szczegóły, opowiedział o zapoznaniu się z maginem i poinformował, że pilnie musi udać się na kilka dni do Todory.

Propozycja Kipora, by Tua i chłopcy zostali na czas jego nieobecności w Getynie, będąca tak bardzo po myśli przybyłych, spotkała się z gorącym poparciem Retynii. Na wyrażoną przez Tuę obawę, że sprawią kłopot, gościnni gospodarze zapewnili, że będzie wręcz przeciwnie. Płatnerz miał sporo zamówień, więc liczył na pomoc bliźniaków w warsztacie, a jego małżonka, tęskniąca za kontaktami rodzinnymi, zaczęła snuć plany, czym razem z siostrą się zajmie. Młodsze pokolenie szybko znalazło wspólny język, a Mizen i Gozen od początku robili słodkie oczy do niebrzydkiej córki krewnych. Widać było, że ona też nie ma nic przeciwko dwóm nowym, chociaż młodszym od niej, adoratorom.

Po posiłku wszyscy wstali od stołu. Z największą ochotą zrobił to Samtor, dla którego korzystanie z mebli dostosowanych do wzrostu niziołków w miarę upływu czasu stanowiło coraz większy problem. Gospodarze zauważyli to i kiedy z zażenowaniem zaczęli przeproszać go za niewygodę, z uśmiechem zbagatelizował całą sprawę. Kipor jednak nie zakończył tematu. Poszarpując brodę, sumitował się, że posłanie dla tak postawnego gościa z oczywistych względów musi zostać przygotowane na podłodze. Samtor uspokoił speszzonego

zaistniałą sytuacją gospodarza, mówiąc, że doskonale to rozumie i nie tylko nie ma nic przeciwko, lecz także jest wdzięczny za troskę o jego wygodę.

Podczas rozlokowywania gości gospodarz zwrócił uwagę na miecz maga.

– Można? – zapytał.

Po uzyskaniu pozwolenia zgrabnym ruchem wyjął oręż z pochwy i zaczął go uważnie oglądać.

– Miecz karoliński – stwierdził ze znawstwem. – Z puncy... – Spojrzał na wybity na taszce znak pokazujący liść koniczyny. – ...wynika, że wykonany przez gnomy. W Sweinie nazywaliby go wikińskim. Jelec w formie wygiętej sztabki, głowica w formie krążków zwieńczonych trójdzielnymi grzybkami, trzon skórzany przewinięty miedzianym drutem – mówił, oglądając broń. – Trwały i nie ślizga się nawet w spoconej dłoni. Głownia wysmukłego kształtu, o doskonałych proporcjach, z wzmocnionej koltanem podwójnie hartowanej stali.

Odwróciwszy się od Samtora, wykonał kilka zamachów i skomplikowanych ruchów markujących pchnięcia oraz cięcia.

– Świetnie wyważony, piękny egzemplarz – rzekł z uznaniem, wkładając miecz do pochwy. – Ma swoje imię?

– Tak. Nazywa się Memorton. Nazwę tę nadał mu mój preceptor, który wręczając mi go, powiedział, że ma przypominać mi, iż każda walka z jego użyciem może prowadzić do śmierci. Przeciwnika lub właściciela miecza, gdy ten okaże się mało wprawnym szermierzem.

– Mądry nauczyciel, wiedział, co mówi. A tak przy okazji: należałoby usunąć tę, co prawda małą, ale jednak istniejącą szczerbę na sztychu i podostrzyć czubek twego miecza. Chętnie to zrobię. I... jeszcze jedno: nie pogniewaj się, ale muszę

powiedzieć, że ta mocno podniszczona i nieco tandetna pochwa nie pasuje do tak wspaniałej broni. Jeśli nie masz nic przeciw temu, jutro u mnie dobierzemy coś bardziej odpowiedniego.

Samtor nie pogniewał się i nie miał nic przeciwko jednemu i drugiemu.

Wieczór upłynął wszystkim na rozmowach. Po kolacji pojadali upieczone przez Retynię ciasto i popijali je dostarczonym przez Samtora, przelany z bukłaka do pojemnego dekantera, winem. Na koniec gospodarze z widoczną satysfakcją zaprezentowali posiadane obejście i warsztat. Na spoczynek udali się wszyscy około północy.

Następnego dnia, po śniadaniu, pożegnawszy wszystkich, Samtor i Eyan wyjechali. Krasnolud, który o dziwo okazał się całkiem wprawnym jeźdźcem, dosiadał pożyczonego mu muła. Pod wieczór, mocno pogoniwszy wierzchowce, dotarli do Todory. Po przekroczeniu rogatek magin skierował się prosto do górującego nad miastem królewskiego pałacu, w którego skrzydle, na parterze, miał swe lokum Sytomir.

Jak się później okazało, ten ostatni spodziewał się już ich przybycia i był na nie przygotowany. Otworzył wraz z towarzyszącą mu, podeszłą w latach, szczupłą i wysoką, ubraną w elegancką czarno-szarą suknię, niewiastą.

Bracia powitali się długim, serdecznym uściskiem. Krasnolud, spoglądający na obu mężczyzn, odnosił wrażenie, że widzi dwudziestoletniego syna z ojcem. Gdyby nie znał ich rzeczywistych rodzinnych relacji, nigdy by nie dopuścił myśli, że dzieli ich różnica tylko czterech lat. Po odstąpieniu od brata Sytomir rzucił pytające spojrzenie. W odpowiedzi na nie Samtor skinął głową i przedstawił stojącego za nim Eyana. Gospodarz, wymieniwszy swoje imię, wyciągnął rękę i przywitał nieco

skrepowanego sytuacją krasnoluda, po czym grzecznie zaprosił go do mieszkania, przepuszczając przodem. Z wejściem musieli jednak poczekać, ponieważ niezbyt szeroki korytarz był akurat zastawiony przez kobietę, czule tulącą i całującą magina, który nie pozostając jej dłużny, radośnie ją obejmował, wypowiadał słowa powitania i tkliwie głaskał to po ramionach, to po posiwiałej głowie. Widocznym było, że ci dwoje nie tylko się znają, ale także wzajemnie darzą głębokim uczuciem i sympatią.

– No, wystarczy. Puść mnie już, wariacie, i pozwól poznać swojego towarzysza – zachnęła się po chwili niewiasta i poprawiwszy włosy, zwróciła się do Eyana: – Proszę wybaczyć, ale dawno nie widziałam tego nicponia. Jestem Igona. Byłam jego piastunką. Czekaliśmy na was. Cieszę się z waszego przyjazdu. Wchodźcie, proszę, wchodźcie dalej. – Przejęła rolę gospodyni.

Po rozlokowaniu się Samtor i Eyan dostali czas na toaletę. W międzyczasie Sytomir zadbał, aby pozostawione na dziedzińcu wierzchowce zostały rozkulbaczone i odprowadzone do królewskiej stajni, a z pałacowej kuchni doniesiono gorące jedło. Kucharz, uprzedzony, miał je przygotowane i tylko czekał na sygnał.

W trakcie kolacji krasnolud, utrudzony całodzienną jazdą, nie przejawiał zbytniego apetytu. Jadł niewiele, a mówił jeszcze mniej. Przeważnie tylko wtedy, kiedy bezpośrednio do niego się zwracano. Z grzeczności grzebał widelcem w talerzu, lecz głównie słuchał i obserwował nowo poznanych ludzi. Ci pojadali i prowadzili ożywioną rozmowę.

Samtor, ku zmartwieniu Igony, także jadł mało, za to z ciekawością wypytywał, co podczas jego kilkuletniej nieobecności u nich zaszło, czy są zdrowi, co też słysząc u dawno niewidzianych wspólnych znajomych. Sam również opowiadał.

Mówił o okresie spędzonym w Morgii, o sytuacji ostatnio w niej panującej, o swym, jak się okazało znanym Sytomirowi, mentorze. Zapytany przez wpatrzoną w niego dawną piastunkę o drogę, opowiedział o spotkaniu z rodziną Siewcy, wspomniał też o bandzie i zejściu na promie. Kiedy chwalił dzielność i umiejętności towarzyszących mu niziołków, w tym Eyana, ten ostatni skromnie spuścił głowę i nieskładnymi, urywanymi zdaniami starał się wszystko zbagatelizować. Wypowiedź magina i pełne akceptacji spojrzenia oraz skierowane pod jego adresem słowa uznania Sytomira i Igony sprawiły mu jednak satysfakcję.

Atmosfera przy stole w miarę upływu czasu i obniżania w butelce poziomu wina stawała się coraz swobodniejsza. Eyan z przyjemnością konstatawał, że gospodarze traktują go normalnie. Fakt, iż jest niziołkiem, w niczym im nie przeszkadza. Wypił trochę i częściej zaczął wtrącać się do rozmowy. Zauważył, że mimo poruszania rozmaitych tematów Samtor słowem nie wspominał ani o jego misji, ani o kopalnianym znalezisku. Biorąc z niego przykład, on również pomijał tę sprawę.

Po pewnym czasie Igona, wymówiwszy się wiekiem i zmęczeniem, zostawiła mężczyzn samych. Zanim odeszła, złożyła im życzenia dobrej nocy i zwracając się do Sytomira, żartobliwie zaleciła, żeby z uwagi na zmęczenie przyjezdnych nie siedzieli zbyt długo.

– Jutro także jest dzień – powiedziała, żegnając się.

Po jej odejściu na chwilę zapadło milczenie. Sytomir ujął butelkę, rozlał do kieliszków resztkę wina i na chwilę oddalił się od stołu. Przyniósł paterę z owocami. Gdy ją stawiał, na stół wypadł mu guzik. Jakby mimochodem podniósł go i mówiąc do brata, zaczął się nim bawić. Eyan bez słowa sięgnął do małej

kieszonki koszuli. Na obrusie przed nim znalazł się drugi, identyczny.

– Przepraszam, jestem trochę roztargniony, zapomniałem przekazać pozdrowienia od naszego komesa Agedona – powiedział.

– Dzięki, teraz mam pewność, że jesteśmy we właściwym gronie – rzekł szef tajnych służb królestwa Sarii, poważniejąc. – Jutro po śniadaniu musimy porozmawiać. Chcę jako pierwszy bliżej poznać to, z czym zostałeś przysłany. Jeśli rzeczywiście sprawa okaże się tej wagi, jakiej się domyślam, poproszę króla, aby znalazł dla ciebie czas. Niewykluczone, że w tym spotkaniu także weźmiesz udział – zwrócił się do Samtora. – A teraz opróżnijmy kielichy i pora na odpoczynek. Należy się on nam wszystkim.

Sytmir, pomimo swych pięćdziesięciu lat, nie był żonaty. Dom od lat prowadziła mu Igona, która im starszy stawał się jej podopieczny, tym częściej i intensywniej namawiała go, by rozejrzał się za stosowną partnerką i w końcu założył rodzinę. Z płcią przeciwną w zasadzie nigdy nie miał problemów. Był przystojny, dowcipny i niebiedny. Z domu wyniósł dobrą kindersztubę, uzupełnioną późniejszym pobytem na dworze króla Artorusa. Swoim zachowaniem, obyciem i szerokim gestem w sposób naturalny potrafił oczarować dużą część poznawanych, jeszcze jako młodzieniec, dziewcząt czy też już jako mężczyzna – kobiet. Szczególnie zaś tych, na których mu zależało.

Będąc chłopakiem, nawet nie myślał, żeby jakiś ówczesny związek sfinalizować małżeństwem. Jako człowiek dorosły kilkakrotnie rozważał, czy nie zastosować się do rad swej

opiekunki. Nawiązywane sercowe kontakty okazywały się jednak z reguły krótkotrwałe, romanse zaś – także te początkowo burzliwe i namiętne – przemijające.

Sytomir, mimo że lubił kobiety i miał z nimi częste relacje, nigdy nie poczuł prawdziwej miłości, a bez tego uczucia nie chciał i nie potrafił z żadną ze swych dotychczasowych wybranek związać się na stałe. W każdej po pewnym czasie dostrzegał cechy, które go zniechęcały i w efekcie prowadziły do zerwania. Dość prawdopodobnym wytłumaczeniem jego postępowania mógł być fakt, iż kandydatki brane pod uwagę jako ewentualne towarzyszki życia porównywał z Igoną i za każdym razem okazywało się, że w jego ocenie właśnie ona z tej konkurencji wychodzi zwycięsko.

Nie było to aż takie dziwne, bo już od lat chłopięcych Sytomir był zauroczony tą o dwadzieścia dwa lata starszą od niego kobietą, która imponowała mu doświadczeniem, życiową mądrością oraz sposobem postępowania. Przyciągała go opiekuńczym stosunkiem, troską i okazywanym mu prawdziwym, nieledwie macierzyńskim uczuciem. Fascynacja Igoną miała także swój aspekt erotyczny. W okresie dojrzewania Sytomir dostrzegł jej urodę i odkrył kobiecy urok. Co ważniejsze, to zauroczenie przez szereg lat nie mijało i nie słabło, kiedy zaś stał się dojrzałym mężczyzną, pochłoniętym głównie sprawami królestwa i pracą, zaczęło przekształcać się w szacunek, głębokie przywiązanie i czułą dbałość o tę wciąż piękną, ale zaczynającą odczuwać brzemień lat, kobietę.

Kiedyś, w wieku czternastu lat, Sytomir, wchodząc do stodoły, przypadkowo usłyszał zdyszane oddechy i przeciągłe jęki. Zaintrygowany cichutko podkraść się do sąsiaka, z którego dochodziły te niezwykle odgłosy. Wychyliwszy ostrożnie głowę,

ujrzał klęczącą na sianie pokojówkę i stojącego przed nią pomocnika kucharza. Oboje byli całkowicie rozebrani. Ich odzienia rozrzucone w nieładzie leżały obok. Zuza, bo tak dziewczyna miała na imię, lewą ręką obejmowała pośladek chłopaka, a prawą, dzierżącą sterczący członek kucharczyka, wykonywała rytmiczne, ostre ruchy. Jednocześnie wysuniętym językiem lizała różowo-fioletową, sporo wystającą z dłoni nabrzmiąłą główicę jego fallusa. W pewnym momencie prawie cały organ pojękującego z zachwyty mężczyzny wzięła w usta, a zajęta dotychczas prawą rękę włożyła sobie między nogi.

Sytmir wstrzymał oddech. Jeszcze nigdy nie widział całkiem nagiej kobiety ani tym bardziej takiej sceny. Poczuł, że w majtkach coś mu rośnie i gwałtownie twardnieje. Był zawstydzony, że podgląda, wiedział, że nie powinien, a jednocześnie nie mógł i nie chciał się wycofać, by nie stracić niczego z fascynującego widowiska.

Kucharczyk tymczasem przejął inicjatywę. Chwycił głowę dziewczyny i poruszając biodrami w przód i w tył, chrapliwie oddychając, to wyciągał, to wpychał w jej lekko zaciśnięte usta swoją, wydawało się coraz większą, maczugę. Po kilku ruchach znieruchomiał, przewrócił Zuzkę na plecy, a sam ciężko legł na niej. Całował i pieścił jej piersi. Nie trwało to zbyt długo. Dziewczyna rozłożyła nogi i podgięła je w kolanach. Oparła dłonie na jego barkach i zepchnęła go niżej. Przeniosła rozwarłe szeroko uda nad ramiona chłopaka, a stopy oparła na jego plecach. Wygięła swe ciało w łuk, tak że usta kuchcika znalazły się tuż nad zdobiącą jej wzgórek łonowy obfitą kępą ciemnych włosów. W dolnej części tejże kępy mignęła Samtorowi błyszcząca wilgocią, intensywnie różowa, pomarszczona szczelina. Nie mógł jej długo podziwiać, bo kucharczyk

niezwłocznie podsunął dłonie pod uniesione pośladki Zuzy i opuścił głowę, zasłaniając to ciekawe miejsce. Z jego ruchów wynikało, że z wielką lubością je ssał i wylizywał. Od czasu do czasu widać było jego ruchliwy język.

Pokojówka oszalała. Wczepiła palce we włosy kochanka, odrzuciła na bok głowę i to spazmatycznie jęcząc, to cicho wykrzykując jakieś niezrozumiałe, pojedyncze słowa, co raz oblizywała swe karminowe wargi wysuwającym z ust językiem. Brodawki na jej kształtnych cycuszkach, bujających się zgodnie z rwanym rytmem wznoszonych i opuszczanych bioder, poczerwieniały i nabrzmiały. Od czasu do czasu puszczała głowę chłopaka, chwytając się za piersi i ugniatała je, poszczypując i pocierając poślinionymi palcami swe sutki.

Tempo gorączkowych ruchów obojga się nasilało. Kucharczyk już nie lizał szeroko rozwartej szczeliny Zuzy, lecz penetrował ją maksymalnie wyciągniętym językiem. Ona, wydawało się skupiona tylko na swoich doznaniach, rozwarła nogi, jak tylko mogła najszerzej, i gorączkowo szepcząc „Tak. Dobrze. Jeszcze, jeszcze...”, kierowała jego głowę na swe najwrażliwsze zakątki. W pewnym momencie gwałtownie wypchnęła biodra do góry i docisnęła swe mokre łono do twarzy chłopaka. Znieruchomiała na dłuższą chwilę, a potem, z wciąż rozwartymi nogami, łagodnie, powoli opadła na siano. Już odprężona, głaskała kuchcika i uśmiechała się, zaspokojona, szczęśliwa.

– Ale mi dałeś. Było wspaniale jak nigdy – rzekła cichutko i spoglądając z lubością na jego wzwiedziony członek, wzięła go pieszczotliwie w rękę. Chwilkę pottrzymała, wykonując delikatne posuwisto-zwrotne ruchy, a potem wprawnie zsunęła napletek z żołądzi i skierowała sterczącego groźnie penisa między swoje uda. Przyciągając klęczącego kochanka i sama naddając się

biodrami, wsunęła koniec dzierzzonej w dłoni okazałej zdobyczy w niecierpliwie oczekujące na nią, wilgotne i szeroko rozwarte właściwe miejsce.

– Wchodź. Dziś nie musisz uważać – szepnęła ponagląjąco.

Kucharczyka nie trzeba było zachęcać. Pchnął ochotczo raz i drugi, aż cały jego organ skrył się w jej owłosionej dolinie, i położył się na Zużę. Ta, początkowo prawie bierna, pobudzana jego ruchami, zaczęła coraz intensywniej mu odpowiadać. Objęła biodra chłopaka nogami, rozrzuciła ramiona. Już po chwili złapali wspólny rytm i trwali w nim, miotając się zapamiętale.

– Och! Przebijesz mnie – wydyszała pokojówka, lecz jej zachowanie w widoczny sposób zaprzeczało tej skardze. W dalszym ciągu trzymała chłopaka w uścisku swych ud, a dolna część jej ciała, ta bezpośrednio godzona jego dzidą, nawet na chwilę nie zmniejszyła ani częstotliwości, ani amplitudy swych poczynań. Wręcz przeciwnie, ruchy i jej i jego stały się gwałtowniejsze i szybsze. Zuza rozrzuciła nogi, a leżący na niej kucharczyk, chwyciwszy ją pod pośladki, zaczął podstawiać jej mokre od potu i wydzielanych soków łono pod swe potężne pchnięcia. Wkrótce przyniosły one zamierzony efekt. Po jednym z nich zagłębiony w dziewczynie zamarł, a przez jego spocone ciało przebiegło kilka gwałtownych skurczów. Wykrzywione w grymasie usta, jęk i zamglony, niewidzący wzrok świadczyły o sile doznanej przez niego rozkoszy.

Orgazm kochanka pobudził jego partnerkę, był bodźcem do jej ponownego, nie mniej intensywnego niż pierwsze, szczytowania. Znowu czuła się spełniona i szczęśliwa i nie tylko z powodu wspaniałego miłosnego aktu, ale dlatego, że była z kochanym i kochającym ją młodym mężczyzną, który pomimo że był biedny i zajmował mocno podrzędne stanowisko – już

sobie to postanowiła – w przyszłości zostanie jej małżonkiem. Złożyła na jego ustach łagodny i długi pocałunek. Wyciszając się sama, pozwoliła na to jemu.

– Jesteś niesamowity, ale na teraz koniec. Wstajemy – zarządziła, sięgając po leżącą blisko niej krótką koszulkę.

Ledwo trzymający się z wrażenia na nogach Sytomir się wycofał. Przez resztę dnia chodził podniecony i wciąż miał przed oczami nagą, ponętną Zuzkę, a szczególnie jej rozbujaane w miłosnym akcie cycuszki i usytuowany przy zbiegu zgrabnych ud, zarośnięty ciemnym włosem trójkąt. Gorąco mu się robiło ma myśl, że to właśnie on mógłby być w roli kucharczycy. Zazdrościł mu. Zadawał sobie pytanie, czy dziewczyny, które znał, zrobiłyby coś takiego z nim.

Nie mogąc sobie znaleźć miejsca, pobiegł nad rzekę. Długa kąpiel w dość chłodnej wodzie uspokoiła jego pobudzony organizm. Niedawno widziane w stodole obrazy, chociaż całkiem nie zanikły, stały się mniej natrętne, mniej męczące.

Po kolacji, którą zjadł bez zwykłego apetytu, pokręcił się i poszedł spać. Długo nie mógł znaleźć sobie odpowiedniej pozycji i zasnąć. Kiedy w końcu usnął zmorzony snem, miewał w nim różne dziwne, głównie mocno nieprzyzwoite wizje. Występowały w nich to Zuza, to jakieś zupełnie nieznanne mu, kuszące dziewczyny.

Następnego dnia zmieniająca mu pościel Igona pomyślała: „No cóż, nadszedł czas, dziecko zmienia się w mężczyznę. Mój wychowanek dorasta. Ciekawe, jaką będzie kobieta, która wprowadzi go w miłosne arkana”.

Lato tamtego roku było wyjątkowo gorące. Kilka dni po opisanych wydarzeniach, w porze popołudniowej, Igona i Sytomir, którzy dość dużo czasu spędzali razem, postanowili się

wykąpać w płynącej nieopodal rzece. Mieli przy niej swoją ulubioną plażę, gdzie łagodnie opadające do czystej, głębokiej wody piaszczyste dno sprawiało, że kąpiel tu była prawdziwą przyjemnością. Przychodzili tam często. Jak zwykle na swym wybranym miejscu w pobliżu rosnących krzaków wierzby rozłożyli na piasku duży ręcznik. Żartując i drocząc się, szybko zrzucili wierzchnią odzież i wbiegli do wody. Pluskali się i pływali do prawie całkowitej utraty sił. Igona zakończyła kąpiel pierwsza. Wyszła z wody i kierując się w stronę ręcznika, wyżeła swe czarne, długie włosy. Usiadłszy, zaczęła je rozczesywać. Skończyła i wyciągnęła się na ręczniku. Przymknęła powieki i poddała się pieszczocie gorących promieni słonecznych. Była zadowolona, prawie przysnęła.

W pewnym momencie poczuła, że ktoś zasłania jej słońce. Otworzyła oczy. Ujrzała, iż rzucającym cień był Sytomir. Stał i wlepił w nią maślany wzrok. Zorientowała się, że spogląda na jej biodra. Rzuciła szybkie spojrzenie i zapłonila się ze wstydu. Przez mokre lniane płótno oblepiające jej ciało wyraźnie prześwitywał wydatny wzgórek łonowy, gęsto obrośnięty ciemnymi włosami. Jakby tego było mało, koszulka bezwstydnie uwidaczniała jej biust i okrągłe, prawie brązowe jego zwieńczenia, zakończone o ton ciemniejszymi brodawkami. Zauważyła też potężne wybrzuszenie w spodenkach chłopaka.

– Odwróć się. Tak nie można – powiedziała speszona.

– Igo, pozwól. Ja już naprawdę nie mogę. Jesteś taka piękna – wyszeptał prosząco, klękając przy niej i dotykając delikatnie jej ramienia.

Próby uspokojenia go nic nie dały. Przyniosły wręcz przeciwny skutek. W dodatku jej młode, spragnione ciało, od lat

nieznające smaku męskich pieszczot, też się przeciw niej zbuntowało. Wbrew samej sobie poczuła się mocno podniecona.

Pozwoliła.

W tym dniu ich wzajemne stosunki nabrały innego charakteru. Dla Sytomira Igona stała się kobiecym ideałem. Serdeczną i chociaż wtedy tego nie przypuszczał, na długi czas jedyną pożądaną i uwielbianą wybranką. Dla Igony ten chłopak przestał być tylko wychowankiem, stał się kimś jeszcze bliższym i ważniejszym. Czymś więcej niż sympatią darzyła go od lat, lecz dotąd było to uczucie, jakie żywi opiekunka do swego podopiecznego. Obecnie, wzbogacone o nowy aspekt, stało się pełniejsze, bujniejsze. Bez żadnych oporów oddawała mu się i brała go swym, po długich latach postu ponownie rozbudzonym, nienasyconym ciałem, dając mu zaznać pełni rozkoszy i wprowadzając we wszelkie tajemnice miłości. Była jednak mądra i realnie spoglądała na życie. Po chwilach uniesień tłumaczyła mu, że powinien poznać także inne dziewczyny. Że obecny związek erotyczny z o wiele starszą kobietą nie powinien trwać wiecznie i nie może się skończyć małżeństwem. Że po napotkaniu przez niego właściwej partnerki powinni wrócić do dawnych układów. Mówiąc to, była szczerą i naprawdę myślała, iż kiedyś będzie piastować dzieci zrodzone z jego związku z tą inną, młodszą od niej i odpowiednią dla niego żoną.

Czas płynął. Sytomir dorastał. Mając osiemnaście lat, wyjechał na studia, do Todory. Po ich ukończeniu trafił na dwór młodego króla Artorusa, gdzie zauważony przez władcę, nadspodziewanie szybko zaczął robić karierę. W pewnym okresie, w celu pozbycia się codziennych uciążliwości związanych z prowadzeniem gospodarstwa domowego i nie chcąc mieszkać sam, ściągnął do siebie Igonę. Niezauważalnie,

zajęty pracą urozmaicaną przelotnymi miłośkami, wkroczył w wiek dojrzały. Ich związek, chociaż nabrał innej barwy, trwał. Coraz usilniejsze z upływem lat nalegania Igony, aby wreszcie związał się na stałe z jakąś kobietą i miał z nią dzieci, które ona mogłaby traktować jak swoje wnuki, Sytomir starał się zbywać. Przeczuwał, że jakakolwiek nowa osoba wprowadzona do ich domu oraz związany z tym ewentualny rozrost rodziny byłyby dla niego obciążeniem, które odciągałoby go od absorbujących obowiązków szefa tajnych służb i oddalało od pasjonującego uczestnictwa w prowadzonej przez króla wielkiej polityce. A nie chciał tego. Istniejący układ bardzo mu odpowiadał. Igonę traktował jak kogoś najbliższego. Doceniał jej dyskrecję. Ufał jej, kochał ją i szanował. Od kilku lat samokrytycznie, z dużą dozą humoru twierdził, że jest i już pozostanie starym kawalerem.

Sytomir i Samtor byli przyrodnimi braćmi. Mieli jedną matkę, lecz różnych ojców. Ojciec Sytomira poślubił Janerę – tak miała na imię ich rodzicielka – z wielkiej i gwałtownej miłości. Trzeba uczciwie przyznać, że znacznie większej z jego strony niż z jej. Rok po ślubie urodził im się syn. Gdy miał trzy miesiące, Symir, młodszy oficer królewskiej armii, musiał iść na wojenkę, która wybuchła pomiędzy Tuludą a Sarią. Nie miał szczęścia. Poległ w jednej z pierwszych bitew, osierocając kilkumiesięcznego syna Sytomira i owdowiając młodą żonę. Ta, po wyczerpaniu się skromnej zapomogi otrzymanej za poległego męża, nie mając środków do życia, zabrała dziecko i wróciła do rodzinnego domu. Ponad rok, pogrążona w żałobie, nie utrzymywała z otoczeniem prawie żadnych kontaktów. Poświęciła się wychowywaniu syna i pomagała rodzicom. Później żal się wyciszył, czas złagodził ranę, pozostawiając jedynie bolesną pamięć. Janera stopniowo zrzucała czarne, żałobne

suknie i zaczęła wychodzić z domu. Znalazła pracę w dobrze prosperującej szwalni bielizny. Zatrudniona początkowo jako pomocnica, w krótkim czasie objawiła szczególne zdolności, a nawet, można powiedzieć, talent do projektowania i wykonywania nowych jej wzorów. Zyskała uznanie szefowej. Została samodzielną krawcową. Sporządzana przez nią bielizna, a szczególnie męskie koszule i dodatki, cieszyły się popytem. Część stałej, bardziej wybrednej, klienteli wręcz domagała się, żeby to właśnie Janera była wykonawczynią składanych zamówień. Na jej twarzy coraz częściej gościł uśmiech, a świat odzyskiwał swe barwy.

Któregoś dnia do zakładu przyszedł elegancki mężczyzna, wyglądający na trzydzieści kilka lat. Zamówił tuzin białych koszul z batystu i cztery kamizelki. Wszystko miało być uszyte na miarę. Zlecenie trafiło do Janery. Podczas rozmów prowadzonych przy kolejnych przymiarkach coś między nimi zaiskrzyło. Wkrótce doszło do spotkań, wspólnych spacerów, kolacji z winem, spoglądania sobie w oczy, wyznań i pocałunków. Niedługo po tym – do upojnych nocy.

Rodzice Janery, zobaczywszy jej przemianę i zaangażowanie w nowy związek, mieli ambiwalentne odczucia. Z jednej strony cieszył ich powrót córki do ludzi, do normalnego życia, dążenie do ułożenia sobie przyszłości, uśmiech na jej twarzy i szczęście w oczach. Z drugiej – coraz mocniej niepokoił ogromny wpływ na nią jej nowego, nieco dziwnego i tajemniczego, partnera, który chociaż sympatyczny, nie mówił nic o swym pochodzeniu i zajęciu. W tym czasie wychowanie Sytomira prawie całkowicie przejęli na siebie.

Czas płynął. Zamówienie złożone w szwalni zostało wykonane. Klient odebrał swoją odzież, lecz jego znajomość

z Janerą była kontynuowana. Ich związek się zacieśniał. Tym razem wszystko wskazywało, że stroną bardziej kochającą, gotową dla nowej miłości wiele poświęcić, była ona. Tak też się stało.

Ku wielkiemu żalowi zatrudniającej ją pracodawczyni namówiona przez partnera wymówiła pracę w szwalni. Wkrótce, po dość burzliwej rozmowie z rodzicami, spakowała się, pożegnała już trzyletniego Sytomira i wraz ze swym towarzyszem wyjechała gdzieś na północ Sarii.

Zamieszkali w jego rodzowym majątku. Janera, otoczona zbytkiem i czułością kochanego mężczyzny, czuła się szczęśliwa. Dającym jej trochę do myślenia faktem stało się przypadkowe odkrycie, że Warynus Redan – bo tak nazywał się jej luby – naprawdę ma już osiemdziesiąt dwa lata i jest praktykującym magiem. Jego troskliwość, opiekuńczość i okazywane uczucie sprawiły jednak, że kobieta przeszła nad tym do porządku dziennego. Po niedługim czasie stwierdziła, iż jest brzemienna. Wieść o tym nie wywołała zaskoczenia jej konkubenta. Przyjął ją z zadowoleniem. Miała wrażenie, że się tego spodziewał.

Przez kolejne tygodnie dużo rozmawiali. Została przekonana, że ich syn – bo z pewnością miała urodzić męskiego potomka – będzie kimś wyjątkowym. Ciężę, w odróżnieniu od poprzedniej, znosiła źle. Aby jej pomóc w tym trudnym okresie, Warynus sprowadził do domu na stałe znanego mu druida uzdrowiciela, aby przejął nad nią opiekę. Jego zabiegi i mikstury, którymi była pojona, przynosiły Janerze odczuwalną ulgę. Dziwny stawał się jednak jej stosunek do mającego przyjść na świat dziecka. Pomimo uczucia do jego ojca nie rozwijała się w niej zwykła w takich wypadkach macierzyńska miłość, rosła za to tęsknota za zostawionym u rodziców pierworodnym synem.

Zwierzyła się z tego Warynusowi. Ten bez dłuższego namysłu zaproponował, by sprowadzić chłopca do nich. Sprawił jej tym ogromną radość, bo miała coraz większe wyrzuty sumienia z powodu pozostawienia chłopca u swoich rodziców.

Sytomir został przywieziony do nich kilka tygodni po urodzeniu przez Janerę drugiego dziecka. Był nim rzeczywiście syn. Nadano mu imię Samtor.

Po położu Janera nie mogła dojść do zdrowia. Nie miała pokarmu i nie obudziło się w niej uczucie do nowo narodzonego niemowlęcia, które chociaż niekarmione przez nią piersią, było nad podziw zdrowe i bardzo szybko się rozwijało. Warynus po naradzie z druidem zlecił mu wyszukanie odpowiedniej mamki. Sprowadzona piastunka okazała się dwudziestokilkuletnią kobietą, która tragicznie straciła córkę i męża. Samotna i rozbita, po szczerzej rozmowie z czarodziejem i towarzyszącym mu druidem, z ochotą zgodziła się przyjąć na siebie obowiązki związane z opieką i wychowaniem Samtora. Swą czułością z nadmiarem wynagradzała mu obojętność, a właściwie nawet oziębłość matki.

Janera, pomimo usilnych starań druida i Warynusa, gaśła. W niecały rok po porodzie zmarła. Przyczyną śmierci okazała się białaczka. Zarówno mag, jak i uzdrowiciel zdawali sobie sprawę, że jej organizm nie wytrzymał procedur, które przekształcały noszonego w łonie syna. Osierocony czteroletni Sytomir ciężko przeżył śmierć ukochanej matki. Całe swe uczucie przelał na młodszego brata. Spędzał z nim dużo czasu. Jego stosunek do noworodka sprawił, że Igona, piastunka małego, także go polubiła. Wkrótce ich obu zaczęła traktować jak swoich synów.

Warynus i druid od chwili narodzin pilnie obserwowali Samtora, a znalazłszy potwierdzenie, że przejął cechy magiczne,

wspólnie kontynuowali proces jego przemian. W ich efekcie mający półtora roku Samtor fizycznie i umysłowo dorównał swemu starszemu bratu. Później szybko go przerósł. W tym czasie bracia stanowili nierozłączną parę. Pomimo coraz bardziej uwidaczniających się różnic fizycznych i mentalnych łączyła ich silna więź psychiczna i uczuciowa.

Kiedy Samtor skończył cztery lata, pewnej jesieni do majątku Warynusa Redana zajechał liczący się w hierarchii konfraterskiej czarodziej klasy arcymistrzowskiej – Moran z Cebionu. Został on przez konwent magiński wytypowany na mentora ewentualnego adepta. Okazało się, że znał zarówno Warynusa, jak i druida, który zapoczątkował i prowadził przemiany chłopaka. Po kilku rozmowach i tygodniowej obserwacji uznał, iż Samtor jest wielce obiecującym kandydatem na maga, a mając prawo do ostatecznej decyzji, podjął się obowiązku jego wieloletniego szkolenia. Zrobił to chętnie, bo sam był już w dosyć zaawansowanym wieku i zaczynał myśleć o przekazaniu swej wiedzy i umiejętności komuś młodszemu. Poznany syn czarodzieja wydawał się spełniać jego oczekiwania.

Samtor, wcześniej przygotowywany przez ojca i druida, nie był zaskoczony złożoną mu propozycją. Świadomie, chociaż z dużym żalem, pożegnał się z zasmuconym bratem, zapłakaną piastunką oraz resztą bliskich i odjechał z Moranem, by rozpocząć nowy etap swojego życia.

Sytomir i Igona pozostali w majątku Warynusa.

Następnego dnia po śniadaniu Sytomir, Samtor i Eyan przeszli do gabinetu i rozmawiając, siedzieli tam do południa. Po

tej debacie szef tajnych służb Sarii pospiesznie skierował się do króla.

ROZDZIAŁ VII

Szczupły, niski, ubrany na czarno mężczyzna z uwagą wpatrywał się w zawieszoną na ścianie komnaty mapę. Jego ptasia twarz, ozdobiona sterczącym, podobnym do dzioba, garbatym nosem zdradzała głęboki namysł.

– A ty jak uważasz, kanclerzu? – zapytał stojącego dwa kroki za nim dostojnika, nie odwracając głowy.

– Erida, Wasza Wysokość – odparł zapytany. – Uważam, że jeśli już, to Erida. Leży pomiędzy krajami wschodnimi, które szarpią ją nie mniej niż nas i nie staną w jej obronie, a słabą i w dodatku nieprzygotowaną do wojny Mirtą. Aneksja tego kraju da nam nowe urodzajne ziemie, sady oliwne i cytrusy, zasoby szlachetnego drewna z porastających ją lasów, poza tym dostęp do Morza Korali. To bogaty akwen. Zasobne łowiska, rafy koralowe, perły, a także rozległy i posiadający rozbudowaną infrastrukturę brzeg. Morzem zapewnimy sobie dostęp do Oceanu Łagodnego. W kilka lat można będzie rozbudować tam drugą flotę, która łącznie z północną zapewni nam całkowite morskie panowanie.

– To są dobre argumenty, bardzo dobre, kanclerzu, ale mimo wszystko na razie nie ona. Najpierw Ramza, zdecydowanie Ramza. Zajmując ją, wyrównamy część naszej zachodniej granicy. Przez Morze Sadona także uzyskamy dostęp do oceanu, a jednocześnie uniemożliwimy, a przynajmniej utrudnimy, utworzenie koalicji Sarii, Mirty i Eridy. Załatwimy też sprawę

naszych zadawnionych porachunków z Gnejusem i wzbudzimy niepokój u Artorusa. Na sprawach tych zależy mi. Wariantowo rozważ też równoczesne uderzenie na Dyned. Nie wiem, czy do niego dojdzie, ale...

– Rozumiem, panie. Pozwól, że jeszcze zapytam: kiedy?

– Dobrze pytanie, kanclerzu. Bardzo dobre – odparł zapytany i zamilkł. Po chwili zastanowienia podjął: – Zamierzam ich zaskoczyć. Uderzyć, kiedy nie będą gotowi. Działania wojenne zazwyczaj wszczynane są jesienią lub wiosną. My zaczniemy nietypowo, wtedy gdy nie będą się spodziewać, a więc zaraz po nowym roku. Szykuj naszą kampanię na połowę stycznia. Za trzy tygodnie przedstawiś mi projekt planu. Po przedyskutowaniu go i akceptacji odprawa wyższego dowództwa armii, a następnie szybkie, utrzymane w tajemnicy przygotowania. Nie muszę ci chyba mówić, że nasze ustalenia i twoje prace są całkowicie poufne.

– Nie musisz, Wasza Wysokość. Wiem.

– Jeszcze jedno: po stracie Neksa czuję się bardzo osamotniony. Pamiętasz przypadkiem, kiedy otwarcie dorocznej wystawy psów? Chciałbym na nią pójść. Może wybiorę sobie jakiegoś.

– Jeśli Wasza Wysokość sobie życzy, od jutra wszyscy hodowcy prezentować mogą tu swoje najlepsze zwierzęta.

– Nie, nie chcę tak. Wolę je zobaczyć na wystawie. Tam wszystkie godne uwagi okazy będą razem. Pomiedzy psem a właścicielem powinna zadziałać chemia. Musimy nawzajem się zaakceptować. Poza tym dobrze jest czasem pokazać się poddanym. Od dawna publicznie się im nie pokazałem.

– Rozumiem. O ile pamiętam, Najjaśniejszy Panie, otwarcie jej odbędzie się w połowie sierpnia. Organizatorzy będą

zaszczytowi wizytą pary królewskiej, uprzedzę ich.

– Czy powiedziałem: pary? Nie, kanclerzu. Udam się tam sam. Absolutnie sam.

W komnacie zapadło milczenie. Po chwili Wielki Kanclerz Królestwa Morgii odważył się zapytać:

– Czy to wszystko, Wasza Wysokość?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, głęboko skłonił się i wyszedł, zostawiając Petina Czwartego zapatrzony w mapę. Nawet na mękach by się nie przyznał, że przez głowę przeleciała mu myśl: „No, to ten groźny pajac, niestety mój władca, zaczyna kolejną, nikomu niepotrzebną, kosztowną i z pewnością krwawą wojenną awanturę. Być może nawet na dwa fronty. Będą kłopoty. Dlaczego – zadał sobie też nieme pytanie – ostatnio jest on tak nerwowy?”.

Kilka minut po odejściu kanclerza do studiującego mapę króla zbliżył się jego nadworny czarodziej.

– Wezwałeś mnie, panie. Jestem.

– Cieszę się. Jak wygląda realizacja naszych ustaleń?

– Jeśli Wasza Wysokość ma na myśli Ramzę, to wszystko w porządku. W bliskim otoczeniu króla Gnejusa znalazł się nasz zaufany człowiek. Wie, co robić, a nie wzbudza jego podejrzliwości. Jest też trójka z innym zadaniem. Tym, o którym radziliśmy. Czy mam opowiedzieć o szczegółach?

– Nie. Ty odpowiadasz za wszystko. Przypomnij mi tylko imię tego pierwszego.

– Epanus, Wasza Wysokość. Epanus z Nuny. Pozwól, że złożę wyrazy uznania za wspaniały wybieg dotyczący budowy nowego miasta.

– Mylisz się, Lagosie, to nie jest wybieg. To rzeczywisty zamiar.

Artorus, powiadomiony przez Sytomira o przyjeździe wysłannika ze Sweinu, postanowił przyjąć go jeszcze tego samego dnia, wieczorem. W planowanym poufnym spotkaniu, któremu na wyraźne żądanie władcy nie nadano charakteru audiencji, oprócz szefa tajnych służb mieli uczestniczyć także Zachetyń i Samtor. Cała czwórka miała przybyć do królewskiego gabinetu w miarę dyskretnie, by nie budzić u dworzan i służby zbędnych sensacji.

Eyan, który pierwszy raz miał stanąć przed tak ważną osobistością, odkąd został powiadomiony o wyznaczonym bliskim terminie wizyty, znajdował się w stanie mocnego podniecenia. Zdając sobie sprawę, że wiele będzie zależeć od wyników wieczornej rozmowy, kilkakrotnie pytał Samtora, jak ma się zachowywać, jak zwracać do króla, by go przypadkiem nie urazić i nie popełnić jakiejś gafy. Ten, rozumiejąc rozterki i obawy krasnoluda, szczegółowo go instruował oraz starał się uspokajać. Przekonywał, że zawsze najlepiej odbierane jest zachowanie naturalne. Mówił, że Artorus jest człowiekiem statecznym, wcale niewyniosłym i na tyle mądrym, że zawsze zwraca większą uwagę na meritum sprawy niż na formę jej przedstawienia.

Emocje Eyana uległy pewnemu stonowaniu, kiedy podobne pouczenia usłyszał od lepiej znającego swego władcę Sytomira. Ten ostatni podpowiedział mu też, żeby zabrał ze sobą tytoń. Zdarzało się bowiem, że władca w trakcie nieoficjalnych a absorbujących go rozmów zapala fajkę i pozwala palić swoim gościom. I chociaż sam nie jest nałogowym palaczem, lubi wtedy – co jest dobrym znakiem – pokosztować mieszanek tytoniowych

używanych przez znajdujących się u niego fajczarzy. Poradził też niziolkowi, aby w miarę możliwości starał się nie posługiwać językiem wspólnym, a korzystał z saryjskiego, ponieważ będzie to lepiej przyjęte. Dla krasnoluda, który przyszedł na świat i wychowywał się w czasach, gdy Swein jeszcze był częścią Sarii, to ostatnie nie stanowiło żadnej trudności. Saryjski był drugim, a wliczając morgijski, trzecim doskonale znanym mu językiem.

Eyan niecierpliwie czekał na porę nadejścia wizyty u króla. Był przygotowany do niej już od popołudnia. Żeby sprawić jak najlepsze wrażenie, podciął nawet nieco wąsy i wyczesał zmierzwioną czuprynę oraz brodę. Wykąpany, ubrany w najlepszą przywiezioną odzież, co chwila spoglądał na zegar i w myślach układał treść swojego wystąpienia.

Dobrze już zmierzchało, kiedy Sytomir wraz z pozostałą trójką zastukał do drzwi królewskiego pomieszczenia. Po przedstawieniu Artorusowi Eyana oraz Samtora i po kilku zadanych przez króla niezobowiązujących pytaniach na temat drogi, ogólnej sytuacji w Sweinie, a także komesa Agedona gospodarz wskazał gościom przygotowane karła. On sam zajął miejsce w okazałym, prawie tronowym fotelu.

– Nie ma co tracić czasu. Powiedz, z czym przybywasz – zwrócił się do krasnala, który po sympatycznym, lecz wzbudzającym w nim najwięcej emocji, powitaniu zdołał już trochę ochłonać.

Eyan, uprzedzony przez Sytomira, że obecne stosunki panujące w zonie są znane zarówno władcy, jak i Zachetynowi, pominął ten temat i od razu przeszedł do opowieści o dokonanym odkryciu. Szczegółowo objaśnił zgromadzonym, jak do niego doszło i co uczestnicy obu wypraw podczas ich trwania napotkali. Możliwie najdokładniej opisał wygląd

spenetrowanych pomieszczeń oraz znalezionych przedmiotów i urządzeń. Mówiąc, starał się nie formułować wniosków ani stawiać tez o pochodzeniu, wieku oraz ewentualnej przydatności znaleziska. Ograniczył się do gołych faktów. Były one i tak wystarczająco sensacyjne, by zaintrygowani słuchacze nie przerywali pytaniami ani wtrącanymi uwagami.

Kiedy po ponad dwóch godzinach skończył, Artorus i mag, którzy po raz pierwszy mieli okazję o tym wszystkim usłyszeć, milczeli zaskoczeni. Spodziewali się czegoś istotnego, lecz charakter i waga tego, o czym mówił krasnolud, przerosła ich oczekiwania.

Król wstał i zaczął chodzić po komnacie. Zatrzymał się przy sekretarzyku i sięgnął po fajkę. W zamyśleniu zapalił ją, odwrócił się do siedzących i popatrzył na nich.

– I co o tym sądzicie? – zapytał. – Zajmujemy się tym czy odpuuszczamy?

Nikt nie kwapił się odpowiedzieć. Nawet mądry Zachetyn siedział i tylko wpatrywał się w swoje położone na kolanach dłonie.

– Niezły pasztet – mruknął po chwili. – Musimy coś z tym zrobić. Jeszcze nie wiem co, ale wiem na pewno, że nie wolno dopuścić, by to znalezisko przejęła Morgia i Petin.

Samtor, który oprócz Eyana najdłużej znał ten temat, poprosił Artorusa o pozwolenie zabrania głosu. Uzyskawszy je, zaczął mówić:

– Jeśli można, Wasza Wysokość, uważam, że twój doradca ma absolutną rację. Ja również jestem przekonany, że znaleziska, o którym mowa, nie powinno się pozostawić temu zupełnie nieobliczalnemu władcy z Mezary, gdyż nikt nie jest w stanie przewidzieć, co z nim zrobi, jak i przeciw komu je wykorzysta.

Z tego, co usłyszeliśmy, wynika, że liczba osób, które aktualnie wiedzą o dokonanym odkryciu, jest jak na razie mocno ograniczona. Tych, którzy mieli sposobność uczestniczyć w wyprawach do kopalni, zobowiązano do utrzymania sprawy w całkowitej tajemnicy. Biorąc pod uwagę, że w zonie stosunki między jej rdzennymi mieszkańcami a osadnikami przybyłymi z Morgii są mocno napięte, a także zważając na wrodzoną nieufność i hermetyczność niziołków w odniesieniu do innych ras, sądzę, że na krótki czas stanowi to gwarancję, iż z tej strony nie nastąpi żaden świadomy przeciek informacji. Układ ten stwarza pewien komfort czasowy, ale należy się liczyć, że nie potrwa on zbyt długo. Z pamięci będących tam nie da się bowiem wymazać takiej sensacji, a ich ciekawość w miarę upływu czasu będzie narastać. Coraz bardziej nieodparta będzie też stawać się chęć porozmawiania o zadziwiającym odkryciu. Nie można wykluczyć, że podczas spotkań towarzyskich, szczególnie tych zakrapianych, które zmniejszają ostrożność, niektórzy z wtajemniczonych mogą w trakcie pogaduszek nawiązać do kopalnianego dziwu. W końcu ktoś niepowołany o nim usłyszy. Ciekawskich uszu jest zawsze wiele. A stąd już tylko mały krok, aby stosowny sygnał dotarł do namiestnika Sweinu lub agentów Petina. Uważam zatem, że jeśli chce się przejąć i właściwie wykorzystać to odkrycie, należy działać bezzwłocznie.

Tu magin przerwał i powiódł wzrokiem po zgromadzonych. Widząc ich potakujące skinienia głów, podjął:

– Naturalne jest, że u każdego, który usłyszy, a tym bardziej zetknie się z czymś tak niespotykanym, nie wyłączając tu obecnych, rodzą się pytania dotyczące tego, jaka cywilizacja, w jakim celu oraz kiedy stworzyła tę budowlę i jej wyposażenie. Do czego miało ono służyć i czy jest możliwe wykorzystanie przez

nas przynajmniej jego części. Czy jest tylko jeden taki obiekt, czy też jest ich więcej. Jakim sposobem przetrwały i działają wszystkie bądź tylko niektóre widziane tam urządzenia. Takie i podobne zapytania można liczyć na setki, jeśli nie tysiące. Niestety, dotychczasowe wyniki dokonanych oględzin, bo trudno je nazwać badaniami, w dodatku poznane przez nas tylko z ustnego przekazu, chociażby był on jak najbardziej drobiazgowy i obiektywny, dają nam zbyt nikłą wiedzę, by formułować odpowiedzi i stawiać – poza najbardziej ogólnymi – jakiegokolwiek hipotezy. Wszystko wskazuje, że napotkano na coś niezwykle istotnego. Coś, co może wywrócić całą dotychczasową naukę, a nawet radykalnie zmienić życie obecnie istniejącej, inteligentnej światowej populacji. Niestety, w tak ważnej kwestii obecnie możemy bazować tylko na domysłach, a to jest stanowczo za mało. W zaistniałej sytuacji proponowałbym, aby jak najszybciej dobrać grono osób posiadających stosowną wiedzę oraz otwarte umysły i po porozumieniu z Agedonem z wytypowanymi przez niego uczestnikami wszcząć kompleksowe, wspólne badania odkrytego obiektu. Co z nich wyniknie – zobaczymy. Reasumując moją wypowiedź, powtórzę, że należy możliwie jak najszybciej skompletować niewielką, ale kompetentną, interdyscyplinarną ekspedycję naukowców Sarii oraz Sweinu i dyskretnie przemieścić ją do Brony w celu przeprowadzenia stosownych badań, które pozwolą odpowiedzieć na najistotniejsze pytania związane ze znaleziskiem. Obowiązek ochrony tego zespołu z oczywistych powodów scedować na Agedona i miejscowego dominata. Aby komesa nie postawić w trudnej sytuacji – nie ma on bowiem lekko ze swoim namiestnikiem – należałoby rozważyć sprawę

pokrycia kosztów zaopatrzenia socjalnego i logistycznego prowadzonych prac.

Samtor skończył i umilkł. Z zachowania pozostałych widać było, że wypowiedź jego spotkała się z ogólną aprobatą. Nakierowała ich, by zaczęli myśleć nie czy, ale co, kiedy i jak w omawianej sprawie poczynać.

Król popatrzył na maga i rzekł:

– Miałem rację, że cię tu zaprosiłem. Niby stwierdzenia oczywiste, ale to ty je wyartykułowałeś. Trafiłeś w dziesiątkę. Zajmiemy się tym tematem.

Ujrzawszy pytająco-proszące spojrzenie maga, skierowane na jego wydzielającą wonny dymek brujerkę, Artorus skinął przyzwalająco głową.

Krasnolud i Zachetyn po udzieleniu im zgody skwapliwie wyciągnęli swoje fajki. Mag, poczęstowany przez Eyan tytoniem, zaciągnął się kilka razy. Wyrażone przez niego uznanie dla palonej mieszanki sprowokowało króla, by spróbować jej również. Eyan wstał i grzecznie się skłoniwszy, podał mu kapciuch z tytoniem. Artorus, odłożywszy dotychczas paloną fajkę, wziął nowy, fantazyjnie wygięty, wykonany specjalnie dla niego z korzenia starego wrzośca cybuch typu billard, nabił go, zapalił i w ramach rewanżu poczęstował zebranych winem.

Swobodniejsza atmosfera rozwiązała języki wszystkim. Wywiązała się dyskusja, podczas której ustalono, że skompletowaniem zespołu badawczego zajmą się Sytomir i Zachetyn, koszty zaś, aby zachować wyprawę w sekrecie, początkowo pokrywane będą z prywatnej szkatuły króla. Ta część planu okazała się stosunkowo prosta. Problemem, który wywołał najwięcej emocji, stało się znalezienie niewzbudzającego podejrzeń sposobu przedostania się wytypowanej grupy do

Brony. Z kilku rozważanych wybrano projekt przedstawiony przez Sytomira, opierający się na założeniu, że najtrudniejsze do zobaczenia jest to, co widoczne.

W ogólnych zarysach pomysł zakładał, że naukowcy zostaną włączeni do dużej karawany kupców, która z towarami wybrałaby się przez Swein do Morgii. Trasę jej należałoby wytyczyć tak, żeby jeden z nocnych postojów wypadł w Bronie. Pod osłoną nocy członkowie grupy badawczej odłączyliby się i zostali wprowadzeni do kopalni. Następnego dnia kupcy jakby nigdy nic kontynuowaliby swoją handlową misję. Aby zmniejszona liczba uczestników karawany nie wzbudziła podejrzeń celników ani służb namiestnika, ich stan uzupełniliby agenci Sytomira, którzy odpowiednio wcześniej pojedynczo przeniknęliby na teren Sweinu. Żeby dodatkowo utrudnić policzenie kupców, pomocników i ochrony, po minięciu zony karawana podzieliłaby się na dwie lub nawet trzy części, podróżujące w odrębnych kierunkach.

Powrót ekipy naukowej miał być zorganizowany w podobny sposób, po wykonaniu przez nią programu badań. Stałą łączność z Todorą zaoferował się zapewnić Zachetyń.

Po podjęciu decyzji i podziale zadań król zaproponował Eyanowi, którego wiedza, elokwencja i sposób zachowania przypadły mu do gustu, by sprowadził do Todory pozostawioną w Getynie swoją rodzinę i rozważył kwestię włączenia się do grupy badawczej.

Krasnolud, usłyszawszy, że nie zostanie odsunięty od intrygujących go prac oraz że będzie ujęty na liście płac urzędników saryjskiego dworu, z wdzięcznością przyjął złożoną mu ofertę.

Znacznie delikatniej i tylko w obecności swego szefa tajnych służb Artorus rozmawiał na podobny temat z Samtorem. Znał status i metody działania maginów, ich niezależność i dumę oraz orientował się w możliwościach i umiejętnościach tego ostatniego, więc po prostu poprosił go, by wsparł ich poczynania i nawiązał bliższą współpracę z Zachetynem. Okazało się, że nie musiał używać wielu argumentów. Magin już od pierwszej nocnej rozmowy z Eyanem zdawał sobie sprawę z doniosłości odkrycia i zamierzał uczestniczyć w jego badaniu. Propozycja króla, która legitymizowała jego obecność w kompletowanej ekipie, znakomicie ułatwiała mu sprawę. Przyjął ją i serdecznie podziękował, doceniając rzadko spotykany takt i delikatność władcy.

Wysłannik Sytomira dotarł do Mezary bez szczególnych przygód. Po przekroczeniu granicy Morgii zaczął zachowywać się i mówić jak rodowity Morgijczyk. Dla ewentualnych ciekawskich miał przygotowaną wiarygodną legendę, uzasadniającą jego podróż do stolicy.

Zatrzymując się na odpoczynek lub nocleg w gospodach, pilnie nasłuchiwał, co mówią miejscowi. Nigdy nie wiadomo, co może okazać się ważne, a wiedział, że po powrocie będzie musiał przedstawić szczegółowy raport.

Do adresata listu trafił bez problemów. Przekazał pismo i czekając na odpowiedź, zaszedł do znanego mu zajazdu, gdzie zamierzał zanocować. Kolację jadł przy stole, którego drugi koniec zajmowało czterech mężczyzn. Rozmawiali o mającej się odbyć wystawie psów. Z przebiegu toczonej przez nich dyskusji wynikało, iż są organizatorami tej imprezy i mocno ekscytuje ich

fakt, że w trakcie jej trwania może dojść do wizyty króla. Niewykluczone też, że władca zechce podczas niej wyszukać sobie nowego czworonożnego towarzysza. Słabość Petina do owczarków morgijskich była powszechnie znana.

Następnego dnia, odbierając przygotowane już pismo, zapytał mimochodem o wystawę. Oddawca listu potwierdził, że rzeczywiście odbędzie się ona i chodzą słuchy, że Jego Wysokość zaszczyli ją swą obecnością. Kto wie, czy nie wybierze sobie następcy zeszłego ze starości Neksa.

Po powrocie do Todory wysłannik doręczył pismo Sytomirowi. Opowiadając o nastrojach panujących w Morgii, bez zbytniego przywiązywania do tego wagi, wspomniał o wystawie i emocjach jej organizatorów, spowodowanych ewentualnym wyborem przez władcę nowego psa. Wysłuchujący sprawozdania szef tajnych służb na wszelki wypadek zapamiętał tę informację.

ROZDZIAŁ VIII

Ferdyn, ostrzeżony przez przybyłego od komesa umyślnego kuriera, zarządził mobilizację podległego mu oddziału. Wysłał też do dominatów trzech najbliższych obwodów gońców z prośbą o pilne wsparcie. Nie obawiał się z ich strony odmowy. Praktyka dowiodła, że w przypadku zagrożenia cała prowincja solidarnie stawiała razem, ze świadomością, że sytuacja może się odwrócić. Działano w myśl zasady: dzisiaj oni potrzebują pomocy, więc udzielmy jej, bo jutro być może będziemy zmuszeni prosić o nią my.

Po około półgodzinie zjawił się jego zastępca, a kilka minut po nim wezwani dowódcy kup. Każdy z nich dowodził pododdziałem liczącym około pięćdziesięciu niziołków. Trzy kupy składały się na małą rotę, stanowiącą oddział wystawiany przez obwód do samoobrony. Na czas wojny prowadzonej w oddaleniu od rodzimego zaplecza rota taka była wzmacniana do ponad dwustu osób, ponieważ działania w obcym terenie wymagały dodatkowego wysiłku związanego z zabezpieczeniem żywnościowym, medycznym oraz zdobywaniem furazu dla koni i mułów. W przypadku obrony własnego obszaru te ostatnie funkcje w sposób naturalny były przejmowane przez mieszkańców zagrożonych osad.

Dominat doskonale znał Bronę i jej okolice. Miał też przemyślany plan działania. Po przyjęciu meldunków o stanie

gromadzących się kup zasiadł z przybyłymi krasnoludami nad rozłożoną na stole mapą i rozpoczął odprawę.

– Otrzymałem dzisiaj potwierdzenie, że ciągnie na nas wataha licząca ponad dwustu ludzi i elfów. Jest to zbieranina zbirów z Morgii i Ramzy, którzy, jak wiecie, chcą się zemścić za wyrżnięcie jakieś dwa i pół miesiąca temu karawany kupców. Nie jest dla nich istotne, że dotąd nie ustalono, kto się tego dopuścił i całe zajście nie miało miejsca w zonie, lecz daleko od niej. Podjudzono ich, że zrobiły to krasnoludy, na nich więc trzeba się krwawo odegrać, a przy okazji ograbić. Gdzie tego dokonać? Najlepiej w ich mateczniku, w Sweinie. Czy akurat ci są winni, czy też nie – mało ważne. Znając niechętny stosunek Petina do nas, napastnicy mają podstawy, by sądzić, że za rzeź i rabunek niziołków w zonie, nie spotka ich ze strony króla żadna kara. Niestety, kierują się na Bronę. Rozżarci i dufni w swoją siłę, liczą na zaskoczenie. Spodziewam się ich jutro po południu, najdalej pojutrze.

– Zaskoczenie? A to się skurwysyny przeliczą – sapnął Wizun, brodaty krasnolud, dowódca drugiej kupy.

Dominat spojrzał na niego surowo.

– Masz rację, ale teraz zawrzyj tę swoją niewyparzoną gębę i słuchaj.

Po skarceniu go podjął:

– Ze wschodu dotrzeć do nas można tylko dwiema drogami. Jedna, jak wam wiadomo, to górski, mało uczęszczany trakt. Jest on znacznie krótszy, ale trudniejszy do pokonania. Druga – główna, łącząca Bronę z Warmą i dalej z Mezarą. Dłuższa, ale wygodna. Na teraz nie wiemy, którą wybiorą. Może się też zdarzyć, że się podzielą, aby spaść na nas z dwóch stron. Nie mam zamiaru dopuścić ich do osady, żeby nie spowodowali

w niej zniszczeń. Będziemy na nich czekać przed Broną. Zasadzki przygotowujemy przy moście na trakcie i przed wyjściem głównej drogi z lasu. Tu, według mnie, są najlepsze do tego miejsca.

Zaznaczył ołówkiem na leżącej przed nim mapie dwa całkiem zgrabne kółeczka i powiódł po obecnych wzrokiem, sprawdzając, czy się zorientowali w ich położeniu. Nie usłyszawszy protestów ni pytań, kontynuował:

– Ty, Suchonóg – zwrócił się do dowódcy pierwszej kupy – zaraz po odprawie wyślesz konny zwiad na trakt. Ma on dojechać aż do Krzywej Góry. Z jej szczytu widać wszystko jak na dłoni na ładnych parę mil. Po zoczeniu bandy zwiadowcy mają nam natychmiast dać znać, rozpalając ognisko od strony niewidocznej dla jadących. Dwaj przy ognisku zostają, reszta co koń wyskoczy wraca do mostu. Na miejscu wyznaczysz obserwatorów, by z wieży kopalni „Głęboka” dawali baczenie na sygnał. Jeśli wybiorą tę trasę, zanim przybędą, mamy wyprzedzenie trzy do czterech godzin. Ognisko ma być z suszu, aby nie dawało dużo dymu. Chyba jasne dlaczego. Ty, Wizun, wyślesz obserwatorów na główną drogę. Twoje zadanie jest trudniejsze, bo gorzej tam jest z daleka wypatrzeć napastników. Ci, którzy pojedą, muszą mieć najszybsze konie, aby dać nam z półtorej godziny czasu na przygotowanie się.

Słuchający dowódca drugiej kupy podniósł rękę.

– Mam pewien pomysł. Może się sprawdzi.

– Mów – zezwolił dominat.

– Od kilku dni panuje ładna pogoda. Nic nie zapowiada, że się psia mać zmieni. Wyślę liczniejszy zwiad i rozstawię konnych w takich odległościach, by jeden widział drugiego. Każdemu wręcę zwierciadełko. Będą puszczać zajączki. Najdalszy po

zobaczeniu tych wypierdków da znać poprzedniemu, ten przekaże go kolejnemu i tak jeden do drugiego, aż sygnał trafi do nas. Ten sposób może być znacznie szybszy. Będziemy wcześniej wiedzieć, że nadciągają. Światelko prędsze od najściglejszego konia.

– Hm, niezły koncept. Ale co będzie, jak który przegapi? Zaśnie albo pójdzie się odlać?

– Ręczę, że nie przegapi, bo, taka jego mać, osobiście mu żywcem nogi z dupy powyrywam – odpowiedział brodac z niewróżącym niczego dobrego grymasem.

– Spróbuj, ale na wszelki wypadek daj tam kilku sprawnych jeźdźców. I jeszcze jedno... – Dominat zamilkł i popatrzył w okno. Po chwili namysłu zaczął mówić dalej: – Uświadomiłem sobie, że oni mogą podjechać nocą lub tuż przed świtem. Wtedy zwierciadelka i zajączki możesz sobie wsadzić sam wiesz w co. Każ im więc zabrać lampy górnicze i przy dawaniu znaku dobrze je osłaniać, tak by światelko z nich widział tylko kolejny obserwator.

– Słusznie, szefie. Co głowa, to i rozum. Kuźwa, nie pomyślałem – powiedział Wizun, z uznaniem kręcąc głową.

– Ty, Bedan – zwrócił się Ferdyn do trzeciego dowódcy – jako najzmyślniejszy weźmiesz swoją kupę i setkę krasnoludów. Zorganizujesz pułapkę na moście. Coś mi mówi, że nieproszeni goście przyjadą właśnie traktem.

– Rozumiem, dominacie. Mam ją zorganizować sam czy masz już jakiś pomysł? – zapytał spokojnie szczupły i wysoki jak na krasnoluda, milczący dotąd osobnik.

– Mam. Teraz zbierz silnych chłopów z piłami, siekierami i łopatami. Każ załadować słomę, olej skalny, grube liny i deski na

wozy, a potem skieruj je na most. Za jakieś dwie godziny podejść do was. Resztę wyjaśnię na miejscu.

– Wydaje mi się, że wiem, co masz na myśli. Zaraz się tym zajmę.

– Ty... – Ferdyn ponownie skierował się do Wizuna. – ...po wysłaniu zwiadu zbierzesz sześćdziesięciu drwali i cieśli. Przy końcowym odcinku lasu przygotujesz zawały. Podetniesz rosnące tam stare świerki, tak by można je było w stosownej chwili powalić. Tamten odcinek drogi przebiega w wykopie. Z obu stron są strome skarpy. Wybierz miejsce, gdzie konni będą mieli największe trudności z wdrapaniem się na nie. Kiedy niespodziewanie runą na nich pnie, cała banda zostanie podzielona i unieruchomiona. Jeśli szczęśliwym trafem padające drzewa część z nich przygniotą, wybuchnie panika. Wtedy przyjdzie czas na kusze i łuki naszych, ukrytych z obu stron na górze. Później pójda w ruch topory i rohatyny.

– Słuchaj, Ferdyn, moja rota liczy tylko sto pięćdziesiąt głów i będzie podzielona. Ich będzie około dwustu i to konnych. Sprostamy? – zapytał z troską Suchonóg.

– Pomyślałem o tym i czekam na posiłki od sąsiadów. Kiedy i ilu będzie, powinienem wiedzieć najpóźniej dziś w nocy. Skromnie liczę na jakąś setkę. Poza tym zmobilizujemy dodatkowo kilkudziesięciu miejscowych ochotników. Wiedzą, że chodzi o ich bliskich oraz dobytek. Znacnie naszych, to twarde i odważne chłopcy. Pójda jak do tańca.

Dowódca drugiej kupy podniósł rękę. Dominat skinął głową.

– Tak się zastanawiam, na jakim odcinku przygotować zasadzkę. Za krótko – źle, za długo – jeszcze gorzej. Droga jest szeroka, myślę więc, że będą jechać obok siebie. Kawalkada tych

dwustu chędożonych w d... zbójów może rozciągnąć się na jakieś dwieście do dwustu pięćdziesięciu metrów. Starczy tyle?

– Wystarczy. Jeśli padające pnie zamkną i podzielą siły główne, to z resztą damy sobie radę. Ty... – Ferdyn zwrócił się do siedzącego obok niego zastępcy. – ...odpowiadasz za ludzi z osady. Baby i dzieciaki sprowadzisz do jednej kopalni. Myślę, że najlepiej do „Ferrum”. Porozumiesz się z jej zarządcą. Na wszelki wypadek zorganizujecie tam obronę. Przygotujesz też lazaret i kuchnię. Rota i przybyła pomoc mają mieć zabezpieczone gorące posiłki. Wszystko jasne? Macie pytania? Nie? To dobrze. O sprawach istotnych natychmiast mi meldować. Na razie zostaję tu, później macie szukać mnie przy moście lub na drodze, przy szykowanym zawale. A teraz do roboty.

W niedużej izbie zrobił się mały rejwach, kiedy zebrane towarzystwo wstało i wymieniając między sobą uwagi, zaczęło szykować się do wyjścia.

Zanim opuścili pomieszczenie, Ferdyn ich zatrzymał:

– Jeszcze jedno. Macie zapowiedzieć wszystkim, że od tej chwili ani łyka gorzałki. Kto zostanie nakryty, że się opił, pójdzie pod sąd gromadzki. Nie żartuję. Nastął poważny czas. Na razie tyle.

Ze zrozumieniem przyjęli tę ostatnią uwagę dominata i spiesznie wyszli. Po niedługim czasie w osadzie zawrzał gorączkowy ruch.

W podręcznej bibliotece, mieszczącej się w wieży zajmowanej przez maga, oprócz gospodarza znajdowały się trzy osoby. Po skupieniu rysującym się na twarzach zgromadzonych widać było, że temat szykującej się rozmowy będzie poważny. Taki też

rzeczywiście miał być. Spotkali się, aby uszczegółowić ustalenia dokonane wczorajszego wieczoru u króla Artorusa.

Po usadzeniu swych gości Zachetyn bez zbędnych wstępów rozpoczął:

– Wiecie, w jakim celu się zebraliśmy. Najważniejsza i najpilniejsza sprawa to określenie liczebności i składu zespołu mającego udać się do zony. Sądzę, że powinien on być stosunkowo nieduży, ale złożony z najteższych umysłów, mających orientację w większości współczesnych dziedzin wiedzy. Oprócz uczonych trzeba pomyśleć także o ochronie i tak zwanym personelu pomocniczym.

– Zaczniemy więc konkretnie radzić, kto do niego wejdzie – zaproponował Sytomir. – Uważam, że najważniejsi są badacze, reszta to już sprawa czysto organizacyjna.

– W zasadzie tak. Pomówmy w takim razie najpierw o tych pierwszych – zgodził się mag. – Jeszcze dziesięć lat temu aż bym się wrywał, żeby tam pojechać. Dziś nie te lata i nie to zdrowie.

Na próby protestów, że dobrze wygląda i niejeden mógłby pozazdrościć mu sprawności zarówno umysłowej, jak i fizycznej, Zachetyn wykonał zaprzeczający gest ręką i powiedział z odrobiną goryczy:

– Znam swoją kondycję. Czarodzieje nieco wolniej, ale też się starzeją, miewają reumatyzm, podagrę i inne dolegliwości. Niestety, to natura oraz związany z nią zespół SKS.

– Co to za zespół? – zainteresował się Sytomir.

Zachetyn, żeby wzmocnić efekt, przybrał poważną minę i wypalił:

– Starość, kuźwa, starość.

Przeczekał salwę śmiechu i już na serio podjął:

– Ja nie pojedę, ale jeśli pozwolicie, przedstawię pewną propozycję. Przybył do mnie mój dawny uczeń, Semiston. To arcy mistrz obojga magii. Tęgi umysł i wszechstronna wiedza. Erudyta. Poza tym obaj dysponujemy wielokrotnie sprawdzoną umiejętnością nawiązywania wzajemnego kontaktu zarówno głosowego, jak i wizualnego, nawet na wielkie odległości. Udział jego rozwiązałby kwestię łączności. Jeśli wyrażicie zgodę, a on nie będzie miał nic przeciw temu, dobrze by było włączyć go do grupy.

– Skąd pochodzi? Na pewno nie z Sarii, bo musiałbym go znać. Można mu ufać? – zapytał Sytomir.

– Czy można mu ufać? – zastanowił się głośno mag. – Tak. Zdecydowanie tak, a pochodzi z Mirty. Jest jednak pewien szkopuł. Przyjechał tu wraz ze swoim asystentem, który nie jest mi na tyle znany, bym mógł udzielić mu rekomendacji. O ewentualnym udziale tego adepta w misji musi zdecydować sam jego preceptor.

Wniosek został jednogłośnie przyjęty. Ustalono, że rozmowę z proponowanym kandydatem przeprowadzi najlepiej go znający Zachetyn w towarzystwie magina i Eyana.

W trakcie dalszej dyskusji na potencjalnych merytorycznych uczestników misji wytypowani zostali trzej profesorowie Głównej Akademii Sarii. Przy doborze każdego z nich brano pod uwagę nie tylko specjalności, które reprezentują, ale także łączące ich stosunki. Szczególnie te ostatnie były dość wnikliwie rozważane, bo stanowiące tajemnicę poliszynela rozdźwięki, a niekiedy wręcz niechęć wynikająca z wzajemnego konkurowania między niektórymi luminarzami nauki, mogły zepsuć atmosferę w zespole i doprowadzić do spowolnienia, a nawet załamania badań. Spotkanie z naukowcami

zaplanowano za dwa dni. By rozmowie dodać splendoru i zaspokoić ambicję zaproszonych, postanowiono zwrócić się do króla, by zechciał wziąć w niej udział.

Do ekipy jako członkowie mieli także dołączyć Eyan i Samtor.

Na kierującego całym zespołem, by nie wzbudzać animozji między profesorami poprzez wyróżnienie jednego z nich, wstępnie wytypowany został zaproponowany przez gospodarza Semiston.

Po tej części narady głos zabrał Sytomir. Poinformował obecnych, że ma wieści o planowanej wyprawie kupieckiej. Co prawda miała ona wyruszyć dopiero za trzy tygodnie i nieco inną marszrutą, lecz szef tajnych służb wyraził pewność, że jej organizator, znany sukiennik, pod wpływem argumentów nie do odrzucenia i pewnej presji będzie skłonny przyspieszyć ten termin oraz nieco zmienić kierunek prowadzonej karawany, by jej szlak wiódł przez Bronę.

Obecni na spotkaniu zgodzili się również ze zdaniem krasnoluda, że należy wysłać do Agedona stosowną informację o podjętych działaniach, aby ten zdążył poczynić niezbędne przygotowania. Zająć się tym miał znający komesa i mający na tym polu największe możliwości szef służb specjalnych.

– No, to posunęliśmy się trochę do przodu. Zasłużyliśmy na dobrą herbatę – powiedział Zachetyn z uśmiechem.

– Jeśli chodzi o mnie, to chętnie, ale prawdziwą, parzoną, a nie wyczarowaną – zastrzegł Sytomir.

– Oczywiście, oczywiście – potwierdził spokojnie gospodarz, wychodząc, by wydać odpowiednie polecenia.

Wróciwszy, usiadł na dotychczas zajmowanym miejscu i zapytał Eyana:

– Masz już jakąś teorię, kto, kiedy i w jakim celu stworzył tę budowlę, jak ona tam się znalazła i przetrwała? Do tej pory każdy z tu obecnych starannie omija ten temat, a mnie wydaje się on kluczowy. Przecież bardziej lub mniej trafnie, ale w końcu należy go ruszyć.

Zagadnięty krasnolud pogłaskał swoją brodę i waząc słowa, zaczął:

– No cóż, te zagadnienia nie dają mi spokoju od początku. Miałem trochę czasu, aby je przemyśleć i poszperać w księgach. Muszę przyznać, że nie znalazłem w nich nic, co mogłoby naprowadzić mnie na jakiś sensowny trop. To, co powiem, oparte jest wyłącznie na moich własnych koncepcjach, które – chcę to wyraźnie podkreślić – nie bazują na żadnych dowodach i nie muszą być słuszne.

Przerwał, bo do komnaty wszedł gnom z tacą, na której znajdowały się filiżanki, spodeczki i dzbanek z aromatycznie pachnącym naparem. Niziołek sprawnie rozstawił przyniesioną zastawę, ze stojącego w bibliotece kredensu wyjął porcelanową cukiernicę i łyżeczki. Rzucił pytające spojrzenie na maga i zobaczywszy, iż ten skinął przyzwalająco głową, sięgnął po stojącą na półce karafkę z wiśniową nalewką oraz nieduże kieliszki. Nappełnił je, a usłyszawszy podziękowania częstowanych, zadowolony z siebie wyszedł, zamykając drzwi.

Herbata i nalewka okazały się rzeczywiście świetne. Eyan, zamoczywszy usta w kieliszku, kontynuował:

– Sądzę, że to, co przypadkiem zostało odkryte w kopalni, jest dziełem nieznannej nam cywilizacji, która kiedyś zamieszkiwała naszą planetę. Wygląd osobników, których widziałem we wspomnianym przeze mnie dziwnym okienku, bardzo przypomina współczesnych ludzi, a to raczej wyklucza

przybyszów z innych planet. Zasadnicze, wymagające odpowiedzi pytanie brzmi: kiedy oni mogli żyć? Największa znana nam geochronologiczna jednostka czasu to eon. W jego skład wchodzi poszczególnie ery. Niektóre z nich znamy lepiej, inne gorzej. Są też takie, i to względnie niezbyt w czasie odległe, o których nasza wiedza jest wręcz zerowa. Być może, że w jednej z nich istniała jakaś wysoko rozwinięta kultura, która w wyniku potężnego kataklizmu, mającego swe źródła na ziemi lub w kosmosie, całkowicie i nagle wyginęła, a wraz z nią całe lub prawie całe życie zwierzęce. Podobnie jak w erze mezozoicznej powstały, opanowały świat, następnie zaś wymarły dinozaury. Wszystko wskazuje, że ta budowla jest śladem po tamtej dawnej cywilizacji.

– Ciekawa hipoteza. Być może bliższa prawdy, niż mogłoby się wydawać – powiedział czarodziej.

– Eon, era mezozoiczna, wyginiecie dinozaurów. Mało się w tym orientuję – stwierdził samokrytycznie Sytomir. – Czy ktoś mógłby mi to, naturalnie w sposób bardzo ogólny, przybliżyć?

– Owszem, ale nie masz się czego wstydzić, to wiedza dostępna dość wąskiemu gronu. Programy szkolne jej nie obejmują, na uczelniach zajmują się nią dość nieliczne, wyspecjalizowane zespoły. Mam tu gdzieś stosowną księgę. Mogę ją odnaleźć i przeczytać kilka urywków. Wszystkim nam się to przyda – zareagował Zachetyn.

– Nie trzeba... – zaczęli równocześnie krasnolud i Samtor, jakby umówieni. Usłyszawszy jeden drugiego, obaj zawiesili głowy i spojrzeli po sobie. Eyan skinął głową w stronę magina i zamilkł, a ten podjął:

– Nie musisz, mistrzu, szukać żadnej literatury. Tak się składa, że mój były mentor, Moran z Cebionu, kierując mnie,

w swoim czasie dość dokładnie omawiał tę tematykę. Nie wszystko, ale co nieco z tego zapamiętałem. Moje wiadomości mogą różnić się od twoich – zwrócił się do niziolka – bo prawdopodobnie pochodzą z innych źródeł, ale zawsze dobrze jest usłyszeć różne wersje. To wzbogaca.

Przerwał, wypił łyk herbaty i pół kieliszka wiśniówki. Pozostali chętnie poszli w jego ślady. Zachetyn, chcąc napęłnić ponownie swoją filiżankę, objął dłońmi znacznie już opróżniony dzbanek. Z jego dzióbka po chwili zaczęła wydobywać się para. Samtor, spostrzegłszy to, znacząco uniósł brwi, czarodziej w odpowiedzi uśmiechnął się niewinnie. Wyglądało, że reszta nawet nie zauważyła podstępu maga, a tym bardziej tego bardzo krótkiego niemego dialogu.

– Żeby nie nudzić – kontynuował magin – wspomnę tylko, że nasz wszechświat istnieje już około trzynastu do piętnastu miliardów lat. Ogólnie wszechświatem nazywamy pełny zbiór tego, co może być obserwowane. Mam na myśli przestrzeń, czas, a także wszystkie formy materii i energii oraz działające prawa i stałe fizyczne. To wszystko istnieje w jego ramach i nic nie może istnieć poza nim. Dlaczego więc mówię: nasz? Gdyż są teorie zakładające, że występuje wiele wszechświatów. Oczywiście te inne są dla nas niedostępne i niepostrzegalne, gdyby bowiem były, poszerzałyby właśnie ten, którego częśćką stanowimy. Wszystkie one, jeśli naturalnie istnieją, tworzą tak zwany wieloświat. Skupmy się jednak na wszechświecie, zwanym umownie naszym. Jak powstał? Jest co najmniej kilka, bardziej lub mniej prawdopodobnych, teorii starających się dać na to pytanie odpowiedź. Niektóre z nich twierdzą, iż został stworzony przez jakąś wieczną, nadprzyrodzoną istotę, inne, że w wyniku sprzyjających okoliczności utworzył się sam. Jedna z hipotez

uznawanych obecnie za najbardziej prawdopodobną zakłada, że wszechświat powstał z osobliwości w procesie tak zwanego Wielkiego Wybuchu. Wspomniane osobliwości są zaś punktami lub obszarami, w których przyspieszenie grawitacyjne lub masa dążą do nieskończoności. Z nich ponoć wszystko wzięło początek. Jeśli przyjmiemy, że wszechświat powstał w wyniku tegoż wybuchu i od niego z punktu zerowego ruszył licznik czasu, a początkowo jednorodne, lecz izotropowe, właściwości i formy wzajemnych oddziaływań zaczęły się różnicować, tworząc czwór- lub więcej wymiarową, rozszerzającą się, zapełnianą materią i energią przestrzeń, to nasz układ słoneczny wraz z planetami zaczął się kształtować około czterech i sześć dziesiątych miliarda lat temu, a proces ten, szczególnie na początku, był bardzo skomplikowany i burzliwy.

Samtor pociągnął z filiżanki niewielki haust ciepłej jeszcze herbaty i mówił dalej:

– Jakies czterdzieści milionów lat później w odległości około stu pięćdziesięciu milionów kilometrów od dzisiejszego Słońca pojawił się załazek naszej planety. Początkowo stanowiła ona skupisko wirującej pyłowo-gazowo-skalnej i wodnej materii, która na skutek wytworzenia lokalnej siły grawitacji zagęszczała się i tym samym kurczyła, stopniowo przyjmując kształt zbliżony do kulistego. W procesie wirowania cięższe substancje opadały w kierunku środka, a lżejsze przemieszczały się ku jej powierzchni, tworząc zaczątki jądra, płaszcza i skorupy późniejszej Ziemi. Równocześnie była ona owiewana docierającym bezpośrednio do niej wiatrem słonecznym, a także bombardowana innymi kosmicznymi ciałami o różnej wielkości, które przynosząc do niej nowe, powstałe gdzie indziej pierwiastki, zwiększały jej masę i wzbogacały skład. Wzrost

gęstości materii, uderzenia spadających obiektów niebieskich, wpływ temperatury emitowanej przez będące już gwiazdą Słońce, a także mające miejsce w głębokich warstwach pewne procesy rozpadowe rozgrzały naszą protoplanetę tak, że przyjęła ona postać wirującej względem własnej osi płynnej kuli, wykazującej niezwykle aktywną działalność wulkaniczną. W miarę upływu czasu, stygnąc, jej zewnętrzne warstwy przybierały konsystencję stopionej, półpłynnej magmy. Powodowana między innymi erupcją niezliczonych wulkanów akumulacja pary wodnej oraz pozostałych gazów wytworzyła z czasem grubą, gęstą warstwę chmur, z których zaczęły padać obfite deszcze. Przyspieszyły one schładzanie młodej planety, a to spowodowało powstanie stałej skorupy i gromadzenie się w jej niższych, zewnętrznych partiach wielkich zbiorników wodnych. Czas płynął. Przypuszczalnie jakieś trzydzieści cztery miliony lat po powstaniu proto-Ziemi inne skaliste ciało niebieskie, około dziesięciokrotnie mniejsze od naszego globu, czyli rzędu wielkości planety Mars, uderzyło w nią, samo ulegając zniszczeniu. Po prostu dokleiło się lub wtopiło, docierając aż do jej środka. Metaliczne pierwiastki, w które obfitowało, zmodyfikowały jądro Ziemi, a ono wytworzyło pole magnetyczne i stało się odpowiedzialne za trwające jeszcze do dzisiaj ruchy tektoniczne. Kolidacja owych ciał była na tyle potężna, że w kosmos uleciała ogromna ilość pokruszonej materii, ale i na tyle słaba, że nasza planeta nie uległa rozbiciu. Część zróżnicowanych wymiarowo okruchów kosmicznych z czasem opadła na proto-Ziemię, miliardy innych po wiekach scalały się, tworząc dzisiejszy Księżyc. Efektem tej kolizji było też pewne odchylenie osi obrotu Ziemi. Następstwem tej odchyłki stało się cykliczne występowanie pór roku. Księżyc prawie trzykrotnie spowolnił

obrotu naszej planety wokół własnej osi, a jego oddziaływanie uspokoiło pływy i wichry na niej występujące. Istnieje pogląd, że gdyby nie doszło do tej kosmicznej katastrofy, na Ziemi mogłyby nie zaistnieć warunki do powstania życia. Gwoli ścisłości, muszę dodać, że to ostatnie jest bardzo prawdopodobną, ale tylko spekulacją. Do istotnych informacji należy zaliczyć fakty, że kilkakrotnie następowała radykalna zmiana składu atmosfery ziemskiej oraz że praoceany zaczęły się kształtować około trzy i osiem dziesiątych miliarda lat temu. Wspomniany satelita naszego globu, Księżyc, niegdyś krążył bliżej niego i po stałej orbicie. Obecnie niektórzy badacze twierdzą, że powoli, lecz stale się oddala i zachodzi możliwość, iż kiedyś stanie się kolejną planetą naszego układu słonecznego.

Samtor przerwał swoje wystąpienie i zaniepokojony popatrzył na milczących słuchaczy.

– Przepraszam, rozgadałem się. Chyba zanudziłem was na śmierć.

– Wręcz przeciwnie, maginie – zaprzeczył Zachetyn, a kiedy reszta go poparła, dodał: – Praw dalej. Rzadko kto potrafi równie barwnie, a zarazem fachowo, opowiadać o tych skomplikowanych i odległych w czasie sprawach. Temat ten zaś w aspekcie konieczności podjęcia wkrótce wiadomych badań wydaje się nam wszystkim na czasie. Przygotuje nas nieco do nich.

Eyan, dopełniając nalewką pusty kieliszek magina, rzekł:

– Wiesz, że cię cenię, ale takiej wiedzy i właśnie w tej dziedzinie po tobie się nie spodziewałem. Krasnoludzka nauka ujmuje te zagadnienia podobnie, lecz nie jest w stanie tak dokładnie ustalić wieku poszczególnych zdarzeń. W pełni popieram zdanie gospodarza, mów dalej.

Sytomir tylko rzekł z uznaniem:

– No, no, braciszku, bardzo mnie zaskoczyłeś. Napij się i kontynuuj. Czekamy.

Samtor nie dał się prosić.

– Wspomniałeś – zwrócił się do krasnoluda – o eonie. Otóż nasza nauka o dziejach Ziemi operuje również pojęciem supereonu. Jest to nieformalna, bliżej nieokreślona jednostka czasu, która obejmuje kilka eonów. Pierwszym supereonem, obejmującym interwał czasowy od zaczątków naszej planety aż do jakichś pięćset czterdziestu dwóch milionów lat temu, był prekambryj. Obejmował on bardzo pobieżnie scharakteryzowany przeze mnie, trwający ponad sześćset milionów lat eon nazwany hadeikiem oraz następujące po nim archaik i proterozoik. Eon archaik trwał około miliarda trzystu milionów lat. Jego początek nie jest ściśle określony, a koniec przyjmuje się na jakieś dwa i pół miliarda lat temu. W tym czasie skorupa ziemska już zastygła i schłodziła się na tyle, że woda mogła występować w postaci płynnej. Wtedy też zaczęły kształtować się tak zwane kratony, czyli załążki pierwotnych kontynentów, i tworzyć pierwsze rudy metali. Powstały także najstarsze wapienie i dolomity. Niektórzy twierdzą, że w końcowej fazie tego eonu powstały bardzo prymitywne, beztlenowe i bezjądrowe zątki życia. Eonem kończącym prekambryj był proterozoik. Ciągnął się długo, bo prawie dwa miliardy lat, i obfitował w istotne wydarzenia. Podczas jego trwania znacząco wzrosła w atmosferze zawartość tlenu, a jedna z jego odmian alotropowych, tritlen, zaczęła tworzyć nad ziemią powłokę chroniącą przed docierającym z kosmosu szkodliwym dla organizmów żywych promieniowaniem pozafioletowym. Jest to ważne, bowiem w tym okresie powstały pierwsze organizmy wielokomórkowe. Z tego

eonu pochodzą też podstawowe złoża rud żelaza. Można uogólnić, iż przez prawie wszystkie ery proterozoiku panowały stosunkowo wysokie temperatury. Dowodzą tego znajdowane złoża dolomitów i wapieni pochodzące z ówczesnych czasów. Zdarzały się w nim jednak załamania klimatu. Wystąpiło kilka zlodowaceń, z których największe, trwające około dwustu dwudziestu milionów lat, w okresie zwanym kriogenem objęło swym zasięgiem całą Ziemię. Łądolodem pokryła się wtedy cała planeta, a prymitywne formy życia przetrwały jedynie w głębokich, niezamarzniętych wodach praoceanów, ogrzewanych ciepłem pochodzącym ze środkowych, wciąż gorących warstw ziemi.

Samtor przerwał i wypił łyk chłodnej już herbaty.

Wykorzystując zapadłe milczenie, Zachetyn uzupełnił:

– *Cryos* oznacza lód, *genesis* – narodziny. Stąd nazwa tego okresu: kriogen. Niektórzy naukowcy o naszej planecie z tego czasu mówią: Ziemia-śnieżka. Wspomniany przez ciebie tritlen częściej nazywany jest ozonem. Ale nie przerywam, już milknę. Mów dalej.

– No cóż – podjął magin – po proterozoiku rozpoczął się kolejny eon zwany fanerozoikiem. Trwa on do dziś. Składa się z trzech zakończonych er: paleozoicznej, mezozoicznej i najmłodszej, kenozoicznej, oraz niezakończonej, tej, która trwa obecnie. Nauka nie nadała jej jeszcze oficjalnej nazwy. Niektórzy zaczynają ją nazywać nowoikiem. Czy nazwa ta się przyjmie, pokaże czas. W stosunku do poprzednich omawiany eon jest krótki, bo jego minione, zakończone ery stanowią zaledwie około piętnastu procent historii naszej planety. Zaszło w nim jednak i wciąż zachodzi tak wiele istotnych i skomplikowanych procesów, że wymagałyby one zbyt wiele czasu, by o nich

opowiedzieć. Odłożmy to więc do innej okazji, koncentrując się dziś na wycinkowej, węższej tematyce. Jeżeli pozwolicie, wspomnę teraz o niezłym miszmaszu związanym z epejroforezą, czyli dryfami kontynentów, które to się łączyły, to dzieliły, to przekształcały. Gadaninę swoją zamierzam zakończyć kilkoma zdaniem dotyczącymi hipotez powstania, kształtowania się i rozwoju na naszej planecie życia. Aby w miarę sensownie zarysować zasadnicze etapy wędrówki kontynentów, muszę cofnąć się w czasie o jakieś trzy i trzy dziesiąte miliarda lat, kiedy to prawdopodobnie ze zderzenia stygnących lądów utworzył się superkontynent Walbara. Sześćset milionów lat później w wyniku zbliżonych procesów powstał inny superkontynent – Kernoland. Wydarzenia te to tylko dość prawdopodobne spekulacje myślowe uczonych, bowiem brak jest dostatecznych przesłanek pozwalających określić rozmiary, usytuowanie, a tym bardziej kształty tych ogromnych ziem.

Powiedziawszy to, Samtor ucichł, jakby zbierał myśli, by po chwili podjąć:

– Znacznie pewniejsze są informacje o Rodinii, wielkim lądzie, który uformował się w okresie około jeden i trzy dziesiąte do dziewięć dziesiątych miliarda lat temu, więc jeszcze w eonie proterozoiku. Po stu pięćdziesięciu milionach lat istnienia superkontynent ów zaczął dzielić się na trzy części: Laurencję, kraton Konga i Proto-Gondwanę, które około sześciuset milionów lat temu spoiły się w nowy superkontynent zwany Pannocją. Ona również okazała się nietrwała, bo po następnych pięćdziesięciu, sześćdziesięciu milionach lat zaczęła się rozpadać. Jej fragmenty po następnych setkach milionów lat ponownie scaliły się, tworząc około trzystu milionów lat temu superkontynent – Pangeę. Była ona oblana dwoma oceanami:

większym, Panthalassa, i znacznie mniejszym, Tetydy. Po stu kilkudziesięciu milionach lat i ten ogromny łąd rozpadł się na dwie części, tworząc na półkuli północnej Laurazję, zaś na południowej – Gondwanę. Te z kolei jakieś sto trzydzieści pięć milionów lat temu zaczęły się dzielić na kontynenty zbliżone do aktualnych. Przez ostatnie sześćdziesiąt pięć milionów lat na planecie panował względny spokój tektoniczny. Kształt łądów, oceanów oraz mórz ciągle jednak ulegał powolnym, i w stosunku do poprzednich w miarę łagodnym, zmianom. Należy wspomnieć, że omawianym procesom przez cały ten czas towarzyszyły transgresje oraz regresje mórz i oceanów, fałdowania, denudacje, erupcje licznych wulkanów, a także zmiany klimatyczne. Myślę, że niektóre z tych pojęć mogą brzmieć trochę egzotycznie, uprzedzając więc pytania, postaram się szybko je wyjaśnić. Transgresja morska to po prostu zalewanie łądów wywołane ich obniżaniem lub zapadaniem się, albo też podnoszeniem poziomu wód. Jej wynikiem jest zmiana linii brzegowej i zwiększenie powierzchni morza. Chociaż zazwyczaj jest to zjawisko powolne, zachodzące stopniowo, to traktuje się je jako katastrofę ekologiczną, która diametralnie zmienia warunki i ruguje dotychczas istniejące formy życia. Zwykle transgresje obejmują bardzo rozległe obszary. Regresja morza jest to proces przeciwny. Fałdowania, najprościej mówiąc, to zjawiska wyginania warstw skalnych, w efekcie których powstają wypiętrzenia. Najczęściej mają one miejsce w trakcie wielkich i burzliwych procesów tektonicznych zwanych orogenezami, które posiadają zwykle po kilka do kilkunastu faz. Fazy te to właśnie okresy wzmożonych wyniesień lub zapadań, podczas których pojawiają się lub modyfikują łańcuchy lub pasma górskie. Z kolei denudacje to procesy niszczenia

wyniosłości terenu poprzez wietrzenia, erozje i deflacje, czyli wywiewania przez wiatr drobnego materiału skalnego.

– Deflacja, proszę nie mylić z defloracją – wtrącił żartobliwie Sytomir – zawsze kojarzyła mi się z pieniądzem, ściślej ze zmniejszeniem jego ilości w obiegu, co wywołuje przewagę podaży rynkowej nad popytem. Denudacja zaś z czymś nieprzyjemnym, zwykle występującym po przepiciu lub przejedzeniu. Oczywiście tego ostatniego nie powiedziałem poważnie. Zastanawia mnie jednak: dlaczego zjawisko zalewania łądów nazwano transgresją mórz, a nie bardziej znanym określeniem progresji? Czy tylko dla uczynienia tej dziedziny wiedzy bardziej hermetyczną? Zrozumiałą tylko dla wtajemniczonych? Czy po prostu ktoś chciał zaistnieć jako twórca nowego określenia, dla w gruncie rzeczy dość, wydawałoby się prostego, zjawiska? – zakończył, wyrażając swe wątpliwości i nie kierując pytań do żadnego konkretnego adresata.

– Zjawiska te nie są ani znane, ani proste – zaprotestował prawie zupełnie milczący do tej pory Eyan. – Transgresja morska lub lodowcowa – bo i taka istnieje, gdy lód wkracza na łąd – nie jest czymś, co może być porównane na przykład do powodowanej przez wezbraną rzekę powodzi. Nie ta skala, nie te przyczyny i skutki. Transgresja to inaczej przekraczanie zawierające w sobie to, co jest przekraczane. O ile progresja oznacza wzrost, rozwój, jest ruchem do przodu, ku czemuś, co stanowi jej cel, to transgresja jest ruchem od czegoś, co stanowi jej centrum, jej punkt wyjścia.

– Pojęcie transgresji znane jest również w medycynie, głównie psychologii i genetyce, czyli nauce o dziedziczności oraz zmienności organizmów – uzupełnił Zachetyn. – Jeśli na przykład

rodzice są imbecylami, osobnikami dotkniętymi pewnym niedorozwojem umysłowym, a ich dziecko jest inteligentne, mamy do czynienia z transgresją dodatnią. Jeśli odwrotnie, rodzice są postawni i przystojni, zaś ich potomek jest niski – ujemną.

– Miałeś zupełną rację, braciszku, mówiąc o kompletnym pomieszaniu z poplątaniem. A chociaż twój przekaz jest bardzo uporządkowany i z pewnością obejmuje tylko najważniejsze wydarzenia, nie wiem, jak innym, ale przynajmniej mnie w tej całej tektonice fanerozoiku nie jest łatwo się połapać – rzekł Sytomir i dodał: – Słuchajcie, siedzimy tu już ze trzy godziny. Za półtorej jestem umówiony na ważne spotkanie, a chciałbym jeszcze dosłuchać Samtora, dowiedzieć się czegoś o rozwoju życia. Mam więc około godziny. Skosztujmy tego doskonałego napitku, a ty – zwrócił się do brata – jeśli oczywiście możesz, ciągnij dalej.

– Jeżeli sobie życzysz, a pozostali nie wyrażą sprzeciwu, to owszem – odparł magin. Nie usłyszawszy protestów, rozpoczął: – Zamykając poprzedni wątek, powiem, że obecny układ kontynentów, oceanów i mórz jest wynikiem ostatnich, krótkotrwałych, lecz niezwykle gwałtownych, przemieszczeń, mających miejsce około czterystu czterdziestu tysięcy lat temu. Istnieją różne hipotezy dotyczące przyczyn, które je wywołały. Niestety, ponieważ żadna z nich nie jest całkiem pewna, nie będę snuł na ten temat jakichkolwiek dywagacji. Postaram się natomiast zarysować pewne elementy związane rozwojem bytów, które cię interesują – zwrócił się w kierunku Sytomira. Powstanie życia, tak jak i wszechświata, stara się wytłumaczyć wiele różnych teorii. Żadna z nich nie została ostatecznie udowodniona, a każda ma grono swych zwolenników

i przeciwników. Najbardziej ogólnie można je podzielić na dwa nurty: idealistyczny oraz materialistyczny. Część z nich stara się łączyć te dwa pierwiastki. Jedną z ważniejszych hipotez należących do tej pierwszej grupy to kreacjonizm, który twierdzi, że świat oraz wszystko, co na nim istnieje i żyje, powołała do bytu istota nadprzyrodzona w akcie czystego stworzenia. Osobiście uważam, iż nawet przy najlepszej woli i posiadaniu olbrzymiej wyobraźni – po, że tak powiem, włączeniu rozumu – teza ta nie wytrzymuje krytyki, a przyjęcie takiego tłumaczenia powstania życia jest raczej kwestią wiary, a nie wiedzy. Jako szczególną odmianę tej teorii – kontynuował – można traktować koncepcję inteligentnego projektu. Zakłada ona istnienie jakiejś nieznannej siły sprawczej, której celowe wtrącenie się w zachodzące ewolucyjne procesy przyrodnicze było inteligentną przyczyną, prowadzącą do powstania tego wszystkiego, co jest. Teoria ta przyjmuje istnienie jakiegoś pojedynczego lub zbiorowego, potężnego i mądrego bytu, a chociaż nie wskazuje go bezpośrednio, to sugeruje, że on jest, był lub tylko czasowo odwiedził naszą planetę. Stanowi przeto wariant argumentu na istnienie kogoś lub czegoś, nazywanego przez niektórych Bogiem, przez innych naturą lub obcą, zdecydowanie wyżej rozwiniętą cywilizacją, przy czym są ważne nie tyle nazwa i postać pierwiastka ingerującego, ile jego świadoma wola, wiedza oraz moc. Elementy dające w połączeniu czynnik tworzący, rozwijający lub prowadzący do interwałowych przyspieszeń rozwoju form życia. Istniejące teorie naukowe, starające się w sposób materialistyczny wyjaśnić omawianą problematykę, różnią się między sobą raczej w szczegółach niż w podejściu do istoty sprawy. Jest ich sporo. Ja wspomnę tylko o panspermii i ewolucjonizmie. Panspermia jest hipotezą, że

życie na Ziemi jest pochodzenia kosmicznego i zostało przeniesione na naszą planetę przez jakieś ciało niebieskie, na przykład upadły meteoroid, zawierający uśpiony materiał genetyczny. Przypadkowo napotkał on tu sprzyjające warunki i zapoczątkował rozwój materii ożywionej. Koncepcja ta nie wyjaśnia powstania życia w ogóle, a tylko przesuwając zagadnienie na inną planetę i w inne, wcześniejsze czasy. Ciekawą, acz też mającą słabe strony, próbą wyjaśnienia powstania życia jest teoria ewolucji. Bardzo ogólnie można ją scharakteryzować w ten sposób, iż długotrwałe i skomplikowane procesy zachodzące na kształtującej się planecie w wyniku szczęśliwego splotu okoliczności doprowadziły w łańcuchu kolejnych przemian do powstania czegoś, co można uważać za pierwotną, niezwykle prostą materię organiczną. Ta, w efekcie różnych oddziaływań i relacji, stopniowo rozbudowywała się, tworząc coraz bardziej rozwinięte struktury. Wiele z nich było błędami, z których natura prędzej lub później się wycofywała, wybierając bardziej udane kierunki. Po niezliczonej ilości prób pojawiło się coś, co niektórzy uczeni nazwali ostatnim uniwersalnym wspólnym przodkiem. Właśnie z tego tworu poprzez ewolucję pojawiło się po miliardach lat wszystko, co żywe.

– Ostatni wspólny przodek, z którego powstały wszystkie żywe organizmy? A to co znowu takiego? Czy oznacza to, że krowa, piskorz, kogut i człowiek mają wspólnego przodka? Jak wobec tego ten nasz prapraszczur wyglądał? – zdziwił się Sytomir.

Zachetyn, chcąc zwrócić na siebie uwagę, uniósł dłoń i zaczął:

– Ewolucja nie zajmuje się poszczególnymi osobnikami, ale całymi populacjami, dlatego określenie „uniwersalny wspólny

przodek” należy potraktować umownie. Wspomniany antenat to organizm statystyczny, który jako pojedynczy egzemplarz nie istniał. To tak, jak z przeciętnym człowiekiem, który statystycznie ma jedną pierś i jedno jądro. Na ulicy kogoś takiego nie spotkasz, ale rozpatrując kobietę i mężczyznę, po uśrednieniu, otrzymujesz właśnie taką jednostkę. Zmianom podlegała cała istniejąca populacja, a w wyścigu o przetrwanie pozostało tylko potomstwo tegoż wspólnego przodka. Jego istnienie nie wyklucza równoległego istnienia innych form życia, które według tej teorii nie przetrwały.

– Masz rację – skwitował wtręt maga Samtor. – Dopowiem tylko, że rozwój życia zaczął się w wodach. Stopniowo coraz lepiej zorganizowane organizmy rozpoczęły kolonizację lądów. Kilkaset milionów lat temu na obszarach przybrzeżnych zaczęły pojawiać się rośliny. Prawdopodobnie były to jakieś algi lub pierwotne grzyby. Ich mutujące formy odsuwały się od linii brzegowych, zajmując coraz to nowe terytoria. Kiedy i jakie pierwsze zwierzęta wyszły na ląd, dokładnie nie wiadomo. Niektórzy twierdzą, że były to jakieś stawonogi. W wyniku jednak nastania kolejnej epoki lodowcowej, około czterystu trzydziestu ośmiu milionów lat temu, nastąpiło ich prawie całkowite wyginięcie. Około trzystu osiemdziesięciu milionów lat temu z istniejących ówczesnie ryb wyewoluowały pierwsze gatunki zwierząt czworonogich. Sądzi się, iż były to jakieś odmiany płazów. Stopniowo kształtujące się w ich organizmach kończyny z czasem pozwoliły im unosić głowy, zaś przeobrażające się organy wewnętrzne – oddychać nie tylko pod wodą, ale i na powietrzu. W ten sposób zdobyły szansę szukania pożywienia na lądzie. W tym czasie rośliny wykształciły już zdolność rozmnażania się z nasion. Cecha ta umożliwiła im przetrwanie

kolejnego, spowodowanego dużym oziębieniem klimatu, mającego miejsce gdzieś trzysta sześćdziesiąt siedem milionów lat temu, okresu masowego wymierania organizmów żywych, nazwanego dewońskim. Jakies dwadzieścia milionów lat później, po podniesieniu się temperatury globu, pojawiły się owodniowce, czyli kręgowce, które posiadały umiejętność rozrodu zarodkowego na lądzie. Z czasem odłączyły się one od płazów. Powstały z nich gady, ssaki i ptaki. Równolegle ewoluowały ryby, owady i bakterie, a także – i to znacznie szybciej – roślinność. Bujny rozwój tych środowisk został przerwany, kiedy około dwustu pięćdziesięciu milionów lat temu świat ponownie nawiedziła zagłada. Nazywa się ją permską i ocenia jako największą w historii życia na Ziemi. Przyczyna powodująca tę zagładę nie została jednoznacznie ustalona. Najbardziej prawdopodobną wydaje się działalność wulkanów pokrywających ziemię grubymi warstwami lawy i popiołów oraz zatruwających atmosferę bilionami ton dwutlenku węgla związków siarki, chloru i fluoru, co zmieniło klimat. Nie można też pominąć w spekulacjach skutku ówczesnej katastrofy spowodowanej uderzeniem w stanowiącą część Gondwany Antarktydę sporej planetoidy. Wstrząs wywołany gwałtownym uderzeniem dużego ciała niebieskiego w połączeniu z erupcjami wulkanów musiał mieć udział w rozpadzie tego południowego superkontynentu i wyrzucić swój zabójczy wpływ na środowiska żywe całej planety.

Tu, nieco już zmęczony mówieniem, magin, spodziewając się pytań lub komentarzy, powiódł wzrokiem po twarzach słuchaczy. Nie słysząc ni jednych, ni drugich, rozwijał temat:

– Po milionach lat, po uspokojeniu się i samooczyszczeniu planety, nastąpił powrót form życia. Twórczy wysiłek natury tym razem nie trwał jednak – oczywiście w skali świata – długo. Po

trzydziestu siedmiu milionach lat, już w triasie, znów miało miejsce wielkie załamanie klimatyczne, spowodowane ponownym wzrostem intensywności wulkanów. Wywołany przez nie efekt cieplarniany pozbawił atmosferę potrzebnej ilości tlenu. Nastąpiło kolejne masowe wymieranie istot zwierzęcych i roślin. I znowu, jak na karuzeli, po milionach lat przyszło ocieplenie, samooczyszczenie, a z nim eksplozja rozwoju. Właśnie w jej trakcie – mówię już o erze mezozoicznej, zwanej też erą gadów – od tych ostatnich odłączyły się archozaury, obejmujące między innymi dinozaury, krokodyle i latające pterozaurowe, będące jakby skrzyżowaniem ptaka z nietoperzem. Na okres stu sześćdziesięciu, stu osiemdziesięciu milionów lat właśnie gady zdominowały świat. Powstało ich około tysiąca gatunków, różniących się budową oraz rozmiarami. Od wielkości kury do olbrzymów osiagających wysokość do dwunastu metrów i masę do sześćdziesięciu ton. Jednym z największych był prawdopodobnie diplodok, osiagający długość dwudziestu siedmiu metrów. Współcześnie większy od niego jest tylko wieloryb płetwal, osiagający masę niemal dwustu ton i długość ponad trzydziestu trzech metrów. Jego środowiskiem jest jednak woda, której wypór ułatwia mu poruszanie się, pozornie zmniejszając masę i odciążając tym samym szkielet. Gatunki, o których mówiłem, zamieszkiwały wszystkie ówczesne kontynenty. Sądzi się, że większość z nich była stałocieplna. Były one roślino- i mięsożerne. Wiele wskazuje, że stosunek ilościowy jednych do drugich był bardzo zbliżony do tego, jaki panuje w świecie współczesnym. Prócz nich świat zamieszkiwały także rozwijające się ssaki. Przypuszcza się, że były one nieduże, budową przypominały dzisiejsze ryjówkowate i prowadziły nocny tryb życia. Jakies sześćdziesiąt pięć milionów lat temu... – Samtor

w swej opowieści dokonał przeskoku. – ...znowu nastąpił dramat, najmłodsze, piąte już, masowe wymieranie. Ocenia się, że trwało ono stosunkowo krótko, bo tylko jakieś kilkaset tysięcy lat. Z wyjątkiem ptaków wyginęły wtedy wszystkie dinozaury i pterozaurowie, wiele grup gadów morskich, otwornic, ssaków oraz roślin lądowych. Stosunkowo najmniej ucierpiały w nim paprotniki, które później przeżyły okres swego szczytowego rozwoju. Przyczyny tego kataklizmu nie zostały poznane do końca. Najbardziej znana i prawdopodobna hipoteza, starająca się wytłumaczyć fakt tego właśnie wymierania, mówi o kosmicznej katastrofie, która została spowodowana uderzeniem w Ziemię meteorytu lub komety. Ocenia się, że ciało niebieskie, które ugodziło naszą planetę, miało średnicę tylko nieco większą od dziesięciu kilometrów. Energia jego uderzenia spowodowała jednak takie anomalie geodynamiczne, które wywołały opisane przeze mnie tragiczne skutki. Inna teza głosi, że na granicy er mezozoicznej i kenozoicznej wzmożona aktywność wulkaniczna spowodowała tak duże ochłodzenie klimatu i na tyle znaczne zróżnicowanie temperatur letnich oraz zimowych, że nieprzystosowana do nich fauna i flora wyginęła. Są też inne teorie. Jedna z nich usiłuje dowieść, że dominujące rośliny nagozalążkowe lub, jak niektórzy nazywają, nagonasienne, których kwiatem i owocem było coś na kształt szyszki, zaczęły być wypierane przez wyewoluowane rośliny okrytozalążkowe, wytwarzające trujące alkaloidy. Dinozaury roślinożerne mogły się nimi zatruwać albo z powodu ich spożywania mieć kłopoty z rozmnażaniem. Zmniejszyło to ich liczbę, powodując tym samym głód i wyginięcie drapieżców. Mało prawdopodobne wydają się tłumaczenia, że stałocieplne ssaki prowadzące nocny tryb życia masowo wyjadały jaja

dinozaurów i właśnie to doprowadziło do radykalnego zmniejszenia ich populacji, a w efekcie do wyginięcia, lub też że miały one zbyt małe w porównaniu ze ssakami mózgi i nie mogły sprostać konkurencji. Logiczną kontynuacją byłaby teraz opowieść o rozwoju naczelnych, o istotach inteligentnych, ale to już zupełnie inna bajka. Pozwólcie, że na tym zakończę. Nie wyczerpałem zagadnienia, pewne tematy ledwie zarysowałem, zrobiłem wielkie skróty i uproszczenia, ale weźcie pod uwagę, że ani nie jestem w tej dziedzinie specjalistą, ani nie byłem do takiego wykładu przygotowany. Pragnę też zaznaczyć, iż jest to cała potężna dziedzina wiedzy, dla której poznania trzeba by poświęcić lata. Jeśli coś wyjaśniłem, bardzo się cieszę, jeśli kogoś zanudziłem – proszę o wybaczenie.

– Nie zanudziłeś – powiedział Eyan. – Kapelusze z głów. To, co mówiłeś, pośrednio uzasadnia moje domysły. Do twojej opowieści można jeszcze dodać, że jakieś trzydzieści cztery miliony lat temu niektóre gatunki ssaków wróciły do mórz. Z nich w drodze ewolucji wykształciły się delfiny i wieloryby. Krasnoludzkie źródła wspominają też o teorii abiogenezy, czyli samoródtwa. W zasadzie różnice pomiędzy nią a teorią ewolucji dotyczą tylko samego początku powstania życia, które miałyby narodzić się z materii nieożywionej.

– No, i ni z tego, ni z owego odbyliśmy piękną konferencję naukową – podsumował Zachetyn. – Maginie, należy ci się kieliszek nalewki. Żeby lepiej smakował, wypijemy razem z tobą.

Sytomir niespokojnie zerknął na stojący w bibliotece zegar i powiedział:

– Dzięki za poczęstunek i za to, co usłyszałem. Niestety, jestem zmuszony was opuścić. – Wstał i uściśnął dłoń czarodzieja oraz krasnoluda. Zbliżywszy się do Samtora, objął go

i z uznaniem powtórzył: – No, no, no, braciszku. – Po czym spiesznie wyszedł.

Pozostała trójka, zanim się rozstała, ustaliła termin i miejsce spotkania z Semistonem.

ROZDZIAŁ IX

Długonosy gnom stanął na rozstaju dróg i odrzucił na plecy chroniący go przed słońcem kaptur swej szarej burki. Rozejrzał się i podniósłszy rękę, dał znak trzem kompanom jadącym za nim w odległości około pięćdziesięciu metrów. Ci stępa podjechali do niego i się zatrzymali.

– Co jest, Duchnal? – zapytał jeden z nich, niewysoki, barczysty człowiek o rysach twarzy zdradzających przebiegłość.

– Tu rozchodzą się drogi. Prawa prowadzi do Mony, dwie pozostałe do Brony – odparł zapytany. – Lewa to główna, którą wygodnie za jakieś dziesięć godzin, lekko kłusując, można dotrzeć do osady, ta biegnąca prosto doprowadzi do celu za jakieś pięć godzin, ale jest dość trudna. Biegnie przez góry. Na niektórych odcinkach jest wąska i stroma. Trzeba wybrać, którą jedziemy.

– Nie my będziemy o tym decydować. Należy powiadomić Zemela i pozostałych, niech postanowią, co dalej – powiedział ospowaty półelf o długich, ciemnych włosach. – Zaczekajcie tu, ja się wrócę. Powinienem być niebawem.

– Zgoda, jedź, a my tymczasem coś zjemy i rozejrzemy się – dodał czwarty uczestnik zwiadu, ubrany na czarno mężczyzna o jasnoniebieskich, jakby rozmytych oczach. Pomimo młodego wieku i przeciętnej postury mógł wzbudzać lęk. Jego twarz miała jakiś trudny do określenia, nieprzyjemny rys. Skazę nasuwającą

myśl, że jej właściciel potrafi, a nawet chyba lubi, być okrutny i bezwzględny.

Pótlef zawrócił swoją klacz i klusem odjechał w kierunku, z którego przybyli. Pozostała trójka zsiadła z wierzchowców i puściła je na rosnącą za rowem trawę. Gnom zajął się zbieraniem suszu, by rozpalić nieduże ognisko.

Pili kawę, kiedy któryś z pasących się koni podniósł głowę i parsknął ostrzegawczo. Po małej chwili na drodze biegnącej z Mony ukazała się duża, zaprzęzona w szóstkę mułów platforma.

– Uwaga, spokojnie, najpierw ich wybadamy. Jedziemy do Brony w sprawie zakupu wytopionego żelaza i ewentualnie innych wyrobów. Ja jestem kupcem, Duchnal przewodnikiem, a ty, Tomaszek, mi towarzyszysz – zarządził mężczyzna o jasnoniebieskich oczach. – Co robimy potem, wiadomo. Nie zaczynać przede mną.

Jadący, zoczywszy dymek z ogniska i siedzących przy nim trzech obcych, zatrzymali się w odległości jakichś sześćdziesięciu metrów. Była ich czwórka, dwa krasnoludy i dwa gnomy. Powożący gnom dzierżył lejce, w rękach trzech pozostałych pojawiły się kusze. Spoglądali nieufnie, zachowując ostrożność.

Duchnal wstał i wyszedł na drogę. Przysłonił dłonią oczy i krzyknął:

– My kupcy! Jedziemy do Brony! Zapraszamy na łyk kawy!

Siedzący na wozie w dalszym ciągu trzymali broń w pogotowiu, lecz widok zapraszającego niziolka trochę ich uspokoił. Platforma zaczęła się zbliżać. Przed skrzyżowaniem zjechała na pobocze i stanęła. Woźnica pozostał na koźle, reszta uzbrojonych zeskoczyła.

– Witajcie, możecie odłożyć broń. My spokojni podróżni, sami baczmy, by nie napotkać grabieżców. Wy na szczęście na takich nie wyglądacie. Przysiądźcie się do nas. Kawy wystarczy.

– Dziękujemy za zaproszenie. Kim jesteście? Bo my to powroźnicy spod Mony. Wieziemy zamówioną linę wyciągową do kopalni w Bronie – zagadał trzymający w dalszym ciągu w pogotowiu napiętą kuszę starszy krasnolud, sprawiający wrażenie kierującego wyprawą.

– Linę? Na takiej wielkiej platformie? – zdziwił się zbliżający się do rozmawiających Tomaszek.

Gnom siedzący na wozie spojrział na niego i zmarszczył czoło, jakby usilnie starał się sobie coś przypomnieć.

– A tak, bo długa na sześćset łokci i gruba na trzy cale. W środku oplotu konopnego ma jeszcze stalowy rdzeń. Ciężka jak cholera – pospieszył z wyjaśnieniem młodszy krasnolud.

– No, to mały postój się przyda. Muły odpoczną, a zamienić kilka słów zawsze przyjemnie. Może dalej pojedziemy wspólnie. Razem bezpieczniej, bo czas niespokojny – prawil Duchnal.

– Ano, niespokojny. Ale z kim mamy przyjemność? – ponowił pytanie krasnolud, zbliżając się z pozostałymi do ogniska.

– Ja jestem Ago Retan, kupiec z Morgii, to mój pracownik Tomaszek, a ten niziołek nazywa się Duchnal. Jest naszym przewodnikiem, nieźle zna te strony. Jedziemy spod Mezary, żeby zamówić trochę żelaza, a może i innych produkowanych tu towarów – przedstawił siebie i dwóch pozostałych jasnooki, odstawiając kubek z kawą i wstając. – Siadajcie, zapraszamy.

– Dzięki. Dobre wasze, dobre też i nasze. Skocz, Junior, do wozu po kubki i gąsiorek – polecił starszy krasnolud drugiemu, młodszemu, bardzo do niego podobnemu. – Skorzystamy z gościny, skoro już napotkaliśmy na drodze życzliwych

podróżnych. Pogadamy chwilę, bo może rzeczywiście przyjdzie nam dalej jechać wspólnie. Zawołaj też Kobę. Ja nazywam się Ziober – kontynuował. – To mój syn, też Ziober. Dla odróżnienia nosi przydomek Junior. Ten tu ma na imię Sym, a przy wozie, jak słyszeliście, Koba. Obaj pracują w naszej manufakturze – dokonał prezentacji krasnolud.

Posłany odwrócił się i poszedł w kierunku wozu. Zobaczywszy, że woźnica gestykuje i coś gwałtownie tłumaczy młodszemu krasnoludowi, Retan nieznacznie skinął głową. Duchnal, mówiąc, że idzie przynieść przekąskę, skierował się do swojego konia, a Tomaszek zbliżył się do nierozstającego się z kuszą Syma.

Tymczasem woźnica, niby pokazując leżącą na platformie linę, gorączkowo mówił, że spotkali to zbóje, że widział kiedyś Tomaszka i skojarzył, że Duchnal to też renegat, amator lekkiego chleba.

– Ojciec, Sym, a chodźcie tu, bo lina się rozwinęła i zaraz spadnie. Trzeba ją poprawić! – krzyknął Ziober Junior.

– Co tam się, cholera, stało? Zaczekajcie, panowie, zaraz wracamy – powiedział starszy krasnolud i chciał odejść.

– Nie ruszaj się – warknął jasnooki.

– Co...? – zaczął zdziwiony krasnolud.

Więcej nie zdołał powiedzieć, bo w jego gardle aż po rękajeść utkwiał błyskawicznie rzucony przez Retana nóż. Niemal w tym samym momencie Tomaszek skoczył do gnoma, który jednak zdążył unieść kuszę i mając prawie na styk napastnika, przeszył jego pierś grotem. Postrzelony zrobił jeszcze jeden krok i z wyrazem ogromnego zaskoczenia klęknął, a potem padł mu pod nogi. Przerażony Sym odwrócił się i chciał uciekać. Nie

zdążył. Miecz Agi potężnym uderzeniem z góry rozplątał go prawie do połowy.

Duchnał w tym samym czasie wyszarpnął z olstra swoją kuszę. Starannie wycelowwał do woźnicy. Strzelił. Koba, trafiony w okolice wątroby, rozłożył ręce i z krzykiem wyrażającym boleść upadł. Gnom, spiesząc się, zaczął ponownie naciągać swoją broń. Była to jego ostatnia czynność. Pocisk wystrzelony przez młodszego Ziobra trafił go dokładnie między oczy. Nawet nie zdał sobie sprawy, że umiera.

– Uciekaj, uciekaj. Z nimi i ze mną już i tak koniec – wycharczał do Juniora leżący w szybko rosnącej kałuży krwi Koba.

Krasnał kątem oka dojrzał pędzącego ku niemu Retana. Zrozumiawszy, że ciężkim toporem nie da rady mieczowi, rzucił się do ucieczki. Skoczył w las po drugiej stronie drogi. Nigdy nie dowiedział się, że życie zawdzięcza najprawdopodobniej przypadkowi. Ago Retan po prostu przewrócił się i boleśnie skrzył prawą nogę, gdy wpadł w jamę wygrzebaną przez jakieś zwierzątko. Uniemożliwiło mu to dalszy pościg.

Po godzinie znaleźli go kompani z przybyłej na rozstaje bandy.

Ziober Junior po pewnym czasie nieco ochłonął. Najpierw zwolnił, potem stanął i zaczął nasłuchiwać. Uspokoił mu się oddech. Nie słysząc pogoni, by nie natknąć się na być może czatującego zbója, zatoczył spore koło i wrócił. Przycupnął w krzewach i obserwował miejsce niedawnej tragedii. Zobaczywszy tam tłum liczący około dwustu jeźdźców, zaszył się w gąszczu i czekał na dogodny moment, by sprawdzić, co z ojcem i pozostałymi. Nadzieję, że któryś z nich jeszcze żyje, w miarę upływu czasu wypierały jednak rozpacz i chęć zemsty.

Zemel i pozostali przywódcy bandyckiej ekspedycji po wysłuchaniu krzywiącego się z bólu Retana nie przejęli się zbyt niedawnym krwawym incydem. Doszli do wniosku, że zbiegły krasnal i tak pieszo nie dotrze przed nimi do Brony, a gdyby nawet, to opowie tylko o napadzie, którego dokonało trzech przypadkowych opryszków. Wśród mieszkańców osady mogło to wzbudzić poruszenie, ale nie powinno naprowadzić ich na trop, iż zagrożenie nadciąga na wszystkich. Tomaszka ani Duchnała nikt zbyt mocno nie żałował, lecz Ago wysłuchał szereg niewybrednych, mocno niepoehlebnych opinii o sobie. Ukrył swój gniew, ale uraza do tych, którzy je wypowiadali, pozostała. A pamiętliwy i mściwy był.

Starszyzna bandy podczas narady zdecydowała, że najlepiej będzie najechać Bronę przed południem, kiedy większość krasnoludów znajdzie się w kopalniach. Liczyli, że tych niewielu niezorganizowanych i zaskoczonych, którzy pozostaną, nie będzie w stanie stawić im skutecznego oporu, a z młodzikami i babami kłopotu nie będzie.

Po głośnej dyskusji postanowiono, że natrą na osadę jednocześnie z dwóch stron. Mniejsza grupa w sile około sześćdziesięciu osób pod dowództwem Zemela miała pojechać krótszym, górskim szlakiem, pozostali – drogą główną. Najbliższą noc cała banda zaplanowała spędzić wspólnie, nieopodal strumyka, w którym można będzie napić konie. Ciężka platforma z liną ich nie zainteresowała, muły wyprzęgli i zabrali ze sobą. Przewidywali, że będą przydatne, by ponieść zdobyte łupy.

Po opustoszeniu terenu, odczekawszy jeszcze jakiś czas, Ziober Junior odnalazł ciała ojca i dwóch pozostałych niziołków. Łopata wyjęta z wozu wykopał im wspólny grób i ocierając

płynące łzy, pochował bliskich. Chwilę klęczał przy usypanym kurhaniku, potem wstał, zabrał kuszę i ruszył w kierunku Brony. Obejrzawszy się, zobaczył chmarę nisko krążących, kraczących, czarnych ptaków. Stopniowo przyspieszał, aż przeszedł w trucht. Zdawał sobie sprawę, że to będą wyczerpujące popołudnie i noc, u celu jednak musiał być pierwszy.

Słońce dochodziło prawie do zenitu, kiedy posuwający się lekkim kłusem grasanci ujrzeli prześwitujące w oddali zabudowania Brony. Od celu dzieliły ich już tylko bystry górski strumień płynący w głębokim wąwozie o skalistych, prawie pionowych zboczach oraz rozciągające się za nim trzy wiorsty drogi. Wszystko wskazywało, że dotrą na miejsce i zaczną atak o ustalonej porze. Widok osady podniecił większość jadących rabusiów. Ich tylne szeregi zaczęły przyspieszać, zwierając grupę. Zemel wraz ze swym komandem, nie dając się ponieść emocjom, trzymał się końca kawalkady. Zbójce doświadczenie nauczyło go, że wartość zdobytego łupu nie zależy od tego, czy do źródła jego pochodzenia dociera się jako pierwszy.

Stromo opadający odcinek biegnącego w lesie traktu, prowadzącego na przerzucony przez rzekę most, w naturalny sposób zwiększył tempo wypoczętych po całonocnym postoju koni. Bandyci czuli bliski zapach krwi, więc nie wstrzymywali wierzchowców. Fakt, że jak dotąd na swej drodze nie natknęli się na nikogo z miejscowych, wzmagił ich pewność, że napad będzie pełnym zaskoczeniem. Jechali butni i pełni drapieżnego oczekiwania.

Licząca około dziesięciu jeźdźców czołowa grupka galopem wpadła na most. Przebyła go i zdążyła pokonać już kilka metrów,

kiedy pod pierwszą trójką jakby załamała się droga. Z krzykiem przerażenia runęli do głębokiego na cztery metry dołu, który z trzaskiem otworzył się pod ich ciężarem. Ci, którzy podążali tuż za nimi, nie mieli czasu na reakcję. Wpadali na tych, którzy przed momentem byli na przedzie, przygniatając kłębiące się, jęczące i kwiczące, poranione ciała ludzi i zwierząt. Na nich lecieli kolejni. W górze pod różnymi kątami sterczały ostre kikuty połamanych desek. Na głowy, ramiona i plecy będących w rowie sypały się kamyki, żwir i piasek z cienkiej warstwy materiału skalnego, identycznego jak pozostała nawierzchnia drogi, maskującego urządzoną zasadzkę. Dalsi, spostrzegłszy, co się dzieje, zaczęli gorączkowo wstrzymywać konie. Niektórzy zeskakiwali z nich w biegu, będąc obalani i potrąceni przez tych, którzy jeszcze nie zorientowali się w zaistniałej sytuacji. W powstałym tak nagle zamieszaniu rabusie, zaaferowani tym, co dzieje się przed nimi, nie zwrócili uwagi, że ich odwrót również został odcięty. Błyskawicznie napięte, podniesione z płytkich, wykopanych w poprzek traktu i zamaskowanych rowków cztery grube liny, owinięte wokół tęgich pni rosnących po obu stronach drogi drzew i solidnie, na różnych wysokościach do nich zamocowane, stworzyły dla koni przeszkodę nie do pokonania.

Zemel, odkrywszy zasadzkę, ochryplym głosem wykrzytał komendę do wycofania się. Będący najbliżej niego, wyciągnąwszy broń, zawrócili konie i podjęli rozpaczliwą próbę odwrotu. Daleko nie ujechali. Zatrzymały ich rozciągnięta przeszkoda i wystrzeliwane z lasu groty kusz, a także strzały ukrytych łuczników. Co chwila któryś z próbujących pokonać linową zaporę członków bandy, wydając śmiertelny charkot lub bolesny

wrzask, spadał z siodła, czym powiększał strach reszty kompanów, gorączkowo szukających wyjścia z matni.

Większość jeźdźców zeskoczyła z koni i skryła się za nimi, próbując zorganizować obronę. Kilku zaczęło wiązać pasy i arkany, by po nich spuścić się do wąwozu, wydającego się im jedyną drogą ocalenia. Do lin przegradzających trakt już nikt nie starał się zbliżyć. Zaczęli pojmować, że znaleźli się w śmiertelnej pułapce.

W międzyczasie z drugiej strony mostu, na trakcie, za prawie w połowie wypełnionym rannymi końmi i ich jeźdźcami dołem, ustawilo się ze trzydzieści dzierzących kusze i topory niziołków. Wychynęli z lasu i stanęli w dwóch szeregach. Na znak wysokiego jak na krasnoluda dowódcy pierwszy szereg przyklęknął i wycelował naciągnięte kusze w uwięzioną na moście i jego najbliższych okolicach bandę. Drugi szereg uzbrojonych podobnie stał. Spokój i sprawność oddziału oraz ponure miny nieludzi budziły respekt. Nie strzelali. Rozkaz do zaczęcia zabijania nie został wydany.

Bedan, dowódca trzeciej kupy – bo on kierował obroną traktu – zbliżył się nieco do rowu.

– Wiemy, kim jesteście i w jakim celu jedziecie! – krzyknął stentorowym głosem. – Gdzie dowódca? Niech pokaże się wasz dowódca.

Wśród uwięzionych zaczął się mały ruch. Rozglądali się, szukając Zemela. Ten jednak leżał za koniem i nie zamierzał się ujawniać. Po dłuższej chwili wstał jeden z bardziej aktywnych organizatorów wyprawy, przejmując rolę negocjatora.

– Czego chcecie? Dlaczego napadliście na spokojnych podróżnych? Ciężko odpowiecie za to. Będziecie wisieć za ten gwałt – zaczął, a chociaż jego słowa miały wyrazić oburzenie, to

lękliwy ton, jakim zostały wypowiedziane, zaprzeczał zawartym w nich treściami.

– Powtarzam, że znamy wasze zamiary. Mamy dowody i świadków. Złóżcie broń i poddajcie się. Tylko w ten sposób macie szansę na ocalenie głów – odpowiedział stanowczo Bedan.

– Przedrzemy się i wnet rozniesiemy was w puch! – wydarł się któryś z uwięzionych rabusiów.

– Jak chcecie. Czekamy na waszą decyzję pięć minut. Potem podpalimy most. Pod spodem jest słoma nasyciona olejem skalnym. Macie wolny wybór.

Rzeczywiście, w powietrzu unosił się delikatny zapach parującej w słońcu ropy. Złapani w pułapkę bandyci dopiero teraz go poczuli. Zmiarkowawszy, co się dzieje, zaczęli gorączkowo się naradzać. Sytuacja sprawiała wrażenie beznadziejnej. Z przodu żywa, zbrojna, gotowa do walki zapora krasnoludów i oddzielający ich od niej prawie nie do pokonania rów. Z tyłu – uniemożliwiająca ucieczkę liny i ukryta w lesie, nie wiadomo, jak liczna, celnie strzelająca obrona. Pośrodku zaś oni, w większości stłoczeni na zbudowanym z suchego drewna moście, który w każdej chwili mógł zostać podpalony. Płonąłby jak pochodnia, a oni wraz z nim. Pod spodem – bystra, najeżona skałami i kamieniami rzeka w głębokim na ponad siedem metrów jarze. Skok do niej to śmierć lub ciężkie kalectwo. Poza tym około dwudziestu towarzyszących im druhów już nie żyło lub było rannych. Zanim nadejdzie pomoc drugiej grupy, jeśli w ogóle nadejdzie, zostaną wystrzelani jak kaczki. A tak dobrze się wszystko zapowiadało.

– Poddajemy się! Poddajemy! – zaczęły padać pojedyncze głosy grasantów skierowane do stojącego i rzucającego płochliwe

spojrzenia negocjatora. Ten, usłyszawszy je, zwrócił się do dowódcy krasnoludów, usiłując pertraktować:

– Zgoda. Zabieramy konie, broń, swoich rannych i odjeżdżamy.

Krasnolud się roześmiał, pokiwał przecząco głową i rzekł:

– Nie! Oddacie konie i złożycie całą broń. Pojedynczo będziecie przechodzić bokiem rowu do nas. Zostaniecie związani i odstawieni do osady. Tam zdecyduje się wasz dalszy los. Nie przyjmuję żadnych waszych warunków. Nie pasuje – wolna wola. Załatwimy sprawę na miejscu. Będzie mniej kłopotów.

Pod wycelowanymi kuszami każdy z osobna, milcząc i tocząc ponurym wzrokiem, grasanci omijali bokiem dół i podchodzili do niziolków, których nowa dwunastka wyłoniła się z zarośli. Te starannie ich rewidowały. Zabierały noże, ostre narzędzia, pasy oraz wszystko, co mogło posłużyć do ataku lub uwolnienia się. Tak ogołoconym przywiązywały rzemieniami lewą lub prawą rękę do już przygotowanych, uprzednio pozbawionych gałęzi pni ściętych, niezbyt grubych drzew i kazały siadać.

Ostatnia szóstka, zanim została potraktowana w podobny sposób, pozbierała swoich rannych i zabitych, by umieścić ich na podstawionych przez krasnoludy wozach. Ośmiu nie żyło, jedenastu było ciężiej lub lżej rannych. Stosunkowo mało ucierpiały konie. Tylko dwa z tych, które wpadły do dołu, miały skręcone karki, a jeden złamaną nogę. Z żalem strzałem z kuszy skrócono mękę niczemu niewinnemu zwierzęciu.

Najdłużej trwało i największy kłopot sprawiło wydobycie tych ludzi i wierzchowców, które znalazły się w rowie. Przerazone konie rżały, kwiczały, szarpały się i biły kopytami. Uspokajane łagodnymi słowami i głaskaniem, po zarzuceniu im worków na

głowy, dały się jednak wyprowadzić po prowizorycznych, naprędcie skleconych pochylniach.

Trzy pnie wystarczyły do ujarznienia niedoszłych zdobywców Brony. Było ich razem trzydziestu siedmiu. Otoczeni eskortą, przywiązani do utrudniających im ruchy ciężarów, dźwigali je, kierując się do osady. Nikt z pojmanych nie zauważył, że wśród nich brakuje Zemela i dwóch ludzi z jego komanda. Zwycięzcy zaś nie wiedzieli, że takowi wśród napastników w ogóle byli.

Wyprawivszy jeńców, wozy z zabitymi, rannymi i zebraną bronią oraz zdobyte konie, Bedan ściągnął pozostające jeszcze w ukryciu niziołki. Wyznaczywszy kierującego pracami, trzydziestce ochotników z pospolitego ruszenia nakazał przystąpić do likwidacji zasadzki. Jako ochronę zostawił im przybyłą na pomoc z sąsiedniego obwodu drużynę pod wodzą ich dziesiętnika. Sam z pozostałą dwudziestką ruszył spieszenie na główną drogę, gdzie znajdował się Ferdyn z drugą częścią obrońców Brony.

Dwa bystrookie gnomy, siedzące na wierzchołkach drzew, ujrzały przybliżające się błyski lusterek, przekazywane przez rozstawionych zwiadowców. Głosem zaalarmowali o swoim spostrzeżeniu towarzyszy na dole.

Ferdyn wraz z Suchonogiem i Wizunem oraz dowódcą oddziału przybyłego na pomoc z sąsiedniego obwodu sprawdzał akurat stan przygotowań i dokonywał ostatnich ustaleń, kiedy dotarła do niego ta wiadomość.

– No, to zgodnie z oczekiwaniami niedługo będziemy mieć gości – stwierdził dominat.

– Na to wygląda – przytaknął dowódca pierwszej kupy. – Jesteśmy gotowi godnie ich przyjąć. Powinni dotrzeć tu za jakieś pół godziny. Popatrzmy jeszcze, jak to wszystko wygląda z drogi. Czy nic za wcześnie nie obudzi ich podejrzeń.

Schodzili właśnie po stromej skarpie, kiedy rozległ się ostry trzask. Po nim usłyszeli głośne krzyki i przekleństwa krasnoludów. Jeden z podciętych, przygotowanych do obalenia świerków zaczął się pochylać, by po chwili z łomotem upaść. Leżał teraz przy będącym bliżej osady końcu odcinka zasadzki, przegradzając w poprzek drogę.

– A to mamy, kuźwa, niezły pasztet! Wszystko, taka jego mać, wzięło w łeb – wysyczał poczerwieniały z wściekłości dowódca drugiej kupy. – Co teraz? Nie zdążymy go usunąć. Po zasadzce.

Na drogę wysypała się grupa kilkunastu podenerwowanych niziołków.

– Wiatr. Nie wytrzymał powiewu wiatru. Podcięty był dobrze – zaczęli się jeden przez drugiego gorączkowo tłumaczyć.

Ferdyn uciszył ich gestem dłoni. Stał i patrząc na powalonego kolosa, drapał się po nosie. Usiłował wymyślić coś, co by uratowało zniweczony plan. Zdawał sobie sprawę, że ściągnięcie na bok zaklinowanego drzewa i zatarcie po nim śladów w czasie, jaki im pozostał, jest nierealne. Przegrupowanie sił oraz stawienie otwartego oporu pomimo posiadania liczebnej przewagi pociągnęłoby za sobą mnóstwo ofiar, a tego chciał za wszelką cenę uniknąć. Było źle, a on nie wiedział, co w zaistniałej sytuacji winien zrobić. Przerażony nie był, odparcie napastników było możliwe, ale koszt, który należałoby zapłacić, zdawał się mu zbyt wielki. Stojąc nieruchomo, bił się z myślami.

Pierwszy ocknął się Wizun.

– Wszystko, kuźwa, pozostaje po staremu. Na drogę wychodzi ósemka i udaje drwali szykujących drzewo do wywózki. Ociosuje gałęzie, odcina koronę. Zachowują się głośno i pracują. W widoczne miejsce czwórka koni i zestaw do wożenia dłużyc. Idę ja i moi, bo zapieprzyliśmy całą sprawę. Trudno, psia jego mać, taki zasrany los.

– Popieram – powiedział krótko krasnolud dowodzący przybyłymi z zewnątrz posiłkami.

Suchonóg spojrział na dominata.

– Chyba ma rację. Ryzykują życiem, ale nie wydumamy nic lepszego. Jeśli banda to kupi, jesteśmy w domu.

Ferdyn milczał. Żał mu było każdego mieszkańca osady, a ten brodaty krasnolud o niewyparzonym pysku, dowodzący drugą kupą, był mu szczególnie bliski. Pomysł miał dużą szansę powodzenia, niziołki na przeżycie – znacznie mniejszą. Wiedział jednak, że jeśli mają ten plan zrealizować, to właśnie odważny i doświadczony Wizun wraz ze swoimi najlepszymi musi pozostać przy zwalonym drzewie.

– Akceptuję – rzekł z bólem. – Trzeba zaryzykować życie kilku, by ocalić kilkudziesięciu. Suchonóg, najcelniej strzelających z kuszami i łukami rozstaw tak, by mogli ich jak najskuteczniej osłaniać. Pozostała część ustaleń – bez zmian.

Po kilkunastu minutach przy świerku krzątały się dwa gnomy i szóstka krasnoludów. W ich rękach znajdowały się ośniki, siekiery i piły. W niewielkim oddaleniu widać było czwórkę koni i stojący zestaw do przewożenia dłużyc. Na poboczu leżały dwa stosy odciętych, pozornie przygotowanych do spalenia gałęzi. Z jednego z nich sterczały rękojeści toporów bojowych. Mogło je wypatrzeć jednak tylko niezwykle wprawne oko. Dla uwiarygodnienia sytuacji nieopodal leżała rozłożona derka, a na

niej – rozkrojone bochenki chleba, kawałki kielbasy, ogórki i opróżnione do połowy trzy butelki gorzałki.

Okoliczny las wydawał się cichy i pusty. Słońce niedługo miało osiągnąć zenit.

Licząca około stu czterdziestu ludzi, elfów i półelfów część bandy posuwała się w kierunku Brony. Zarówno konie, jak i dosiadający ich jeźdźcy odczuwali znużenie. Nic dziwnego – aby pokonać wybraną dłuższą drogę i dotrzeć na umówiony czas, z obozowiska wyruszyli nocą, prawie o sześć godzin wcześniej niż mająca jechać górskim szlakiem grupa Zemela. Skutki zakrapianej dość obficie kolacji również nie poprawiały samopoczucia. Niektórzy zaczęli już żałować wyboru tej pozornie łatwiejszej trasy. Teraz zmiana jej nie wchodziła w rachubę. Monotonna jazda sprzyjała krótkim, nachodzącym ich drzemkom, w które bezwiednie zapadali, kołysząc się miarowo w siodłach. Nie przynosiły one wypoczynku, budzili się z nich gwałtownie, czując drętwienie kończyn i ból w plecach.

Ulęgę przyniósł zorganizowany niedługo po wschodzie słońca półtoragodzinny odpoczynek. Obecnie, po kolejnych kilku godzinach jazdy, mimo pięknego dnia, znów byli zmęczeni. Zbyt mało adrenaliny dostarczała świadomość, że są już niedaleko osady, gdzie czeka ich zemsta na podłych niziołkach, a tak naprawdę stanowiąca główny cel wyprawy nadzieja na pokaźne łupy. Jechali w milczeniu. Wzbierała w nich złość.

W pewnym momencie znajdujący się na czele rozciągniętej kolumny usłyszeli jakieś głuchoe odgłosy. Sprawiały wrażenie uderzeń toporów. Przywódcy zatrzymali się, a wraz z nimi stanęła cała reszta. Chwilę trwała narada. Dufni w swą wynikającą z liczebności siłę, postanowili jechać dalej.

Po około dwustu metrach i pokonaniu lekkiego zakrętu dojrzeliby źródło hałasów. Przed nimi na drodze wokół powalonego drzewa kręciło się kilka niziołków. W miarę zbliżania się oprócz uderzeń siekier i zaśpiewu pił zaczęli słyszeć ich rozmowy i śmiechy. Wyglądało, że zajęci robotą i rozmowami drwale nie spostrzegli nadciągających.

Byli już w odległości niecałych czterdziestu metrów, kiedy jeden z gnomów, spojrzawszy na drogę, dał znać pozostałym. Te przerwały robotę i odwróciły się w kierunku nadciągającej dużej grupy jeźdźców. Stały, obserwując ich nieufnie. Z zachowania niziołków wynikało, że nie spodziewają się po przybyszach niczego dobrego.

Brodaty krasnolud, znajdujący się przy stosie ściętych gałęzi, jakby nie chcąc prowokować awantury, odłożył trzymaną w rękę siekierę i wykonał gest powitania. Reszta również skierowała się na pobocze, ustępując miejsca jadącej z wolna kawalkadzie, której czoło zatrzymało się, a tylne szeregi podciągnęły tak, że bandyci na stosunkowo niedużym obszarze utworzyli dość zwarte ugrupowanie.

– A, to się akurat niedobrze zdarzyło, że świerk zagroził przejazd. Wybaczcie tę drobną niedogodność, nie spodziewaliśmy się tu nikogo. Szykujemy drewno do kopalni. Za niedługi czas zrobimy przejazd. Ale jeśli się panom bardzo spieszy, to konie przeskoczą. Można je też przeprowadzić przez pień – zaczął ugodowo wyjaśniać brodacz.

– Milcz! Nie dość, że nas wstrzymujecie, to kradniecie królewskie drewno. Złapaliśmy was na gorącym uczynku. Zaraz odpowiecie za to! – krzyknął jeden z przywódców bandy.

– Nie, panie, nie kradniemy, to lasy gromadzkie. A drewno jest potrzebne do obudowy chodników pod ziemią. Zawsze tak

robimy. Mamy zgodę – tłumaczył spokojnie krasnolud. Pozostała piątka, sprawiająca wrażenie nieco załęcznionych, skupiła się wokół niego, odrzucając piły i siekiery. Jedyne dwa gnomy stały troszkę na boku, z ośnikami w rękach.

– Jak śmiesz mi w żywe oczy łąć, przebrzydły karle! Ale to już twoje ostatnie kłamstwo! – wrzasnął konny i wyciągnąwszy miecz, zaszarżował na stojącą grupkę. Za jego przykładem poszli inni.

– A, to zobaczymy, chędożony w du... obwiesiu! – ryknął krasnal, a w jego ręku błyskawicznie pojawił się bojowy topór.

Pozostali stojący obok niego drwale niemal równocześnie sięgnęli w kierunku stosu gałęzi i utworzyli zbrojny półokrąg. Stojący z boku gnom cisnął ośnikiem w będącego tuż przy Wizunie przywódcę bandy. Trafił dobrze. Z prawie do połowy przeciętej szyi tak groźnego przed momentem bandyty chlusnęła krew, on zaś, wypuszczając miecz, z wyrazem ogromnego zaskoczenia podniósł ręce w kierunku strasznej rany i mając nogi uwięzione w strzemionach, pochylił się na koński kark. Również drugi gnom z dobrym skutkiem użył swego dwuręcznego, służącego do okorowywania noża, po czym oba niziołki wyszarpnęły napięte kusze spod derki, na której stały wiktuały.

Nagle wydarzenia nabrały nadzwyczajnego tempa. Równocześnie z obu stron drogi, z zarośniętych szczytów skarp w kierunku bandy poleciały groty i strzały. Oddana salwa poczyniła spustoszenie wśród grasantów, strącając kilkunastu z nich z koni. Poniesiona strata nie wstrzymała ataku pozostałych na rzekomych drwali. Okrążyli ich z trzech stron i zaczęła się zaciekle rąbanina. Otoczone krasnoludy, wspomagane przez niewidocznych strzelców, rycząc ciężkie przekleństwa, uwijały się jak w ukropie. Tnąc napastników

toporami i starając się utrzymać szyk, wycofywały się za powalony pień. Przewaga zbirów nad nimi była jednak bezsporna. Niełatwo walczyć pieszemu niziołkowi uzbrojonemu w topór z konnym wyposażonym w poręczny miecz. Dwa krasnale padły, trzy przeskoczyły przez zwalony świerk. Mając go pomiędzy sobą a atakującymi, ponownie zwały nieliczny szyk. Na niewiele by się to jednak zdało, gdyby w tym momencie nie zostały w wsparte przez zsuwającą się, biegnącą ze stromej skarpy chmarę wznoszących bojowe okrzyki ziomków. Widok około czterdziestu niewysokich, lecz masywnych postaci z toporami, pikami i rohatynami powstrzymał na chwilę tych bandytów, którzy szykowali się do przedostania się na drugą stronę leżącej przeszkody. Tego się nie spodziewali. Jednocześnie wystrzelwane świszczące pociski przerzedzały ich szeregi.

Dowódcy grasantów w powstałym chaosie usiłowali zaprowadzić jakiś porządek. Wykrzykiwane przez nich komendy mieszały się jednak z trzaskiem przewracających się na drogę kolejnych drzew. Osaczyły i podzieliły one bandę. Na jej tyłach, za ostatnim powalonym świerkiem, pojawiła się i zaczęła ustawiać w trzech szeregach nowa, spora grupa krasnali. Strzelały bez komendy, wybierając najbliższe cele.

Jeden z bandytów, o jasnoniebieskich oczach, skrzyknąwszy około dwudziestu kompanów, poprowadził desperacką szarżę na zamykającą odwrót grupę niziołków. Zanim zdążyli przesadzić pień dzielący walczące strony, stracili czterech towarzyszy. Większość jednak klinem wbiła się między szyki krasnali, docierając do ostatniej linii. Tam, w tłoku i zamieszaniu, konie straciły impet. Otoczeni jeźdźcy z furią odcinali się dźgającym i ściągającym ich z siodeł hakami rohatyn nie mniej rozżartym obrońcom. Ofiary padały po obu stronach. Gdy jednak zastępy

krasnoludów zasilaty coraz nowe, zbiegajace po skarpach, grasantów ubywało w oczach. Nie mogli się nawzajem osłaniać, bo każdy atakowany był jednocześnie przez dwa, trzy niziolki. Jako jeden z ostatnich, skluty ostrzem dlugiej piki, zsunął się z konia niebieskooki Ago Retan.

Ferdyn od rozpoczęcia potyczki stał na skarpie i obserwował rozwój sytuacji. Wzniesiony nad pole bitwy punkt pozwalal mu na calosciowy wglad w jej przebieg i stosowne reakcje. Rozkazy do bedacych blisko wykrzykiwal swoim tubalnym gllosem, do bardziej oddalonych – przekazywal przez cztery pelniace funkcje adiutantów szybkoconogie gnomy.

Dominat najbardziej obawial się sposobu rozpoczęcia bitwy. Gdyby banda, zoczywszy rzekomą grupe drwali, przejechała im po karkach, przeskoczyła przeszkode i nie zatrzymujac się, popędzila w strone Brony, zapore dla niej stanowilyby juz tylko jedno przygotowane do obalenia drzewo oraz dowodzona przez Suchonoga kupa, wzmocniona przez trzydziestke ochotników. Była to niemala sila, lecz rozpoczęta w ten sposob walka pochlonęłaby wiele ofiar.

Po zatrzymaniu się rabusiów i straceniu przez nich przewagi, jaką dawala im szybkość, Ferdyn uspokoil się troche. Zaimprovizowana napredce zasadzka zadzialala tak, jak planowano pierwotnie. Obrońcy osady odzyskali kontrole nad przebiegiem potyczki.

Z bandy liczacej okolo stu czterdziestu jezdców zostala niecala setka, unieruchomiona między zwalonymi drzewami i blokowana z przodu oraz z tyłu przez oddzialy niziolków. Z boków grasanci byli otoczeni wysokimi na kilka metrów, stromymi skarpami, obsadzonymi przez ukrytych w zaroślach łuczników i kuszników.

Wydawać by się mogło, że sytuacja jest opanowana, ale stu zdesperowanych, dobrze uzbrojonych konnych wciąż stanowiło siłę mogącą spowodować zmianę obrazu bitwy. Ciągłe istniało niebezpieczeństwo, że skrzyknięci, całą siłą uderzą na przybyły z bratniego obwodu oddział zamykający ich tyły, rozerwą go i ujdą. Potem, pałając żądzą odwetu, uzupełniwszy swój stan, ponownie będą mogli stworzyć zagrożenie dla osady. A wtedy zasadzki nie miałyby już racji bytu. Banda po otrzymaniu nauzki działałaby rozważniej i zostałaby tylko otwarta, z pewnością opłacona bogatą daniną krwi, walka.

„Nie, nie można dopuścić do połowicznego rozwiązania. Trzeba wykorzystać tę sytuację i zlikwidować zagrożenie ostatecznie. Teraz i tu. I tylko baczyć, by jak najmniej poleło się krwi pobratymców”.

Dokonawszy tej błyskawicznej analizy, Ferdyn nakazał będącej jeszcze w odwodzie trzydziestce ochotników przemieścić się w okolice zamykającego tyły rabusiów oddziału z sąsiedniego obwodu, lecz nie wychodzić na drogę. Gdyby nastąpiła próba przerwania okrążenia, wyłaniające się z lasu kolejne siły nie tylko wspomogą orężnie ustawioną na drodze blokadę, ale też zdeprymują atakujących, obniżając ich morale.

Tymczasem otoczona banda, ochłonawszy po pierwszym zaskoczeniu, zaczęła się organizować. Pewna część spieszyła się i z za koni prowadziła ostrzał krasnoludów, większość, nie zważając na straty, formowała klin w celu przebicia się. Zrozumieli, że jest to ich jedyna szansa, bo po wyczerpaniu się grotów i strzał, których nie mieli aż nazbyt wiele, zostaną w tej pułapce wystrzelani do nogi. Już mieli ruszać w kierunku, z którego przybyli, bo ta strona wydała się łatwiejsza do sforsowania, gdy rozległ się złowieszczy trzask i nowe dwa

podcięte drzewa runęły na drogę. Jedno oddzieliło ich od ariergardy, która miała stanowić cel ataku. Drugie padło na nich, przygniatając ludzi i wierzchowce. To wywołało panikę. Krzyki i jęki rannych, kwik okaleczonych i przerażonych koni zdominowały okolicę. Nie myśleli już o walce. Chowali się za każdą wypatrzoną osłoną. Niektórzy zaczęli wspinać się na skarpy, wołając, że się poddają. Tam wpadali w ręce krasnoludów i gnomów.

Nagle odezwał się gong. Ten głęboki, niespodziewany w tych warunkach dźwięk uciszył wszystkich. Ostrzał z lasu został przerwany. W zapadłym nad pobojuwiskiem wyczekującym milczeniu, skąd dobiegały tylko prośby o pomoc i odgłosy poturbowanych zwierząt, dał się słyszeć stanowczy głos dominata:

– Złóżcie broń! Poddajcie się!

Okrażeni usłuchali go.

Po niecałych dwóch godzinach w stronę Brony wyruszyła długa kolumna. Jej czoło stanowiła piętnastka uzbrojonych, rozglądających się czujnie krasnoludów. Za nimi jechały wozy z rannymi i poległymi obrońcami osady. Niestety, tych ostatnich było wielu. Osiemnaście niziołków zapłaciło najwyższą cenę za to, by pozostali mogli żyć spokojnie. Wśród nich było aż czterech z tych, którym przypadła rola rzekomych drwali. Ciężej lub lżej poranieni w walce zajmowali trzy kolejne wozy. Dalej, otoczeni eskortą, tocząc niepewnymi spojrzeniami i szukając winnych swej porażki, ciągnęli powiązani i rozbrojeni rabusie. Było ich około osiemdziesięciu. Od wozów z nieżyjącymi oraz rannymi grasantami oddzielała ich dowodzona przez dziesiętnika drużyna z kupy Suchonoga. Za nią toczył się wyładowany zdobyczną bronią wóz i postępował tabunik wierzchowców.

Oddziały przybyłe na pomoc z sąsiednich obwodów, przemieszane z tubylcami, pilnowały jeńców oraz tworzyły ariergardę.

Ochotnicy z Brony na rozkaz dominata pozostali na miejscu i zajęli się usuwaniem z drogi zwalonych w zasadzce drzew. Na wszelki wypadek osłaniała ich piętnastka z kupy Wizuna.

Nagromadzone emocje zwycięzców musiały znaleźć ujście. Większość podnieconych niziołków, nie słuchając innych, opowiadała o swym udziale w walce, o jej ocenie. Niektórzy przyznawali się do przeżytego strachu. Wypowiadali się, co według nich należałoby zrobić z pojmanymi napastnikami. Pomimo poniesionych istotnych strat rzadkie były głosy proponujące krwawą zemstę. Częściej mówiono o karze. Surowej, ale sprawiedliwej.

W połowie drogi do kolumny dołączył spieszący od mostu na trakcie okrojony oddziałek Bedana. Jego dowódca złożył meldunek Ferdynowi o przebiegu i wyniku walki przy moście.

Nikt w ogólnym podnieceniu nie zauważył, że kolumnę z zarośli obserwowały trzy pary wrogich oczu: Zemela z Zagaju Wiązów oraz dwóch uszłych z pogromu na trakcie członków jego komanda. Widząc klęskę całej ekspedycji, nie mieli powodów do optymizmu. Nie zamierzali jednak dać za wygraną i odejść z zony w hańbie i pieszo. Nie oni.

ROZDZIAŁ X

Artorus w towarzystwie Zachetyna wszedł do sali, gdzie stojąc, oczekiwali na niego główni uczestnicy planowanej w Sweinie misji.

Ci na widok władcy głęboko się skłonili. Król wypowiadając słowa powitania, uważnie popatrzył na zgromadzonych. Szczególnym zainteresowaniem obdarzył nieznanego mu osobiście Semistona oraz trzech akademików.

Dwóch z nich już miał okazję widzieć, o trzecim zaś, najmłodszym, słyszał opinię, że jest wschodzącą gwiazdą filologii uniwersalnej i od kilku lat prowadzi w Akademii Głównej nowo otwarty instytut zajmujący się badaniem języków odmiennych kręgów kulturowych. Uznanie przyniosła mu błyskotliwie napisana rozprawa habilitacyjna poświęcona analizie właściwości językowych różnych posługujących się mową i pismem gatunków. Zawarte w niej interpretacje, wyjaśnienia i komentarze stały się podstawą ustalenia chronologii oraz autorstwa wielu wczesnych, dotychczas uważanych za anonimowe, tekstów poświęconych wiedzy oraz dorobkowi materialnemu i duchowemu różnych ras.

Jego oczkiem w głowie była katedra językoznawstwa. Po ostrych walkach z senatem uczelni stworzył również interdyscyplinarną komórkę zajmującą się pozornie niewkraczającymi w zakres filologii badaniami historycznymi opartymi na literaturze. On sam, jak głosiła fama, biegle znał

osiem języków. Był w jednej czwartej elfem. Jego charakter i pogoda ducha, nie wspominając o wiedzy, sprawiały, iż był powszechnie ceniony, a nawet lubiany. Nie konkurował z kolegami z uczelni, nie tworzył ani nie należał do żadnych koterii, jego nadrzędnym i jedynym celem był rozwój nauki. Nierzadko zdarzało się, że w sporach wybitnych luminarzy, pomimo stosunkowo młodego wieku, bywał powoływany na arbitra. Można było polegać na jego bezstronności i obiektywnym, odważnym osądzie tez prezentowanych przez skłóconych adwersarzy. Istotny dla niego był przedmiot dyskusji, a nie autor wypowiedzi.

Dwaj pozostali byli uznanymi badaczami; pierwszy z dziedziny fizyki i mechaniki, drugi – geologii i paleontologii.

Akademicy, wtajemniczeni w szczegóły niezwyklego odkrycia dokonanego w Bronie, zafascynowali się nim. Bez długiego zastanawiania wyrazili chęć uczestniczenia w ekspedycji badawczej. Zdawali sobie sprawę, że mimo ryzyka jest to niespotykana szansa. Dla nich i dla nauki. Każdy mógł dobrać sobie zaufanego asystenta. Warunek zachowania ścisłej tajemnicy przyjęli jako coś oczywistego. Sprawy formalne związane z czasowym oddelegowaniem ich z uczelni podjął się załatwić Sytomir. Zastępstwa w pracy dydaktyczno-naukowej na czas nieobecności mieli zorganizować sami.

Wybrane grono specjalistów, włącznie z Semistonem, Samtorem oraz Eyanem, wydawało się wystarczające do zapoczątkowania badań. Dalsze poczynania zależeć miały od wyników ich prac.

Artorus po ogólnym powitaniu zatrzymał się chwilę przy Semistonie. Rekomendacja udzielona przez Zachetyna i propozycja, aby to właśnie Semiston objął kierownictwo nad

całym zespołem, spowodowała, że władca wyraził chęć bliższego poznania maga z Mirty, zanim udzieli tejże nominacji. Wprawdzie polegał na zdaniu swego najbliższego doradcy, ale ważne też dla niego było pierwsze wrażenie, jakie wywierała na nim nowo poznawana osoba. Wierzył w swoją umiejętność oceny i doboru ludzi.

Po zamienieniu z czarodziejem kilku zdań z dużą przyjemnością stwierdził, że wystawione referencje znajdują pokrycie, i chociaż na razie nie podjął w tej sprawie ostatecznej decyzji, to w umyśle i sercu nie był przeciwny sugestii swojego doradcy.

Spotkanie nie było długie, ale za to treściwe. Król podkreślił wagę misji i fakt, że zakwalifikowano do niej najtęższe i najwszechstronniejsze umysły. Podziękował jej przyszłym uczestnikom za pozytywne ustosunkowanie się do przedstawionych im propozycji. Podkreślił konieczność zachowania tajemnicy oraz bezpieczeństwa w jego podwójnym aspekcie. Po pierwsze, że badania będą prowadzone na terenie obcego, nie bardzo – delikatnie to ujmując – przyjaznego kraju, bez wiedzy i zgody jego władz. Po drugie, że zetkną się tam prawdopodobnie z czymś zupełnie nieznanym, co samo w sobie może stanowić zagrożenie. Wspomniał, że od wyników i wniosków, które zostaną mu przez zespół przedstawione, zależą nie tylko kontynuacja i ewentualna eskalacja badań, ale także najbliższa polityka zagraniczna, a niewykluczone, że nawet kierunki rozwoju całej żyjącej populacji, niezależnie od jej przynależności państwowej i rasowej.

Akademyki oraz wstępnie wytypowany na kierownika wyprawy Semiston pokrótce przedstawili ramowy program i podział dziedzin, którymi zamierzali się zająć, Sytomir – ogólny

plan organizacji ekspedycji i sposób zapewnienia ochrony jej członkom. Za dziesięć dni, a więc bardzo szybko, wypadał planowany termin jej wyruszenia. Przewidywano, że wstępne badania, jeśli nie zajdzie nic nieprzewidzianego, potrwać około miesiąca.

Mianowanie na zwierzchnika całego zespołu Semistona – bo Artorus w trakcie spotkania jednak podjął decyzję – zostało przez profesorów przyjęte dobrze. Filologowi było to w zasadzie obojętne, pozostali dwaj poczuli cichą satysfakcję, iż żaden z nich nie zyskał przewagi nad innymi.

Na koniec król, zwracając się do nowo ustanowionego kierownika zespołu i Zachetyna, poprosił o bieżące informowanie go o osiągniętych rezultatach i o sprawach istotnych, zapewnił o całkowitym finansowaniu przedsięwzięcia ze skatupy królewskiej i wszystkim życzył powodzenia.

Audiencja zamknęła etap ogólnych przygotowań wyprawy, najważniejsze postanowienia zostały podjęte i przekazane. Nastąpił czas na ich uszczegółowienie i realizację.

Była pora obiadowa. Obydwaj czarodzieje, Samtor i Sytomir oraz Eyan siedzieli w pałacowym zespole jadalnianym, bardziej koncentrując się na rozmowie niż na zaproponowanych im przez obsługę, trzeba przyznać, smakowitych daniach. Wybrali małą salkę, by mieć większą swobodę w prowadzeniu konwersacji. Byli w niej sami, ale i tak mówili ściszymi głosami. Omawiali stan stosunków Sarii i Morgii oraz grożące konsekwencje, gdyby władca tej ostatniej swoimi kanałami lub poprzez namiestnika zony, barona Johana Strusa, dowiedział się o kopalnianym

odkryciu i podjętych badaniach. Jak by nie patrzeć, sytuacja nie wyglądała najlepiej.

– Dobrze by było mieć jakiegoś informatora, który miałby bliski dostęp do Petina, jednak szansa na jego umieszczenie w pobliżu władcy jest mniej niż mała. Ci, których tam mam, nie mają do niego bezpośredniego dojścia. Król otacza się jedynie wąskim kręgiem bardzo zaufanych osób, a i one nie są wtajemniczane w jego zamysły. Śmieszne to, co powiem, ale chyba najbliższym jego przyjacielem był owczarek Neks. Zestarzał się jednak i niedawno opuścił ten świat. Petin ma zamiar znaleźć sobie nowego. Słyszałem, że w połowie sierpnia uda się na wystawę psów – powiedział Sytomir.

– A penetracja magiczna? Rozważaliście taką możliwość? – zapytał Samtor.

– W swoim czasie tak. Ale zbyt duże trudności i odległość. Zresztą skądinąd wiem, że jego nadworny mag trzyma nad tym pieczę i szybko wykryłby próby sondażu myśli swojego chlebobdawcy. Wszędzie, gdzie się dało, rozmieścił ukryte bariery z trymonitu, środka blokującego magię – odpowiedział Zachetyń.

– Pies, powiadasz? – zapytał Semiston bez związku, marszcząc czoło. – Połowa sierpnia? Na wystawie w Mezarze?

Nagle zaczęło mu się spieszyć.

– Jedz szybciej. Musimy pilnie pogadać – pogonił Zachetyń. Ten spojrział na niego nic nierozumiejącym wzrokiem, ale nie oponował. Prędko opróżnił stojący przed nim talerz i dał znak, że jest gotowy. Wyszli sami. Bracia i krasnolud pozostali, by w spokoju uraczyć się jeszcze pięknie wyglądającym lodowo-owocowym deserem.

– Co cię ugryzło? – zapytał Zachetyń, gdy obaj magowie znaleźli się w usytuowanej w wieży pracowni.

– Mam pewien pomysł. Trudny do zrealizowania, ale daje pewną szansę – rzekł z zastanowieniem Semiston. – Pies. Chwytasz?

– Pies...? Transmutacja? Czy dobrze się domyślam?

– Tak, Bardzo dobrze. Ale jest pewien kłopot. Potrzeba nam pewnego i inteligentnego podmiotu, mającego na tyle silną motywację, by gotów był na podjęcie ryzyka. Ja takiego tu nie znam.

– Chwila. Niech się zastanowię. Nie... Wydaje mi się, że bez pomocy Sytomira nie znajdę odpowiedniego obiektu. On jako szef tajnych służb zna różne osoby. Należałoby zwrócić się do niego.

– Poproś go tu natychmiast. Mamy niewiele czasu, bo jak wiesz, muszę omówić jeszcze sporo pilnych spraw z profesorami, a do dokonania długotrwałej przemiany przyda się nas dwóch.

Zachetyn bez zwłoki wezwał swego pomocnika, Gestona. Kiedy gnom się zjawił, mag wydał mu stosowne polecenie. Bystry gnom już zbierał się do wyjścia, gdy Zachetyn zatrzymał go niespodziewanym pytaniem:

– Słuchaj, nie znasz kogoś skrzywdzonego przez ludzi króla Morgii?

Geston stanął i popatrzył na czarodziejów. Na jego twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia. Skupił się, chwilę milczał, po czym odrzekł:

– Znam. Kilka miesięcy temu jednemu z moich współplemieńców, mieszkającemu w Warmie, zgwałcono i zabito żonę i córkę oraz podpalono domostwo. Jemu wraz z synem udało się uciec. Starał się dochodzić sprawiedliwości, ale lokalny alkad po wysłuchaniu skargi wyśmiał go i przepędził. Postraszył, że jak się nie uciszy, to jego oraz syna, który mu pozostał, spotka

jeszcze gorszy los. W Morgii takie pogrożki w stosunku do nie ludzi nie bywają rzucone na wiatr. Nie mogąc nic zrobić, nie chcąc się również pogodzić z niesprawiedliwością, zebrali w tobolek wszystko, co po pożarze im pozostało, i we dwójkę uciekli do Sarii. Mieli szczęście, zostali zatrudnieni w naszej, to znaczy królewskiej, stajni. Obaj pracują bardzo dobrze, masztalerz ich chwali. Ale starszy to już nie ten sam gnom. Milczy i trzyma się oddzielnie. Czasami jak spojrzy, to aż ciarki przechodzą.

- Możesz go tu przyprowadzić?
- Chyba tak. Spróbuję. Pana Sytomira też?
- Nie. Tylko tego gnoma. Jak się on nazywa?
- Romas. Romas Zielny.

Po niecałej półgodzinie rozległo się pukanie i drzwi pracowni się uchyliły. Geston wsunął głowę i zapytał:

- Czy możemy, mistrzu?

Po uzyskaniu twierdzącej odpowiedzi cofnął się i przepuścił przed sobą przyprowadzonego gościa. Towarzyszący mu gnom miał nieco wyższy wzrost i był młodszy od swojego przewodnika. Zdziwiony zaproszeniem, skłonił się obu stojącym mężczyznom. Stał, nie bardzo wiedząc, co począć. Dyskretnie rozglądał się po obcym dla niego pomieszczeniu.

Zachetyń podziękował swemu pomocnikowi i kiedy ten opuścił pracownię, przedstawił przybyszowi Semistona i siebie, po czym zapytał:

- Romas Zielny z Warmy?

Po otrzymaniu twierdzącej odpowiedzi zaprosił gościa, by spoczął na pobliskim szezlongu. Magowie usiedli naprzeciw niego.

– Słyszeliśmy o twoim nieszczęściu. Współczujemy tobie i twojemu synowi. Możesz o tym mówić czy rana wciąż jeszcze za świeża? – zagaił.

– Świeża i chyba nigdy się już nie zagoi. Straciłem córkę i żonę. Cały dorobek poszedł z dymem – wydusił przez zęby gnom, opuściwszy głowę. – Dlaczego, panie, pytacie?

– Uwierz, że nie ze zwykłej ciekawości. Każdy inaczej przeżywa swój ból. Czy mógłbyś nam powiedzieć, co o tym wszystkim sądzisz, jakie są twoje odczucia? – włączył się Semiston.

Romas długą chwilę milczał. Nikt mu jeszcze takich pytań nie zadawał, a on sam nigdy nie był zbyt wylewny. Ci dwaj poważni, starsi mężczyźni wzbudzali jednak zaufanie. Złamał barierę milczenia. Opowiedział o swej tragedii i po raz pierwszy po długich miesiącach się wyzalił. Z jego relacji przebijał smutek, ale pojawiały się też nuty gniewu. Zdawał sobie sprawę, że jego możliwości są małe, ale nie znalazłszy sprawiedliwości, przemyślał o pomście. Jakiej i na kim? Tego jeszcze dokładnie nie wiedział.

Te ostatnie akcenty były słuchającym go czarodziejom na rękę. Kiedy Romas zamilkł, zaczęli mówić. Początkowo ostrożnie krążyli wokół istoty sprawy. Budowali klimat, starali się gнома nieco poznać i przygotować. Okazał się bystry, a jego chęć zemsty – większa, niż się spodziewali. Zarzucili więc wędkę. Połknął przynętę. Nie wiedząc, na czym jego zadanie będzie polegać, sam zadeklarował swoją pomoc. Magowie byli mądrzy, znali psychologię i byli mistrzami manipulacji. Wiedzieli, że aby zasiane ziarenko mogło wykiełkować, potrzebny jest czas.

Dali go, zapraszając gнома na kolejną rozmowę za dwa dni.

Ziober Junior uważnie oglądał twarze pojmanych grasantów. Krążył wśród nich, wpatrując się to w złe, to ponure, a niekiedy wyrażające strach twarze. Wiedział, kogo szuka, i pomału tracił nadzieję, że spotka zabójcę swego ojca i Syma. Niektórzy odwracali się, kilku ściszonymi głosami poprosiło, by ich rozwiązał, dwóch czy trzech bardziej hardych splunęło mu pod nogi. Nie reagował, szedł dalej. Nie znalazłszy jasnookiego mordercy, udał się w rejon, w którym złożono nieżyjących. Tu również poszukiwania nie dały rezultatu.

Ostatnim miejscem, w którym się znalazł, był polowy lazaret. Trzecim, na którego w swych poszukiwaniach się natknął, był Ago Retan. Leżał na ziemi, na podścielonej derce, w pewnym oddaleniu od innych. W sektorze ciężej rannych, lecz rokujących nadzieję przeżycia. Już opatrzony, chociaż bardzo słaby, patrzył przytomnie. Ujrawszy poznanego wczoraj krasnoluda, którego mina nie wróżyła niczego dobrego, zszarzał. Poczuł, że nigdy nikogo nie bał się tak bardzo, jak tego pochylającego się nad nim niziołka. Próbował zawołać pomoc, ale głos uwiązł mu w gardle.

– Jesteś, sukinsynu. Przeżyłeś – wycedził nienawistnie Ziober.
– Cierpisz, to dobrze. Ale twoja śmierć będzie jeszcze bardziej bolesna.

Mówiąc to, wyciągnął z kieszeni brudną chustkę i przyklęknął. Przycisnąwszy kolaniem przedramię bandyty, odciągnął mu zuchwę. Trzymaną szmatę wpakował do jego otwartych ust. Zakneblowany Retan poczuł, że się dusi. Wydał jakiś nieartykułowany dźwięk i zaczął się rzucać. W swym podłym życiu nigdy nie był bardziej przerażony i bezbronny.

Ziober wyciągnął z pochwy przy pasie nóż.

– Patrz, podobnym zabiłeś mi ojca. Masz dobre oko i rękę. Trafiłeś go w szyję. Ja rzucam gorzej, ale też umiem się czymś takim posługiwać. Zaraz się przekonasz – wyszczał.

Z upiornym grymasem wbił Retanowi sztylet w wewnętrzną stronę dłoni, tak że jego czubek przeszedł na wylot. Powoli przeciągnął go w stronę spazmatycznie kurczących i prostujących się palców, prawie przepoławiając krwawiącą prawicę. Następnie wytarł ostrze o koszulę Agona. Jego twarz była straszna. Nie zwlekając, pochylił się i zagłębił ostrze noża w prawym oku ofiary. Nie głęboko, tak aby nie zabić. Oślepiiony, półprzytomny Ago zacharczał. Cierpiąc straszliwie, utkwiał błagalne spojrzenie pozostałego oka w twarzy swego oprawcy. Ten na to nie zważał. Długim pociągnięciem przeciął mu tętnicę szyjną. Zdawał sobie sprawę z okropieństwa tego czynu, lecz sycił się dokonaną pomstą.

– Czujesz? Już wiesz, że nie żyjesz. To za mojego ojca, za Syma. Kto czym wojuje, od tego ginie – wyszeptał mściwie prawie do samego ucha konającemu bandycie.

Chwilę patrzył na rosnącą kałużę krwi, potem ponownie wytarł sztylet i schował go do pochwy. Wstał.

„Rachunki z tobą zostały zamknięte. Teraz ja zapłacę swój” – pomyślał z dziwną obojętnością. Odwrócił się jak błędny i chwiejnym krokiem odszedł.

Po kwadransie stanął przed Ferdynem.

– Panie, oddaję się pod sąd. Zabiłem mordercę swego ojca i przyjaciela. Dopadłem go w lazarecie, był ranny – powiedział.

Oślupiały Dominat spojrział na stojącego przed nim młodego krasnoluda.

– Coś ty, Ziober, narobił? Zabiłeś jeńca. Był bandytą, zostałby osądzony i skazany. Okazałeś się nie lepszy niż on. Twoją sprawę

rozpatrzy rada starszych. Teraz wziąć go do aresztu. – Skinął na pełniących wartę przy drzwiach dwu strażników, którzy również słyszeli złożone wyznanie.

– Jestem gotów, panie. Pójdę. Sam się zgłosiłem i nie będę uciekać. Przyjmę każdy wyrok. Musiałem to zrobić. Musiałem. Najgorzej, że... po tej pomście wcale nie jest mi lżej – dokończył cicho.

Twarz patrzącego za eskortowanym krasnoludem Ferdyna wyrażała głębokie współczucie, decyzji jednak nie zmienił.

W całej Bronie panowało ogólne podniecenie. Radość ze zwycięstwa nad bandytami przeplatała się z rozpaczą rodzin oraz znajomków poległych i troską o rannych. Rozprawiano i rzucano propozycje, co począc z tak dużą liczbą jeńców. Znacząca część mieszkańców osady była za tym, żeby sprawę załatwić ostatecznie. Samosądem, niezwłocznie i na miejscu.

Gdyby nie liczna ochrona, którą bezpośrednio po doprowadzeniu pojmanych kazał wystawić dominat, los ich byłby przesądzony.

Rada starszych w pełnym składzie zebrała się następnego dnia po obu bitwach. Przewodził jej wybrany w lokalnych wyborach i zatwierdzony przez królewskiego namiestnika alkad, krasnolud Justus Zofin. Liczył sobie już sto sześćdziesiąt lat, a funkcję swą sprawował od piętnastu.

Zgodnie z obowiązującym w monarchii dekretem alkad, kierując się zdaniem bezwzględnej większości członków lokalnej rady, był uprawniony do karania sądzonych chłostą, ciężkimi robotami, wygnaniem, a w szczególnych wypadkach więzieniem i, jak to było ujęte, na gardle. Jego jurysdykcji podlegali

niezależnie od przynależności rasowej wszyscy, którzy na terenie obwodu dopuścili się przestępstw. Od wydanego postanowienia nie było odwołania, chyba że sędziom lub oskarżycielom przedstawiali nowe, ważne dowody.

Zarówno alkad, jak i sześciu członków rady, którzy mieli zasiąść za stołem sędziowskim, zdawali sobie sprawę, że mają najpoważniejszy w swej dotychczasowej praktyce dylemat: co począć ze stu czterdziestoma pojmanymi bandytami. Sytuacji nie ułatwiał fakt, iż z uwagi na liczbę sądzonych proces miał się odbyć na rynku, na oczach prawie wszystkich mieszkańców Brony. Ich zdecydowanie wrogie nastawienie do jeńców, znajdujące wyraz w obelżywych gestach i głośnych, agresywnych wypowiedziach, stanowiło presję, która mogła zaważyć na bezstronności stanowisk, należących przecież do lokalnej społeczności, członków trybunału. Alkad zaś bardzo nie chciał, by szczególnie ten proces, mający być aktem sprawiedliwości, przeistoczył się w zemstę. Przed rozpoczęciem sesji wyraźnie wyartykułował swoje w tej kwestii oczekiwania, przypominając członkom składu sędziowskiego o złożonym przez nich przyrzeczeniu zachowania obiektywności.

Na widok zbliżającego się Justusa w otoczeniu rady gnom pełniący obowiązki woźnego mocno uderzył w gong i gromkim głosem, zupełnie nieodpowiadającym jego posturze, krzyknął:

– Proszę wstać i zachować ciszę! Sąd idzie!

Podczas zajmowania przez sędziów miejsc panujący wśród zebranych gwar stopniowo się uciszał. Zofin z zawieszonym na piersi srebrnym łańcuchem z godłem Morgii usiadł pośrodku stołu. Swein z uwagi na zamieszkującą go społeczność, względy historyczne i wynikającą ze specyfiki odrębność stanowił księstwo, jednak w wyniku wojny od około dwudziestu lat był

częścią królestwa, w którym panował Petin Czwarty. Mimo mocno nieprzychylnego stosunku suwerena do zony i jej mieszkańców, którzy gnębieni szczerze te uczucia odwzajemniali, władza i wszelkie poczynania organizacyjno-prawne, aby być legalnymi, musiały być sprawowane w jego imieniu. Oznaką tego był dwugłowy lew, od lat stanowiący herb Morgii. Alkadzi nosili go na srebrnych łańcuchach, namiestnicy – będący wyższymi instancjami – na złotych, a król, jako sędzia najwyższy, podczas sprawowania roków – na złotym, wysadzonym rubinami.

Z prawej strony alkada zasiedli dwa krasnoludy i elf, z lewej – jeden krasnolud i dwa gnomy. Nieduży, odrębny stolik okupowało dwóch biegłych w piśmie sekretarzy, których zadaniem było sporządzenie dokumentacji sprawy.

Justus się rozejrzył. Po jego lewej stronie, na dwunastu długich, drewnianych ławach, ustawionych prostopadle do stołu sędziów, siedzieli skrupowani oskarżeni. Było ich stu siedemnastu. Dwudziestu dwóch rannych, o jednego mniej niż wczoraj, zatrzymano w lazarecie. Za każdym z siedzących więźniów stał wyposażony w topór lub maczugę krasnolud z oddziału dominata. Przy umieszczonym przed ławami oskarżonych stole zobaczył przyznanych im obrońców z urzędu. Alkad słyszał, że funkcję tę przyjęli z przymusu, i wiedział, że ich wystąpienia będą miały charakter raczej symboliczny.

Po prawej zgromadzili się oskarżyciele. Z przodu, z boków i tyłu, wyszukawszy najdogodniejsze do obserwacji miejsca, rozlokowali się mieszkańcy osady. Od uczestników rozprawy oddzielał ich kordon uzbrojonych niziołków, przybyłych na pomoc z sąsiednich obwodów.

Alkad uderzył młotkiem w stół i rozpoczął proces.

Po czterech godzinach od rozpoczęcia sprawy skład sędziowski przystąpił do obradowania. Dyskutowali od ponad godziny. Różnice zdań członków trybunału nie pozwalały na ustalenie orzeczenia. Wszyscy zgadzali się w kwestii winy grasantów, ale wybór rodzaju kary podzielił siedmioosobowe grono orzekające na trzy obstające przy swoich zdaniach obozy. Dwa krasnoludy były za karą śmierci na szafocie, elf i gnom za ciężką chłostą i wydaleniem z terytorium zony, pozostali dwaj – za kilkuletnim więzieniem połączonym z robotami w kopalni.

Alkad nie wypowiadał swego zdania. Żadna z trzech propozycji, jeśli do którejś ewentualnie chciałby się przychylić, i tak nie przeważałaby szali wagi, bo nawet trzy zgodne zdania nie stanowiły niezbędnej, bezwzględnej większości. Poza tym nie były to wnioski, które skłonny był zaakceptować.

Justus Zofin, najstarszy, najbardziej doświadczony, myślał perspektywicznie. Starał się przeanalizować przyszłe efekty tego niecodziennego procesu. Orzeczenie kary zasadniczej i pozbawienie życia tak dużej liczby ludzi i elfów, w większości obywateli Morgii, szeroko odbiłoby się negatywnym echem. Reakcja namiestnika lub nawet samego króla mogłaby przynieść mieszkańcom obwodu Brony skutki znacznie gorsze niż powstrzymany wczoraj napad bandytów. Podczas walki poległo sześćdziesięciu napastników. Na jednego poległego niziołka przypadało przeto ponad trzech grasantów, liczba rannych była po obu stronach zbliżona. Obecnie każdy, nawet najbardziej niechętnie nastawiony do Sweinu i jego mieszkańców, musiał przyznać, że podjęcie obrony było uzasadnione, a jej konieczność

– niepodważalna. Tak więc mieszkańcom Brony nikt nie mógł niczego zarzucić. Bandyci zostali zatrzymani i rozbrojeni.

W tej sytuacji wydanie na pojmanyh i pokonanyh nie tylko fizycznie, ale i psychologicznie jeńców wyroku kary głównej – a co więcej, jej wykonanie – stanowiłoby akt zemsty. Nie, to było rozwiązanie zdecydowanie nie do przyjęcia.

Sankcje w postaci kilkuletniego więzienia z jednoczesnym skazaniem na pracę w kopalni miały również wiele minusów. Więźniów należałoby pilnować i karmić, zapewnić im chociażby minimum warunków socjalnych i sanitarnych, nie mówiąc już o niezbędnej opiece zdrowotnej. To na długi okres oderwałoby mnóstwo mieszkańców osady od ich zajęć oraz pociągnęło za sobą koszty, których czerpane z przymusowej pracy zyski mogły nie pokryć.

Wśród stu kilkunastu osobników część z pewnością popróbowałaby ucieczek. Niektóre mogłyby się udać. A jeżeli zostałaby zorganizowana ucieczka większej grupy lub nawet w skrajnym przypadku wszystkich? W pracy posługiwaliby się przecież narzędziami, które łatwo użyć jako broń. Wtedy z pewnością połałaby się krew, głównie niziołków. Nastąpiłoby ponowne podgrzanie nastrojów i eskalacja nienawiści.

Podział skazanych na mniejsze grupy i zatrudnienie ich w oddzielnych kopalniach też nie rozwiązywały problemu. W osadzie przez czas trwania kary wciąż znajdowałaby się grożąca wybuchem bomba. Nie, to również nie był sposób na wybrnięcie z sytuacji.

Chłosta i wydalenie z zony. Ta propozycja wydawała się godna głębszego rozważenia. Wymagała jednak pewnej modyfikacji. Alkad nie był zwolennikiem kar cielesnych, a sama ekstradycja poza granice księstwa mogła skutkować tym, że

pałająca żądzą odwetu banda po jakimś czasie powróci. Ostrożniejsza, niewykluczone, że liczniejsza, a wtedy znów trzeba się będzie pilnować.

Trudno, choć nie ma doskonałego rozwiązania, na coś trzeba się zdecydować.

Podniósł rękę, uciszając dyskutantów. Zaczął mówić. Przekazał im swoje przemyślenia. Podkreślił, że zostało odniesione zwycięstwo, przedstawił pozytywy i negatywy wyboru poszczególnych propozycji, starał się odwieść od wydania wyroku kary śmierci, który byłby w swej istocie popełnionym w świetle prawa ohydny mordem. Na koniec zaproponował, aby odstąpić od obicia pojmanych grasantów i odstawić ich pod eskortą do Mony, zrzucając cały ambaras na namiestnika. Ten, ponieważ przestępcy nie są niziołkami, nie przekáže sprawy komesowi i chcąc nie chcąc, będzie musiał zająć się nią osobiście. Najprawdopodobniej wymierzona przez niego kara nie będzie surowa, jeśli w ogóle będzie, ale taki postępek zdejmie odium odpowiedzialności z obwodu i jego władz.

Zakończył, dał im chwilę do namysłu i poddał swój wniosek pod głosowanie. Podniosło się siedem rąk.

Członkowie trybunału, uzgodniwszy stanowisko, przygotowywali się do powrotu na rynek w celu ogłoszenia decyzji, kiedy na korytarzu rozległy się czyjeś głosy, a w drzwi salki obrad ktoś gwałtownie zapukał. Zaskoczeni zebrani zwrócili głowy w kierunku wejścia. Nie było w zwyczaju, ba, wręcz było surowo zakazane, zakłócanie spokoju sędziów, gdy ci debatowali nad wyrokiem.

Zofin nie zdążył zareagować, gdy w wejściu stanął dominat. Za nim zobaczył jeszcze kilka podekscytowanych osób.

– Co się stało? – zadał pytanie alkad, wstając.

– Wybaczcie, ale wśród jeńców wykryto elfa, który najprawdopodobniej brał udział w napadzie na karawanę morgijskich kupców – oświadczył Ferdyn bez wstępów. – Wydało mi się to na tyle ważne, że pozwoliłem sobie zakłócić wasze obrady. Wszakże przyczyną całej tej zbójeckiej wyprawy na Bronę była właśnie kwietniowa masakra w Ramzie.

– Kto i na podstawie jakich dowodów stwierdził, że ten elf może być w to zamieszany? – zapytał Justus.

– Ja, panie. – Zza pleców dominata wysunął się znany mu z widzenia krasnolud. – Pilnowałem podczas procesu jeńców. Stojąc za przydzielonym mi do dawania baczenia elfem, rzuciłem okiem na jego rękę. Patrząc i nie wierząc własnym ślepiom, on na palcu ma pierścień mojego brata. Spoglądam jeszcze raz – nie ma wątpliwości, ten sam. Poprosiłem dziesiętnika, aby na moje miejsce dał do pilnowania kogoś innego, a sam w te pędy do Ferdyna. Opowiedziałem, co i jak, a dominat kazał mi ściągnąć wdowę po bracie i jubilera, u którego nabyłem pierścienie. Migiem zrobiłem, co nakazał, i jesteśmy tu.

– Zaraz, powoli, bo nie wszystko rozumiem. Mów jeszcze raz, dokładniej. Resztę proszę o uwagę, to może rzeczywiście być ważne.

– Dobrze, alkadzie, już powtarzam. Otóż jakieś trzy z okładem lata temu – zaczął ponownie krasnolud – mój młodszy brat powiadomił mnie, że będzie się żenił. Znałem i lubiłem jego wybrankę, pomyślałem więc, że dobrze robi. Przed weselem udałem się do miejscowego jubilera i kupiłem im ślubny prezent, dwa jednakowe srebrne pierścienie. Jeden dla przyszłej bratowej, drugi dla niego. Spodobały się im i stale je nosili. Na pierścionkach były wygrawerowane ich imiona i data ślubu. Na początku latosiego roku, jeszcze zimą, brat wyjechał

w interesach. Planował objechać kilka miast w Morgii i Ramzie. Miało mu to zająć kilka miesięcy. Załatwiwszy swoje sprawy, szykował się do powrotu. Akurat w stronę Sweinu kierowała się duża karawana morgijskich kupców, która zahaczyła o Ramzę. Było to bratu na rękę. Zwrócił się więc do prowadzącego wyprawę i uzyskał zgodę, by dołączyć do niej. Razem zawsze bezpieczniej. O swych planach powiadomił listownie czekającą go żonę. Niestety, zamiast niego dotarła do nas wieść o dokonanej rzezi. A teraz bandzior z sygnetem brata jest tu. Na dowód, że mówię prawdę, mam ten drugi pierścienek, należący do wdowy po bracie, i jego ostatni list. Zaświadczyć, że mówię prawdę, mogą bratowa i jubiler, u którego nabyłem te cacka. – Mówiąc to, podał Justusowi wymienione przedmioty.

Owdowiała krasnoludka potwierdziła zeznania, a gnom przyznał, że wykonał dwa prawie jednakowe pierścienie i sprzedał je stojącemu przy nim nabywcy. Obejrzawszy uważnie ten leżący przed alkadem, gnom stanowczo stwierdził, że przedmiot wyszedł spod jego ręki i jako mniejszy był przeznaczony dla kobiety. Drugi, nieróżniący się wyglądem, miał nieco większą obręcz. Obydwa nosiły wybitą wewnątrz jego znak.

– Ale ten elf nie musiał brać udziału w napadzie. Mógł gdzieś kupić ten sygnet. Nie można tylko na podstawie tego, że posiada jakiś pierścień, oskarżać go o bandytyzm – wyraził swą wątpliwość jeden z członków rady starszych.

– Masz rację – przytaknął mu Ferdyn. – Ale można przecież spróbować inaczej. Istnieje szansa, że przyciśnięty się przyzna. Znalezienie sprawców tego napadu jest warte podjęcia takich starań, chociażby były one nawet trochę, nazwijmy to, hm, nieformalne. Ty jednak – zwrócił się do alkada – z racji pełnionego urzędu nie możesz się tego podjąć.

– Ja nie chcę o niczym wiedzieć. Moim i reszty rady zadaniem jest ferowanie rzetelnych wyroków na podstawie dowodów i zeznań. Teraz ogłoszę dwu... albo nie, trzygodzinną przerwę na obiad. Jeńców też trzeba nakarmić. Nic mi do tego, jak wykorzystasz ten czas.

Ferdyn zadziałał szybko. Do izby, w której onegdaj prowadził odprawę przed bitwą, ściągnął Suchonoga i Bedana. Kazał też sprowadzić zaufanego kowala, który przy pomocy swoich narzędzi oraz przenośnego paleniska już kilkakrotnie skutecznie przyczynił się do wydobycia od mataczących przestępców rzeczywistego przebiegu roztrząsanych wydarzeń. Rzemieślnik ten, w razie potrzeby pełniący posługę małodobrego, miał dwie potrzebne ku temu cechy: nie miał wielkich skrupułów i był niezwykle dyskretny.

Kiedy dowódcy kup, jubiler, brat zabitego krasnoluda, wdowa po nim oraz dwa gnomy zostali zapoznani z zamysłem dominata, grupa się podzieliła. Z Ferdynem zostali: Suchonóg, Bedan i kowal. Reszta przeszła do sąsiedniego pomieszczenia. Na dany znak czterej krasnoludzcy strażnicy wprowadzili elfa podejrzanego o udział w napadzie na karawanę kupców. Ten, mimo iż skępowany, wkroczył z podniesioną głową i hardą miną.

Ferdyn chwilę milczał, dał mu czas na rozejrzenie się. Elf niespokojnie zerknął na grzejące się w palenisku żelaza.

– Jak się nazywasz? – zadał pytanie dominat cichym głosem.

– Bagrat. Bagrat Wrony – odparł pytany. – W jakim celu mnie tu sprowadzono?

– Od zadawania pytań jesteśmy my. Ty masz – a leży to w twoim interesie – tylko na nie odpowiadać – odparł Ferdyn. Zwrócił się do Suchonoga i zapytał: – Poznajesz go? Ten?

Pytany krasnolud przytaknął.

– Bagracie Wrony, ten świadek stwierdza, że widział cię w kwietniu w Ramzie, jak zabijałeś i rabowałeś kupców podczas napadu na ich karawanę. Co ty na to?

– Jakaś bzdura. Nie byłem tam. Pomylił mnie z kimś innym – odparł elf butnie.

– Bagracie Wrony, za chwilę ponowię pytanie. Tym razem, nim udzielisz odpowiedzi, dobrze się zastanów – powiedział z powagą pytający i polecił strażnikowi: – Wprowadź pozostałych świadków.

Do pomieszczenia weszła dwójka gnomów. Zapytane, czy widziały stojącego przed nimi elfa i jeśli tak, to w jakich okolicznościach, przyjrzały mu się uważnie, po czym potwierdziły, dodając, że podczas napadu na morgijskich kupców w Ramzie.

Oskarżany elf milczał, lecz wyraz jego twarzy się zmienił. Hardość gdzieś znikła, a oczy, dotychczas prawie nieruchome, zaczęły spoglądać niespokojnie to na dominata, to na grzebiącego w ognisku, choć niewysokiego, to groźnie wyglądającego, krasnoluda. Nie zamierzał się jednak poddać.

– Może chcesz zmienić swą poprzednią odpowiedź? To już nie jeden świadek, ale trzech. Poważna sprawa, powiedziałbym gardłowa. Przyznanie się może poprawić twoją sytuację. – Głos krasnoluda był tak samo cichy, lecz tym razem wyraźnie pobrzmiwały w nim złowróżbne nuty.

– Nie, nie chcę nic zmieniać. Mówię prawdę – odparł Bagrat łamiącym się głosem.

– Trudno, sam do tego doprowadziłeś. – Dominat skinął na kowala. – Bez ciebie, mistrzu, się nie obejdzie.

Czwórka strażników, znienacka podcinając elfowi nogi, powaliła go na podłogę. Sprawnie zarzucono mu pętle na przeguby i kostki, a potem rozciągnięto jego miotające się ciało. Kowal z nagrzanymi do czerwoności cęgami podszedł do elfa.

– Ręka – zakomenderował do strażników. – Najpierw lewa.

Ferdyn niby przypadkowo popatrzył na wyciągniętą dłoń elfa.

– Masz ładny pierścień. Zdejmujemy go. Żal takie cacko uszkodzić.

Kiwnął głową kowalowi. Ten odłożył szczypce i ściągnął sygnet z palca leżącego. Podał go dominatowi. Ferdyn, oglądając podany przedmiot, zaczął:

– No to jak? Trzech świadków cię widziało, a ty twierdzisz, że tam nie byłeś. Komu...

– Nikt nie mógł mnie widzieć! – krzyknął histerycznie elf. – Co to za świadkowie? Sprawdziliśmy, żywa noga stamtąd nie uszła! Nikt nie... – W tym momencie zamilkł, zrozumiał, że powiedział jedno zdanie za dużo.

– A jednak. Popatrz, popatrz... – stwierdził beznamiętnie krasnolud. – Będziesz zeznawał dobrowolnie czy trzeba ci pomóc?

– Będę. Powiem wszystko, tylko cofnijcie, panie, tego kata. – Postawa i zachowanie elfa uległy radykalnej zmianie. Zrozumiał, że przegrał i teraz już mu nie odpuszczą. Jego zyskiem mogło być uniknięcie bolesnych męczarni.

– Więc mów. Po kolei i wolno. Twoje zeznania zostaną zanotowane. Niech wejdą świadkowie. Będą weryfikować to, co mówisz. Zwróć uwagę, że oni widzieli i pamiętają ten napad –

zablefował Ferdyn. – W razie czego twoja pamięć również zostanie odświeżona. Jakim sposobem, domyślasz się.

I Bagrat opowiedział. Opisał przygotowania do napadu, zeznał, że połączone trzy bandy pod przewodem elfa Zemela wymordowały wszystkie osoby biorące udział w wyprawie kupieckiej i że on wraz z innymi, sprawdzając, czy ofiary nie żyją, przywłaszczył sobie pierścień zarąbanego krasnoluda. Podał zapamiętane składy drużyn zbójckich i imiona ich przywódców, zdradził, gdzie został ukryty łup oraz jak miał być podzielony. Wyznał, że z poduszczenia Zemela została zorganizowana niniejsza zbójcka wyprawa na Bronę.

Zapytany, czy wśród jeńców są inni uczestnicy mordu, zawahał się. Znaczące spojrzenie dominata w stronę kowala otworzyło mu jednak usta. Podał trzy imiona. Co się stało z Zemelem i resztą jego komanda, nie miał pojęcia.

Ponury, zrezygnowany, podpisał protokół za swoimi zeznaniami. Po wyprowadzeniu go Bedan zapytał Ferdyna:

– Gdyby nie chciał mówić, oddałbyś go katu?

Ten spojrział na niego i odpowiedział pytaniem:

– A jak myślisz?

Dowódca trzeciej kupy nic nie powiedział, ale pomyślał, że tak. Przez głowę przeleciało mu również, że chyba jednak nie zna dominata w takim stopniu, jak mu się do tej pory wydawało.

ROZDZIAŁ XI

Romas Zielny podjął decyzję. Przez całe swoje dotychczasowe życie, z powodu przynależności rasowej traktowany źle, dyskryminowany przez ludzi i elfów, miał się wszystkich, nawet najgorszych prac, z których kiepski zarobek ledwie wystarczał na związanie końca z końcem. Po zmarłych rodzicach przejął małą, podniszczoną chatynkę i z trudem własnymi rękami ją wyremontował. Po pochowaniu matki przez kilka lat mieszkał tu sam jak palec.

Dawno temu, któregoś jesiennego dnia, wybrał się na miejski plac targowy. Chodząc po nim, był świadkiem, jak trzech podchmielonych wyrostków dla zabawy kopniakami rozwalilo prowizoryczny kojec z przywiezionymi na sprzedaż kurami. Bezczelnie wyśmiewali się z płaczącej młodej gnomki, która prosząc, by dali jej spokój, nieporadnie starała się naprawić klatkę. Krasnoludy i ludzie, udając, że nic nie widzą, odwracali się i nie reagowali.

Nie zdzierzył. Podniósł spory kamień i cisnął w najbardziej agresywnego napastnika. Trafił go w głowę. Drugiego, ruszającego mu na pomoc, zatrzymał w podobny sposób. Trzeci, zobaczywszy w jego ręku nóż, który mógł zostać rzucony równie celnie, klnąc, zabrał swych zakrwawionych koleżków, obiecał gnomowi wszystko, co najgorsze, i wycofał się wraz z nimi. Romas pomógł wystraszonej gnomce wyłapać rozproszone ptactwo i zamknąć je w poprawionym prowizorycznie kojcu.

Po niecałych trzech miesiącach się pobrali. Zojka – bo tak miała na imię poznana na targu gnomka – stała się jego radością. Pokochali się wzajemnie. Od kiedy zamieszkali razem, pusta do tej pory chata stała się prawdziwym domem. Smutny, szary świat Romasa i niewesoły Zojki, okraszany miłością, nabrał jaśniejszych barw, a i bieda, kiedy łatali ją we dwoje, stała się mniej dojmująca. On po pewnym czasie dostał pracę u krasnoluda prowadzącego warsztat rymarski, ona dbała o domostwo i uzupełniała skromny budżet sprzedażą jajek i kur z niewielkiej przydomowej hodowli.

Po dwóch latach doczekali się córki, po czterech Zojka powiła syna. Tworzyli zwartą, kochającą się rodzinę. Żyło im się coraz lepiej, w schowku zaczęły pomału gromadzić się niewielkie oszczędności. W domku przybywało sprzętów. Ich życzliwość sprawiła, że zaczęli do nich zachodzić sąsiedzi. Pamiętając o swoich trudnych początkach, w miarę możliwości wspomagali potrzebujących to żywnością, to dobrą radą lub ciepłym słowem. To ostatnie liczyło się nie mniej niż pomoc materialna, ponieważ życie niziołków w Morgii nie było usłane różami.

Po osiemnastu szczęśliwych latach spotkała ich tragedia. Podmiejskie peryferie, gdzie zamieszkiwali, najechała banda kilkunastu pijanych królewskich żołdaków. Okazując swą pogardę dla nie ludzi, zaczęli burdę. Kilku zwabił chędogo wyglądający domek Zielnych. Zojka i jej dorastająca córka nie miały szans. Zostały wielokrotnie brutalnie zgwałcone, a potem, by uciszyć ich rozpaczliwe krzyki, zaduszone. W celu zatarcia śladów zbrodni bandyci podpalili dom.

Wracający wieczorem z pracy Romas wraz z pomagającym mu synem zamiast domu zastał tylko dopalające się zgliszcza. Sprawcy napadu byli już daleko.

W tym dniu jego życie się zawaliło. Zrozpaczony usiłował szukać sprawiedliwości. Nie chodziło mu wcale o spalone mienie, lecz o utracone najukochańsze osoby. Wzgardliwie zbyty i postraszony przez miejscowego urzędnika, zabrał syna i opuścił Warmę. Nie mogąc sobie znaleźć miejsca w tak okrutnej dla niziołków Morgii, trafił do sąsiedniej Sarii. Dotarł do jej stolicy, gdzie szczęśliwym trafem znalazł dorywczą robotę w królewskiej stajni. Kiedy się okazało, że całkiem dobrze zna się na uprzęży, umie ją naprawiać, konserwować, a nawet szyć nową, został zatrudniony na stałe. Pracę przy obrządzaniu koni dostał też jego syn. Do zamieszkania przydzielono im niewielką izdebkę w pomieszczeniach dla służby.

Żyli cicho i skromnie, w oddaleniu od innych. Mimo upływu czasu Romas nie mógł zapomnieć o córce i żonie. Wyrzucał sobie, że los, jaki je spotkał, był w jakiejś mierze jego winą. Dręczyło go, że nie był przy nich w tragicznych ostatnich chwilach. Myślał naiwnie, że jego obecność mogłaby je obronić. Z czasem oprócz dojmującej goryczy i poczucia wielkiej, niezasłużonej krzywdy w jego myślach i sercu zaczęła kształtować się rosnąca chęć odwetu. Gdyby jednak postawiono mu pytanie, kto ma być jego celem, nie zdołałby precyzyjnie odpowiedzieć.

Któregoś popołudnia niespodziewanie został zaproszony na rozmowę do królewskiego doradcy, któremu towarzyszył ubrany na czarno, znany mu z widzenia człowiek. Osobnik ten wraz z drugim, młodszym, zjawił się w Todorze zaledwie kilka dni temu. Zielny wiedział o tym, bo do stajni przyjęto ich konie. Były zdrożone, widać miały za sobą długą drogę. Zapamiętał ich, bo sami rozkulbaczyli swe wierzchowce, a starszy, zostawiając je, poprosił gnoma, żeby ten zaopiekował się nimi szczególnie.

W sympatyczny sposób, nie traktując niziołka z góry, poprosił. Poprosił, nie nakazał.

Podczas spotkania okazało się, że czarodziej-doradca oraz starszy z przyjezdnych wiedzieli o jego nieszczęściu. Nie potrafił zrozumieć, w jaki sposób do tego doszło, ale po raz pierwszy od tamtego straszego dnia otworzył się i wyzalił przed nimi. Wysłuchali go. Starali się wytłumaczyć przyczyny niegodnego traktowania niziołków w Morgii, wskazując głównego winowajcę tego stanu rzeczy. Więcej: pokazali szansę na to, o czym w cichości ducha coraz częściej zaczynał przemyśliwać – na zemstę. Nie ukrywali, że będzie ona miała formę dość niezwykłą, ale też może być skuteczna i sprawić mu satysfakcję. Dali czas na podjęcie decyzji.

Tak, on, Romas Zielny, dotkliwie skrzywdzony gnom, podjął decyzję.

W pracowni Zachetyna, na drugim piętrze wieży, panował lekki półmrok zbliżającego się wieczoru. Rozjaśniały go ustawione tak, by tworzyć duży pentagram, palące się świece. W sali unosił się lekki zapach ziół zmieszany z czymś, czego Romas nie był w stanie określić. Nie bał się, lecz był lekko podenerwowany.

– Jesteś zdecydowany? – zapytał go Semiston.

– Tak – odparł krótko gnom.

– To dobrze. Nie lękaj się. Transmutacja nie jest bolesna. Na początku będziesz się musiał przyzwyczaić do nowej tożsamości i nabrać nawyków zgodnych z jej naturą. Zwykle przychodzi to łatwo, szczególnie tym, którzy świadomie godzą się na przemianę. Zachowasz pamięć i własny umysł, lecz zostanie on

uzupełniony inteligencją i instynktami właściwymi twej nowej postaci. Będziesz silniejszy, wytrzymalszy i sprawniejszy niż teraz. Smaki, sposoby wyrażania uczuć i zachowanie będą też inne niż do tej pory. Nie okażą się wcale uciążliwe i przykre. Możesz mi wierzyć, znam to z autopsji.

– Na pewno wrócę jeszcze do swej obecnej postaci? Mam syna. Mówiliście, panie...

– Tak. Solennie zapewniam cię, że tak. Teraz jeszcze trochę porozmawiamy. Kiedy się już zadeklarowałeś, możemy, a nawet jesteśmy zmuszeni, zapoznać cię z pewnymi szczegółami twojej misji. Wprowadzi cię w nie mistrz Zachetyn. Usiądźmy, będzie nam wygodniej. – Semiston wskazał gnomowi kanapę.

Usiedli, gnom na kanapie, oni – na krzesłach naprzeciw niego. Zachowujący do tej pory milczenie doradca królewski zaczął mówić:

– Poznaliśmy cię, Romasie. Wiemy, że masz wielki żal do tych, którzy sprawili ogromną krzywdę twoim najbliższym i tobie. Oprócz smutku, co jest naturalne, odczuwasz również pragnienie pomsty. Pomsty, bo sprawiedliwości nie uzyskałeś. Wypełniając to zadanie – chociaż bardziej pasuje tu określenie użyte przez mego przyjaciela: misja – będziesz mógł, przynajmniej częściowo, spełnić swój zamysł. Niestety, prawdopodobnie nie dosięgnie on bezpośrednich morderców twojej żony i córki. Wykrycie ich może być trudne, jeśli nie wręcz niemożliwe. Zaszkośli jednak tym, którzy są odpowiedzialni za bezprawie panujące w Morgii, tym, którzy dopuszczają do szerzenia się w niej okrucieństwa i zbrodni dotyczących najślabszych członków społeczeństwa i je tolerują. Ryba, zgodnie ze starym porzekadłem, cuchnie od głowy, a my dajemy ci szansę na to, by ta zła, pośrednio odpowiedzialna za twe nieszczęście,

głowa poniosła karę. Przechodząc do konkretów: zostaniesz, Romasie, przetransmutowany w morgijskiego owczarka. Będziesz jednym z najpiękniejszych przedstawicieli tej rasy. Cały twój eksterier, czyli wygląd zewnętrzny, od ogona, poprzez uszy, oczy, nos, umaszczenie i wzrost, wzorcowo odpowiadać będzie jej archetypowi. Weźmiesz udział w wystawie psów, na którą pojedziesz do Mezary z asystentem Semistona. Z oczywistych powodów będziesz znacznie bardziej inteligentny od pozostałych zwierząt, co da ci przewagę w oczach sędziów oceniających ułożenie i posłuszeństwo. Zostaniesz zwycięzcą. I tu właśnie jest najslabszy punkt całego planu. Musisz zwrócić na siebie uwagę króla Petina Czwartego, który będzie chciał sobie wybrać psa i w tym celu tam się pojawi. Jeśli cię wybierze – sukces. Jeśli nie – to wracacie, a my przywrócimy ci twą pierwotną postać.

Tu Zachetyn, zauważywszy ruch gnoma, sygnalizujący, że chce coś powiedzieć, przerwał, aby mu to umożliwić. Romas chyba jednak się rozmyślił, ponieważ z jego ust nie padło żadne pytanie ani stwierdzenie. Znowu siedział spokojnie, gotów słuchać. Widząc to, mag podjął:

– Bądźmy optymistami i przyjmijmy, że zajdzie ten pierwszy przypadek. Na dworze będziesz stale blisko władcy, staniesz się jego ulubieńcem i powiernikiem. Człowiek ten ma wiele wad, ale swe psy traktuje zawsze bardzo dobrze. Pomimo iż posiada małżonkę, nie jest ona dla niego kimś bliskim. Nie utrzymując z nią ani jako król z żadnym ze swych poddanych więzi uczuciowej, odczuwa i źle znosi tę samotność. Jego jedynym przyjacielem staniesz się właśnie ty. Nie dziw się, źli ludzie też miewają takie potrzeby. Będziesz mu towarzyszyć na audiencjach, spotkaniach, naradach i odprawach, tak jak twój poprzednik, Neks. Wiele usłyszysz, wiele się dowiesz. Nas

interesują głównie jego plany wojenne i sprawy bezpośrednio lub pośrednio dotyczące Sarii oraz Sweinu. Na dworze Petina przebywa służący mu czarodziej, Lagos z Sagary. Jest groźny i czujny. Mimo że nie będziesz się posługiwał magią i wytwarzał związanego z nią pola, musisz na niego uważać, aby nie wykrył, że jesteś transmutantem. Podwójna osłona, której charakteru nie zna, a którą będziesz zabezpieczony, prawie całkowicie mu to uniemożliwi. Z pewnością niedługo po tym, jak pokażesz się na dworze, poszuka okazji do sprawdzenia cię. Wskazane jest, aby podczas sondażu twego umysłu w pobliżu znajdował się gryzak, kość, którą ci damy. Wtopiony w nią trymonit dodatkowo wytłumi twoje niepsie sygnały, a także jego percepcję. Podczas badania musisz postarać się mieć pogodne i przyjazne myśli. Z pewnością zastosuje też dwa testy. Podczas testu kota powinieneś okazać kontrolowaną agresję. Jej kontrola będzie polegać na tym, że gdy w pewnym momencie ataku cię odwoła, powinieneś zademonstrować swą rozterkę, czy zagryźć kota, czy go zostawić. Posłuchasz go dopiero na drugie wezwanie i to z niechęcią. Druga próba to test obrony. Poprosi Petina, by ktoś zamarkował na niego napad. Wtedy się nie wahaj. Skocz do gardła atakującego i rozerwij mu je lub przynajmniej porządnie go okalecz. Pamiętaj też, aby kiedy Lagos będzie w pobliżu, zawsze starać się, aby was ktoś przedzielał, a gdy to będzie niemożliwe, ustawiaj się do niego bokiem. Rozumiesz wszystko czy coś powtórzyć?

– Rozumiem. Zapamiętałem. Ale rozerwać komuś gardło? Nie potrafię.

– Teraz tego nie potrafisz. W nowej postaci będziesz miał inne cechy i nie sprawi ci to kłopotu. Nie miej skrupułów. Pomyśl, że to może być jeden z tych żołdaków, który uczestniczył

w napadzie na twoją rodzinę. A jeśli nawet nie, musisz mieć świadomość, że waga twojej misji jest taka, iż ewentualna śmierć jednego ocali tysiące innych. Petin szykuje się do wojny. Krwawej. A my chcemy jej zapobiec.

– Rozumiem, panie, ale jest problem. Przecież nawet jeśli coś usłyszę, to co z tym zrobić? Będę wiedział o tym tylko ja. Jako pies nie będę mógł mówić, a nawet gdybym mógł, komu mam te wieści przekazać? I najważniejsze: jak?

– Dobre pytanie. Już ci wyjaśniamy. Miałem do tego przejść, ale cieszę się, że ty sam zwróciłeś uwagę na tę sprawę. To dobrze świadczy o twojej inteligencji.

Gdy to mówił, Semiston wstał i przyniósł sporej wielkości karton. Rozłożywszy go przed gnomem, zaczął pokazywać i objaśniać:

– To jest plan zamku króla Petina w Mezarze. Tu jest główny kompleks pałacowy, tu ogrody, stajnie i budynki służby, a tu rozległy park. Codziennie rano i wieczorem będziesz wypuszczany, aby pobiegać i załatwić swoje potrzeby. Spokojnie, za każdym razem trochę inną trasą, kieruj się w ten zakątek parku. – Tu pokazał rejon królewskiego terenu przylegającego do jednej z ulic Mezary. – Tędy będzie przechadzał się mój asystent. Kiedy go zobaczysz, a w okolicy nikt się nie pojawi, powtórz w myślach to, co usłyszałeś. On cię zrozumie. Potrafi czytać myśli. Im bardziej będziesz skupiony, tym szybsza i dokładniejsza będzie ich transmisja. Koncentruj się na sprawach istotnych. Jeśli okoliczności na to pozwolą, spoglądaj mu w oczy, to znacznie ułatwia. Jeśli wyczujesz, że ze strony kogokolwiek w pałacu grozi ci jakieś niebezpieczeństwo, przekaz to, a zostanie zorganizowana twoja ucieczka. Czy masz jakieś pytania? Nie rozmyślałeś się?

– Nie, nie mam pytań i nie chcę się wycofać. Zresztą teraz już chyba nie mógłbym?

– Mógłbyś, Romasie, ale w tym przypadku bylibyśmy zmuszeni sprawić, że o wszystkim, co tu było mówione, byś zapomniał.

– Nie trzeba tego robić. Chcę tam pojechać. Jestem to winien żonie i córce.

– Jeszcze jedno. Co wie twój syn? – wtrącił się Zachetyn.

– Powiedziałem mu, że muszę wyjechać na dwa, trzy miesiące. Nie mówiłem, dokąd i w jakim celu. Przyjął to dobrze. Znalazł zresztą przyjaciela, młodego stajennego, któremu nie przeszkadza, że jest gnomem. Mam prośbę. Zaopiekujcie się nim, panie. Jest jeszcze młody i zupełnie samotny.

– Obiecuję. Podczas twojej nieobecności nie stanie mu się nic złego. Zajmie się nim znany ci Geston, mój pomocnik.

Czarodzieje popatrzyli gnomowi w twarz. Ich wzrok, jak Zielnemu się zdawało, wyrażał sympatię i odrobinę szacunku.

Nie mylił się.

Po chwili przerwy Zachetyn przyniósł kielich napełniony jakąś ciemną miksturą.

– Wypij, to cię uspokoi i ułatwi proces przemiany – powiedział, podając go gnomowi. – Pij małymi łydkami. Działa nieco podobnie do wina.

Romas wypił. Po chwili poczuł, że myśli mu się trochę mąca. Sprawy, o których była mowa, wydały mu się łatwe do wykonania, ciekawe, a zarazem bardzo ważne. Był głęboko przekonany, że tylko on może z powodzeniem wykonać misję. Odnosił też wrażenie, iż widzi stojące nieopodal Zojkę i córkę, które uśmiechają się i spoglądają na niego z podziwem oraz akceptacją.

„To dla was. Tylko dla was” – pomyślał i usnął.

– No, to zaczynamy – powiedział Semiston. – Nie ma co zwlekać.

– Ano, zaczynamy – zawtórował mu Zachetyn, biorąc różdżkę do ręki. Wypowiedział zakłęcie i skierował jej koniec na śpiącego gnoma. Płynnie uniósł dłoń, a wraz z nią z kanapy uniosło się ciało Romasa, by łagodnie spocząć wewnątrz pentagramu.

Semiston wyprostował palce obu rąk. Bez widocznego powodu płomyki świec zapłonęły jaśniej.

Magowie zajęli miejsca po obu stronach śpiącego. W dłoni Semistona również pojawiła się różdżka. Wspólnie zaczęli inkantację. Powietrze w sali jakby się zagęściło i zadrgało. Po wibracjach czuć było, że wzywana śpiewnym zaklęciem moc tężeje. Płomienie świec pochyliły się w kierunku środka gwiaździstego pięciokąta. W szczytowej chwili zaśpiewu nastąpiło coś w rodzaju lekkiej implozji, a na miejscu gnoma znalazł się śpiący piękny okaz owczarka morgijskiego. Czarodzieje podnieśli powieki, dotychczas przymknięte dla zwiększenia koncentracji. Zbliżyli się do leżącego zwierzęcia i zaczęli go dokładnie oglądać.

– Piękny pies. Dokładnie taki, jak miał być – szepnął Semiston.

– Tak, udało się. Teraz osłony. Twoja pierwsza – odparł Zachetyn. – Moja będzie zamykająca.

I znów przywołana moc stężała. Po kilku chwilach było po wszystkim. Czarodzieje pogasili świece i odstawili je. Zachetyn pstryknął palcami i zapaliły się dwa kandelabry, rozjaśniające zapadły mrok. Wyczerpani, pokrzepili się winem.

Po kilku minutach delikatnym głaskaniem i nawoływaniem obudzili stransmutowanego psa. Ten podniósł głowę

i oszołomionym wzrokiem omiółł najpierw pochyłonych nad nim mężczyzn, a następnie całe pomieszczenie. Niezgrabnie wstał.

– Już po wszystkim. Jest w porządku? Nie było takie straszne, prawda? – zapytał Semiston.

Potwierdzeniem był ruch ogona.

– Teraz cię zostawimy, byś poznał swą nową postać. Zaaklimatyzował się w niej. Tutaj masz wodę i swoją kolację. – Wskazał na dwie napełnione miski. – Jeśli będziesz potrzebował wyjść, pomyśl o tym lub szczeknij. Jutro zaczniesz współpracę z moim asystentem. Ma na imię Bedoryk. Musicie się wzajemnie poznać i zgrać.

Były gnom pomyślał: „Zgoda, ale teraz najbardziej chcę się napić i przespać”.

Magowie się uśmiechnęli.

– Śpij, Romasie. Jutro musimy ci wymyślić stosowne imię.

Pies posłusznie podreptał na rozłożoną dla niego grubą derkę.

– Proszę wstać i zachować ciszę! Sądz idzie! – wykrzyknął woźny.

Justus Zofin, tak jak przed przerwą przeznaczoną na naradę, zasiadł pośrodku stołu sędziowskiego. Ogarnął spojrzeniem zgromadzonych. Zdawał sobie sprawę, że panujące milczenie jest wyrazem niecierpliwego oczekiwania na orzeczenie sądu. Orzeczenie surowe. Wiedział, że wyrok, który ma ogłosić, w pierwszym momencie nie zadowoli większości mieszkańców Brony. Był jednak głęboko przekonany, że zasugerowany przez niego i przyjęty przez trybunał werdykt jest słuszny i po głębszym przemyśleniu nawet ci, którzy początkowo będą mu przeciwni,

uznają, iż on oraz pozostali współsędziowie przy podejmowaniu go postąpili rozsądnie i dalekowzrocznie. Nie obawiał się reakcji współmieszkańców osady, ale jak każdy nie lubił, gdy go krytykowano.

Nowe okoliczności, o których on i pozostali członkowie rady starszych niedawno się dowiedzieli, a których nie znała cała reszta, dawały mu potężny atut, który ujawniony, z pewnością będzie mógł uspokoić wzburzone nastroje. Nie czekając dłużej, postanowił rozbroić tę społeczną bombę.

Uderzył młotkiem w stół i wstał. Zamiast jednak, czego wszyscy się spodziewali, odczytać wyrok – głośno i wyraźnie wymienił cztery nazwiska. Wywołanym nakazał wstać. Podnosili się z ociąganiem, niechętnie. Tak się złożyło, że zajmowali tę samą ławkę, jedną z dwunastu, tworzących ławę oskarżonych.

Alkad kazał strażnikom ich oddzielić od reszty i umieścić osobno, sprawdzić ponownie pęta, a każdemu z nich przydzielić po dwóch pilnujących. Wzbudziło to sensację.

Gdy wykonywano nakazane przez Justusa czynności, zgromadzeni obserwatorzy gorączkowo snuli najrozmaitsze domysły i wymieniali uwagi. Na placu zapanował gwar.

Alkad milczał i czekał. Po zakończeniu działań związanych z oddzieleniem czwórki jeńców ponownie uderzył młotkiem. Cisza zapanowała prawie natychmiast. Wszyscy spoglądali z wyczekiwaniem na stojącego bez ruchu, reprezentującego prawo krasnoluda, który po chwili zaczął mówić. Jego słowa ponownie zaskoczyły słuchających.

W obowiązujących procedurach sądowych było przyjęte, że po mowach oskarżycieli i obrońców, po naradzie składu sędziowskiego, odczytywano najpierw sentencję orzeczenia zawierającą rozstrzygnięcie sprawy, a następnie jej uzasadnienie.

Justus Zofin postąpił zupełnie inaczej. Ignorując zasady, zwrócił się do obecnych na placu mieszkańców osady. Mówcą był dobrym, nie upajał się własnymi słowami, lecz starał się swą logiką dotrzeć do jak największej liczby słuchaczy. Dać im obraz całości zajścia, jego przyczyn i ewentualnych konsekwencji. Przygotować grunt do pozytywnego przyjęcia jeszcze nieogłoszonej decyzji trybunału.

Na początku wystąpienia opowiedział o napadzie połączonych trzech band na morgijską karawanę kupiecką w Ramzie, o bezlitosnym wymordowaniu wszystkich jej członków, wśród których znajdował się znany wszystkim ich współplemieniec z Brony. O tym, że żądny krwi bandyta, wpływowy elf Zemel, po dokonaniu rzezi i grabieży, chcąc zmylić trop dochodzenia, rozpuścił pogłoski, iż sprawcami tej zbrodni są niziołki. O jego podżegających do srogiej zemsty poczynaniach, w których efekcie zorganizowana została ekspedycja na Bronę.

Podkreślił mądre, przemyślane działania dominata, a także odwagę i determinację obrońców osady. Rozwagę i waleczność dowódców kup, ze szczególnym uwzględnieniem poświęcenia członków drużyny udającej drwali i osobiście ciężko rannego Wizuna. Dokonał rachunku strat poniesionych przez obie strony, z uwypukleniem odniesionego zwycięstwa. Podziękował oddziałom z sąsiednich obwodów, które przybyły z pomocą, i zapewnił, że one – oby nigdy nie zaistniała taka konieczność – mogą zawsze liczyć na podobny rewanż ze strony społeczności Brony. Wyraził żal, że poległo aż osiemnastu dzielnych, znanych tu obecnym krajanów, a dwudziestu jeden odniosło cięższe lub lżejsze rany, i złożył kondolencje ich najbliższym.

Wszystkie jego słowa trafiały do serc i umysłów słuchających go mieszkańców osady, mówił przecież o nich. Czekali jednak na

to, co było najważniejsze. Na wyrok. Justus wszelako się nie spieszył.

W kolejnym wątku wyjaśnił, kim jest czwórka wydzielonych oskarżonych i jak doszło do ich ujawnienia. To wywołało żywe reakcje zgromadzonych, zaczęli głośno domagać się ich wydania w celu natychmiastowego dokonania – w ich mniemaniu – aktu sprawiedliwości, w rzeczywistości zaś mściwego samosądu. Byli zdecydowani, by to zrobić.

Alkad, usłyszawszy to, uniósł swój młotek. Musiał trzy razy nim uderzyć, by znowu zapanował jaki taki porządek.

Teraz dopiero przeszedł do spraw najtrudniejszych. Ponownie uświadomił zebrany, że obrona zakończyła się zwycięstwem. Że sześćdziesięciu zabitych w walce napastników to według trybunału wystarczająca hekatomba i dalszy rozlew krwi pojmanych, rozbrojonych i unieszkodliwionych, jeńców może być odczytany tylko jako zemsta, a nie wymierzenie sprawiedliwości. Uzasadnił też, dlaczego najkorzystniejszym rozwiązaniem będzie scedowanie sprawy na królewskiego namiestnika. Szczególnie zaś przekazanie mu czterech bandytów, mających na rękach krew nieszczęsnych kupców.

W ten sposób, jeszcze nie odczytawszy sentencji wyroku, zapoznał zgromadzonych z podjętym werdyktem.

Gdy to zrobił, zamilkł i usiadł. Dał czas współziomkom na przetrwanie przekazanych informacji.

Po chwili, widząc, że pierwsze emocje opadły, oficjalnie odczytał orzeczenie w prowadzonej sprawie. Braw i wyrazów uznania nie usłyszał, ale nie było też gwizdów i ostrych protestów. Wydał jeszcze zalecenia odnośnie do dalszego postępowania ze skazanymi i zakończył sprawę. Czuł się bardzo zmęczony. Dla rady starszych i dla niego był to jeden

z najtrudniejszych dni. Osobistą satysfakcję sprawił mu Ferdyn. Dominat podszedł, popatrzył mu głęboko w oczy, skłonił się i powiedział, że lepszego sposobu rozwiązania problemu nie mógł się spodziewać.

W jednej z pałacowych sal siedziby Artorusa odbywało się spotkanie organizacyjne uczestników, którzy mieli wziąć udział w badaniach znaleziska. Oprócz szykujących się do drogi obecni na nim byli także Zachetyn i Sytomir.

Semiston, który zwołał tę naradę, pragnął poznać asystentów mających towarzyszyć profesorom, chciał także, by wszyscy przedstawili swoje potrzeby związane z wyprawą. Głównie te, których nie byli w stanie zaspokoić w ramach własnych możliwości.

Po niecałych dwóch godzinach rozmów czuł zadowolenie. Uważał, że najważniejsze sprawy związane z wyjazdem zostały dograne. Ekipa niespodziewanie łatwo się zintegrowała, a niektórzy jej członkowie wprost poczuli do siebie sympatię. Najbardziej widać to było na przykładzie Eyana, którego po wypowiedziach na tematy dotyczące literatury i geologii akademicy mający się zajmować tymi dziedzinami wręcz kaperowali do swoich zespołów.

Dziwnie długo jak na nowo zawartą znajomość trwała też prowadzona na uboczu sali konwersacja Samtora z ponętą elfką, mającą towarzyszyć filologowi Stefanowi Antosowi. Ta dwójka nie dość, że popatrywała sobie zalotnie w oczy, to raz czy dwa, wcale nieprzypadkowo, zetknęła się dłońmi.

Dodatkowym ustaleniem było powiększenie składu ekipy o kucharza i jego pomocnika. Pierwszy miał rozwiązywać

codzienne problemy żywieniowe. Drugi – służyć mu pomocą oraz na miejscu zajmować się aprowizacją i zaspokajaniem podstawowych potrzeb socjalnych badaczy.

Wyjazd karawany kupieckiej z przyłączonym do niej zespołem naukowców miał się odbyć już za sześć dni, wczesnym rankiem.

Po ostatniej koordynacji Samtor był w nieco dziwnym nastroju. Być może przyczyną tego stała się trwająca ponad kwadrans rozmowa z Nimeną, elfką o dużych, orzechowych oczach, która miała wziąć udział w wyprawie. Jak się okazało, była adiunktem katedry językoznawstwa. W prowadzoną przez nich w pewnym oddaleniu od pozostałych wymianę zdań oprócz tematów dotyczących znaleziska niespodziewanie dla obojga wplotły się wątki osobiste. Ich znajomość zaczęła się zupełnie przypadkowo. Magin, idąc ze stajni, gdzie po porannej przejażdżce pozostawił Biegana, natknął się na stojącą na pałacowym dziedzińcu smukłą dziewczynę. Wyczuł jej rozterkę. Zaciekawiony wysłał impuls. Zastanawiała się, którądy ma pójść. Mijając ją, samorzutnie wskazał skrzydło budynku i właściwe wejście. Zaskoczona, podziękowała mu lekkim skinieniem głowy oraz wdzięcznym uśmiechem. Wydało mu się dziwne, że nie zapytała, skąd wiedział, dokąd ją skierować i dlaczego sformułował odpowiedź nie w stosowanym zwykle języku saryjskim, tylko w elfickim.

Nie towarzyszył jej, ponieważ pomieszczenia zajmowane przez Igonę i Sytomira znajdowały się w innej części pałacu. Czas naglił, on zaś chciał się jeszcze odświeżyć i przebrać. Zdążył.

Po wejściu na salę zauważył ją. Siedziała obok profesora Antosa. Elfka również go poznała. W czasie narady jej wzrok

często zatrzymywał się na postaci Samtora. On też dyskretnie się jej przyglądał. Podobała się mu.

Podczas przerwy w rozmowach podeszła do niego. Przedstawiła się jako Nimena z Butanii. Ponownie wyraziła swą wdzięczność za to, iż dzięki wskazaniu drogi nie musiała błądzić po nieznanym sobie terenie. W trakcie rozmowy, przechadzając się, starali się omijać pozostałych uczestników narady. Tak znaleźli się przy oknie, z którego widać było miejsce, gdzie zobaczyli się po raz pierwszy.

– Dlaczego wskazałeś mi drogę po elficku? Czy dlatego, że jestem elfką, czy z próżności, bo chciałeś się popisać znajomością tego języka? – zapytała.

– Nie, po prostu w tym języku myślałaś. Nie chciałem ci burzyć toku myśli – odpowiedział jej z uśmiechem.

Spojrzała pytająco. Magin w stosunku do niej okazał się bardziej rozmowny niż zazwyczaj. Nie ukrywał, co tu robi i kim jest. Przybliżył jej też osobę Eyana i swego brata, Sytomira. Po kilku zdaniach zaproponowała, by zwracał się do niej Nime, bo tak zwykle jest nazywana przez przyjaciół.

W pewnym momencie pomyślał, że dobrze by było zaprosić ją na spacer lub konną przejażdżkę, ale – z natury odważny – jakoś się na to nie zdobył. Gdyby ponownie zechciał odczytać jej myśli – a nie zrobił tego – dowiedziałby się, że brakiem takiej próby jest lekko rozczarowana. Spodziewała się po tym przystojnym chłopaku więcej inicjatywy i była gotowa powiedzieć: tak.

„Cóż, niekiedy ważne życiowo sprawy miewają całkiem banalny i niemrawy początek, by się potem pięknie rozwinąć. Miejmy nadzieję, że i ta będzie mieć podobny schemat” – przemknęło Nimenie przez głowę.

Rozstając się, oboje czuli jakiś nie do końca uświadomiony niedosyt, a uścisk ich dłoni trwał dłużej, niż zdarza się to przy pożegnaniach zwykłych znajomych.

ROZDZIAŁ XII

Powiedzenie, że baron Johan Strus jest zde gustowany, byłoby absolutnie nieoddającym jego stanu ducha, eleganckim eufemizmem. Najtrafniejszym określeniem do opisanego nastroju królewskiego namiestnika, od kiedy dowiedział się, co spadło mu na głowę w związku z niedawnym bandyckim napadem i przeprowadzonym w Bronie procesem, zdawało się zapożyczony z żołnierskiego słownika stwierdzenie, że jest wku... ny do białości.

Jego odraza do nie ludzi, szczególnie zaś krasnoludów i gnomów, które, niestety, stanowiły około osiemdziesięciu procent jego poddanych, nie była tajemnicą. Od kontaktów z nimi miał komesa i poprzez niego załatwiał gros problemów ich dotyczących. W tym przypadku nie mógł jednak zepchnąć tego obowiązku na Agedona z dwóch powodów. Raz, że w sprawę włączona była duża liczba ludzi oraz elfów, w większości obywateli Morgii, a to już wykraczało poza zakres uprawnień krasnoluda, dwa – że to on, baron Johan Strus osobiście, sprawował w zonie funkcję najwyższego sędziego.

Chociaż byłoby mu to bardzo na rękę, nie mógł całego wydarzenia po cichu zamieść pod dywan, bo przelało się zbyt dużo krwi. Mniejsza o niziołków z zony, ale poległa bodajże sześćdziesiątka mieszkańców Morgii i Ramzy. Petin, jeśli jeszcze nie jest, to z pewnością w najbliższym czasie swoimi kanałami zostanie o tym powiadomiony. W zaistniałej sytuacji brak

stosownych reakcji ze strony namiestnika lub, co gorsza, działanie niezgodne z oczekiwaniami władcy mogłyby stanowić powód srogiej niełaski, a tej się bał.

„Jak tu postąpić? W którą stronę nie pójdziesz, dupa i tak z tyłu. Do Brony i jej pie...go dominata, choćby się bardzo chciało, nie sposób się przyczepić. Bronili się przed napadem. To właśnie banda przybyła na ich teren, a nie oni wybrali się z wizytą do sąsiadów. Obrona była uzasadniona, a że padła aż kopa napastników... ich wina, byli nieostrożni”.

Z drugiej strony – musiał to z niechętnym uznaniem przyznać – miejscowe niziołki spisały się nad podziw dobrze, co nie najgorzej świadczy o kontyngencie zbrojnym ze Sweinu. Fakt, że jest wyszkolony i gotowy, król mimo wszystko powinien docenić. W nocy informującej Petina będzie należało to podkreślić.

Rada starszych Brony i alkad, niech ich trafi szlag, zachowali się też bardzo przezornie. Gdyby wydali wyroki śmierci, a na dodatek je wykonali, już by tam huląca podległa mu szara sotnia. Ale nie, szlachetnie poniechali zemsty i zwalili wszystko na barki namiestnika. Jego barki. Cholera z nimi, jeszcze im odpłaci.

Najgorsze, że przy okazji odkryli, kto wyrząnął morgijskich kupców i zagrabił ich mienie. No, to Zemel chyba się z tego nie wywinie, a drugiej strony szkoda, bo nikt tak jak on nie potrafi załatwić niewygodnych spraw... i osób. Tak, jego by było szkoda... ale na szczęście nie ma go wśród pojmanych.

Co robić, by zbyt surowym wyrokiem wydanym na grasantów nie narazić się Petinowi, który nie lubi Sweinu i jego mieszkańców, ale z drugiej strony docenia korzyści płynące z zony? Jak postąpić, by nastroje tubylczej społeczności, wzburzone rozpowszechnioną wiadomością o napadzie ludzi

i elfów na jedną z osad zony, nie zostały dodatkowo podbechtane jawnym pobłażaniem przestępcom, lecz choć trochę uspokojone?

Nie obchodziła go zła opinia, jaką miał u niziołków, ale musiał brać pod uwagę, że wyraźna niesprawiedliwość, jaką byłoby puszczenie wolno bandytów, może doprowadzić do rebelii, mogącej zakłócić dopływ pieniędzy do skarbu królewskiego. A na to, szczególnie ostatnio, król był bardzo, ale to bardzo wyczulony.

Po długim namyśle, podczas którego starał się zważyć wszystkie okoliczności i ewentualne konsekwencje, podjął decyzję. Nie poprowadzi ponownego procesu z udziałem oskarżonych. Wyrok zostanie wydany w trybie apelacyjnym, jedynie na podstawie otrzymanych z Brony dokumentów. Głównie sprawozdań i zeznań świadków. Ogłoszenie orzeczenia odbędzie się publicznie, na placu, przez heroldów, a wykonanie sankcji będzie natychmiastowe. Oczywiście najważniejszym będzie wysłanie pocztą kurierską do króla Petina listu, w którym opíše i wyjaśni cały ten incydent (czy to nie za łagodne określenie na zbrojne starcie zakończone śmiercią kilkudziesięciu osób?) oraz uzasadni poczynione kroki. Na tym zamknie całą sprawę.

Sam wyrok? Uczestnicy napadu na karawanę – wyroki śmierci przez powieszenie, pozostali członkowie najazdu na zonę – chłosta oraz wcielenie do karnego oddziału wojskowego stacjonującego na terenie Morgii na okres, powiedzmy, trzech... nie, lepiej dwu lat.

A obwód Brony? Pomyślimy... może jednak wizyta szarej sotni, by uświadomić niziołkom ich miejsce w szyku. Ale to dopiero za jakiś czas, na razie jeszcze na to nie pora.

Karawana była trzeci dzień w drodze i właśnie dojeżdżała do Brony.

Wyjazd jej z placu targowego, usytuowanego we wschodnim przedmieściu Todory, stał się wydarzeniem, które mimo wczesnego świtu zgromadziło sto kilkadziesiąt osób. Członkowie rodzin, pozostający współpracownicy, znajomi i zwykli ciekawscy przybyli tu, żeby pożegnać udających się w kilkutygodniową podróż bliskich, przekazać im ostatnie rady, życzyć powodzenia na szlaku i w interesach lub po prostu się pogapić.

Wśród panującego rozgwaru i przedwyjazdowego ruchu swym rozważnym, ale zdecydowanym działaniem zwracał na siebie uwagę dostatnio ubrany, czterdziestoparoletni mężczyzna o słusznej posturze i wyrażającej inteligencję oraz stanowczość twarzy. Był to organizator wyjazdu, kupiec sukienny, Elan Stoffa. Nie spieszył się, ale i nie mitrężył czasu. Nie ponaglał wyjeżdżających, ale też nie pozwalał im na nieuzasadnione zwlekanie. Osobiście podchodząc do każdego wozu, starannie oglądał jego koła, konie lub muły, w które był zaprzężony, lustrował obsadę, rozpytywał, czy zabrano broń, wyposażenie biwakowe oraz zapasy żywności. Po uznaniu, że wszystko jest w porządku, przydzielał miejsce w kolumnie i nakazywał ruszać. W ten sposób po jego systematycznej, prawie półtoragodzinnej działalności plac opustoszał. Pojazdy wyjechały, a odprowadzający pomału się rozproszyli.

W ciągu następnej godziny siedemnaście jadących zaprzęgów, zachowując kolejność i zalecone odległości, uformowało niemal czterystumetrową kawalkadę podążającą w kierunku Brony. Osiem wozów należało do Stoffy, trzy do kupca handlującego wyprawionymi skórami, uprzężą oraz

wyrobami zwanymi potocznie galanterią skórzaną, dwa do obuwnika, a pozostałe cztery – do od lat cenionego daleko poza Sarią stolarza meblowego, który prezentując swoje ekskluzywne i nietanie wyroby, zamierzał podczas objazdu je sprzedać, a zarazem pozyskać nowych, bogatych nabywców.

Ekipa naukowa, której celem był obiekt w kopalni „Głęboka”, została podzielona i rozlokowana na wozach wiozących towary Stoffy. Sprzęt i wyposażenie, uznane za mogące się przydać w trakcie badań, a także zapasy żywności dwa dni przed wyjazdem załadowano na wydzielony zaprzęg, którym do Brony powozić miał Eyan. Do pracy tej zgłosił się na ochotnika, twierdząc z przekonaniem, że bez zajęcia podczas drogi zanudziłby się na śmierć.

Członkowie grupy badawczej mieli przy sobie jedynie broń oraz niewielkie bagaże osobiste, zawierające rzeczy w trasie absolutnie niezbędne. Ubrani byli tak, by wyglądem nie odbiegać od pozostałych uczestników kupieckiej wyprawy. Stałym i zatrudnionym na czas podróży pracownikom sukiennika obecność w wyprawie nieznanym osobom wyjaśniono bardzo ogólnie i tylko w niezbędnym zakresie. Trzeba przyznać, że też nie do końca zgodnie z prawdą. Sam Elan Stoffa z oczywistych powodów otrzymał nieco więcej i prawdziwszych informacji. On jednak miał już za sobą kilkakrotną współpracę z tajnymi służbami Sarii i bez dodatkowego napominania wiedział, że im mniej będzie się interesował otrzymanym zleceniem, tym lepiej dla wszystkich, a szczególnie dla niego samego. Spory udział w takim podejściu do powierzzonego mu zadania miała otrzymana z góry sowita zapłata. Poza tym był rozważnym człowiekiem, który zwraca uwagę na swoje słowa i – co ważne – zazwyczaj wie, co mówi, a nie mówi, co wie.

Jednym z pięciu konnych towarzyszących karawanie był Samtor. Wypoczęty i odkarmiony Biegan wręcz tańczył pod nim, objawiając zadowolenie, iż znowu jest ze swym panem w podróży, a nie – jak przez ostatnie dni – w nudzącej go stajni. Oprócz niego wierzchem jechali: trzymający pieczę nad całością wyprawy Elan Stoffa, jego pomocnik oraz dwóch przewodników, którzy od czasu do czasu wyprzedzali karawanę w celu przeprowadzenia rekonesansu.

Pierwszy nocny postój zorganizowano jakieś pięćdziesiąt kilometrów od Todory. Po sprawdzeniu stanu wozów i ładunku, uporządkowaniu zwierząt i wykonaniu niezbędnych po całym dniu jazdy drobnych napraw uczestnicy kupieckiej wyprawy, kierując się wzajemnymi sympatiami, rodzinnymi więzami oraz znajomościami, rozbili się na kilka grup i rozpoczęli przygotowania do dobrze zasłużonego wieczornego posiłku.

Jedenastu członków ekipy kierującej się do Brony rozsiadło się przy jednym wspólnym ognisku. Nie zwracali na siebie uwagi pozostałych, gdyż liczebności innych szykujących się do kolacji i noclegu grup były zbliżone.

Solidne porcje odgrzanego przez kucharza wołowego gulaszu, zagryzane zachowującym jeszcze świeżość żytnim chlebem, i przypieczona nad ogniem, ociekająca tłuszczem kiełbasa, popijana wytrawnym, cierpko-gorzkiem czerwonym winem, wszystkim wprawiły w dobry humor.

Od sąsiednich ognisk również dochodziły odgłosy rozmów, śmiechów, a nawet dość udane próby śpiewu. Wszyscy okazywali zadowolenie, że karawana jest już w drodze i że pierwszy etap przebiegł bez wypadków i awarii. Wiadomo, początek bywa zawsze najtrudniejszy, a ten, i to całkiem udany, był już poza nimi.

Samtor siedział pomiędzy Eyanem a Nimeną. Kiedy nieco później niż inni, zajęty oporządzeniem Biegana, dotarł do reszty, czekało przygotowane dla niego miejsce. Nie będąc pewnym, kto o nim pomyślał, podziękował obydwójgu. Krasnolud, usłyszawszy słowa podziękki, znacząco spojrział na elfkę. Ta zaś z uśmiechem odważnie i nieco dwuznacznie powiedziała:

– Siadaj, Sam, w tej podróży jak najczęściej chciałabym cię mieć blisko siebie.

Słowa te w uszach i – nie do końca wiadomo, z jakiego powodu troszkę szybciej bijącym – sercu magina zabrzmiały jak najpiękniejsza muzyka.

Podczas jedzenia podszedł do nich starszy karawany, Elan Stoffa. Pogwarzył chwilę, wypił kubek wina i zaproponował, żeby kilka osób z ich zespołu wraz z częścią jego ludzi objęło pierwszą zmianę nocnej warty. Do północy zaoferowali się ją pełnić: magin, Semiston i geolog Stan Wstęga ze swym asystentem. Następne wachty mieli przejąć biorący udział w wyprawie pracownicy pozostałych kupców.

Zapowiadała się ciepła, gwiazdzista noc. Samtor, pomimo prawie całego dnia spędzonego w siodle, nie czuł się zmęczony ani senny. Odpowiadała mu perspektywa kilkugodzinnego czuwania, gdyż chciał w spokoju i ciszy przemyśleć pewne sprawy, które ostatnio zdawały się burzyć spokój jego dotąd uporządkowanej, a ściśle powiedziawszy, nienaruszonej sfery uczuciowej. Zapadający pomału zmrok przesycony cykaniem świerszczy i rechotem żab zdawał się temu sprzyjać.

Po kolacji większość podróżnych zaczęła odchodzić od ognisk w celu dokonania w pobliskim jeziorku toalety lub przygotowania sobie posłania. Głośne dotychczas rozmowy przycichały, zamieniały się w pogwarki. Niektórych, najedzonych

i wyczerpanych podróżą, zaczęła morzyć senność. Poddawali się jej i znużeni układali się w pobliżu ognisk lub ciągnęli do swoich wozów, w których zamierzali spędzić noc. Gdzieniedzie dostrzec można było stojące lub niespiesznie przechadzające się grupki złożone z dwóch, trzech osób, które przyciszonymi głosami żywo dyskutowały lub tylko z rzadka wymieniały jakieś uwagi. Od czasu do czasu zaparskał koń lub żałośnie ryknął muł. Zapadała pierwsza w tym roku sierpniowa noc.

Samtor spoglądał na rosnące nieopodal krzaki, tworzące nieregularną, ciemną kępę. Wybrał sobie dość oddaloną od ognisk i wozów pozycję i usiadł pod przydrożną wierzbą, by mieć jak najszersze pole obserwacji. W pewnym momencie z tyłu głowy poczuł mrowienie. Nie musiał się odwracać, nie musiał pytać. Wiedział, kto się zbliża.

– Nie mogę spać. Pozwolisz, że pobędę przy tobie? – zapytała zmierzająca od strony obozowiska Nimena.

– Siadaj, bardzo się cieszę – odpowiedział, rozpościerając szerzej derkę, na której spoczywał. – Myślałem o tobie i o tym, co powiedziałaś przed kolacją.

– I co wymyśliłeś? Nie łatwiej by ci było wysondować moje myśli? – rzuciła lekko, moszcząc się na zaoferowanym miejscu.

– Łatwiej, ale to nie byłoby w porządku w stosunku do ciebie. Nie chcę wpływać na twoją wolę, nie chcę wdzierać się do twojego umysłu. Zbyt zależy mi na tobie i twojej przyjaźni, by posługiwać się tymi metodami.

– Wiedziałaś, że mogę ci ufać – rzekła elfka, przytulając się do jego boku. – Nie dziw się, że pierwsza występuję z propozycją, jak to nazwałeś, przyjaźni, ale ylbi są odważniejsze i bardziej bezpośrednie niż kobiety ludzi. Nie oznacza to, że są łatwiejsze w potocznym, dość pejoratywnym rozumieniu tego słowa.

– Wcale tak nie myślę... – Magin urwał i pochwycił dłoń dziewczyny. – Cii, bo się spłoszą – szepnął jej prawie do ucha.

Zastygli, wstrzymując oddechy. Po krótkiej chwili coś lekko zaszeleściło i dały się słyszeć delikatne stąpania. Zaraz po tym na rozjaśnionym świetle księżyca skrawku trawy, tuż za cieniem rzucanym przez koronę wierzby, pojawiły się idące gęsiego cztery maleńkie postacie.

Samtor, jakiś czas się nie ruszając, obserwował je, potem cichutko i łagodnie zagadał w jakimś śpiewno-świszczącym języku. Przestraszeni osobnicy stanęli i odwrócili się do siedzących, gotowi w każdym momencie pierzchnąć. Magin znów wydał w dziwnym języku kilka jakby uspokajających dźwięków. Musiały one zostać zrozumiane, bo prowadzący kolumnę nieufnie spojrział, gestem powstrzymał swoich towarzyszy i sądząc po tonie wypowiedzi, zadał pytanie.

Nim ono przebrzmiało, Nimena ścisnęła dłoń siedzącego przy niej mężczyzny i ubiegając go, sama udzieliła dość długiej odpowiedzi. Nie treść jej, lecz to, że elfka wprawnie posłużyła się tak rzadkim językiem, było dla Samtora olbrzymim zaskoczeniem. Wyjaśnienia kobiety musiały zostać dobrze przyjęte, bo po zachowaniu maluchów widać było, że pierwsze lody zostały przełamane. Rozproszywszy się, by utrudnić ewentualną próbę pochwycenia, koboldy powoli zaczęły się przybliżać do siedzących.

– Kim jesteście, że was nie spostrzegliśmy? – zadał pytanie najstarszy z karzełków.

– Jak już powiedziałem, jestem maginem, a to elfka, moja przyjaciółka. Spokojnie, nie mamy złych zamiarów.

– Nie boimy się – odrzekł czupurnie pytający. – Nie z takimi, jak potrzeba, potrafimy sobie dać radę.

– Z pewnością, ale my wam nie zagrażamy. Dokąd idziecie? Zazwyczaj przecież przebywacie w domostwach.

– Masz rację. My, koboldy, zwykle gnieźdzymy się w pobliżu kuchni lub paleniska. Mieszkamy w belkowaniu lub poszyciu domu, opiekując się nim i jego mieszkańcami. Niestety, od czasu do czasu opuszczamy i siedzibę, i jej dużych gospodarzy. Teraz to właśnie nastąpiło. Szukamy nowej chaty.

– Ale dlaczego? Co się stało?

– Dużo by mówić. Ogólnie ujmując, paskudny był ten nasz ostatni gospodarz. Pił, bił żonę. Dobierał się do własnej córki. W końcu wygnał obie z domu. Nie chcemy mieć takiego kogoś pod opieką, nie zasługuje na to. Kiedy trzy noce temu go opuszczaliśmy, leżał opity do nieprzytomności gorzałką, a ogień z paleniska już trawił podłogę.

– Wy podpaliliście chatę?

– Nie, nie musieliśmy, ale też nie próbowaliśmy jej gasić. A niech go przejmą czarne skrzaty, łobuza jednego.

– Głodni jesteście? Kiedy ostatnio piliście mleko?

– Dawno. Szukamy nowego mieszkania, a to nie jest łatwe. Wszystko pozajmowane.

– Mamy propozycję, pakujcie się na wóz i jedźcie z nami. Po drodze albo coś się wam trafi, albo zostanieie u nas. Podejdźcie do ogniska. Gaśnie, ale żar się tli. Mamy odrobinę mleka, sera i chleba.

– Dzięki, chętnie skorzystamy. Ale jak to się stało, że nas wypatrzyliście? Szliśmy w postaci niewidocznej.

– A tak jakoś. Może ze zmęczenia nie zwróciliście uwagi, że przeszliście w widoczną. Zapraszamy.

Samtor i Nimena powoli wstali i skierowali się w stronę wozów. Postawili na ziemi mleko w niedużej miseczce. Obok

znalazły się kromka chleba i glonek sera. Czwórka koboldów jakby się rozplynęła, ale ktoś o czułym słuchu, gdyby bardzo się postarał, mógłby usłyszeć cichutkie mlaskanie i zadowolone siorbanie.

Elfka i magin ponownie usiedli na pozostawionej derce. Nimena znów przytuliła się do boku Samtora.

– Jak to zrobiłeś? Koboldów przecież się nie widuje.

– Wyczułem ich obecność. Akurat sprzeczekali się, w którą stronę iść. Korzystając z tego, że są zajęci czym innym, zasugerowałem im zmianę postaci z niewidocznej na widoczną. Zaaferowani wzajemnym przekonywaniem się, nawet tego nie zauważyli. Chciałem ci zrobić przyjemność. Rzeczywiście, mało kto ma możliwość oglądania tych ludków. Ale ty też mnie zaskoczyłaś. Skąd znasz ich język? W dodatku tak płynnie?

– No cóż, ostatecznie jestem adiunktem w katedrze językoznawstwa Głównej Akademii Sarii. Nie zostałam nim tylko z powodu pięknych oczu. Coś niecoś potrafię. Znacznie dziwniejsze jest, że ty posługujesz się ich mową i to tak dobrze.

– No cóż, ostatecznie jestem maginem specjalizującym się w kontaktach z innymi myślącymi rasami i też coś niecoś potrafię – odparł przekornie Samtor.

Reszta czuwania minęła im na rozglądaniu się, wsłuchiowaniu w odgłosy nocy i na rozmowie, a właściwie monologu elfki. Nimena po kilku miłych zdaniach odnośnie do ich niedawno zawartej znajomości i samego magina zgrabnie nawiązała do wkrótce czekających ekipę badań. Zaczęła snuć rozważania na temat pochodzenia odkrycia. Zastanawiała się, czy w krótkim czasie zdoła opanować język stosowany przez twórców podziemnej budowli na tyle, aby rozumieć treść i istotę zawartych w nim przekazów. Mówiła o swej wielkiej chęci, by

wśród jadącego do kopalni grona zabłysnąć, wykazać się. O nadziei znalezienia nośnego tematu na habilitacyjną rozprawę, której publikacja i udana obrona wpłynęłyby na rozwój jej kariery naukowej. Podkreśliła, że jest to dla niej bardzo ważne, bo niezmiernie jej zależy na szybkim wyrobieniu sobie marki i zajęciu znaczącej pozycji, która – jak uważała – należy się jej w otaczającym ją naukowym świecie. Dotychczasowa jej zupełnie nie satysfakcjonowała. Dość jasno dała do zrozumienia, iż te aspekty odkrycia, które nie okażą się pomocne w jej życiowych planach, nie będą przedstawiać dla niej większego znaczenia. Nie wykluczała też, że jeżeli zaistnieje potrzeba i możliwość, skłonna będzie do zmiany swej naukowej specjalności.

Samtor słuchał tej wypowiedzi, coraz rzadziej włączając się do rozmowy. Nie przerywał jej, objawiał swoją uwagę tylko kierowanymi w stronę Nimeny spojrzeniami oraz skinieniami głowy. Sposób myślenia elfki niemiłe go zaskoczył. Szczególnie gdy mówiąc o sobie, ostro deprecjonowała innych. Do tej pory zupełnie inaczej ją postrzegał. Nie sądził, iż jest aż taką egocentryczką. Nie podejrzewał, że nawet tak doniosłe odkrycie może rozpatrywać jedynie poprzez pryzmat własnej osoby i swych indywidualnych korzyści. Z przykrością skonstatował, że jest nią rozczarowany.

On o kopalnianym znalezisku myślał w zupełnie innych kategoriach. Nie zastanawiał się, co osobiście jemu może przynieść udział w prowadzonych badaniach, ale myślał nad tym, jaki wpływ wywrą one na ogólny rozwój nauki i techniki, a w ostatecznym efekcie – na życie współczesnej populacji. Czy wiedza płynąca z przekazu owej nieznannej, a wygląda na to, że wysoko rozwiniętej, kultury stanie się zaczynem postępu

i współpracy, czy też regresu i wzajemnych zawiści. Pokoju i wzajemnego zbliżenia ras czy niesnasek i wojen. Miał podstawy, by sądzić, że podobnie jak on zapatrują się na to zagadnienie: król Artorus, czarodzieje Zachetyn i Semiston, jego brat Sytomir oraz Eyan.

Oczywiście zdawał sobie sprawę, że znajdzie się niemała liczba tych, którzy podejmą starania, by ewentualne korzyści płynące z odkrycia zaanektować na użytek wybranych jednostek lub tylko jednej rasy czy narodu. Ale żeby Nimena... Jej udział w wyprawie chyba był pomyłką. Jego początkowe zauroczenie nią – też.

Po pewnym czasie elfka umilkła. Samtor nie skomentował jej wypowiedzi i nie podjął prowadzonego przez nią tematu. Coś go powstrzymywało przed ujawnianiem swoich przemyśleń i odczuć siedzącej obok dziewczynie. Odnosił wrażenie, że jej ponętna postać i piękna twarz są zasłoną skrywającą skazę, której rąbek świadomie lub nie, ale został mu ukazany.

Elfka, jakby wyczuwając zmianę nastroju maga, spojrzała na niego i musnęła ustami jego policzek. Nie odwzajemnił pieszczoty.

– Sam, czy coś się stało? – zapytała. – Wydajesz mi się jakiś odmieniony.

– Nie, Nimeno, tylko poczułem się zmęczony. Na szczęście minęła północ. Odprowadzę cię, bo widać już ludzi z drugiej zmiany, a jutro znów cały dzień jazdy.

Podniosła się, ponownie czując rozczarowanie. Nie miałaby nic przeciw temu, by ją przytulił, by pocałował. Chętnie pozwoliłaby też na więcej. Zdecydowanie więcej. Nieco naburmuszona pomyślała, że w sprawach damsko-męskich jest głupi jak but i trzeba nad nim jeszcze popracować. Warto, bo jest

przystojny, ma wysoko postawionego brata i w ogóle może się przydać.

Nawet nie przeszło jej przez myśl, że to właśnie jej niedawna, niezręczna lub zbyt otwarta, wypowiedź może stanowić przyczynę nagłego chłodu magina.

Drugi dzień podróży karawany przebiegł bez żadnych szczególnych wydarzeń. Poranna pobudka, toaleta, szybkie śniadanie, zwykłe zamieszanie przed wyruszeniem i wyjazd. W drodze Samtor rzadziej podjeżdżał do wozu Eyana, a jeśli już, to raczej tak, by Biegan znajdował się po przeciwnej stronie niż Nimena.

Jego uniki, jak się okazało, niewiele dały. Około południa elfka zeskoczyła z wozu i poprosiła magina, aby się z nią przespacerował w celu rozruszania zastałych od kilkugodzinnego siedzenia kości. Nie potrafił odmówić, a może też nie bardzo chciał. Wspomnienia nocnych wynurzeń w świetle dnia jakby trochę zbladły, za to jej uroda jaśniała w pełni.

Szli obok siebie. Biegan na luźnych wodzach podążał za nimi.

– Sam, jesteś z kimś uczuciowo związany? – zapytała w pewnym momencie elfka.

– Dlaczego pytasz? – odpowiedział magin pytaniem na pytanie, niezbyt elegancko, chcąc zyskać na czasie.

– Chciałabym wiedzieć. Czuję do ciebie sympatię, która, nie ukrywam, może przerodzić się w coś więcej. Widzę, że ci się podobam, ale mimo to z twojej strony spotykam się z ogromną powściągliwością. Mało mówisz i choć są ku temu okazje, jeszcze mniej robisz, a wiem, że nieśmiały nie jesteś. Zachowujesz się

zupełnie inaczej niż podczas pierwszej naszej rozmowy, w trakcie zorganizowanego przez Semistona spotkania.

– Nie, Nimeno, nie jestem z nikim związany. Ale moja psychika jest odmienna od ludzkiej czy elfickiej. Przykro mi, ja w tych sprawach nie jestem zbyt szybki. Owszem, odbieram twoje pozytywne uczucia i podobasz mi się, ale...

– Ale nie chcesz mnie albo jeszcze nie jesteś pewny, czy mnie chcesz – wpadła mu w słowo elfka. – No cóż, zdarza się. Nic na siłę. Jednak proszę, nie skreślaj mnie. Wiedz, że jestem wolna, a ty jesteś mi miły. Przyjaźń między nami nie wchodzi w grę. Stawiam na raczej inne, powiązane z seksem i erotyką, uczucie.

– Jesteś bardzo bezpośrednia i konkretna. Ja biorę pod uwagę, że będziemy pracować razem i przebywać wspólnie z pozostałymi członkami grupy. Stosunku, który zapanowałby między nami, w tym gronie ukryć się nie da. To zaś skomplikowałoby sytuację, sprowokowało rozmaite komentarze i co najważniejsze, odciągnęło naszą uwagę od zasadniczego celu wyprawy.

– Co proponujesz?

– Zostawienie wszystkiego naturalnemu biegowi, nieponaglanie niczego i normalne, jedynie koleżeńskie układy. Z biegiem czasu wszystko się wykrystalizuje.

– Nie obawiasz się, że możemy coś istotnego zaprzepaścić?

– Jeśli uczucie, bo chyba to masz na myśli, będzie prawdziwe, czas go nie zniszczy. Jeśli nie – nie pozostanie niesmak.

Jeszcze jakiś czas maszerowali, więcej milcząc, niż mówiąc. Nimena trawiła wypowiedź Samtora. W głębi duszy przyznawała mu rację, ale nie było jej łatwo pogodzić się z faktem, że nie wszystko idzie tak, jak by chciała. Do tej pory to zawsze ona dyktowała warunki otaczającym ją mężczyznom, a oni,

zauroczeni jej urodą i wdziękiem, oczarowani chytrymi gierkami, poddawali się chętnie, nie zauważając, że elfka manipuluje nimi, aby osiągnąć swoje cele. I tym razem nie zamierzała złożyć broni, ale zrozumiała, iż musi zmienić taktykę. Ten chłopak był zdecydowanie inny. Przyznawała również ze zdziwieniem, że zależy jej na nim, jak dotąd na nikim.

– Zgoda, masz rację, tak rzeczywiście będzie lepiej. – Przewyciężyła wewnętrzne opory i wyciągnęła rękę do magina. – Ale proszę, nie unikaj mnie, bo nie ma ku temu powodów.

Uścisnął jej dłoń, czując, że złożona deklaracja nie do końca jest szczera.

Zmęczona bardziej rozmową niż przechadzką, Nimena poprosiła, aby odwiózł ją konno na będący sporo w przedzie wóz prowadzony przez Eyana. Zrobił to.

Tego dnia podróż zakończono dopiero wieczorem, w pobliżu przejścia granicznego i przystani promowej. Obóz rozbito na łące położonej na zachodnim brzegu Gary. Po drugiej stronie rzeki widniały zarośnięte lasami, im dalej położone, tym wyższe, górskie łańcuchy. Na następny rano zaplanowano przeprawę i odprawę celną. Zaprzęgi po przebyciu posterunków saryjskich miały się kierować na prom i zostać nim przewiezione na wschodni, należący już do Sweinu, brzeg rzeki.

Stoffa, zanim usiadł do kolacji, podjechał do dowódców obydwu posterunków, żeby wstępnie załatwić sprawy formalne i organizacyjne. Dla celników saryjskich miał list z podpisem królewskim, który zwalniał wozy karawany z kontroli. Dla morgijskich służb granicznych po krótkich targach, oprócz określonych taryfą celną opłat, kupcy wspólnie przygotowali finansowe datki i prezenty, a dla ich przełożonego – brzęczącą złotem sakiewkę. Fanty te miały być wręczone przed „sprawnie

i przychylnie” prowadzoną kontrolą. Z szyprami załóg przewoźników promowych ustalono, że opłata będzie uiszczana doraźnie przez poszczególnych właścicieli zaprzęgów w trakcie trwania przeprawy.

Wieczorny posiłek przebiegał w podobny sposób jak poprzedniego dnia, tylko gulasz został przez kucharza zastąpiony pysznym odgrzany bigosem, a kiełbasa – pokrojoną na grube plastry pieczenią. Smak mniej już świeżego chleba rekompensowały zwiększona ilość wina i ciekawe rozmowy.

Nocna warta przebiegła spokojnie.

Tym razem Nimena nie pojawiła się, by towarzyszyć Samtorowi na jego zmianie.

Trzeci dzień zaczęli z rannym świtem. Przeprawa i odpowiednio przygotowane formalności graniczne przeszły bez kłopotów. Karawana, będąca już w Morgii, a dokładnie w podległej jej zonie Swein, jadąc po pnącej się w górę drodze, zbliżała się do Brony. Teraz na jej czele znajdował się wóz powożony przez Eyana, który jako mieszkaniec osady pewnie kierował całą kolumną, mając zamiar wprowadzić ją na główny rynek. Był w swoich stronach, nie musiał nikogo pytać o drogę. Podniecony powrotem, chętnie opowiadał siedzącym na wozie pasażerom o zonie, jej mieszkańcach i ich zwyczajach. Właśnie niedawno ujrzeli wieże wyciągowe kopalni i dachy wyżej usytuowanych zabudowań.

– Ta wieża to kopalnia „Ferrum”, a tamta „Głęboka”, która jest naszym celem – oznajmił krasnolud, pokazując ręką. – Jest ona nieco oddalona od osady i jadąc, będziemy ją mieć po lewej ręce. Z rynku będziemy się musieli do niej cofnąć.

– Nie lepiej od razu się odłączyć i tam zajechać? – zapytał filolog.

– Z logicznego punktu widzenia tak. Ze względu na zachowanie tajemnicy nie – odpowiedział mu siedzący obok powożącego Eyana Semiston. – Zaufajcie nam, organizację odłączenia się od karawany mamy omówioną. Jeżeli nie zajdzie nic nieprzewidzianego, wszystko powinno zostać załatwione w sposób dosyć sprawny i naturalny.

Wieści w osadzie rozchodziły się nadzwyczaj szybko. Przyjazd kupców wywołał sensację. Kolejną, lecz tym razem przyjemną. Emocje związane z napadem, bitwą z bandą i sądem już nieco opadły, tylko żal po poległych mocno doskwierał. Zaciekawieni mieszkańcy Brony kręcili się między wozami, wypytując o nowiny ze świata i oglądając wystawiane pospiesznie produkty. Niekiedy wdawali się w targi o ich cenę.

Największym zainteresowaniem cieszyły się wiezione przez Elana Stoffę materiały sukienne oraz wystawione przez szewców obuwie. Zdecydowanie mniejszym, z uwagi na ogólnie skromną zawartość krasnoludzkich portfeli i sakiewek, darzono – stanowiącą zbytek – rzemienną uprząż i galanterię skórzaną. Na piękne meble rzucano tylko okiem, nawet nie pytając o żadaną za nie zapłatę. To na pewno nie był towar dla mieszkańców tej osady.

Znajomi, którzy zobaczyli Eyana, witali go, dziwiąc się, że uczestniczy w kupieckiej wyprawie, lub wprost zazdroszcząc mu pracy zapewniającej ich zdaniem lepszy niż godziwy zarobek. Jego wyładowany i okryty plandeką wóz był ustawiony na samym skraju centralnego placu osady.

Wkrótce po zajechaniu kawalkady na rynek wśród przyjezdnych pojawił się Ferdyn. Wypatrzywszy Eyana, podszedł i serdecznie go powitał, następnie wziął pod ramię i odprowadził na bok. Rozmawiali dosyć długo, między innymi o niedawnej

bitwie z bandą, o sądzie i wyroku. Sprawy te z oczywistych względów żywotnie interesowały przebywającego w ich trakcie poza zoną krasnoluda. Wypytywał dominata o szczegóły, o poległych i rannych. Wszystkich ich przecież znał. Mimo iż rozumiał wagę swej misji, nie mógł powstrzymać się od wyrażenia żalu, że osobiście nie uczestniczył w tak ważnych dla osady wydarzeniach. Po niedługiej chwili obaj przeszli do tematów związanych ze znaleziskiem i przerwaniem do kopalni grupy badaczy. Dominat, wprowadzony w szczegóły zamierzenia, zadawszy kilka uzupełniających pytań, skinął ze zrozumieniem głową, ponownie uściśnął Eyana i się oddalił.

Oglądanie towarów i wieńczone od czasu do czasu zakupem targowanie szły w najlepsze, kiedy tuż przed zachodem słońca zdarzył się wypadek. W stojącym spokojnie na uboczu wozie krasnoluda ni stąd, ni zowąd z głośnym trzaskiem załamała się oś. Przerazone muły zaczęły się szarpać, tupać kopytami i ryczeć, gdy tylna część pojazdu opadła na bruk, a dyszel, gwałtownie poderwany, szarpnął uprzężą, wywołując popłoch całej ich czwórki.

Przy uszkodzonym wozie od razu zebrał się żądny sensacji spory tłumek. Jedni złapali za kantary i głaszcząc, i łagodnie przemawiając, uspokajali zwierzęta, drudzy zastanawiali się głośno i dawali rady, co robić, jeszcze inni ciekawscy tylko stali i obserwowali w oczekiwaniu na dalszy rozwój sytuacji.

Szczęśliwym zrządzeniem losu ulicą prowadzącą do rynku jechał pusty furgon. Napis na jego boku informował, iż pochodzi z kopalni „Głęboka”. Elan Stoffa, dostrzegłszy go, wybiegł na jezdnię. Machając rękami i krzycząc, zatrzymał niespiesznie toczący się pojazd. Wytłumaczył siedzącemu na koźle krasnoludowi, co się stało, a ten, pokazując, że rozumie, skinął

zarośniętą lepetyną, strzelił z bata i z fantazją zajechał w pobliże unieruchomionego zaprzęgu Eyana. Szybko ustalono, iż ładunek znajdujący się na uszkodzonym wozie zostanie przeładowany na furgon i przewieziony nim na strzeżony teren kopalni. Zepsuty kupiecki pojazd również postanowiono ściągnąć do cieszącego się dobrą opinią zakładowego stelmacha, aby tam dokonać naprawy.

Zdjęciem plandeki i przełożeniem ładunku zajęła się pod czujnym okiem Eyana doraźnie zebrana szóstka miejscowych osilków, chętnych do niespodziewanego zarobienia trochę dodatkowego grosza. Wykonali pracę szybko i zręcznie. Załadowany już furgon, z siedzącymi na nim Antosem, Nimeną i Semistonem, szparko potoczył się w kierunku kopalni. Eyan wraz z towarzyszącym mu Samtorem, z udziałem tych samych pomocników, podłożyli pod leżący na bruku tył wozu sanki zbite z drewnianych kantówek, przedziwnym przypadkiem znajdujące się na innym zaprzęgu Stoffy, i poganiając uspokojone już muły, powoli podążył za nimi.

Po oddaleniu się obu pojazdów ciekawscy rozproszyli się wśród zachwalających swe towary sprzedawców, przechodząc do porządku dziennego nad niedawnym incydentem. Zdarza się przecież, że zbyt obciążona oś, szczególnie po pokonaniu trudnej drogi, może ulec awarii. Szczęście, że nikt przy tym wypadku nie ucierpiał na zdrowiu, a przytrafił się on w miejscu, gdzie bez większego trudu można było uzyskać wszelką pomoc.

Pozostałych uczestników ekipy badawczej do kopalni „Głęboka” doprowadził, już po zapadnięciu zmroku, Eyan. Zostawiwszy przed warsztatem stelmacha uszkodzony wóz, wyprzągł ciągnące go muły i wrócił z nimi na rynek, gdzie przekazał je Stoffie. Serdecznie pożegnał się z kupcem,

zgrupował pozostałą szóstkę członków ekipy i poprowadził ich na przygotowany przez zarządcę kopalni posiłek i nocleg.

Kiedy przybysze z Sarii odświeżali się, jedli i szykowali do snu, ściągnięci przez zarządcę, wtajemniczeni w sprawę znaleziska gwarkowie, zachowując dyskrecję, z niemałym trudem zajmowali się przetransportowaniem przywiezionego furgonem ładunku ekipy w pobliże miejsca przyszłych badań. Przewidywali, że na dostarczenie go do celu potrzebne im będą dwa dni.

Biegan na czas rozłąki z Samtorem trafił pod opiekę zarządcy, do kopalnianej stajni.

Saryjczycy mieli zostać obudzeni i wprowadzeni pod ziemię przed świtem, tak by wyprzedzić górników z pierwszej szczyty.

Późnym wieczorem do Elana Stoffy, zgodnie z ustaleniami, których dokonał z Sytomirem, zgłosiła się dziewiątka ludzi, mająca uzupełnić liczbę tych, którzy odłączyli się w Bronie. Zostali oni przydzieleni do zdekompletowanych załóg jego wozów. Te personalne zmiany przez stałych pracowników kupca zostały przyjęte bez komentarzy i bez wielkiego zdziwienia, ponieważ szef wyprawy wytłumaczył zatrudnienie nowych osób całkiem sensownie. Według jego relacji podstawą rezygnacji dotychczasowych towarzyszy podróży było ich niezadowolenie z proponowanej zapłaty. Stoffa przyznał, że zarobek tych osób, co odeszły z powodu bardzo krótkiego stażu w firmie, miał być niższy niż pozostałych pracowników. Podczas drogi w trakcie prowadzonych rozmów posłyszeli o tym i poczuli się dyskryminowani. Płaca wydała się im niewspółmierna do ponoszonych trudów i ryzyka. A ponieważ powszechnie wiadomo, że z niewolnika nie ma pracownika, lepiej z niezadowolonymi było się rozstać, tym bardziej że trafili się

inni, bardziej chętni, którym zapłata odpowiada. Eyan i Samtor oficjalnie zostali, by pilnować naprawy wozu.

Rankiem karawana kupiecka, licząca teraz szesnaście pojazdów, znów w pełni obsadzonych załogą kupiecką i ochroną, opuściła Bronę. Po południu była już poza granicami zony i kierowała się na wschód.

Berna z Zegonu, powiadomiona przez wysłanego od Agedona umyślnego, była przygotowana do podróży. Kilka dni temu znany jej gnom przywiózł list, w którym zawarto informację o spodziewanym terminie przybycia ekipy badawczej z Sarii do Brony oraz o jej składzie. Trochę ją zaniepokoiła obecność w tym zespole arcymaga Semistona. Założyła jednak, że jego uwagę na tyle przykują badania, iż jej ciesząca się poparciem komesa ze Sweinu osoba, nawet w wypadku ewentualnej identyfikacji, nie wzbudzi w nim niechęci. Przynajmniej nie takiej, żeby w trakcie prowadzonych prac zdecydować się na podjęcie nieprzyjaznych działań. Poza tym, o ile wiedziała, nie uczestniczył on w żadnym z jej procesów, nie słyszała też, by dotychczas przejawiał w stosunku do niej jakąkolwiek wrogość. Uznała też, że waga odkrycia warta była ryzyka ewentualnego zdemaskowania jej prawdziwej tożsamości. W razie czego ona też nie wypadła wronie spod ogona i potrafi się skutecznie bronić.

Spakowała się. Opiekę nad gospodarstwem powierzyła Kandosowi i Hatmie, oznajmiając im, że jej nieobecność potrwa około miesiąca. To samo przekazała kotu, zlecając mu, by obserwował okolicę i miał baczenie na dom.

Uznawszy, że jest gotowa i nadeszła właściwa pora, otworzyła teleport.

Tyrpan Kopacz obrócił klucz w zamku, nacisnął klamkę i uchyliwszy drzwi, zastygł zdziwiony. Zobaczył w swym służbowym, zamkniętym od zewnątrz pomieszczeniu nieznaną sobie, dość wysoką, zgrabną, ubraną w spodnie i bluzę kobietę, która na jego widok wstała z krzeselka i się uśmiechnęła.

– Wejdźcie, panie zarządczo – rzekła. – Bardzo przepraszam, że nieproszona wtargnęłam do waszego gabinetu, ale wydał mi się on najodpowiedniejszym miejscem. Mam na imię Nebra. Nebra z Dyned. Na prośbę waszego komesa mam brać udział w badaniach znaleziska. Jesteście ciekawi, jak dostałam się do zamkniętego pokoju? Jestem czarodziejką, przybyłam tu teleportem. A że nie chciałam nagłym pojawieniem się budzić sensacji na placu, gdzie ktoś niepowołany mógłby mnie zauważyć, wybrałam właśnie to miejsce.

Krasnolud, patrząc na powabną postać i słysząc wyjaśnienia, uspokoił się. Zamknął za sobą drzwi i się przedstawił.

– Nazywam się Tyrpan Kopacz, jestem zarządcą tego zakładu. Nasz dominat, Ferdyn, uprzedził mnie o pani przybyciu. Co prawda myślałem, że nastąpi ono w sposób bardziej tradycyjny, ale to nieważne. Od wczoraj są na miejscu dwaj wysłannicy Agedona, a dziś przed kwadranssem dotarła reszta grupy z Sarii. Tak więc mamy już wszystkich. Teraz proponuję posiłek i sen, bo przed świtaniem zamierzamy wprowadzić całą waszą ekipę do kopalni. Dotarcie do celu powinno zająć nieco ponad cztery godziny. Ten pokój rzeczywiście wydaje się najbardziej stosowny dla pani. Proszę czuć się jak u siebie. Nikt włącznie ze mną nie zakłóci tu spokoju. Obudzę na czas.

– Dziękuję, panie zarządczo. Jest pan miły. Z kolacji zrezygnuję, za to chętnie napiję się czegoś chłodnego i się prześpię. Już dosyć późno, a podróż teleportem chociaż trwa krótko, to mocno wyczerpuje. Nie, nie alkoholu – wstrzymała go, zobaczywszy, że kieruje się do stojącej w oszklonym regale niedużej karafki. – Proszę o szklankę wody. To mi wystarczy.

Otrzymawszy wodę, podziękowała i zapytała Tyrpana, czy zna członków organizującej się ekipy.

Niestety, zarządca niewiele mógł na ten temat powiedzieć. Zapewniła go, że to nic nie szkodzi, że w swoim czasie sama ich pozna. Poprosiła jednak, by nie wspominał przedwcześnie, iż jest czarodziejką.

Po wyjściu krasnoluda, popijając napój małymi łyżkami, położyła się na kanapie. Przez chwilę rozmyślała o czekającej ją pracy oraz o nieznanym osobach tworzących ekipę, z którą przyjdzie jej spędzić pod ziemią dość długi okres. Następnie nietrzymane na wodzy myśli samorzutnie, nawet trochę wbrew jej woli, przeszły do wspomnień. Dokonywała przeglądu i jednocześnie oceny swojego życia. Nie potrafiłaby odpowiedzieć, dlaczego robi to właśnie teraz. Wiedziała natomiast, że bilans ten nie wychodzi dobrze. Że absolutnie nie jest z niego zadowolona. Oprócz momentów błyszczących i ciekawych występowały w nim okresy smutne i jałowe. Zwłaszcza tych ostatnich zdarzało się wiele, zdecydowanie za wiele. Nie one doskwierały jednak najbardziej. Najgorsze były ciągle samotność i dotkliwie poczucie braku sensu istnienia.

Zapadała w sen z bolesną myślą, że pomimo dość bogatej i urozmaiconej praktyki erotycznej nigdy w swoim, przecież niekrótkim, życiu naprawdę nie kochała i jej też nikt nie darzył prawdziwą miłością. No, prawie nikt, bo miała kiedyś czułą

matkę, był też opiekun, kochający ją jak własną córkę. Nazywała go wujkiem, ale traktowała jak ojca. To on, mądry i dobry czarodziej, nie tylko wyrwał ją, małą dziewczynkę, ze szponów niechybnej śmierci, ale został jej pierwszym nauczycielem i przewodnikiem w świecie magii. Później, zdobywając kolejne, coraz wyższe stopnie wtajemniczenia, jeszcze nie raz korzystała z jego świątłych porad i doświadczenia. Teraz jednak nie ten rodzaj uczucia miała na myśli. Dręczyło ją, że nie miała nigdy bliskiego miłującego i miłowanego przez siebie mężczyzny. Nikogo, komu by była naprawdę potrzebna.

Usnęła z przykrym wrażeniem, że w życiu coś bardzo ważnego ją ominęło. Umknęło, kto wie, czy nie bezpowrotnie.

ROZDZIAŁ XIII

Czternastoosobowa ekipa od tygodnia prowadziła intensywne prace na terenie podziemnego znaleziska w kopalni „Głęboka”.

O dziwo atmosfera panująca zarówno pomiędzy specjalistycznymi, dwu-trzyosobowymi podzespołami, jak i między poszczególnymi badaczami, mimo pojawiających się od czasu do czasu różnic zdań i toczonych sporów merytorycznych, była ogólnie dobra. Trudno powiedzieć, czy większy wpływ na taki stan miały starannie przemyślany dobór uczestników wyprawy i warunki, w których się znaleźli, czy też wyważone postępowanie koordynującego całość poczynań Semistona. Z pewnością każdy z tych czynników odgrywał bardziej lub mniej istotną rolę, lecz także niemałe znaczenie miał zakres badań, tak zróżnicowany i tak ogromny, że poszczególne zespoły rzadko wchodziły sobie w drogę. Nieporozumienia wynikały jedynie w wąskich obszarach, w których zajął się tematami różnych specjalistów lub kierowanych przez nich grup, i tylko wtedy, gdy interpretacje wyników uzyskanych przez jednych, poddane weryfikacji innych, zdecydowanie się różniły.

Aby wszyscy mieli aktualny stan wiedzy i nie tracili czasu oraz sił na wyważanie już otwartych drzwi, Semiston wprowadził zwyczaj codziennych koordynacji, które pod jego kierownictwem odbywały się zwykle po popołudniowym posiłku. Omawiano na nich przebieg i postępy dziennych prac, uzyskane rezultaty,

przedstawiano wypływające wstępnie wnioski, zgłaszano propozycje i zamierzenia. Brali w nich stały udział wszyscy członkowie prowadzonej misji, jedynie kucharz i jego pomocnik uczestniczyli w odprawach tylko wówczas, gdy ich obecność była wskazana lub niezbędna. Co ciekawe, te codzienne narady zostały zainicjowane właśnie przez tych dwóch, kiedy to podczas sprawnie i niespodziewanie zorganizowanej gorącej kolacji kilka godzin po przybyciu całej grupy badaczy na miejsce nastąpiła pierwsza, spontaniczna, wymiana zdobytych doświadczeń.

Zdarzało się też, przeważnie po odkryciu czegoś wysoce niezwykłego lub niezrozumiałego, że badacze główni i ich asystenci zbierali się doraźnie, by wspólnie poznać i przedyskutować napotkany problem. Wtedy wymiana poglądów potrafiła nabierać wysokiej temperatury, a niekiedy nawet przekształcała się w coś zbliżonego do burzy mózgów. Ta zwykle skuteczna, stawiająca na kreatywne myślenie metoda w warunkach, w których wszystko było nowością i zagadką, niestety często zawodziła. Faza grupowego generowania pomysłów jeszcze wychodziła zupełnie nieźle, ponieważ więzi pomiędzy badaczami się zacieśniły.

Szczególne warunki, w których przyszło im mieszkać i pracować, sprawiły, że znacznie zmniejszył się między nimi dystans i na dalszy plan zeszły – jeśli w ogóle istniały – poprzednie animozje i uprzedzenia. Przestało ich krępować wygłaszanie przed innymi przychodzących im do głów ad hoc pytań, hipotez i poglądów. Nie żywili obaw, że ich wypowiedzi spotkają się z natychmiastową nieprzychylną oceną lub zjadliwą krytyką.

W takich okolicznościach pomysły jednych często inspirowały drugich do ich modyfikacji, rozwijania lub łączenia rzucanych

rozwiązań, tak że powstawały z nich zupełnie nowe. Wspólnie wybierano te, które wydawały się najlepszymi, i je weryfikowano. Jeśli problem był natury praktycznej – poprzez podejmowanie prób użytkowania, jeżeli teoretycznej – przez pozostawienie czasu na inkubację, czyli szukanie przez umysły rozwiązania, często na poziomie nieświadomym, podczas snu lub drzemki, w nadziei na olśnienie, zwane też iluminacją lub zjawiskiem „aha”, zwykle objawiającym się pojawieniem w umyśle gotowego, właściwego wyniku, kwitowanego stwierdzeniami w rodzaju: „Aha, wiem!”, „Aha, rozumiem!”. Należy jednak przyznać, iż ten etap w porównaniu z poprzednim był zdecydowanie słabszy. Inwencja badaczy, przygnieciona ogromną ilością nowych, nieznanych rzeczy i zjawisk, na razie rzadko bywała wspomagana doznawaniem takich olśnień, a jeżeli już, to w przypadkach drobnych i wycinkowych, a nie zasadniczych, pozwalających na stworzenie kompleksowej teorii, która wiarygodnie tłumaczyłaby na przykład cel i przyczyny stworzenia budowli, określała dokładny czas jej powstania czy przybliżała badającym twórców tego wielce zaawansowanego technologicznie tworu.

Obiektywnie należy powiedzieć, że po pierwszych dwóch dniach, podczas których wszyscy się aklimatyzowali i poznawali niezwykle dla siebie otoczenie, badania zaczęły posuwać się do przodu. Małymi krokami, ale jednak. Z każdą upływającą dobą i godziną powiększał się zasób zdobywanej wiedzy. Nie pozwalał on jeszcze na uogólnienia, ale już zapoczątkował tworzenie bazy danych, która z czasem – wszyscy mieli taką nadzieję – powinna je umożliwić.

Przemieszczenie połączonej ekipy na teren podziemnego znaleziska przeszło bez przeszkód. Wczesnym świtem, po

spędzonej w kopalnianym budynku nocy, występujący w roli gospodarza zarządca Tyrpan Kopacz przedstawił sobie wzajemnie obie grupy; tę przybyłą z Sarii, kierowaną przez Semistona, i drugą, mniej liczną i zwartą, tworzoną przez badaczy z zony. Po powitaniu i wypitej w pośpiechu przedporannej kawie miejscowi przewodnicy poprowadzili ich do windy szybu kopalnianego, a potem, po zjechaniu na właściwy poziom, chodnikami, upadowymi i naturalnymi grotami w kierunku przypadkowo odkrytego obiektu, będącego celem badań. Krasnali wyznaczonych do obsługi przybyłych była czwórka. Z grona znających tajemnicę kopalni wybrał ich jej zarządca. Zmieniającymi się dwójkami mieli oni stale towarzyszyć przebywającym na terenie penetrowanego znaleziska, zaopatrywać ich w żywność, wodę i inne potrzebne produkty oraz udzielać pomocy i rady, gdyby w kopalni zaszło coś szczególnego.

Marsz szerokimi, wysokimi, w miarę płaskimi i rozjaśnianymi światłami pochodni wyrobiskami w eksploatowanej części kopalni, początkowo stosunkowo łatwy, w miarę oddalania się od jej centrum i schodzenia na niżej położone poziomy stawał się coraz bardziej wyczerpujący. Niewiele poprawiały sytuację idących ledwie rozjaśniające podziemne mroki, migoczące światełka lamp górniczych. Nadzwyczaj trudne do pokonania i niebezpieczne były pochylone nawet do czterdziestu stopni, nieraz śliskie z powodu wilgoci lub sączących się strumyczków upadowe, czyli wyrobiska korytarzowe łączące położone na różnej głębokości pokłady.

Właśnie na jednym z takich pochyłości Berna poślizgnęła się i byłaby upadła, gdyby nie została wsparta czymś silnym ramieniem. Po odzyskaniu równowagi odwróciła się, by

przypadkowemu ratownikowi podziękować. Uczyniła to i od pierwszego wymienionego zdania i uśmiechu odniosła wrażenie, iż spotkała kogoś wyjątkowego. Poczowała nieznany sobie niepokój i zaciekawienie. Po godzinie urywanej rozmowy prowadzonej podczas marszu zdała sobie sprawę, że zakochała się na zabój. Ona, licząca dwieście sześćdziesiąt lat czarodziejka o zimnym, nieczułym sercu, analitycznym umyśle i nie najlepszym charakterze, arcy mistrzyni obojga magii, odkryła w sobie kobietę (sama sobie nieraz zadawała pytanie, czy to określenie w stosunku do niej jest na pewno adekwatne) i poczuła, że zależy jej na idącym to obok, to na węższych odcinkach trasy tuż za nią postawnym, młodym mężczyźnie. Nie była pruderyjna, nie okłamywała siebie.

„Będzie mój – postanowiła. – Na jak długo, pokaże czas”.

Nie miała wątpliwości, że w sposób naturalny lub w razie konieczności z pomocą magicznych umiejętności osiągnie zamierzony cel.

Samtor już na początku zwrócił uwagę na nową uczestniczkę zespołu, którą Tyrpan Kopacz, krasnolud zarządzający kopalnią, przedstawił jako Nembrę z Dyned, badaczkę z zony, wydelegowaną przez komesa Agedona. Przydomek wskazujący jej miejsce pochodzenia wydał się maginowi nieco dziwny. Dyned było przecież odrębnym, niepodległym królestwem, leżącym na północ od Sweinu.

Przemknęło mu przez myśl, że przecież mogła nie urodzić się tam, a jedynie dokonać czegoś istotnego, co sprawiło, że została pasowana na damę tej krainy. Ale w tak młodym wieku? Cóż, jeszcze jeden przykład, że losy potrafią być skomplikowane.

Szczupła, ale kobieca sylwetka Nembry, podkreślona dobrze skrojonymi spodniami oraz lekko dopasowaną bluzą, jasna,

kontrastująca z kruczymi włosami karnacja cery, płynnie zarysowane łuki brwi i ledwie muśnięte barwiczka, pięknie wykrojone usta zafascynowały Samtora od pierwszego spojrzenia. Jego wyostrzony wzrok dostrzegł w niej tylko jedną nawet nie wadę, co raczej drobną niekonsekwencję urody. Ta piękna, wyglądająca na dwadzieścia kilka lat kobieta jak na swój wiek miała za poważne oczy. Spojrzenie należące zazwyczaj do tych, którzy w swoim długim życiu napatrzyli się na zbyt wiele okropności, na zbyt wiele zająć okrutnych i złych. Osobnicy, którzy wbrew woli bywali zmuszani mieć w takowych swój udział lub też – na swe nieszczęście – ich zaznali.

Podczas drogi magin tak się ustawiał, by być blisko interesującej go kobiety. Idąc za nią, zerkał i podziwiał, jak zwinnie i z gracją pokonuje trudniejsze miejsca i omija przeszkody. Nie oglądała się i nie stwarzała okazji do wszczęcia rozmowy, aż do czasu niefortunnego poślizgnięcia na mokrym spągu upadowej. Był tuż za nią, więc zdążył już przewracającą się objąć w pasie i przywrócić do równowagi.

Jej podziękowanie i uśmiech, jakim go obdarzyła, stały się dodatkowym bodźcem mobilizującym do zawarcia z nią bliższej znajomości. Mimo iż zarządca kopalni już wcześniej przedstawił ich sobie, Samtor wymienił swe imię jeszcze raz. Jej uważne spojrzenie rzucone spod lekko zmrużonych powiek i skinienie głową odebrał jako potwierdzenie, że zostało ono przez nią zapamiętane.

Zainicjowana przez Nebrę dalsza rozmowa, początkowo bardzo ogólna, z czasem zeszła na tematy związane z celem badań i specjalnościami poszczególnych uczestników zespołu. Magiczka jak najszybciej chciała zdobyć rozeznanie w sytuacji i zgromadzić możliwie najwięcej wiadomości o osobach,

z którymi przyszło jej przebywać w nowych, nietypowych warunkach. Samtor to rozumiał, starał się w miarę możliwości trafnie opisać sylwetki członków grupy. Nie rozwodził się, nie mówił zbyt wiele, ale jego zwięzłe, zawierające najistotniejsze informacje charakterystyki postaci tworzących ekipę przybyłą z Sarii w wystarczającym jak na początek stopniu przybliżyły jej nowych znajomych. Wyjątek zrobił, mówiąc o krasnoludzie Eyanie. Opisał go znacznie dokładniej niż innych. Podkreślił rozległą wiedzę, odwagę i prawość niziołka. Nie mógł się też powstrzymać, by nie wspomnieć o jego żonie Tui oraz o bliźniakach Mizenie i Gozenie.

Nebra odnotowała, że w trakcie mówienia o tych osobach głos mężczyzny przybrał miększą barwę, a słowa były cieplejsze.

Szczególną uwagę czarodziejki przykuła postać Semistona. Pozornie bez większego zainteresowania zadała Samtorowi kilka pytań dotyczących jego osoby. Słuchając odpowiedzi, po raz kolejny usilnie starała się sobie przypomnieć, czy w przeszłości zetknęli się osobiście i czy ze strony arcymaga z Mirty dotarły do niej jakieś przejawy wrogości. Pamięć nic takiego jej nie podsunęła, jednak niepewność pozostała. Wieści wszak rozchodzą się różnymi ścieżkami, lojalność wobec konfraterni jest zasadą raczej przestrzeganą, a sympatia magów – jak łaska pańska – na pstrym koniu jeździ.

Czujność jej, ale już innego rodzaju, wzbudziły także lakoniczność i jakby oschłość opisu ładnej i młodej elfki Nimeny. Podświadomie wyczuła, że może w niej mieć rywalkę, i już na początku uznała, że chociaż jeszcze jej nie zna, to już jej nie lubi.

W trakcie prowadzonej podczas drogi rozmowy Samtor nie zapytał o specjalność i przewidywane kierunki badań Nebry. O sobie nie opowiedział również. Uznał, że na jedno i drugie

przyjdzie jeszcze pora. Czarodziejka zauważyła to i doceniła. Mogła co prawda sama niepostrzeżenie przesondować umysł interlokutora, ale nie spieszyła się, nie chciała ryzykować. Również uważała, że znajdzie na to stosowniejszy czas, sprzyjające okoliczności. Tym bardziej, że odniosła wrażenie – a rzadko się zdarzało, by w tej materii popełniała pomyłki – iż w niektórych momentach jej rozmówcy towarzyszy zbyt silna i nadto zagęszczona jak na człowieka aura. Dopuszczała jednak możliwość, że to tylko efekt zwiększającej falę wypadkową losowej interferencji pól, która mogła wynikać z lokalnego nakładania się wpływów dość nieregularnie zalegających w kopalni skupisk aktywnych minerałów.

Po prawie pięciu godzinach podziemnej podróży połączona ekipa badawcza prowadzona przez znających drogę do znaleziska miejscowych gwarków dotarła do celu. Pomimo wcześniejszego przygotowania widok potężnej konstrukcji, efekty samoczynnego otwierania oraz zamykania się solidnych wrót, zapalania i gaszenia świateł, a następnie pokazanie się dziwnego, niebieskawego okienka z mówiącym coś w nieznanym języku osobnikiem, zadziałały na psychikę. Wywołały jeżeli nie szok, to zdziwienie i zaskoczenie niewiele mniejsze niż u uczestników grup będących tu poprzednio.

Jeszcze raz dobitnie się okazało, że usłyszenie o czymś i na tej podstawie utworzenie sobie wyobrażenia to jedno, a zetknięcie się z tym w rzeczywistości – to drugie.

Semiston i Samtor, z racji posiadanych cech i przeprowadzonych z Eyanem wielogodzinnych rozmów, najlepiej – oprócz tego ostatniego – byli przygotowani do spotkania z dziwami znaleziska. Po przerwie na ochłonięcie – nie tyle ze zmęczenia po marszu, co po doznanych wrażeniach –

udali się wraz z pozostałymi członkami wyprawy do tej strefy budowli, która według ich rozeznania mogła stanowić kiedyś część socjalną. Położenie jej było im znane ze szkiców sytuacyjnych sporządzonych przez krasnoluda jeszcze w Todorze.

Oprócz kilku większych pomieszczeń w strefie tej mieściły się niewielkie pokoiki, przystosowane dla jednej lub dwóch osób. Było ich tak wiele, że uczestnicy misji mogli rozlokować się w nich pojedynczo, a i tak większość kwater została wolna. Zajęło im to niezbyt dużo czasu, jako że przynieśli ze sobą tylko rzeczy osobiste i prowiant potrzebny na dwa dni. Reszta ich sprzętu i zapasów, zgodnie z zapewnieniem zarządcy kopalni, miała w tym terminie zostać im dostarczona. Czas oczekiwania na ekwipunek zamierzali wykorzystać na zapoznanie się z rozkładem obiektu, jego urządzeniami i wyposażeniem.

Przed rozejściem się badaczy do pomieszczeń, mających w najbliższych tygodniach służyć im za mieszkania, Semiston stanowczo poprosił, by dopokąd nie zdobędą właściwego rozeznania w otaczającej ich rzeczywistości, w miarę możliwości starali się nie poruszać w pojedynkę oraz zachowywali szczególną ostrożność i rozwagę.

Krasnoludzcy przewodnicy rozdzielili się, jedna dwójka została, druga – po krótkim odpoczynku połączonym ze spożyciem przyniesionego przez siebie posiłku – ruszyła w drogę powrotną.

Zeno Pastal, który dopiero niedawno skończył trzecią dziesiątkę lat swego życia, cieszył się sławą dobrego i wszechstronnego kucharza. Lubił gotować, dusić i smażyć

potrawy, piec ciasta, przyrządzać sałaty i sosy oraz desery. Odczuwał niekłamanie zadowolenie, kiedy konsumentom jego wytwory trafiały w gust. Uważał, że podstawą zdrowia oraz dobrego samopoczucia jest regularne spożywanie dań zróżnicowanych pod względem smaku i składu i – co u mistrzów patelni jest raczej rzadkie – w ilościach wystarczających, lecz nie nadmiernych. Był zwolennikiem poglądu, że trawienie pokarmów powinno się wspomagać pewną ilością alkoholu, stosownie dobranego do rodzaju potrawy. Wiedział też, że w procesie jedzenia niezwykle ważną rolę, oprócz zmysłów smaku i zapachu, odgrywa wzrok. Dlatego starał się, aby wygląd zastawy stołowej, obrusów, a co najważniejsze, serwowane z jego kuchni smakołyki radowały te trzy zmysły i pobudzały apetyt. Gdy wszystkie czynniki mu grały, a stołownicy wykazywali oznaki zadowolenia, miał poczucie dobrze wykonanej roboty i odczuwał satysfakcję. W ogóle żywił sympatię do innych i odwrotnie – z racji pogody ducha oraz swej życzliwej jowialności przez znakomitą większość znających go lubiany był także.

Na dworze Artorusa, pomimo stosunkowo młodego wieku, był trzecim kucharzem. Podlegał mistrzowi kuchni, swemu ojcu, którego niegdyś wraz z żoną Zuzanną i nim, ich piętnastoletnim wówczas synem, z majątku swego ojczyma na królewski dwór sprowadził Sytomir, będący już szefem tajnych służb Sarii. Gdy na kilka dni przed wyruszeniem kupieckiej karawany otrzymał od tego ministra propozycję dołączenia do wyprawy, nie wahał się ani chwili.

Zgodnie z poleceniem dobrał znanego sobie, ciekawego świata i chętnego do wyjazdu piętnastoletniego pomocnika kuchennego – sierotę, Jaśka Chochelkę.

Szybko się dogadali, opracowali plan i we dwóch zaczęli gromadzić naczynia kuchenne, zastawę i zapasy niezbędne do wykarmienia członków badawczego zespołu. Nie mieli na to zbyt dużo czasu, ale potężnie ogołociwszy królewską spizarnię i nieco opróżniwszy kredens – oczywiście w legalny sposób, za wiedzą i zgodą królewskiego stolnika i mistrza kuchennego – zdążyli. Całe owo uskładane dobro w przeddzień wyjazdu załadowali na duży, kryty plandeką wóz, którym powozić miał krasnolud Eyan. Oni sami, ku swemu niezadowoleniu, mieli przydzielone miejsca na innym pojeździe. Smętne nastroje kucharza i jego pomocnika nie trwały jednak długo. Ich nowy woźnica, dosyć młody wiekiem, ale znający tajniki zawodu handlowca, pracownik Elana Stoffy, szybko okazał się człowiekiem wesołym i towarzyskim, a jego nieco starszy kompan – niezmordowanym, opowiadającym ciekawe historie gadułą. Gwoli prawdy, trzeba powiedzieć, że niemały wpływ na obrotność języków i poprawę humorów zgromadzonego na wozie towarzystwa miały wydzielane co jakiś czas przez Zena miarki dwuletniego porzeczkowo-wiśniowego wina z zabranego ot tak, na wszelki wypadek, okazałego bukłaka.

Po zajęciu położonych obok siebie pomieszczeń kucharz Zeno i Jasiak Chochełka przystąpili do realizacji swego głównego zadania. Zaczęli rozglądać się za miejscem, które byłoby odpowiednie na urządzenie kuchni i stołówki. Najpilniejszymi do rozwiązania problemami wydawały się im sprawy związane ze zorganizowaniem bezpiecznych warunków do rozpalania ognia i zgromadzenia opału. Kopalnia, będąca źródłem pozyskiwania rud żelaza, nie zaoferowała im nawet drobnych żył czy gniazd węgla. Zasobów drewna w pobliżu także nie było. Rozpytywali prowadzące ich krasnoludy, czy w kopalni występuje metan.

W przypadku jego obecności otwarty płomień stwarzałby realną groźbę wybuchu. Przewidywali także, iż mogą wystąpić kłopoty z odprowadzaniem oparów, fetorów kuchennych i dymów powstających przy obróbce ciepłej potraw. Te ostatnie mogły się stać przyczyną zaczadzenia. Roztrzásając nurtujące ich problemy, stali w hallu i radzili, co począć, jak sobie dać z nimi radę. Nie było to proste.

– Panie Zeno – zaczął Chochelka – tak sobie myślę, że kto by tu kiedyś nie był, musiał jeść, pić i załatwiać swoje potrzeby. Z wielkości i ilości pomieszczeń wynika, że mieszkańców tej podziemnej osady czy, jak by to wszystko tutaj zwał, musiało być sporo. Znacznie więcej niż teraz nas. Wszędzie pomimo zalegającej warstwy kurzu czy pyłu jest tu porządek. Wygląda więc, że byli oni nieźle zorganizowani. W takim razie powinni mieć miejsca, w których to robili. Poszukajmy, może coś uda się znaleźć.

– Chyba masz rację. Najpierw jednak rozejrzyjmy się po naszych pokojkach. Trzeba je poznać, bo będziemy w nich mieszkać.

– W takim razie trzeba zapalić latarnię, bo przynajmniej u mnie jest ciemno. Nic tam nie widać.

– U mnie też, ale zauważyłem, że u pana Semistona coś się świeciło. Chodźmy. Zapytamy, jak on to zrobił.

W pomieszczeniu zajęтым przez czarodzieja rzeczywiście jarzyło się niezbyt mocne światełko. Na pytanie, w jaki sposób je zapalił, obchodzący swe nowe lokum mag stanął i podrapał się po głowie.

– Nic nie zrobiłem. Kiedy otworzyłem drzwi, było tak, jak jest. Światło już się paliło. Nawet nie pomyślałem o tym. Ale popatrzmy.

We trójkę zbliżyli się do stojącego przy niewielkim stoliku wysmukłego przedmiotu, który rozjaśniał mrok. Światłość rozchodziła się od szklanej, misternie wygiętej w podwójną pętelkę rurki o mlecznej barwie, osłoniętej prawie przezroczystą, wzorzystą osłoną w kształcie niemającego podstaw, ściętego stożka. Jasiek ostrożnie zbliżył dłoń do źródła światła.

– Grzeje. Wewnątrz musi być jakiś płomyk. Czary, mistrzu?

– Nie sądzę – odparł Semiston, spoglądając na odchodzący od kolistej podstawy badanej lampy przewód, kończący się przywartym do ściany zgrubieniem. W podstawie tej widoczny był też jakiś czarny prostokątny przycisk. – Nie myślę, że czary – powtórzył i dodał: – Spróbujemy nacisnąć ten wihajster, zobaczymy, co się stanie.

Mówiąc to, delikatnie dotknął i przejechał wskazującym palcem lewej ręki po lekko wgłębionej, jakby przygotowanej dla opuszki palca powierzchni przycisku, a potem zdecydowanie go nadusił. Rozległ się lekki trzask i w pokoiku zapanowała ciemność. Ponowne naciśnięcie i znowu stało się widno.

– No, to z jednym sobie poradziliśmy – rzekł z uśmiechem mag.

– Dzięki, mistrzu, pozwól mi także spróbować – powiedział Chochelka i nim Semiston zdążył odpowiedzieć, kucharczyk powtórzył jego operacje. Efekty działań były identyczne.

Wychodząc, Pastal potknął się o zostawiony na podłodze plecak maga i się zatoczył. Aby obronić się przed upadkiem, odruchowo oparł o ścianę wyciągniętą rękę. W tym samym momencie pokój zalała intensywna jasność. Wszyscy mocno zaskoczeni spoglądali, co się stało. Odkryli, że w pobliżu ościeży drzwiowych, na ścianie, jest zamontowany kolejny, większy przycisk, o który przypadkowo zahaczył kucharz i którym można

włączać mocne światło, zamontowane przy suficie. Jasiek i tym razem nie mógł sobie odmówić kolejnej próby. Również ona okazała się udana.

Po opuszczeniu pomieszczenia Semistona chłopak najpierw pozapalał światła we własnym pokoiku, a następnie, ponieważ jego szef zrobił to u siebie sam, przebiegł się z nowiną po pozostałych zajętych lokalach i z przejęciem udzielił ich użytkownikom instruktażu dotyczącego oświetlenia.

Po kilku minutach Pastal wyszedł ze swego pokoju i stuknął do drzwi pomocnika.

– Jesteś gotów? Idziemy.

Skierowali się w przeciwną stronę hallu niż ta, z której przybyli. Po pokonaniu około trzydziestu metrów uwagę ich zwróciła oszklona ściana z zamontowanymi w niej, również szklanymi, dwuskrzydłowymi, uchylnymi drzwiami. Za zakurzoną, jednak wystarczająco jeszcze przezroczystą, powierzchnią widoczna była duża sala zastawiona prostokątnymi, czteroosobowymi stołami. Ich blaty, pokryte warstwą od dawna zalegającego pyłu, w półmroku, który w miarę oddalania od oświetlonego korytarza stopniowo gęstniał, matowo kontrastowały z jaśniejszym tłem podłogi. Przy stolikach stały może nieco dziwnego kształtu, ale z pewnością krzesła.

– Znaleźliśmy, szefie, to na pewno jest stołówka – rzucił podnieconym głosem Chochelka. – W pobliżu musi być jakaś kuchnia.

Rzeczywiście, była. Znaleźli ją za salą jadalną.

– Niczego więcej na razie nie dotykaj – polecił Jaškowi Zeno, kiedy ten, wymacawszy podobny jak w pokoiku Semistona kontakt, zapalił światło.

Że jest to pomieszczenie kuchenne, szybko domyślili się, gdy spojrzeli na stoły, różnej wielkości i kształtów garnki i patelnie, zlewy, noże, tasaki oraz inne znajdujące się tu przybory, jak im się wydawało, mogące służyć do obróbki żywności. Wielkością swą to lokum dorównywało kuchni pałacowej, jednak coś ich tu niepokoiło, coś było nie tak. Nigdzie nie mogli wypatrzeć miejsc do gotowania, pieców, palenisk ani rusztów.

– Jedli wszystko na surowo czy jak? – zastanowił się Chochełka.

Przez jakiś czas chodzili i przyglądali się nieznanym im sprzętom. Szczególnie zainteresowały ich stojące bezpośrednio na posadzkach wielkie, okrągłe kotły. Doprowadzone do nich były jakieś rury z kurkami i zamontowanymi w widocznych miejscach dziwnymi, jednowskazówkowymi zegarami. Te potężne gary miały podnoszone na zawiasach pokrywy.

Zeno Pastal wbrew swej naturze prawie się nie odzywał. W pewnym momencie zatrzymał się przed stojącym na czymś w rodzaju szafki niedużym rondlem. Na jego dnie i po bokach widniał jakiś brązowy osad. Z wyrazu twarzy kucharza widać było, że intensywnie myśli. Dotknął garnka, pochylił się nad nim i powąchał.

– Nie czuć nic, ale to muszą być pozostałości po jakiejś potrawie. I to gotowanej albo smażonej – rzekł do siebie, gdyż jego pomocnik buszował już w dalszej części pomieszczenia.

Rozejrzał się. Szafka, przy której stał, była jedną z wielu, tworzących dwa oddalone od siebie szeregi. Odstęp między nimi był na tyle duży, że pozwalał na swobodne minięcie się dwóch słusznej tuszy osobników.

Delikatnie, z obawą dotknął jednego z pięciu przycisków umieszczonych na czołowej ścianie szafki, tuż nad oszklonymi

drzwiczkami. Po chwili namysłu nacisnął go. Nie stało się nic. Uniósł rondel i poczuł ciepło. Prawie jednocześnie zobaczył, że na ciemnym, gładkim, chyba wykonanym z jakiegoś szkła blacie zaczęło czerwienieć niewielkie kółko. Po krótkiej chwili, nie wydzielając żadnego dymu, żarzyło się jak rozgrzane w kowalskim palenisku do kucia żelazo.

Nacisnął ponownie. Czerwony krążek zaczął ciemnieć, a wydzielana przez niego temperatura – opadać. Pastal nacisnął kolejny przycisk. Rozżarzył się inny, tym razem nieco większy, krąg.

Kucharz odstawił trzymane w ręku naczynie i wcisnął pozostałe guziki. Na blacie rozjaśniły się trzy koła i jedna elipsa, a za szybką drzwiczek zapaliło się światelko. Teraz ciekawość Zena wzbudziły umieszczone pod przyciskami pokrętła. Obrócił troszkę jedno z nich i zobaczył, że intensywnie rozżarzona elipsa po chwili zmieniła barwę na ciemniejszą, ale nie zgasła. Przekręcił kolejny regulator, tym razem mocniej, i inny krąg ściemnił swą barwę.

Pastal poczuł się jak odkrywca i wynalazca w jednym. Rozejrzał się za Jaśkiem, który stał pochylony tyłem do niego w innej części pomieszczenia. Już miał go zawołać, kiedy przyszło mu coś do głowy. Klęknął na posadzce i uchylił otwierające się do dołu, oświetlone drzwiczki. Z wnętrza buchnęło na niego gorące powietrze. Trzymając jedną ręką uchwyt, drugą ostrożnie zanurzył w otworze. Szybko ją cofnął. Parzyło.

„A to ci dopiero! Mamy duchówkę. Można piec nie tylko mięso, ale i chleb, a nawet ciasta” – pomyślał uradowany. W wyobraźni już widział zadowoloną minę Semistona i czuł ogromną ulgę, że nie zawiedzie zaufania Sytomira.

– Jasiek! – krzyknął. – A chodźże tu! Mamy na czym gotować! Pomocnik zbliżył się do niego z tajemniczą miną.

– Miał szef szczęście, że mnie wziął ze sobą.

– Tak? A dlaczego to? – zapytał Zeno, lubiący wesołą zadzierzystość chłopca. – Mnie się wydaje, że to ty masz szczęście, że mój wybór padł na ciebie. Chociaż do tej pory nie jestem przekonany, że postąpiłem słusznie.

– Słusznie, panie szefie, słusznie. Znalazłem coś, bez czego nie da się żyć. Wodę. Z początku leciała zażelaziona, prawie brązowa, potem coraz czystsza. Złąkłem się, że zaleje podłogę, ale przez zlew gdzieś odpływa. Ciekawe, czy nada się do picia. Ale dlaczego szef mnie zawołał? Na czym to niby mamy gotować? Bo nie widzę kuchni ani żadnego paleniska.

– To sobie popatrz! – odrzekł tryumfalnie kucharz i gestem magika, który zamierza wyciągnąć królika z prezentowanego przed chwilą publiczności pustego kapelusza, nadusił dwa przyciski. Zadowolony i dumny spoglądał to na czerwieniejące krążki, to na zdumionego Jaśka.

– Panie Zeno, tu nie ma żadnego ognia, jak będziemy gotować?

– Ognia nie ma, ale zbliż rękę do tych kółek. Ostrożnie, bo się poparzysz! – wykrzyknął Pastal, chwytając rękę chłopaka, chcącego dotknąć żarzących się miejsc blatu.

Ostrzeżony Chochelka z niedowierzaniem zaczął zbliżać dłoń do wskazanych miejsc.

– Naprawdę grzeje. Nie do wiary, to jest gorące – powiedział. – Ale co tam się może palić? Na drewno ani węgiel nie wygląda. Co to jest?

– Na razie nie wiadomo, tak samo jak z tym, co oświetla. Ale działa i to dla nas jest najważniejsze. Mamy na czym

przygotowywać gorące posiłki. Po to są uczeni, by to wyjaśnić. Teraz pokaż mi tę wodę. Sprawdzimy, czy nadaje się do picia.

Po kilku godzinach poszukiwań, eksperymentów i praktycznych prób kucharz i jego pomocnik w nowo odkrytym królestwie czuli się coraz pewniej i byli coraz bardziej zadowoleni. Przeszukując kolejne pomieszczenia, szafki i skrytki, zapomnieli o głodzie i pragnieniu. Wciąż znajdowali jakieś zdumiewające rzeczy. A to jakieś puszkki, beczki i skrzynki wypełnione płynami, proszkami lub innymi substancjami, a to delikatne, lecz niezwykle mocne i wyszukane, sztucze stołowe i różnaitą zastawę, a to urządzenia, których przeznaczenie ani sposób użycia nie były im znane.

W pewnym momencie Zeno się ocknął.

– Jasiek, chybaj po zapasy. Wszyscy muszą być głodni. Zrobimy im gorącą kolację w naszej nowej kuchni. Tylko nikomu ani słowa, to musi być niespodzianka.

Po wyjściu pomocnika kucharz podrapał się po głowie. Planował, co przyrządzić.

Po godzinie cała dwunastka badaczy i dwóch miejscowych gwarków zgodnie siedziało za starannie oczyszczonymi przez Chochelkę i zsuniętymi czterema stolikami. Niewzbudzające na pierwszy rzut oka zaufania, powyginane krzeselka, wykonane ze stalowych, błyszczących rurek, z siedziskami i oparciami z materiału, który przypominał dobrze wygarbowaną skórę, pomimo swej pozornej lekkości okazały się stabilne i wygodne. Tę ostatnią cechę szczególnie docenił Semiston, który usiadłszy i oparłszy nieco doskwierające mu plecy o wysuniętą trochę do przodu, odchyloną od pionu, wklęsło-wypukłą tylną podpore, poczuł zdecydowaną ulgę. Jego sfatygowany wiekiem i drogą kręgosłup po kilkunastu minutach przestał mu dolegać,

wyrażając w ten sposób swą wdzięczność za to choćby chwilowe odciążenie.

Na stolikach, w znalezionych i starannie domytych dzbankach, parowała kawa. Kucharz zaparzył ją z przyniesionej w kanisterkach wody. Nie odważył się korzystać z tej znalezionej przez Jaśka, płynącej z rur. Również w dostarczonej wodzie zagrzał kilka pęt kupionej wczoraj przy rynku w Bronie wieprzowej, podwędzanej kiełbasy, a zdobyczna patelnia posłużyła mu do usmażenia na solonej słoninie przywiezionej z Todory fury smakowicie pachnącej jajecznicy z kaczych jaj. Kopę ich wytargował na mijanej podczas drogi fermie.

Największą dumą Zena był jednak pachnący, miękki, ciepły jeszcze chleb. Przyniesione do kopalni, twarde już, bochenki nawilżył lekko i wsadził do niedawno odkrytej, rozgrzanej, jak ją zwał, duchówki. Po niedługim czasie z piekarnika wyjął odświeżone, wabiące zapachem pieczywo. Jako przyprawy odważył się użyć znalezionej na miejscu, rozdrobnionej tłuczkiem, skamieniałej przez lata soli.

Ten gorący, pierwszy na terenie podziemnego obiektu, tak szybko i sprawnie zorganizowany posiłek rzeczywiście był dla uczestników wyprawy niespodzianką. Potrzebną i miłą. Wywołał on lawinę pochwał i drugą – pytań. Zeno odpowiadał na nie, niczego nie ubarwiając i nie robiąc ze swych osiągnięć sensacji. Lojalnie podkreślał udział w nich Jaśka, który dumny z uznania, puszył się jak paw.

Gdy został zaspokojony pierwszy głód, zaczęły się rozmowy. Większość siedzących czuła potrzebę podzielenia się informacjami o tym, co zobaczyli, odkryli i poznali. Na początku, co zrozumiałe, skupiono się na sprawach bytowych. Profesor Aryston Trybant, w jednej osobie fizyk i mechanik, zastrzegając

się i przepaszając, że podnosi taki temat przy stole, zaznajomił wszystkich obecnych z wynikiem swoich oględzin małego pomieszczenia usytuowanego obok pokoju mieszkalnego. Opisał urządzenia tam znalezione i te ich elementy, które udało mu się uruchomić. Z pewnym skrepowaniem wyjaśnił, do czego według niego może służyć siedzisko z odpływem o dosyć dużej średnicy. Opowiedział o działaniu przycisków uruchamiających krótkotrwały, lecz bystry wodospad, który może unosić i zmywać naturalne efekty perystaltyki jelit. Informacja ta wywołała duże zainteresowanie i pewną ulgę wśród pozostałych, bo niestety natura jest naturą i pewnych spraw, nawet przy wielkich staraniach, nie da się ominąć.

Mówiono o kanapach i miejscach do spania, powrócono do tematu klamek i kluczy oraz oświetlenia. Główne pytania tej pierwszej narady, na które nikt na razie nie był w stanie dać nawet niepełnej odpowiedzi, dotyczyły tego, na jakiej zasadzie funkcjonują lampy oraz system grzania kucharek, skąd i dlaczego znajduje się w kranach woda, w jaki sposób do zamkniętej, leżącej głęboko pod ziemią, od wieków nieużywanej budowli dociera świeże powietrze.

Jako jeden z ostatnich zabrał głos Janos Czuma, asystent profesora, niedawno mówiącego o funkcjonowaniu łazienki. Ten zazwyczaj dosyć pewny siebie i umiejący ładnie się wysławiać młody naukowiec teraz cedził słowa z trudnością i był jakiś nieswój. Z jego nieskładnej relacji wynikało, że lampka znajdująca się w jego pokoiku w pewnym momencie zaczęła mrugać. Chcąc sprawdzić, co jest tego przyczyną, zdjął z niej abażur i wykręcił gorącą, świecącą bańkę. Nie mogąc ustalić powodu migotania, zajął się opravką. Oglądając ją, wsadził do jej środka palec i w tym momencie poczuł dojmujący, przeszywający

go ból. Coś zaczęło nim szarpać, a jego palce zacisnęły się na lampie i nie mogły jej puścić. Przewrócił się, a w momencie padania jego ręka straciła kontakt z oprawką. Po chwili się ocknął, ale – jak się poskarżył – do tej pory boli go całe ciało, jego mięśnie zaś doznają mimowolnych skurczów.

Wszyscy z uwagą go wysłuchali, a Semiston jeszcze raz podkreślił konieczność zachowywania ostrożności podczas poznawania nieznanych, mogących okazać się niebezpiecznymi, urzędzeń.

Po skończonej kolacji do Czumy podeszła Nebra i poprosiła, by udał się z nią na stronę. Kiedy znaleźli się sami, posadziła go na pospiesznie przetartym z kurzu krześle i obrysowała jego sylwetkę dłońmi, zatrzymując je na nieco dłużej na barkach i głowie asystenta. Kciukami oraz palcami serdecznym i wskazującym lekko nacisnęła skronie mężczyzny.

– Lepiej? – zapytała.

Było zdecydowanie lepiej. Bóle i skurcze ustąpiły, a oszołomiony jeszcze Janos serdecznie jej podziękował.

Czuła, że bez szczególnego wysiłku, zupełnie przypadkowo, zdobyła nowego przyjaciela.

„Coś za łatwo zaczynam nawiązywać kontakty... i to z mężczyznami całkiem, całkiem” – pomyślała zadowolona. W tym momencie jakiś szósty czy siódmy zmysł ją zaalarmował. Całą sobą wyczuła czyjąś obecność, czyjeś spoczywające na niej uważne spojrzenie. Nie wykonując żadnego dodatkowego, mogącego ją zdradzić ruchu, błyskawicznie wyostrzyła wzrok, słuch i odbiór wewnętrzny. Doznane wrażenie jednak szybko znikło i nie powróciło. Pomyślała, że to jedynie wpływ zmęczenia oraz stresu wywołanego nowym otoczeniem, i szybko zapomniała o niemiłym incydencie.

Przez cały następny dzień członkowie ekipy snuli się po pomieszczeniach podziemnej budowli, poznając topografię, układając w myślach kolejność i systematykę badań, wymieniając się zdobywanymi wiadomościami, ułatwiającymi codzienne życie i korzystanie z niektórych urządzeń.

Trzeciego dnia, gdy mieli już większość swojego wyposażenia i sprzętu, podzieleni na właściwe zespoły przystąpili do programowo ukierunkowanych badań. Wszystko, co napotykali, budziło ich ciekawość, rodziło pytania, które wymagały odpowiedzi. Nie liczyli czasu, pracowali, dopokąd pozwalały im na to siły fizyczne i umysł. Kumulowali wiedzę. Już zdali sobie sprawę, że zgromadzony tu zasób przedmiotów i zjawisk jest tak ogromny, że nawet częściowe poznanie i upowszechnienie, a tym bardziej praktyczne zastosowanie go w ich świecie, wywrze istotny wpływ na życie współczesnych jednostek i narodów.

Drugiego dnia po przybyciu, korzystając z ustawionych w odpowiednią konfigurację górskich kryształów, rubinów i cyrkonii, Semiston nawiązał kontakt z Zachetynem. Połączenie mentalne i optyczne, jak na pierwszą próbę, wyszło im zupełnie dobrze. Seans łączności trwał niecały kwadrans, a stroną przekazującą był głównie mag z Mirty. Osiągnąwszy odpowiednio wysoki stopień koncentracji, wysłał skondensowaną, ale szczegółową informację o szczęśliwym dotarciu do celu, o grupie badaczy ze Sweinu, o pierwszych odkryciach ekipy. Przesłał również trójwymiarowe wizje hali głównej, swojego pokoiku i pokazującego kolorowe, ruchome obrazy okienka. Skończywszy, poczuł znużenie. Wiedział, że musi się położyć, by zregenerować utraconą energię.

„Niestety, magia kosztuje” – pomyślał i usnął.

Kiedy Semiston spał, Zachetyń pospieszył do Artorusa. Miał szczęście, król był sam i chętnie go przyjął, tym bardziej gdy dowiedział się, z czym najbliższy doradca do niego przychodzi. Na to popołudnie i wieczór nie miał zaplanowanych żadnych audiencji, spotkań ani pilnych prac, czarodziej mógł więc dokładnie zrelacjonować władcy treść otrzymanego niedawno przekazu z kopalni, wzbogacając go swoimi komentarzami. Mocno zaciekawiony Artorus słuchał, nie przerywając nadwornemu magowi. Po zakończeniu przez niego relacji rzekł:

– Powiadasz, że na razie wszystko jest w porządku. To dobrze. Bo muszę się przyznać, że byłem i w dalszym ciągu jestem niespokojny. Jak by nie patrzeć, są to nielegalne działania prowadzone w obcym kraju, który w dodatku podlega Petinowi. Co to oznacza i czym może skutkować, wiesz równie dobrze jak ja. Cieszy mnie, że jak na razie nie ma żadnych animozji pomiędzy badaczami, szczególnie tymi z zony i naszymi. Trzeba przyznać, że Agedon się spisał. Ale, ale... co to za Nebra z Dyned? Nigdy o niej nie słyszałem.

– Nic dziwnego, królu. To czarodziejka z najwyższej półki, która od bodaj gdzieś stu sześćdziesięciu pięciu lat się ukrywa. Prawdziwe jej imię to Berna z Zegonu. Ale i o takiej osobie raczej nie mogłeś, panie, usłyszeć. Dawno temu, długo przed twoim urodzeniem, miała zatarg z konwentem. Zakończył się on obowiązującym do dziś surowym wyrokiem. Skazana, dwukrotnie uciekała. Skutecznie. Konfraternia, szczególnie po drugiej ucieczce, nie mogła w żaden sposób ustalić, gdzie przebywa. Pod zmienionym imieniem ujawniła się dopiero teraz.

Widocznie uznała, że sprawa jest warta ryzyka. Semiston poznał ją od razu, ale ponieważ jest człowiekiem rozważnym, nie zdradził się z tym. O ile pamięć mnie nie myli, chociaż osobiście znał ją słabo, odczuwał do niej sympatię. Uważał, iż w pewnej sytuacji postąpiła właściwie, a ówczesny konwent magów wytoczył jej proces bezpodstawnie i sądził nieobiektywnie. Wymierzona kara była zaś zbyt surowa. Moje stanowisko, chociaż z zupełnie innych powodów, jest jeszcze bardziej jej przychylnie.

– Mógłbyś, mistrzu, mówić mniej enigmatycznie i sprecyzować, za co była sądzona?

– Jeśli, królu, sobie życzysz, ale zastrzegam, że naprawdę moje wiadomości są niepełne, a to, co wiem, ujawnię z niechęcią.

– Mów, bo swoimi gierkami tylko wzmagasz moje zainteresowanie.

– Cóż, widzę, że nie mam wyjścia, ulegam więc przemocy, poddam się woli despotycznego władcy – wydeklamował Zachetyń z burleskową emfazą. Chwilę później, nie zobaczywszy reakcji Artorusa na swój żart, spoważniał i zaczął: – Mając trzydzieści osiem lat, Berna została arcymistrzynią obojga magii. Rzadko zdarza się, by senat łoży zgodnie i jednogłośnie przyznawał ten tytuł oraz przynależne mu uprawnienia tak młodej osobie. Ale ta czarodziejka była wyjątkowo utalentowana, a także pracowita. Miała też wręcz wrodzoną, naturalną łatwość czerpania mocy zarówno z wód, skał, ognia, jak i z organizmów żywych. Z tego, co wiem, z tych dwóch ostatnich źródeł, jeżeli nie znajdowała się w sytuacji absolutnie przymusowej, starała się nie korzystać. Z ognia dlatego, że pobór energii przebiega tu nadzwyczaj gwałtownie i nawet wprawni czarodzieje często miewają duże trudności z całkowitym panowaniem nad

przebiegiem tego procesu. Od istot żywych, bo ten sposób zdobywania mocy, wampiryzm energetyczny, uważała za nieetyczny. Nie należy z tego wysnuwać wniosków, że miała opory przed zadawaniem śmierci albo wywoływaniem choroby. W uzasadnionych przypadkach nigdy nie miewała takich zahamowań, a nawet celowo potrafiła bywać okrutna. Rzeczywisty chłód umysłu i brak skrupułów doskonale maskowały jej zgrabną i powabną postać oraz łagodny wyraz twarzy. To wielu zaskakiwało i czyniło ją tym groźniejszą. Była ładna. Na podchody sercowo-łożkowe do niej decydowało się niemało bardziej lub mniej zdolnych i liczących się członków bractwa, ona najczęściej jednak dawała im kosza. Zamiast tracić czas na puste flirty i romanse wybierała zacisza bibliotek, książki oraz pracownię. Kiedy czuła się zmęczona nauką i doświadczeniami, urządziła sobie kilkudniowe urlopy. Właśnie podczas nich całkowicie oddawała się zabawie oraz przygodnym, zapomnianym następnego dnia miłostkom. Zaspokoiwszy swe potrzeby, ponownie wracała, by doskonalić swój czarodziejski warsztat. Trzeba przyznać, że zakres jej umiejętności mógł wywoływać zawiść u niejednego wysoko sytuowanego w kręgach konfraterni arcymistrza, a skuteczność oraz elegancja użycia magii, polegająca na oszczędności słowa, gestu i gadżetów towarzyszących, zadziwiała. Nigdy też, ani będąc jeszcze czarodziejką niższych klas, ani już arcymistrzynią, nie szukała stanowisk na królewskich dworach, nie starała się o funkcję lub wybór do władz loży. Była magiczką samodzielną. Podróżowała, obracała się w różnych środowiskach. Ceniła sobie swą niezależność, brak zobowiązań i możliwość zmiany otoczenia. Pomimo to, a może i przez to, w kręgach tego zawodu powoli stawała się znana.

Dotarłszy do tego miejsca relacji, Zachetyn wyraźnie spochmurniał, mówił jednak dalej:

– Jakieś osiemnaście lat po uzyskaniu nominacji na arcymistrzynię obojga magii loża powierzyła jej odpowiedzialne i tajne zadanie. W tym wypadku słowo „powierzyła” nie wydaje się zbyt trafnie dobrane, wycofam je więc, a użyję określenia „wcisnęła”. Ono chyba lepiej odda istotę sprawy. Tak czy inaczej, zaistniały splot okoliczności sprawił, iż Berna uznała, że nie może odrzucić owej propozycji. Z różnych powodów, w tym osobistych, poczuła się zmuszona ją przyjąć. Zadanie miało polegać na zbliżeniu się do pewnego maga, doradcy monarchy jednego ze znaczących krajów, wyjaśnieniu przyczyn uporczywego torpedowania przez niego poczynań loży w zakresie polityki i gospodarki, a następnie wymierzeniu mu kary. Zauważ, królu, iż o tym, że czarodziej zasługuje na karę, zdecydowano, nie znając jeszcze motywów jego postępowania. Warto wspomnieć, że ówczesny konwent – zresztą podobnie jak i obecny – prezentował pogląd, zgodnie z którym korzyści zakonu były celem najwyższym. Nadrzędnym w stosunku do dobra poszczególnych krajów, społeczeństw, nie mówiąc już o jednostkach. Trzeba też powiedzieć, iż w tym czasie duża część władców była bardziej lub mniej świadomymi i uległymi marionetkami, zaś za nitki sterujące tymi koronowanymi kukiełkami pociągali wszechwładni magowie-doradcy, realizujący w pierwszej kolejności wytyczne władz loży, mającej zdecydowanie większe wpływy i możliwości niż dziś. Czarodziej o którym mowa – kontynuował Zachetyn - zostając doradcą króla, postanowił być w stosunku do niego w pełni lojalny. Nie tylko z własnej woli zerwał kontakty z przywództwem zakonu konfratrów, ale stał się jego aktywnym przeciwnikiem. Jest

oczywiste, że takich przewinień loża nie wybacza. Wydano wyrok, ponieważ jednak skazany okazał się czujny i nieufny, wykonanie kary okazało się wyjątkowo trudne. Dostęp do maga miało mocno ograniczone grono. W zaistniałej sytuacji na egzekutorkę wytypowano Bernę, której umiejętności były odpowiednio duże, a którą doskonale maskowały zarówno wygląd, jak i wiek. Czynniki te stwarzały szansę na zaskoczenie maga. I rzeczywiście, do pewnego momentu wszystko przebiegało zgodnie z założeniami. Berna dotarła do czarodzieja i udając młodą, nieco naiwną, lecz ambitną, niskiej klasy, ale o dużych możliwościach, magiczkę, pragnącą się przy mistrzu rozwijać, została jedną z jego asystentek. Pomógł w tym pozytywny wynik przeprowadzonego sondażu jej mózgu. Spodziewając się go, miała cały czas odpowiednio ustawione bierne zasłony. Nie dawały one penetratorowi szans na ich wykrycie ani tym bardziej na odczytanie, kim ta kobieta jest, jakie ma ukryte myśli i zamiary. Z upływem czasu jednak coś zaczęło się dziać nie tak, coś się psuć. W miarę poznawania czarodzieja początkowo obojętny stosunek Berny do niego ulegał zmianie. Nie tylko nabierała dla maga szacunku, ale zaczynała go lubić. Okazał się on wizjonerem, który trafiwszy na prężnego, inteligentnego, myślącego w zbliżony sposób monarchę, przez współpracę z nim zdobył szansę na możliwość egzemplifikacji swoich, a właściwie wspólnych dla nich obu, marzeń. Co to były za marzenia? Idealistyczne mrzonki o państwie silnym gospodarczo i militarnie. Państwie, mającym pokojowe, dobrosąsiedzkie stosunki z otaczającymi je krajami, wewnątrz zaś dobrze prosperujące, tworzące jednolity naród, społeczeństwo. O narodzie, w którym nie występują antagonizmy rasowe i klasowe, nie ma rażącej biedy, pogardy

i nienawiści oraz niewolniczego wyzysku pomiędzy ludźmi i nieludźmi, za to gwarantowana jest pozwalająca na dostatnie życie praca, opieka medyczna, socjalna i godna starość. Zapewniona możliwość podstawowej nauki dla wszystkich, a dla wyjątkowo zdolnych, zdobywanie pełniejszego wykształcenia. O kraju, którego mądre władze popierają rozwój nauki i sztuki, budownictwa, handlu i przemysłu. O królestwie sprawiedliwego prawa oraz pewnego jutra... Jak już mówiłem, królu, czyste mrzonki.

Zachetyn umilkł i się zamyślił. Artorus popatrzył na niego i ni to zapytał, ni stwierdził:

– Mówisz o Libirii, o jej tak zwanym złotym wieku. Szczytne to były zamiary. Szkoda, że starano się wdrożyć je tylko tam. Jeszcze większy żal, że wraz ze zmianą króla zostały pogrzebane. Przyznaj się: to ty byłeś tym magiem?

– Nie, nie ja, panie. To był Lotar, mój nieżyjący już starszy brat. Lepszy ode mnie i wielokroć mądrzejszy. Uczciwy w stosunku do siebie i króla. Pełen pasji w realizacji swych, jak sam słyszałeś, niemożliwych do spełnienia ideałów. To właśnie on z ówczesnym władcą Libirii, Symeuszem zwanym Dobrym, usiłowali przez prawie pięćdziesiąt lat wspólnie wcielić w życie te utopijne pomysły. Mieli nawet niemałe sukcesy. Były głośne. Zazdroszczono im.

– Nie wiedziałem, że miałeś brata. W ogóle mimo iż tyle lat blisko współpracujemy, zbyt mało wiem o tobie. Wróćmy jednak do tej czarodziejki, ciekawi mnie, jak to się skończyło.

– Po pewnym czasie Berna poprosiła Lotara o rozmowę. Wyznała, kim jest i w jakim celu na ten dwór przybyła. Zdawała sobie sprawę, że ujawniając to, przeciwstawia się łożu i od tej chwili znajduje się z nią w groźącym surowymi konsekwencjami

konflikcie. Zapytana, dlaczego nie starała się maga uśmiercić, bo przecież taki był wyrok trybunału, odparła, iż według niej zasługuje on na szacunek, a nie na karę i ona wbrew sobie nie przyłoży nie tylko ręki, ale nawet paznokcia do wykonania niesłusznej egzekucji. Lotar, z jednej strony naiwny, z drugiej jednak nieufny, słuchając, zastanawiał się, czy jej wyznanie nie jest pułapką. Aby udowodnić swoją szczerłość, Berna odrzuciła wszelkie osłony, pozwoliła mu się uśpić i spenetrować najbardziej skryte myśli i uczucia. Zapropowała też, aby na czas pobytu na dworze nałożył jej dla własnego poczucia bezpieczeństwa naszyjnik oraz bransolety z trymonitu, które pozbawią ją mocy. Czarodziej, ostrzeżony i pewny swych umiejętności, tej ostatniej oferty honorowo nie przyjął. Zanim Berna opuściła stolicę, spotykali się wielokrotnie. Wyznana prawda zbliżyła ich. Podczas jednej z prowadzonych rozmów czarodziejka zapytała go, gdzie w jego systemie wartości jest usytuowana magia i jakie jest miejsce loży. Odpowiedź, którą otrzymała, dała jej dużo do myślenia. Aby się nie rozwodzić, w kilku zdaniach streszczę to, co było w niej najistotniejsze. Według wypowiedzi Lotara magia to specyficzna, nie wszystkim dostępna gałąź wiedzy, której głównymi zadaniami powinno być niesienie pomocy poszczególnym istotom żywym i całym grupom społecznym oraz wypełnianie luk i białych plam istniejących tam, gdzie jeszcze nie dotarły inne kierunki nauki i techniki. Zasadnicze dziedziny jej stosowania to szeroko rozumiana medycyna ciała i umysłu lub, jak niektórzy wolą, duszy, a także biologia, alchemia, astrologia i sztuka wojenna. Pomocniczo, katalitycznie magia winna znaleźć swoje miejsce w naukowej chemii, fizyce oraz astronomii. Być stosowana w komunikacji, rozumianej jako ogół werbalnych, wizualnych

i mentalnych kontaktów międzyosobniczych, ale również transport osób, istot żywych i przedmiotów metodą teleportacji. Naturalne i uzasadnione jest posługiwanie się nią przez różnej klasy i autoramentu eksploatatorów magii w rozmaitych, zaplanowanych lub doraźnych, działaniach interwencyjnych. Nierzadko w przypadkach nagłych, wymuszonych potrzebą chwili. Przytaczając Lotara, wspomniałem o pomocy – zastanowił się głośno Zachetyń. – Pojęcie to nie jest – jak by się mogło wydawać – jednoznaczne. Należy mieć na uwadze, że co jednemu pomaga, innemu często może szkodzić. Także to, że niemała część z tych, którzy posługują się magią, jest zwyczajnie zła. Ma, jak to się potocznie mówi, czarne charaktery. Stosuje nieczne metody i dąży do mrocznych, niegodnych celów. Czerpie przyjemność i radość z cierpienia drugich. Zdarzają się też tacy, co pochłonięci swoimi pracami, nawet nie zauważają wyrządzanych innym krzywd. Można ich porównać do ludzi, którzy krocząc, rozdeptują mrówkę czy chrząszcza i nawet nie zdają sobie sprawy, że zabijają istotę żywą, która również odczuwa ból i strach. Inaczej, ale jednak.

Czarodziej wrócił do zasadniczego tematu:

– Zadania łoży według brata to głównie praca nad rozwojem magii i podnoszeniem jej na coraz to wyższy poziom. Odkrywanie nowych dziedzin i specjalności tejże wiedzy. Wyszukiwanie i kształcenie kadr ukierunkowanych na działania naukowo-badawcze, interwencyjno-opiekuńcze lub doradcze. To drugie obejmuje szkolenie czarodziei rezydentów, zajmujących się między innymi uzdrowicielstwem, a w razie potrzeby obronnością. To ostatnie – podobnych do mnie doradców, żyjących na książęcych i królewskich dworach. Wiele można o tym mówić. Pozwolę więc sobie te dziedziny pominąć i tylko

króciutko wspomnieć o działalności naukowo-badawczej. Ta pierwsza część – znów niemal dokładnie cytuję brata – powinna być realizowana konkurencyjnie; w instytutach magii i równolegle, w mniejszych kręgach oraz grupach prowadzonych przez arcymistrzów. Rywalizacja bowiem pobudza. Mający stosowne predyspozycje koryfeusze powinni ogarniać tematy szeroko, interdyscyplinarnie. Poszczególne wąskie zagadnienia rozpatrywanej tematyki – przydzielać swym uczniom, indywidualnym kandydatom na mistrzów lub tworzonym przez nich podzespołom. Dociekania tych dążących do awansu badaczy winny być dogłębne, a osiągnięte przez nich wyniki przedstawiane wszystkim i poddawane ogólnej dyskusji oraz weryfikacji. Summa summarum, czyli suma sum badanych zagadnień, uzupełniająca białe karty niewiedzy, winna dawać nowy obraz całości tematu, którego syntezą, możliwymi na danym etapie uogólnieniami i wnioskowaniem ponownie winien zająć się arcymistrz. Da mu to podstawy do wykonania kolejnego kroku w niewiadome obszary magii. I to jest właśnie ta podstawowa droga rozwoju. Inną, coraz rzadszą, może być przypadek, szczęśliwy traf. Przy okazji pozwolę sobie zauważyć, że wizja Lotara odnośnie do podstawowego sposobu rozwijania wiedzy magicznej jest wyraźnie zbieżna z metodami tworzenia prac naukowych na uczelniach, gdzie rozprawy habilitacyjne są zazwyczaj tematycznie dość szerokie, za to ich autorzy nie nazbyt często zagłębiają się w szczegóły. Natomiast prace doktorskie obejmują węższy zakres zagadnień, lecz piszący je rozpracowują go dokładnie i dogłębnie. Oczywiście zdarzają się od tej zasady odstępstwa. Jeśli spojrzeć z dystansu na ogół członków konfraterni, to przyjmując za kryterium możliwości

i umiejętności magiczne, można powiedzieć, że tworzą oni coś w rodzaju piramidy.

Mówiąc to, Zachetyn nakreślił w powietrzu rękami kształt trójkąta.

– Jej podstawę... – Ruchem rozwartych dłoni wskazał najniższą część zakreślonej figury. – ...stanowią ci, którzy ledwie ocierają się o magię i moc. Ich wiedza bywa zdobyta przypadkowo, a wykorzystywana nieumiejętnie, często ze szkodą dla tych pozał się Boże magików i co gorsza, dla będących adresatami ich poczynań obiektów. Kolejne zwięzające się ku górze warstwy obrazują czarodziejów i czarodziejki o coraz wyższych kwalifikacjach, lepiej wykształconych i bardziej utalentowanych. Wierzchołek piramidy to arcymagowie, których liczebność jest stosunkowo niewielka. Nawiasem mówiąc, ogólne wykształcenie narodu w państwie powinno kształtować się według podobnego schematu. Do niczego jest społeczeństwo, w którym są sami nieucy. Gdyby jednak wszyscy posiadali wyższe wykształcenie, też byłoby źle. Każda nadpodaż powoduje inflację. Zdeprecjonowałyby się nie tylko tytuły naukowe, ale także sama wiedza. Wszyscy dążyliby do tego, by zostać zarządzającymi, a kto by piekł chleb, robił buty, zamiatał ulice i zabijał świnie w rzeźni? Kształt piramidy i tu, i tam, a szczególnie w układzie społecznym, jest potrzebny. Taka gradacja wykształcenia czy też umiejętności powoduje, że uczeń ceni czeladnika, czeladnik majstra, ten zaś mistrza. Różnica w stanowisku, zarobkach oraz prestiżu u ambitnych, bardziej prężnych i wartościowych jednostek powinna budzić pragnienie dążenia do awansu, chęć przejścia do wyższej warstwy tej społeczno-ekonomicznej piramidy. Co ja gadam, wybacz, panie, że odbiegam od tematu.

Ale zbyt często bywam sam i nie mam się z kim podzielić swoimi starczymi przemyśleniami. Już wracam.

– Zachetyn, znam cię, to nie są starcze, bezsensowne uwagi. Nie obrażaj mojej inteligencji. To ciekawe spostrzeżenia, wplecione w twą opowieść jak najbardziej celowo. Doceniam je. Należę ci wina i zapalimy fajki. Dziś mój tytoń. Tematy, które poruszyłeś, rozwiniemy sobie kiedy indziej. Szczególnie ten o doradztwie. Teraz skończ wątek Berny.

Zapaliwszy i pociągnąwszy długi łyk, jak zwykle u króla, doskonałego trunku, Semiston podjął:

– No cóż, odnośnie do tej czarodziejki nie zostało mi już wiele do powiedzenia. Tu zaczyna się mniej znany mi obszar. Powróciwszy z niedokończonych misji, Berna zdała raport przywódcom loży z motywów postępowania Lotara. Odważnie wyznała, iż czarodziej ten wzbudził jej szczerzy szacunek i uznanie, co stało się powodem podjęcia decyzji o odstąpieniu od wykonania wyroku wydanego przez trybunał. Taka samodzielność, ba, wręcz samowola, rozsierdziła konwent. Szeregowy czarodziej, chociażby i arcymistrz, nie jest upoważniony do oceny słuszności wydawanych przez władze loży wyroków, bo mogłoby to doprowadzić do podważenia jej autorytetu i w konsekwencji do zupełnej anarchii u i tak słabo zdyscyplinowanej, szczególnie tej działającej w terenie, konfraterskiej braci. Berna, dla przykładu, została uwięziona, postawiona przed sądem i skazana. Kara nie była zbyt wielka, lecz dolegliwa. Czarodziejka, nie zamierzając się jej poddać, dała drapaką. Po kilkudziesięciu latach ujęta, została ponownie postawiona przed trybunałem. Wyrok drastycznie zaostrzono. Tym razem był on zdecydowanie niesprawiedliwą zemstą urażonego w swej dumie konwentu. W dramatycznych

okolicznościach, w prawie ostatniej chwili, przed bezterminowym uwięzieniem w górskim kryształach Berna uciekła. Zmyliła pogonię, zatarła za sobą ślady, zmieniła wygląd. Gdzie się zaszyla, wiedziały tylko zaufane jednostki. Dopiero teraz postanowiła się ujawnić.

– A osobiste powody, dla których przyjęła tę misję?

– Jesteś, królu, spostrzegawczy i masz pamięć, że tylko pozazdrościć. Cóż, odkrywam się przed tobą coraz bardziej. Berna, chociaż do tej pory osobiście go nie znała, wiedziała, że Lotar to mój starszy brat. A ja... jak by to powiedzieć... jestem jakby jej krewnym.

– To twoja córka?!

– Nie, królu. Nie mam naturalnych dzieci. To córka znanej mi druidki z kręgu zegońskiego. Tak się złożyło, że kiedyś, gdy Berenika, bo w czasach dzieciństwa tak na nią wołano, była ciężko chora, leczyłem ją, a w zasadzie wspomogłem działania jej matki. Trwało to kilka tygodni. W tym czasie przywiązałem się do tego dziecka i co dziwniejsze, ono do mnie. Później okazało się, że dziewczynka ma duże predyspozycje magiczne. W wieku czternastu lat, po tragicznej śmierci matki, trafiła do mnie. Wychowywałem ją i uczyłem. Szybko i łatwo pokonywała kolejne progi nauki, przyswajając sobie wiedzę ogólną oraz magię. W tej ostatniej od czarodziejskiego żłobka, czyli dość prymitywnych inkantacji połączonych z wykonywaniem towarzyszących im gestów, poprzez samą, coraz to oszczędniejszą gestykulację doszła do etapu, gdy zamierzone efekty mogą być osiągnane jedynie wyobrażeniem i siłą woli. Jak już mówiłem, była pilna i utalentowana. Przy mnie osiągnęła stopień mistrzowski. Potem losy nas rozdzieliły. Wkrótce po jej odejściu traf rzucił mnie do Todory, na dwór twego dziadka. I tak z kilkoma przerwami,

mającymi miejsce za czasów panowania twojego ojca, zostałem tu do teraz. Ona zaś... tak jak ci mówiłem. To chyba jedyna istota, która darzy mnie ciepłym uczuciem, a ja, choć nie widziałem jej od wieków, odwzajemniam się jej tym samym.

– Ten wątek na tym zakończymy. Dziękuję, że przy okazji tyle powiedziałaś mi o sobie. Nie wiem, czy królowi wypada to mówić, ale przyjacielowi – na pewno. Berna to jedna z co najmniej dwóch osób, które żywią do ciebie więcej niż szacunek. Kto jest drugą, sam się domyśl. Żeby ci się lepiej myślało, skosztujmy jeszcze tego gewürztraminera. – Mówiąc to, Artorus napełnił opróżniony już pucharek maga i przy okazji także swój. Wypili po długim łyku aromatycznego, ciemnozłotego trunku.

– Przezacne wino, solidnie zbudowane i wyraziste. – Zachetyń mlasnęła. – Ze szczepu winnego, a posiada wyraźną nutę owocową. Co to jest? Róża, grejpfrut, brzoskwinia? Nie potrafię dokładnie określić. Białe, a zawiera dość dużo alkoholu i piękny, korzenny, nie pochodzący z drewna beczki aromat. Stąd też pochodzi pewnie pierwszy człon nazwy Gewürz, czyli korzeń, przyprawa.

– Ja też je lubię. Słuchaj, Zachetyń, wróćmy jeszcze do sprawy kopalni. Powiedz mi: co według ciebie jest źródłem energii, która uruchamia te wszystkie urządzenia? Skąd bierze się tam światło, ciepło? Co powoduje, że napływa tam świeże powietrze i woda? Bo to mnie intryguje. Bardzo.

– Nie wiem, królu. Jeszcze nie wiem. Jak tylko będziemy coś mogli na ten temat powiedzieć, jako jeden z pierwszych zostaniesz o tym powiadomiony. To być może stanie się jednym z najcenniejszych dla nas odkryć.

ROZDZIAŁ XIV

Ósmego dnia pobytu w kopalni, zaraz po śniadaniu, Semiston, Samtor i Eyan, zabrawszy plecaki ze spakowanym wcześniej wyposażeniem, skierowali się do najbardziej oddalonej części podziemnej budowli. Patrząc z kierunku zamieszkiwanej przez nich strefy socjalnej, mieściła się ona po przeciwległej stronie hali, którą z racji usytuowania umownie nazywano centralną. Już od sześciu dni, czyli odkąd po raz pierwszy stanęli przed metalową bramą oznakowaną symbolami wymalowanej na żółtym tle czarnej koniczynki, planowali pójście do odgradzanego przez nią obszaru. Odkładali tę eskapadę, ponieważ początkowo byli zmuszeni zająć się ważnymi i pilnymi sprawami bieżącymi: aklimatyzacją, ogólnym poznaniem otoczenia oraz zastanego tu elementarnego wyposażenia. Przydatnego, a nawet niezbędnego do użytku na co dzień. Był to *conditio sine qua non*¹ normalnego funkcjonowania uczestników wyprawy. Ponadto – obowiązek ten spoczywał na Semistonie – należało zorganizować system i tok pracy codziennej. Gdy wszystko nabrało już pewnego rytmu, uznali, że nadszedł odpowiedni czas.

Pozostali członkowie zespołu po porannym posiłku jak zwykle rozeszli się na swoje stanowiska, by kontynuować rozpoczęte badania. Nie trzeba było ich do tego zachęcać. Prowadzone prace fascynowały wszystkich. Motywacja do nich

wynikała z faktu, że dokonywali wciąż nowych, zaskakujących odkryć, których waga i znaczenie z każdym dniem coraz pełniej do nich docierały. Nawet dbająca głównie o osobistą karierę Nimena jak gdyby zapomniała o tym i działała z godnym podziwu zaangażowaniem. Gdy dzieliła się wynikami swoich spostrzeżeń i przemyśleń z profesorem Antosem i Semistonem, oprócz wskazówek kierunkujących ją często słyszała satysfakcjonujące jej miłość własną słowa uznania i zachęty.

Czarodziej, magin i krasnolud rażno maszerowali w kierunku dotychczas niebadanej strefy. Mieli przecucie, że napotka ich tam coś szczególnego. Każdego z nich nurtowało pytanie, co mieści się za tą solidną, szarą, zamkniętą na cztery spusty przegrodą.

Obok dużej bramy, nieco z boku, była widoczna furtka. Również metalowa, również zamknięta, również z wymalowanym obrazkiem stylizowanego listka koniczynki lub, jak wołał Eyan, wiatraczka. Oprócz tych zwracających uwagę, mimo upływu czasu wyrazistych, niewyblakłych rysunków na skrzydłach furty i bramy umieszczono jakieś czerwone i czarne symbole. Byli pewni, że są to napisy wykonane w nieznanym im jeszcze języku. Co kryły? Informacje? Ostrzeżenia? Nie potrafili sobie odpowiedzieć. W każdym razie byli zdecydowani, aby zachowując maksymalną ostrożność, poznać kryjące się za wrotami tajemnice.

Pierwsze próby otworzenia któregoś z dwu wejść się nie powiodły. Semiston już zabierał się do pokonania zamków zaklęciem, gdy Samtor zauważył wiszącą z boku na ścianie dość dużą, oszkloną, zaplombowaną szafkę. Jak się okazało, były w niej porządnie porozwieszane różnego kształtu i wielkości klucze. Szybko znaleźli pasujące do zamków furtki. Otworzyli je

i po naciśnięciu klamki powoli uchylili skrzydło. Pierwszy przestąpił próg magin.

Pomieszczenie, do którego weszli – zdołali się do tego już przyzwyczaić – rozświetliło się, ukazując osobliwe wyposażenie. Eyan, rozglądający się nieufnie, w pewnej chwili krzyknął ostrzegawczo i podniósł swój nieodłączny topór.

– Tam. Tam są. – Pokazał ręką na ciemny kąt. Semiston i Samtor spojrzeli we wskazanym kierunku i zobaczyli rząd kilkunastu stojących nieruchomo kanciastych postaci. Magin skierował się do nich. Po chwili skinął na krasnoluda i maga.

– Spokojnie, to tylko kombinezony. Coś w rodzaju ubrań ochronnych – powiedział, gdy podeszli.

Uważnie obejrzel, a następnie obmacali hełmy, buty i rękawice, będące częścią zawieszonych na specjalnych wieszakach – co sprawiało wrażenie, że stoją – skafandrów.

– Musiały przed czymś chronić, skoro ich używali. Było tu lub też jeszcze jest coś niebezpiecznego – stwierdził Semiston.

– Ano, było i jest, masz waść rację. – Usłyszeli nagle z innego kąta spokojny, niski głos.

Jak na komendę się odwrócili. Trudno opisać osłupienie, jakiego doznali, kiedy na ich oczach z niczego zaczęła się materializować wysoka, posągowa postać. Była ona ubrana w ciemną, sięgającą kostek, przypominającą luźny płaszcz szatę, przewiazaną w talii szerokim pasem. Głowę zjawy otaczała chmura zmierzwionych, czarnych, przetykanych siwizną, długich włosów, które łączyły się z takiegoż koloru brodą. W twarzy ozdobionej wydatnym, lekko garbatym nosem błyszczały stalowej barwy oczy. Chociaż spojrzenie ich było przenikliwe, nie sprawiało wrażenia wrogiego. Zarys ust, pokrytych obfitym wąsem, był niewidoczny. W lewej ręce przybysz dzierżył sękaty

kostur, w prawej – nierozpaloną górniczą lampę. Widok jego budził szacunek, ale – co dziwne – nie powodował uczucia lęku.

– Kim jesteś? – zapytał Semiston po chwili spowodowanego zaskoczeniem milczenia, ale pewnym głosem. – Skąd się tu wzięłeś? Czego chcesz?

– Jestem Duchem Gór. Tych gór. To wy, nieproszeni goście, znajdujecie się na moim terenie i uważam, że zamiast zadawać mi pytania powinniście zacząć od przedstawienia się. Wiele obyczajów na ziemi na przestrzeni wieków uległo zmianie, lecz okazywanie szacunku i grzeczności gospodarzowi z pewnością nie.

Pomimo ostrej reprimendy zawartej w treści wypowiedzi ton głosu mówiącego nie zdradzał ani rozdrażnienia, ani niechęci. Raczej pouczenie z nutą dobroduszej kpiny, wypływającej z pewności posiadania przewagi. I rzeczywiście, Duch Gór nie żywił wrogości do tej małej, sprawiającej sympatyczne wrażenie grupki. W gruncie rzeczy czekał na te nieuniknione odwiedziny. Ale był zadowolony, że udało mu się osiągnąć zamierzony efekt niespodzianki. Dostrzegł, że byli nią zszokowani. Dawno już się tak dobrze nie zabawił kosztem tych krótko żyjących, lecz inteligentnych istot.

– Masz rację, Duchu, przepraszamy. Już naprawiamy naszą gafę. Uwierz, nie wyniknęła ona ze złej woli, arogancji czy braku wychowania. To wynik kompletnego zaskoczenia, wywołanego twym niespodziewanym i tak niezwykłym pojawieniem się. Nie byliśmy przygotowani na to, że spotkamy tu kogokolwiek, a tym bardziej gospodarza tej siedziby lub całej krainy. Jeszcze raz w imieniu wszystkich proszę: wybaczyć. Ja nazywam się Semiston i pochodzę z Mirty. Kieruję kilkunastoosobowym zespołem, który znajduje się tu, w kopalni. W jego skład wchodzi głównie

naukowcy. Ten człowiek... – Wskazał na maga. – ...to Samtor, niezależny badacz i mój doradca, ten tu – miejscowy krasnolud, geolog i nauczyciel o imieniu Eyan oraz przydomku Siewca. Przybyliśmy, żeby zbadać tę podziemną budowlę. Została ona odkryta jakieś cztery miesiące temu i prawdę powiedziawszy, do tej pory nie mamy pojęcia, kto, kiedy, w jakim celu ją wzniósł i do czego miała służyć. Z dużym trudem, z kłopotami zaznajamiamy się z tym, co tu napotykaemy. Nieznana jest nam większość zastanych przedmiotów i urządzeń, a istota i rodzaj stosowanej energii oraz sposób jej powstawania stanowi dla nas zupełną tajemnicę. Nie ma w nas wrogich zamiarów i będziemy dążyć, aby ci nie przeszkadzać. Zamierzamy pozostać w tym obiekcie kilka tygodni. Może, jeśli sytuacja będzie tego wymagać, nieco dłużej.

– No, tak to co innego. Spocznijmy sobie tam i pogadajmy. – Duch Gór, widocznie usatysfakcjonowany, wskazał stojący nieopodal podłużny stół, który otaczało sześć krzeseł.

Zbliżyli się. Duch dyskretnie chuchnął i gromadząca się przez tysiąclecia warstwa pyłu zalegającego meble nagle bez śladu zniknęła. Nie rozwiała się, tworząc tuman kurzu, lecz po prostu przepadła, jakby jej nigdy nie było. Czarodziej, maga i krasnolud zauważyli to, lecz powstrzymali się od komentarza i jakiegokolwiek reakcji. Chcąc okazać szacunek i obycie, poczekali z zajmowaniem miejsc do czasu, aż tajemniczy przybysz usiadł. Ten zauważył owo znamionujące posiadanie kindersztuby zachowanie. Wydawać się mogło, że lekko się uśmiechnął. Uważnym spojrzeniem obrzucił twarzę wpatrzonej weń, otaczającej go trójki i zaczął:

– Od kilku dni obserwuję waszą grupę. Znam waszą populację niemal od zarania jej rozwoju. Pamiętam pierwsze gnomy, elfów,

krasnoludy, a później ludzi, którzy trafili w te okolice. Ich próby prymitywnego penetrowania naturalnych jaskiń i grot. Rad byłem, gdy zrazu pojedynczy osobnicy, a następnie grupy i całe plemiona zaczęły odkrywać pożytki płynące z pewnych przypadkowo znajdujących minerałów i w miarę upływu lat, wieków, tysiącleci w coraz bardziej celowy i zorganizowany sposób ich poszukiwać. Dyskretnie pouczałem tych pierwotnych zbieraczy. Podpowiadałem im sposoby i dziedziny, w których mogą te naturalne bogactwa wykorzystywać. Znacznie później naprowadzałem ich na najprostsze technologie przerobu tychże dóbr. Cieszyłem się, że gromadząc wiedzę i doświadczenie, starają się je doskonalić. Mam w pamięci czasy, kiedy zaczęły powstawać pojedyncze, celowo drażone szyby, a potem coraz lepiej urządzone i funkcjonujące kopalnie, w budowie których celowały krasnoludy oraz gnomy. Po pokazaniu się pod ziemią pierwszych gwarków spodziewałem się, że i tu ktoś kiedyś zdoła dotrzeć. Czekałem długo, niezmiernie długo, ale jak widać, w końcu się doczekałem. To dobrze. Już najwyższa pora, bo starzeję się, a przede mną jeszcze jedno zadanie. Najważniejsze. I bardzo chciałbym z nim zdążyć. Poza tym samotnemu, skazanemu wyłącznie na towarzystwo swoich małych sług czas potrafi się straszliwie dłużyć. Obecność istot myślących, nawet obdarzonych tak krótkim życiem jak wasze, skraca go i urozmaica.

Tu Duch Gór poprawił się na krześle i mówił dalej:

– Zgodnie ze swoimi zasadami nie zdradzałem nigdy nikomu zbyt dużo. Raczej dawałem wędkę niż rybę. Uważam bowiem, że obowiązkiem wszystkich społeczności i każdego pokolenia jest czynienie samodzielnych kroków prowadzących do postępu. Nie szkodzi, że duża ich część bywa stawiana na ścieżkach wiodących

donikąd; ślepych lub kończących się przepaścią, ponieważ oprócz nich trafiają się również i te właściwe. Właśnie one z czasem stają się drogami rozwoju. Sytuacja się jednak zmieniła. Z powodów, które wyłuszczę później, uznałem, że jest szczególna. Właśnie ten stan skłania mnie, żeby obecnie pomóc wam w stopniu większym niż innym, pozostawieni bowiem sami sobie przed upływem kilku stuleci nie dalibyście rady pokonać barier naukowych i technologicznych dzielących was od cywilizacji, której resztkę wytworów tu spotkaliście. Niestety, wszystko wskazuje, że nie będziecie mieć aż tyle czasu. Już wkrótce znajdziecie się w okolicznościach, w których żeby przetrwać, będzie należało przeciwstawić się skutkom pewnych zaszłości i walczyć. Nie toporem, łukiem czy inną bronią, lecz wiedzą i rozumem, technologiami i techniką. Wiem, co mówię, posiadam bowiem kierunkowy, wybiórczy dar prekognicji. Mimo to nie wszystko dla mnie jest jasne. Nie mogę przewidzieć skutków, jakie przyniesie moja pomoc, oraz co z nią poczniecie. To będzie zależeć już tylko od was. Jeżeli okażecie się mądrzy, będziecie potrafili się zjednoczyć, a także odrzucić małostkowość, zdobyte tu podstawy umożliwią szybkie zwielokrotnienie waszego stanu wiedzy i wykorzystanie jej w celu uniknięcia totalnej zagłady. Jeszcze jest czas. Jeśli nie... będzie, co ma być.

Wypowiadając ostatnie słowa, pokiwał smutno głową i zmienił temat:

– Teraz was opuszczę. Przetrawcie spotkanie ze mną. Ty, Samtor, na tę chwilę wiesz trochę więcej niż pozostali, bo usiłowałeś czytać moje myśli. Zauważyłem te próby i nie przeszkadzałem ci. Przyjmijcie to jako znak mojej dobrej woli. Ty zaś, maginie, postaraj się przekazać swoim towarzyszom

wszystko, czego się dowiedziałeś. Przemyślcie to. Przez jakiś czas będziemy spotykać się tu, w tym samym składzie i o tej samej porze. Opowiem wam o waszych poprzednikach. W odpowiednim czasie ustalimy, na kiedy skompletujecie grupę liczniejszą. Niech w niej koniecznie będą: fizyk, mechanik oraz czarodziejka zwana Nebrą. Inni – według waszego uznania. Dziś skupcie się na tym, by poznać to pomieszczenie. Przymierzcie kombinezony i dobierzcie sobie ich rozmiary. Pod żadnym pozorem nie wchodźcie za kolejną bramę. Za nią na nieprzygotowanych czeka podstępna, cicha śmierć. Podczas naszej dalszej współpracy, by nikogo nie szokować, będę występować w innej, bliższej wam wszystkim postaci. Nie ogłaszajcie pozostałym, kim naprawdę jestem. Dla reszty może to stanowić zbyt duży szok i utrudnić im myślenie. Zwracajcie się do mnie: Karkonos. Aha! Eyan, postaraj się przynieść kawałek waszej czosnkowej kiełbasy i manierkę okowity. Przyjmując inną tożsamość, z przyjemnością ulegam drobnym słabostkom. Jak widać, każdy je ma. Zatem do jutra. Nie, dzisiaj żadnych pytań – uprzedził szykującego się do powiedzenia czegoś Eyana. – Będzie czas jutro, po relacjach Samtora oraz waszych przemyśleniach.

Tak jak się zjawiał, tak zniknął, zostawiając ich siedzących na krzesłach i oszołomionych. Krasnolud spojrział na Samtora i Semistona.

– Naprawdę był tu ktoś czy mi się zdawało? – zapytał niepewnie.

– Był – odpowiedział mu czarodziej.

– Był – powtórzył Samtor jak echo.

– Świetnie posługiwał się krasnoludzkim, zupełnie jakby to był jego ojczysty język – zauważył Eyan.

– On nie mówił po krasnoludzku, posługiwał się saryjskim –
zaoponował jakby nieobecny duchem Samtor.

– Ani tym, ani tym, odbieraliśmy jego myśli. Trafiał
bezpośrednio do naszych umysłów. Nie zauważyliście, że nie
poruszał ustami? – pogodził ich Semiston.

Po kilku minutach, zachęceni przez maga, podnieśli się
z krzeseł, by zgodnie z sugestią Ducha Gór rozpocząć obchód
pomieszczenia, w którym tak niedawno doszło do
niespodziewanego, wręcz niewiarygodnego spotkania. Hala była
niewiele mniejsza od centralnej. Miała około pięciu metrów
wysokości i kształt prostokąta. W jej dłuższych, wykonanych
z nieznanego im materiału ścianach tkwiły wbudowane
naprzeciw siebie dwie metalowe bramy oraz znacznie
skromniejsze wymiarami furtki.

Obydwa przedzielone szerokością hali zestawy bramowe
miały takie same gabaryty i układ. Wyglądałyby niemal
identycznie, gdyby nie oznakowania w postaci koniczynek oraz
symbole i napisy. Te na skrzydłach w ścianie przeciwległej do tej,
którą weszli, były większe i liczniejsze. Dodatkowy, rzucający się
w oczy element stanowiły na nich czarne, pojedyncze ludzkie
sylwetki przekreślone czerwonym iksem. Obok każdej z nich
widniały po dwie inne, zielonej barwy. Nieprzekreślone.
Niegrabne, jak gdyby ubrane w skafandry, kształtami
przypominały kombinezony, których przestraszył się krasnolud
tuż po wejściu do hali.

Dalsza część tejże ściany była zajęta przez tablice ze
schematami pokazującymi labirynty przecinających się
wielobarwnych linii oraz różnego rodzaju zegary, wskaźniki
i przełączniki. Pod nimi widniały dwa długie stoły, a na nich –
kilkanaście okienek podobnych do tego w hali centralnej. Te były

jednak ciemne. Niczego nie pokazywały. Obok stołów w nieładzie stało kilka foteli. Miały one wysokie oparcia i zwiększającą wygodę podłokietniki. Ich siedziska były podparte jedną centralną nogą przechodzącą na dole w krzyżak. Na końcach jego ramion od dołu zamontowane były cztery nieduże kulki, mogące się obracać w dowolnych kierunkach. Zapewniały one tym szaro-czarnym, wyściełanym mebelkom mobilność.

Krótsze boki hali w przeważającej części były zajęte przez szafy, półki i regały. W przerwach między nimi mieściły się drzwi do innych pomieszczeń.

W jednym z naroży usytuowano magazynek skafandrów i starannie poustawianych metalowych butli z zaworami oraz uprzężą pozwalającą na noszenie ich w sposób, w jaki nosi się plecaki. W hali stały również cztery niewielkie pojazdy, a w okolicy centrum – urządzenie przypominające olbrzymią kabinę prysznicową, osłoniętą podwójnym parawanem z grubej, jakby ołowianej, lecz przezroczystej, folii. Dno kabiny wykonano z perforowanych grubych blach.

Pod sufitem widoczna była siatka podwieszonych punktów świetlnych. Teraz świecił się co trzeci z nich. Oprócz lamp wisiały tu także nieznanego przeznaczenia przedmioty o zróżnicowanych wielkościach i kształtach. Gdyby nie pokrywająca wszystko warstwa kurzu i mały bałagan tworzony przez foteliki, można by powiedzieć, że panuje tu wzorowy porządek.

– Mnie to wygląda na wielki przedsionek do czegoś – rzekł Eyan.

– Jakby śluza, stanowiąca przejście od strefy bezpiecznej do niebezpiecznej, połączona z magazynem oraz czymś w rodzaju sterowni – dopowiedział Semiston, kiwając potakująco głową.

Samtor słuchał domysłów przyjaciół, ale nie włączał się do prowadzonej rozmowy. Sprawiał wrażenie zamyślnego.

Ponad trzy godziny zajęło im przymierzanie kombinezonów, badanie przeznaczenia znalezionych tablic i przełączników oraz kabiny kąpielowej przypominającej myjnię. Z jej pryszniców mimo odkręcania zaworów nie popłynęła woda. Włosie wielkich obrotowych szczotek zwisało smętnie, a krany i węże dopływowe pozostały suche. Część z nich miała pęknięcia i sparciałe odcinki, a pojemniki na – jak sądzili – środki myjące świeciły pustką.

Sporo uwagi poświęcili zastanym w hali pojazdom. Dziwnym, gdyż miały koła, ale ani śladu zaczepów dla koni lub innych zwierząt pociągowych. Każdy miał dwuosobową kabinę z dwoma wygodnymi siedziskami. Przed fotelami znajdującymi się po lewej stronie kabiny na lekko pochyłej osi osadzono poręczne dla trzymających je dłoni koliste pochwyty. W miejscach przewidzianych na postawienie stóp wystawały trzy przyciski o niewiadomym przeznaczeniu. Z przodu widać też było jakieś zegary, wskaźniki i przełączniki, a z boku – dźwignie.

Trzy wehikuly wyposażono w miejsca na ładunki. Czwarty był nieco odmienny, najprawdopodobniej służył do przewozu pasażerów.

Próby naciskania guzików, przełączników i dźwigni pomimo stosowania różnych kombinacji nie przyniosły żadnych rezultatów. Odkryli jedynie, że pokręcanie umieszczonym w kabinie kołem powoduje wychylenie przednich kół jezdnych, a naciskanie nogą środkowego pedału uniemożliwia przemieszczanie popychanego pojazdu.

Po dokładnym zbadaniu całego pomieszczenia trochę znużeni usiedli przy stole. Tym samym, przy którym rozmawiali z Duchem Gór.

– Mówił, że czytałeś w jego myślach – zwrócił się czarodziej do maga. – Od tego czasu jesteś jakiś nieswój. Powiedz, czego się dowiedziałeś.

– Czego się dowiedziałem? Przekazanie tego słowami nie jest łatwe. Muszę się przyznać, iż w głowie mam chaos. Zaczyna mi się mieszać to, co odczytałem, z tym, co chyba sam intuicyjnie uzupełniłem. W moim umyśle, a może przed oczami – nie jestem pewien, który ze zmysłów dominował w odbiorze – w błyskawicznym tempie przewinęła się lawina oderwanych, niespójnych, nieuporządkowanych tematycznie ani chronologicznie myśli i obrazów. Pewne jest, że dotyczyły one zupełnie innej niż nasza i chyba znacznie wcześniejszej cywilizacji. Widziałem rzesze jej osobników niespokojnie obserwujących niebo, gorączkowe prace związane ze wznoszeniem potężnych, chyba podziemnych budowli i kilku przeogromnych łodzi. Zbierającą straszliwe żniwo globalną katastrofę oraz olbrzymie, zmiatające wszystko fale, ruchy górotworów, wybuchy wulkanów. Starzenie się i wymieranie odizolowanej gdzieś – być może tutaj – grupy ludzi. Potem bez żadnego przejścia nastąpiła zmiana. W odmiennej scenerii i innych czasach pojawił się obraz młodej, ładnej, śmiejącej się szyderczo dziewczyny i grządek z burakami czy rzepą. Kolejny przeskok; widzę strzępy okrutnej, krwawej wojny prowadzonej między kilkoma narodami. Pełznące szybko beznogie, stalowe, plujące ogniem ogromne żółwie. Długie rury wyrzucające na duże odległości wybuchające pociski. Błyszczące, wysoko latające i głośno ryczące ptaki lub smoki, spod których skrzydeł wypadają wydłużone, wielkie jajka lub cygara. Uderzają one w ziemię i rozrywają się, niszcząc wszystko dookoła. I zwłoki, stosy gnijących, nadpalonych, zmasakrowanych zwłok. Widziałem też

– kontynuował Samtor – groźnie kłębiące się, ale jakieś nienaturalne, chmury, wyglądające jak gigantyczne grzyby. Tworzenie się ich poprzedzały nagłe, jaśniejsze od słońca rozbłyski. W ich okolicach ludzie, zwierzęta, budowle znikaly, jakby błyskawicznie parując. W znaczniejszym oddaleniu budynki waliły się niczym domki z kart, uderzane niewidocznym, niosącym śmiertelne zagrożenie podmuchem. A w dalszym planie, jakby za mgłą, wciąż jawiła mi się postać Ducha Gór. Jego najczęściej poważna, zasepiona bądź wręcz zasmucona twarz. Wydawało mi się, że kilkakrotnie odczytałem na niej uczucie złości, zaledwie raz czy dwa gorzki uśmiech. Staram się te wizje porządkować, trudno mi jednak znaleźć klucz łączący je w jedną całość. Czuję, że wszystko, co odebrałem, ma istotne znaczenie, że musi panować w tym jakaś chronologia, jakaś logika. Niestety, choć od kilku godzin łamię sobie głowę, by materiał ten usystematyzować, niektóre elementy zupełnie mi do tworzonego obrazu nie pasują. Na przykład to pole z rzepą. Walka z jakimś rycerzem. W tym, co odczytałem, istnieją za duże luki. Duch Gór stosował widać zbyt wielkie skróty myślowe. Zbyt trudne dla mnie do rozszyfrowania.

– Pomalutku, spokojnie. Zjedzmy coś i napijmy się, to wspaniale rozjaśnia umysł. Ty wolno i dokładnie będziesz opowiadał o tym, co ci utkwilo w pamięci, a mistrz Semiston i ja będziemy słuchać, zadawać ci pytania oraz mówić o naszych skojarzeniach – powiedział Eyan, otwierając wyładowany chlebak i stawiając na stole wiszącą mu u pasa pojemną manierkę.

– Dobry pomysł. Poza tym odnoszę wrażenie, że Duch Gór celowo podsunął ci obrazy i myśli właśnie w takiej postaci. Być może chciał ciebie i nas zaintrygować. Jestem przekonany, iż oczekuje na nasze pytania i ma chęć odpowiedzieć na nie. Więcej:

sam powiadomi nas o sprawach, które są istotne, a o które, z braku rozeznania lub wiedzy, nie zapytamy – dodał czarodziej, sięgając po podawaną mu przez krasnoluda kanapkę.

Samtor nie miał ochoty na jedzenie. Odłożywszy wepchnięty mu w dłoń przez Eyana kawałek kiełbasy, wypił długi łyk zbożowej kawy z postawionej na stole manierki i na widok oczekiwania na twarzach czarodzieja i krasnoluda kontynuował:

– Wszystko, co odczytałem z myśli Ducha Gór, nie mogło dotyczyć naszej cywilizacji. Nie widziałem tam niziołków i elfów. Występowali jedynie osobnicy przypominający współczesnych nam ludzi. Niby byli podobni budową i wzrostem, mieli zbliżoną mimikę twarzy, gesty oraz odruchy, jednak nawet ja, przyzwyczajony przecież do obcowania z różnymi rasami i pozbawiony uprzedzeń, co osobliwe, odczuwałem do nich pewną niechęć oraz wyczuwałem ich całkowitą odrębność. Nie potrafię sprecyzować, z czego ona wynikała. Była silna, lecz jakby organicznie nie moja. Może... różnica poziomów naszych kultur? Nie wiem, sami widzieliście ich przedstawiciela w okienku w centralnej hali. Osobnik ów nie wydaje się przecież aż tak odmienny ani tak antypatyczny, jak by to wynikało z odczytu myśli Ducha. Zastanawiało i dziwiło mnie to już podczas penetracji jego umysłu. Dlaczego tamta rasa wydała mi się wówczas tak obca i niemiła, również w tym momencie nie potrafię do końca wyjaśnić. Chyba że jest to...

– Chyba że jest to obraz ludzi tamtej cywilizacji widziany jego oczami. Obraz zupełnie subiektywny. Zauważyliście, że w rozmowie, a właściwie w swoim monologu, znacznie obszerniej i z wyczuwalną sympatią wyraził się o naszej populacji? – włączył się czarodziej. – Odnośnie do tamtej, minionej, ograniczył się jedynie do suchego stwierdzenia, że była

wysoko rozwinięta. Może rzeczywiście czuje do niej jakąś odrazę i właśnie to uczucie zniekształca obraz? Przecież tak naprawdę sam nie oglądałeś bezpośrednio tamtego społeczeństwa, jedynie odczytywałeś wrażenia i myśli Ducha Gór. Jeśli on oceniał je źle, nie mogłeś mieć innego odbioru.

– Tak, to jest możliwe... Ale żeby odwieczna, widać, że potężna, raczej niematerialna istota żywiła uczucie antypatii do całej żyjącej w pewnym okresie ludzkości?

– A jeśli ta ludzkość zalała mu za skórę? Jeśli go zawiodła? – zastanowił się głośno Eyan. – Jeśli osiągnąwszy wysoki stopień rozwoju, zaczęła rabunkową, głupią eksplorację cennych zasobów mineralnych, jeśli zagroziła bezpieczeństwu swemu i planety? Nasz stosunek do nich zdążymy ustalić później. Ale dopiero, kiedy będziemy na to gotowi. Teraz roboczo proponuję przyjąć pogląd Ducha.

– Tak, ta pierwsza część twojej wypowiedzi mogłaby tłumaczyć tę wyczuwalną nutę niechęci w jego przekazie. Ale to tylko domysły. Jaki będzie nasz osąd tamtej cywilizacji, rzeczywiście pokaże czas.

– Wspomniałeś o kataklizmie, mógłbyś o nim powiedzieć nieco więcej? – zapytał krasnolud.

– Tak, ale zanim do tego przejdę, jeszcze raz chcę podkreślić, że odbierane przeze mnie obrazy i myśli były wielce bezładną w czasie i przestrzeni mieszaniną. Staram się ją w miarę możliwości systematyzować. Myślę, że niektóre wątki będę mógł przekazać w formie nieco uporządkowanej. Resztę podam tak, jak zapamiętałem. Może razem do czegoś dojdziemy. Zacznę od wizji jakiegoś obserwatorium. Od badaczy obserwujących niebo. Musieli ujrzeć coś dziwnego, bo byli mocno poruszeni. Potem nastąpił czasoprzestrzenny przeskok. Widziałem liczne, różniące

się wyglądem, kolorem skóry i zachowaniem gromadzące się grupy ludzi. Myślę, że pochodzili oni z odrębnych krajów i należeli do różnych narodów, a ich cechą wspólną było to, że wszyscy z narastającym lękiem spoglądali w górę. Nieboskłon, początkowo czysty, nagle został zakłócony jakimś ciemnym, szybko zbliżającym się, niekształtnym obiektem, który w pewnej chwili rozszarzył się i podzielił na trzy mniejsze, jednak i tak ogromne, odłamy. Każdy z nich leciał innym torem, jednak było pewne, że uderzą w Ziemię. Strach zgromadzonych zaczął zmieniać się w panikę, w bezprzykładne przerażenie. Później przewinęło mi się kilka bardzo dramatycznych obrazów bezładnej ucieczki ludzi, zwierząt... a następnie trzy następujące w niewielkich odstępach czasu niszczycielskie wstrząsy. Po nich nastąpiły inne, wcale nie słabsze, a bezpośrednio potem... apokalipsa, koniec świata. Armagedon, podczas którego ścierały się nie narody, ale wytrącone ze stanu równowagi twory natury. Walka ta niosła zagładę istotom żywym i bytom nieożywionym. Olbrzymie fale zatapiały wszystko, co tylko napotykały na swojej drodze, lądy się przemieszczały, góry zapadały. Cała planeta zdawała się jęczeć, jakby doznawała dotkliwego bólu. Odczuwalnie też drgnęła, zmieniając swą orbitę, położenia biegunów oraz nachylenie w stosunku do słońca. I znów odmienny obraz zda się znacznie późniejszy. Widok ziemi, która zagoiła swe rany nowo wyrosłą, bujną roślinnością. Ale oglądane lądy świeciły pustką. Nie było na nich życia. Ani ssaków, ani ptaków, ani tym bardziej istot inteligentnych. Fale mórz, w których, wydaje mi się, coś pływało, uderzały o brzegi. Wokół unosiły się dymy i opary z wulkanów i gejzerów.

Powiedziawszy to, magin zamilkł na chwilę, po czym dodał:

– Dalej, jak powiedziałem, to jakieś pojedyncze, niepowiązane ze sobą impresje.

– To, co nam do tej pory przekazałeś, jest logiczne i możliwe do wyobrażenia, chociaż trudne do umiejscowienia w czasie – odezwał się Semiston. – Według mnie opowiedziałeś nam o wysoko rozwiniętej kulturze, która poprzedzała naszą. Raczej jednogatunkowej, ale podzielonej na rasy, narody i społeczności. Jej nauka i technika zdecydowanie przewyższała poziom osiągnięty przez nas. Świadczy o tym nie tylko to, z czym mamy tu do czynienia, ale i wyprzedzenie, z jakim ich uczeni spostrzegli, że w kierunku Ziemi zbliża się duże kosmiczne ciało. Wyliczenia, iż znajduje się ono na orbicie kolizyjnej i zagraża katastrofą. Jak się wydaje, o możliwości dojścia do niej zdążyli odpowiednio wcześniej uprzedzić całą lub prawie całą ludzkość i przygotować jeden lub kilka schronów, aby jakaś część ich przedstawicieli mogła w nich przeczekać najgorszy okres, a być może stanowić zaczątek nowej populacji. W kontekście twojej relacji budowla, w której przebywamy, coraz bardziej wydaje mi się jednym z takich ukryć. Jej realizacja musiała trwać dobrych kilka lat.

– Nie jest też wykluczone, że ówczasnie żyjący usiłowali w jakiś inny sposób zapobiec zbliżającej się kosmicznej katastrofie. W jaki? Nie wiem, ale najwidoczniej podjęte próby się nie powiodły – wtrącił Eyan. – Dowodziłyby tego wizje grupowych obserwacji nieba, narastający lęk, strach i w końcowej fazie paniczna, a zarazem bezskuteczna, ucieczka. Te trzy pierwotne wielkie wstrząsy to być może efekt uderzeń odłamów uległego podzieleniu meteoroidu, które nie odparowawszy po wejściu w atmosferę, dotarły do Ziemi w postaci meteorytów. Chociaż nie, nie meteoroidu, bo ten nie wywołałby aż tak

tragicznych skutków. Raczej asteroidy, ciała niebieskiego o większych rozmiarach. Na szczęście doszło do jej rozdzielenia, bo gdyby w całości wpadła na Ziemię, energia zderzenia w zależności od kąta i miejsca trafienia, mogłaby spowodować na przykład wyrzucenie kolejnego księżyca, w gorszym przypadku, wytrącenie naszej planety ze stałej orbity. W najgorszym zaś, rozbicie i rozdrobnienie aż do gruzu i pyłu kosmicznego obydwu uderzających w siebie ciał niebieskich. Pył ten albo by się rozpełził po przestrzeni kosmicznej, albo po długim okresie połączył w jakieś większe, lecz już niepodobne do Ziemi ciało niebieskie. Te trzy części asteroidy szczęśliwym trafem musiały spaść prawie równocześnie i w takich miejscach, że ich energie wyzwolone zderzeniami, przynajmniej częściowo, wzajemnie się wytłumiły, niwelując efekty zewnętrzne. Sama planeta musiała jednak to odczuć. Naruszone zostały jej podstawy. Mam na myśli płyty tektoniczne, które gwałtownie zmieniły swe położenia, wywołując trzęsienia ziemi, przemieszczenia lądów, orogenezy, wybuchy wulkanów i powstanie olbrzymich, przemieszczających się z zabójczą prędkością oceanicznych i morskich fal. Przeobrażenia te, mające wymiar makro, wymusiły konieczność ponownego wyważenia obracającej się Ziemi, co nastąpiło poprzez przemieszczenie jej osi obrotu. Stąd zmiana pochylenia w stosunku do słońca i pochodne jej, jak zmiana miejsc biegunów magnetycznych. Z opowiadania Samtora wynika, że cała nasza planeta nieznacznie, ale zmieniła swą orbitę. To dowodzi, że uderzenie musiało być niezwykle potężne, a wypadkowa sił wywołana uderzeniem tych trzech odłamów asteroidy została wyzerowana dopiero po przemieszczeniu jej w przestrzeni. Mikroskopijnym w skali wszechświata, nieeliminującym warunków ponownego zaistnienia życia, ale jednak. Dobrze, że

nowa orbita okołosłoneczna zachowała swój stały charakter. Niemożliwością wręcz jest wyobrażenie sobie potęgi takich procesów – zakończył wywód krasnolud.

– Tak, efekty zewnętrzne można uznać za niewielkie, ale to, co działo się na samej Ziemi, już nie, zdecydowanie nie – podjął temat magin. – Ale zastanówmy się, skąd Duch Gór mógł uświadomić sobie takie makrozmiiany. Wszak przyjęcie przez planetę nowej trajektorii czy też innego nachylenia względem słońca, a także przemieszczenie się biegunów bez naukowych obserwacji wydają się niemożliwe do zarejestrowania przez istotę będącą na podlegającym tym procesom ciele niebieskim. Nie przypuszczam, żeby Duch Gór prowadził takie badania. Informacje te jednak przekazał mi jako fakty. Nie były to żadne ani jego, ani tym bardziej moje przypuszczenia, to były pewniki. Skąd o nich wiedział?

– No cóż, jest to kolejny dowód świadczący, że ów Duch jest bytem o wiele bardziej skomplikowanym, niż mogłoby się wydawać. Może jest on jednym z wielu mu podobnych rozsianych po Ziemi albo nawet planetach wszechświata? Może utrzymuje kontakt z nimi, a może posiadają oni lub one zbiorową świadomość? – zastanowił się głośno Semiston. – Sami nie rozstrzygniemy tego, a on z pewnością powie nam tylko tyle, ile uzna za stosowne. Wróćmy więc lepiej do tego, co miało miejsce na planecie. Mów, Samtor.

Dalsza opowieść magina przybliżyła im obraz minionej cywilizacji. W jej trakcie poznali kolejne szczegóły dotyczące światowej katastrofy i cząstkowe, jakby wyrwane z kontekstu urywki dziejów Ziemi po niej. Słuchali i mówili. Zadawali pytania Samtorowi i sobie nawzajem, przedstawiali swe poglądy i zdania, ścierali się w dyskusjach, a wszystko to umacniało ich pewność,

że domysły dotyczące stosunków panujących pomiędzy ówczesnymi narodami czy nacjami, ostatecznych skutków kataklizmu, początków nowego życia, którego efektem było nastanie epoki współczesnej, ich epoki, to tylko presumpcje tworzone na podstawie nieuporządkowanych strzępków wiedzy, poprzez pryzmat dostępnych im wyobrażeń.

Wątpliwości i pytań zamiast ubywać przybywało.

Semiston, po ponad dwóch godzinach debaty, podsumował ją, stwierdzając, iż według niego wytworzyli sobie jakiś wstępny obraz zdarzeń i są przygotowani do jutrzejszego spotkania na tyle, by wiedzieć, o co Ducha Gór pytać. Eyan zgodził się z czarodziejem i wyraził przypuszczenie, że taki właśnie mógł być zamysł niespodziewanego przybysza.

Opuszczając halę, mieli przekonanie, że znajdują się tuż przed wykonaniem milowego kroku, na drodze wiodącej do celu ich misji.

– Aport! Teks, aport! – wydał polecenie Bedoryk, rzucając sporej wielkości kij.

Piękny, duży pies, radośnie machając ogonem, zgrabnymi susami pognał do miejsca, w które padł patyk. Znalazłszy, chwycił go w połowie długości w mocne, białe zęby, uniósł dumnie kształtną głowę i skierował się w stronę właściciela. Usiadł przed nim. Lekkim podniesieniem pyska i wyciągnięciem szyi zasygnalizował, iż jest gotowy przekazać swą zdobycz. Po jej odebraniu, nagrodzony pieszczotliwym klepieniem w kark, szczeknięciem okazał zadowolenie. Samorzutnie zajął miejsce przy lewej nodze swego pana, czekając na dalszy ciąg igraszek.

Ten, odkładając patyk, zwrócił się do psa:

– Koniec zabawy, kwadrans wystarczy. Teraz pilnuj konia! – i nie oglądając się, spokojnie pomaszerował do gospody.

Tę trwającą dobrych kilkanaście minut zabawę młodego przybysza z owczarkiem z zaciekawieniem i rozbawieniem z oddalenia oglądało pół personelu zajazdu, w tym jego właściciel. Pozytywnie oceniwszy zasobność przyjezdnego, karczmarz gościnnie zagaił:

– Witajcie, panie! Pierwszy raz was widzę u nas. Radzi witamy. Jeśli szukasz noclegu i dobrego jadła za przyzwoitą cenę, nie mogłeś trafić lepiej. Dla konia znajdzie się miejsce, świeża woda i pełny żłób w stajni. Psa przyjmiemy również, byleby naszych kur i kaczek nie podusił. Od razu widać, że to bliskie ci zwierzę, bo miast pójść przepłukać po podróży gardło wprzód zajęłeś się nim. Zmyślny jest, rozumie w pół słowa.

– Witajcie, gospodarzu. Rzeczywiście, nie tylko u was, ale i w Mezarze znajduję się po raz pierwszy. Nazywam się Saban. Saban Wiła. Jestem tu obcy, a jadę aż z Eridy. Planuję zatrzymać się w waszej stolicy na kilkanaście dni. Słyszałem od swej matki, która się wywodzi z Morgii, że w Mezarze można zobaczyć wiele ciekawych rzeczy. Skoro już zdarzyła się taka okazja, to chciałbym ją wykorzystać, bo czas mnie nie goni. Pies wabi się Teks i jest dobrze ułożony. Drobiu nie podusi, sam nikogo nie zaatakuje, lecz do konia, jeżeli otrzymał polecenie pilnowania, a ceni się całość swojej skóry, bezpieczniej się nie zbliżać.

– Zapraszam, panie. Spróbuj potraw i napitków. Jeśli spodoba ci się u nas, na cały okres pobytu przygotowujemy na piętrze najlepszą komnatę. W naszym zajeździe nie ma miejsca dla szumowin. Panuje tu porządek, a odwiedzają nas osoby znaczne i szanowane. Będzie ci u nas wygodnie i bezpiecznie.

Bedoryk, bo on to był, nie przypadkiem znalazł się właśnie w tej gospodzie. Przed wyjazdem z Todory został przez Sytomira poinformowany, że może w niej spotkać organizatorów psiej wystawy. Uprzedzony o tym, od początku zamierzał się tu zatrzymać, licząc na nawiązanie potrzebnych kontaktów. Aby jednak wszystko wyglądało jak najbardziej naturalnie, nim uległ namowom karczmarza, udał wahanie.

Decyzja o zamieszkaniu tu, niezależnie od ukrytych powodów, okazała się trafna, ponieważ wewnątrz zaprezentowanej mu sali biesiadnej było czyste i ładnie urządzone, zaproponowany pokój przytulny, potrawy podawane przez urodziwy damski personel rzeczywiście smaczne, piwo odpowiednio schłodzone, a wina niecierpkie. Ponadto było stąd w miarę blisko do centrum miasta i do pałacu, stanowiącego siedzibę władcy. Jedyne ceny nie były tak przyzwoite, jak obiecywał oberżysta. Na to Bedoryk był jednak odpowiednio przygotowany.

Chcąc od początku zostać zaliczonym do szanowanych gości, bez targów zapłacił srebrem za tygodniowy pobyt z pełną obsługą i zaznaczył, że jeśli koszty przekroczą umówioną kwotę, natychmiast je ureguluje. Za kolejny okres pobytu także zobowiązał się uiścić połowę należności z góry, resztę przy rozliczeniu. Rozważne i uprzejme zachowanie wyglądającego na dwadzieścia pięć lat mężczyzny od razu przyniosło zakładany skutek – respekt restauratora i wzmożone drobnymi datkami sympatie stajennego, pokojówki i kelnera. Po takim wejściu warunek, że prawie wszędzie będzie mu towarzyszyć pies, już niczyich protestów nie wzbudził. Jeżeli gość nie ma w kieszeni węża i płaci brzęczącą monetą, ma pełne prawo do małych fanaberii.

Koń został napojony, zaprowadzony do stajni i rozkulbaczony. Dla Teksa w pokoju Bedoryka rozpostarto grubą, czystą derkę i postawiono miskę wody.

Po odświeżającej kąpeli i dwugodzinnej drzemce pomocnik Semistona z towarzyszącym mu psem zszedł na kolację. W sali jadalnej było zajętych kilka stołów. Bedoryk, idąc niespiesznie po schodach, omiół wzrokiem siedzących. Przystanął, jakby zastanawiając się, które miejsce wybrać, i po chwili namysłu ruszył w kierunku jednego z mniejszych stolików, usytuowanego w pobliżu innego, zajmowanego przez czterech żywo rozprawiających mężczyzn. Rozpoznał ich prawie od razu. Co do joty pasowali do opisu saryjskiego agenta. Dwóch miało nawet zgodne z jego relacją ubiory. Teks towarzyszył mu, pilnując się lewej nogi i idąc z podniesioną elegancko głową pół kroku za nim.

Bedoryk zamówił kolację dla siebie i swego czworonożnego towarzysza oraz mały dzbanek miejscowego wina. Czekać na dania, z zadowoleniem zauważył, że zasiadający przy sąsiednim stoliku goście przerwali rozmowę i zaczęli otwarcie spoglądać to na niego, to na Teksa. Postanowił udawać, że nie dostrzega ich zainteresowania, i rozejrzawszy się po sali, zaczął półgłosem przemawiać do rozumnie patrzącego na niego psa.

Po niedługim czasie zgrabna, młoda dziewczyna postawiła na stole zamówione potrawy i wino, a na podłodze – miskę napełnioną kluskami i wołowym gulaszem. Spodobali się jej pies oraz ten jasnowłosy, starannie uczesany i elegancko odziany, przybyły z dalekiego świata chłopak. Uczuciom swym dała wyraz życzeniami smacznego dla obu klientów i uśmiechem znacznie miłszym od jej zwykłego służbowego. Nim od nich odeszła, powiedziała, że ma na imię Malwina, wszyscy zaś zwracają się do

niej Malwa. Malwa – jak kolorowy, wysmukły, kwitnący od wiosny do jesieni kwiat.

Młody czarodziej pomyślał, że warto by było go zerwać albo przynajmniej upajać się jego wonią i wyglądem. Ale tylko pomyślał, obecnie miał inne priorytety.

Teks zachował się, jak na rasowego arystokratę przystało. Spojrzał na przeznaczoną dla niego kolację i spokojnie usiadł. Dopiero po usłyszeniu pozwolenia pana z apetytem potwierdzającym smakowitość zaserwowanego mu dania, lecz niełapczywie, zaczął jeść.

Bedoryk na widok wytwornego zachowania psa podniósł napełniony szklany pucharek, ocenił klarowność oraz barwę trunku i skosztował jego łyk. Smakując wino, niby wiedziony zwykłą ciekawością, spojrział w kierunku zdradzających zainteresowanie Teksem mężczyzn, po czym skinął głową i sympatycznie się do nich uśmiechnął. Odpowiedzieli mu podobnymi gestami.

„Mam was. Teraz piłka jest po waszej stronie. Ja zaczekam” – pomyślał i spokojnie przystąpił do spożywania apetycznie pachnącego i nie mniej zachęcająco wyglądającego, dużego panierowanego tartą bułką i jajkiem wieprzowego kotleta, podanego z mocno pikantną warzywną surówką oraz świeżym pieczywem.

Po zaspokojeniu pierwszego głodu napełnił ponownie kielich. Delektował się młodym, dość dobrym czerwonym winem. Spojrzał w kierunku bufetu i złowił wzrok otwarcie obserwującej go Malwy. Gdyby nie znacznie teraz ważniejsza dla niego kwestia zaznajomienia się z organizatorami dorocznej psiej wystawy, pewnie pokusiłby się o odczytanie jej myśli i zawarcie z nią bliższej znajomości. Sądził, że nie rozczarowałyby go. Wiedział

jednak, że nie może sobie pozwolić na amory, że musi wykorzystać sposobność, aby zapewnić udział Teksa w zbliżających się pokazach. To było najważniejsze.

Nie czekał długo. Najstarszy wyglądem z siedzących przy sąsiednim stoliku mężczyzn podźwignął się z ławy i skierował do niego.

– Witajcie, panie. Zoczyliśmy, że siedzicie samowtór ze zwierzakiem. Jeśli nie macie nic przeciw temu, zapraszamy was obu do naszego stołu. Jest większy, wygodniej będzie rozmawiać. Ciekawi nas wasz pies. Piękne zwierzę.

– Miło mi, że prosicie obcego sobie człowieka do stołu, i dzięki za pochwałę mego czworonożnego towarzysza. Nie obrażcie się, ale zazwyczaj nie przysiadam się do nieznajomych. Można źle na tym wyjść. Proszę mnie zrozumieć, nie chcę w żadnym wypadku wam uchybić czy być nieuprzejmym, lecz – z całym szacunkiem – jestem znużony drogą i byłby ze mnie kiepski kompan do pogawędki.

– Chwalebna ostrożność, ale my nie mamy zamiaru naciągać nikogo na poczęstunek, namawiać do gry w karty, kości ani też na inne bezceństwa. Jesteśmy poważnymi ludźmi, organizatorami dorocznej wystawy psów, która od lat ma miejsce w naszej stolicy i cieszy się wielkim zainteresowaniem. Bywa, że pokazuje się na niej i sam król. Zaświadczyć, że mówię prawdę, mogą właściciel zajazdu oraz większość tu obecnych. Oni znają nas, my zaś znamy się na psach. Wasz morgijski owczarek jest rewelacyjnym okazem i sprawia wrażenie doskonale ułożonego. Jeżeli byście nie mieli nic przeciwko temu, chcemy z wami omówić sprawę jego udziału w pokazach, które zaczynają się już w przyszłym tygodniu i potrwać dwa dni. Na zwycięzcę oprócz

chwały czeka niemała finansowa nagroda. To jak? Ponawiam nasze zaproszenie.

– Zostaje ono przyjęte pod warunkiem, że nie odrzucicie, panowie, dzbana wina ufundowanego przeze mnie. Powinien on zatrzeć moją pierwszą, może niezbyt fortunną, wypowiedź.

– Zgoda. Z przyjemnością go z wami wypijemy. Prosimy do nas.

Po wzajemnym przedstawieniu się Bedoryk, występujący jako Saban Wiła będący w drodze do zamieszkałej w Dyned gałęzi swojej ziemiańskiej rodziny, zamówił u obserwującej jego zmianę stołu Malwy-Malwiny wino i coś słodkiego. Zaproponowała świeżo upieczony sernik. Nim podała, zdążył czwórce organizatorów wystawy zaprezentować Teksa. Byli nim zachwyceni. Zadawali Sabanowi pytania, z jakiej hodowli pochodzi, ile ma lat, czy na coś chorował. Interesowali się, czym jest karmiony, jaki ma charakter oraz nawyki. Po uzyskaniu zgody właściciela, dotykając psa, obejrzeni jego zęby, oczy i ogon. Zainteresowali się także, czy może być reproduktorem.

W pewnym momencie popatrzyli na siebie i prawie jednocześnie potakująco skinęli głowami. Ten, który podszedł do stolika Bedoryka, mając poparcie pozostałych, oficjalnie zaprosił go do wystawienia Teksa do konkursu. Przez pewien czas ze znanstwem omawiał zalety zwierzęcia, by swój wywód zakończyć wnioskiem, że ma on wszelkie dane, aby zostać zwycięzcą nie tylko rasy, ale i całej wystawy. A to – powtórzył – splendor i pieniądze.

Nie widząc wiary i zbyt wielkiego entuzjazmu w oczach Sabana, kolejny organizator użył argumentu, że na wystawie spodziewany jest król Petin, a to nieczęste i wielkie wydarzenie.

Tylko nieliczni będą mieli zaszczyt ujrzeć go z bliska, a jeśli jeszcze dopisze szczęście, to i osobiście porozmawiać z władcą.

Ciekawego świata bogatego ziemiańskiego syna ta ostatnia możliwość nieoczekiwanie zaintrygowała. Upewnił się, czy jako wystawca psa będzie mógł podczas tej wizyty przebywać w hali wystawowej i na własne oczy ujrzeć monarchę. Usłyszawszy potwierdzenie siedzących przy stole mężczyzn, oznajmił, iż został przekonany do wzięcia udziału w wystawie. Powiedział też, że zna zalety swego owczarka, ale mimo to wątpi w wygraną. Nie ona jest dla niego jednak najistotniejsza. Najważniejsze, że po raz pierwszy w życiu będzie miał szansę ujrzeć z bliska tak sławnego i wielkiego króla, jak Petin Czwarty.

Jeszcze trochę posiedzieli wspólnie, pogłębiając przy winie dopiero co zawartą znajomość, omawiając szczegóły organizacji wystawy i sposób prezentacji na niej Teksa. Następnie, pożegnawszy się, Saban udał się z psem do wynajętego im pokoju.

Po powrocie usiedli i jak ostatnio często, rozpoczęli rozmowę. Dla postronnych obserwatorów wydawałaby się ona tylko monologiem człowieka, zwracającego się do swego czworonożnego ulubieńca. W rzeczywistości Bedoryk odbierał myśli Romasa, którego transmutacja w morgijskiego owczarka pozbawiła umiejętności ludzkiej mowy. Kontakt zwrotny z gnomem, który nie miał daru czytania w umyśle, z konieczności musiał przybrać formę głosową.

– Pierwsza przeszkoda wzięta. Uczestniczymy w wystawie. Ale to było najłatwiejsze. Teraz, Romasie, nadchodzi twoja kolej – powiedział Bedoryk. – Wierzę w ciebie.

– ...

– Tak, wiem, że to loteria, ale obaj już się przekonaliśmy, że żaden naturalny pies nie jest w stanie ci dorównać. Jesteś inteligentniejszy i sprawniejszy fizycznie.

– ...

– Masz oczywiście rację, jesteś prawdziwym psem, jednak dużo lepszym. Obaj zdajemy sobie sprawę, że masz właściwości, których inne osobniki nie posiadają. I masz motywację.

– ...

– Faktycznie, wręcz pożerali cię oczami. Spodobałeś się im z wyglądu i zachowania. Dwóch z nich będzie w komisji oceniającej. Już wiem, że z całym przekonaniem będą głosować na ciebie. Dwa pewne głosy to już coś.

– ...

– Skąd? Pozwoliłem sobie dyskretnie poczytać ich myśli.

– ...

– Jestem przekonany, że ci się uda. Petin musiałby być całkiem ślepy, żeby nie zwrócić na ciebie uwagi i wybrać innego psa.

– ...

– Mnie też będzie cię brakować i będę się o ciebie niepokoił. A na początku nic nie zapowiadało, że aż tak się zbliżymy.

– ...

– Ja też traktuję cię jak przyjaciela, Romasie. Również bardzo chciałbym, aby już szczęśliwie było po wszystkim. Kładźmy się spać. Trzeba wypocząć, bo jutro też będzie pracowity dzień. Musimy poznać ogród pałacowy i rzucić okiem na halę wystawową. Lepiej znać teren walki.

– ...

– Tak, jestem pewny. Powtarzam: śpij!

– ...

– Musisz? Dobrze, wyjdę z tobą. Nie puszcę cię samego. Nie pozwolę sobie na zbędne ryzyko.

Opłacało się wyjść. Na podwórku napotkał odpoczywającą po całym dniu pracy Malwę. Sprawiała wrażenie zadowolonej, kiedy usiadł przy niej na ławce. Rozmawiali. Nie broniła się, gdy zaczął ją całować.

Wieczorny spacer Teksa okazał się wyjątkowo długi, a noc dla Bedoryka – jakby zbyt krótka.

ROZDZIAŁ XV

Następnego dnia Eyan już od wczesnego ranka buszował po kuchni. Określenie „wczesny ranek” w kopalni, gdzie wchód ani zachód słońca nie były widoczne, traktowano umownie. Już po kilku dobach pobytu pod ziemią panujące tu specyficzne warunki sprawiły, że organizmy większości badaczy samorzutnie zaczęły modyfikować swoje dotychczasowe rytmy, przyjmując nowe, bardziej pasujące im pory pracy, snu i jedzenia. Przesunięcia, początkowo nieznaczne, z czasem u niektórych ulegały zwiększeniu. Utrudniało to pracę kucharzowi i jego pomocnikowi.

W takiej sytuacji jedynie regulowane wskazaniem zegara pory obiadów były w miarę przestrzegane i gromadziły cały zespół. Po tych bowiem posiłkach odbywały się codzienne odprawy. Śniadania i kolacje, przygotowywane zazwyczaj w formie bufetu, mocno rozciągały się w czasie. Najdziwniejsze jednak było to, że nawet pojedynczym osobom przybyłym w zbyt wczesnych lub mocno spóźnionych godzinach Zeno lub Chochelka zawsze mieli do zaoferowania coś smacznego i gorącego. I co istotne, każdy podejmowany był życzliwie, bez najmniejszych oznak niezadowolenia czy zniecierpliwienia ze strony pary mistrzów kuchennych. Ich opiekuńcze zachowanie sprawiało, że w tej jadalni nikt nigdy nie czuł się natrętem.

Przez karmionych było to doceniane.

Tegoż ranka krasnolud, wzięwszy sobie do serca kulinarne sugestie Ducha Gór, przygotowywał wraz z Zeno Pastalem suchy prowiant. W poczynaniach swych nie ograniczył się tylko do kielbasy, gorzałki i chleba, lecz swój pojemny chlebak dopakował glonem sera, kilkoma paprykami, pomidorami oraz dwiema dużymi cebulami. Do oddzielnej torby Zeno włożył kawał wczoraj upieczonej szarlotki i napełnione kawą dwie manierki. Tak objuczony Eyan poinformował kucharza, żeby nie trudził się obiadem dla ich trójki, podziękował i skierował się do pokoju Semistona, gdzie czarodziej i Samtor mieli już na niego czekać.

Po znalezieniu się w zwiedzanej poprzedniego dnia hali spostrzegli ubranego na szaro krasnoluda. Jak na przedstawiciela tej rasy był wysoki. O pół głowy przerastał Eyana. Oprócz wręcz eleganckiego stroju miał też – co u krasnoludów prawie niespotykane – starannie utrzymane fryzurę i brodę.

Chociaż cała przybyła trójka była lekko spięta, Semiston tym razem nie dał się zaskoczyć.

– Witamy, witamy, panie Karkonos. Przybyliśmy zgodnie z umową – powitał grzecznie stojącego.

– Witamy, witamy pana – powtórzyli Samtor i Eyan Siewca, skłaniając głowy.

Duch Gór, który przyjął postać wyrośniętego niziolka, uprzejmie się odklonił, dźwięcznym barytonem pozdrowił ich i najwidoczniej czując się tu gospodarzem, zapraszającym gestem wskazał znany im już stół. Kiedy wciąż nieco skrępowani zajmowali miejsca, polecił, żeby zwracać się do niego po prostu „Karkonos”, bez żadnego „panie”.

Prawie jednocześnie zauważyli, że tym razem mówi wspólnym językiem, używając głosu, a nie, jak wczoraj, bezpośredniego przekazu myślowego.

Po ich usadowieniu się on również zajął miejsce, obrzucił całą trójkę uważnym wzrokiem i zaczął:

– Dzisiejszy dzień przeznaczymy na, nazwijmy to, rozmowę. Zapewne macie dużo pytań. Jeśli nie poruszyście tematów, które uważam za ważne, sam postaram się wam je przybliżyć albo chociaż zasygnalizować. Nie ludzę się, że od razu przyswoicie wszystko, co powiem, ale pewne kwestie, nakreślone choćby ideowo, ułatwią wam badania, naprowadzą na właściwy kierunek. Jak się wkrótce przekonacie, okaże się to przydatne i teraz, i później. Skąd wiem? Wspominałem już: prekognicja. Paranormalna wiedza o niektórych wydarzeniach, które mają nastąpić w przyszłości.

Siedzieli, wpatrując się wyczekująco w odmienioną postać Ducha Gór. Ich milczenie stanowiło koncentrację, psychiczne przygotowanie do przyjęcia informacji, po które w gruncie rzeczy do tej kopalni przybyli. A mieli je otrzymać z napotkanego przypadkowo – a może wcale nie tak przypadkowo – najlepszego z możliwych źródeł. Zdawali sobie sprawę z wyjątkowości sytuacji, doceniali szczęśliwy traf fortuny.

Cisza, która chwilowo zapanowała przy stole, nie była ani ciężka, ani kłopotliwa, wskazywała raczej na wyczekiwanie gości Ducha Gór na dalszy ciąg jego wypowiedzi. Ten, wyczuwając ich rozterki, chcąc ułatwić rozpoczęcie rozmowy, po małej przerwie zagaił:

– Od czego zaczniemy? Może od waszych pytań?

Nie pomógł im, ponieważ mieli ich mnóstwo. Zbyt wiele, aby prosto z marszu zadecydować, które jest najważniejsze i najstosowniejsze na początek. Kłopot tkwił w tym, że wszystkie wydawały się istotne i pilne. Samtor i Semiston obrzucili się szybkimi spojrzeniami. Mimo wcześniejszej dyskusji

i dokonywanych ustaleń widać było, że z wyborem pierwszego jednak się wahają.

Eyan, podbudowany tym, iż nowy znajomy przybrał postać krasnoluda, od początku czuł się w stosunku do niego nieco śmielszy. Ubiegając wszystkich, stwierdził:

– Zapowiada się dziś długa nasiadówka. Sądzę, że będzie ona lepiej przebiegała, jeśli najpierw coś przekąsimy i zwilżymy gardła. Tym bardziej, że chyba wszyscy jesteśmy przed śniadaniem. Jeśli nie macie nic przeciwko temu, to rozpakuję swój chlebak. Samtor, proszę, pokrój kiełbasę i chleb, a ja zajmę się resztą.

Nikt wobec propozycji krasnoluda nie zgłosił sprzeciwu. Przyjęto ją wręcz z zadowoleniem, ponieważ rozładowywała sytuację i dawała dodatkowy czas na namysł.

Okazało się, że w torbie i chlebaku oprócz wiktuałów znalazły się także kubki, talerzyki, zgrabne szklaneczki oraz serweta. Po chwili kiełbasa, chleb i kawa – jeszcze ciepłe – roztaczały smakowite zapachy, a ser, pokrojone kolorowe warzywa i ciasto radowały oczy.

– Widzę, że do prawdziwej uczytury brakuje jedynie odrobiny gorzałki. – Karkonos się uśmiechnął.

– Nie brakuje, nie brakuje – odezwał się Eyan uspokajająco, sięgając po pojemną manierkę. Zaczynając od Ducha Gór, nalał wszystkim po miarce do podstawianych kolejno szklaneczek.

Miło było patrzeć, jak Karkonos z lubością spogląda na jedzenie, próbuje kiełbasy i chleba, jak ze smakiem zagryza kawałkiem pomidora i cebuli, napawając się ich zapachem, oraz z przyjemnością opróżnia szklaneczkę śliwowicy, poprzedzoną toastem wzniesionym przez Semistona: „Za najdziwniejsze

i niespodziewane spotkanie, które – żywią głębokie przekonanie – zaowocuje ważkimi i szczęśliwymi efektami”.

Cała czwórka pojadła, wymieniając błahe uwagi, świadomie nie poruszając tematów zasadniczych, by nie przeszkadzać Duchowi Gór w degustacji.

– Trzeba przyznać, że materialna postać też może dostarczyć sporo przyjemności – skonstatował ten. – Ponad czterysta czterdzieści tysięcy lat nie miałem czegoś podobnego w ustach. Jak to mówili wasi poprzednicy, niebo w gębie. Ze zdziwieniem stwierdzam, że smaki potraw i trunków obu kolejnych cywilizacji mimo upływu setek tysięcy lat wiele się nie zmieniły. Być może dlatego, że bazę pożywienia stanowią te same rośliny i podobne gatunki mięsa. Mniemam, że największe różnice tkwią w ich obróbce i stosowanych przyprawach. Przyznaję, że wasza kielbasa i chleb zdecydowanie lepiej mi smakują. Są bardziej naturalne i sądzę, że zawierają mniej sztucznych dodatków. A może to jedynie kwestia zbyt długiej przerwy i tak zwany syndrom smaków młodości... Ale ta śliwowica jednak też jakby szlachetniejsza i podejrzewam, że równie skuteczna w działaniu.

– To ostatnie można sprawdzić. – Eyan ponownie dopełnił szklaneczki.

– Rzeczywiście, bardzo dobra, ale na razie zakończmy na drugim toaście. Zbyt wiele jest dziś tematów do omówienia – zaproponował po wypiciu Karkonos. – No, ja jestem już gotów. Jeśli wy również, to czekam na pytania.

Czarodziej, magin i krasnolud ponownie popatrzyli na siebie, jakby ustalając, który z nich zacznie. Po małej dawce śliwowicy i po posiłku, w trakcie którego Karkonos swym zachowaniem i miłymi uwagami znacznie ich ośmielił, początkowa trema

prawie znikła. Znowu zaczynała dominować w nich ciekawość badaczy.

– Podczas wczorajszego spotkania pozwoliłeś Samtorowi poznać niektóre swoje wspomnienia, pokazałeś fragmenty obrazów oraz sekwencje pewnych zdarzeń – zaczął Semiston okółkiem, lekko się motając. – Zgodnie z twą sugestią magin przekazał je nam. Podczas dyskusji, która się wywiązała, wyłoniły się jednak nowe lub zdecydowanie odmienne od przedstawianych przez naukę aspekty dawnych dziejów naszej planety. Są tak zaskakujące, że nie jesteśmy pewni, czy słusznie je interpretujemy. Przeskoki i skróty myślowe, które stosowałeś, niestety okazują się dla nas zbyt duże. Czy byłbyś łaskaw nam te tematy przybliżyć? Rozwiązać wątpliwości? Z zażenowaniem przyznajemy, że w wiedzy, którą posiadamy, są luki, a hipotezy i teorie, na których bazujemy, porównywane z przekazami płynącymi od ciebie, zaczęły wydawać się nam bądź nieprawdziwe, bądź niedopracowane. Nurtują nas też inne istotne pytania: kto, kiedy i w jakim celu stworzył tę budowlę? Na jakiej zasadzie działają czynne aż do tej pory niektóre jej urządzenia? Co jest ich siłą napędową, ich źródłem energii? Do czego służyły zastane tutaj, zupełnie nieznanie nam, przyrządy i maszyny i w ogóle cały ten schron?

– No, i doigrałem się. Na własną prośbę znalazłem się w pułapce, bo tak naprawdę zostałem przez ciebie zagadnięty o wszystko. Usłyszałem pytania ogólne, pytania nawiązujące do konkretów zastanych w tym obiekcie, a także dotyczące waszych poprzedników. To się właśnie nazywa kompleksowe postawienie problemu! Widzę, że aby odpowiedzieć na to wyzwanie w miarę wyczerpująco i zrozumiale, powinienem przedstawić wam całą opowieść. Z góry uprzedzam: może wydać się ona nazbyt

obszerna, niekiedy pozornie odbiegać od zasadniczych, interesujących was treści. W niektórych fragmentach okazać się wręcz nudna. Decydujecie się na to? – zakończył swą wypowiedź pytaniem Karkonos, uśmiechając się przewrotnie.

Usłyszawszy ich zgodne potwierdzenie – zresztą nie spodziewał się od siedzącego tu towarzystwa niczego innego – rad, że wszystko idzie po jego myśli, jął mówić:

– Zaczynając, poinformuję was, że jestem nie najgorzej obeznany ze stanem waszej nauki. Nie dziwcie się, przez zgłębianie jej dorobku zabijałem nudę samotności. W trakcie owych studiów uderzył mnie bardzo nierównomierny rozwój jej poszczególnych dziedzin. Niektóre z nich, głównie te dotyczące teorii ogólnych, macie całkiem dobrze opracowane, lecz inne, przeważnie związane z praktyką życia codziennego, ledwie wystają z powijaków. Przykładowo teorie dotyczące wieku oraz sposobu powstania wszechświata, faz jego przemian oraz początków życia na Ziemi wymagają jedynie małych korekt i uzupełnień, gdyż są zupełnie bliskie temu, co rzeczywiście kiedyś miało miejsce. Zdecydowanie natomiast gorzej wygląda sytuacja w dziedzinie szeroko rozumianej techniki. Myślę o sprawach związanych z wytwórstwem narzędzi, maszyn, eksploatacją zasobów naturalnych oraz źródeł energii, czyli o tym, co powinno usprawniać i ułatwiać życie. To, bez obrazu, stoi u was na bardzo niskim poziomie. Według mej diagnozy jest to wynik mało intensywnych dążeń do pełniejszego poznania, przetwarzania i wykorzystania tak organicznych, jak i mineralnych bogactw przyrody. Przyczyną tego stanu jest brak odpowiednio silnych bodźców mobilizujących. A efekt: cywilizacja wasza, osiągnąwszy określony poziom rozwoju, zwolniła. Oprócz wspomnianej techniki w kierunkach takich jak

fizyka, chemia, biologia czy medycyna też praktycznie panuje zastój. Nie zamierzam wydawać o tym negatywnej opinii, a przynajmniej nie teraz. Dlaczego? Za swego istnienia miałem okazję osobiście obserwować fazy dojrzewania kilku kultur. Na podstawie dostępnych mi źródeł poznałem ich jeszcze parę i wiem, że każda z nich kształtowała się inaczej. Tempa ich rozwoju też bywały raz szybsze, raz wolniejsze, wiodące zaś dziedziny, w zależności od doraźnych potrzeb, co jakiś czas się zmieniały. Wy tworzycie stosunkowo młodą populację, w dodatku dość skomplikowaną, ponieważ złożoną z kilku inteligentnych gatunków. Mimo wewnętrznych – przyjmujących niekiedy ostre formy – animozji międzyrasowych jako całość generalnie żyjecie w wyjątkowo sprzyjających warunkach. Mam na myśli nawodnienie, klimat, nieprzeludnienie planety i urodzajną glebę, zdolną rodzić wręcz z nadmiarem. Może więc jeszcze nie nadszedł czas na... – Karkonos zawiesił głos, by zakończyć zdaniem: – Myślę, że zbyt dużo chciałem powiedzieć. Podkreślam: to, co przed chwilą usłyszeliście, nie było pejoratywną oceną, lecz diagnozą wynikającą z czynionych przeze mnie obserwacji i porównań. Tylko mym głośnym rozważaniem.

Napiwszy się kawy, podjął:

– Wróćmy do pytań. Zacznę od ogółów. Musicie wiedzieć, że w tym rejonie kosmosu wasz świat nie jest pierwszym. Konkretnie jest to czwarta próba matki natury, mająca na celu wyhodowanie tu życia. O trzech poprzednich, będących odrębnymi, niezwiązanymi ze sobą okresami, w których ożywione byty powstały, trwały i rozwijały się, by w końcu – głównie z przyczyn katastrof kosmicznych – ulec całkowitemu unicestwieniu, nie zamierzam mówić szczegółowo. Zaledwie

o nich wspomnę. Powiem jeszcze, że te odrębne, niełączące się ze sobą cykle trwania poszczególnych światów wraz z zapełniającymi je bytami ja i mnie podobni nazywamy sekulami. Obecna jest – jak powiedziałem – czwartą. Fakt ten nie jest znany waszej nauce, więc nic dziwnego, że nie znajduje odbicia w poświęconych tej tematyce księgach.

– Przepraszam, że przerywam – włączył się Samtor, wykorzystując chwilową przerwę. – Czy mówiąc o sekuli jako o zamkniętym okresie istnienia pewnego typu świata i będącego na nim życia, miałeś na myśli, że kończy się ona zagładą? Czymś w rodzaju na przykład wyginięcia dinozaurów?

– Niezupełnie. No cóż... widzę, że nie mam wyjścia. Muszę chociaż troszkę zahaczyć o temat, który zamierzałem pominąć, bo inaczej wcale mnie nie zrozumiecie. Odpowiedź na pierwszą część twego pytania, Samtorze, brzmi: tak. Na drugą, dotyczącą dinozaurów: nie. Zniknięcie tych gadów, jak i zagłada waszych poprzedników nastąpiły już w obecnie trwającej, czwartej sekuli. Nawiasem mówiąc, właśnie w niej miało miejsce aż sześć wielkich masowych wymierań. W przedostatnim, piątym, nastąpiło całkowite wyniszczenie wspomnianych przez ciebie dinozaurów, pterozaurów, plezjozaurów i wielu innych gatunków fauny oraz flory. Ocenia się, że podczas tejże zagłady, trwającej kilkaset tysięcy lat, czyli stosunkowo krótko jak na skalę istnienia Ziemi, wyginęło ponad siedemdziesiąt pięć procent gatunków roślin i zwierząt zasiedlających wówczas nasz glob. Z fauny przetrwały głównie ptaki, owady i część drobnych ssaków, z flory – głównie paprotniki. Od tego kataklizmu upłynęło mniej więcej sześćdziesiąt pięć milionów lat. Ostatnie, szóste, masowe wymieranie spowodowane ponowną wielką katastrofą kosmiczną nastąpiło około czterystu czterdziestu

tysięcy lat temu. O nim – trochę później – opowiem dokładnie, ponieważ stało się ono zaczątkiem waszej epoki i waszej historii. Jak już wspomniałem, we wszystkich przypadkach masowych zagład obecnie trwającej sekuli wyginęły całkowicie pewne gatunki, ale życie jako takie przetrwało. Nie straciło ciągłości. Tym samym nie została przerwana sekwencja pamięci natury, która wykorzystując swoje minione doświadczenia i stosując selekcję, coraz sprawniej i szybciej, mniej błędząc, odbudowywała świat roślinny i zwierzęcy, stwarzając przy tym wcześniej nieistniejące formy istot inteligentnych. Nawiązując do pakietu twoich pytań... – Karkonos spojrzał na Semistona. – Powtórzę, że wszechświat istnieje od niecałych piętnastu miliardów ziemskich lat. Wciąż jest w ruchu, wciąż się zmienia i z nieustalonych dotąd powodów, wbrew logice – co stanowi naukową zagadkę – rozprzestrzenia się ze wzrastającą prędkością. Wiek naszego układu słonecznego to mniej więcej cztery i sześć dziesiątych miliarda lat. Pewien czas po jego zaistnieniu w tym rejonie kosmosu ukształtowała się protoplaneta Tiamat. Wielkością przewyższała znacznie Ziemię, panującymi warunkami, z wyjątkiem grawitacji, była do niej zbliżona. Właśnie na niej miała miejsce pierwsza sekula zakończona katastrofą kosmiczną. Trafiona innym wielkim ciałem niebieskim, Tiamat się rozpadła. Z jej odłamków ukształtował się pas planetoid i proto-Ziemia. Proto-Ziemia, na której po miliardach lat wykuły się proste formy życia, w okresie kształtowania się aktualnego układu słonecznego miała zderzenie z planetoidą na tyle małą, że nie została rozbita, lecz na tyle dużą, że katastrofa ta stała się końcem drugiej sekuli. Należy pamiętać, że stosunkowo młody, rozrastający się wszechświat był wtedy niesłychanie burzliwy. Zderzenia tworzących go ciał,

oczywiście w skali czasu kosmicznego, były znacznie częstsze. Teraz znów powiem coś, o czym wasza nauka nie wspomina, mianowicie że obecnie istniejące Słońce jest gwiazdą podwójną. Jego towarzysz – brązowy karzeł, gwiazda, na której nie zostały zapoczątkowane reakcje powodujące jej zaświecenie – co dwadzieścia sześć, dwadzieścia siedem milionów lat zbliża się do Układu Słonecznego i destabilizuje orbity części komet Obłoku Oorta. Te, wytrącone ze swych i tak niestabilnych torów, zbliżając się do Słońca, przecinają drogi planet jego układu – w tym Ziemi – i zaburzają ich ruch. Istnieje określone prawdopodobieństwo, że w przyszłości sytuacja taka może doprowadzić do katastrofalnego w skutkach zderzenia ciał niebieskich. Do tego tematu też później wrócimy.

Widząc niecierpliwie wiercącego się Eyana, Duch Gór przerwał opowieść i spojrzał na niego pytająco.

– Czy mógłbyś powiedzieć, co to jest ten Obłok Oorta, i rzec kilka słów o tej dziwnej gwieździe? – zapytał krasnolud.

– Już mówię – odparł Karkonos. – Ale może zwilżymy usta tą waszą wysmienitą śliwownicą. Trochę zaschło mi gardło, które widać jeszcze nie nawykło do tak forsownego użytkowania.

Wypili po łyczku, przegryźli i znów skupieni słuchali.

– Pytałeś o Obłok Oorta. To sferyczny lub mówiąc prościej, prawie kulisty, złożony z pyłów, różnej wielkości okruchów i planetoid twór obiegający Słońce. Jest odrzutem, pozostałością po formowaniu się Układu Słonecznego. Tworzywo jego stanowią głównie wodny lód i zestalone gazy, przeważnie metan i amoniak. Obłok jest bytem dosyć niestabilnym i niezbyt mocno powiązany z naszym układem solarnym. Łatwo ulega różnym zaburzeniom grawitacyjnym wywołanym przez pobliskie gwiazdy. Między innymi przez tegoż brązowego karła,

którego wasi greccy poprzednicy ochrzcili imieniem Nemezis, bogini będącej uosobieniem gniewu bogów oraz symbolem nieuchronnej kary spadającej na ludzi, których buta doprowadzała do przekraczania przypisanych im granic. Nazwa ta według mnie została nad wyraz udanie dobrana, ponieważ skutki zbliżenia się tejże gwiazdy mogą być przyczyną kataklizmu, który zabobonni lub wierzący mogliby określić jako przejaw gniewu i kary wymierzonej im przez istoty nadprzyrodzone. Trafność wyboru potwierdza również to, że bogini owa, według wierzeń, była trudno widoczną córką nocy, a gwiazda, o której mowa, nawet kiedy znajdowałaby się w pobliżu naszego układu, prawdopodobnie również byłaby niewidoczna. Dlaczego? Otóż to, czy ciała niebieskie są widoczne, zależy od intensywności ich blasku, określanego jednostką zwaną magnitudo. Początkowo najjaśniejszym obiektom w skali przyjętej przez waszych poprzedników przypisano liczbę jeden, najciemniejszym – ale jeszcze widocznym gołym okiem – sześć. Tę pozaukładową jednostkę wymyślił i wprowadził na podstawie zupełnie subiektywnych, dokonywanych nieuzbrojonym okiem obserwacji pewien Grek. Niejaki Hipparchos z Nikei, na owe czasy genialny matematyk, geograf oraz astronom. On też pierwszy sklasyfikował widoczne na niebie gwiazdy w sześć grup. Według tej skali wielkość gwiazdowa Nemezis jest określana na siedem do dwunastu magnitudo, co oznacza, że raczej nie można jej zobaczyć. W późniejszym okresie nauka poszła do przodu, technika obserwacji ciał niebieskich zmieniła się, ale w astronomii pojęcie jednostki zastosowanej przez Hipparcha zachowano. Podział dokonany przez niego pozostał także, lecz rozszerzono go o zero i liczby ujemne. Ta zmodyfikowana i odwrócona skala określa natężenie światła. Według niej blask

naszego słońca to minus dwadzieścia siedem magnitudo, a Księżycy – około minus trzynaście tych jednostek. Im większa liczba ujemna, tym jaśniejszy jest obiekt. Ale starczy o tym. Rozgadałem się. Wracamy do głównego tematu. Trzecia sekula miała miejsce na stanowiącej zaczątek naszej planety proto-Ziemi, będącej już – jak wspomniałem – po jednej wielkiej kolizji kosmicznej. Proto-Ziemia swoją grawitacją przyciągała olbrzymie ilości rozproszonych szczątków z otaczającej ją przestrzeni. Wykorzystując zachowany na nich materiał genetyczny, ów młody glob szybko, oczywiście w skali kosmicznej, wyhodował dostosowane do panujących warunków – klimatu i atmosfery – życie. Formy jego, chociaż mało rozwinięte, były odporne, liczne i dosyć zróżnicowane. Niestety, ich rozwój znalazł epilog w kolejnej kolizji kosmicznej. Niektórzy twierdzą, że w jej wyniku utworzony został obecny księżyc. Sprawa powstania tego ciała niebieskiego jest jednak bardziej złożona i teza owa niezupełnie odpowiada prawdzie. Właśnie po tej katastrofie rozpoczęła się trwająca do dziś czwarta sekula.

Po tym ostatnim stwierdzeniu, zamiast – jak spodziewali się słuchacze – przejść do opisu kolejnych wydarzeń zaistniałych we wspomnianej sekuli, prowadzących bezpośrednio do obecnych czasów, Karkonos zrobił unik. Zmienił temat i zajął się bardziej ogólnymi rozważaniami:

– Długość opisanych przeze mnie poszczególnych sekul lub, jak kto woli, istnień światów – mówił – była zróżnicowana. Ważne w tym wszystkim okazało się, że makronatura jakby uczyła się. Wykorzystywała swe poprzednie doświadczenia. W każdym kolejnym świecie oraz po każdej masowej zagładzie egzystencje ożywione powstawały szybciej, a gatunki inteligentne – nie zawsze samoistnie, nie zawsze bez

zewnętrznej ingerencji – pojawiały się i rozwijały łatwiej. Ziemia nie stanowi wyjątku we wszechświecie. Nie jest jedyną planetą, na której rozwinęło się życie. Formy bytów z uwagi na warunki i okresy ich powstawania były i są mocno zróżnicowane pod względem wielkości, kształtów i sposobów funkcjonowania. Nie wszystkie one są oparte na tlenie. Niektóre bazują na azocie, inne na krzemie lub amoniaku. Różnią je także długość istnienia i wyewoluowany stopień rozwoju. To ostatnie kryterium pozwala na zaliczenie ich do egzystencji prymitywnych lub zaawansowanych. W tych drugich istnieje cecha zbliżająca je. Jest nią inteligencja, czyli zdolność poszczególnych osobników, ich grup czy nawet całych populacji do postrzegania otoczenia, analizy zachodzących w nim zjawisk i adaptacji do ewoluującego środowiska. Także do powodowania w nim większych bądź mniejszych, bardziej lub mniej trwałych zmian. Inteligencje różnorodnych bytów się różnią. W tych prostych ograniczają się jedynie do postrzegania i adaptacji. W bardziej rozwiniętych przejawiają się umiejętnością myślenia abstrakcyjnego, przewidywania oraz fizycznego ingerowania w środowisko. W najbardziej zaawansowanych także tym, że siłą sprawczą zmian materialnych potrafi być tylko świadomie wykorzystywana potęga myśli.

– Czyli coś w rodzaju magii? – wtrącił Semiston, wykorzystując to, że Karkonos na chwilę zamilkł.

– Nie całkiem. To działa na zupełnie innych zasadach. Ma podstawy i uzasadnienia naukowe, ale efekty rzeczywiście bywają podobne – odparł mu Duch Gór. – Wracając jeszcze do twego pytania... – Karkonos spojrzał na maga. – Jeśli wyginięcie dinozaurów nazwiemy zagładą, to zanik życia z końcem poszczególnych sekul należy określić mianem hiperzagłady.

Zagłady totalnej. Po niej zaczyna się wszystko od nowa i często idzie innymi torami. Trwa jednak coraz krócej, ponieważ zmienia się punkt startu. Coraz inne jego sytuowanie, czyli obrazowo jakby oddalanie go od najbardziej pierwotnego punktu zero, wynika ze specyficznej, zachowywanej pamięci natury.

Duch Gór zamilkł i napił się wystygłej kawy. Eyan czujnie chwycił za manierkę ze śliwowicą. Nie widząc ani nie słysząc sprzeciwów, napełnił opustoszałe szklaneczki. Podnieśli je i wypili po łyčku.

– Teraz skupię się na epoce, która poprzedzała aktualnie istniejącą. Zamknęła ona erę nazywaną kenozoikiem. Budowla, w której się znajdujemy... – Mówiąc to, Karkonos wykonał objaśniający gest ręką. – ...jest jedną z niewielu zachowanych pamiątek, stworzonych przez tamtą cywilizację w ostatnim okresie jej trwania.

Omiótł wzrokiem wpatrzonych w niego słuchaczy i podjął:

– W poprzedzającej was epoce na najwyższym szczyble rozwoju stanęli ludzie. Gatunek, który ewoluując i dojrzewając, zdominował świat. W porównaniu z resztą przedstawicieli materii ożywionej rodzaj ludzki – przy pewnej pomocy i trafnej ingerencji genetycznej – najszybciej i najbardziej wszechstronnie wykształcił swój intelekt, co z czasem zapewniło mu supremację wśród pozostałych gatunków i umożliwiło zapanowanie gospodarczo-technologiczne nad całkiem sporą częścią przyrody nieożywionej. Niestety, metody, którymi człowiek w ciągu całej swej historii się posługiwał, odnośnie do pierwszych były często okrutne, drugiej – nierzadko bezmyślne. Jakie były początki tej cywilizacji? Jak powstał rodzaj ludzki? Wielu badaczy się już nad

tym głowiło. To skomplikowany problem, a odpowiedź na postawione pytanie nie jest ani prosta, ani jednoznaczna. Do dzisiaj nie istnieje potwierdzona naukowo teoria, która zachowując ciągłość, w pełni i bez luk opisywałaby ewolucję człowieka. No cóż... jedna z popularnych wersji głosi, że sensownym jest umieszczenie początku tej historii jakieś trzydzieści pięć milionów lat temu. Chcę podkreślić, że ze względów oczywistych jest to data przybliżona i dla ułatwienia liczona przeze mnie od kataklizmu kończącego poprzednią epokę. Wcale też nie do końca wiarygodna.

Eyan chciał zadać pytanie. Karkonos, zobaczywszy to, uprzedził krasnoluda:

– Nie, nie teraz. Wiem, o co chcesz zapytać. Temat tej ostatniej katastrofy kosmicznej rozwinę w stosownym czasie. Tak, aż trudno uwierzyć – wrócił do przerwane go wątku – że już w tej odległej przeszłości w puszczech ówczesnej wschodniej Afryki, dużego kontynentu leżącego na południu, pojawili się wspólni praprzodkowie człowieka i małp. Musiały minąć dziesiątki milionów lat, podczas których ulegały zmianom klimatu, układy lądów i wód, gatunki roślin i zwierząt, by około sześciu, siedmiu milionów lat temu wyewoluował ostatni wspólny przodek ludzi oraz małp człekokształtnych. Okazała się nim niewielka małpa ochrzczone przez waszych poprzedników mianem *Sahelanthropus tchadensis*. I znowu musiały minąć kolejne cztery do pięciu milionów lat, by z odgałęzień tego przodka, jeszcze wspólnego, jeszcze zwierzęcego, ukształtowały się dwa odmienne gatunki naczelnych: szympansy oraz pierwsze istoty, które można już było sklasyfikować jako homos, a więc ludzi. Jak do tego doszło? Co sprawiło, że jedno z odgałęzień ewolucyjnych zaczęło się rozwijać szybciej od pozostałych, by

w efekcie stać się człowiekiem myślącym? Z pewnością wystąpił cały splot rozmaitych czynników, które na pierwszy rzut oka mogą wydawać się zupełnie niezwiązane z procesem hominizacji. Jednym z istotniejszych było spowodowane ochłodzeniem klimatu zanikanie afrykańskich lasów. Ich miejsce zajmowała sawanna, obszar porośnięty wysoką trawą z rzadko rozrzuconymi pojedynczymi drzewami i krzakami. Zwiększające się odległości między kurczącymi się obszarami leśnymi wymagały od żyjących w nich osobników pokonywania coraz większych dystansów w poszukiwaniu żywności, której podstawę stanowiły owoce i inny pokarm roślinny. Przebywanie na odkrytym, pozbawionym drzew terenie, gdzie królowały drapieżniki, nie było bezpieczne i nader często kończyło się tragicznie. Stawało się jednak koniecznością, tym bardziej że pozwoliło wzbogacić jadłospis nowym, energetycznym jadem – mięsem, którego początkowo głównym źródłem była znajdowana padlina. Aby minimalizować ryzyko, po bezdrzewnych pustaciach należało poruszać się szybko. I tu u części przedstawicieli świata zwierzęcego została zapoczątkowana pierwsza, pozornie niewielka, ale jakże ważna, przemiana. Palce ich stóp stopniowo zaczęły tracić charakter chwytny i przesuwają się ku przodowi. Proces ten szczególnie uwidocznił się w zmianie usytuowania dużego palucha u nogi, który w kolejnych pokoleniach powoli zaczął zbliżać się do pozostałych palców. Dalszą konsekwencją tego stała się dwunożność. Ten odmienny sposób poruszania się spowodował ewolucję kręgosłupa, osadzenia czaszki, kości kolan oraz miednicy. Uwolnione kończyny przednie, mogące teraz służyć do obrony lub noszenia przedmiotów, zaczęły również ulegać pewnej transformacji. Kciuki ich zaczęły przyjmować pozycję przeciwną

w stosunku do pozostałych palców i stały się chwytne. Inaczej ukształtowane dłonie pozwalały na pewne dzierżenie kija, kamienia lub kości i użycia ich jako broni lub narzędzia. I właśnie osobnik z przeciwstawnymi kciukami jako pierwszy przez późniejszą naukę został zaliczony do gatunku homo. Konkretnie nazwano go Homo habilis, czyli człowiekiem zręcznym. Był on niski, mierzył około metra trzydziestu, lecz zaszły w nim zmiany przeobraziły go w sprawnego biegacza i groźnego myśliwego. Nowe możliwości sprawiły, że na stałe wzbogacił swój jadłospis o mięso. Skutkiem spożywania go stał się rozwój jego mózgu. Powiększający się mózg potrzebował większej czaszki. Ona zaś, z uwagi na budowę ciała osobników żeńskich, głównie ich miednicy, wymusiła wcześniejsze porody. Takie, nazwijmy, niedonoszone potomstwo wymagało wydłużonej opieki. Dłuższe dzieciństwo dawało więcej czasu na uczenie się i przystosowywanie do samodzielnego życia. Ale tu natura stworzyła pewną pułapkę, swoiste sprzężenie zwrotne. Im bardziej przedstawiciele omawianego gatunku stawali się inteligentni, tym bardziej złożone stawało się ich życie. Im bardziej było ono skomplikowane, tym większe występowało zapotrzebowanie na inteligencję, niezbędną do sprostania jego wyzwaniom. Procesy myślenia rozwijały mózg poprzez zwiększanie nie tylko jego objętości oraz masy, ale co ważniejsze – sprawności.

Karkonos przerwał i potoczył uważnym wzrokiem po siedzącej trójce. Stwierdziwszy, że ich twarze wyrażają zainteresowanie i zrozumienie, kontynuował:

– Konieczność wydłużonej opieki nad młodym pokoleniem zaczęła także różnicować role osobników męskich i żeńskich. Ci pierwsi zaczęli specjalizować się w zdobywaniu i dostarczaniu

żywności pilnującym domostwa, znajdującym się najczęściej w stanie brzemiennym i sprawującym opiekę nad wspólnie spłodzonymi dziećmi, współtowarzyszkom. To właśnie stało się początkiem pogłębiającego się z czasem podziału funkcji społecznej i w stadzie, i w stadle, który w miarę rozwoju przekształcił się również w podział pracy. Zmieniający się sposób życia wpływał na wygląd i zachowanie gatunku. Wyprostowana sylwetka uwidoczniła u samców dotychczas wstydliwie schowanego między nogami penisa, który zwiększył swój rozmiar. U samic uwidoczniły się piersi. Treściwe mięsne pożywienie zmniejszyło brzuch i rozwinęło muskulaturę barków oraz ramion. Zmianie zaczęło też ulegać uzębienie, a opadnięcie krtani wykształciło organ wydawania dźwięków, które z czasem stając się mową oraz śpiewem, uzupełniły i zastąpiły dotychczasową wzajemną komunikację gestami. To z kolei znakomicie przyspieszyło rozwój stadnych społeczności. Twarze zaczęły stawać się coraz wyrazistszym ekranem wzbogaconych o śmiech i płacz emocji. Informacje te należy odpowiednio rozumieć. Zmiany w obrębie gatunku zachodziły bardzo powoli, uwidaczniając się w populacji po tysiącach pokoleń. Droga od wyprostowanego palucha u nogi do przeciwstawnego kciuka trwała ponad milion lat. Kolejne przeobrażenia zachodziły niekiedy jeszcze wolniej.

Karkonos przerwał. Zbierał myśli. Wpatrzeni w niego Semiston, Samtor i Eyan nie przerywali. Czekali na dalszy ciąg opowieści. Po chwili Duch Gór ją podjął:

– Mogłoby się wydawać, że dalej wszystko było proste, a rozwój rodzaju ludzkiego toczył się jednotorowo, by w efekcie doprowadzić do powstania człowieka rozumnego. Nic bardziej mylnego. Natura rzadko korzysta z najłatwiejszych rozwiązań...

I popłynęła opowieść o *homo erectus*, czyli człowieku wyprostowanym, który pojawił się niecałe milion osiemset tysięcy lat temu we wschodniej części kontynentu nazwanego przez poprzedników Afryką. O tym, że fizycznie był to bardzo udany gatunek, a jego przedstawiciele byli wysocy, silnie zbudowani, mieli nieowłosioną skórę, wąskie biodra i długie nogi. Byli koczownikami, niestrudżonymi wędrowcami, którzy ze swej kolebki w stosunkowo krótkim czasie rozprzestrzenili się na prawie cały współczesny świat i zaludniali go kilkanaście razy dłużej niż *homo sapiens*. Niestety, przez te prawie dwa miliony lat swego pobytu na Ziemi ta odmiana człowieka kulturowo nie potrafiła wyjść z epoki kamiennej. Nie rozwijała się ani technicznie, ani cywilizacyjnie. I prawdopodobnie głównie dlatego w konfrontacji z populacjami bardziej zaawansowanymi *homo erectus* został skazany na wyginięcie.

Opowieść o *homo heidelbergensis*, który pojawił się około sześciuset tysięcy lat przed końcem poprzedniej ery, a którego pierwsze szkielety odnaleziono na ówczesnym kontynencie nazywanym wtedy Europą, w pobliżu uniwersyteckiego miasta Heidelberg. Ten rodzaj hominida zamieszkiwał Ziemię przez około trzystu pięćdziesięciu tysięcy lat i stał się przodkiem wyewoluowanego później gatunku nazwanego człowiekiem neandertalskim. O *homo neanderthalis*, który był najsilniejszym ze współczesnych mu ludzi. Miał muskularne klatkę piersiową, ramiona i barki. Jego czoło z rozwiniętymi nadoczodołowymi łukami było skośnie ścięte. Twarz szeroka, z zaokrągloną żuchwą i odmiennym niż u poprzedników uzębieniem miała pokaźny nos. Duża, obficie obrosnięta głowa mieściła puszkę mózgową prawie o jedną trzecią większą niż u rozumnego człowieka. U osobników męskich i żeńskich występowały wyraźnie

widoczne cechy dymorfizmu płciowego, czyli zróżnicowania sylwetek pod względem budowy i wielkości. Wzrost mężczyzn wynosił średnio sto sześćdziesiąt pięć centymetrów przy wadze mniej więcej dziewięćdziesięciu kilogramów. Kobiety były o około dziesięć centymetrów niższe, szczuplejsze i odpowiednio lżejsze.

– Porównując przykładowo do was... – Karkonos obrzucił swych słuchaczy wzrokiem. – ...osobnik męski sięgałby Samtorowi do brody, ważył zaś prawie tyle co on, kobieta byłaby wyższa od Eyana o pół głowy i na wygląd nieco od niego lżejsza. Wracając do neandertalczyków, trzeba powiedzieć, że wyodrębnili się we wspomnianej przeze mnie Europie około czterystu tysięcy lat przed końcem minionej epoki i przetrwali ponad trzysta siedemdziesiąt pięć tysięcy lat. W tym czasie rozprzestrzenili się na całym, mającym wtedy inny kształt, waszym kontynencie, na terenach, które określane są dzisiaj krajami Wschodu, a także w północnej Afryce i na ówczynie połączonym z nią od wschodniej strony rozległym lądzie. Ich populacja stała się najliczniejsza w okresie lodowcowym, mającym początek około dwustu tysięcy lat przed końcem minionej epoki. Warunki, w jakich żyli, nie były sprzyjające, ale anatomia tego gatunku była do tego przystosowana. Miała krótsze, a więc mniej marznące kończyny, długi nos, pozwalający ogrzać wprowadzane do płuc powietrze, i wspomniany przeze mnie duży i sprawny mózg. Jednym z efektów jego wykorzystania było to, że w chłodnym klimacie, w którym przebywali, zaczęli używać ubrań. I nie były to ubrania z surowych skór, lecz odzież prymitywnie, ale jednak, już szyta. Neandertalczyki swe niełatwe życie starali się czynić bardziej bezpiecznym i znośnym poprzez wyszukiwanie nadających się

do zamieszkania jaskiń, w których rozpalali ogniska, a także przez wyrób pierwszych narzędzi z kamienia, drewna i gliny, służących do polowania, obrony oraz czynności gospodarskich. Należy z uznaniem zaznaczyć... – Karkonos podkreślił wypowiedziane zdanie tonem głosu i gestem ręki. – ...że zaczęły kształtować się u nich także potrzeby wyższego rzędu. Od wytwarzania i przyozdabiania się biżuterią, mam tu na myśli naszyjniki z perforowanych ręcznie muszli, kamyków, zwierzęcych zębów, poprzez prymitywne naskalne malowidła, aż do pewnej formy duchowości, która przejawiała się w rytualnych pochówkach zmarłych oraz obrzędach religijno-magicznych. Jako społeczność opiekowali się osobnikami starszymi i chorymi, umieli także leczyć złamania i rany ponoszone podczas walk i polowań. A zdarzały się one często, bo żeby przetrwać, należało być dzielnym, sprawnym i odważnym. Reasumując, neandertalczyki nie byli gatunkiem ciemnym i zacofanym. Wręcz przeciwnie, osiągnęli duży sukces ewolucyjny. Rywalizację przegrali jednak z wstępującym na arenę *homo sapiens*, równoległe z nimi bytującym przez ostatnie dziesięć tysięcy lat. Zamknę ten temat ciekawostką dotyczącą etymologii nazwy „neandertalczyk”. Otóż dopiero jakieś sto osiemdziesiąt lat przed końcem epoki waszych poprzedników robotnicy prowadzący prace odkrywkowe w kopalni wapna w ówczesnym kraju noszącym nazwę Niemcy, w dolinie rzeki Neander odkryli jaskinię i w niej znaleźli fragmenty szkieletu przedstawiciela tego gatunku. Po zbadaniu i opisanu go, po późniejszych znaleziskach innych szkieletów temu rodzajowi hominida nadano nazwę pochodzącą od pobliskiej rzeki. Sama zaś rzeka otrzymała swe imię od pewnego, żyjącego dwieście lat wcześniej,

duchownego, pastora Joachima Neandera, którego nazwisko, *nomen omen*, znaczyło „nowy człowiek”.

Zakończywszy ten wątek, widać zmęczony długim wywodem Karkonos zaproponował, aby zrobić krótką przerwę. Propozycja ta najbardziej przypadła do gustu Eyanowi, który od dłuższego już czasu odczuwał narastającą potrzebę opróżnienia pęcherza. Zapytawszy dyskretnie Karkonosa, gdzie może znaleźć ulgę, spieszenie udał się we wskazanym kierunku. W jego ślady, jednak znacznie bardziej statecznie, podążył magin.

Duch Gór i Semiston pozostali sami. Mag chwilę wpatrywał się w oczy Karkonosa, a potem cicho, ale z naciskiem, powiedział:

– Nie obraż się, ale muszę wiedzieć, z jakich powodów zaaranżowałeś te spotkania. Dlaczego, mimo że naruszyliśmy twój spokój, okazujesz nam przyjazne uczucia i pomoc, zaznajamiając nas z tym wszystkim? Tylko nie zbywaj mnie, mówiąc, że to przypadek, że robisz to bez przyczyny, ponieważ w to nie uwierzę.

– No cóż, rzeczywiście nie spotkałem się z wami, aby jedynie pogadać, posmakować waszej kiełbasy, chleba i okowity, choć przyznaję, że są one wyśmienite – odparł zagadnięty. Po tym wstępie spoważniał i oparty dłońmi o stół, oddając czarodziejowi spojrzenie, już innym tonem kontynuował: – Nie mylisz się, dobrze się domyślasz. Powody rzeczywiście istnieją. Są ważne dla mnie, lecz jeszcze ważniejsze dla was. Pierwszy z nich jest taki, że zdecydowanie nie chcę, by kolejna cywilizacja i bliska mi Ziemia skończyły tak tragicznie i gwałtownie, jak stało się to z planetą moich przodków oraz całą ich populacją. A groźba ta nie dość, że istnieje, to w moich kategoriach postrzegania czasu jest bliska. Drugi, że ja, ostatni tu przedstawiciel mego rodzaju istot, jestem już stary i pisany mi czas dobiega kresu. Zaczynam

odczuwać, że tracę siły i niksę. Przed odejściem czuję się zobowiązany do przekazania wiedzy o zbliżającym się do waszego świata śmiertelnym niebezpieczeństwie, a także do wskazania możliwej drogi ratunku. W tym celu świadomie – mam nadzieję, że nie całkiem nudząc was – zaczynam kreślić niezmiernie uproszczony i niepełny zarys dziejów Ziemi oraz historii rodzaju ludzkiego. Historii, której bez mojej pomocy moglibyście nigdy nie poznać. Opowieść ta, będąca częściową odpowiedzią na nurtujące was pytania, ma w moim zamyśle stać się jednocześnie wskazówką przyspieszającą i prostującą kręte ścieżki rozwoju. Dojrzewania waszej nauki, techniki i szeroko rozumianych stosunków społecznych, a także przestrogą, by nie powtarzać błędów kiedyś już przez waszych poprzedników popełnionych. Czy mógłbym tę gadaninę pominąć i przejść od razu do sedna sprawy? Tak, lecz ten wariant wydłużyłby wasz rozwój o kilkaset lat. Lat, których w krytycznym momencie może zbraknąć, by zapobiec zbliżającej się katastrofie.

Dalszą część swej wypowiedzi występujący pod postacią krasnoluda Duch Gór, jakby chcąc zatrzeć niemiłe wrażenie, przekazał Semistonowi łagodniej, tonem pozbawionym poprzedniej emocji:

– Przez kilka dni dyskretnie obserwowałem całą waszą grupę i nie przez przypadek spotkałem ciebie, magina oraz Eyana. Wybrałem was, ponieważ oprócz przenikliwych, otwartych umysłów posiadacie wrodzoną szlachetność, prawość, odwagę oraz poczucie obowiązku. Macie też duży wpływ nie tylko na pozostałych uczestników przebywającej tu ekipy, ale z racji swych pozycji społecznych i powiązań oraz umiejętności w waszych środowiskach możecie działać więcej niż inni. Według mnie właśnie wy wraz z resztą przybyłych do tego obiektu badaczy

stanowić będziecie grupę inicjatywną, która przyczyni się do tworzenia skutecznych narzędzi ocalenia. Wysoko oceniam będącą z wami Nembrę. To wybitny umysł. Jest doświadczona i zafascynowana tym, co tu spotkała. Wbrew stwarzanym pozorom to osoba wrażliwa i przychylna ludziom. Na wyróżnienie zasługuje również elfka. Posiada ona zdolności językowe, które winny być wykorzystane. Dziś jeszcze nie jest świadoma, że jako pierwsza spisze szczegółową historię cywilizacji, o której opowiadam. Będzie to dzieło jej życia. Jeżeli zwróci się do ciebie oraz Antosa w sprawie uzyskania większej samodzielności, nie sprzeciwiajcie się. Pomóżcie jej, bo mimo pewnych wad charakteru zasługuje na to. Zaczątek wiedzy tutaj zdobytej, z oczywistych względów wymagającej uzupełnienia – powtarzam się – powinien stać się zaczynem do podjęcia wspólnych wysiłków i działań, których rezultatem ma być skuteczne zapobieżenie zbliżającej się zagładzie. Czy będzie możliwe jej uniknięcie? Pewności nie można mieć, ale szansa istnieje. Należy zatem zrobić wszystko, aby ten nasz czwarty świat – świadomie używam tu określenia „nasz” – przetrwał. Wydaje się, że czasu jeszcze jest dość. Ja, dopokąd będę mógł, postaram się pomóc. Efekty jednak będą zależne jedynie od waszej mądrości i determinacji. Tedy zaufaj mi i choć opowieść jest długa, a pewne jej wątki pozornie nie posiadają związku z założonym celem, nie ponaglaj. Będzie ona bowiem pomału, ale konsekwentnie, prowadzi do sedna.

Duch Gór zakończył, a Semiston po dłuższej chwili ze zrozumieniem i milczącą aprobatą skinął dwukrotnie głową. Poczuł, że całkowicie ufa tej niedawno poznanej, mogącej się materializować zjawie. Że nawiązał z nią, *nomen omen*, duchową więź.

Prawie jednocześnie powstali, by się trochę przejść.

Po rozprostowaniu nóg, załatwieniu wywołanych kawą potrzeb fizjologicznych i obejrzeniu kilku nieznanym im ciekawostek krasnolud i Samtor, kierując się do stołu, zauważyli, że mag i Karkonos stoją w rejonie oglądanych wczoraj bezzaprzęgowych pojazdów. Zaciekawieni, zbliżyli się do nich, by usłyszeć obietnicę tego ostatniego, że w późniejszym czasie zaprezentuje im ich działanie.

– To tysiące lat nie było używane. Niemożliwe, że te wehikuly zaczną się poruszać – wyraził wątpliwość Eyan. – Guma sparciała, inne elementy na pewno nie są w lepszym stanie.

– Masz rację, guma sparciała, brak paliwa i większość mechanizmów się zastała. Mogę jednak te pojazdy uruchomić – odpowiedział krasnoludowi Karkonos. – Siłą sprawczą przywrócenia ich do właściwego stanu sprawności będzie potęga myślenia. Za jej pomocą wiele można dokonać. Może i wy kiedyś... – Nie dokończył zdania.

Powrócili do stołu, zajęli miejsca, wzmocnili się kawą i łykiem śliwowicy. Po małej chwili, w czasie której delektował się smakiem trunku, Duch Gór podjął wcześniej omawiany temat:

– Nadeszła pora, aby zająć się *homo sapiens*, człowiekiem myślącym, który... – zaczął kolejną część swej opowieści. Krótko nawiązał w niej do człowieka zręcznego i wyprostowanego, hominidów, które były przodkami – chociaż nie bezpośrednimi – człowieka rozumnego. Poinformował, że ten nowy twór natury pojawił się blisko sto dziewięćdziesiąt tysięcy lat przed zmierzchem poprzedniej epoki i jeszcze przez wiele tysięcy lat dzielił świat z innymi odmianami człowieka, by sukcesywnie je wypierając, w końcu pozostać jedynym żyjącym ogniwem ewolucji tego gatunku. Że podlegał on przemianom od *homo*

sapiens idaltu, czyli człowieka współczesnego starszego, poprzez człowieka z Cro-Magnon, aż do *homo sapiens sapiens*, czyli człowieka współczesnego myślącego. Scharakteryzował dwa pierwsze podgatunki i wspominał o teorii twierdzącej, iż zmiana ich następowała w drodze anagenezy, czyli procesu ewolucyjnego, w którym nowe cechy pojawiające się w całej populacji sprawiają, iż jedna z kolejnych generacji zstępnych do tego stopnia zaczyna się różnić od generacji wyjściowej, że można ją uznać za nowy gatunek biologiczny, przy czym w trakcie długofalowego zachodzenia tychże przeobrażeń nie tworzy się żadne boczne odgałęzienie, żadna równoległa siostrzana grupa, populacja początkowa zaś wymiera.

Mówił o ekspansji terytorialnej *homo sapiens*, który ze swej kolebki, wschodniej Afryki, sto tysięcy lat przed końcem minionej epoki dotarł do Azji, a następnie do posiadającej jeszcze połączenie lądowe Australii, by po kilku dziesiątkach tysięcy lat jako człowiek kromanioński osiedlić się również na terytorium ówczesnej Europy. O tym, że zwycięstwo nad człowiekiem wyprostowanym i neandertalczykiem, będącymi bocznymi i ślepyimi odgałęzieniami ewolucji, osiągnął głównie dzięki dwóm czynnikom: wyższej inteligencji oraz zdecydowanie większej liczebności. Pierwszy zapewnił mu technologiczną przewagę, której przykładem batalistycznym może być rozpoczęcie używania broni miotanej, a następnie – zabójczego dla niżej rozwiniętych pobratymców – łuku. Drugi dał mu około dziesięciokrotne górowanie ilościowe nad innym współmieszkańcem zajmowanego terytorium, człowiekiem neandertalskim. Nieubłagane prawa natury mówią, że dwa podobne gatunki nie mogą okupować tej samej niszy, więc jeden – ten nieco mniej sprawny umysłowo – musiał zniknąć.

Powiedział, że wewnątrz gatunku ludzkiego, początkowo stanowiącego jedną wschodnioafrykańską odmianę, od czasu rozpoczęcia migracji również zaczęły następować podziały. Efektem ich było powstanie kilku różniących się wyglądem i barwą skóry ras: białej zwanej europeidami, czarnej – negroidami, żółtej – mongoloidami oraz, jak część badaczy wyróżniała – czerwonej, utworzonej przez Indian. Że to ostateczne ewolucyjne rozejście się ludzkości trwało zaledwie około dwudziestu tysięcy lat i zakończyło się mniej więcej dwadzieścia tysięcy lat przed końcem minionej epoki. Podkreślił, że podstawowe cechy przedstawicieli różnych zmetamorfizowanych ras pozostały niemal identyczne. Mogli się oni ze sobą krzyżować oraz mieć potomstwo, które przejmując w różnych proporcjach cechy ojca i matki, tworzyło kolejne mutacje. Dobitnie zaakcentował, iż rozpowszechniane, a także w niektórych okresach praktykowane, moralnie złe teorie, uznające wyższość jednych ras nad innymi, nigdy nie znalazły prawdziwie naukowych podstaw ani obiektywnych dowodów je uzasadniających. Nawiązując do obecnej epoki, stwierdził, że dominujący gatunek hominida, człowiek, niestety i dziś dyskryminuje inne inteligentne rasy. Często reakcją uciskanych jest podejmowanie skierowanych nie tylko przeciwko swemu ciemniejszy, ale także wzajemnie przeciw sobie, międzygatunkowych wrózd, które podlegając eskalacji, często przekształcają się w krwawe potyczki lub nawet wojny.

Poinformował ich, że około siedemdziesięciu tysięcy lat przed końcem minionej epoki zaistniała groźba całkowitej zagłady ludzkości. Jej liczebność zmniejszyła się wtedy do jednej dziesiątej stanu żyjącej populacji. Ocenia się, że liczba kobiet

w krytycznym okresie spadła zaledwie do kilkuset i przez kilka stuleci każde następne pokolenie mogło być zarazem ostatnim.

Przyczyną tejże zapaści stał się przeogromny wybuch wulkanu na wyspie, znacznie później nazwanej Sumatrą. Pióropusz popiołów i dymów wypluwanych przez tego przebudzonego potwora osiągnął wysokość trzydziestu kilometrów. Przesłoniły one Słońce, wywołując trwającą sześć lat wulkaniczną zimę i ponad tysiącletnie ochłodzenie klimatu całej planety. Spadek temperatury był na tyle duży, że spowodował tworzenie się lodowców i obniżanie poziomu mórz. Ogromna część lądów została pokryta produktami tejże wulkanicznej erupcji. Grubość ich warstwy potrafiła nawet w oddalonych o tysiące kilometrów rejonach osiągać sześć metrów. Ziemia, pozbawiona ożywczego ciepła i słonecznych promieni, pokryta świeżym popiołem, nękana długotrwałymi, gwałtownymi burzami pyłowymi zmiatającymi bądź pokrywającymi przesuszoną cienką warstwę gleby, stała się niesprzyjająca dla wegetacji roślin, które w opisanych warunkach przestały rodzić owoce i dojrzewać, a zaczęły ginąć.

W owym okresie na północnej półkuli trzy czwarte roślin przestało istnieć na zawsze. Spowodowany tym niedostatek pokarmu roślinnego stał się przyczyną masowego padania zwierząt nim się żywiących. Konsekwencją tego deficytu były głód drapieżników i drastyczny spadek ich liczby.

O skali wybuchu świadczy fakt, że Toba – tak został nazwany ów wulkan – podczas trwającej dwa tygodnie erupcji wypluł do atmosfery aż dwa tysiące osiemset kilometrów sześciennych materiałów wulkanicznych. Była to jedna z największych naturalnych eksplozji w ciągu minionych czterystu pięćdziesięciu milionów lat.

– Co działo się z ludźmi? – zadał pytanie Karkonos samemu sobie, by zaraz odpowiedzieć: – Pewna ich część stała się bezpośrednimi ofiarami wybuchu, główny jednak kryzys spowodowany został narastającym głodem i zimą. Wycieńczeni i osłabieni, ratowali się ucieczką z nieprzyjaznych terenów i masowo wymierali; nie rozmnażali się, a życie ich trwało znacznie krócej. Gdyby nie trzy zachowane afrykańskie tropikalne enklawy, mogące wyżywić większą liczbę osobników, gatunek *homo sapiens* pewnie by nie przetrwał. O jego dalszym istnieniu i rozwoju zdecydowały więc odrobina szczęścia i właśnie umiejętność myślenia. Kiedy świat już wrócił do normy, a klimat nieco złagodniał, człowiek zaczął szybko odbudowywać swój gatunek, aby po kolejnych dwudziestu tysiącach lat ponownie skolonizować planetę.

Tu Duch Gór przerwał i po chwili skonstatował:

– Sądzę, że na dziś wystarczy. O dalszej historii waszych poprzedników opowiem następnym razem. Zdaję sobie sprawę, że daleko jeszcze do tematów, które was najbardziej interesują, ale byłem zmuszony do przemyślenia tej odrobiny wiedzy ogólnej, bo jeśli mówiąc o prehistorii tamtej ludzkości, nie zachowałbym elementarnej chronologii oraz logiki wydarzeń, trudno byłoby wam poukładać to wszystko i zrozumieć ostatni, najważniejszy etap jej dziejów. Teraz proponuję przerwę, a po niej pytania lżejszego kalibru.

Kiedy ponownie się zebrali, Eyan, częstując resztką przyniesionych zapasów i napitku, zapytał Ducha Gór, czy może odrobinę naruszyć jego sferę osobistą. Po usłyszeniu zgody zadał pytania o pochodzenie, czy jest nieśmiertelny i czy istot podobnych mu jest więcej.

– Spodziewałem się poruszenia tych kwestii. Nie mam żadnych powodów, by robić z tego tajemnicę. – Pytany się uśmiechnął. – Nie, nie jestem wieczny. Nie byłem i nie widziałem wszystkiego, o czym opowiadam. Urodziłem się dawno temu na Ziemi podczas trwania czwartej sekuli, w epoce bezpośrednio poprzedzającej waszą. Moi przodkowie przybyli tu nadświatlnym pojazdem z gwiazdozbioru Centaura, bardziej konkretnie z jednej z planet okrążających Rigil Kent, szerzej znanej pod nazwą Toliman, najjaśniejszej gwiazdy tego układu. W tym czasie *homo sapiens* stał się już jedynym żyjącym gatunkiem człowieka, dawno było też po kryzysie spowodowanym przez wulkan Toba. Dlaczego moi antenaci się tu pojawili? Przyczyna była prozaicznie prosta. Ucieczka. Od trzydziestu lat, a długość roku ich globu nieznacznie tylko różniła się od roku ziemskiego, Tolimanie coraz bardziej gorączkowo poszukiwali innego, nadającego się do zasiedlenia miejsca, ponieważ naszej planecie, a tym samym całej populacji, zagroziło totalne zniszczenie. Nie, nie jak myślicie, katastrofa kosmiczna. Nasza wysoko zaawansowana cywilizacja popełniła pomyłkę. Swymi nierozważnymi poczynaniami zapoczątkowała niekontrolowaną reakcję jądrową. W efekcie cała planeta z wolna zaczęła stawać się reaktorem. Proces ten mógł być spowolniony, jednak raz rozpoczęty, z uwagi na swą skalę, nie mógł zostać zahamowany. Przewidując tragiczny epilog, moi przodkowie rozesłali w różne strony kosmosu grupy rozpoznawcze. Ta, w której znalazł się mój ojciec, wylądowała na Ziemi. Napotkała tu wspaniałe warunki do życia. W kierunku Rigil Kent została wysłana radosna wiadomość. Niestety, było już za późno. Widocznie ostatnie fazy reakcji uległy gwałtownemu przyspieszeniu. Nasz glob i nasza cywilizacja, wcześniej, niż to było przewidywane, uległy

zniszczeniu. Tym samym Układ Tolimana został zubożony o planetę, na której istniało życie. Kontakt z innymi grupami rekonesansowymi zespołowi znajdującemu się na Ziemi również nie udało się nawiązać. W zaistniałej sytuacji członkowie wyprawy, praktycznie nie mając wyboru, postanowili, że ta planeta stanie się ich nową ojczyzną. Nie zamierzali podbić, zwasalizować ani tym bardziej zlikwidować dotychczasowych jej gospodarzy. Wręcz przeciwnie, chcieli się do nich zbliżyć i przyspieszyć ich rozwój. Ten ostatni zamysł okazał się jednak trochę spóźniony. Na Ziemi przebywali już inni kosmici, astronauta z planety Nibiru. Przybyli tu wcześniej, w celu eksploracji bogactw naturalnych. Przy okazji, nie chcąc sami wykonywać wyczerpującej pracy, z tubylczej rasy naczelnych małpoludów drogą modyfikacji kodów genetycznych DNA wyhodowali sobie pomocników, pierwotnych ludzi. Ulepszając ich, w krótkim czasie otrzymali rasę *homo sapiens*. Dając jej dwupłciowym osobnikom możliwość rozmnażania, zaludniali kolejne obszary. To, co mówię, nie stoi w sprzeczności z poprzednią opowieścią, a jedynie ją uściśla, odpowiadając, skąd niespodziewanie pojawił się człowiek myślący.

Po tej krótkiej dygresji Duch Gór znów podjął zasadniczy wątek:

– Zespół, którym kierował Jeho Wah, *notabene*, bliski krewny mego ojca – mówił – liczył około sześćdziesięciu osób. Skład jego tworzyli mężczyźni i kobiety. Po wylądowaniu i zapoznaniu się z istniejącym stanem moi współplemieńcy, nie ujawniając swej obecności ani tożsamości, ostrożnie zbliżyli się do Ziemi, a potem do wysoko rozwiniętych, lecz nieprzyjaznych Nibiran. Obserwowali poczynania jednych i drugich i oceniali, że ogólnie idą one w dobrym kierunku, ponieważ jednak nie wszystkie

efekty działań obu kultur okazywały się udane, starali się im dyskretnie pomagać. Zwykle przynosiło to pozytywne rezultaty. Różnica cywilizacyjna poziomów Ziemi i Nibiran była wielka. Ulepszeni genetycznie tubylcy dominujących przybyszów uznawali za istoty nadprzyrodzone i wszechmocne, za bogów. Bez najmniejszych oznak protestów służyli im swą fizyczną pracą w kopalniach, na polach i w sadach. Później, gdy ich sprawność umysłowa wzrosła, zaczęli być dopuszczani do bardziej odpowiedzialnych funkcji. Dowódca wyprawy z Tolimana, Jeho Wah, który przewyższał pozostałych swoich współtowarzyszy wiekiem, mądrością i posiadaniem poważaniem, później, w odmienionej sytuacji, został również uznany za Boga. Początkowo wyglądało, że tego nie chce, wszakże po okresie krwawych zmagania, zwanych wojnami bogów, w wyniku których Nibiranie opuścili Ziemię, okazało się to wygodne i pomocne. Po ich odlocie stosunki moich przodków z tubylcami zależały głównie od postawy przywódców miejscowych plemion. Ci, co mieli domieszki krwi Nibiran lub pielęgnowali pamięć o nich i mocno wierząc w powrót swych bóstw, przejawiali wrogość – byli pacyfikowani. Ci, co uznali prymat Jeho Waha i okazywali mu szacunek oraz posłuszeństwo, mieli się dobrze. Ich ludy uzyskiwały widoczne i wymierne korzyści. Z jednego później powstał naród wybrany. By zapewnić sobie bezpieczeństwo i posłuch, kosmici z Układu Tolimana nie tylko nie dementowali przekonania tubylców, iż szef ich zespołu jest bogiem, ale sami podawali się za jego synów. Wiedza i możliwości prezentowane przez nich w porównaniu z ludzkimi były tak wielkie, że nikt nie kwestionował ich boskiego pochodzenia. Nie wyłącznie pracą i nauczaniem jednak moi antenaci wypełniali swoje dni. – Duch Gór się uśmiechnął. – Z upływem czasu, jak wcześniej Nibiranie,

zaczęli zbliżać się do miejscowych kobiet i niektóre z nich brały sobie za stałe partnerki. Wkrótce okazało się, że owe mieszane pary mogą mieć potomstwo. Jednak hybrydyzacja genów tak różnych cywilizacji sprawiła kilka niespodzianek. Dzieci rodzące się z tych związków dzieliły się na dwie grupy. Pierwszą stanowiły egzemplarze pod każdym względem nieudane i zazwyczaj umierające po kilku lub kilkunastu latach. Drugą, znacznie mniej liczną, tworzyły jednostki o właściwościach zarówno psychicznych, jak i fizycznych rozwiniętych znacznie ponad przeciętność. W tej drugiej grupie niezmiernie rzadko pojawiały się osobniki będące nosicielami właściwości wręcz niesamowitych. Byli nimi ci, w których ustrojach nastąpiło pomieszanie we właściwych proporcjach trzech krwi: ziemskiej, długowiecznej nibirańskiej i tolimańskiej. Cechy przekazane im w genach chromosomów komórkowych linii męskiej, pobudzone kwasami dezoksyrybonukleinowymi i rybonukleinowymi strony żeńskiej, sprawiały, że ich organizmy autoregenerując się, mogły funkcjonować do kilkuset tysięcy lat, a potęga myśli pozwalała przybierać im dowolną postać – materialną lub też nie – i wpływać na otoczenie w szerokich, aczkolwiek posiadających swe kresy, granicach. Właśnie ze stadła takiej półziemianki-półnibiranki i boskiego syna z Toliman, z tej najrzadszej, udanej, grupy potomstwa wywodzę się ja. Mówiłem Semistonowi, ale was akurat w tym czasie przy nas nie było, że na tej planecie moich ziomek już nie ma. Przedostatni żyjący odszedł około trzydziestu tysięcy lat temu, a więc w czasie, kiedy już istniała wasza cywilizacja. I to jest odpowiedź na twoje pytanie – zakończył Karkonos, zwracając się do Eyana.

– Odbierając podczas pierwszego spotkania, kiedy nas tak zaskoczyłeś, twój przekaz – włączył się Samtor – przez moment

ujrzałem obrazek niespójny z resztą informacji. Byłeś na jakimś polu i coś zbierałeś. Widziałem też młodą, bogato odzianą, śmiejącą się ironicznie dziewczynę...

– A, to... – Karkonos machnął ręką. – Marginalny incydent, mający miejsce jakieś siedem i pół wieku przed końcem poprzedniej epoki. Z przyjemnością opowiem wam o nim, ponieważ do dzisiaj czuję zadowolenie ze spletanego przedniego figla i rezultatów, które on przyniósł. Wielce prawdopodobne jest, że wertując kiedyś zgromadzone tu księgi, natraficie na jakiś opis tego zdarzenia. Wiedziecie, że będzie on z pewnością zmyślony, ponieważ prawdę oprócz mnie znał tylko Mieszko z Raciborza, prawnuk księcia Mieszka Płatonogiego, pochodzącego z odnogi sławnej w owych czasach dynastii Piastów. Skądinąd wiem, że ów rycerz, będąc mi wdzięcznym, do końca swojego życia nikomu tej tajemnicy nie wyjawiał.

Tu, prawdopodobnie na skutek miłych lub zabawnych wspomnień, Karkonos uśmiechnął się i zaczął opowieść:

– A było to tak: któregoś ciepłego jesiennego dnia, przechadzając się w pobliżu położonego w górskich lasach jeziora, ujrzałem siedzącego na skałce młodego rycerza. Puścił on swobodnie swego konia na trawę, sam zaś, podparłszy dłonią głowę, smętnie spoglądał przed siebie. Przyjawszy postać brodatego, przygarbionego starca, powoli zbliżyłem się doń. Widząc mój ciężki chód, zrobił mi miejsce obok siebie, grzecznie powitał i poprosił, abym spoczął. Nie pytając, kto ja zacz, wyjął bukłak i poczęstował mnie winem, chlebem i wędzoną rybą. Sam nie jadł ani nie pił. Zapytany o przyczynę smutku, tylko cicho westchnął. Po moich usilnych naleganiach niechętnie wyjawiał, iż bez pamięci rozmiłował się w Dobrogniewie, córce księcia świdnicko-jaworskiego, Bolka Srogiego. Jej surowy ojciec

i wywodząca się z dumnego rodu margrabiów brandenburskich matka nie chciała jednak wyrazić zgody na zrękowiny i ślub, twierdząc, że mimo dobrego pochodzenia najmłodszy syn księcia raciborskiego jest zbyt mało znaczący i zasobny, by zostać ich zięciem. Panna, choć mu przychylna, zafascynowana opowieściami o bohaterskich pogromcach smoków i innych okropnych bestii, postanowiła, że zostanie żoną jedynie najwaleczniejszego rycerza, który bezspornie udowodni swą dzielność. Oczywiście ten heros też musi być zacnego rodu, urodziwy i bogaty. Wobec tak wygórowanych oczekiwań zarówno Dobrogniewy, jak i jej rodziców on, Mieszko, nie widząc żadnych szans na zdobycie ręki miłości swego życia, właśnie zastanawia się, czy samemu je zakończyć, czy dać się zabić na pierwszej lepszej wojnie, czy też zamknąć się w klasztorze. Wysłuchawszy tych zwierzeń, ująłem jego dłoń i udając, że jestem wróżbitą, kazałem mu natychmiast udać się do Świdnicy, na dwór księcia. Młodzian początkowo się wzbraniał, lecz na cóż moje umiejętności? Po niedługim czasie, już w nieco lepszym nastroju, wskoczył na rumaka i pojechał. Gdy dotarł do zamku, księżniczka, wykorzystując słoneczną pogodę, wraz ze swoim fraucymerem zabawiała się w pałacowym ogrodzie w ślepą babkę. Z okna owo rozbrykane młode towarzystwo z aprobatą obserwowali księżę Bolko oraz jego małżonka o obco i twardo brzmiącym imieniu, Beatrycze. Na widok zbliżającego się Mieszka rozbawione dworki przerwały igraszki, zerwały przepaskę z oczu Dobrogniewy i zaintrygowane skupiły się wokół niej. Ona, zoczywszy swojego niefortunnego, lecz lubianego adoratora, kazała im zostać na miejscu, a sama we wdzięcznych podskokach pobiegła w jego kierunku. Właśnie na taki moment czekałem. Niewidoczny w tumanie gęstej niby mleko mgły, której

wtórował nagły, niespodziewany poryw gwałtownego wichru, na oczach zdumionych i struchlałych rodziców, dworek oraz Mieszka porwałem Dobrogniewę. Umieściłem ją w prawie nieznannej, trudno dostępnej grocie górskiego masywu zwanego Kozią Szyją, by tam pozorować, że opętała mnie skierowana ku niej niezmierna miłość i czy chce, czy nie, musi zostać moją małżonką. Widocznie okazałem się przekonujący w tej roli, bo panna mimo otaczających ją luksusów i wygód była bardzo przerażona. Po kilku dniach, gdy nieco się uspokoiła, a mój nieciekawych wygląd obleśnego, demonicznego starca przestał ją szokować, zaczęła poszukiwać sposobów wyprowadzenia mnie w pole i sprowadzenia pomocy. Narzekała na samotność, żądała spacerów i tresowanych, gadających ptaków. Sprawdzała, na ile w tych poczynaniach może sobie pozwolić. Było mi na rękę – ciągnął Karkonos, ponownie rozjaśniając swą twarz uśmiechem – że księżniczka okazywała taką odwagę i przemyślność. Nawet ją trochę za to polubiłem. Udając wzrastające uczucie, ponaglałem ją do ślubu, równocześnie pobudzając jej niekłamaną odrazę do mnie. Naturalnie nawet mi w głowie nie zaświtało, by uczynić w stosunku do niej coś nieobyčajnego. Mniej więcej po tygodniu sprawiłem Dobrogniewie przyjemną niespodziankę. Przyniosłem skrzynkę czarodziejskich rzepek i pozwoliłem wyczarować z nich miłych jej ludzi. Radość księżniczki była wielka. Nie zdziwiło mnie, gdy ujrzałem wśród nich także Mieszka. Ale po kilku dniach rzepek zwiędły, a jej towarzysze zniknęli. Wywołało to duży smutek i napady płaczu Dobrogniewy. Przewidując, że tak się stanie, miałem gotowy przewrotny plan. Nakazałem swoim sługom, żeby skopali zagon i posadzili na nim nowe nasiona rzepek. Potęgą woli przyspieszyłem ich wegetację i kiedy były prawie dojrzałe, ukazałem księżniczce poletko, mówiąc, że

wyczarujemy z nich naszych gości weselnych. Podarowałem jej też mówiącego gwarka, rzadko spotykanego inteligentnego ptaka z rodziny szpakowatych. Wiedziałem, że zamierza go wysłać z wiadomością, gdzie tkwi uwięziona. Biedna, nie zdawała sobie sprawy, że ten egzotyczny ptak, nawykły do odmiennych warunków życia, nie będzie w stanie dolecieć do adresatów. Jakieś... – Tu Duch Gór się chwilę zastanowił. – ...trzy tygodnie od porwania uznałem, że czas już skończyć farsę. Okoliczności uległy zmianie: rodzice Dobrogniewy obiecali rękę zaginionej córki temu, kto ją odnajdzie i uwolni, niezależnie od tego, kim on będzie, a sama księżniczka z coraz większym sentymentem wspominała Mieszka, który mimo usilnych starań nie mógł wpaść na jej trop. Aby swe poszukiwania mógł zakończyć sukcesem, pod postacią kruka poleciałem do Świdnicy i siadłszy na ramieniu młodego księcia, poradziłem, gdzie ma szukać swojej ukochanej. Posłuchał. Już następnego dnia u jaskini stanęła dowodzona przez Mieszka Raciborskiego drużyna zbrojnych. Ukazałem się im w postaci, w jakiej wy mnie pierwszy raz ujrzeliście, i zezwoliłem wejść tylko ich dowódcy, zapewniwszy mu uprzednio bezpieczeństwo. Trzeba przyznać, że młodzian był odważny i ani na moment się nie zawahał. Wpadł gotowy do walki i od razu chciał rozplatać mnie swym mieczem. Powstrzymałem zapędy młodego furiata i przypomniałem mu starca oraz wróżbę sprzed kilku tygodni. Bystry był, w mig zrozumiał wszystko. Stoczyliśmy pozorowaną śmiertelną walkę, którą wygrał, zyskując w oczach księżniczki sławę bohatera. Szlachetnie darował mi życie i wolność. Ja, okazując smutek i złość, stałem nad polem bujnie rosnącej rzepy. Wtedy to Dobrogniewa, nie mogąc wybaczyć mi porwania, ironicznie się zaśmiała. Naturalnie wcześniej z Mieszkiem

ustaliliśmy, że cała sprawa zostaje między mną a nim. I obaj dotrzyaliśmy słowa. Zakończyła się jednak tamta epoka. Pamięć o ludziach, zdarzeniach i owych odległych czasach się zatarła. Już nie czuję się zobowiązany, aby utrzymywać to w tajemnicy. Jaki był finał tej historii? Ano, młodzi szybko się pobrali, żyli zgodnie i dostatnio, a w prezencie ślubnym otrzymali ode mnie – oczywiście anonimowo – w okolicach miejscowości nazwanej później przez miejscowych Głuchołazami kopalnię złota znaną jako Złota Jama. Oboje okazali się dla swych poddanych dobrotliwymi i mądrymi władcami, a mnie dzięki niedyskrecji zbrojnych towarzyszących księciu podczas odbijania z mych rąk jego późniejszej małżonki nazwano pogardliwie Liczyrzepą. Nie wzbudzało to mej złości. Jeszcze wielokrotnie pomagałem tamtejszym ludziom, szczególnie zaś prostym górnikom, co powodowało, że imię to coraz rzadziej wymawiano z nutą szyderstwa. Krążyły o mnie legendy, ale jak rzekłem, nie wszystkie były prawdziwe. Nazywano mnie w nich Duchem Gór, Karkonosem lub z obca Rübezahl. To tyle na ten temat.

– Jesteś ostatni z waszego rodzaju. Czemu nie masz potomstwa? Czy tobie podobni je mieli? – zapytał po chwili Semiston.

– To właśnie jedna z tych niespodzianek natury. My, drugie pokolenie, nie mogliśmy mieć dzieci – powiedział cicho Duch Gór i zaraz dodał: – No, wystarczy na dziś tego gadania, tym bardziej że w obozie też czeka was zaskoczenie. Spokojnie. – Uniósł dłoń. – Przyjemne i pożyteczne. Nalej jeszcze po łyku – zwrócił się do Eyana.

Wróciwszy, a było już po kolacji, zastali wszystkich w sali jadalnej. Centrum powszechnej uwagi stanowiła elfka Nimena, która coś mówiła nad otwartą księgą. Okazało się, że czyta

i bezpośrednio tłumaczy na wspólny nieznanym innym tekst. Zauważywszy wchodzących Semistona i pozostałą dwójkę, przerwała, poczekała, aż się zbliżą, i oznajmiła im tonem, jakby przyznawała się do winy:

– Semistonie, niewiarygodne, ale chyba doznałam iluminacji. Nagle zaczęłam w pełni rozumieć treść znalezionej tutaj pisma. Mało tego, mam głębokie przekonanie, iż znam ortofonię tego języka, wiem, jak brzmią poszczególne litery, jak się wymawia oraz akcentuje poszczególne słowa i frazy. Od początku pobytu w kopalni starałam się je analizować i nic mi absolutnie nie wychodziło. Język tych, co nim się posługiwali, szczególnie jego forma pisana, okazał się zupełnie odmienny niż języki używane współcześnie. Myślałam, że już nigdy nie dam rady, że to mnie przerasta. Dzisiaj znów pracowałam, a efektów jak zwykle nie było. W pewnym momencie poczułam się zmęczona i doznałam zawrotu głowy. To nieprzyjemne uczucie po chwili minęło, ja spojrzałam na kartkę i wszystko stało się zrozumiałe. Nie wierząc, wzięłam następną książkę i także potrafiłam ją czytać i rozumieć. Do tej pory nie mogę uwierzyć, nie mogę pojąć przyczyny tego olśnienia. Aż trzęsą mi się z wrażenia ręce i dygocą nogi.

– A więc to jest ta niespodzianka. Słuchaj, Nime, domyślały się, jak do tego doszło. A więc ciebie wybrał, to dobrze – zareagował czarodziej. – Mądry, a wie o nas więcej, niż się spodziewaliśmy.

– Kto? O kim i o czym mówisz? – zabrzmiały prawie chórem pytania zgromadzonych.

– Później. Przyrzekam, że za kilka dni ze wszystkim zostaniecie zapoznani. Teraz jeszcze nie czas, zbyt mało wiemy i wiedza ta jest chaotyczna. Poza tym, uwierzcie, lecimy z nóg.

Tego dnia Semiston nie nawiązał kontaktu z Zachetynem. Wszedł do swojego pokoju, zrzucił wierzchnie odzienie i padł na tapczan. Usnął od razu. Podobnie było z Samtorem. Tylko Eyan, pomimo znużenia, jakoś nie mógł zasnąć. Wiercił się w łóżku, a przed jego oczami pojawiali się: to wiotka Dobrogniewa, to potężny i groźny Duch Gór z rzepkami w rękach, to słodko uśmiechająca się do niego Tua z Mizenem i Gozenem. Wreszcie myśląc o żonie i synach, zapadł i on w głęboki sen.

Duch Gór, z od wielu lat przebywającym z nim starym koboldem Magorem, siedział i rozmyślał w swojej ulubionej skalnej grocie. Wspominał minione czasy: swoje dzieciństwo, okres dorastania. On, wielki samotnik, obecnie z rzadka i jedynie w imię wyższych celów decydujący się na kontakt z osobnikami innych nacji, już prawie zapominał, że kiedyś również był młody, że miał rodziców. Przez krótki okres miał też brata. Dużo młodszego, narodzonego mniej więcej czterdzieści tysięcy lat po nim. Przyrodniego, z innej matki i z przechowanego nasienia ich wspólnego, nieżyjącego ojca.

Czy rzeczywiście był to jego brat? Czy można go tak nazywać? Został przecież poczęty nie z woli ich biologicznego rodzica, lecz na życzenie Jeho Waha i to w dość nietypowy sposób. Otóż dowódca misji ratunkowej, który o kilka dziesiątków tysięcy lat przeżył większość członków przybyłej wspólnie z nim załogi, w miarę upływu czasu, zapewne wskutek samotności – a być może też krnąbrności przeciwstawiającej się mu niemałej części rasy ludzkiej – stawał się coraz bardziej apodyktyczny, a nawet okrutny. Dowiódł tego w szeregu przypadkach, sprowadzając na mieszkańców Ziemi plagi oraz stosując indywidualne i zbiorowe dotkliwe kary. Dobrze, że tak naprawdę nie on wywołał przypisywany mu potop i nie maczał palców w zatopieniu

kontynentu zwanego Atlantyda. Obciążają go jednak spowodowana za czasów Ibru-Uma (Abrahama), przeprowadzona z użyciem broni jądrowej, zagłada miast Sodomy i Gomory, a także wspólny z innymi Elohim (bogami z Nibiru) udział w niepięknym incydencie zniszczenia wieży Babel.

Starzejąc się, również dziwaczał. Jednym z przejawów tego stanu było to, iż z czasem sam zaczął uważać się za istotę boską, konkurującą z bogami Sumeru, Egiptu, Babilonii i Asyrii. Innym – narastające pragnienie posiadania dziedzica. Zamierzał wychować i wykształcić go na swój obraz i podobieństwo, aby wspólnie z nim kierować Ziemianami, a w stosownym momencie przekazać mu całą spuściznę. Tu wyłonił się jednak poważny problem – na spłodzenie syna okazał się już nazbyt stary. I nawet on, tak mądry i dysponujący niezmierną potęgą myśli, nic nie mógł na to poradzić.

Dawniej Jeho Waha i ojca Ducha Gór łączyły nie tylko więzi rodzinne, ale i wzajemna sympatia. Dowódca wyprawy z upodobaniem spoglądał też na syna nieżyjącego już krewnego. Przypominał mu on przyjaciela. Założywszy, że kolejny potomek poczęty z tego samego nasienia, zrodzony ze starannie dobranej kobiety powinien być równie udany i w pełni sprostać jego oczekiwaniom, wyszukał przyszłą matkę i wysłał do niej lekarza wyprawy, starego Gabriela, by ten uspił kobietę i zapłodnił ją metodą *in vitro*, używając plemników pochodzących od ojca Ducha Gór. Próbkę ich w odpowiednich warunkach przezornie przechowywano przez tysiące lat.

Po trzech kwartałach doczekał się – jak go określał – swego syna. Wiązał z nim ogromne nadzieje, liczył, że zostanie jego prawą ręką, godnym, rozważnym i postępującym w myśl jego

wskazówek następcą. Niestety, rozczarował się. Syn, chociaż okazywał mu szczerą miłość i należny szacunek, znacznie bardziej garnął się do ludzi. Ci, tak przez niego miłowani, jednak zdradzili go.

Gdy został przez nich skazany na męczeńską śmierć, miał zaledwie trzydzieści trzy lata. No, może niedokładnie tyle, może o kilka lat więcej, lecz i tak był bardzo młody. A Jeho Wah, wściekle zazdrosny o jego uczucia i mściwy, choć był w stanie bez trudu go ocalić, nie w pełni usatysfakcjonowany postawą syna, nie uczynił tego. W ten sposób stracił potomka, a Duch Gór, noszący jeszcze wtedy zupełnie inne imię, brata. Tak, mimo wszystko... chyba jednak brata.

Ta tragiczna śmierć poniewczasie wywołała refleksje i bardziej, niż można się było spodziewać, negatywnie wpłynęła na stan psychiczny starego dowódcy. Niemal uderzeniowo zaczął cierpieć najpierw na dysocjacyjne rozdwojenie jaźni, później – na jej rozstrojenie. Choroba przyjęła u niego rzadko spotykaną formę, przejawiającą się tym, że poszczególne osobowości wiedziały o istnieniu pozostałych. W schorzeniu tym zwykle nie wiedzą one o sobie.

Od momentu zgonu lekarza Gabriela i brata zostało ich tylko trzech: stary, zdziwaczały i mocno zgorzkniały Jeho Wah, skłócony z nim, od dawna trzymający się osobno i działający w niekonwencjonalny sposób Luc Ypher oraz on, kosmiczno-ziemski mieszaniec. Po śmierci obydwu ostatnich przedstawicieli pierwszego pokolenia Duch Gór pozostał sam. Początkowo podróżował po świecie, później wynalazł sobie nowe górskie siedlisko i wypełniał dni ciekawymi go zajęciami. Właśnie one sprawiły, że ludzie z czasem powszechnie zaczęli nazwać go Duchem Gór, a on imię to zaakceptował i nawet polubił. Już

prawie zapomniał, jak poprzednio się nazywał... Henoch Drugi czy jakoś tak... nieważne.

Ale dlaczego tuż po przybyciu na Ziemię pomiędzy Wahem a jego zastępcą Lucem powstał i do samego końca trwał ten nieprzejednany, ostry antagonizm? Co go wywołało? Zaraz, zaraz... chyba były dwie przyczyny. Pierwsza, która ich poróżniła, lecz jeszcze nie rozdzieliła, to kontrowersyjna sprawa utworzenia w tym dość chłodnym układzie solarnym drugiego słońca. Dodatkowego, potężnego źródła życiodajnego ciepła. Ypher był temu przeciwny, Jeho Wah – za. Na szczęście dowódca nie postawił na swoim. Przemyślawszy sprawę, jakieś trzynaście tysięcy lat przed końcem tamtej ery odstąpił od doprowadzenia do zderzenia dużej asteroidy z Jowiszem. Początkowe teoretyczne rozważania, że planetka X wtopi się tego gazowego olbrzyma, zwiększy jego masę do wielkości ponadkrytycznej, i wywoła reakcję jądrową, rozpalając go, okazały się zbyt optymistyczne. Dokładne obliczenia wykazały istnienie zbyt dużego prawdopodobieństwa odbicia się asteroidy X od Jowisza i wywołanie przez odbite ciało ogromnych zaburzeń w strefie planet wewnętrznych. Jeho Wah postąpił rozsądnie, ale jego prestiż ucierpiał. Dokuczliwa zadra w stosunkach dowódcy z cenionym przez dużą część załogi zastępcą pozostała.

Przyczyna druga, która doprowadziła do ostatecznego rozłamu między nimi, dotyczyła potopu. Jeho Wah, mimo iż nie był za niego odpowiedzialny, chciał jak Nibiranin Enlil wykorzystać ten kataklizm do całkowitego zniszczenia zdegenerowanej ludzkości. Luc Ypher stanął po stronie innego Nibiranina, Enki, i wstawił się za jej najbardziej wartościowymi grupami. Zarysowała się ostra różnica poglądów. A już po potopie, gdy Ziemię zapełniać zaczęli nowi ludzie, Wah chciał

dać im wędkę, jego zastępcą – nieprzygotowanym uczuciowo i intelektualnie – gotową rybę. Na krótką metę propozycja Luca wydawała się bardziej atrakcyjna i pociągająca, jednak z perspektywy rozwoju gatunku okazało się, że racja była po stronie dowódcy. Dobrze, że chociaż we wzajemnych walkach Nibiran, tak zwanych wojnach bogów, jego przodkowie nie wzięli udziału. Słusznie stanąwszy na boku, przeczekali je.

A co teraz robi on, Duch Gór? Czy postępuje właściwie, odchodząc od zasady Jehu Waha? Tak! Zdecydowanie tak, zresztą nie może inaczej. Musi pójść na pewne ustępstwo z powodu wyższej konieczności. Da małą rybkę, ale i dobrą wędkę, a dodatkowo wskaże łowisko. Ziemia zasługuje na to, by przetrwać, szansa jeszcze jest.

Tu starzec przerwał swoje wspomnienia i skinął na siedzącego obok sędziwego kobolda. Obaj przenieśli się na polanę, by – jak często już to wcześniej robili – wspólnie popatrzeć na rozgwieżdżone niebo.

ROZDZIAŁ XVI

Bedoryk i Teks spacerowali ulicami położonymi w pobliżu parku otaczającego monarszy pałac. Przedpołudniowa pora słonecznego dnia i obfite śniadanie, podczas którego zostali potraktowani przez obsługującą ich Malwę jak dobrzy znajomi, wprowadziły ich w tak dobre humory, że nawet niepokojąca kwestia czekającej ich misji jakby zeszła na dalszy plan.

– To co, idziemy na wystawę? – zapytał kroczącego u jego nogi Romasa młody czarodziej.

„Idziemy”.

– Wygramy konkurs?

„Ja wygram – odparł mu mentalnie Teks. – No dobrze: my” – poprawił się zgodnie, zobaczywszy kpiąco-ganiące spojrzenie „właściciela”.

– Właśnie tak myślałem. Grzeczny piesek – pochwalił go Bedoryk.

„Uważaj, bo jak nic kiedyś cię za te żarty ugryzę. A przypominam, że dotąd nie jestem szczepiony” – zakończył przekorny dialog gnom i jak prawdziwy pies podniósł tylną nogę przy drzewku.

Zbliżali się do pałacowej bramy, akurat otwieranej na całą szerokość przez mających przy niej służbę wartowników. Wraz z kilkoma innymi gapiami zatrzymali się, zaciekawieni. Po około trzech minutach przy bramie pojawiła się dwuosobowa konna ochrona, a chwilę później – ciągnięta przez szóstkę karych koni

czarna, pozbawiona ozdób karoca. Za jej niezasłoniętymi oknami widoczna była szczupła, również ubrana na czarno postać. Petin Czwarty wyglądał przez szybę, nie reagując na pokłony i pozdrowienia swych poddanych. Władca na moment zatrzymał wzrok na stojącym w dobrze widocznym miejscu dorodnym, machającym ogonem psie. Wykonał nagły ruch, jakby chciał zatrzymać wiozący go pojazd, lecz w ostatniej chwili zrezygnował, nie pociągnął za taśmę dzwonka.

„Zupełnie przypominał Neksa. Szkoda, że już go nie ma” – pomyślał, jadąc dalej.

Bedoryk i jego pies, nie mając najmniejszego pojęcia, jaka myśl przeleciała przez głowę króla, spacerowym tempem udali się w kierunku hali, w której za kilka dni miała rozpocząć się doroczna wystawa.

Sytomir siedział w swoim domowym gabinecie i czytał otrzymany po południu list. Jak się spodziewał, para królewska z Dyned przyjęła zaproszenie na mające się zacząć w dniu pierwszego września organizowane w Todorze uroczystości rocznicowe. Iwo der Sar, jego odpowiednik w Owanor, stolicy Dyned, pisał, że także będzie należał do składu oficjalnej delegacji. Nie zdziwiło to saryjskiego szefa służb specjalnych, ponieważ zawołowane sugestie zawarte w wysłanym do Iwa piśmie musiały dać jego adresatowi sporo do myślenia. Z pewnością zapoznał też z nimi swego króla Adalfa, który, chociaż młody, znany był z przenikliwości i rozwagi. Niestety, tylko wtedy, gdy nie znajdował się pod wpływem narkotyków. Sytomir był prawie pewny, że Iwo zjawi się z gotowymi

przemyśleniami dotyczącymi Petina i Morgii. Na ile przystawać będą one do projektów Artorusa, pokaże czas.

„No, to sprawy przyjazdu z Tuludą, Dyned, Eridą i księstwem Mirty mamy załatwione. Oficjalne zaproszenia na trzydziestą rocznicę ślubu i zarazem pięćdziesiąte urodziny naszej królowej Eminy zostały przez władców tych państw przyjęte. Zaraz... trzydziesta rocznica to z pewnością jakieś tam gody. Srebrne ani złote z pewnością nie – zastanowił się. – Pierwsze obchodzi się po dwudziestu pięciu latach, drugie po pięćdziesięciu. Nie wiem. Trzeba zapytać Igonę, ona chyba się na tym zna”.

Ponownie wrócił myślami do mających zjechać za niecałe trzy tygodnie gości.

Z Mezary, od pary królewskiej, do której kancelaria dworska wystosowała oficjalne zaproszenie, przyszły podziękowania za pamięć. Petin Czwarty wraz z małżonką, królową Lizą Terezą, specjalną pocztą złożył życzenia wszystkiego dobrego i przesłał upominki godne suwerena wielkiego i bogatego kraju. Jednocześnie zasłaniając się ważnymi i pilnymi obowiązkami, grzecznie, lecz jednoznacznie, odmówił osobistego udziału swego i żony w planowanych uroczystościach. Z poprawnego politycznie i zgodnego z zasadami *savoir-vivre*'u listu bił wyczuwalny chłód.

„No cóż, właśnie tego oczekiwaliśmy. Nie ma zaskoczenia. Obie strony są wobec siebie formalnie w porządku. Bardzo tylko chciałbym wiedzieć, czego dotyczą te pilne i ważne obowiązki” – pomyślał Sytomir i skupił uwagę na dość dziwnej reakcji władców z Atony na przesłane zaproszenie.

Jego pismo do kanclerza koronnego Ramzy, który w ramach swoich obowiązków kierował resortami spraw wewnętrznych i zagranicznych, nie doczekało się odpowiedzi. Wyglądało, że już

nie należy się jej spodziewać, z kolei kancelaria królewska dostała potwierdzenie, że na uroczystości zjedzie delegacja, ale przewodniczyć jej będzie nie król z małżonką, tylko właśnie kanclerz. List nie zawierał wyjaśnienia przyczyn rezygnacji z przyjazdu pary królewskiej.

„Gnejus, poprzez swą babkę spokrewniony z królową Eminą, żoną Artorusa, zawsze do tej pory starannie dbał o co najmniej poprawne stosunki z Sarią, a tu nagle taki afront? Musiał zaistnieć rzeczywiście jakiś istotny powód, że tak obniżono rangę wizyty. Trzeba natychmiast to wyjaśnić. Drogą listowną? Nie. Przez moich ludzi? Też nie. Kto mógłby tam pojechać? Musi to być osoba, która znajdzie dostęp do króla, znana mu i ciesząca się jego zaufaniem. Zachetyn? Nie. Nie mogę go tym obarczyć, ostatnio i tak ma dużo na głowie. Pojadę osobiście i to już jutro” – postanowił.

Wychodząc z gabinetu, rozejrzał się za Igoną. Zastał ją w saloniku, gdzie wertowała jakąś opasłą księgę. Poinformował, że następnego ranka wyjeżdża na kilka dni, i poprosił, żeby zapakowała mu bieliznę i bardziej wytworne ubranie. Pocałował ją w czoło i już miał wychodzić, kiedy przypomniało mu się pytanie.

– Iga, jak nazywają się gody po trzydziestu latach małżeństwa?

– Po trzydziestu? Perłowe. Z pewnością perłowe. Myślisz o królowej Eminie i Artorusie?

– Tak. Mam do ciebie prośbę. Pomyśl o wybraniu jakichś stosownych prezentów. Kupimy je po moim powrocie.

– Dobrze, Syto, rozejrzę się. Zdaje mi się, że nawet wiem, na co się nastawić.

– Dzięki. – Przygarnął ją do siebie i ponownie pocałował, tym razem w policzek.

– Uważaj na siebie – usłyszał ciepły głos, gdy wychodził, by poinformować króla o zamierzonej podróży. Idąc, planował, kogo ze sobą weźmie i którą drogą pojedzie.

Początek trzeciego spotkania Semistona, Samtora i Eyana z Duchem Gór, który ponownie przyjął postać wyrośniętego, schludnego krasnoluda, był zbliżony do poprzedniego. Po wspólnym śniadaniu, które chyba zaczynało stanowić stały i sympatyczny element ich posiedzeń, Karkonos – nie czekając na pytania – podjął kontynuację przerwanej opowieści o dziejach ludzkości w minionej epoce. Tym razem skupił się tylko na przedstawicielach *homo sapiens sapiens*, na ich rozwoju społecznym i kulturowym, a więc na całokształcie dorobku materialnego i duchowego. Mówił o pierwszych odkryciach i wynalazkach, które mimo że dzisiaj wydawały się prostymi i oczywistymi, dla ówczesnych, będących zaledwie na początku swej ścieżki, stanowiły przełomowe punkty postępu. Powiedział o wstępnych formach zorganizowanego życia społecznego, które w miarę upływu setek i tysięcy lat przekształcało się we wspólnotowe, plemienne, by wreszcie stać się narodowym.

Na dłużej zatrzymał się na kilku starożytnych centrach, których wpływ na historię ludzkości okazał się największy. Mimochodem przytoczył tu swoją definicję cywilizacji, określając ją jako metodę kształtowania życia zbiorowego. Za przejawy jej istnienia uznał umiejętność bytowania miejskiego, posiadanie obiektów kultu i wierzeń, posługiwanie się pismem, prowadzenie wymiany handlowej oraz taką czy inną organizację zajmowanego

terytorium. Przy czym samą istotą powstania cywilizacji było wytworzenie zasad, w myśl których ona funkcjonowała, a nie ich poziom.

Swe ogólne rozważania zamknął stwierdzeniem, że w obszarze danej cywilizacji, w zależności od występujących uwarunkowań, mogą powstawać zróżnicowane kultury, stanowiące jej odmiany.

Zakończywszy ten wątek, Karkonos zamilkł i wstając, sięgnął po kubek, żeby wystygłą już kawą zwilżyć gardło. Przerwa uaktywniła jego słuchaczy. Cała trójka podniosła się również i wdała się w ożywioną dyskusję, podczas której zasłyszane teorie dotyczące minionej epoki porównywano i dopasowywano do sytuacji obecnej. Przy okazji starano się wyjaśniać powstałe wątpliwości oraz przedstawiać własne przemyślenia. W kwestiach mocno kontrowersyjnych zwracano się do Ducha Gór z prośbą o zajęcie stanowiska lub doprecyzowanie niektórych pojęć.

Zgodnie z wyraźną sugestią Semistona, mającego pewien zamysł, żaden z nich, chociaż świerzbiały ich języki, nie nawiązał do daru otrzymanego przez Nimenę.

Po ponad półgodzinnej wymianie poglądów oraz po skosztowaniu przyniesionego przez Samtora wina wszyscy ponownie zasiedli za stołem, a Karkonos podjął swoją opowieść. Zaznaczył z góry, że jeżeli zdarzy mu się przytaczać jakieś daty, to dla jasności i wygody będzie podawać je w systemie poprzedniej, zakończonej około czterystu czterdziestu tysięcy lat temu epoki. W układzie, który dzielił czas na erę nową, zwaną też naszą, i okres przed jej nastaniem. Zwięźle i nieco oschle, bez wdawania się w szczegóły wyjaśnił, że za wydarzenie stanowiące granicę pomiędzy tymi kalendarzowymi erami zostały przyjęte

narodziny niejakiego Jezusa, syna Boga, nazywanego także Yeshuą Christósem, co w luźnym, opisowym tłumaczeniu należało rozumieć: namaszczony, czyli uznany przez ojca swego Jehowę, który jest zbawieniem. Imię to miało wyróżniać jego osobę spośród innych, odpowiadać istocie, znaczeniu oraz posiadanym przymiotom Yeshuy. Duch Gór, mówiąc o tym, starannie pominął swe rodzinne związki z bratem oraz Jeho Wahem.

Po tymże wtręcie zaczął opowiadać o leżącej na wschodzie, nawet już w tamtej epoce uważanej za starożytną, krainie zwanej Mezopotamią lub rzadziej Międzyrzeczem. Międzyrzeczem, ponieważ rozciągała się między dwoma wielkimi rzekami: Eufratem i Tygrysem. Właśnie te ziemie zostały powszechnie uznane za kolebkę jednej z pierwszych wielkich cywilizacji – sumeryjskiej. Po jej upadku na części północnej tych terenów powstała Asyria, na południowej – Babilonia.

Rysując obraz tych gospodarczo-militarnych imperiów, Karkonos wspominał o tworzących je ludach. O Sumerach, plemieniu, które pojawiło się nagle i jakby w sposób nienaturalny, o tym, że jego członkowie z powodu karnacji skóry oraz czarnego zarostu często nazywani byli ciemnogłowymi. Że oni to w czwartym tysiącleciu przed naszą erą zdominowali znaczną część południowego Międzyrzecza. Że ta wysoko rozwinięta społeczność nie tworzyła scentralizowanego kraju, lecz system miast-państw, w których rządy sprawowali lokalni królowie, jak wiele wskazuje, pozaziemskiego pochodzenia, skupiając w swych rękach władzę militarną, administracyjną oraz duchową. Miasta-państwa, wśród których do największych należały: Eridu, Nippur, Ur, Lagasz, Umma i Uruk, miały już wówczas liczebność dochodzącą nawet do pięćdziesięciu tysięcy

mieszkańców i nader często toczyły między sobą krwawe wojny. Wspomnił o okresach rozwoju Sumeru, w tym o wczesnych kulturach Ubajd i Uruk, podczas których nastąpił niewytłumaczalny rozkwit techniki i urbanizacji. Że właśnie wtedy motykę zastąpiło radło, pojawiły się czterokołowe wozy, rozpoczęto wytop i obróbkę miedzi, zastosowano szybkoobrotowe koło garncarskie, czego efektem stało się powszechne używanie wysmukłych, zgrabnych naczyń wykonywanych z szarej i czerwonej gliny. O budowie kanałów nawadniających pola oraz osuszaniu występujących w pobliżu rzek bagien.

Mówił, że równolegle rozwijała się architektura. Zaczątki pierwszych prymitywnych świątyń z prehistorycznego okresu Ubajd, lokalizowane w centrum każdego z miast, w miarę upływu czasu przekształcały się w okazałe budowle, mające zazwyczaj wygląd litery T, albo też w zigguraty, czyli świątynne wieże o schodkowo zmniejszających się kolejnych, wyższych tarasach. Mury tych nowoczesnych gmachów wznoszono z suszonej cegły i kamienia wapiennego, a dekorowano je mozaikami, najczęściej przedstawiającymi geometryczne wzory. Innym budynkom mieszkalnym, sytuowanym nie chaotycznie, lecz wzdłuż wytyczanych ulic, zwykle nadawano kształty prostokątne. Ich centralne miejsce stanowiły wewnętrzne dziedzińce. Zamieszkiwali je członkowie zhierarchizowanej społeczności zajmującej się rzemiosłem, handlem i budownictwem.

Duch Gór podkreślił, że w tym czasie nie pozostawała w tyle również nauka. Wynaleziono i zaczęto stosować pismo piktograficzne, ustalono i wdrożono system miar i wag. Dobę podzielono na dwadzieścia cztery godziny, liczące po

sześćdziesiąt minut. W geometrii przyjęto podział okręgu na trzysta sześćdziesiąt stopni.

Mówiąc o Sumerze, Karkonos wspomniał o Gilgameszu, legendarnym władcy miasta Uruk. O tym, jak zwycięsko obronił swoje królestwo przed atakiem oddziałów dowodzonych przez króla Aggę z miasta Kisz i jak po tym bohaterskim wyczynie w układanych eposach przypisano mu półboskie pochodzenie oraz cechy herosa.

Skupił się na zmieniającej się na terenach Mezopotamii sytuacji militarno-politycznej. Na mającym miejsce dwadzieścia cztery wieki przed naszą erą okresie dominacji Akadów, ludu semickiego, który na te tereny przywędrował z półwyspu, później nazwanego Arabskim. Ich król i wódz – Sargon Wielki – podbił militarnie Sumer, lecz przewaga kultury zawojowanego narodu była tak duża, że na kilkaset lat zaistniało państwo akadyjsko-sumeryjskie. Godnym uwagi jest fakt, że wzajemna infiltracja obydwu zantagonizowanych narodów odbyła się w nim sposób naturalny i bezkrwawy.

Opowiadał o Hetytach, narodzie, który w drugim tysiącleciu przed naszą erą stworzył w Azji Mniejszej jedno z najlepiej zorganizowanych i najpotężniejszych militarnie oraz materialnie państw, a także o tym, że zmienne koleje losu w tysiąc dwusetnym roku przed naszą erą doprowadziły je po wielkiej bitwie z tajemniczymi Ludami Morza (być może późnymi potomkami zatopionych około ośmiu tysięcy lat wcześniej Atlantydów) do upadku. O Amorytach, Chaldejczykach, Asyrii i Babilonii, o Partach, Medach i Persach, o narodach i państwach, z których każde w pewnym okresie drogą okrutnych wojen przejmowało rolę hegemonia Mezopotamii. Zatrzymał się na chwilę przy królu Babilonu, Hammurabim, i wprowadzonym

przez niego kodeksie opierającym się na prawach talionu oraz mutilacji. Podstawę pierwszej zasady stanowił odwet, w którym sankcja była identyczna ze skutkiem przestępstwa. Dewizę drugiej najlepiej obrazuje stwierdzenie „czym zło uczyniłeś, zostanie ci odcięte. Uderzyłeś ojca swojego, odetniemy ci rękę, kopnąłeś go – nogę”.

Opisał króla Babilonii, Nabuchodonozora Pierwszego, za panowania którego nastąpił krótki renesans jej świetności, oraz Nabuchodonozora Drugiego, wielkiego budowniczego i wojownika, który na starość postradał zmysły. Wygnany, żył i skończył w przekonaniu, iż jest nieczystym wieprzem. Mówiąc o nim, Karkonos zrobił wtręt i kilka minut poświęcił ziemi Kanaan, starożytnej krainie położonej na wschodnim wybrzeżu dzisiejszego Morza Śródziemnego, ongiś nazywanego Śródziemnym, jej trudnej i złożonej historii. Cofnął się do czasów osiemnaście wieków poprzedzających naszą erę i opowiedział o pierwszych związkach hebrajskiego patriarchy Abrama-Abrahama z Jeho Wahem.

Po przerwach robionych dla odpoczynku Duch Gór w podobny sposób zapoznał trójkę swoich słuchaczy z powstaniem i początkami rozwoju Chin, Indii i Egiptu, by następnie przejść do starożytnej burzliwej Hellady i bardziej wojowniczego Rzymu. W miarę powstawania tego wielowątkowego szkicu ludzkiego rozwoju, aby uwypuklić sprawy najważniejsze, w opowieści swej przesunął akcenty. W jednych okresach kładł nacisk na toczone wojny, w innych na organizację państw i ich ustroje, a w następnych na naukę, odkrycia i wynalazki, stosunki społeczne oraz integrację ponadpaństwową. Na dłużej skupił się na geografii świata, a głównie ówczesnej Europy.

Kolejne fazy jego opowieści zapępniały tamten zamierzchły świat i kreśliły główne nurty jego rozwoju, tło polityczne i społeczne oraz następujące w nim regresje i przyspieszenia. W ten sposób, pomijając lub skrcając niektóre wątki, ów niezwykle narrator dotarł do wieków średnich nowej ery. Tutaj, dostrzegłszy lekkie znużenie słuchających, swój wykład przerwał.

– W bardzo krótkim czasie przekazałeś nam ogromną ilość wiedzy, a ponieważ nie robimy żadnych notatek, zachodzi obawa, że uleci nam ona z pamięci, przynajmniej częściowo. Byłaby to niepowetowana strata – powiedział ze słyszalnym żalem Semiston.

Karkonos się uśmiechnął.

– Pomyślałem o tym. Zapewniam, że żaden z was nie zapomni ani jednego zdania z tego, co było i będzie tu mówione. Zresztą to i tak tylko ramy, które winny zostać wypełnione przez was w drodze dogłębnych studiów, czytania stosownych znalezionych tu lektur i praktykę techniczną.

– Lektury, studia... z pewnością... ale my, a przynajmniej ja mam swoje lata i już raczej nie zdążę opanować używanego w nich języka. Szkoda – wyraził nieco nieszczerze swe ubolewanie mag.

– Chytry jesteś, czarodzieju, chytry. Nie musisz jednak tak mnie podchodzić. Wiem, co masz na myśli – odparł mu Karkonos i rozwinął pozornie odrębny temat. – Około dwa tysiące lat przed końcem poprzedniej epoki, w obchodzoną przez lud Izraela Pięćdziesiątnicę, zwaną też Zielonymi Świątami, podczas których dziękowano Bogu za pomyślne zbiory, zgorzkniały i żałujący, że nie ocalił przed śmiercią swego przybranego syna, Jeho Wah, używając potęgi myśli, obdarzył kilkunastu najbliższych uczniów i przyjaciół Yeshuy stałą znajomością kilku obcych języków

i zdolnością leczenia niektórych dolegliwości. Nakazał im też rozejść się po świecie i głosić boską chwałę imienia swojego oraz nieżyjącego syna. Uczynił to z kilku powodów. Najważniejszym z nich była chęć zapisania się w pamięci szerokich rzesz ludzkości. Innymi – nagrodzenie wierności tej dwunastki oraz własna próżność, kolejna próba udowodnienia, że słusznie jest czczony i uważany za istotę boską. W czasie tym był już bardzo posunięty w latach i zdawał sobie sprawę, że jego odejście jest bliskie. Mimo swej przenikliwości nie przypuszczał, a może wliczył to w koszty, że zadanie, które powierzył wybranym uczniom, większości z nich przyniesie mękę i przedwczesną śmierć. Nie przewidywał chyba też, że kult jego, nazwany z czasem chrześcijaństwem, przetrwa ponad dwa tysiące lat i znajdzie dwa i pół miliarda rozbitych na różne Kościoły wyznawców. Dlaczego o tym mówię? Otóż ja również chcę was obdarzyć biegłą znajomością kilku języków z minionej epoki. W mowie i piśmie. Was, to znaczy niektórych badaczy przybyłych do tej kopalni. Posiadam takie możliwości, a zacząłem od elfki. Nimena stała się próbnym balonikiem. Wkrótce przyjdzie kolej na pozostałych. Dar mój nie będzie się jednak wiązał ze śmiercią ani męką. Wręcz przeciwnie, będzie on miał na celu zapobieżenie grożącej wam katastrofie. Jakiej? Nie ponagłajcie. O tym później.

– A co ze mną? – zapytał zmartwiony Eyan. – Będę pokrzywdzony, bo na krasnoludy magia nie działa.

– Magia może nie, lecz ja jej nie stosuję. Ja posługuję się sprawczą potęgą umysłu, a to jest jeszcze wam niedostępna metoda naukowa, którą moi przodkowie ze strony ojca doskonalili przez tysiące lat. Zapewniam cię – uspokoił niziołka z udaną powagą – że jest ona na tyle skuteczna, że podziela nawet na tak oporny egzemplarz waszej rasy jak ty. Wracając do

Nimemy... – Duch Gór spoważniał. – Przez zupełny przypadek trafiła na jedną ze świętych ksiąg poprzedniej ludzkości. W jej pierwszym rozdziale, noszącym tytuł *Genesis* lub *Księga Rodzaju*, krótko i dość enigmatycznie wspomina się o tym, co mówiłem, a mianowicie, że synowie Boga brali córki człowiecze za żony, a te im rodziły. Potomkowie tychże mieszanych par byli właśnie owymi sławnymi mocarzami, z których do dziś przetrwałem tylko ja. Wspomina się tam również o gigantach, ale to zupełnie inna historia związana z mieszkańcami tajemniczej planety Nibiru. Planeta ta, poświęcona babilońskiemu bogu Mardukowi, bywa też niekiedy nazywana jego imieniem. Nie owo dzieło powinno jednak stanowić źródło, z którego będziecie czerpać wiedzę. Obecnie znacznie istotniejsze będą dla was dziedziny takie jak matematyka, astronomia, wszystkie działy fizyki, chemii i mechaniki, wspomagane filozofią oraz psychologią. W bibliotece napotkacie na obszerne zbiory obejmujące te nauki. Pozyskana z nich wiedza teoretyczna po pogłębieniu, poszerzeniu i uzupełnieniu umiejętnościami praktycznymi, połączona w interdyscyplinarną mądrość, stanie się dla was wkrótce niezbędna. Dlaczego? O tym niebawem, a na dziś nam wszystkim wystarczy.

Po powrocie ze spotkania cała trójka, czując głód, skierowała się do sali jadalnej. Wcześniej usiłowali zaprosić Karkonosa na posiłek, ale ten grzecznie się wymówił. Pałaszując więc jedynie we własnym gronie resztki zachowane z kolacji, układali plany na najbliższe dni. Zgodnie ustalili, że jeśli nic niespodziewanego nie pokrzyżuje ich zamysłów, po cyklu spotkań z Duchem Gór któryś z nich powinien udać się do Todory. Żadne bowiem seanse

łączności nie zapewnią równie dokładnego przekazu uzyskanych informacji, jak relacja bezpośrednia. Podczas zaś poufnych rozmów prowadzonych w trakcie przewidzianego spotkania władców z okazji obchodów podwójnej rocznicy Artorus i Zachetyn powinni dysponować możliwie pełnym zasobem aktualnych wiadomości dotyczących znaleziska z Brony. Mogą się one bowiem okazać argumentami, które powiązane z analizą militarnych poczynań króla Petina zadecydują o utworzeniu przeciwmorgijskiej unii.

Semiston kierujący misją z oczywistych powodów opuścić kopalni nie mógł. Eyan od razu wyszukał sto przyczyn, które mu jechać nie pozwalały. Wypadło, że delegowany powinien zostać Samtor. Ten, mając przeświadczenie, że szybko powróci, nie bronił się przed wyborem. Poza tym tęsknił za pozostawionym pod opieką zarządcy kopalni Bieganem, widokiem zieleni i blaskiem słońca.

Zakończywszy jedzenie, czarodziej i krasnolud opuścili jadalnię. Semiston zamierzał jeszcze porozmawiać z Nimeną i z badaczami, którzy mieli im niedługo towarzyszyć, a Eyan nosił się z zamiarem napisania listów do Tui i synów.

Do pozostawionego samotnie przy stoliku magina niespodziewanie zbliżyła się Nebra. Samtor, zobaczywszy ją, powstał i zapraszająco odstawił krzeselko. Bezwiednie się uśmiechnął, bo uświadomił sobie, że cieszy go widok tej pięknej kobiety i lubi ją znacznie więcej, niżby to uzasadniała ich krótka znajomość.

– Witaj, maginie – przywitała go. – Gdzie i w jakim celu od trzech dni znikasz wraz z krasnoludem i Semistonem? Coraz bardziej tęsknię za twoim towarzystwem.

– Witaj, Nebro, cieszę, że cię widzę – odparł, ujmując jej wyciągniętą dłoń i patrząc w oczy. Uścisk jego ręki i wyraz twarzy powiedział jej znacznie więcej niż banalne słowa powitania. Gdzieś w środku samej siebie ponownie poczuła, że bardzo jej na nim zależy. Trochę zażenowana tym uczuciem, opuściła wzrok. Po powitaniu nie cofnęła od razu ręki. On także nie spieszył się z uwolnieniem swojej. Przez ten dotyk niespodziewanie nawiązali kontakt zdecydowanie bliższy, niż mogłaby to sprawić kilkugodzinna rozmowa. Po chwili powoli i niechętnie puścił jej ciepłą, uległą dłoń i poprosił, by usiadła.

Kiedy już zajęła miejsce, sam opadł na krzesło zajmowane dotychczas. Mając ją po prawej stronie, skierowaną do siebie prawie profilem, lekko nachylił się ku niej i zaczął:

– Dobrze, że się spotkaliśmy. Wykorzystam okazję i pozwolę sobie nieco ubiec Semistona, by przekazać ci pewne informacje. Jutro idziemy jeszcze we trójkę, lecz chciałbym prosić cię o takie zaplanowanie zajęć, żebyś pojutrze od rana mogła udać się z nami. Sprawa jest niezwykła i ważna. Wiemy już, jaka cywilizacja była twórcą tego schronu, a wszystko wskazuje, że wkrótce usłyszymy, z jakich powodów i w jakim celu go wykonano. Dobrze rzekłem: usłyszymy – potwierdził, widząc goszczący na jej twarzy wyraz zdziwienia. – Pierwszego dnia, tuż po wkroczeniu do hali położonej za znaną ci zamkniętą bramą, natknęliśmy się na niezwykłą istotę. Przedstawiła się nam ona jako Duch Gór... – Samtor, dokonując karkołomnych skrótów, opowiedział czarnowłosej czarodziejce o otrzymanej na samym początku żartobliwej reprimendzie, o swych wizjach i o minionej cywilizacji.

Ta, zasłuchana, nie przerywała mu ani jednym słowem. Chłonęła to, co mówił, a gdy skończył, powiedziała:

– Wiesz, po zobaczeniu tego schronu upewniłam się odnośnie do słuszności swych wcześniejszych podejrzeń, że kiedyś, długo przed nami, ktoś już zamieszkiwał te tereny i że wcale nie jesteśmy tu pierwsi. Wówczas nie snułam żadnych teorii, kim byli ci poprzednicy oraz jak dawno temu miało to miejsce, ponieważ nie posiadałam ku temu wystarczających podstaw. Przeczucia swe opierałam jedynie na kilku przesłankach, głównie tajemniczych artefaktach, które nie mogły zostać wyprodukowane przez inteligentne rasy naszej cywilizacji. Żadna bowiem z nich, nawet gnomy, które od stuleci posiadają największe w tej dziedzinie umiejętności, nie byłaby w stanie wykonać z jednej bryły górskiego kryształu ludzkiej czaszki. No, przyjmijmy, że ludzkiej, ponieważ ta oglądana przeze mnie miała znacznie bardziej wydłużoną puszkę mózgową. Również ani krasnoludy, ani gnomy, chociaż jedni i drudzy są od wieków doskonale obeznani z technikami metalurgicznymi oraz biegli w obróbce metali, z pewnością nie daliby rady odlać, a tym bardziej wykuć, wielkiego, prastarego żelaznego obelisku, co prawda już trochę rdzewiejącego, który oglądałam w jednym z dalekich krajów południowego wschodu, gdzie kiedyś dotarłam teleportem, nawiasem mówiąc, w zupełnie nieciekawych okolicznościach. W gorących krajach południa miałam też okazję chodzić po ruinach olbrzymich kamiennych budowli, mających pierwotnie kształty piramid, czyli ostrosłupów o podstawie kwadratowej. Nie miały one naturalnego pochodzenia, ale też nie były wzniesione przez praprzodków naszych elfów ani ludzi.

Na tym Nebra dość nagle zakończyła swoje dywagacje i nie robiąc przerwy, podjęła wątek najważniejszy:

– To, co jednak zastaliśmy tutaj – skonstatowała – przekroczyło moje najśmielsze oczekiwania. Umiejętności

i wiedza twórców tego kompleksu oraz jego wyposażenia wzbudziły mój najwyższy podziw i szacunek. Nie ukrywam, że także pewnego rodzaju zazdrość. Widząc to, od razu pomyślałam o przejęciu i wykorzystaniu zgromadzonego tu zasobu wiadomości, ponieważ pozwoliłyby one na przeskoczenie kilku wieków naszego rozwoju bez potrzeby wyważania otwartych przez kogoś drzwi. Jest tylko mały problem: dla nas te drzwi nie stoją tak całkiem otworem, musimy jeszcze znaleźć do nich klucz. Ja niestety na niego nie natrafiłam. Nie potrafię odczytać ich pism, nie umiem sterować tajemniczym okienkiem z ruchomymi obrazami. I nic nie pomaga ani moja wiedza, ani próby stosowania – nieubogich przecież – magicznych sposobów. Kiedy wczoraj dowiedziałam się, że Nimena, choć przyznaję, nie lubię jej, przeniknęła ich język i zaczęła ze zrozumieniem odczytywać zapisane w znalezionych księgach treści, wyobrażając sobie skutki, jakie to odkrycie może przynieść, szczerze się ucieszyłam. Po usłyszeniu twojej opowieści zakiełkowała we mnie myśl, że odnalezienie tego schronu nie było przypadkiem. Że ktoś celowo maczał w tym palce. Niewykluczone, że był to właśnie ów Duch Gór. Z tego, co mówiłeś, wynika, że jest on do nas nastawiony pozytywnie. Jednak nasuwa się pytanie: dlaczego, dysponując taką mocą, wiedzą i możliwościami, sam nie stara się zapobiec zbliżającemu się kataklizmowi? Jest to ciekawe, nawet bardzo ciekawe... Należy zadać mu kilka pytań i zbadać szczerą odpowiedź.

– Nie wiem, czy jest to potrzebne – odparł jej Samtor. – W jego wypowiedziach są zawarte przyczyny. Być może nie sformułowane *expressis verbis*, ale jednak są. Po pierwsze chce, ażeby Ziemia przetrwała, ale uważa, że obowiązek jej ochrony spoczywa na jej obecnych gospodarzach, czyli na nas; po drugie

wyraźnie wyartykułował, że jest już bardzo stary i czuje, że jego życie dobiega kresu. Nie jest też wiadome, czy nie podjął prób zażegnania niebezpieczeństwa. Nie można również wykluczyć możliwości, iż zagrożenie jest na tyle duże, że pojedyncza istota, nawet tak potężna i mądra jak on, nie jest w stanie mu się przeciwstawić i że niezbędne jest tu działanie zbiorowe.

– Może i masz rację, Sam, może rzeczywiście jestem zbyt nieufna. Pożyjemy, zobaczymy. Widzę, że jesteś zmęczony. – Nieoczekiwanie zmieniła temat. – Chętnie pomogę ci pozbyć się tego zmęczenia, ale nie tu, na stołówce.

– Wobec tego zapraszam do siebie – zaproponował skwapliwie Samtor. – Mam trochę niezłego wina.

Bez krygowania się przyjęła jego propozycję. Podczas wychodzenia z jadalni zdecydowanym ruchem wsunęła mu pod ramię swoją szczupłą rękę, a magin delikatnie przycisnął ją do boku. Oboje czuli przyjemność z wzajemnej bliskości. Było im z tym dobrze. Szli niespiesznie szerokim korytarzem, milcząc.

Gdyby ktoś wścibski ich podpatrywał, zapewne pomyślałby, że tych dwoje darzy się głębokim uczuciem. Gdyby był obiektywny, musiałby przyznać, że stanowią wyjątkowo piękną parę. Ale na korytarzu nie było nikogo. Część członków wyprawy była pochłonięta pracą, część – swymi życiowymi problemami. Jeszcze inni pogrążeni we śnie, spowodowanym deregulacją doby, wypoczywali.

Po wejściu do pomieszczenia zajmowanego przez Samtora Nebra z lekkim zdziwieniem stwierdziła, że panuje w nim wręcz pedantyczny porządek. Magin wskazał jej fotel, sam zaś zajął się przygotowaniem zapowiedzianego poczęstunku. Wkrótce na stoliku pojawiły się: szklany dzbanek w dwóch trzecich

napelniony winem, dwie szklaneczki i talerzyk z otrzymanym niedawno od Eyana suszem owocowym.

– Wybacz, ale nie mam nic więcej do pojedzenia, nie mam również odpowiednich kieliszków. Taka to kawalerska gospodarka – usprawiedliwił się, nalewając do naczynek rubinowy płyn. – Wino za to pochodzi z południa Tuludy, dwuletnie. Moim zdaniem zupełnie dobre. Uchowało mi się go trochę.

– Dobry trunek w pożądanym towarzystwie smakuje z każdego naczynia. A głodna się nie czuję. Trzeba przyznać, że nasi kucharze, jeśli uwzględnić trudności w zaopatrzeniu, dokonują istnych cudów, aby dogodzić naszym podniebieniom. Ja, mimo iż cenię sobie smaczne, a nawet wykwintne potrawy, nie zaliczam się do dobrych gospodyń. Wolę, by przygotował i podał je ktoś inny. Kuchnia i jadalnia to nie mój żywioł. Naturalnie zupełnie inaczej przedstawia się sprawa z wywarami i eliksirami magicznymi, tu jestem bardzo dokładna. Ale one zazwyczaj nie muszą smakować, powinny jedynie być skuteczne.

W trakcie tej wypowiedzi przyjęła podaną jej szklankę i lekko nią kołysząc, zbadała bukiet wina. Upiła mały łyżeczek i uniosła naczynie, aby ocenić koloryt i klarowność napoju.

– Faktycznie, dobrze zbudowane – stwierdziła. – Ma odpowiednią ilość zarówno ekstraktu, jak i alkoholu. W wielowarstwowym zapachu tworzącym bukiet wyraźnie wyczuwalny jest owocowy aromat, czyli dominująca pojedyncza woń. Tu składają się na nią jakby dojrzałe śliwki, jagody oraz odrobina czarnej porzeczki. Barwa – lśniąca, fioletowa. Na podniebieniu – delikatne i złożone, z trwałym finiszem. Wszystko to sugeruje, że produktem na nie były winogrona szczepów Carménère. Przednie wino. Pije się je z przyjemnością.

Samtor, lekko trącając trzymane przez kobietę naczynko, wzniósł krótki toast:

– Za sukces badań.

– Tak, za nie i... za nas – uzupełniła prowokacyjnie czarodziejka, spoglądając mu w oczy.

Wypili po dużym łyku.

– No, czas na twój zabieg. Ściągaj kurtkę, koszulę i siadaj – nakazała mu, odstawiając szklanekę i nie czekając na pomoc, odciągnęła fotelik od ściany. Gdy magin posłusznie spełnił jej polecenia, przez pewien czas rozgrzewała dłonie, intensywnie pocierając je o siebie. Jednocześnie się koncentrowała. Kiedy uznała, że jest gotowa, stanęła przed nim i płynnie wodząc w powietrzu uniesionymi rękami, poczęła obrysowywać jego sylwetkę. Po każdym takim ruchu strzepywała dłonie, jakby coś z nich zrzucała. Jej twarz wyrażała skupienie, oczy utkwiała w oczach pacjenta.

W tym momencie nie była już piękną Nebra, ale liczącą ponad dwieście sześćdziesiąt lat potężną arcymistrzynią obojga magii, wielką Berną z Zegonu. Uzdrowicielką.

Pod wpływem jej woli Samtor zamknął oczy, a jego ciało się rozluźniło. Czarodziejka stanęła za nim i kolejno zajmowała się jego głową, szyją, barkami i ramionami. Po jakimś czasie zmieniła pozycję, by mieć lepszy dostęp do jego organów wewnętrznych. Zbadała serce i wątrobę, położyła dłonie na nerkach i okolicy żołądka. Przeszedłszy do kończyn dolnych, szczególnie dokładnie przebadła kolana oraz kostki. Diagnozowała go i czyściła mu organizm, usuwała zmęczenie. Nie mogąc oprzeć się pokusie, zbadała też jego męskie atrybuty.

„Chłop jak tur” – skwitowała z zadowoleniem i uniosła się z klęczek.

Trzema środkowymi palcami rąk nacisnęła mu skronie, a kciuki umieściła w miejscu, gdzie żuchwa łączy się ze szczęką. Stała tak przez chwilę.

„W dodatku prawy i uczciwy” – wydłużyła w myślach listę jego zalet.

– Budź się, Sam – powiedziała, odejmując od niego dłonie. – Jak się czujesz? – zapytała, kiedy otworzył oczy i popatrzył na nią.

– Wspaniale. Jak nowo narodzony. – Wstał i objął ją. Ponownie czuła się już Nebra. Podała mu swe miękkie, gorące wargi. Pocałunek był głęboki i długi.

– Kocham cię – wyznała, tuląc się do niego i nie czekając na odpowiedź, wpiła się w jego usta. Ich wargi poznawały się, języki splotły. Było im dobrze ze sobą. Tę przyjemność sprawiała im nie tylko fizyczna bliskość.

– Zostań dziś ze mną – szepnął jej do ucha.

Przyjęła jego zaproszenie. Została. Okazało się, że była to dobra decyzja. Obudzili się odprężeni fizycznym zmęczeniem, spełnieni i szczęśliwi.

ROZDZIAŁ XVII

Zemel i dwójka jego kamratów, od dawna należących do podległego mu, teraz rozbitego komanda, siedzieli w jednej z kilkunastu gospód w Izen. Jedli i popijali miejscowe piwo.

Od czasu klęski pod Broną, podczas której tylko dzięki przebiegłości elfa razem się uratowali od śmierci, a co najmniej niewoli, para ta stanowiła jego nieodłączną eskortę. W krytycznym momencie, gdy na zablokowanym z przodu i z tyłu moście pomiędzy położonymi końmi kryli się przed strzałami krasnoludów, jedynie ich przywódca nie stracił zimnej krwi. Wykorzystując fakt, że uwaga wszystkich została skierowana na krasnoluda i przedstawiciela bandy, prowadzących głośne pertraktacje, leżący Zemel dyskretnie przerzucił wożony przy siodle arkan przez dolny fragment słupka bariery. Nieco później, podczas małego zamieszania spowodowanego rozbrajaniem i przejmowaniem do niewoli pierwszej grupki zatrzymanych w pułapce zbirów, zaryzykował. Powoli podczołgał się do krawędzi mostu. Odległość pomiędzy najniższą poziomą żerdzią bariery ochronnej a pomostem była wystarczająca, by leżąc na brzuchu, mógł przerzucić poza skraj kładki nogi i dolną część tułowia. W tej pozycji psyknął, aby zwrócić uwagę dwóch będących w bezpośredniej bliskości swych kompanów, po czym, trzymając w rękach obie strony linki, opuścił się pod drewnianą nawierzchnię i chwycił za kratową konstrukcję nośną. Silny i zwinny, nie miał problemu, by się na

nią przedostać i ukryć w napchanej tam przez krasnoludy cuchnącej ropą i gotowej do podpalenia słomie.

W jego ślady w sposobnych momentach poszła powiadomiona dwójka. Ostatni, zwalniając jeden koniec linki i pociągając za drugi, odzyskał arkan.

Cała trójka przeczekała do odejścia oddziału. Zanim pozostawiona przez jego dowódcę ekipa przystąpiła do zasypywania rowu oraz usuwania umieszczonej pod pomostem słomy, przywiązali linę do konstrukcji i pojedynczo opuścili się do bystrej, ale płytkiej górskiej rzeczki. To brodząc, to niby płynąc z jej nurtem, obijając się o zalegające w niej kamienie, wydostali się poza zasięg wzroku niziołków, które podczas pracy, będąc w euforii po zwycięskiej bitwie, z ożywieniem omawiały niedawne wydarzenie. Zajęte tym, rzadko kierowały spojrzenia na rzekę i okoliczny las.

Uciekinierzy, mokrzy i wściekli, w dogodnym miejscu wygrzebali się z wody. Licząc, że drugiej części bandy pójdzie lepiej, ruszyli na jej spotkanie, w kierunku głównej drogi. Niestety, po dotarciu na miejsce mogli już tylko być świadkami kolejnej klęski. Liczący około stu czterdziestu rabusiów oddział został zdziesiątkowany, rozgromiony, a znaczna część jego wojowników, podobnie jak tych z grupy na moście, trafiła do niewoli.

Elf i dwaj jego towarzysze patrzyli na to z bezsilną złością. Narastała w nich żądza odwetu.

Przez dwa kolejne dni usiłowali podkraść się i uwolnić kompanów, jednak ludność Brony, pobudzona, skonsolidowana i czujna, nie dała na to najmniejszej szansy.

Trzeciego, ukryci, obserwowali przebieg publicznego procesu. Gdy padły słowa o napadzie na karawanę w Ramzie

i wymieniono imię Zemela, uznali, iż zagrożenie stało się zbyt duże. Zdecydowali, że należy opuścić te strony, odkładając zemstę na później. W ciągu kolejnych dwóch dni z trudem udało im się uprowadzić trzy konie, na których głodni, w wymiętych, pamiętających kąpiel ubraniach, mając jedynie sztylety i to, co w kieszeniach, odjechali. Czuli się poniżeni, ich zbójecką dumę zżerał wstyd.

Zemel wybrał kierunek na Monę. Zakazał napadania i grabienia po drodze, uzasadniając, że korzyści z tego są zbyt małe w stosunku do ryzyka. To ostatnie, biorąc pod uwagę szybkie rozchodzenie się wieści o pogromie bandy i wzmożoną podejrzliwość wobec obcych, przy dobrym zorganizowaniu sąsiedzkim niziolków, było rzeczywiście niemałe. W zaistniałych warunkach bezpieczniej było zachowywać się poprawnie, a za wyżywienie, noclegi i inne usługi – płacić.

W stolicy zony zabawili dość krótko. Tyle, by za złoto wyprute zza podszewki kurtki Zemela zakupić świeżą odzież, używaną broń, zmienić konie, a także odświeżyć się w łaźni i coś zjeść. Wszystkiego dwa i pół dnia.

Elf, mimo iż kiedyś świadczył usługi Strusowi, teraz starał się, by wieść o jego obecności w Monie do barona nie dotarła.

Następnym miastem, w którym zagościli, była morgijska Warma. Tu zostali na dłużej. Korzystali z dostępnych rozrywek. Odreagowywali stres ostatnich dni, jedząc, pijąc, grając w kości i odwiedzając miejscowe zamtuzy.

Zemel układał też plany na najbliższy okres. Po tygodniu, odżywieni, wypoczęci, zakończyli swą labę. Ich mocno odchudzone sakiewki wymagały pilnego zasilenia. Wyruszyli do Ramzy, w której z przechowywanych tam łupów zamierzali co nieco uszczknąć na codzienne wydatki. Zemel chciał też

rozejrzeć się wśród miejscowych zabijaków za kandydatami do nowego zbójckiego komanda, którego działalność planował reaktywować.

W ten sposób trafili do leżącego po drodze Izen. Grodu, w którym dwa tygodnie później miał za sprawą kata zakończyć swój parszywy żywot jeden ze znanych im kamratów. To jednak była przyszłość. Bliska, lecz jak to z nią zwykle bywa – nieznana.

Jechali konno dwójkami. Pierwszą tworzyli Czarny Chekta oraz czujący się coraz pewniej w roli nowego przywódcy bandy Tado. Kolejną – Zezowaty Tulza i najstarszy z nich, Borut. Wiedli ze sobą dwa objuczone luzaki, konie uprzednio należące do byłego herszta, Koczara Rudawy, oraz zdradziecko zabitego przez niego Zeba.

Byli wypoczęci. Nowe kaftany, spodnie, buty i prawie czysta bielizna poprawiały samopoczucie. Wywecowany stary i dokupiony nowy oręż, a także mimo poniesionych wydatków wciąż nielecho napchane łupem przejętym po nieżyjących kompanach kabzy wzmagaly ich pewność siebie.

Rana postrzałowa Chekty ładnie i bez komplikacji się goiła. Tulza, cięty w bok przez napadniętego bartnika, też prawie doszedł do siebie. Przy głębszych oddechach odczuwał jeszcze klucie w płucach i ból nadwyrężonych żeber, ale był twardym chłopem i na tak drobną dolegliwość starał się nie zwracać uwagi. Zresztą z upływem czasu stawała się ona coraz mniej bolesna.

W kuracji kontuzjowanych wyraźnie pomogły zamawiania napotkanego po noclegu nad Sumką zielarza-znachora oraz ordynowane przez niego driakwie. Staruszek mieszkał samotnie w maleńkiej, mającej swoje lata, drewnianej chatyńce, stojącej na

skraju wioski. Wieś liczyła zaledwie kilkanaście obejść i nie było w niej gospody. Cała czwórka po rozmowie postanowiła zatrzymać się w tej spokojnej okolicy na dłuższy popas. Z uwagi na panującą ciasnotę zrezygnowali z gościny u dziadka i wypytali miejscowych, u kogo mogliby wynająć izbę z wiktem i opierunkiem. Odpowiadającą im kwaterę zaoferował sołtys, najbogatszy w okolicy gospodarz, znęcony zapowiedzią wynagrodzenia w srebrze. Nie chcąc mieć kłopotów, zapłacili mu umówioną kwotę z góry i obiecali, że jeśli będą zadowoleni, może liczyć na trochę więcej. Aby uniknąć podejrzeń i domysłów, przedstawili się jako najemnicy jadący zaciągnąć się do morgijskiego wojska. Rany dwóch z nich, jak twierdzili, odniesione w starciu z bandą zbójcecką, ich wygląd i broń przy spokojnym, wręcz przyjaznym stosunku do mieszkańców osady czyniły wiarygodnym przyjęty przez nich kamuflaż. Zamiar zatrzymania się do czasu podleczenia kontuzji dwóch kompanionów też zdawał się w tej sytuacji zrozumiały.

Przezornie nawet pod wpływem wypitej gorzałki nie wszczynali żadnych burd i nie strzępili jęzorów. Za wszystkie usługi i nabywane dobra płacili. Niezbyt rozrzutnie, by nie wzbudzić dociekań na temat posiadanego bogactwa, ale też nie skąpo. Korzystając z nadarzającej się okazji, iż do wioski zajechał obwoźny handlarz, uzupełnili stan swej mocno sfatygowanej odzieży i broni, płacąc za nabyte towary znaczne kwoty. Wśród obserwujących transakcję, ciekawych, gdzie i jak można się tyle dorobić, rozpuścili wieść, iż pieniądze i kamyki stanowią ich roczny żołd z ostatnio pełnionej żołnierki i nagrodę za męstwo.

Po dwóch tygodniach wypoczynku zadecydowali, że nastąpiła najwyższa pora, żeby odszukać Zemela i upomnieć się o należną część łupu pochodzącego z napadu na kupiecką karawanę.

W Ramzie elfa i jego chewry nie zastali. Z dosyć mglistych wypowiedzi znanych im jego byłych podwładnych wywnioskowali, że przy odrobinie szczęścia mogą się na niego natknąć w sąsiedniej Morgii, w okolicach Warmy. Nie mając wielkiego wyboru, po naradzie skierowali się na północ. Po drodze starali się zasięgać języka, ale wieści były niepewne i często rozbieżne. Od takich, które głosiły, że Zemel ze znaczną siłą najechał i wyrznął masę krasnoludów zamieszkujących zonę Swein, grabiąc przy tym wielkie bogactwa, aż do tych, co twierdziły, że zginął albo został pojmany i osadzony w więzieniu, a wyprawa, którą dowodził, została do nogi wybita. Tak czy siak, wspólny element pogłosek stanowiła informacja, że w ogóle w tych okolicach niedawno był. Znając przebiegłość i ostrożność elfa, zakładali, że prawdziwe są te pierwsze, pomyślnie słuchy, i szukali go.

Teraz właśnie jechali znajdującą się już na terenie Morgii leśną, dość wąską, z rzadka używaną drogą.

– Jak tak dalej pójdzie, staniemy się całkiem przyzwoitymi ludźmi. Już zapomniałem, kiedy ostatni raz komuś przyłożyliśmy – przerwał ciszę Zezowaty Tulza.

– A i dobro miast wzrastać rozłazi się. Toć za wszystko płacimy groszem lub kamykami – dorzucił Czarny Chekta.

– Kogo tu obrabiać? Tych nędzarzy, którzy ledwie dwie kury mają w zagrodzie, a baby tak zagłodzone i brzydkie, że nawet wychędożyć ich się nie chce? – Tado starał się zakończyć niewygodny temat.

– Zagadałeś prawie jak ostatnio Rudawa. Uważaj – odparował Tulza.

– W gospodach trafiały się całkiem, całkiem... zarówno te przejezdne, jak i te z czeladzi. Pamiętacie tamte dwie elfki? –

rozmarzył się Chekta, który po śmierci Zeba okazał się wśród nich najbardziej łasy na babskie pokusy.

– Tak, w otoczeniu takiej ilości swojaków, że jak tylko byś podjął próbę podmacania której, cały byś się nie ostał, a może i żywy, bo źle im z oczu patrzyło. Widać nie lubili obcych – ostudził go milczący do tej pory Borut. – Wiecie, kamraci – podjął po chwili – ja od pewnego czasu się zastanawiam, czy po odebraniu i podziale naszej części od Zemela nie skończyć z tym wszystkim. Kupić w jakimś dobrym miejscu karczmę i osiąść. Niezły grosz sam będzie przychodził. Wieści różne także. I bezpieczniej na starość, bo od niedawna miewam paskudne przecucia. Nawiedzają mnie senne zmory. Śnię, że nagle zostaję zupełnie sam, odczuwam wielką grozę i wiem, że nieuchronnie czeka mnie coś strasznego. Coś, czego nie znam, przed czym w żaden sposób nie mogę uciec. I to się już trzykrotnie powtórzyło. Zły to omen, zły.

– Czy mając gospodę, będziesz bezpieczny? No nie wiem, nie wiem... Pozostali na tym świecie tacy, którzy pamiętają ciebie i nas. I póki życia pamiętać będą. Sami postarają się o pomstę lub za nagrodę doniosą komu trzeba. Ale dla chwatów takich jak my to furda, bardziej mnie troska, że Borut pierniczeje. – Tulza pozwolił sobie na ironię, zwracając się do reszty kompanii.

– Zawrzyjcie wreszcie gęby – skarcił ich łagodnie Tado. – Zamiast mleć bezproduktywnie ozorami wyććcie gały. Widać jakieś wozy. Chyba to karawana kupiecka. Może trafi się wreszcie robótka.

Rzeczywiście, na trakcie usytuowanym poprzecznie w stosunku do drogi, którą się poruszali, wylaniały się w oddali trzy okryte plandekami, ciągnione przez muły i konie zaprzęgi. Trasa ich wiodła z zachodu na wschód. Nie widać było przy nich

żadnej zbrojnej eskorty, a z prędkości przemieszczania się pojazdów wynikało, że niedługo powinny znaleźć się w okolicach skrzyżowania.

– Trzy, bez ochrony i pusta okolica. Akurat dla nas – podsumował złowróźnie, ściszoneg głosem Zezowaty Tulza. – Łatwa sprawa, tylko po dwóch na kozłach. Nie oszczędzamy nikogo. Żadnych świadków, tak jak w Ramzie.

– Zgoda. Jedziemy spokojnie w grupie. Zatrzymujemy ich, pozdrawiamy i pytamy o sytuację na drogach. W ostatniej chwili po koniach i z gotową bronią rozjeżdżamy się po jednym do wozu. Pierwszy wóz dwóch, ja i Borut. Drugi Tulza, trzeci Chekta – zatwierdził plan Tado. – Potem zabitych na wozy i do tamtego... – Wskazał za siebie. – ...lasu. Jasne?

– Nie ucz ojca dzieci robić. Pewnie, że tak – odparł za wszystkich Borut.

Woźnica pierwszego wozu nadawał tempo dwu pozostałym. Gonili zasadniczą część karawany prowadzonej przez Elana Stoffę.

Wkrótce po wyjechaniu z Brony trzy zaprzęgi z ładunkiem materiałów sukiennych, uprzęży, galanterii skórzanej oraz obuwia odłączyły się od głównego składu i skierowały na północ. Ta niewielka kawalkada miała za zadanie sprzedać możliwie dużo swoich towarów w stolicy Sweinu, Monie. Z ich pozostałością objechać osady zony, a następnie, przedostawszy się na teren Morgii, przez Warmę powrócić na główny szlak i podążając w kierunku Eridy, by tam połączyć się z zasadniczą częścią wyprawy, pomniejszoną o grupę, której celem była

Mezara, w napotykanym miasteczkach i wioskach prowadzić kupno i sprzedaż.

Tereny, po których kupcy się poruszali, nie należały do bezpiecznych. Aby zapewnić zyskowny handel i spokojny przejazd, obsadę wydzielonych wozów tworzyła aż dziewiątka mężczyzn: trzech mających rzeczywiste doświadczenie w kupieckim rzemiośle i sześciu, których główny obowiązek stanowiła obrona ludzi i ochrona mienia przed ewentualnymi grabieżczymi napadami. Nie było sprawą przypadku, że ci ostatni byli pracownikami służb Sytomira i doskonale umieli posługiwać się kuszą, mieczem oraz nożem. Każdy z nich obarczony był też zadaniem zbierania o zonie i Morgii takich informacji, które ze względów politycznych, militarnych lub gospodarczych mogły się okazać przydatne. Po powrocie do Sarii w formie raportów miały one trafić na biurko ich szefa. O tym się jednak nie mówiło i oprócz bezpośrednio zainteresowanych o nadprogramowej misji nie wiedział nikt.

Pod względem handlowym, jak do tej pory, przejazd przyniósł średnie wyniki. Najwięcej towarów udało się sprzedać w stolicy, której mieszkańcy z uwagi na bliskość dworu namiestnikowskiego byli najlepiej sytuowani finansowo. Znacznie już mniej w ubogich krasnoludzkich wioskach Sweinu. Zupełnie sporo w Warmie i morgijskich osadach. Zwalniane na wozach miejsce wypełniano wytwarzanymi oraz sprzedawanymi przez krasnoludy i gnomy produktami, na które – jak przewidywano – powinien być popyt w środkowych regionach Morgii lub w Eridzie. Na towary, które zamierzano przywieźć do Sarii, składano zamówienia, umawiając się na ich odbiór w drodze powrotnej.

Objazd planowanej trasy samodzielnie działającej kupieckiej trójce zajął ponad dwa tygodnie i teraz spieszyli, by zmniejszyć dystans dzielący ich od grupy prowadzonej przez Elana Stoffę. Jadąc, zwracali uwagę na kondycję koni i mułów, tak ważnych na objazdowej trasie. Dawali również baczenie na to, co dzieje się w okolicy. Bardzo nie chcieli, by spotkał ich los, jakiego doświadczyła trzy i pół miesiąca temu karawana w Ramzie.

Zobaczywszy w przedzie, po swojej prawej stronie nieliczną grupę konnych, wzajemnie się ostrzegli i przygotowali broń. Woźnice zmniejszili odległości między zaprzęgami, żeby w razie potrzeby szybko utworzyć obronny krąg. Na kozłach wozów zostało po dwóch z obsady, każdy trzeci, mając napiętą kuszę i wyjęty z pochwy miecz, dyskretnie skrył się pod plandeką. Obserwację prowadzili wszyscy. Ta czwórka konnych mogła stanowić przynętę odwracającą uwagę od ukrytych w krzakach czy w zagłębieniach terenu większych sił. Równie dobrze mogli to być uczciwi, całkiem przypadkowo spotkani na pustkowiu podróżni, ale przezorniej i bezpieczniej było się przygotować na wariant gorszy.

Spotkanie kolumny wozów kupieckich i grupki konnych nastąpiło w okolicach skrzyżowania traktu i leśno-łąkowej drogi. Jeden z jeźdźców, podniósłszy rękę, zatrzymał pierwszy zaprzęg. Za nim zatrzymały się inne.

– Witamy na szlaku. Z kim mamy przyjemność i dokąd prowadzi droga? – zadał pytanie.

– Witamy, witamy. A kto pyta? – odpowiedział pytaniem na pytanie mężczyzna siedzący obok woźnicy pierwszego wozu.

– My kupcy z Ramzy, konkretnie spod Atony. Kierujemy się do zony z zamówieniami na ichnie wyroby. Widząc, że ciągniecie od strony Sweinu, chcemy zasięgnąć języka, czy na drogach jest

bezpiecznie – wyjaśnił prowadzący konwersację Tado. Podczas tej powitalnej wymiany zdań dwaj jego towarzysze, niby powodowani ciekawością, zbliżyli się do dalszych wozów.

– My również kupcy. Z Sarii. Wygląda, że bezpiecznie. Oprócz was od kilku godzin nie zoczyliśmy nikogo.

– To wspaniale. Co wieziecie? Wozy wyglądają dostatnio, może byśmy od was coś wzięli.

– A co was interesuje? Co chcielibyście nabyć? – włączył się wyczuwający nadarzającą się okazję ubicia interesu woźnica.

– A wszystko, chędożony sk...nu! – wykrzyknął Tado, sięgając po kuszę. Jego głośny okrzyk stał się sygnałem dla reszty grasantów. Wyćwiczonymi ruchami prawie jednocześnie unieśli naciągnięte kusze. I zaraz po tym, także prawie równocześnie, Tado, Zezowaty Tulza i Czarny Chekta ze śmiertelnym charkotem osunęli się z kulbak. W ich piersiach tkwiły groty, na kaftanach ukazały się szybko powiększające swoje rozmiary plamy soczystej czerwieni. Zdębiały Borut z do połowy wyciągniętym z pochwy mieczem zastygł na widok wymierzonej w siebie kuszy, która nie wiadomo skąd i kiedy znalazła się w rękach mężczyzny prowadzącego rozmowę z Tadem.

– Nawet nie drgnij, bo skończysz jak tamci – usłyszał ostrzegający go niski, niezbyt głośny, lecz śmiertelnie groźny głos. Wolał usłuchać. – Gdzie reszta waszych? Ilu ich? – zapytał ów zszokowanego bandytę, nie zmieniając pozycji i nie przestając celować. – Nie kłam, bo wyczuję. A wtedy... – Wymownie wskazał głową na nieruchome już ciało byłego herszta.

– Nie ma innych, nie ma nikogo więcej – zapewnił szybko Borut, skwapliwie wypuszczając rękojeść broni i unosząc zgięte ręce. Zrozumiał, że znalazł się w sytuacji beznadziejnej. – Jest

nas, to znaczy było – poprawił się – tylko czterech. Nie zabijajcie – poprosił, opuszczając głowę. Przemknęła mu myśl, że oto spełnia się jego senny koszmar.

Zwłoki bandytów i rozbrojonego, skrupowanego Boruta umieszczono na ostatnim wozie.

W napotkanym po kilku godzinach większym grodzie Izen żyjącego i martwych przejęła straż miejska. Po okazaniu miejscowemu alkadowi papierów uwierzytelniających i po złożeniu następnego dnia wyczerpujących zeznań kolumna trzech kupieckich zaprzęgów, po kolejnym noclegu, wyruszyła w dalszą drogę.

Borut w celi czekał na rozprawę. Ten dotąd odważny, niełękający się nikogo i niczego zbój teraz zaczął odczuwać strach. Wiedział, że przegrał, i nie miał żadnych nadziei.

Już wkrótce okazało się, że mylili się, gdyby je miał.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

) *Conditio sine qua non* – warunek nieodzowny
do... ⊥

Spis treści

Strona tytułowa	2
Karta redakcyjna	3
Dedykacja	5
Mapka	6
OD AUTORA	7
ROZDZIAŁ I	10
ROZDZIAŁ II	66
ROZDZIAŁ III	94
ROZDZIAŁ IV	121
ROZDZIAŁ V	146
ROZDZIAŁ VI	164
ROZDZIAŁ VII	185
ROZDZIAŁ VIII	197
ROZDZIAŁ IX	226
ROZDZIAŁ X	248
ROZDZIAŁ XI	270
ROZDZIAŁ XII	288
ROZDZIAŁ XIII	313
ROZDZIAŁ XIV	348
ROZDZIAŁ XV	377
ROZDZIAŁ XVI	422
ROZDZIAŁ XVII	443